

Ekscytująca! Fani powieści historycznej będą zachwyceni.

„PUBLISHERS WEEKLY”

K A T E Q U I N N

OKO

SNAJPERKI

Bestsellerowa autorka *Sieci Alice*, *Łowczyni* i *Kodu róży*

3 miliony
sprzedanych
egzemplarzy

MANDO

K A T E Q U I N N

OKO SNAJPERKI

Przełożyła
Anna Gralak



MANDO

Powieść *Oko snajperki* jest fikcją literacką. Odniesienia do prawdziwych osób, wydarzeń, miejsc, organizacji mają na celu jedynie stworzenie pozorów autentyczności. Pozostałe postacie, wydarzenia, dialogi są wytworem wyobraźni i skutkiem zamysłu literackiego autorki.

Originally published under the title *The Diamond Eye*

© Kate Quinn, 2022

All rights reserved

Opublikowane w porozumieniu z HarperCollins. Wszelkie prawa zastrzeżone

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2022

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Monika Karolczuk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Patrick Mueller/Unsplash

Skład: Lucyna Sterczewska

ePub e-ISBN: 978-83-277-3329-0

Mobi e-ISBN: 978-83-277-3330-6

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: READ ME • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0

dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

Wszystkim pisarzom, którzy zdołali napisać książkę
w czasie lockdownu z powodu COVID-19 – wszystkim
twórcom, którzy zdołali tworzyć sztukę w okresie pandemii.
Było naprawdę ciężko, prawda?

*Latem 1942 roku,
gdy świat był pochłonięty wojną z Hitlerem,
pewna kobieta ze Związku Radzieckiego przemierzyła ocean
i dotarła do Stanów Zjednoczonych.
Była samotną matką, studentką, pracownicą naukową biblioteki.
Była żołnierzem, bohaterką wojenną,
snajperką mającą na koncie 309 trafień.
Była wysłanniczką Rosji, ulubienicą Ameryki
oraz serdeczną przyjaciółką Eleanor Roosevelt.
Jej historia jest niesamowita. Jej historia jest prawdziwa.
Poznajcie Panią Śmierć.*

Prolog

27 sierpnia 1942 Waszyngton

Stał z diamentami w kieszeni i ze śmiercią w sercu, patrząc, jak rosyjska snajperka wita się uściskiem dłoni z pierwszą damą Stanów Zjednoczonych.

– Czy ktoś kiedykolwiek słyszał, żeby dziewczyna była snajperem? – Do uszu strzelca wyborowego doleciało narzekanie stojącego za nim fotoreportera. Wyciągnął szyję, by dojrzeć młodą kobietę, która wysiadła przed chwilą z ambasadorskiej limuzyny. Chyba wzdrygnęła się w obliczu ognia zaporowego fleszy, przypominającego ostrzał z karabinów, i odwróciwszy wzrok, ruszyła w zwartym szyku radzieckich ochroniarzy po schodach Białego Domu. Fotoreporter prychnął.

– Moim zdaniem to oszustka – zadrwił.

A mimo to nie zdołaliśmy oprzeć się pokusie i przyszlismy na nią popatrzeć, pomyślał strzelec wyborowy, podrzucając leniwie w dłoń swój podrobiony identyfikator prasowy. Coś takiego jak przyjazd delegacji ze Związku Radzieckiego na międzynarodową konferencję studencką, będącą najnowszym przedsięwzięciem Eleanor Roosevelt, zasługiwałoby najwyżej na parę linijek tekstu, a już z pewnością nie wyciągnęłoby z łóżek przed świtem gromady skacowanych dziennikarzy i fotoreporterów ani nie skłoniło ich do biegnięcia z długopisami w dłoniach pod bramę Białego Domu, gdyby nie ta dziewczyna w wyprasowanym oliwkowozielonym mundurze.

– Mówili, że miała siedemdziesiąt pięć trafień na rosyjskim froncie? – zastanawiał się głośno dziennikarz „Washington Post”, szperając w swoich notatkach.

– Myślałem, że ponad setkę...

– Więcej – powiedział strzelec wyborowy z akcentem z wirigińskiego Tidewater, w którym się wychował. Już dawno wygładził swoje miękkie

południowe samogłoski, nadając im płaską środkowoatlantycką intonację, która mogła przynależeć wszędzie i nigdzie, lecz często pozwalała, by Wirginia wkradała się z powrotem do jego głosu – w zależności od tego, z kim akurat rozmawiał. Ludzie ufali południowemu akcentowi i strzelec wyborowy zdobywał w ten sposób ich zaufanie: gibki mężczyzna średniego wzrostu i z włosami średniej długości w kolorze między brązem a blond, z wąską twarzą i oczami barwy błota, zazwyczaj podzwaniający diamentami, które nosił luzem w kieszeni spodni. Nie lubił banków. Każdy, kto go wynajmował, płacił mu gotówką, którą on natychmiast wymieniał na klejnoty. Lżejsze od gotówki, łatwe do ukrycia – całkiem jak kule. Miał trzydzieści osiem lat, działał od dziewiętnastu i uzbierał już ponad trzydzieści trafień. Przekładało się to na mnóstwo diamentów i mnóstwo kul.

– Jak taka dziewczyna miałaby zabić ponad stu nazistów? – zastanawiał się stojący obok niego sprawozdawca, który wciąż obserwował Rosjanę na schodach przed Białym Domem. Stała obok grupy ubranych w ciemne garnitury mężczyzn z ambasady, gdy pierwsza dama witała pozostałych członków radzieckiej delegacji. – Nie była przypadkiem bibliotekarką, nauczycielką albo kimś w tym rodzaju?

– Widocznie Ruscy przyjmują kobiety do wojska...

Może do batalionów medycznych, pomyślał strzelec wyborowy. Ale nawet komuchy nie robią z kobiet snajperów.

A jednak przyszedł, żeby ją zobaczyć na własne oczy. Chciał spojrzeć na kobietę, której skąpą biografię znał już na pamięć: Ludmiła Pawliczenko, lat dwadzieścia sześć, studentka czwartego roku historii na Kijowskim Uniwersytecie Narodowym i starsza pracownica naukowa w bibliotece publicznej w Odessie – przed wojną. Wojna dopisała do tego trzynastu miesięcy walki przeciwko wojskom Hitlera na froncie w Związku Radzieckim.

Przydomek: Pani Śmierć.

– Niech to szlag, to w końcu ile miała tych trafień? – Dziennikarz „Washington Post” wciąż przeszukiwał notatki. – Więcej niż dwieście?

Trzysta dziewięć, pomyślał strzelec wyborowy, lecz ani trochę w to nie wierzył. Ta bibliotekareczka na pewno nie była wyszkoloną zabójczynią. Była kukielką wypchaną radziecką propagandą, starannie wybraną

do studenckiej delegacji, i strzelec wyborowy wiedział dlaczego. Ładna brunetka o żywych ciemnych oczach i czystej, fotogenicznej twarzy nad obwieszonym medalami mundurem w niczym nie przypominała babochłopa, jaki kojarzyłyby się Amerykanom z kobietą służącą w radzieckiej armii. Rosjanie potrzebowali amerykańskiej pomocy, potrzebowali dobrych relacji prasowych z tej delegacji do Ameryki, więc wybrali najbardziej ujmujących kandydatów, jakich udało im się znaleźć. W pierwszym rzędzie i na samym środku stała właśnie ta snajperka, która obok Eleanor Roosevelt, tej wysokiej, kościstej jędzy, wydawała się drobna i pociągająca.

– Gratulujemy bezpiecznego dotarcia do Ameryki. – Dziennikarze przepchnęli się wystarczająco blisko, by bez trudu usłyszeć wytworny, typowy dla wyższych sfer głos pierwszej damy zwracającej się do radzieckiej delegacji i ujrzeć błysk jej końskich zębów. – W imieniu mojego męża, prezydenta, witam państwa w Białym Domu. Mąż z niecierpliwością czeka na spotkanie i zaprasza, byście pierwsze dni w stolicy Stanów Zjednoczonych spędzili państwo pod naszym dachem. Jesteście jednymi z pierwszych radzieckich gości, którzy będą podejmowani w Białym Domu. To historyczna chwila w przyjaźni między naszymi narodami.

Skierowała Rosjan do środka i to był koniec powitania. Nie minęło jeszcze wpół do siódmej, niebo nad stolicą ledwie zarumieniło się od słońca, gdy grupa dziennikarzy, fotoreporterów i jeden samotny, nieszkodliwy zamachowiec zaczęła się rozchodzić.

– Nigdy nie przypuszczałem, że doczekam dnia, w którym w Białym Domu będą witali rosyjskiego snajpera – mruknął z niezadowoleniem szpakowaty sprawozdawca. – FDR tego pożałuje.

Nie zdąży, pomyślał strzelec wyborowy, nie odrywając wzroku od starannie uczesanych ciemnych włosów Mili Pawliczenko, która szła za pierwszą damą w stronę drzwi Białego Domu. Za dziewięć dni – w ostatnim dniu międzynarodowej konferencji – prezydent Roosevelt będzie już martwy.

– Już widzę te nagłówki – mamrotał reporter „Washington Post”, bazgrząc coś w notesie. – Serdeczne powitanie rosyjskiej snajperki w Białym Domu.

Strzelec wyborowy uśmiechnął się, znowu podzwaniając diamentami w kieszeni. Za dziesięć dni wszystkie nagłówki miały krzyczeć: ROSYJSKA SNAJPERKA ZABIŁA FDR!

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Prezydent zamierzał powitać radziecką delegację razem ze mną, lecz rano się przewrócił. Gdy zapukałam i weszłam, przynosząc mu plik notatek służbowych i sprawozdań do przeczytania, zobaczyłam, jak Franklin wyslizguje się z rąk lokajowi podnoszącemu go z łóżka. Gruchnął na dywan w sypialni. Gdyby to się stało w miejscu publicznym, ryknąłby śmiechem, jakby to był tylko kawał, numer w stylu Charliego Chaplina, i zaczęłby się podnosić, opowiadając jakiś rubaszny, pokrępiący dowcip. Ponieważ jednak znajdował się w zaciszu swojej sypialni, pozwolił, by jego twarz wykrzywił bolesny grymas. Zawsze mam wrażenie, że w takich chwilach powinnam odwracać wzrok – patrzenie, jak dumna fasada prezydenta Franklina D. Roosevelta pęka pod wpływem frustracji wywołanej porażkami jego ciała, wydaje mi się profanacją.

Gdy już siedzi, uspokajam go i mówię, żeby bez pośpiechu zjadł śniadanie, po czym proponuję, że sama powitam radziecką delegację. Rozkład dnia prezydenta i tak jest napięty. Mogę przynajmniej wyręczyć go w pierwszym zadaniu. Choć żartuje ze swojego upadku, widzę jego wdzięczność.

– Lepiej, że to się stało tutaj, niż gdyby miały to zobaczyć te wszystkie szakale.

– Nie ośmieliliby się okazać radości – mówię lekkim tonem.

– Ale modliliby się, żebym nie wstał.

Coś w jego tonie nie daje mi spokoju, lecz on już sięga po poranne gazety, szykując się na nadchodzący dzień. Świata wydaje się niezwykły: płynący z radia gęsty jak miód głos pełen złocistej pewności siebie, profil niczym dziób okrętu rozłupujący świat, stercząca fufka zamiast bukszprytu. Tylko nieliczni widzą żelazną wolę, która spaja tę fasadę, sprawia, że jego ciało wciąż idzie naprzód, trzyma wrogów z daleka.

Wychodząc ku światłu poranka, by powitać radziecką delegację – zwartą grupę enigmatycznych mężczyzn w ciemnych garniturach i jedną

niespodziewaną młodą kobietę o poważnym spojrzeniu (mówią, że jest snajperką?) – mam nadzieję, że ta wola wystarczy.

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Listopad 1937 Kijów, Związek Radziecki

MILA

1

Jeszcze nie byłam żołnierzem. Jeszcze nie prowadziliśmy wojny. Jeszcze nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mogłabym odebrać komuś życie. Byłam po prostu matką, dwudziestojednoletnią i przerażoną. Gdy jesteś matką, panika może cię ogarnąć w okamgnieniu. Wystarczy chwila, w której omiatasz jakieś pomieszczenie wzrokiem, szukając swojego dziecka, i go nie znajdujesz.

– Słuchaj, Milu – zaczęła moja matka – nie denerwuj się...

– Gdzie jest Sławka? – Nawet nie zdążyłam zdjąć połatanych rękawiczek i przyprószonego śniegiem płaszcza, a już łomotało mi serce. Na podłodze w mieszkaniu stała niedokończona fabryka budowana z klocków przez mojego syna, był tam stosik jego podniszczonych książeczek, ale nigdzie nie widziałam krzepkiego ciemnowłosego pięciolatka.

– Wpadł jego ojciec. Wiedział, że nie zjawił się w wyznaczonym terminie...

– Miło, że to przyznał – wycedziłam przez zęby. Był to drugi termin, który umówiłam w celu sfinalizowania naszego rozwodu. Za pierwszym razem mój mąż się nie stawiał. W obu przypadkach musiałam ciułać miesiącami, by odłożyć pięćdziesiąt rubli na wymaganą opłatę, i tygodniami czekać na wyznaczenie terminu przez zawałone pracą biuro. Później tkwiłam godzinami w zimnym, dusznym korytarzu, wypatrując złotowłosej głowy męża... i wszystko na nic. W moim żołądku tliła się złość. Radzieccy obywatele i bez tego spędzali stanowczo za dużo czasu w kolejkach!

Matka wytarła ręce w fartuch, jej duże oczy wpatrywały się we mnie błagalnie.

– *Małyszka*, było mu bardzo przykro. Chciał zrobić Sławce przyjemność. Przez ostatnich pięć lat prawie go nie widywał, swojego własnego syna...

A niby czyja to wina?, miałam ochotę zapytać. To nie ja trzymałam naszego syna z dala od życia Aleksieja. To mój mąż zaledwie parę miesięcy po tym, jak nazwał naszego syna Rostisławem Pawliczenką, uznał, że małżeństwo i ojcostwo jednak nie są w jego guście. Dobra, ładna twarz mojej matki wyrażała jednak nadzieję, więc powstrzymałam gorzkie słowa.

Głos mamy brzmiał łagodnie.

– Może jest jakiś powód, dla którego nie stawia się na tych spotkaniach.

– Pewnie, że jest – oświadczyłam. – Chce, żebym tańczyła, jak mi zagra.

– Może tak naprawdę liczy na pojednanie.

– Mamo, nie zaczynaj...

– To lekarz, Milu. Najlepszy chirurg na Ukrainie, sama mówiłaś...

– Owszem, ale...

– Pnie się na szczyt. Własne mieszkanie zamiast komunalnego, dobra pensja, członkostwo w partii. To nie byle co. – Moja matka wracała do dawnego sporu. Nie pochwalała sposobu, w jaki związałam się z Aleksiejem. Mówiła, że to się stało zbyt szybko, że on jest dla mnie za stary, i miała rację, poza tym chciała jednak, bym była bezpieczna, by nie doskwierały mi zimno ani głód. – Zawsze mówiłaś, że on nie pije i nigdy cię nie uderzył – ciągnęła. – Może nie jest mężczyzną, o jakim marzyłaś, ale żona chirurga nigdy nie będzie stała w kolejce po chleb, podobnie jak jego dzieci. Nie pamiętasz głodu, byłaś jeszcze mała... ale nie ma czegoś takiego, czego nie zniesie kobieta, by wykarmić swoje dzieci.

Spojrzałam na swoje zniszczone rękawiczki. Wiedziałam, że nic z tego, co powiedziała, nie jest nieprawdą.

Wiedziałam również, że z jakiegoś powodu boję się zostawiać synka sam na sam z jego ojcem.

– Mamo. Gdzie oni są?



Nie była to żadna wielka strzelnica, tylko przekształcona hala magazynowa: kraty w oknach, mały arsenał, rząd drewnianych tarcz, mężczyźni na linii ognia stojący w rozkroku z uniesionymi pistoletami albo leżący na brzuchu, by strzelać z karabinów... a pośród tego wszystkiego wysoki blondyn z małym chłopcem: Aleksiej Pawliczenko i mały Rostisław Aleksiejewicz. Odetchnęłam z ulgą.

– Każdy mężczyzna powinien umieć strzelać. – Podchodząc do nich, słyszałam, co Aleksiej mówi do naszego syna. Pokazywał Sławce, jak trzymać o wiele dla niego za duży karabin, a jego głos przybrał ten wyniosły ton, który tak dobrze pamiętałam. Mój mąż niczego nie lubił bardziej, niż objaśniać różne rzeczy ludziom wiedzącym mniej niż on. – Oczywiście aby zostać prawdziwym mistrzem, potrzebne są wrodzone predyspozycje.

– Jakie predyspozycje, tato? – Sławka wytrzeszczał oczy i wpatrywał się w złotowłosego obcego pana, którego ledwie znał. W człowieka, który odszedł z jego życia, nie oglądając się za siebie, gdy on miał zaledwie półtora miesiąca.

– Cierpliwość. Dobry wzrok. Pewna ręka i doskonałe wyczucie broni. To dlatego twój tata tak dobrze strzela, ma dłonie chirurga. – Aleksiej spojrział w dół i uśmiechnął się, a Sławka jeszcze bardziej wytrzeszczył oczy. – Teraz spróbuj sam...

– Sławka! – zawołałam, idąc wzdłuż linii ognia i pamiętając, żeby trzymać się za strzelającymi. – Odłóż ten karabin. Jesteś za mały, żeby mieć do czynienia z tak dużą bronią.

Zaskoczony Sławka spojrział na mnie z poczuciem winy, lecz Aleksiej nie wydawał się zaskoczony ani moim przyjściem, ani moją nachmurzoną miną.

– O, cześć – powiedział bez mrugnięcia okiem, odsuwając pukiel jasnych włosów z wysokiego czoła. Był ode mnie wyższy o głowę: trzydzieści sześć lat, szczupła sylwetka, jasne włosy, białe zęby i spontaniczny uśmiech. – Ślicznie wyglądasz, *kroszka*.

Nie zawracałam sobie głowy proszeniem, żeby mnie tak nie nazywał – dobrze wiedział, że doprowadza mnie to do szału. Mniej więcej przez tydzień naszego małżeństwa wydawało mi się urocze, że nazywa mnie swoim okruszkiem chleba – „Bo taka z ciebie drobinka, Milu!” – lecz niebawem zrozumiałam, że okruszek to coś, co można z łatwością wyrzucić. Śmieć.

– Nie powinieneś był zabierać Sławki bez mojej zgody – powiedziałam najbardziej opanowanym głosem, na jaki zdołałam się zdobyć. Wciąż czułam pulsowanie strachu, mimo że mój syn był cały i bezpieczny. W zasadzie nie myślałam, że Aleksiej mógłby spróbować mi go ukraść, ale takie rzeczy się zdarzały. W fabryce, w której pracowałam, kiedy Sławka był niemowlęciem, jedna z operatorek tokarki płakała i szalała ze złości, gdy były mąż zabrał ich córkę ze szkoły i bez uprzedzenia wywiózł do Leningradu. Nigdy nie odzyskała dziewczynki. Mąż miał w kieszeni zbyt wielu przyjaciół w partii. Takie rzeczy się zdarzały.

– Spokojnie, Milu. – Aleksiej uśmiechnął się jeszcze szerzej i wtedy strach w moim żołądku zaczął się przedzierać w złość. Mój mąż wiedział, że się wystraszyłam. Wiedział o tym i bardzo mu się to podobało. – Kto miałby nauczyć chłopaka strzelać, jeśli nie jego ojciec?

– Też umiem strzelać, sama mogę...

– Zresztą teraz to bez znaczenia. – Znów spojrział na mnie z rozbawieniem. – Już się tu zjawiałaś. Zjawiałaś się, żeby popsuć zabawę!

Zobaczyłam, jak puszcza oko nad moją głową do jakiegoś kumpla. *Ech, te kobiety!*, mówił ten gest. *Zawsze popsują facetowi zabawę, prawda?* Zajęłam się zdejmowaniem rękawiczek i wyplątywaniem się z zimowego płaszcza, mając świadomość, że jestem jedyną kobietą na linii ognia. Zwykle kobiety stały z tyłu i biły brawo, podczas gdy ich bracia, chłopcy albo mężowie strzelali. Poczynając od Lenina, radzieccy mężczyźni zawsze lubili opowiadać o kobietach stojących z nimi ramię w ramię w każdej dziedzinie, jaką ma do zaoferowania społeczeństwo, ale gdy chodziło o opiekę nad dziećmi, szorowanie naczyń albo bicie brawa, z moich obserwacji niezmiennie wynikało, że większość tego opiekowania się, szorowania i klaskania wciąż przypadała w udziale kobietom. Nie żebym jakoś szczególnie to kwestionowała: po prostu tak był urządzony świat, od zawsze.

– Mamoczka? – Sławka spojrzał na mnie zaniepokojony.

– Proszę cię, oddaj karabin – powiedziałam cicho, przeczesując dłonią jego włosy, by pokazać, że się na niego nie gniewam. – Jesteś za mały na taką dużą broń.

– Wcale nie – obruszył się Aleksiej, biorąc karabin. – Cackaj się z nim tak dalej, a nigdy nie zrobisz z niego mężczyzny. Sławka, patrz, jak ładuję...

Dłonie Aleksieja poruszały się szybko, ładując karabinek TOZ-8. To właśnie te dłonie zwróciły kiedyś moją uwagę, gdy zobaczyłam go na potańcówce, dłonie chirurga, długopalczaste i precyzyjne, pracujące z niebywałą zręcznością i skupieniem. *Co, nie potrafisz odmówić, kiedy uśmiecha się do ciebie blondyn?*, zganiła mnie matka, gdy się dowiedziała, że jestem w ciąży, ale to nie wzrost, urok ani nawet dłonie Aleksieja Pawliczenki pchnęły mnie w jego ramiona. Były to jego umiejętności, jego koncentracja, determinacja – tak bardzo odróżniające go od chłopców w moim wieku, którym w głowie były tylko wygłupy i czcza gadanina. Aleksiej nie był już chłopcem, był mężczyzną po trzydziestce i wiedział, czego chce, a jeśli czegoś chciał, szkolił się z myślą o tym, dążył do tego i to zdobywał. Dostrzegłam to w nim tego pierwszego wieczoru, młoda i roześmiana w marnej fioletowej sukience. Niespełna piętnastoletnia.

Dziewięć miesięcy później zostałam matką.

Posłałam Sławkę, żeby powiesił mój płaszcz w głębi hali, a potem odwróciłam się do Aleksieja.

– Nie przyszedłeś na umówione spotkanie. – Usilnie starałam się zachować spokojny ton. Nie zamierzałam wyjść na histeryczkę, to by go tylko rozbawiło. – Czekałam prawie trzy godziny.

Wzruszył ramionami.

– Wyleciało mi z głowy. Jestem zajęтым człowiekiem, *kroszka*.

– Wiesz, że sfinalizowanie rozwodu wymaga obecności nas obojga. Nie chcesz być moim mężem, więc dlaczego się nie stawiasz?

– Wynagrodzę ci to – powiedział beztrąsko, a jeden z jego kumpli w dalszej części szeregu zarechotał na widok mojej miny.

– Ona nie chce, żebyś jej to wynagradzał! – Za moimi plecami rozległ się śmiech i ktoś mruknął: „Wolałbym, żeby to ona mi wynagrodziła!”.

Aleksiej uśmiechnął się, spoglądając nad moją głową.

– Umówię kolejne spotkanie, żeby sfinalizować rozwód – powiedziałam najchłodniej, jak umiałam. – Jeśli się pojawisz, to zajmie kilka minut. – Nie podobał mi się bałagan, jakiego narobiłam w swoim życiu: zostałam matką w wieku piętnastu lat, mąż porzucił mnie po kilku miesiącach i w wieku dwudziestu jeden lat byłam potencjalną rozwódką – lepiej jednak być rozwódką, niż dalej tkwić w stanie zawieszenia, w którym pozostawałam ostatnich sześć lat: ni to mężatka, ni to niezamężna.

– Oj, Milu, nie wściekaj się tak. Wiesz, że lubię się droczyć. – Aleksiej dał mi żartobliwego kuksańca w żebra. Tyle tylko, że ten kuksaniec zabołał, choć miałam na sobie wełniany sweter. – Wiesz, dobrze wyglądasz. Wręcz promieniejesz... Może jest jakiś powód, dla którego tak chcesz tego rozwodu? Jakiś mężczyzna?

Wciąż się droczył, wciąż mówił żartobliwym tonem, lecz w jego słowach zabrzmiała ostrzejsza nuta. Tak naprawdę już mnie nie chciał, ale nie podobało mu się, że mógłby mnie chcieć ktoś inny. A tym bardziej, że ktoś inny mógłby mnie dostać.

– Nikogo takiego nie ma – odparłam. Nawet gdyby był, nie powiedziałabym mu. Ale nikogo nie było. Między zajęciami na uniwersytecie i nauką, zebraniami Komsomołu i opieką nad Sławką, spałam mniej więcej pięć godzin na dobę. Kiedy miałabym mieć czas na nowego mężczyznę?

Aleksiej obracał karabin w dłoniach, wciąż mi się przyglądając.

– Jesteś teraz na trzecim roku studiów?

– Na drugim. – Studiowałam na Wydziale Historii Kijowskiego Uniwersytetu Narodowego i ciężko pracowałam na legitymację studencką, ucząc się przez rok po nocach i jednocześnie pracując w systemie zmianowym jako operatorka tokarki w fabryce broni. Wtedy musiało mi wystarczyć około czterech godzin snu na dobę, ale było warto. Wszystko dla Sławki, dla przyszłości jego i mojej. – Aleksiej, jeśli uda mi się umówić kolejny termin...

– Aleksiej! – zawołał ktoś z linii ognia, mierząc mnie wzrokiem. – To jest ta twoja żonka?

Mój mąż objął mnie ramieniem i krótko ścisnął.

– Powiedz jej, jak dobrze strzelam, Sierioża. Już nie robię na niej wrażenia. Tak to bywa z żonami, no nie? – Aleksiej zobaczył moją minę i pochylił się, by trącić mnie nosem w ucho. – Tylko się droczę, *kroszka*, nie najeżaj się.

– Waszemu mężowi dobrze idzie, proszę zobaczyć, jak się obchodzi z TOZ-8!

– To tylko prosty jednostrzałowy karabinek – wyjaśnił mi Aleksiej, gdy wyswobodziłam się z jego objęcia. – Nazywamy go drobiażdżek.

– Wiem, jak on się nazywa. – Nie byłam żadną wielką ekspertką, ale chodziłam już na strzelnicę z fabrycznym klubem strzeleckim. Wiedziałam to i owo na temat broni. – TOZ-8, co najmniej sto dwadzieścia do stu osiemdziesięciu metrów...

– TOZ-8, prędkość początkowa pocisku trzysta dwadzieścia metrów na sekundę, donośność od stu dwudziestu do stu osiemdziesięciu metrów – recytował Aleksiej, w ogóle mnie nie słuchając. – Tutaj jest ruchomy suwak...

– Wiem. Miałam go już w rękach...

Uniósł karabin, wymierzył starannie, a potem rozległ się trzask wystrzału.

– Widzisz, prawie w sam środek.

Ugryzłam się w język wystarczająco mocno, żeby zaboląło. Miałam ochotę odwrócić się na pięcie, wziąć syna i czym prędzej się stamtąd wynieść, ale Sławka guzdrał się przy wieszakach, przysłuchując się jakiejś głośniejszej dyskusji politycznej prowadzonej przez dwóch mężczyzn – a ja nie chciałam wyjść, nie uzyskawszy jakiejś gwarancji. Gwarancji, że jeśli umówię kolejne spotkanie w celu sfinalizowania naszego rozwodu, Aleksiej się na nim pojawi.

– Dawniej nigdy nie spędzałaś tyle czasu na strzelnicy. Dlaczego tak ci teraz zależy, żeby dobrze strzelać? – Wykrzesalam z siebie nutę podziwu dla jego celności. – Jesteś chirurgiem. Wiesz, co się dzieje z mięśniami i organami wewnętrznymi, gdy trafia w nie kula. Opowiadałaś mi o łataniu takich ran.

– Niedługo będzie wojna, nie wiesz? – Przeładował drobiażdżek. – Kiedy to nastąpi, będą potrzebowali broni w każdej parze rąk.

– Nie w twoich. – Odkąd sięgałam pamięcią, mój ojciec kręcił głową i mówił: „Pewnego dnia wybuchnie wojna”, lecz ten dzień jeszcze nie nadszedł. – Jeśli wybuchnie wojna, nie wezmą cię do wojska.

Mój mąż zmarszczył brwi.

– Uważasz, że się nie nadaję?

– Mam na myśli to, że taki chirurg jak ty jest zbyt cenny, by go marnować na froncie – wyjaśniłam szybko, zauważając swój błąd. Od dawna nie żyłam z Aleksiejem, więc zapomniałam, jak należy mu schlebiać. – Będziesz prowadził szpital polowy, a nie pociągał za spust na rozkaz jak jakaś ślepa małpa.

Grymas niezadowolenia zniknął z jego twarzy i Aleksiej uniósł karabin.

– Na wojnie pojawiają się różne szanse, Milu. Szanse, których nie dostaje się w zwykłym życiu. Zamierzam być na nie gotowy.

Oddał następny strzał, nie trafiając jednak w środek tarczy.

– Dobry strzał, tato – powiedział zdyszany Sławka, przybiegając z powrotem.

Aleksiej zmierzwił mu włosy. Dwie młode dziewczyny z tyłu przyglądały się Aleksiejowi, okręcając pukle wokół palców. Niewykluczone, że mój mąż zauważył ich podziw, ponieważ kucnął obok swojego syna i zaproponował.

– Pokażę ci, jak to się robi.

Tak samo brzmiały pierwsze słowa, które skierował do mnie. Do małej Mili Bielewej, która niedawno skończyła piętnaście lat i pędziła wesoło przez pełną przeciągów salę taneczną, urzeczona muzyką, śmiechem i fioletową sukienką wirującą wokół jej nóg. Tańczyłam z przyjaciółką, obie mierzyłyśmy wzrokiem chłopców pojawiających się na sali, aż nagle muzyka się zmieniła, popłynął wolniejszy, poważniejszy utwór... i oszłamiająco wysoki jasnowłosy mężczyzna odciągnął mnie zreźnie od przyjaciółki i wtulił w swoje ramię, mówiąc: „Pokażę ci, jak to się robi...”. Potem rozłożył dla mnie swój płaszcz, bym mogła usiąść na trawie za salą taneczną, i oznajmił mi, że zamierza zostać wielkim człowiekiem.

Rozstawię nazwisko Pawliczenko od Moskwy po Władywostok. Uśmiechną się, by pokazać, że żartuje, lecz ja wiedziałam, że nie. Nie do końca żartował.

Już to widzę, odrzekłam ze śmiechem. *Aleksiej Pawliczenko. Bohater Związku Radzieckiego!* Promieniał ambicjami, promieniał nimi tak jasno, że mnie oślepił. Patrząc na niego teraz, w zimowym półmroku strzelnicy, przypomniałam sobie, jak potem wziął mnie za rękę i poprowadził, szepcząc: *Pokażę ci coś jeszcze...* No cóż. Wciąż podziwiałam jego płomienną ambicję, choć już go nie lubiłam i nie doznawałam ani odrobiny tamtego dawnego olśnienia.

– Nie, nie – mówił teraz do Sławki, a jego głos był podszyty zniecierpliwieniem. – Nie pozwól, żeby kolba opadła, oprzyj ją z powrotem o ramię...

– On jest za mały – powiedziałam cicho. – Nie dosięga.

– Ma siedem lat, może trzymać karabin jak mężczyzna...

– Ma pięć.

– Głowa do góry, Sławka, nie bądź dzieckiem. Nie krzyw się! – warknął.

– Przepraszam, tato. – Mój syn usiłował utrzymać ciężką brzoźową kolbę. Tak bardzo się starał zadowolić złotowłosego ojca, którego prawie w ogóle nie widywał. – Teraz dobrze?

Aleksiej się roześmiał.

– Spójrz na siebie, trzęsiesz się jak królik. – Aleksiej położył palec na dziecięcym paluszku Sławki spoczywającym na spuście i pociągnął. Mój syn wzdrygnął się, słysząc huk wystrzału, a Aleksiej znowu się roześmiał. – Chyba nie boisz się małego bum?

– Dostyc tego. – Wzięłam karabin i przyciągnęłam do siebie Sławkę. – My już idziemy. A jeśli umówię kolejne spotkanie w sprawie rozwodu, zechciej się na nim stawić.

Mówiłam zbyt szorstko. Powinnam używać łagodniejszych słów, powiedzieć: „Proszę, przyjdź” albo „Prawda, że przyjdiesz?”. Staranne dobieranie słów przez kobietę chodzącą na palcach wokół mężczyzny mającego przewagę i mogącego wykorzystać tę przewagę przeciwko niej – żaden poeta aż tak się nie męczył nad sformułowaniem zdania.

W oczach Aleksieja pojawił się chłodny błysk.

– Powinnaś być mi wdzięczna, *kroszka*. Kto inny zrobi mężczyznę z tego twojego szczeniaka? – Spojrzał na Sławkę. – Pamiętam, jak był niemowlęciem i wracałem do domu po dwunastogodzinnej operacji, a on wciąż nie spał i płakał. Ciągłe jęczałaś, że nie może zasnąć, nie może zasnąć. Nie to co ja, ja umiem zasnąć wszędzie. – Spojrzał na mnie i ściszył głos do szeptu, żeby nikt oprócz nas go nie usłyszał. – O czym to świadczy, Milu?

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. – Czułam, jak Sławka drży, przytulając się do mojego biodra. Niczego nie rozumiał, ale się denerwował. Czułam, że chce wrócić do swojego zabawkowego pociągu, do ciasnego, przytulnego mieszkania babci, do błyszczącego samowara i łyżki dżemu, który nabierała dla niego prosto z chochli. Ja też chciałam jedynie stamtąd pójść, ale gdy już miałam oddać Aleksiejowi drobiażdżek, jego słowa mnie powstrzymały.

– Mówię tylko, że ten chłopak nie śpi tak jak ja. Nie ma też moich włosów ani moich oczu... – Aleksiej wzruszył ramionami, wciąż mówiąc ściszonego głosem. – Na widok takiego dziecka mężczyzna mógłby się zacząć zastanawiać...

– Wdał się w mojego ojca – odparłam lodowato.

– W kogoś na pewno. – Aleksiej włożył ręce do kieszeni, udając, że go to nie obchodzi. – Może dlatego chcesz się mnie pozbyć, Milu. W twoim życiu nie ma nowego mężczyzny, ale może jest mężczyzna, który w nim był, zanim się poznaliśmy...

– Przynieś mi płaszcz, *morsik* – weszłam mu szorstko w słowo, popychając lekko Sławkę w stronę drugiego końca hali.

– ...bo kiedy przyglądam się temu chłopcu noszącemu moje nazwisko, zaczynam się zastanawiać. – Aleksiej patrzył, jak nasz syn – nasz syn – idzie niepewnym krokiem z powrotem w stronę wieszaków. – Naprawdę zaczynam się zastanawiać.

Wciąż trzymałam drobiażdżek, brzozowa kolba była lepka od palców zdenerwowanego Sławki. Poczułam, jak moje paznokcie wbijają się w drewno, i miałam ochotę je zatopić w twarzy Aleksieja, w jego wysokich kościach policzkowych. Miałam ochotę krzyknąć, że nikogo przed nim nie

miałam i on dobrze o tym wie, ponieważ prosto ze szkolnej ławy trafiłam do jego łóżka, by wkrótce wypchnąć z siebie jego dziecko. Wiedziałam jednak, że gdy tylko naskoczę na męża, on złapie mnie za nadgarstki i ściśnie odrobinę za mocno, mówiąc ze śmiechem: „Kobiety! Ciągłe histeryzują...”.

– Ale masz minę! – Aleksiej pokręcił głową i uśmiechnął się. – *Kroszka*, żartowałam! Nie znasz się na żartach?

– Może i nie – odparłam – ale znam się na strzelaniu.

Uniosłam karabin, odwróciłam się, ustawiłam muszkę ze szczerbinką na najdalszym drewnianym celu na strzelnicy, a potem pociągnęłam za spust. Zadzwonilo mi w uszach i kiedy opuszczałam drobiażdżek, wyobraziłam sobie, gdzie dokładnie wpakuję kulę: w sam środek tarczy, w jeden z otworów, które zostawił tam mój mąż. Ale...

– Nieźle – powiedział rozbawiony Aleksiej. – Może następnym razem nawet trafisz w cel.

Rozległy się pohukiwania jego kumpli. Moje policzki płonęły. „Umiem strzelać!”, miałam ochotę krzyknąć. Kilka razy byłam na strzelnicy z fabrycznym klubem strzeleckim i szło mi bardzo dobrze. Nikogo nie oślinałam, ale też nie spudłowałam ani razu.

Za to dzisiaj owszem. Dlatego że byłam zdenerwowana, zła. Dlatego że próbowałam zetrzeć ten uśmiech z twarzy Aleksieja.

– Spójrz na siebie: bardzo poważna dziewczynka z wielkim karabinem. – Aleksiej zabrał mi drobiażdżek, ujmując mnie pod brodę, jakbym była niegrzecznym dzieckiem, tylko że głowa odskoczyła mi przy tym wystarczająco mocno, żeby zabolalo. – Masz ochotę spróbować jeszcze raz, *kroszka*? Śmiało! – Trzymał karabin wysoko nad moją głową, z uśmiechem i błyskiem w oku. – Podskocz!

Inni mężczyźni na linii ognia też zaczęli się śmiać. Usłyszałam, jak ktoś woła: „Skacz, *kukuszka*! Skacz!”.

Nie zamierzałam skakać po karabin. Odwróciłam się do Sławki, który zbliżał się z moim płaszczem, i po chwili zaczęłam się ubierać.

– Zawiadomię cię, kiedy umówię kolejne spotkanie, Aleksiej.

– Niech ci będzie. – Wzruszył ramionami i znowu zaczął ładować drobiażdżek, uśmiechając się do dwóch obserwujących go dziewczyn. Zauważyłam, że odpowiadają mu uśmiechem. Tak to już jest z młodymi dziewczynami: łatwo zrobić na nich wrażenie. Szczupłą sylwetką, wysokim wzrostem i złotymi włosami, śmiałymi ambicjami i łapczywymi marzeniami. Też kiedyś taka byłam. Teraz jednak miałam dwadzieścia jeden lat i byłam rozzłoszczoną matką o dłoniach pachnących prochem strzelniczym i policzkach płonących z upokorzenia, której nie imponował już powierzchowny blask złych mężczyzn.



Dłoń Sławki w rękawiczce bez palców mocno ścisnęła moją, gdy szliśmy coraz ciemniejszymi ulicami Kijowa. Niebo koloru żelaza posyłało z góry spirale śniegu, który osadzał się na moich rzęsach.

– Wystaw język i złap płatek śniegu – powiedziałam do syna, lecz on milczał. – Gorące pielmienie z kwaśną śmietaną po powrocie do domu? – spróbowałam po chwili, ale on tylko brnął przez brejowaty śnieg i od czasu do czasu gwałtownie drgały mu ramiona.

– *Morsik* – przymilałam się cichym głosem. Znaczyło to tyle co „mały mors” i nazwałam go tak, gdy jeszcze karmiłam go piersią. Bez wątplenia miał apetyt godny małego morsa.

– Tata mnie nie lubi – wymamrotał Sławka.

– Nie chodzi o ciebie, *morsik*. Twój tata w zasadzie nie lubi nikogo, nawet mnie. – Czułam, jak palce w połatanych rękawiczkach drżą mi ze złości. – Nie zobaczymy już więcej twojego taty, Sławka. Nie potrzebujesz taty. Masz babuszkę, masz diduszkę. – Moi rodzice wprawdzie nie pochwalali mojej separacji z Aleksiejem, lecz mimo to przyjęli mnie z powrotem. Kochali Sławkę całym sercem, opiekowali się nim, żebym mogła pracować w fabryce oraz uczyć się do egzaminów. – Poza tym masz mnie, Sławka. Swoją mamę, która zawsze jest z ciebie dumna.

– Ale kto mnie nauczy strzelać? Potrzebuję taty, żeby... – plątał się Sławka. Miał dopiero pięć lat. Nie rozumiał sformułowań, które niebacznie rzucił dziś Aleksiej: „nigdy nie zrobisz z niego mężczyzny”, „każdy

mężczyzna powinien...”, „cackaj się z nim tak dalej”. Rozumiał jedynie, że z jakiegoś powodu ojciec uznał go za niedoskonałego.

Spojrzałam na jego ciemne włosy.

– Ja cię nauczę.

– Przecież spudłowałaś – wyrwało się mojemu synowi.

Spudłowałam. Ponieważ popełniłam błąd i dałam się sprowokować. Postanowiłam jednak, że następnych błędów nie będzie – nie mogłam sobie na nie pozwolić. Popełniłam już jeden kolosalny błąd, padając w ramiona niewłaściwego mężczyzny, i całe moje życie o mało się przez to nie wykoleiło. Teraz miałam syna i gdybym popełniła kolejny błąd, jego życie wykoleiłoby się razem z moim. Powoli wciągnęłam powietrze i je wypuściłam.

– Więcej nie spudłuję. Nigdy.

– Ale...

– Rostisławie Aleksiejewiczu. – Zwróciłam się do niego oficjalnie, zatrzymując go obok latarni i klękając na śniegu, by wziąć go za małe ramiona. Moje serce znowu załomotało. Spudłowałam do drewnianego celu na strzelnicy, ale tym razem nie mogłam popełnić błędu. – Od dziś to ja będę twoim tatą. Będę twoim tatą i twoją mamą. I nauczę cię wszystkiego, co musisz wiedzieć, żeby któregoś dnia zostać wspaniałym mężczyzną.

– Przecież nie potrafisz.

– Niby dlaczego? – Wyglądał, jakby miał wątpliwości, ale ja nie ustępowałam. – Wiesz, co to znaczy być wspaniałym mężczyzną?

– Nie...

– No to skąd wiesz, że nie potrafię cię tego nauczyć? Kobiety umieją rozpoznać wspaniałych mężczyzn. – Zwłaszcza po tym, jak zderzyły się z mężczyznami pokroju Aleksieja. – Nikt lepiej niż dobra kobieta nie nauczy cię, jak być dobrym mężczyzną, gwarantuję ci.

Sławka tylko spojrzał w kierunku strzelnicy, a jego długie, ciemne rzęsy pokryły się śnieżną zasłoną.

– Pokażesz mi, jak się strzela? – szepnął.

– Być może dzisiaj spudłowałam, ale to bez znaczenia. Twoja mama chodzi czasami do klubu strzeleckiego. Dzięki ćwiczeniom zakwalifikuję się na zaawansowany kurs dla strzelców wyborowych. – Wcześniej w ogóle nie brałam tego pod uwagę. Kto decydowałby się na trzy dodatkowe lekcje w tygodniu poświęcone szczegółowym zagadnieniom z balistyki i ćwiczeniom wojskowo-inżynieryjnym, mając na głowie komplet zajęć na uniwersytecie? Strzelanie to było tylko zwyczajne hobby, coś, co robiłam, by udowodnić, że aktywnie uczestniczę w aprobowanych przez państwo zajęciach rekreacyjnych. Poszłam tam, ponieważ chodzili tam moi przyjaciele: strzelaliśmy trochę po pracy albo po zebraniu Komsomołu, a potem szliśmy do kina albo, częściej, wracałam do domu, by zająć się Sławką. Nigdy nie traktowałam tego zbyt poważnie.

Postanowiłam, że to się niebawem zmieni. Odznaka strzelca wyborowego – coś takiego z pewnością starłoby uśmiezek z twarzy zadowolonego z siebie Aleksieja. Co ważniejsze, Sławka uwierzyłby, że jestem kimś więcej niż tylko jego miękka, czuła, kochającą mamoczką. Aby zrobić z niego wspaniałego mężczyznę, musiałam go nauczyć o wiele więcej niż tylko strzelania. Ciężkiej pracy, uczciwości, traktowania kobiet obecnych w jego życiu lepiej, niż traktował je jego ojciec... Ale odznaka strzelca wyborowego – tak. To byłby dobry początek.

Poza tym pamiętałam ten sarkastyczny, zaborczy błysk w oczach Aleksieja, gdy na mnie patrzył. Sam mnie nie chciał, ale z drugiej strony nie do końca chciał, żeby dostał mnie ktoś inny.

Może nie byłoby tak źle, gdybym umiała się bronić lepiej niż dotychczas. Gdybym umiała bronić swojego syna.

– Powiedział, że trzęsę się jak królik! – wybuchł Sławka. – Nie jestem królikiem!

Ścisnęło mi się serce i mocno go przytuliłam.

– Nie, nie jesteś. – *Nie jesteś królikiem, a twój ojciec to drań. Ale my go nie potrzebujemy: ani ja, ani ty.* Mój syn miał mnie, a ja zamierzałam dać mu wszystko. Nasze własne mieszkanie pewnego dnia, ścianę zabudowaną regałami z książkami, dobrą przyszłość. W przeciwieństwie do Aleksieja nie marzyłam o tym, by moje nazwisko okryło się wieczną sławą. Nie potrzebowałam rozgłosu ani chwały. Chciałam jedynie dać swojemu synowi takie życie, na jakie zasługiwał.

A zatem koniec z popełnianiem błędów, zabrzmiał mój twardy wewnętrzny głos. I obiecałam sobie: Ani dzisiaj. Ani jutro. Nigdy.

2

– Proszę o ciszę. – Mężczyzna wyglądający jak szabla w ludzkiej skórze, z blizną na czole i dwoma Krzyżami Świętego Jerzego połyskującymi na piersi, wszedł zamaszystym krokiem na plac przed Osoawiachimem, szkołą strzelców wyborowych, mierząc wzrokiem uczniów stojących w dwuszeregu, w nowych granatowych tunikach. Pozwolił, by cisza się rozciągnęła, aż ze spiżowego nieba spadło kilka płatków śniegu, aż zaczęliśmy niespokojnie przestępować z nogi na nogę, po czym przemówił ponownie głosem przypominającym wystrzał z karabinu.

– Słyszałem, że wszyscy dosyć dobrze strzelacie. Ale dobry strzelec to jeszcze nie snajper.

Na Lenina, pomyślałam, zapożyczając od ojca zawołanie, którego często używał, gdy ja albo moja siostra dawałyśmy mu się we znaki. Nie przyszedłam tam, żeby zostać snajperem, przyszedłam, żeby ukończyć zaawansowany kurs strzelectwa i zdobyć odznakę. Udowodnić, że jestem godna, by być dla mojego syna nie tylko matką, ale i ojcem. Spojrzałam na rozkład zajęć, który dostałam, zjawiając się tego ranka na pierwszych zajęciach: dwadzieścia godzin wykładów politycznych, czternaście godzin musztry na placu apelowym, dwieście dwadzieścia godzin ćwiczeń z bronią palną, sześćdziesiąt godzin taktyki... To wszystko miało uspokajająco akademicki wydźwięk, który kołło moje nerwy. Studiowałam historię – wołałam, by działanie i przemoc ograniczały się wyłącznie do stron książki.

Teraz jednak chodzący tam i z powrotem instruktor z blizną mówił o snajperach.

– Yy... – Dziewczyna stojąca obok mnie (w klasie byłyśmy tylko trzy) podniosła rękę. – Nie przyszedłam tu, żeby zostać snajperem. Chcę brać udział w zawodach na wyższym szczeblu, zakwalifikować się do mistrzostw krajowych.

– W czasie pokoju będziecie strzelali na zawodach – odrzekł spokojnie instruktor. – Ale pewnego dnia wybuchnie wojna i zamienicie drewniane tarcze na serca wroga.

Całkiem jak mój ojciec, który ciągle kręcił głową i mówił: „Kiedy będzie wojna...”. O dziwo, to mnie odprężyło: przywykłam do mężczyzn, którzy ucząc innych jakiejś umiejętności, patrzyli na nią przez pryzmat jej przydatności w czasie wojny. Dziewczyna, która zadała pytanie, wyglądała jednak na onieśmioną. Opuściła rękę, a instruktor mówił dalej, lustrując dwuszereg uczniów.

– Snajper to ktoś więcej niż strzelec wyborowy. Snajper to cierpliwy łowca: oddaje jeden strzał, a jeśli spudłuje, może zapłacić za to życiem.

Wtedy poczułam, jak moje ciało się naprężyło. Czy tak naprawdę wszystkie te kursy i godziny nauki sprowadzały się do czegoś tak prostego jak „nie spudłować”?

No cóż. To rozumiałam.

– Nie marnuję czasu na nauczanie kretynów ani chuliganów – ciągnął instruktor, a śnieg skrzypiał mu pod butami. – Jeśli w ciągu miesiąca nie przekonacie mnie, że potraficie zdobyć umiejętności i spryt wymagane od snajpera, zostaniecie wydalen z kursu.

Wyprężyłam się jeszcze bardziej. Ponieważ od razu wiedziałam, że jeśli ten człowiek odeśle kogoś do domu, to na pewno nie mnie.



Nie spudłować.

Dwa lata zajęć z bronią i musztry upychanych między zajęciami na uczelni: po dwugodzinnym wykładzie z podstaw archeologii i etnografii na Kijowskim Uniwersytecie Narodowym wskakiwałam na dwie godziny w granatową tunikę, by w środę wieczorem ćwiczyć składanie i rozkładanie karabinu Mosin-Nagant („Jak go nazywamy, Ludmiło Michajłowna?”. „Triochniejka, towarzyszu instruktorze”). Zaraz po zebraniu Komsomołu, na którym dyskutowaliśmy z oburzeniem o zbombardowaniu przez Niemców hiszpańskiej Guerniki, spędzałam trzy godziny przy celowniku optycznym Jemieljanowa („Wymieńcie jego

najważniejsze cechy, Ludmiło Michajłowna”. „274 milimetry przy wadze 598 gramów, dwa bębny do regulacji...”). Dwa lata oraz wszystkie te zajęcia i musztry – uczenie się na pamięć tabel balistycznych, wielogodzinne ćwiczenia poświęcone różnicom między modelami Simonowa i Tokariewa a drobiażdżkiem i trioelinijką – wszystko sprowadzało się do jednego.

Nie spudłować.

– Plac budowy – mówił nasz poblížniony instruktor, wskazując trzypiętrowy budynek powstający przy ulicy Władymira. – Jakie pozycje można by zająć, by unieszkodliwić brygadzystę, który biega tam i z powrotem po rusztowaniach między piętrami?

Wymieniłam wszystkie pozycje nadające się do oddania strzału: wszystkie drzwi, wszystkie okna, a potem poczułam szczypanie łez, gdy wskazał otwór okienny, klatkę schodową i gzyms na trzecim piętrze, które pominęłam.

– Starajcie się bardziej – powiedział do mnie lodowatym tonem. – Wróćcie tu za dwa dni i przeanalizujcie zmiany, które zajdą na tym placu budowy: każdą nowo postawioną ścianę, każde zabite deskami okno, każdą nową ścianę działową. Życie toczy się w szybkim tempie, ale kiedy patrzy się na nie przez celownik optyczny, coś zawsze odsuwa się na dalszy plan albo wysuwa na pierwszy, dlatego z najdrobniejszych szczegółów trzeba zyskać pełny obraz.

Szybko kiwnęłam głową. Instruktor poświęcał moim pomyłkom dwa razy więcej czasu niż pomyłkom innych – pozostałym dwóm dziewczynom tylko skinął głową! – i poczułam, jak spod mojego granatowego kołnierzyka wypływa rumieniec. Chyba to zauważył, bo odwrócił się z pogardą. Zmrużyłam oczy i dwa dni później poświęciłam trzy godziny, by zapamiętać każdą najmniejszą zmianę na placu budowy, a potem, na zajęciach, wyrecytowałam je wszystkie, nie pomijając ani jednej.

Nie spudłować. Miałam te słowa odcisnięte w kościach, a w życiu było mnóstwo okazji, by spudłować, by ponieść klęskę. Jako matka nieustannie usiłowałam znaleźć idealny sposób, by wychować syna: nie zanadto pobłażliwy, nie zanadto surowy. Jako studentka stale próbowałam osiągnąć równowagę, która pozwoliłaby mi się utrzymać w gronie najlepszych w grupie: nienaganne notatki, przygotowanie do egzaminów, sumienne gromadzenie materiałów. Jako radziecka kobieta nieustannie próbowałam

dążyć do ideałów swojej epoki: być wydajną pracownicą, szczęśliwą współobywatelką, przyszłą członkinią partii. Między tymi maleńkimi ruchomymi celami było tak wiele pustej przestrzeni, tak dużo potencjalnych porażek... Gdy jednak po ostatnim wykładzie na uczelni wpadłam jak burza na strzelnicę, zadając sobie ze złością pytanie, jak to możliwe, że udało mi się dostać tylko czwórkę z egzaminu z historii, mogłam szybko zapomnieć o tej porażce, wiedząc, że przynajmniej na strzelnicy sprawa wygląda prosto – tam wszystko było czarne albo białe, a nie szare i mętne. Trafiało się w środek tarczy albo nie.

– Pora na grę! – zawołał instruktor z blizną.

Od jakiegoś czasu zabierał nas w soboty na wieś na lekcje kamuflażu poświęcone temu, jak się ukrywać w płataninie jeżyn albo między drzewami, a zimą w zaspach. Znowu była zima. Mieliśmy półgodzinną przerwę na drugie śniadanie pod kępą oblodzonych brzoź. Tupaliśmy z zimna, a chłopcy podawali sobie butelki z czymś na rozgrzewkę. Nasz instruktor przyniósł worek pustych butelek po lemoniadzie i umieszczał je poziomo na rozwidlonych patykach, by wąskie szyjki były zwrócone w naszą stronę, my zaś ustawiliśmy się w szeregu, trzymając karabiny.

– Ta gra nazywa się denko – powiedział instruktor, podnosząc się z przysiadu i stając obok nas w szeregu. Metodycznie przygotował się do strzału, a gdy pociągnął za spust, rozległy się zduszone okrzyki i gwizdy: odstrzelił dno butelki, nie dotykając jej szyjki ani boków. – Czy ktoś potrafi to powtórzyć? – rzucił nam wyzwanie, a w jego oczach pod blizną pojawił się błysk.

Mogłabym przysiąc, że te oczy zatrzymały się na mnie, umyślnie i kpiąco, ja jednak stałam w milczeniu, opierając się na karabinie, i pozwalałam, by zgłaszali się młodszy chłopcy. Analizowałam ich błędy: strzelali za szybko, spragnieni tego, by zaimponować innym.

– Nie chcecie spróbować, Ludmiło Michajłowna? – głos instruktora zabrzmiał nad moim ramieniem, a jego oddech w mroźnym powietrzu przybrał postać białego kłębu. – Czy może zamierzacie trzymać się z boku i pozować jak do żurnala? – Miałam na sobie nowy płaszcz, granatowy z kołnierzem z czarnego futra, który moja matka starannie odpruła z bardzo starego i zjedzonego przez mole szala, by otulał moją szyję

niczym przyjazny soból, i cała grupa droczyła się ze mną od rana, mówiąc, że taka elegantka jak ja nie powinna nosić broni.

Zignorowałam przytyk instruktora i skinęłam głową w stronę chłopców strzelających bez opamiętania.

– Nie przyłączam się, bo oni tylko się popisują. Nie do tego służy karabin.

– Może przemawia przez was dobry instynkt – powiedział. – Pokazywanie się naraża snajpera na niebezpieczeństwo. Jest niezniszczalny, dopóki pozostaje niezauważony.

– Zamierzam zostać strzelcem wyborowym, nie snajperem.

– A zatem nie wstrzymujecie się z powodu dobrego instynktu. Wzbraniacie się nie z powodu niechęci do popisów. Po prostu... boicie się przegrać. Boicie się, że spudłujecie.

Spojrzałam na niego ze spokojem i poszłam uklęknąć na linii ognia. Przysiadłam na prawej pięcie, umościłam karabin w zagłębieniu barku. Palec wskazujący na spuście, grzbiet kolby przy policzku, karabin podtrzymywany za pomocą paska pod zgiętym łokciem. Oparłam się na lewym kolanie i przesunęłam dłoń w stronę lufy, by jeszcze lepiej ją ustabilizować. Wpatrywałam się przez celownik w butelkę zatknietą na rozwidlonym patyku. Nawet w czterokrotnym powiększeniu była nie większa niż kropka na końcu zdania – kropka postawiona pogrubioną czcionką. Nie zawahałam się jednak. Oddałam strzał i w tej samej sekundzie przypomniało mi się, jak spudłowałam, gdy obserwował mnie Aleksiej.

Gdy tym razem opuściłam karabin, zobaczyłam jednak, że dno butelki odpadło, zmieniając się w diamentowy pył tłuczonego szkła rozsypany na śniegu... a szyjka jest nietknięta.

– Dobra robota – powiedział spokojnie instruktor. – Umiecie to powtórzyć?

Poczułam, jak moje usta rozciągają się w uśmiechu. Prawie nie słyszałam oklasków kolegów i koleżanek z grupy.

– Tak.

Właśnie wtedy usłyszałam to po raz pierwszy: piosenkę, jaką może zaśpiewać karabin w moich rękach, gdy jego kolba mocno przywiera mi

do ramienia, a mój palec zakrzywia się na spuście. Jakimś cudem udało mi się odsunąć od pajacujących kolegów i ich krzykliwych popisów, by znaleźć się w zupełnej ciszy – na wyspie odciętej od hałaśliwej atmosfery zabawy i gier. Odgrodziłam się od wszystkiego, od całego świata, byleby tylko usłyszeć piosenkę śpiewaną przez trio chlinijkę w moich rękach.

Tamtego popołudnia odstrzeliłam dno trzech butelek z rzędu, przygotowując każdy strzał z pieczołowitą starannością, i nie utraciłam ani jednej szyjki. Czekałam, aż instruktor coś powie – „E tam, po prostu miałaś szczęście” – on jednak podszedł do mnie i czule, zaskakująco mnie uścisnął.

– Dobra robota, ślicznotko z długim warkoczem – powiedział, pociągając mnie lekko za warkocz, który sięgał mi do pasa. – Wiedziałem, że zwyciężycie.

Zamrugalam.

– Wiedzieliście, towarzyszu instruktorze?

– Temu, komu wiele dano, stawia się większe wymagania – zacytował. A ponad rok później, w dniu, w którym ukończyłam jego kurs, dał mi egzemplarz swojej broszury Wskazówki dla strzelców wyborowych, opatrzony autografem z prostą dedykacją: „Ludmiło Pawliczenko, nie spudłujcie”.

– To nie lada osiągnięcie, małyżka – powiedział mój ojciec, gdy wieczorem wróciłam do domu i z dumą pokazałam świadectwo. – Moja córka stała się niebezpieczną kobietą.

– Gdzie tam, tato. – Ucałowałam go w oba policzki: mojego twardego, niezawodnego ojca w gabardynowym mundurze, który wciąż lubił nosić, mimo że czasy wojska miał już dawno za sobą. Order Czerwonego Sztandaru dumnie spoczywał na jego piersi, a dłonie oplatały stojący na stole w kuchni kubek z parującą herbatą. Domyśliłam się, że pomagał Sławce w lekcjach. O ile dobrze pamiętałam, mnie też pomagał kiedyś w lekcjach przy tym stole. Nawet jeśli wracał z pracy dopiero o północy, zawsze znajdował czas, by posiedzieć ze swoimi dziećmi, przejrzeć ich zeszyty i wysłuchać ich problemów, nawet gdy nie chciałyśmy zostawić go w spokoju i jęczał: „Na Lenina, doprowadzacie swojego staruszka do szaleństwa!”.

Sławka wodził palcami po okrągłej pieczęci na moim świadectwie strzelca wyborowego.

– Mogę cię nauczyć, kiedy tylko zechcesz – powiedziałam, wciągając go sobie na kolana i całując jego ciemne, czekoladowe włosy, takie same jak moje i taty. – Wybierzemy się na strzelnicę?

– Może kiedy będę pionierem – odrzekł z wielką powagą. – Kiedy zdobędę czerwoną chustę.

– Kiedy będziesz starszy – zgodziłam się. Nie niepokoiło mnie, że na razie nie jest skory do nauki strzelania. Zdobyłam już niezbędne umiejętności i mogłam na niego zaczekać. Tylko to się liczyło. – Spójrzmy na tę twoją pracę domową, morsik. Botanika. W twoim wieku zawsze ją lubiłam. Potrafisz wymienić wszystkie części liścia?

Słuchałam jego poważnego głosu, dopóki do domu nie przysłała moja szczupła, rozpromieniona matka, która od razu zachwyciła się głośno moim świadectwem. Była dumna, ale i trochę skonsternowana.

– Do czego ci to potrzebne, małyżka?

– Dzięki temu nauczyłam się nie pudłować – odpowiedziałam szczerze.

– Do tarczy?

– Do wszystkiego.



Jeśli chcecie wiedzieć, to właśnie na tym polega mój sekret. Bo chcecie wiedzieć, prawda? Każdy, kto mnie pozna, zadaje sobie to pytanie. Zadawała je sobie nawet Eleanor Roosevelt, gdy w sierpniu 1942 roku poznałyśmy się na schodach Białego Domu. Zobaczyłam to w jej oczach: jak taka dziewczyna jak ja – matka, studentka pragnąca być historyczką – została snajperką i zabiła setki mężczyzn? Na czym polega jej sekret?

Mało kto pyta mnie o to wprost. Trochę z obawy, że się zdenerwuję i dopiszę go do swojej listy – chodzi jednak o coś więcej. Ludzie uwielbiają bohaterów wojennych, lecz wymagają od nich, by byli czysti, prawi, niepokalani. Walczą na otwartym terenie, w słońcu, oko w oko z wrogiem. Mierzą się ze śmiercią twarzą w twarz. Gdy ktoś (zwłaszcza kobieta)

zdobywa odznaczenia w taki sposób jak ja, ludzie drżą. Poruszam się nocą, wtapiam się w mrok, patrzę przez celownik optyczny na niczego nieświadomą twarz – na mężczyznę, który nie wie o moim istnieniu, choć ja zauważam, że rano zaciął się przy goleniu i że nosi obrączkę, a zauważywszy to wszystko, pociągam za spust i ten mężczyzna ginie, zanim usłyszy huk wystrzału...

Cóż, pewnie myślicie, że ktoś, kto potrafi robić coś takiego po wielokroć i mimo to potrafi zasnąć, na pewno ma mroczną stronę.

Nie mylicie się.

Mylicie się jednak, oceniając osobę, która ma tę czekającą wcześniej w uśpieniu mroczną stronę. Wydaje się wam, że ktoś taki jak ja niechybnie jest wybrykiem natury, że pogryzał karabin już w kołysce, polował w wieku pięciu lat, a w wieku ośmiu zabijał wilki, że przybył w pełni ukształtowany prosto z syberyjskiej dziczy (to zawsze jest syberyjska dzicz). Zwłaszcza Amerykanie uwielbiali mnie sobie wyobrażać w ten sposób – jako jedną z tych lodowatych Rosjanek z mrocznych legend, wypełzającą z zakrwawionymi zębami i zakrwawionymi rękami z jakiejś zasypanej śniegiem nory: urodzoną zabójczynię.

A potem poznajecie mnie: małą Milę Pawliczenko o szerokim uśmiechu i z torbą wypchaną książkami, studentkę z Kijowa, która z radością wam oznajmia, że pewnego dnia pragnie zostać historyczką i chce pokazać wam zdjęcia swojego ukochanego pucołowatego syna – i wtedy jesteście zawiedzeni. To ma być Pani Śmierć? To jest ta snajperka z mroźnej Północy? Jakie to rozczarowujące.

Albo – i to jest wasza druga reakcja, ta, do której nigdy się otwarcie nie przyznacie – jakie to niepokojące. Bo skoro księżyc dwudziestosześcioletniej bibliotekarki ma tak ciemną stronę, to czy jeszcze księżyc może taką mieć?

Nie wiem.

Wiem tylko, że ciemna strona mojego księżycyca obudziła się w chwili, w której sobie uświadomiłam, że w moim życiu nie ma miejsca na błędy. Gdy sobie uświadomiłam, że nie mogę spudłować, nigdy. Gdy usłyszałam, jak karabin śpiewa w moich rękach, a wystrzelona przeze mnie kula śmignęła przez szyjkę butelki, rozbijając jej dno na diamentowe odłamki... oraz gdy poczułam, kim mogę zostać i jak.

3

Czerwiec 1941 Odessa

Pamiętniki patriotyczne stały się bardzo modne – jak powiedziałyby partia, są popularne, pouczające i dobrze wpływają na morale społeczeństwa (nawet jeśli wywołują lekką senność). Gdybym jednak miała kiedykolwiek spisać swoje wspomnienia, musiałabym mocno zmodyfikować swoją historię albo po prostu pominąć całe fragmenty, ponieważ w życiu Ludmiły Pawliczenko jest wiele, wiele spraw, które nigdy nie trafią do żadnego pamiętnika. W każdym razie nie do oficjalnej wersji.

Na przykład moja relacja z dnia, w którym w Związku Radzieckim wybuchła wojna. W oficjalnym pamiętniku można by napisać: „W dniu, w którym Hitler dokonał inwazji, brałam udział w zebraniu Komsomołu i rozmyślałam o swoich obowiązkach w roli przyszłej członkini partii”.

Jak wyglądała prawda? Nieoficjalna wersja? Studiowałam wtedy w Odessie i byłam na plaży.

„Macie tam plaże?”. Wyobrażam sobie, jak Amerykanie wytrzeszczają oczy. Myślą, że Rosja to tylko przepastne nieużytki pokryte śniegiem połyskującym w czasie białych nocy – żadnych wybrzeży, żadnych letnich dni, tylko lód i wilki. Doprawdy, czy ktokolwiek patrzy w ogóle na mapy? Odessa jest dalej wysunięta na południe niż Paryż, Monachium albo Wiedeń – a tamten czerwcowy dzień był piękny: bezchmurne niebo i upał, połyskliwy bezmiar Morza Czarnego rozciągający się płasko aż po horyzont.

Nie miałam zamiaru pływać, ale poprzedniego dnia, gdy wreszcie dobiegała końca ostatnia godzina nużącej zmiany w recepcji biblioteki publicznej w Odessie, moja przyjaciółka Sofia wierceła mi dziurę w brzuchu.

– Wika i Grigorij nareszcie wrócili z Moskwy i wszyscy wybieramy się na plażę.

– Piszę rozprawę. – Właśnie przeglądałam przy biurku notatki, ponieważ akurat nie było czytelników, którzy potrzebowaliby naszej pomocy. Niedługo po zdobyciu świadectwa strzelca wyborowego zdałam egzaminy na zakończenie czwartego roku studiów, zdobywając same piątki i czwórki. Nosiałam je ze sobą i spoglądałam na nie, ilekroć potrzebowałam trochę wewnętrznej siły. Może i Mila Pawliczenko została matką w wieku piętnastu lat, ale jej życie wróciło na właściwy kurs i jechało naprzód niczym mały, cierpliwy pociąg docierający do kolejnych, z góry wyznaczonych stacji. Pierwszy przystanek: ukończenie Uniwersytetu Kijowskiego. Drugi przystanek: skierowanie do biblioteki publicznej w Odessie w charakterze starszej pracownicy naukowej, skąd co tydzień posyłałam do domu pieniądze na Sławkę. Następny przystanek: napisanie rozprawy...

– Mila, morze – namawiała Sofia. – Ono cię wzywa, ty mały, okropny molu książkowy.

– Wzywa mnie Bohdan Chmielnicki.

– Nie cytuj mi swojej rozprawy. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej o Bohdanie Chmielnickim, o przyłączeniu Ukrainy do Rosji w tysiąc siedemset dwudziestym pierwszym...

– ...Właściwie to w tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym.

– ...ani o ugodzie perejasławskiej.

– To fascynująca historia – powiedziałam z lekką urazą w głosie. Wszyscy pracownicy biblioteki byli już doskonale zaznajomieni z tematem mojej rozprawy, ale z jakiegoś powodu nikt się nim nie ekscytował. Sofia regularnie groziła, że wrzuci moje sfatygowane kartki do pieca. Ja groziłam, że wepchnę jej szminkę do nosa. Właśnie taka była nasza przyjaźń. – Gdyby nie sojusz kozackiego Hetmanatu ze scentralizowanym państwem rosyjskim, nigdy nie doczekalibyśmy prawdziwego zjednoczenia narodu...

– Mila, nikogo to nie obchodzi. Chodźmy jutro popływać.

Byłyśmy zatem na plaży, pasiaste ręczniki leżały rozłożone w słońcu, postrzępiony kosz pełen butelek z lemoniadą tkwił na piasku. Rozkrzyczane dzieci biegały obok nas, wszędzie fruwał wzbijany przez nie piasek, lecz ja tylko klapnęłam na ziemię w swoim granatowym kostiumie

kąpielowym obwisającym na udach. Z twarzą zwróconą ku niebu przysypiałam wśród szumu fal, śniąc o dniu, w którym moja rozprawa będzie gotowa, zdobędę dyplom i zostanę historyczką w Moskwie. Miałabym mieszkanie niedaleko parku Gorkiego, dokąd zabierałabym Sławkę na łyżwy, kupowałabym mu oprószone cukrem poncziki w papierowym rożku...

– Chodźmy wieczorem do opery – mówiła właśnie Sofia, otrzepując piasek z nóg. – Wika zdobyła dodatkowe bilety na Traviatę.

– Wypożyczyli mnie z Jeziora łabędziego, żebym dołączyła do tancerzy w tańcu Cyganów w drugim akcie – powiedziała Wika, przewracając oczami. Była demisolistką w odeskim balecie i właśnie wróciła ze szkoły teatru Bolszoi w Moskwie. Nie miała nawet dwudziestu lat, lecz już nosiła jeden z tych kwiecistych przydomków nadawanych tancerkom – Słowik albo Ważka, nie pamiętałam co dokładnie. Moim zdaniem przypominała raczej ważkę, cała składała się z owadzych oczu i niekończących się patykowatych kończyn.

– Nie znoszę tego baleciku w operach – narzekała Wika. – Choreografia drugiej kategorii...

– Snobka – przekomarzał się z nią jej brat Grigorij, obsypując ją piaskiem. Wika bywała męcząca dla nas wszystkich, ale uwielbialiśmy jej brata bliźniaka, który także tańczył, lecz nie był tym aż tak zaaferowany. – Chodźmy po operze na kolację. Po pozbyciu się szminki aktorskiej i rajtuz jestem taki głodny, że mógłbym zjeść pointy Wiki.

– Ty zawsze jesteś głodny – zganiała go Sofia, a mnie ścisnęło się serce, ponieważ ciągle powtarzałam to samo Rostisławowi. Mój syn miał już dziewięć lat, był krzepki, ciemnowłosy i żwawy, wiecznie podbiegał, by pokazać mi jakiś kamyk pokryty kwarcowymi żłobieniami, zawijas na kawałku kory przypominający profil towarzysza Stalina, maleńką żabkę umoszczoną w jego delikatnych rączkach. Nie widziałam go od miesiący, odkąd opuściłam Kijów, by objąć stanowisko pracownicy naukowej w odeskiej bibliotece. Nie musiałam zamykać oczu, by ujrzeć go na peronie razem z resztą mojej rodziny, gdzie kurczowo trzymał mnie za rękę.

– Możesz mnie zabrać ze sobą – błagał. – Pomógłbym ci w pracy.

– Niedługo wrócę, morsik – obiecałam, mocno go przytulając. Staralam się nie płakać. Nigdy nie rozstawaliśmy się na dłużej niż dwa tygodnie, a tym razem miało to trwać co najmniej cztery miesiące. Dzięki temu miałam jednak wkroczyć na ścieżkę ku przyszłości, którą tak starannie zaplanowałam: mieszkanie w Moskwie, posada historyczki, niezależność i bezpieczeństwo.

– Robię to dla ciebie – powiedziałam synowi. – Wszystko robię dla ciebie... – A potem wtaszczyłam torbę z książkami do pociągu, żeby się nie rozpłakać.

Teraz byłam na plaży w piękny dzień, lecz nie było tak pięknie, jak mogłoby być, ponieważ nie miałam przy sobie syna.

Wika wciąż narzekała.

– Wariacje baletowe w operze to tylko mnóstwo szeleszczenia w czerwonych halkach. Marnowanie moich umiejętności...

– Wika, daj spokój. Przecież nikt cię nie prosi, żebyś się pociła przy tokarce w fabryce!

– Tak czy inaczej, to też jest paskudna robota!

– Pracowałam przy tokarce w fabryce – zaprotekowałam. – Wcale nie było paskudnie. W zasadzie to było prawie pięknie. – Okres, w którym Sławka był jeszcze niemowlęciem ledwie odstawionym od piersi. Gdy pracowałam przy tokarce, wyczesywałam wolframowy pył z włosów zaplecionych w ciasny warkocz i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę mogła wrócić do szkoły, uświadomiłam sobie, jak uroczy jest widok tych niebieskofioletowych kręconych metalowych opiłków spadających spod ostrza.

– Pięknie? – Wika zrobiła pogardliwą minę.

– Bez względu na to, jak twardy jest metal, poddaje się sile człowieka – odparłam. – Jak wszystko. Wystarczy użyć odpowiedniej broni.

Tancerka prychnęła, lecz jej brat bliźniak uniósł brwi.

– A skoro mowa o broni...

– Nie mam zamiaru przestrzelić karty do gry, żebyś mógł wygrać jakiś zakład – zastrzegłam, od razu studząc jego zapal. Po zdobyciu świadectwa

strzelca wyborowego regularnie ćwiczyłam na strzelnicy, by nie wypaść z wprawy, ale wciąż nie lubiłam się popisywać. Strzelanie zasługiwało na większy szacunek.

– Milu, zgódź się! – uśmiechnął się Grigorij, pokazując dołki w policzkach. Flirtował ze mną przez cały dzień i bez wątpienia był przystojny, jak wszyscy tancerze miał wspaniale umięśnione nogi... ale był jeszcze chłopcem, miał zaledwie osiemnaście lat. Istniała tak wielka różnica między osiemnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia! Zostanie matką w tak młodym wieku oznaczało, że gdy wróciłam do nauki, wszyscy studenci z mojego roku byli ode mnie o pięć albo sześć lat młodszy, czasami czułam się wśród nich jak starucha. Często chodziłam na potańcówki i imprezy, ale żaden z mężczyzn, których tam spotykałam, nie rokował szans na dłuższy związek. Chłopcy z uniwersytetu, którzy zapraszali mnie do kina po zebraniach Komsomołu, potrafili myśleć tylko o zabawie, podczas gdy ja miałam dziecko i plany na przyszłość. Jeśli chodziło o starszych mężczyzn, których czasami poznawałam, zbyt mocno tkwili we własnej przyszłości i wyraźnie dawali do zrozumienia, że jeśli nasz romans przerodzi się w coś poważnego, będą oczekiwali, że ja zrezygnuję ze swojej.

Romanse będą później, powtarzałam sobie, ilekroć ukłucie samotności stawało się zbyt dotkliwie. Teraz dyplom uniwersytetu. Gdy tylko bezpiecznie dotrę do kilku kolejnych bezbłędnych przystanków w swojej podróży pociągiem, gdy tylko sfinalizuję swój wciąż nieorzeczony rozwód... Aleksiej nie pojawił się na trzeciej rozprawie rozwodowej, tak jak nie zjawił się na dwóch pierwszych, ale wiedziałam, że gdy po studiach będę mogła trochę odetchnąć i wreszcie uporać się z tą sprawą, skupię się na znalezieniu odpowiedniego mężczyzny, który będzie dzielił życie ze mną i ze Sławką. Że gdy trochę pewniej stanę na nogach, przyjdzie czas na mężczyzn, rodzinę, następne dzieci – na całą resztę.

Gdy jest się młodym i nie zna się niczego oprócz pokoju, zakłada się, że będzie jeszcze czas na wszystko.

– Zjedzmy coś. – Sofia trzepnęła mnie ręcznikiem. – Bo inaczej zjem Wikę z tymi jej kościstymi komarzami nogami i całą resztą. Chodźmy...

Cóż to był za dzień! Grupa upiaszczonych, roześmianych młodych ludzi zapinających letnie sukienki i stare żakiety włożone na wilgotne kostiumy

kąpielowe, pakujących ręczniki, by ruszyć w stronę kawiarni z czeburkami przy ulicy Puszkina. Czekaliśmy, aż podadzą nam talerz tych przasných smażonych pierogów z mięsnym nadzieniem, i ciekła nam ślinka. Wika oznajmiła, że nie zamierza niczego jeść, bo jeśli przybędzie jej choćby jeden gram, straci w przyszłym roku tytułową rolę w Kawalerzyscie-dziewicy; jej brat odparł, że jeśli będzie dalej narzekała na gramy i kilogramy, upuści ją na głowę podczas ich najbliższego pas de deux. Sofia sączyła przez słomkę zimny sok z brzozy. Ja przypomniałam sobie o przypisie, który należało dodać do rozprawy. Wszystkich nas otaczał donośny, wesoły gwar klientów kawiarni i plażowiczów, lepkich dzieci i ich poparzonych słońcem matek. Ostatni dzień, ostatni moment, zanim to wszystko poszło w diabły. Zanim koło się obróciło, wyrzucając nas wszystkich w powietrze, a nasze misterne plany obróciły się w diamentowe opiłki i spadły wokół nas niczym deszcz. Wika nie miała zatańczyć kawalerzysty-dziewicy w przyszłym roku, Grigorij nie miał jej partnerować podczas kolejnych wspaniałych jetés, Sofii nie czekały słoneczne popołudnia upływające na przesiadywaniu przy bladozielonym soku z brzozy, a ja nie miałam bronić swojej rozprawy o Bohdanie Chmielnickim, o przyłączeniu Ukrainy do Rosji w 1654 roku i o ugodzie perejasławskiej. W ciągu roku połowa osób siedzących przy naszym stoliku miała już nie żyć.

Wszystko przez donośny komunikat z pobliskiego głośnika na ulicy, który uciął kawiarniane pogawędki niczym nóż, informując wszystkich, że o czwartej rano Niemcy dokonały inwazji na naszą ojczyznę.

Wszyscy zamarliśmy, jakby ktoś do nas strzelił. Ludzie na zewnątrz zachowywali się tak samo, wszystkie głowy odwracały się w stronę głośnika, by słuchać towarzysza Mołotowa. „Każdy z nas musi żądać od samego siebie i od innych dyscypliny, zorganizowania i samopoświęcenia godnych prawdziwego radzieckiego patrioty, by zaspokoić wszystkie potrzeby Armii Czerwonej, Marynarki Wojennej i Sił Powietrznych w celu zapewnienia zwycięstwa nad wrogiem”. Wydawał się poruszony, lecz stanowczy. „Zwyciężymy!”.

Nie przemawiał długo. Tylko tyle, by zmienić porządek świata.

Natychmiast zaczęły się rozmowy, ale nasza czwórka spoglądała na siebie nawzajem, oszołomiona. Sławka, pomyślałam. Sławka... Nikt się nie ruszał, dopóki na naszym stole nie postawiono półmiska ze skwierczącymi

czeburkami wraz z butelką słomkowego wina. Wtedy nagle wszyscy zaczęliśmy mówić.

– Jak daleko się posunęli? – Sofia brzmiała, jakby było jej słabo. – Hitlerowcy.

– Zaciągnę się – oznajmił Grigorij.

– Nie zaciągniesz – warknęła Wika, a jej oczy pod wpływem szoku bardziej niż kiedykolwiek dotąd kojarzyły się z owadem. – Nie będą przyjmowali artystów... prawda?... Więc nie rzucaj się przed karabiny.

– Może będę się mogła zgłosić do korpusu medycznego – powiedziała Sofia, udając odwagę, ale w jej głosie pobrzmiwał tylko strach. Ja bez słowa wpatrywałam się w swój talerz. Sławka... Wojna zmieniała życie dzieci w koszmar. Brak chleba, alarmy przeciwlotnicze, kolejki ciągnące się wiele przecznic. Moi rodzice wciąż mówili o poprzedniej wojnie i o potwornych trudnościach, które zapoczątkowała...

Wika zerwała się z miejsca, patrząc z wściekłością na brata.

– Inwazja czy nie inwazja, wciąż muszę dziś zatańczyć w Traviacie. Zobaczymy się później.

– Wika... – Brat bliźniak pobiegł za nią, a ja i Sofia zostałyśmy same, gapiąc się na siebie.

– Równie dobrze możemy pójść dziś do opery – powiedziała w końcu moja przyjaciółka. – Cokolwiek się stanie, jeszcze się nie stało. Nie tutaj.

Ale za horyzontem – tak. I to nie aż tak daleko za horyzontem. Później miałam się dowiedzieć, że niemieckie samoloty dotarły aż do Kronsztadu niedaleko Leningradu; do Sewastopola na Krymie. Przed kawiarnią ulica Puszkina się zapełniała, ludzie gromadzili się pod głośnikiem i spierali.

A jednak wciąż były matki, które szły w stronę plaży z podekscytowanymi dziećmi, były pary spacerujące spokojnie za rękę po bulwarze Przymorskim. Wciąż było piękne letnie popołudnie. Nikt nie chciał rezygnować z planów pójścia do kina, do teatru, na koncert tylko dlatego, że wybuchła wojna. Nie potrafiłam zdecydować, czy to ślepy upór, czy po prostu rosyjski styl życia – podnieść głowę i zwyczajnie maszerować dalej – i wciąż tego nie wiedziałam, gdy tamtego wieczoru usiadłyśmy z Sofią w szesnastej łoży pierwszego balkonu teatru w Odessie, patrząc na

scenę, a pierwsze ciche dźwięki Traviaty Verdiego uniosły się szeptem w teatrze. Taki piękny teatr, tyle połączonych gzysów i ogromnych kryształowych żyrandoli – teatr dla nas, zwykłych studentów i obywateli, gdzie kiedyś tacy ludzie jak ja mogliby najwyżej drapać w drzwi, patrząc na wchodzących do środka arystokratów.

Nie potrafiłam jednak cieszyć się operą, sopranistką w białych falbankach i jej popisami wokalnymi ani omdlewającym tenorem. Gapiłam się ślepo na scenę, wykręcając złożone na kolanach ręce, a moje myśli były plątaniną chaotycznych obrazów podszytych spłaszczonym przez radio głosem towarzysza Mołotowa. Mój syn jadł gorące bliny z kwaśną śmietaną i dżemem jabłkowym... Niemieckie oddziały wkroczyły do naszego kraju, nie wysuwając żadnych żądań wobec Związku Radzieckiego ani nie wypowiadając wojny... Uporządkowane rzędy teczek, które z taką przyjemnością układałam w bibliotece... Zaatakowali nasze granice w wielu miejscach... Moi profesorowie historii kiwający głowami, gdy prawidłowo odpowiedziałam na jakieś pytanie: „Doskonale, Ludmiło Michajłowna”... Doszło także do wrogich ataków z powietrza i ostrzałów artyleryjskich... Niebieskofioletowe wióry nieustępliwie twardego metalu spływały spod ostrza; kula pędząca od mojego palca na spuście ku środkowi tarczy...

Kurtyna opadła pośród huku braw. Pierwszy akt dobiegł końca, sopranistka wyrzekła się miłości, wybierając życie (a może nie?), a ja nie słyszałam prawie żadnego dźwięku. Wiedziałam jedynie, że coś narasta w mojej klatce piersiowej, narasta z nieubłaganą uporczywością, i nagle nie mogłam oddychać, nie mogłam myśleć, nie mogłam tam siedzieć podczas drugiego aktu i patrzeć na Wikę paradującą w czerwonej halce.

– Muszę iść – oznajmiłam szorstko Sofii i wstałam z miejsca, a potem zaczęłam się przepychać w dół szerokich schodów, aż w końcu znalazłam się na zewnątrz i chwyciłam wielkimi haustami ciepłe wieczorne powietrze. Stałam przez chwilę na schodach opery, moja niebieska krepdeszynowa sukienka falowała lekko wokół kolan, a potem ruszyłam przed siebie.

Znalazłam się nad zatoką. Moje palce zaciskały się raz po raz na barierce, za którą roztaczał się widok na morze. Na letniej scenie na pobliskim bulwarze Przymorskim orkiestra dęta grała marsz wojskowy i jego dźwięki brzmiały koszmarnie wesoło. Woda połyskiwała i widziałam

w zatoce niewyraźne zarysy okrętów floty czarnomorskiej. Kanonierki, niszczyciele, stary krążownik zmieniony w minowiec. Zastanawiałam się, czy za tydzień któryś z nich wciąż tu będzie. Zastanawiałam się, czy za tydzień będzie tu ktoś z ludzi spacerujących, śmiejących się i klaszczących w takt muzyki, czy też wszędzie będą jedynie mundury i ponure twarze.

Ten piękny świat. Ten nocny cud, jakim było moje miasto, jakim był mój kraj. Świat Sławki, który chciałam mu pokazać, zbudować dla niego, przelać w jego ręce. Wszystko zostało zaatakowane przez niemieckich zbirów z ich napuszczonym dyktatorem przywodzącym na myśl szczoteczkę do zębów oraz przez ich wyniosłe marzenia o dominacji nad światem.

– A wy, Sowietnicy, to niby byliście lepsi? – spytał mnie później jakiś podchmielony amerykański dziennikarz. – Macie tupet, skoro uważacie się za takich prawych i chcecie zaprowadzić komunizm na całym świecie...

Moja ojczyzna mogłaby przepraszać za wiele spraw. Mamy przed sobą długą drogę i ćwiczymy się w widzeniu nie tego świata, który nas otacza, lecz tego, który dopiero nastanie, oraz wiemy, że ten świat wciąż jest daleko. Ale bez względu na nasze wady nigdy nie będę przepraszała za walkę na wojnie, która wybuchła w 1941 roku. To Niemcy na nas napadli. Niemcy chcieli naszej ropy, naszych miast, naszej flagi w swojej mocarstwowej koronie. Chcieli ujrzeć swoje przeklęte orły zatknięte wysoko, od niebiesko-złotych pałaców Leningradu po lodowe góry wokół jeziora Bajkał, a to, czego chcieliśmy my, w ogóle ich nie interesowało, toteż dokonali inwazji. To oni oddali pierwsze strzały, to ich buty przekroczyły nasze granice, a gdybyśmy nie stawiali oporu i pozwolili im to zrobić, mój Sławka, podobnie jak rzesze jego rówieśników, zostałaby wcielony do Hitlerjugend i nauczono by go salutować potworowi.

Czy Niemców naprawdę tak bardzo dziwi, że każda matka, każdy ojciec, każda istota urodzona w tym naszym ogromnym, mroźnym kraju sprzeciwili się takiemu losowi?

Czy was to dziwi?

Złość, która rozgorzała w moim żołądku na wieść o wybuchu wojny, płonęła coraz mocniej, zmieniając się we wściekłość, gdy pomyślałam o swastykach powiewających nad Odessą. Ta wściekłość szarpała się i wiła, płynna i roztopiona w moim sercu, namacalna i rozgrzana do białości jak

coś powstającego w ogniu jakiejś potwornej fabryki. Było jej wystarczająco dużo, by przemienić morze we wrzącą furję.

Jaki jest pożytek ze złości?, szepnął mój wewnętrzny głos zwątpienia, gdy wpatrywałam się w spokojną wodę. Takie studentki jak ty są podczas wojny bezużyteczne. Ten głos brzmiał bardzo podobnie do głosu Aleksieja. Wyobrażałam sobie, jak mój mąż mówi: „Na wojnie pojawiają się różne szanse, Milu... ale nie dla takich małych moli książkowych jak ty. Idź zwijać bandażę”.

I mogłabym – dokończyć pisanie rozprawy, kopać rowy przeciwpancerne, zgłosić się do pracy w najbliższym szpitalu. Trzymać się swojego starannie opracowanego planu, trzymać się ról, które znałam: roli bibliotekarki, pracownicy naukowej, matki. Były to role, które mogłabym grać, nie popełniając żadnego błędu.

Tutaj jednak, inaczej niż w Anglii, Francji i Stanach Zjednoczonych, walka kobiet nie ograniczała się do szpitali. A ja miałam do zaoferowania coś więcej niż katalogowanie i notowanie, o wiele więcej niż siedemnastowieczną historię Ukrainy. „Bez względu na to, jak twardy jest metal – powiedziałam Wice tego dnia po południu – poddaje się sile człowieka. Wystarczy użyć odpowiedniej broni”.

To ja byłam tą bronią. Przecież nauczyłam się strzelać. Oraz przysięgam, że będę dla Sławki nie tylko matką, ale także ojcem.

W czasie wojny ojcowie idą walczyć za swoje dzieci.

Drżąc, wypuściłam zatem powietrze z płuc, wróciłam na swoją studencką kwaterę po paszport, legitymację i świadectwo strzelca wyborowego, a potem – wciąż w krepdeszynowej sukience i sandałach na obcasie – poszłam zaciągnąć się do wojska.

4

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: po przyjeździe na front w Besarabii byłam pod wrażeniem skuteczności i dobrej organizacji oficerów Armii Czerwonej, a swoje nowe obowiązki przyjąłam ze spokojem i determinacją.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: po przyjeździe na front zastałam wszystko w kompletnej rozsypce i sama też byłam w rozsypce, ponieważ wyruszyłam na wojnę, nie pożegnawszy się z synem.

– Nie masz czasu, żeby przyjechać do domu? – zawołała moja matka przez telefon, gdy to ode mnie usłyszała. – Przecież to nie aż tak daleko...

– Prawie pięćset kilometrów, mamo. – Mrugałam gwałtownie, starając się nie dopuścić do tego, by zadrżał mi głos. – Jutro wyjeżdżam. Nie wiedziałam, że to się stanie tak szybko.

– Na pewno nie musiałaś się jeszcze zaciągać. – Matka płakała, a w tle usłyszałam głos ojca: „Daj jej spokój, nasza córka wie, czego chce”.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, a potem znowu zabrzmiał cichy głos ojca.

– Miałaś jakieś problemy w biurze werbunkowym, małyżka?

– Niewielkie. Pierwszy wojskowy, do którego podeszłam, nie chciał nawet spojrzeć na moje świadectwa. – Mruknął coś o kobietach, które chcą być żołnierzami, ale nie mają pojęcia, jakie to trudne, po czym bezceremonialnie wyrzucił mnie za drzwi.

– Nie znają kobiet z rodziny Biełowów – powiedział mój ojciec, po czym dodał złowrogo: – Mam zamienić z kimś słowo w twojej sprawie?

Wiedziałam, że mógłby to zrobić. Mój ojciec był dobrym, miłym człowiekiem, oddanym partii i rodzinie, ale poza tym był kimś, z kim lepiej nie zadzierać. Jak to się mówi, znał ludzi – takich ludzi, którzy organizują wycieczki w jedną stronę do rzek, gułagów albo zbiorników z betonem. Właśnie dlatego Aleksiej się ze mną ożenił, gdy miałam piętnaście lat: mój ojciec go poinformował, że jestem w ciąży, a potem dodał, że powinien zachować się wobec mnie, jak należy, i Aleksiej prawdopodobnie uznał, że lepiej się zgodzić, niż stracić kciuki. Chirurdzy potrzebują kciuków.

Nie chciałam jednak, by ojciec pociągał za sznurki w sprawie wysłania mnie na front.

– Znalazłam innego oficera werbunkowego, tato. – O wiele życzliwszego niż ten pierwszy, choć też nie omieszkał spytać: „Czy wasz mąż nie ma nic przeciwko temu, że zgłaszacie się na ochotnika do Armii Czerwonej?”.

Przynajmniej nie kazał mi przynieść żadnego świstka od Aleksieja. Gdyby to zrobił, pewnie rozwaliałabym mu biuro.

– Nie pakuj dużo rzeczy – przestrzegł mnie ojciec. – Wszystko, czego potrzebujesz na wojnie, to suche skarpety, para porządnych butów i coś do czytania. I pamiętaj, żeby...

– Tato, na Lenina! – zapożyczyłam jego własne słowa, żeby się z nim podroczyć. – Przestań się martwić. Mam mnóstwo skarpet i spakowałam swoją rozprawę. – Z jakiegoś powodu nie potrafiłam jej zostawić. Zaciskając palce na słuchawce, zmusiłam się, żeby dodać: – Bardzo... bardzo mi przykro, że nie przyjechałam najpierw do domu, żeby się pożegnać, i nie zaciągnęłam się dopiero potem. Mogłam tak zrobić, ale...

– Byłoby ci trudniej wyjechać, gdyby wpatrywały się w ciebie wielkie oczy Sławki – powiedział ojciec.

Mocno przygryzłam wargę.

– Tak. – Czy kiedykolwiek zdołałabym się stamtąd wyrwać, gdyby mój syn objął mnie kurczowo w talii, płakał i błagał: „Mamoczka, nie jedź tam, proszę, nie jedź...”? I jaką byłabym wtedy matką – matką, która nie poszła walczyć za swoje dziecko, za świat, w którym chciała, by to dziecko dorastało?

– Jestem z ciebie dumny, małyżka. – Donośny głos ojca wycisnął mi łzy z oczu. Wytarłam je rękawem. – Gdy już będziesz na froncie, pamiętaj tylko, że...

– Biełowowie się nie wycofują – zaśpiewaliśmy razem i dało mi to siłę, by pożegnać się ze Sławką przez telefon.

Jakie małe było moje odeskie życie – spakowałam się w okamgnieniu. Pożegnałam się z kolegami i koleżankami z biblioteki, z profesorami, uściskałam Sofię. Już kilka krótkich dni po zaciągnięciu się do wojska siedziałam ściśnięta w pociągu wojskowym pełnym przepychających się świeżych rekrutów – część była w mundurach, większość wciąż w cywilnych ubraniach. Z nadzieją rozglądałam się w poszukiwaniu drugiej kobiety, ale jej nie znalazłam. Czułam się zawiedziona, idąc w swojej najpraktyczniejszej sukience podróźnej; matka uparła się doszyć do niej kołnierzyk z koronkowym brzegiem, by ładniej wyglądała. Żołnierze wokół mnie wyglądali dosyć przyjaźnie, ale...

– Hej, tutaj! – Pomachała do mnie szczupłą dłoń i na miejscu przy oknie zobaczyłam chudą blondynkę w za dużym płaszczu. – Ołena Iwanowna Palij – przedstawiła się z werwą, gdy udało mi się do niej precyzyjnie przycisnąć. – Popilnuję, kiedy będziesz spała, jeśli odwdzięczysz się tym samym. Osobiście wolałabym uniknąć obmacywania w drodze na front.

Wyciągnęłam rękę.

– Ludmiła Michajłowna Pawliczenko. Mila.

– Lena. – Zrobiła dla mnie miejsce na ławce przy oknie, piorunując wzrokiem rosłego rudego żołnierza, który próbował się wcisnąć między nas. – Bładź, znajdź sobie inne miejsce – powiedziała, dorzucając do tego mimochodem nieprzyzwoity gest, który wsparłam morderczym spojrzeniem. Może i dopiero co się poznałyśmy, ale byłyśmy dwiema kobietami podróżującymi samotnie w wagonie pełnym młodych hałaśliwych mężczyzn – sojusze zawierane w takich warunkach są szybkie, praktyczne, niemal instynktowne. – Przydzielili mnie do batalionu medycznego – ciągnęła Lena Palij. – Tydzień temu byłam studentką drugiego roku medycyny w Odessie i kroiłam sine, skurczone zwłoki na stole sekcyjnym. A ty?

– Tydzień temu układałam czasopisma w porządku alfabetycznym. Jutro... – pomyślałam o swoich odznakach strzeleckich – ...zamierzam się przydać, gdziekolwiek mnie skierują, byle tylko dali mi karabin.

– Myślałam, że będzie tu więcej kobiet – Lena wyjęła z torby buraka i zaczęła go jeść na surowo. – Hitlerowcy przelewają się przez granicę jak karaluchy, a my dwie jesteśmy jedynymi babkami w tym pociągu? Można zacząć się wstydzić, że jest się kobietą. Jeśli dziewczyny chcą siedzieć w domu i kulić się za garnkami z zupą, kiedy mężczyźni walczą, to niech się przeprowadzą do Anglii. Niech paradują po Piccadilly z księżniczką Małgorzatą Różą i robią sobie loki na wsuwkę.

Uśmiechnęłam się, czując, że polubię Lenę Palij.

Pociąg ruszył powoli ze stacji, sunąc ku stepowi na zachodzie. Wkrótce po prawej stronie zabłysła lśniąca powierzchnia ujścia Dniestru, a potem ukazywały się kolejne stacje. Szabo, Kolesnoje, Sarata, Arcyz, Gławani... Powstrzymałam falę tęsknoty za domem. Co ja robię tak daleko od

wszystkiego, co kocham? Stłumiłam jednak tę myśl, zanim zdążyła się rozwinąć w uzalanie się nad sobą. Sławka. To dla niego.

To była długa noc – najpierw drzemała Lena, a ja czuwałam; potem przyłożyłam czoło do szyby i była moja kolej na spanie. Po nocy nastał jeszcze dłuższy dzień. Kolejne obce przystanki, nieznajome miasta. Opowiadałyśmy sobie różne historie. Ja podziwiałam szalik, który jej matka zrobiła na drutach, ona podziwiała moje zdjęcie Sławki.

– Słodki – powiedziała, dotykając jego zaokrąglonej dziecięcej buzi. – A jego ojciec?

– Już nie taki słodki. W zasadzie to kawał drania.

– Wyczuwam dobrą historię. – Lena wykonała gest zachęcający mnie do mówienia. Zazwyczaj nie byłam taka otwarta wobec nowo poznanych ludzi, ale jej już po chwili opowiadałam: o piętnastoletniej Mili Bielowej na jej pierwszej potańcówce, o wysokim jasnowłosym mężczyźnie, który odłączył ją od przyjaciółek, gdy tańczono szybki kawałek, i powiedział: „Pokażę ci, jak to się robi”.

– I to wystarczyło? – Lena uniosła brwi. – Musiał nieźle tańczyć.

Skrzywiłam się.

– W każdy inny wieczór zatańczyłabym z nim raz i wróciła do koleżanek. Ale on na moich oczach ocalił komuś życie.

Zdążyliśmy zrobić tylko dwa okrążenia wokół parkietu, gdy jakiś czerwony od wódki człowiek pod ścianą nagle zgiął się wpół i wytrzeszczając oczy w panicznym strachu, zaczął się czymś dławić. Jego towarzysze nie zdawali sobie sprawy, że to coś poważnego, i rechotali, nawet gdy osunął się na kolana, ściskając się za gardło, ale Aleksiej od razu wiedział. Prześlizgnął się przez tłum w stronę tego mężczyzny i przewrócił go na plecy na rozgrzanym parkiecie, starając się wydobyć to, czym ten człowiek się dławił. Zanim zdołałam się do nich precyzyjnie, zakasał swoje nieskazitelnie czyste rękawy i szybkim ruchem wydobył z kieszeni wieczne pióro oraz scyzoryk. Zauważywszy mnie, rzucił mi pióro i warknął:

– Rozkręć je i daj mi osłonkę!

Sam sięgnął po butelkę wódki stojącą na najbliższym stoliku i użył lodowatego alkoholu do wysterylizowania scyzoryka. Z łomoczącym sercem uklękłam obok Aleksieja i zobaczyłam, że jest zupełnie spokojny. Wziął ode mnie rozkręcone pióro i rzucił mi chusteczkę.

– Kiedy powiem, wytrzymaj krew.

A potem jednym pewnym ruchem naciął gardło tego mężczyzny tuż pod jabłkiem Adama, wzdłuż tchawicy, a ja wycierałam krew, przerażona, lecz działając pod dyktando tego chłodnego głosu. Aleksiej zrobił z pustego pióra prowizoryczną rurkę do oddychania i ten mężczyzna nie umarł. Wszystko dzięki pewnym, długim palcom Aleksieja Bogdanowicza, doktora Pawliczenki, którego imię poznałam dopiero godzinę później, gdy siedzieliśmy pod dębem w chłodnym, cienistym ogrodzie obok sali tanecznej, a pacjenta zabrano już do szpitala.

– Dobrze sobie radzisz w kryzysowej sytuacji, mała... Jak masz na imię? Mila? – Ujął moją rękę w obie dłonie, wplatając ją w te swoje długie palce w sposób, który kompletnie pozbawił mnie tchu.

– Nie jestem już taka mała – powiedziałam, mając nadzieję, że się nie domyśli, ile mam lat. Poczułam ulgę, gdy się uśmiechnął.

– To prawda, nie jesteś.

(„Skłamał – powiedziałam Lenie. – Bardzo dobrze zgadł, ile mam lat, a miałam ich niewiele. Ale właśnie to mu się podobało”).

– Jak to zrobiłeś? – dopytywałam. – Jak uratowałeś tego człowieka?

– Jestem chirurgiem. Właśnie tym zajmują się chirurdzy. – Uśmiechnął się. – Ale pewnego dnia będę kimś więcej niż chirurgiem.

– Kim chcesz być?

– Chcę być wielki – odrzekł po prostu. – Sprawię, że pewnego dnia nazwisko Pawliczenko będzie znane od Moskwy po Władywostok. – Uśmiechnął się, by pokazać, że żartuje, ale ja wiedziałam, że to nie był żart. Nie do końca. Dosłownie buzował ambicjami.

– Już to widzę – odpowiedziałam ze śmiechem. – Aleksiej Pawliczenko, bohater Związku Radzieckiego...

– Ładnie brzmi. – On też się roześmiał, patrząc na mnie. – A ty czego chcesz, Ludmiło?

Wysłuchawszy tej historii, moja nowa przyjaciółka Lena zagwizdała.

– I padłaś mu w ramiona jak zerwana lilia?

– Mniej więcej. – Niespełna piętnastoletnia dziewczyna zawieszona gdzieś pomiędzy szabrowaniem w sadach razem z chłopakami z sąsiedztwa a uczeniem się do egzaminów – ani mól książkowy marzący o uniwersytecie, ani przypalona słońcem łobuziara strzelająca z procy najlepiej w okolicy – nie miała żadnych szans w starciu z wysokim złotowłosym wikingiem, który wciągnął mnie w swoją orbitę, bym pomogła mu ocalić komuś życie, a potem spytał, czego chcę. Zrobiłam to, co zrobiłaby każda dziewczyna: przysunęłam się i pocałowałam go, zanim zabrakło mi odwagi. Być może tempo, w jakim potoczyły się potem wypadki – w jakim rozpinwały się guziki i spadały ubrania – zbiło mnie z tropu, lecz byłam zbyt podekscytowana, zbyt oszołomiona, by zapragnąć się odsunąć.

– Dziewięć miesięcy później – powiedziałam Lenie – urodził się Sławka.

Znowu zagwizdała.

– A ten jasnowłosy drań?

– Zdobywa świat. Jest najlepszym chirurgiem w regionie, trzeba mu to przyznać. – Musiałam się z nim skontaktować mniej więcej przed rokiem, by dostać jakiś papier potrzebny na studiach. „Czy wasz mąż nie ma nic przeciwko temu, że zgłaszacie się na Uniwersytet Kijowski?”. Był na tyle uprzejmy, że napisał krótkie oświadczenie, potwierdzając, że od lat żyjemy osobno. Nie spytał o Sławkę. Pociągnął mnie tylko za nadgarstek, pytając, czy dam mu buziaka „przez wzgląd na stare czasy”. Chciałam powiedzieć coś kąśliwego, ale się nie odważyłam, ponieważ potrzebowałam papieru, który właśnie napisał. Dlatego tylko uśmiechnęłam się niewyraźnie, unikając pocałunku, a on się wyszczerzył i przytrzymał kartkę nad moją głową. „Podskocz, kroszka!”. I rzeczywiście skakałam, bo nie miałam innego wyjścia, a on zmusił mnie do trzech podskoków, zanim pozwolił mi zabrać tę kartkę. Na wspomnienie o tym wciąż zaciskałam ze wstydem palce u nóg.

– Nie rozmawiajmy już o nim – powiedziałam do Leny, przełykając złość, którą zawsze wywoływały we mnie myśli o Aleksieju. Wściekłość nie mogła się na nic przydać matce, studentce, przyszłej historyczce i wartościowej członkini społeczeństwa, a już z pewnością nie pomoże mi zostać spokojnym i skutecznym żołnierzem. Aleksiej był przeszłością, wojna była przyszłością, więc trąciłam Lenę butem i powiedziałam: – Teraz twoja kolej.

– Też miałam w przeszłości paru jasnowłosych drani... – Zaczęła opowiadać barwną historię, która wypchnęła Aleksieja z mojego umysłu. Miałam nadzieję, że na dobre.

Minęło prawie czterdzieści osiem godzin w zimnej, cuchnącej niewygodzie wywołującej ból kości, zanim wylegliśmy z pociągu: o trzeciej w nocy, popychając się i potracając, ustawiliśmy się w szeregu na bocznicy w jakimś obcym miejscu, trzęsąc się z wychłodzenia i od wilgoci. Wykrzyczano rozkazy i zaczęliśmy długi marsz piaszczystą drogą. O siódmej moje stopy w płóciennych sznurowanych pantoflach były już pokryte odciskami. Czułam zapach sosnowej gęstwiny, soków drzew oraz... prochu. Zapach wojny, albo przynajmniej mojej wojny. Mój ojciec mówił, że jego czas na froncie pachniał błotem i drutem, ale być może każda wojna pachnie inaczej.

Moja pachniała drzewami, dymem i krwią.

Już nigdy nie pozbyłam się tej woni.



Wszystkie historie wojenne zaczynają się podobnie, prawda? Rozgrywają się jak film, opatrzone stosowną muzyką. Dumny rekrut, pożegnanie z rodziną, przywdzianie munduru – muzyka narasta, rzewna i przejmująca. Przysięga żołnierska; dramatyczna chwila – tu przydaje się patriotyczna melodia na instrumenty dęte. Potem szkolenie, na którym zielony rekrut uczy się obchodzić z bronią – najlepiej powiązać je z wojskowym marszem i mnóstwem bębnow. Wreszcie rekrut (oraz publiczność, której opowiada tę historię) jest gotowy do walki.

Ja jednak przybyłam na besarabską ziemię pośród totalnego chaosu razem z ostatnimi jednostkami 25 Dywizji Strzeleckiej Czapaiewa. Nie było

czasu na porządne szkolenie ani na spokojny namysł nad wzruszającymi momentami mojej inicjacji. Ledwie starczało czasu, by połknąć talerz gotowanej gryki przy dźwiękach karabinowego ostrzału w oddali. Błoto chlupotało pod nogami, a drzewa niczym milczący wartownicy spoglądały z góry na brudne namioty, klekoczące ciężarówki oraz żołnierzy biegających tam i z powrotem jak mrówki. Przebrałam się w mundur, który mi rzucono, wyklepałam słowa przysięgi i zapisałam swoje życie oraz ciało Armii Czerwonej, przyjmując do wiadomości, że zostałam żołnierzem 2 kompanii 1 batalionu 54 Pułku Strzelców Stepana Razina.

– Żegnaj, życie w cywilu – powiedziała Lena, wciskając na głowę swoją nową furażerkę. – Niewiele nas tutaj, prawda? Ciekawe, czy to dlatego, że wojna dopiero się zaczyna, czy może sadzają kobiety za biurkami albo posyłają je do batalionów szpitalnych.

Wiedziałam, że w Armii Czerwonej jest niewiele kobiet, ale nie przypuszczałam, że w drugiej kompanii będziemy tylko my dwie. Zawsze dobrze dogadywałam się z mężczyznami. W dzieciństwie przyjaźniłam się głównie z chłopcami, a oni akceptowali mnie bez zastrzeżeń, uznając za swoją. Tylko że bieganie z bandą chłopaków po świecie, który składa się w połowie z kobiet, to jedno, a bycie samotną kobietą w całej kompanii głośnych, rozkrzyczanych i nadmiernie pobudzonych młodych mężczyzn, kiedy w zasięgu wzroku nie ma prawie żadnych innych kobiet, to zupełnie co innego.

– Obetnij mi włosy – poprosiłam nagle Lenę, zdejmując z głowy nową czapkę. – Ciachnij je krótko, przy szyi.

– Takie ładne włosy – zaprotestowała, gdy odpięłam swój gruby warkocz.

– Nie będziemy miały czasu, żeby myć i czesać długie włosy. – Zdusiłam poczucie żalu. Byłam przeciętną kobietą, ani wysoką, ani niską, ani grubą, ani chudą, ale gęste włosy sięgające mi do pasa wyglądały pięknie. Włosy odrastają, pomyślałam. – Po prostu je obetnij, Leno. Nie chodzi wyłącznie o mycie. Kiedyś usłyszałam od ojca, że w wojsku najlepiej radzą sobie te kobiety, które nie zwracają niczyjej uwagi swoją kobiecością. Krótkie włosy. Rzeczowy wygląd. Zero kokieterii.

– Całkiem jak chłopak. – Lena zaczęła piłować nożyczkami mój gruby warkocz. – Racja. Potem ciachniesz mój.

Ostrzygłyśmy się nawzajem, ceremonialnie wrzuciłyśmy obcięte warkocze do najbliższego ogniska, a gdy zaczęły skwierczeć i śmierdzieć, wymieniliśmy dość ponure uśmiechy.

– Uważaj na siebie – powiedziałam do swojej nowej przyjaciółki, gdy skierowano ją w stronę batalionu medycznego. – Miej oczy dookoła głowy, dopóki nie znajdziesz kogoś, kto będzie cię osłaniał.

Nie musiałyśmy mówić dlaczego. Wszystkie kobiety wiedzą dlaczego.

– Ty też, Milu. – Lena pomachała mi przez ramię i odeszła, a gdy zniknęła, oficerowie w moim batalionie wydawali się jeszcze mniej pewni, co począć z jedyną kobietą w gronie świeżych rekrutów. Już niebawem stałam przed porucznikiem tak młodym, że chyba dopiero niedawno zaczął się golić, i próbowałam mu wyjaśnić, że już umiem strzelać. Przyjął tę wiadomość jak właściciel zakładu pogrzebowego, któremu przysłano już zabalsamowane zwłoki.

– Umiecie strzelać? – powtórzył trzeci raz. – Może tylko się wam wydaje. Wojna nie jest dla kobiet. Zwrócę się do dowódcy, żeby skierował was do batalionu medycznego.

– Jako sanitariuszka będę się marnowała, towarzyszu poruczniku. – Mimo to machnął ręką i skierował mnie do dowódcy pierwszego batalionu, gdzie odbyłam identyczną rozmowę, a potem powtórzyłam ją jeszcze raz, kiedy znalazłam się – poirytowana i zniecierpliwiona w nowych spodniach i tunice koloru khaki – przed biurkiem niezadowolonego i ponurego kapitana.

– Umiecie strzelać? – Przejrzał moje świadectwa. – Dobrze wam idzie?

– Proszę mnie sprawdzić, towarzyszu kapitanie – odparłam. – Karabin z celownikiem optycznym...

Odsunął czapkę, odsłaniając przerzedzone włosy.

– Nie mamy tu karabinów snajperskich.

– To może standardowa trioeliniejka? – Wróciłam myślami do instruktora z blizną i jego lekcji poświęconych obchodzeniu się z karabinem Mosin-Nagant.

– Tych też nie mamy, Ludmiło Michajłowna. Nie starcza ich dla nowo przybyłych rekrutów. – Mogłabym się zdenerwować, że kapitan zwrócił się

do mnie po imieniu, ale nie zrobił tego z taką miną jak niektórzy oficerowie przed nim. Kapitan Siergijenko był siwy, badyłasty, miał może ze trzydzieści lat, a wyglądał na pięćdziesiąt, i wymawiał moje imię jak ktoś, kto był na wojnie od dwóch tygodni, a już czuł się tak, jakby od roku nie spał.

– Więc jak mam walczyć, towarzyszu kapitanie? – Niezgrabnie trzymałam hełm pod pachą. Spojrzałam na swoje buty ze sztucznej skóry, o dwa numery za duże, i gdzieś w oddali pojawiła się myśl: Taka wystrojona, ale nie może walczyć.

– Dla was, świeżych rekrutów, podstawową bronią będzie na razie łopata.

Łopata.

Niezbyt dramatyczna chwila, prawda? Nie ma podniosłej melodii Prokofiewa dla świeżo upieczzonego rekruta, który bohatercko macha łopatą w okopach. Tak jednak wyglądał mój początek w 25 Dywizji Strzeleckiej Czapajewa: łopata zamiast karabinu, a zamiast sprintu ku chwale chaotyczne przepychanki podczas masowego wycofywania się.

To jedna z wielu rzeczy odróżniających prawdziwe życie od filmu.



Prawie przez miesiąc nie oddałam ani jednego strzału – i większość tego miesiąca to tylko oderwane fragmenty w mojej pamięci. Wszystko wyklarowało się dopiero, gdy ujrzałam spust. Wcześniej były tylko chaos i grudy ziemi, dezorientacja i zaschnięta krew. Może z perspektywy generałów, ludzi dowodzących olbrzymimi jednostkami wojska, którzy patrzą na ładne, czyste mapy i widzą szerszy obraz, całą tę maszynię, wygląda to inaczej. Dla nas, trybików, jasna jest tylko ziemia bezpośrednio pod naszymi butami. Wrzucono mnie prosto w chaos ataków i kontrataków, natarć i odwrotów – maszerowałam, wypełniałam każdy wydany mi krzykiem rozkaz, nauczyłam się nie wzdrygać na dźwięk artyleryjskiego huku nad głową. Nie nauczyłam się jednak walczyć, mimo że walki rozgorzały na całej długości naszych granic. Nie było czasu, by złapać oddech ani nawet poznać imię żołnierza maszerującego obok, a tym bardziej, by walczyć.

Fragmenty.

Pamiętam pułki przemieszczające się za dnia i w nocy, gdy zaczął się bezładny odwrót przez nadmorskie stopy – ciężarówkami, powozami konnymi, pieszo. Pamiętam, jak w nocy padałam i zasypiałam w ubraniu, zbyt wyczerpana, by na siebie uważać, co jednak i tak nie miało znaczenia, ponieważ w tym chaosie mężczyźni w mojej kompanii nie mieli siły zauważyć, że szeregowiec Pawliczenko jest kobietą, a tym bardziej, by jakoś na to zareagować. Pamiętam, jak wyglądał step w ciepłe letnie noce, rozpostarty po bokach drogi niczym otwarta książka – i jak wyglądał za dnia, rozbrzmiewając hukami dział, naszpikowany pożarami, przesiąknięty gorzkim zapachem spalonego prochu strzelniczego utrzymującym się długo w nosie. Pamiętam, jak cywile wycofywali się razem z nami, całe karawany robotników fabrycznych i sprzętu; rolników pędzących stada bydła z państwowych gospodarstw rolnych; kobiety i dzieci idące mozolnie z wyładowanymi kosztami i plecakami, trzęsące się, ilekroć nad głowami zawarczał flocke-wulf.

Pamiętam, jak kopaliśmy okopy saperkami przy świetle księżyca i przy trzasku niemieckiej artylerii dalekiego zasięgu. Pamiętam, jak sobie uświadomiłam, że jestem na froncie już miesiąc i nie napisałam jeszcze do ojca. Biełowowie się nie wycofują – a jednak się wycofywaliśmy, grzebiąc poległych w mijanych po drodze lejach po bombach. Wycofywaliśmy się masowo wzdłuż całej naszej kurczącej się granicy, ustępując przed swastyką.

Pamiętam pole pszenicy znikające w strzelistych płomieniach ognia po nalocie niemieckich bombowców; pamiętam powykęcane skorupy spalonych miast i zbombardowanej maszynierii. Junkersy latające nad głowami tworzyły szyk nad poznaną lejami drogą, na której tłoczyły się idące rodziny, i ostrzeliwały ją przez sam środek – a moja kompania dostawała rozkaz, by ukryć się wśród drzew. Pewnego razu o zmierzchu podszytym krwią jakaś koścista kobieta, której wózek właśnie zbombardowano, zmieniając go w kupę drzazg, splunęła na mnie, gdy razem z resztą kompanii wróciłam na drogę.

– Do diabła z wami – syknęła. – Dlaczego nie walczyacie z tymi bydlakami?

Pamiętam, jak spuściłam oczy, zarzuciłam plecak na ramię i wróciłam do szeregu, nie zdolawszy wykrztusić ani słowa.

Pamiętam strach. Odepchnij go od siebie, stłum go, powtarzałam sobie, ale nie można było go odepchnąć, był wszędzie: żyliśmy strachem, oddychaliśmy nim, jedliśmy go, piliśmy i wydalaliśmy z potem. Każdy warkot niemieckich samolotów na niebie mógł oznaczać mój koniec i nie miałam do obrony niczego oprócz łopaty.

Zmieniło się to pewnego lipcowego poranka w zrujnowanym, poznaczonym lejami upiornym krajobrazie wzdłuż linii kolejowej łączącej Nowopawłowsk z Nowym Arcyzem. Huk artylerii napływał falami. Mój pułk na razie się okopał. „Okopać się” – ładne określenie na „ukrycie się”, schronienie w prowizorycznych okopach i wśród połamanych drzew, kucanie za każdym razem, gdy fala ogłuszającego huku przetaczała się nad nami niczym tupanie olbrzyma. Mężczyzna, który schronił się obok mnie w wykopanym przez nas wąskim rowie, był jeszcze właściwie chłopcem, piegowatym i przejętym, nieustannie gmerał przy karabinie, aż miałam ochotę trzepnąć go w ucho. Gruchnęły strzały. Splotłam dłonie na karku i opuściłam głowę, sycząc do chłopaka, żeby się pochylił.

– Wytrzymaj! – zawołałam, przekrzykując hałas i omal nie udławiłam się swoim odruchowym przerażeniem. – Atakują falami, to jest jak poród... – On jednak tylko spojrzał na mnie zaskoczony. Nic dziwnego. Takie porównanie nic mężczyźnie nie mówiło, więc szukałam lepszego, ale nagle jego twarz oblała się krwią. Dotknął czoła, zrobił jeszcze bardziej zaskoczoną minę, a ja zauważyłam, że jego skroń zapadła się jak skorupka jajka. Osunął się na mnie powoli. Próbowałam go podtrzymać, ale był za ciężki, runął w błoto.

W moich drżących dłoniach został tylko jego lepki od krwi karabin.

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

5

Jeśli ta kobieta kiedykolwiek miała w rękach karabin, pomyślał strzelec wyborowy, patrząc, jak rzekoma snajperka znika w Białym Domu w ślad za pierwszą damą, zjem swój przeklęty kapelusz.

Drzwi zamknęły się za radziecką delegacją, i to był koniec.

– Kiedy pozwolą nam pogadać z Ruskimi? – spytał głośno dziennikarz „Washington Post”, przerzucając notatki. – Chyba nie każą nam czekać na początek konferencji studenckiej?

– Dziś wieczorem jest konferencja prasowa w radzieckiej ambasadzie. – Strzelec wyborowy podkreślił swój południowy akcent, odwracając się od Białego Domu pokrytego poranną rosą. – Zachowaj swoje pytania na tę okazję. Chyba że zdobyłeś zaproszenie na dzisiejsze powitalne śniadanie w Białym Domu.

– Ciebie zaprosili? Masz fart, skurczybyku...

Strzelec wyborowy uśmiechnął się. Fart nie miał z tym nic wspólnego. Ludzie, którzy wynajęli go do tej roboty, obracali się w wysokich kręgach i dopilnowali, by jego nazwisko (w każdym razie nazwisko widniejące na doskonale podrobionej legitymacji prasowej) znalazło się na liście.

– Czy naprawdę musi pan ją oglądać z bliska? – narzekali. – Ma ją pan zrobić, a nie zaprosić na randkę.

– Muszę się dowiedzieć, jak ją odciągnąć na bok, gdy przyjdzie właściwa pora – powiedział strzelec wyborowy. – Sprawdzę, czy łatwo odwrócić jej

uwagę. Czy będę musiał przekupić kogoś z jej delegacji, żeby uzyskać do niej dostęp, a jeśli tak, to kogo. A na ustalenie tego wszystkiego mam tylko tydzień, poczynając od dnia przyjazdu radzieckiej delegacji, a kończąc na ostatnim dniu konferencji.

– Wygląda na to, że czeka pana mnóstwo roboty – brzmiała odpowiedź.

Strzelec wyborowy wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, zawsze lubił wysiłek związany z nowym zadaniem: wsiąkanie w starannie przygotowaną fałszywą tożsamość, wzmacnianie tej tożsamości porządnym rozeznaniem i w razie potrzeby życie tą pracą. Przypomniawsobie, jak w 1932 roku pracował przez bite cztery miesiące w agencji ubezpieczeniowej, by zdobyć dostęp do obiektu... i sprzedał przy okazji mnóstwo porządných polis. Spędzone tam godziny bez wątpienia były pracą – drobiazgową i nierzadko nudną. Zawsze jednak uważał, że w jego branży działają ludzie dwojakiego rodzaju: dobrzy strzelcy, którzy myślą, że ich praca polega na pociąganiu za spust, i robią tylko tyle, by zapewnić sobie powierzchowną przykrywkę, a potem cały czas się pocą... oraz profesjonaliści, dla których praca polega na stworzeniu dogłębnej przykrywki, poświęcający jej dostatecznie dużo godzin i uwagi, by potem się nie pocić, gdy przychodzi pora pociągnąć za spust.

Wiedział, do której grupy należy.

– Zadaje pan sobie dużo trudu z powodu tej frajerki – narzekał sługus jego wysoko postawionych zleceniodawców.

Powiedział gość, którego nikt nie zakuje w kajdanki, jeśli cała ta akcja weźmie w łeb, pomyślał strzelec wyborowy.

– Niech pan tylko dopilnuje, żeby nazwisko na mojej legitymacji prasowej otwierało wszystkie drzwi i znalazło się na wszystkich niezbędnych listach gości i na przepustkach – odparł. Przynajmniej z tym nie było problemu. Zazwyczaj miał własne sposoby, by uzyskać dostęp do wszystkiego, czego wymagało zlecenie – po dziewiętnastu latach miał kontakty i informatorów, którym mógł zapłacić chyba za każdą informację i każdy papier – ludzie, dla których teraz pracował, mogli jednak uzyskać znacznie więcej dzięki zwykłemu machnięciu ręką w kularach.

Właściwie to za pół godziny był umówiony ze swoimi pracodawcami – albo raczej z ich sługusem. Nie było to konieczne, lecz domagali się gwarancji, a jemu została mniej więcej godzina do powitalnego śniadania,

na którym pierwsza dama o końskich zębach miała podjąć radzieckich delegatów oraz garść dziennikarzy w Małej Jadalni na parterze Białego Domu. Strzelec wyborowy zastanawiał się leniwie, co teraz robi Mila Pawliczenko. Czy jest zatrwożona, stojąc pod osławionym dachem, czy może patrzy z pogardą na kapitalistyczną zachodnią dekadencję? Czy powtarza w myślach swoją bajeczkę o rzekomych trzystu dziewięciu zastrzelonych nazistach, czy raczej czuje się zagubiona, skołowana tak daleko od domu? Miał nadzieję, że to drugie. Samotne kobiety łatwo odstrzelić. Miał ich na koncie całkiem sporo.

Na razie nie był pewny, czy będzie musiał ją zabić. Zamierzał wybrać najłatwiejszą możliwość: wszyscy zawodowcy wiedzą, że im prostszy plan, tym lepszy. Ponieważ gdy tylko kule zaczynają śpiewać, nawet najlepiej dopracowane plany mogą się skomplikować. Pewna doza improwizacji jest nieunikniona. Bez względu na to, czy ostatecznie zostawi jej zwłoki, pozorując wyznanie samobójczyni w ostatnim dniu konferencji, czy jedynie ją wrobi i pozwoli, by jej rozdmuchana przez Sowietów reputacja nasunęła jej pętlę na szyję, jedno było pewne.

Gdy planujesz zabić prezydenta, zgrywasz to w czasie z przyjazdem rosyjskiej snajperki, by cała wina spadła na nią.

Strzelec wyborowy zabrzączał diamentami w kieszeni, zatrzymując taksówkę.

– Pod mauzoleum Lincolna – powiedział do kierowcy, opuszczając szybę, by rozkoszować się ciepłym porannym wietrzykiem. Prognozy na nadchodzący tydzień zapowiadały jedynie bezchmurne niebo i upały, doskonałą pogodę na koniec lata. Pani Pawliczenko, korzystaj ze swojej pierwszej wizyty w Ameryce, dopóki ona trwa.

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Gdy prowadzę radziecką delegację po schodach Białego Domu w stronę pokoi gościnnych, moje myśli wciąż krążą wokół tego, co powiedział do mnie Franklin po swoim porannym upadku: „Modliliby się, żebym nie wstał”. W słowach „modliliby się” zabrzmiała jakaś dodatkowa nuta, coś więcej niż typowa dla niego ironia podszyta rozbawieniem.

Rozgoryczenie? Obawa? Rozmyślam nad tym, zapraszając Ludmiłę Pawliczenko do różowego pokoju, który otrzymała na czas wizyty.

Mój mąż ma oczywiście krytyków i rywali. Każdy prezydent jest nienawidzony. Człowiek, który odniósł bezprecedensowe zwycięstwo i został wybrany na trzecią kadencję, jest nienawidzony przez więcej osób niż inni. Zazwyczaj zbywa tę nienawiść śmiechem... ale dziś rano się nie śmiał.

Czy martwi się jakąś konkretną grupą wrogów?

Mrugam, wyrwana z zamyślenia, gdy ta młoda Rosjanka – która dotąd nie powiedziała ani słowa – mija łóżko i podchodzi do okna, gdzie szyba wpuszcza poranne światło. Przez chwilę myślę, że zachwyci się głośno widokiem na kwitnący w dole ogród, lecz zamiast tego gwałtownie opuszcza roletę.

– Coś nie tak, moja droga? – pytam.

Mówi coś po rosyjsku. Wydaje się całkiem opanowana, gdy splata dłonie na brzuchu, ale wyczuwam jej zmieszanie.

– Mówi, że wolałaby nie mieć za plecami odsłoniętych okien, pani Roosevelt – informuje mnie tłumacz.

Aha. Podobno jest snajperką – nie wiedziałam, co o tym sądzić. Prawdę mówiąc, wciąż nie wiem. Za pośrednictwem tłumacza dziękuje mi jednak za gościnę, a patrząc w jej nieprzeniknione ciemne oczy, żałuję, że nie mogę jej spytać, skąd wiadomo, że w pobliżu czai się wróg? Skąd wiadomo, że to prawdziwe niebezpieczeństwo, a nie jedynie nerwy?

Skąd wiadomo, że jesteś na czyimś celowniku?

CZTERNAŚCIE MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Czerwiec 1941 FRONT ODESKI, ZSRR

MILA

6

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Każda kobieta pamięta swój pierwszy raz.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Te słowa znaczą dla mnie coś zupełnie innego niż dla większości kobiet.

– Widzę, że udało wam się zdobyć celownik PE do tego karabinu. – Ponury kapitan Siergijenko kiwnął w stronę broni zarejestrowanej teraz na moje nazwisko. – Strzelaliście już z niego?

– Tak, towarzyszu kapitanie. – Patrzyłam prosto przed siebie, zastanawiając się, dlaczego wezwano mnie do stanowiska dowodzenia tuż przed zmierzchem, gdy promienie słońca były już długie i ukośne.

Przyglądał mi się. Poruszyłam się niespokojnie, uświadamiając sobie, że mam spierzchnięte usta, które już prawie pękają, że moje obcięte byle jak włosy są brudne. Dywizja Czapajewa dotarła do rejonu fortyfikacyjnego Tyraspola i tam się okopała. Niezłe miejsce, żeby się odwrócić i walczyć: szanice, zbrojony beton i kamienne stanowiska strzeleckie, ziemianki, głębokie okopy, nasze karabiny maszynowe i nasza artyleria. Linia radzieckiej obrony rozciągnięta jak naszyjnik wokół gardła: Aleksandrowka, Bujajyk, Brinowka, Karpowo, Bielajewka... Czy naprawdę byłam na wojnie od niespełna sześciu tygodni? Zamrugałam, by odpędzić tę myśl.

Głos Siergijenki przywołał mnie z powrotem do rzeczywistości.

– Trafiliście kogoś, kogo namierzyliście przez ten celownik?

– Nie wiem, towarzyszu kapitanie. To nie było tego rodzaju strzelanie. – Strzelałam jak dobry żołnierz: na rozkaz, na oślep, znad krawędzi okopów i zza drzew, gdy dywizja Czapajewa kontynuowała wycofywanie się. W takich chwilach nie było widać, do czego się strzela. Strzelało się, ponieważ było się pod ostrzałem, a nie dlatego, że miało się kogoś na celowniku. Nie wiedziałam, czy kogokolwiek trafiłam. Wiedziałam tylko, że mniej się boję, gdy czuję w ręku pokrzepiający ciężar karabinu. To naprawdę niedorzeczne – posiadanie broni nie sprawiało, że stawałam się niezniszczalna – ale czułam się mniej bezradna. Nie mogłam odepchnąć od siebie strachu, lecz mogłam go wepchnąć do swojej broni.

– Chodźcie ze mną – powiedział Siergijenko, a ja wyszłam za nim ze stanowiska dowodzenia, idąc między walającymi się skrzyniami i namiotami, prowizorycznymi biurkami i usypanymi z ziemi wałami obronnymi do stojącej w pewnej odległości zbombardowanej wiejskiej chaty, skąd mógł wskazać drugi koniec Bielajewki. Wśród widocznych w oddali przerośniętych drzew stał ogromny dom z werandą krytą dwuspadowym dachem. Połyskiwał w świetle zachodzącego słońca.

– Widzicie?

Kiwnęłam głową. Na werandę wyszło dwóch oficerów w piaskowoszarych mundurach. Widziałam ich błyszczące insygnia, ich hełmy kojarzące się z miskami. To nie byli hitlerowcy, lecz Rumuni, sojusznicy Niemiec. Tak blisko. Pierwszy raz widziałam wroga tak wyraźnie. Do tej pory był tylko mrocznym kształtem po drugiej stronie okopów, zarysem postaci w hełmach, które siedziały w samolotach ostrzeliwujących nas z powietrza. Tych dwóch mężczyzn dzieliło od nas niespełna pół kilometra. Stali na werandzie w promieniach słońca, drapali się, śmiali. Nasi najeźdźcy.

Strach stale obecny w moim żołądku znowu zaczął się kłębić. Zazwyczaj przypominał zimne, niebieskofioletowe opiłki wolframu spływające z tokarki, ale tym razem metal, z którego powstawały, zmieniał barwę z niebieskiego w czerwony. Ze strachu w gniew.

– To prawdopodobnie ich sztab – mówił ze znużeniem kapitan Siergijenko. – Pokazaliście mi swoje świadectwa. Z naszych dokumentów wynika, że tylko wy macie tu za sobą kurs strzelca wyborowego. A skoro

akurat mamy chwilę spokoju – nie dodał „w przerwie w wycofywaniu się”, lecz równie dobrze mógłby tak powiedzieć – chciałbym zobaczyć, co potraficie.

Już zdejmowałam karabin z ramienia.

Siergijenko odsunął się i patrzył. Czułam tętno pulsujące pod żuchwą, gdy zaczęłam się szykować do oddania strzałów do dwóch mężczyzn. Do celów, poprawiłam się w myślach, lecz nie potrafiłam zignorować rzeczywistości: to nie były tarcze w strzelnicy ani butelki na patykach.

To wrogowie, mówiła siedząca we mnie złość, która narastała, gdy wykonywałam czynności przygotowawcze. Najeźdźcy. Nie prosiłam, żeby tu przyjeżdżali. Nie prosiłam, żeby zawierali sojusz z Niemcami, żeby snuli wielkie plany zmienienia nazwy Odessy na Antonescu, gdy już ją zajmą, żeby na każdym podbitym terenie przeprowadzać czystki, usuwając stamtąd Żydów i Cyganów, Ukraińców i Rosjan, ponieważ byliśmy rasowo niepożądani. O nic takiego nie prosiłam. Chciałam być w domu, przytulać syna, kończyć swoją przeklętą rozprawę. Nie zależało mi na śmierci przeciwnika, chciałam tylko, żeby się wyniósł. On jednak się nie wynosił, a zatem trudno, musiałam się zadowolić jego śmiercią.

Ani razu nie przerwałam swoich czynności, ani razu się nie zawahałam. Jak mogłam się wahać po trzech tygodniach rozpaczliwego wycofywania się pod ostrzałem wroga? Po prostu wyzwoliłam w sobie gniew i pozwoliłam, by kontrolę przejęło szkolenie.

Dobry strzelec porusza się bez pośpiechu, każdy jego gest jest równie spokojny jak przesuwanie się wskazówki zegarka. Raz... Pierwsze chłodne, oceniające spojrzenie przez celownik; chwila, w której dusza milknie i kontrolę przejmują oczy. Dwa... Ustawienie poziomej linii celownika. Zobaczyłam, że pokrywa się z ramionami oficera stojącego u szczytu schodów werandy. Trzy... Wykorzystanie tego punktu odniesienia do obliczenia odległości za pomocą równania, które poznałam na kursie strzeleckim i zastosowałam w okamgnieniu: czterysta metrów. Cztery... Załadowanie lekkiej amunicji. Pięć... Znalezienie pozycji do strzału w zbombardowanym wiejskim domu, w którym byliśmy: próba na leżąco – niemożliwe; pozycja klęcząca za częściowo zburzoną ścianą z kamieniami podpierającymi lufę karabinu – lepiej. Sześć... Zajęcie pozycji: oparcie ciężaru ciała na pięcie prawego buta, lewy łokieć na

zgiętym lewym kolanie, wytrzymać dotąd, aż znieruchomieję, aż zamienię się w kamień, aż szron będzie mógł się osadzić na moich rzęsach. Siedem... Umieścić pasek karabinu pod łokciem, by podtrzymywał ciężar broni. Osiem... Ponowne odnalezienie celu przez celownik, skorygowanie o siłę wiatru. Dziewięć... Dotknięcie spustu, wymierzenie do celu. Dziesięć... Wdech. Jedenaście... Wydech.

Na dwanaście zegar wybija północ i palec pociąga za spust.

Spojrzałam przez celownik na najeźdźców i wypuszczając powietrze, oddałam pierwszy strzał.

Siedem strzałów później opuściłam karabin, uświadamiając sobie, że dzwoni mi w uszach, a ramię piecze mnie od siły odrzutu. Kapitan Siergijenko opuścił lornetkę i spojrzał na mnie.

– Drugiego oficera trafiliście za trzecim razem, a pierwszego za czwartym. Mimo że zbiegli już wtedy z werandy i próbowali się schować.

– Widziałam. – Miałam wrażenie, że mój głos dobiega z bardzo daleka. Poczułam, że drżą mi dłonie i mocniej ścisnęłam kolbę karabinu. Gdy spojrzałam na kapitana, na jego twarz wciąż nakładały się linie mojego celownika, jakby wypaliły się wewnątrz moich oczu.

Kapitan jeszcze raz spojrzał przez lornetkę na rumuński sztab. Wyglądało na to, że na werandzie dużo się teraz dzieje.

– Dobra robota.

– Niezupełnie. – Płonęły mi policzki. – Powinny mi wystarczyć dwa naboje.

– Ale i tak położyliście obu. – Siergijenko wydawał się zamyślony, gdy ruszył do wyjścia z wiejskiego domu, dając mi znak, żebym szła za nim. Rumuni mogli obliczyć, skąd oddano strzały i ostrzelać tę pozycję. – Mam tu półdzikich chłopaków z Syberii, którzy potrafią strzelić wiewiórcę w oko z odległości pół kilometra, ale kiedy powiedziałem, żeby pokazali, co potrafią, i strzelili do człowieka, wszyscy zamarli. Wy znacie to od strony technicznej – balistyka, trajektoria i tak dalej. Co ważniejsze, umiecie zdać się na tę wiedzę podczas strzelania do ludzi. Mogliście spudłować, ale się nie wahaliście. To rzadkość u świeżych rekrutów.

– To zasługa praktyki – powiedziałam. – Ja już pewną mam, inni nie.

– Praktyki? Nie instynktu?

Siergijenko był bystrym człowiekiem, ale nawet on (jak wielu innych, o czym miałam się wkrótce przekonać) przejawiał skłonność do dziwacznych wymysłów na temat instynktu snajpera, na temat ludzi, którzy się z tym rodzą i mają to we krwi. Bzdury. Byłam dobrą bibliotekarką, ponieważ nauczyłam się segregować, katalogować i organizować; byłam dobrym strzelcem, ponieważ nauczyłam się obliczać zasięg, szacować odległość i wiedziałam, jak daleko obracająca się kula będzie leciała lateralnie z lufy do celu. Potrafiłam to zrobić nie dzięki jakiemuś wrodzonemu instynktowi, lecz dlatego, że się uczyłam, brałam udział w musztrach i ćwiczyłam, dopóki to, co wyuczone, nie zmieniło się w instynkt. Byłam dobrą snajperką, ponieważ byłam dobrą uczennicą.

– Praktyki – powtórzyłam, salutując poniewczasie.

– I potraficie to powtórzyć? Przydaliby mi się strzelcy długodystansowi.

– Potrafię to powtórzyć. – Nawet po pięciokrotnym spudłowaniu wiedziałam, że potrafię. Ponieważ ćwiczyłam po to, by osiągnąć doskonałość, a doskonałość stała się nawykiem zbyt silnym, by dopuszczać pomyłki. Życie tak rzadko pozwalało kobiecie na bycie doskonałą, zwłaszcza matce, a tym bardziej samotnej matce, a tym bardziej samotnej matce w Związku Radzieckim, który był pięknym krajem, ale niezbyt pobłażliwym... Gdy zatem robiłam sobie wyrzuty z powodu pominiętego pytania na egzaminie albo przegapionej szansy na udział w konferencji studenckiej, mogłam przynajmniej pójść na strzelnicę i wiedzieć, że tam nie spudłuję.

Przymus, żeby nie spudłować, był tak silny, że byłam dziś gotowa zlikwidować bez wahania dwa żywe cele.

Nie przyjrzałam się twarzom wroga przez celownik, lecz ich rysy musiały się we mnie odcisnąć wbrew mojej woli, ponieważ ukazały mi się teraz z obezwładniającą wyrazistością. Pierwszy oficer był starannie ogolony, miał orli nos. Drugi był śniady i zaczynał mu rosnać brzuch. Wrogowie – ale być może byli także mężami, ojcami. Wszystkie dziwactwa i talenty, słabości i nawyki składające się na dwa niepowtarzalne ludzkie istnienia zostały unicestwione w kilka sekund dwiema kulami.

Nagle zapragnęłam wcisnąć głowę między kolana, ale nie mogłam tego zrobić w obecności dowódcy. Przełknęłam żółć wzbierającą w gardle i spojrzałam przez ramię na budynek, który był moim celem – przypuszczałam, że roilo się tam teraz od spanikowanych rumuńskich oficerów. Od najeźdźców, upomniałam się ponownie. I mimo chwilowej słabości wiedziałam, że gdy następnym razem będę strzelała do wrogów, nie spudłuję.

– Mogłabym się przydać, towarzyszu kapitanie? – spytałam. – Jako snajperka?

Mój instruktor z blizną często używał tego słowa. Ja wymówiłam je po raz pierwszy.

– O, tak. – Siergijenko przewiesił lornetkę przez ramię i nagle zrobił tak poważną minę, że moje serce załomotało w piersi. – Jest tylko jedno ale.

– Słu... słucham?

– Siedem nabozi na dwóch nazistów! Musicie oszczędzać amunicję, Ludmiło Michajłowna. Takie marnotrawstwo! – Przez chwilę patrzył na mnie srogo, a potem jego usta rozciągnęły się w nieco smutnym uśmiechu. Pierwszy raz od tygodni zaczęłam się śmiać. Z pewnym wahaniem, ale jednak się śmiałam. Śmiech na froncie – nie przypuszczałam, że to może być aż tak przyjemne, tak potrzebne.

– Następnym razem zrobię to, jak należy, towarzyszu kapitanie. – Zasalutowałam, uśmiechając się, ale w duchu robiłam sobie wyrzuty. Siedem strzałów do dwóch celów – mój instruktor podrapałby swoją bliznę i spytał, czy następnym razem nie miałabym nic przeciwko mierzeniu do Moskwy zamiast do Paryża. – Następnym razem będą dwa naboje i dwa trafienia.

– Próbujcie. Niedługo przypelzną z powrotem i nie ma tu nikogo oprócz nas, kto mógłby ich rozdeptać.

– Amerykanie – powiedziałam, ponieważ krążyły pogłoski, że Amerykanie przystąpią do wojny, wyślą oddziały na wschód, by zmniejszyć presję na nasze linie obrony. Ale kapitan Siergijenko pokręcił głową.

– Amerykanie raczej nas zostawią, żebyśmy tu zgnili. Wszystko jest w naszych rękach. – Kiwnął głową na znak, że mogę odmaszerować,

i ruszył w stronę stanowiska dowodzenia, ale po chwili się odwrócił. – Otworzyliście dziś swoją listę, snajperko. Odnotujemy, że L.M. Pawliczenko ma aktualnie na koncie dwa trafienia.

– Nie – usłyszałam swój głos.

Kapitan uniósł brwi.

– Ci dwaj to były strzały próbne. – Wciąż się liczyły, nigdy o nich nie zapomniałam, ale na razie nie robiłam tego oficjalnie, jeszcze nie. Poza tym chciałam, żeby było jasne, że nie zależy mi na nabijaniu licznika za wszelką cenę, jakbym traktowała ludzkie istnienia jak monety. To także był rodzaj popisywania się, a ja wciąż tego nie lubiłam. Może właśnie w tej chwili północna strona mojego księżycy zaczęła zmierzać od nowiu ku pełni, lecz robienie ze swoich umiejętności jakiejś gry wciąż napawało mnie odrazą. Chciałam tylko wykonywać robotę i odeprzeć tę inwazję, a nie budować sobie reputację.

– Snajperka Pawliczenko otworzy swoją listę dopiero jutro.

7

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Przed atakiem umacniasz się myślami o ojczyźnie i towarzyszu Stalinie.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Przed atakiem zazwyczaj czujesz mdłości.

Fala przygnębienia przed bitwą – każdy ma swój sposób, żeby z nią walczyć. Większość mężczyzn służących razem ze mną w drugiej kompanii polegała na tęgim łyku wódki, krzepiącej wymianie najsprośniejszych kawałów, jakie można sobie wyobrazić, oraz na chóralnym odśpiewaniu Szeroki jest mój kraj ojczysty albo Tam daleko za rzeką. Ja lubiłam wyjmować z plecaka swoją sfatygowaną rozprawę i przerzucać jej strony. Było coś cudownie kojącego w Bohdanie Chmielnickim, gdy za chwilę miałam trafić pod ogień artyleryjski.

W mojej pięknej Odessie ogłoszono stan oblężenia. Zbliżał się wrzesień, a moja snajperska lista... no cóż, została oficjalnie otwarta i prawie

codziennie dodawałam do niej nowe trafienia, przyzwyczajając się do tej mrocznej i krwawej pracy bez zbyt wielu odruchowych zawahań między strachem a złością, mdłościami a perfekcjonizmem. Dziś jednak wyruszyłam razem z kompanią nie na jeden z tych rutynowych wypadów, z których składa się tak wielka część wojny, lecz w innym celu.

Dym snuł się nad wodą, krzyki odbijały się echem na płaskiej równinie przesmyku między Limanem Chadżybejskim a Kujalnickim. Trzeci batalion został przyszpilony, od trzech dni waliły w niego bomby, które zredukowały go do najwyżej czterystu obrońców. Rumuni rozlali się po równinie, piaskowoszara masa strzelająca do wszystkiego, co się ruszało, wyłapująca i chwytająca w szpony każdego, kogo zdołała wywlec z częściowo zniszczonych umocnień. Ktoś krzyczał, wydając rozkazy. Wrzask artylerii w górze pozbawiał te słowa sensu. Zsunęłam się i wgramoliłam do niedokończonego okopu z prowizorycznym nasypem, ustawiłam karabin, zaczęłam strzelać – i prawie natychmiast grzmienie dział umilkło.

Potem zapadła cisza unosząca się nad zakrwawioną ziemią niczym dym. Rumuni zniknęli, wycofali się, żeby się przegrupować. Dlaczego te dziwne przerwy następują w samym środku zaciekłych walk? Bitwy przypominają żywe stworzenia, istoty, które muszą odetchnąć tak samo jak toczący je żołnierze. Gdy zapada taka cisza, w pierwszym odruchu chcesz pochylić głowę i przycupnąć tam, gdzie jesteś, ale tylko nowicjusze zastygają bez ruchu. Doświadczeni żołnierze pospiesznie wpychają do ust kawałek chleba, rozpinają spodnie, żeby prędko się wysikać, sprawdzają amunicję, a ich koledzy udają, że nie widzą, jak trzęsą im się przy tym ręce. Ja wytarłam karabin i przeładowałam, rozprostowując palce, które także drżały. Mężczyzna obok mnie zrobił to samo, a potem wyjął z plecaka bardzo zniszczony egzemplarz Wojny i pokoju i spokojnie oparł go o celownik swojego karabinu.

– Wojna i pokój? – usłyszałam swoje pytanie zadane w dziwnym tutaj tonie pogawędki. – Nie mogłeś zabrać na wojnę czegoś bardziej ironicznego?

Przewrócił stronę.

– Chciałem się dowiedzieć, jak się potoczyła bitwa o Austerlitz.

– Napoleon wygrał. Mam nadzieję, że nie popsulałam ci przyjemności z lektury. – Nie mogłam sobie przypomnieć, jak on się nazywa. Był chudym jak brzytwa Sybirakiem z czarnymi włosami brutalnie ogolonymi tuż przy czaszce. – Nigdy nie doczytałam do końca Wojny i pokoju. Zawsze poddawałam się na balu sylwestrowym.

Sybirak uniósł brwi. Najwyraźniej poddawał ocenie mój gust literacki.

– Wolę historię od powieści. – Wzruszyłam ramionami. – Nie pogardziłabym dobrą relacją z siedemnastowiecznego konfliktu Rzeczypospolitej Obojga Narodów z imperium osmańskim.

Sybirak wrócił do lektury, ale zauważyłam drgnienie w kąciку jego ust.

– Filisterka – powiedział.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć – ożywiona dyskusja filozoficzna na temat przewagi twórczej fikcji literackiej nad dokumentowaniem historii wydawała się doskonałym sposobem na spędzanie czasu w błotnistym okopie między kolejnymi atakami artylerii – gdy nagle dziwny dźwięk sprawił, że ja i Sybirak jednocześnie podnieśliśmy głowę.

Rumuńska piechota znów posuwała się naprzód, lecz tym razem nie rozpięzchła się po stepie. Nacierала w zwartych kolumnach, wysoko podnosząc nogi w rytm bębnow, jakby to była parada... a do tego śpiewała. Oficerowie chodzili zamaszystym krokiem między kolumnami, opierając na ramionach dobyte szable. Na lewej flance zobaczyłam kapłana w złotych haftowanych szatach, a za nim trzy nadymające się kościelne chorągwie. Krzyczał, zagrzewając żołnierzy do walki przy akompaniamencie bicia serc bębnow i chóralnego grzmienia pieśni.

Siedemset metrów od nas.

Oznaczyłam swoje pole ostrzału, obliczenia przepływały przez mój mózg z prędkością cieczy: ogrodzenie na skraju pola kukurydzy sześćset metrów; znajdujące się trochę bliżej zarośla wilczych jagód pięćset metrów... Monotonny ryk pieśni narastał i nasza bateria mózdzierzy przypuściła atak. Zobaczyłam fontannę ziemi na tle nieba wśród szarych kolumn, ale żywi zamknęli szyki i maszerowali po martwych. Opuścili bagnety i ich ostrza lśniły jak drżenie uwięzionej błyskawicy. Liczyłam szybko – jakieś dwa tysiące bagnetów szło na mój uszczuplony czterystuosobowy pułk.

Kapłan wrzeszczał dalej i czując swój dudniący puls, zastanawiałam się, co mówi.

– Vive l’empereur? – zgađł ciemnowłosy Sybirak leżący obok mnie, jak gdyby czytał w moich myślach.

– „Niech żyje cesarz”? Ale dlaczego...

Uniósł karabin, a ja zrobiłam to samo, domyślając się, do czego nawiązywał. Oddziały Napoleona krzyczały Vive l’empereur!, gdy maszerowały w zwartych kolumnach dokładnie takich jak te, pod orłami całkiem podobnymi do orłów Hitlera, zamykając szyk mimo poległych i prac nieubłaganie na bohaterów Tołstoja pod Austerlitz... a potem maszerowali w takich samych kolumnach i wznosili takie same okrzyki przeciwko Rosjanom, gdy Napoleon postanowił dokonać inwazji na moją ojczyznę.

Cóż, wszyscy wiemy, jak to się skończyło.

Gniew znowu kotłował się w moim żołądku, wykonując swoją robotę, by zdusić strach. Dwa tysiące bagnetów szło prosto na mnie i moje przerażenie umarło. Zaczekałam, aż miną ogrodzenie obok pola kukurydzy, i otworzyłam ogień.

Pach, pach, pach. Z każdą mijającą sekundą na zegarze wybijała północ. Wiedziałam, że leżący obok mnie Sybirak strzela spokojnie i szybko, oparłszy karabin na grubym grzbiecie Wojny i pokoju. Uświadomiłam sobie, że wystrzelałam wszystkie naboje. Gdy zawołałam: „Pusta!”, pchnął w moją stronę torbę z amunicją, ściskając w zębach nabój z żółtym czubkiem, a ja naładowałam broń i strzelałam dalej.

– Trafiłem klechę – mruknął ktoś po mojej drugiej stronie.

Jak długo tak leżeliśmy i strzelaliśmy, nas czterystu przeciwko ich dwóm tysiącom? Nagle słońce zaczęło zachodzić, nadając pierzastej stepowej trawie barwę płomieni, a mnie znowu rozboleły uszy od huku rumuńskiej artylerii walącej ogniem osłonowym. Rumuni wycofywali się nieporadnie po własnych rannych i pierwszy raz od czasu, który wydawał się ciągnąć godzinami, oderwałam wzrok od celownika. Znów zobaczyłam przed oczami te linie, jakby były wypalone na wszystkim, na co patrzyłam prawym okiem.

– Co... – zaczęłam i właśnie wtedy jakiś zbłąkany pocisk moździerzowy spadł z wrzaskiem na nasyp okopu niespełna dwa metry ode mnie. Mój karabin rozerwał się na kawałki, a siła uderzenia wydarła mi go z rąk. Usłyszałam swój rozpaczliwy krzyk wywołany wyłącznie zniszczeniem mojej broni, a nie mojego ciała. Zobaczyłam kątem oka, jak doskakuje do mnie Sybirak, i runęłam do okopu.

Osunęła się na mnie ziemia, a potem zabrzmiał znajomy głos.

– Obudź się, śpiochu.

Podniosłam z wysiłkiem swoje gumowate powieki i zobaczyłam szczerą, chudą twarz Leny Palij, swojej przyjaciółki z pociągu.

– Nie, nie wolno ci wstawać – powiedziała. Jej głos brzmiał dziwnie daleko, a mnie brzęczało w uszach, jakby moja głowa zmieniła się w ul. – Nie, twój karabin nie przeżył. Nie, nie jesteś cała i zdrowa, to nie jest tylko zwichnięcie, doznałaś wstrząśnienia mózgu i urazu bębenków, a twoje stawy i kręgosłup dostały takiego łupnia, że co najmniej przez tydzień będziesz kuśtykała jak Baba Jaga.

– Możesz powiedzieć coś, co zaczyna się od „tak”? – spytałam z rozdrażnieniem, uświadamiając sobie, że leżę płasko na plecach na szpitalnym łóżku.

– Tak, wkrótce będziesz mogła wrócić do swojego oddziału. Tak, będziesz robiła wszystko, co każe ci robić Lena Palij, ponieważ Lena jest najlepszą sanitariuszką w tym batalionie medycznym. Tak, jesteś kretynką, że wałęsas się pod księżycem jak jakaś Północnica. – Lena uśmiechnęła się na widok mojej frustracji i w końcu mi odpuściła. – Jesteś w szpitalu polowym, Milu. Koledzy z oddziału wygrzebali cię spod ziemi i przynieśli tutaj.

– Niepotrzebnie. Nie powinni byli tego robić z powodu wstrząśnienia mózgu i urazu bębenków – mruknęłam niezadowolona. – Gdybym była mężczyzną, kazaliby mi wziąć się w garść i nie pędziliby po nosze.

– Pewnie tak – przyznała Lena. – Ale skoro już tu jesteś, bądź rozsądna i zadbaj o swoje zdrowie.

– Zdrowie dostajemy od losu i od przeznaczenia – zacytowałam swoją matkę. – Po całą resztę stoimy w kolejce.

– Oj, zamknij się i rozkoszuj się ciszą. Jesteśmy dość daleko od linii frontu. Prawie się nie czuje, że toczy się wojna.

Zastanawiałam się, co się stało z Sybirakiem czytającym Tołstoja, ale Lena powiedziała, że oprócz mnie nikogo nie przyniesiono. Wiedziałam, że niczego się nie dowiem, dopóki nie wrócę na front, więc rozprostowałam palce u nóg w czystej pościeli i skrzywiłam się, gdy moją szyję przeszyły iskry bólu. W sali ciągnęły się długie rzędy szpitalnych łóżek i pod zapachem środka dezynfekującego wyczułam żelazistą nutę starej krwi. Leżałam na samym końcu, przy oknie. Na zewnątrz kołysały się splątane gałęzie drzew, jakby szpital wzniesiono obok opuszczonego sadu. Liście szeleściły na wietrze i słychać było trzepotanie skrzydeł... Małe szare wróble, czarnogłowe szpaki. Świat zewnętrzny zmierzał ku jesieni, a ta świadomość z jakiegoś powodu sprawiła, że do oczu napłynęły mi łzy. Ostatnie, co zapamiętałam z frontu, to gorący bezmiar stepu i zwarte kolumny fanatycznie śpiewających wrogów pod chorągwią ich rozwrzeszczanego kapłana.

Oni nigdy się nie zatrzymają, pomyślałam. Nigdy. Dopóki wszyscy nie zginą... albo dopóki nie zginie ich tak wielu, że żywi nie będą mogli dalej gramolić się po poległych.

– Ten atak... – zaczęłam, ale Lena mnie ubiegła.

– Odparty. Przynajmniej ten ostatni. Oczywiście ciągle złażą się tu jak karaluchy.

Mój oddział wciąż tam był, walczył beze mnie.

– A na twoim koncie, snajperko – powiedziała Lena, widząc łzy w moich oczach – jest ich coraz więcej.

– Kto ci powiedział?

– Wieści się rozchodzą. Jedyna różnica to to, że tym razem chodzi o kobietę. Ile masz już trafień, dwadzieścia?

– Dwadzieścia jeden. – Wytarłam oczy. Nawet ten mały ruch przeszył mój kręgosłup bólem. – Oficjalnie.

– Jak to: oficjalnie? – Lena wyjęła paczkę papierosów. – To dwadzieścia jeden czy nie?

– Tu nie chodzi o zrywanie jabłek i liczenie ich w koszyku – obruszyłam się. – Do oficjalnej listy dodaje się tylko trafienia potwierdzone przez kogoś innego albo takie, które sama potwierdzę, przynosząc nieśmiertelniki lub papiery zabrane...

Potarła zapałkę.

– Zabrane zwłokom?

– Tak. – Robiłam to, bo taki dostałam rozkaz. Nie znosiłam tego, ale trzeba było to robić, więc robiłam. – Jeśli trafienie jest niepotwierdzone, nie dodaje się go do listy. A czasami nie potrafię stwierdzić, czy trafiłam w cel, i takie przypadki też się pomija, podobnie jak wtedy, kiedy trafiam, walcząc razem z całą kompanią. To nie jest... takie proste. Oficjalnie mam na koncie dwadzieścia jeden trafień, a nieoficjalnie sama nie wiem ile. – Czekałam, aż spyta, czy mnie to nie gnębi. Nie spytała, tylko milcząco zaproponowała mi papierosa. Pokręciłam głową. – Nie palę.

– Ja też. – Z westchnieniem zadowolenia wciągnęła dym, siadając na końcu mojego łóżka.

Przesunęłam nogi, żeby zrobić dla niej miejsce, i znów poczułam rozdzierający ból w plecach.

– Nie masz innych pacjentów?

– Jestem na przerwie. A na piętrze kręci się pewien kapitan, którego staram się unikać. Właśnie robi obchód. Marzy mu się frontowa żonka, myśli, że nie wiem, że ma w Moskwie prawdziwą. – Zrobiła wymowną minę. – Oficerowie potrafią być strasznymi gnojami.

Mruknęłam potwierdzająco, ciesząc się, że przestałyśmy rozmawiać o trafieniach i ofiarach.

– Zwyczajni żołnierze nie są tacy źli, prawda?

Gdy po dotarciu na front obcinałyśmy sobie nawzajem włosy, obie byłyśmy przygotowane na to, że w swoich kompaniach będziemy w zdecydowanej mniejszości, ale okazało się, że mężczyźni to nie problem. Każda z nas wypracowała własny sposób radzenia sobie z towarzyszami broni: sposób Leny, jak się domyśliłam, polegał na zręcznym unikaniu i jawnej wulgarności; mój na rodzaju śmiałej, rzeczowej twardości, którą doskonaliłam jako chłopczyca biegająca z chłopakami z sąsiedztwa. Rób to

umiejętnie, a mężczyźni w twojej kompanii zaczną cię traktować jak kogoś w rodzaju honorowego mężczyzny: wesołego, bezpłciowego, przydatnego w chwilach kryzysu. (Mundur także był pomocny. Ku wielkiemu rozczarowaniu amerykańskich dziennikarzy, których później spotkałam, kobiecy mundur w Armii Czerwonej nie był obcisły, smukły ani kuszący. Miał tyle wdzięku co worek na ziemniaki, ale bardziej drapał).

Nie, problemem okazali się nie szeregowi żołnierze, lecz oficerowie. Ci przekłęci błyszczący porucznicy i kapitanowie, którzy uważali kobiety w wojsku za dodatek do swojego żołdu – wychodzili na łowy, ilekroć usłyszeli, że na front dotarła nowa kobieta. Nie ma to jak siedzieć w okopie z pilnikiem igielkowym, pracować nad mechanizmem zamka swojego karabinu i nagle zauważyć jakiegoś kochliwego waźniaka z trzema albo czterema belkami na kołnierzyku, wężącego w pobliżu z promiennym uśmiechem, tabliczką czekolady i nieprzyzwoitą propozycją.

– Uderzają do ciebie oficerowie? – spytała Lena. Najwyraźniej jej myśli były odzwierciedleniem moich. – A może mają choć trochę oleju w głowie i trzymają się z dala od kobiety z ponad dwudziestoma trafieniami na koncie?

– Mam dobrego kapitana. Siergijenko odgania oficerów od kobiet w swoim batalionie.

– Niektórzy nie lubią słyszeć odmowy bez względu na to, co mówi kolega oficer – ostrzegła Lena. – Przypełzną do ciebie, kiedy nie będzie widział, więc miej oczy dookoła głowy, zamiast tylko wpatrywać się w celownik.

– Ty też na siebie uważaj. – Usiłowałam się podnieść, zaciskając zęby, żeby nie syknąć z bólu. – Przyszły jeszcze jakieś wieści, kiedy byłam nieprzytomna?

– Z tego, co mówią miejscowi, Odessa się zmieniła. Worki z piaskiem na ulicach, działa przeciwlotnicze na placach, pozaklejane okna. Żadni turyści nie leniuchują w kurortach.

Przypomniałam sobie tamten piękny dzień na plaży, zatłoczoną roześmianą kawiarnię.

– Co jeszcze?

Zawahala się.

– Mnóstwo ofiar – powiedziała krótko. Znowu wymieniliśmy spojrzenia. Wzięłam ją za rękę i milcząco ścisnęłam. Defetyzm był niedopuszczalny. Nie można było jęczeć, że ojczyzna przegrywa z hitlerowcami... ale Lenie wystarczyło policzyć poległych przewijających się przez batalion medyczny, a mnie wystarczyło przypomnieć sobie fale ognia artyleryjskiego dudniące nad stepem. Były co najmniej trzy salwy wroga na jedną naszą.

– Chyba powinnam wrócić na front i załatwić jeszcze kilku – powiedziałam, starając się zachować spokojny ton.

– Załatw kilku ode mnie. – Też ścisnęła mi dłoń, a potem zgasiła papierosa w wyrzuconym kapslu od butelki. – Lepiej już pójdę. Mam nadzieję, że kapitan i jego łakome oczka popełzli już do swojego rynsztoka. Zjawię się za kilka godzin. Może nawet z pocztą. Tu listy docierają o wiele łatwiej, jesteście bliżej miasta.

W ciągu tygodnia dotarły do mnie cztery. Kochana mama strofowała mnie, żebym nie piła nieprzegotowanej wody w czasie przemarszu, i załączyła uroczy liścik nabazgrany przez Sławkę, zaczynający się od słów „Droga Mamoczko”. Doprowadził mnie do łez... Tata ze spokojem opisywał mi swoją służbę w armii: „Bielowowie zawsze mieli szczęście w walce”. Moja rodzina była teraz tak daleko ode mnie, ewakuowano ją do Udmurcji – równie dobrze mogliby pisać z Paryża albo z księżycy.

Następny list był od Sofii z Odessy: „Słyszałaś, że brat Wiki zaciągnął się do wojsk pancernych? Wika mówi, że mężczyźni, którzy są tancerzami, to przeważnie krety, ale nigdy nie sądziła, że jej brat jest największym krety z nich wszystkich. Powinnam już lecieć do biblioteki. Pakuję w pudła co cenniejsze zwoje na wypadek ewakuacji. Praca wre!”.

Przez chwilę czułam nie środek odkażający i krew, lecz zapach starej skóry, pergaminu i książek w odeskiej bibliotece. Mój najukochańszy zapach na świecie. Na froncie, z karabinem, studentka Mila wydawała się kimś bardzo dalekim, lecz tutaj czułam ją obok siebie, przekładała notatki i ołówki w torbie, grupowała zebrane informacje za pomocą kolorowych etykietek. Jak to się stało, że ta kobieta tu trafiła, że dzwoniło jej w uszach, a kręgosłup bolał ją po ostrzale z moździerza? Wszystko, czego pragnęła ta kobieta, to uporządkowane życie wolne od błędów; chciała jechać

pociągiem sunącym przez jej życie aż do samego końca, ponieważ nie mogła sobie pozwolić, by znów przegapić jakiś przystanek.

Cóż, wysiadłam z tego pociągu i znalazłam się na innych torach, z innym zestawem celów. Tylko że tutaj koszt popełniania błędu był znacznie wyższy.

Sterylnie, duszne powietrze na oddziale nagle zaczęło mnie dusić. Wyciągnęłam rękę i zdołałam otworzyć okno obok łóżka, by upajać się lekkim wiatrem. Nieprzycięte gałęzie drzewa na zewnątrz prawie stuknęły w parapet. Oderwałam liść, pogłaskałam go wzdłuż nerwów i sięgnęłam po list od syna. Wybierał się na pierwszą wędrowną z pionierami. Był taki dumny ze swojej nowej czerwonej chusty, że nawet w niej spał, i martwił się, że nie będzie pasował do chłopców ze wsi, którzy o lesie wiedzieli wszystko. „Jestem chłopcem z miasta, Mamoczko, nie mam pojęcia o drzewach i roślinach...”

– Jak się nazywają te drzewa? – spytałam stojącą najbliżej pielęgniarkę, wskazując okno. Odpowiedziała mi, a ja odpisałam Sławce pewną dłonią, przerywając raz po raz, żeby wytrzeć oczy. „Kochany morsik, z moją pomocą nauczysz się wszystkiego o drzewach i roślinach. Twoja mamoczka zawsze znajdzie dla ciebie czas, nawet na froncie! W załączeniu przesyłam liść zerwany z gruszy: widzisz jego owalny kształt, układ nerwów? Teraz na pewno go rozpoznasz, gdy znowu go zobaczysz. Należy do rodziny...”. Przerwałam pisanie, nie mając pewności, do jakiej rodziny należy ten rodzaj gruszy, ale zamierzałam się tego dowiedzieć. Może i byłam setki kilometrów od syna, lecz postanowiłam, że poczuje się tak, jakby jego mama wciąż nad nim czuwała.

Przypieczętowałam pocałunkiem list i włożyłam do środka liść, a potem napisałam następny, do rodziców. W tym drugim poinformowałam, że zostałam snajperką i zamierzam zastrzelić tysiąc Niemców, a potem z dumą wrócić do domu. Musiałam być kobietą, która pisze oba rodzaje listów i jakimś cudem jej to wychodzi. Zarówno matką, jak i snajperką, odnoszącą sukcesy w obu tych rolach.



– Dobrze was widzieć z powrotem – powitał mnie kapitan Siergijenko, gdy w końcu znalazłam stanowisko dowodzenia niedaleko zniszczonej częściowo wioski. Prawie dwa tygodnie po tym, jak odesłano mnie z frontu razem z innymi rannymi, namówiłam Lenę, żeby załatwiła mi wypis, i wyprosiłam podwiezienie ciężarówką jadącą w stronę ujścia rzek Kujalnik i Wielki Ajałyk. Następne pół dnia upłynęło mi na szukaniu stanowiska dowodzenia w gmatwaninie wykopów, wózków, ciężarówek i roztrzaskanych budynków składających się na linię frontu, lecz oto miałam przed sobą swojego kapitana z jego znajomą ziemistą twarzą, wyglądającego już nie na wpół martwego, lecz na martwego w trzech czwartych.

Zasalutowałam.

– Melduje się czerwonoarmistka Ludmiła Michajłowna Pawliczenko.

– Macie na sobie niewłaściwy mundur, Ludmiło Michajłowna. – Spojrzałam na siebie zaskoczona, lecz on podał mi małe kartonowe pudełko. Gdy je otworzyłam, zobaczyłam dwa mosiężne trójkąty. – Już nie jesteście czerwonoarmistką, tylko starszą szeregową. Gratuluję.

Przeszedł mnie dreszcz, mieszanina przyjemności – ojciec byłby ze mnie taki dumny! – i niepokoju. Awansujesz po trupach. W milczeniu przyczepiłam trójkąty do malinowych paradnych naszywek na kołnierzyku, słuchając, jak kapitan wymienia poległych: dowódcę mojego plutonu, trzydziestu innych żołnierzy z mojego batalionu. Nawet nie można było ich zastąpić rekrutami, tylko ochotnikami, marynarzami z Sewastopola bez krztyny doświadczenia w piechocie... Z każdą nową złą wiadomością coraz bardziej opadały mi ręce.

– Czeka na was nowy karabin – zakończył kapitan. – Bo przecież stary uległ zniszczeniu. Dostaliśmy wytyczne dla snajperów od naczelnego dowództwa odeskiego rejonu obrony i zgodnie z nimi – jego głos nabrał oficjalnego brzmienia – mamy zająć najkorzystniejsze pozycje do obserwacji i ostrzału, nie dawać wrogowi wytchnienia, pozbawić go możliwości swobodnego poruszania się na liniach najbliższej frontu – a także siać zamęt i zniszczenie w morale wroga oraz w porządku i dyscyplinie w jego szeregach. – Twarz Siergijenki wcale nie wyglądała teraz ponuro. Malowała się na niej determinacja i poczułam, jak w odpowiedzi mój wciąż obolały kręgosłup rozciąga się, gotowy do

działania. Lista poległych rozbudziła we mnie gniew, który dotąd spał uciszony pod bólem wywołanym wstrząśnieniem mózgu, zmęczeniem, tęsknotą za synem.

– Mamy niewielu wykwalifikowanych snajperów – ciągnął mój kapitan – więc szukajcie nowych rekrutów do przyuczenia. Na początek musicie sobie znaleźć partnera. – Snajperzy działali najlepiej w parach, zabezpieczając sobie nawzajem tyły.

– Tak jest, towarzyszu kapitanie. – Zasalutowałam, nie mogąc się doczekać, by wziąć w ręce nowy karabin. Poprzedni znałam tak dobrze, że wydawał się przedłużeniem mojego ciała. Ten nowy musiałam dopiero poznać. Zmodyfikowałam starą trioelinijkę, dopasowując ją do swojego stylu strzelania, usunęłam drewno na całej długości wyżłobienia osady, by się z nią nie stykało, spiłowałam końcówkę łoża. Wiedziałam, że gdy zrobię to samo z nowym karabinem i trochę z nim poćwiczę, zostaniemy przyjaciółmi.

– Ludmiło Michajłowna? – dodał Siergijenko, gdy odwróciłam się do wyjścia.

– Tak, towarzyszu kapitanie?

Spojrzał mi prosto w oczy.

– Udanych łowów.

Dwa słowa, które pomogły mi odsunąć na bok matkę, córkę i studentkę, pozwalając, by snajperka rozwinęła skrzydła.

8

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Awans oznacza przywileje.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Opinia osoby, która potrafi trafić w oko z odległości pięciuset metrów, też oznacza przywileje.

– Wynocha – powiedziała Lena do półnagiego mężczyzny w łaźni parowej. – Bo inaczej będziesz musiał się zmierzyć z gniewem najbardziej zabójczej snajperki w Odessie.

Wstał z sosnowej ławki, owinięty w pasie ręcznikiem, i przeczesał wilgotne od potu jasne włosy.

– Mogę się przynajmniej ubrać?

– Do nikogo nie strzelam tylko po to, żeby się wykąpać – zaprotestowałam, patrząc na Lenę, ona jednak już rzucała wysokiemu mężczyźnie jego ubrania. Zauważyłam z zadowoleniem, że to cywilna odzież. Przynajmniej człowiek, którego tak bezlitośnie wyrzuciła, nie był żołnierzem.

– Zazwyczaj lubię wiedzieć, jak kobieta ma na imię, zanim zobaczy mnie bez spodni – narzekał pogodnie, wychodząc na bosaka.

Roześmiałam się, on się do mnie uśmiechnął, a Lena pociągnęła mnie w stronę pary, choć nie omieszkła żartobliwie zmierzyć lśniących ramion blondyna pożądlivym spojrzeniem.

– Zamierzam go sobie spróbować, kiedy już skończymy – postanowiła, zamykając drzwi na zasuwę. – A teraz rozbieraj się i nasiąkaj gorącem, dopóki nie rozluźni ci się biodro.

– Żaden ze znanych mi lekarzy nie wspominał, że długie siedzenie w bani ma jakikolwiek wpływ na zwichnięte biodro, Leno Palij. – Wyślizgnęłam się ze spodni, sycząc z powodu bólu stawu. – Po prostu mnie wykorzystujesz, żeby wypróbować infrastrukturę kąpielową.

– A żebyś, kurwa, wiedziała, Milu Pawliczenko. Wiesz, jak dawno nie byłam w porządnej bani? – Lena zrzuciła z siebie mundur jak wężową skórę i klapnęła naga na długą drewnianą ławkę. – Nie ma za co.

Zza drzwi dobiegł ciepły baryton mężczyzny, którego wyrzuciliśmy.

– Brałyście udział w ataku na Gildendorf?

– Dziś rano – zawołałam w odpowiedzi, wyciągając się na ławce naprzeciwko Leny. Atak zakończył się koło południa, wyparliśmy wroga z Gildendorfu i z sowchozu Ilijczowka, gdzie moja kompania zdążyła się wesoło rozgościć, zanim tam dokuśtykałam, podpierając się karabinem jak kulą. Po zdjęciu ubrania zauważyłam, że olbrzymi czarny siniak pokrywa cały bok mojego ciała.

– Nie mogę uwierzyć, że spadłaś z jakiegoś przekłętą drzewa – zbesztła mnie Lena, zamykając oczy.

– Ale przedtem oddałam strzał. – Położyłam finkę w zasięgu ręki. Nie żebym myślała, że będę jej potrzebowała, ale tylko kretynka rozebrałaby się do naga w obozie pełnym mężczyzn, nie mając pod ręką jakiejś broni. Pot już płynął mi obficie po twarzy w ciemnej, zamkniętej przestrzeni.

Za drzwiami znowu zabrzmiał barytonowy głos.

– To wy jesteście tą snajperką, która zlikwidowała całe gniazdo karabinu maszynowego?

– Czterema strzałami. – Te cztery strzały poprzedziło sporo przygotowań: jeden dzień na rekonesans, potem poranne wpasowanie się w klon z czystą linią strzału nad cmentarzem w Gildendorfie w stronę drogi – przyniosło to efekt w postaci jednego martwego adiutanta, dwóch martwych kaemistów i przestrzelenia ostatnim nabojem przeciwpancernym zamka karabinu maszynowego MG 34, by stał się bezużyteczny, nim mój pułk wkroczy na tę drogę. – Używali celowników optycznych, przez cały poprzedni dzień nasi chłopcy nie mogli nawet kiwnąć palcem, nie narażając się na jego odstrzelenie. – Widziałam śmierć trzech mężczyzn z mojej kompanii, chłopaków, z którymi żartowałam i śmiałam się wieczorem przy menażkach.

– Ile masz już na koncie? – spytała Lena po półgodzinnej ciszy, odwracając do mnie głowę.

Rozmasowałam sobie rękę, sprawdzając odruchowo, czy ustało drżenie, które dopadało mnie po strzelaniu. Minęło już ponad pół września. Nieustannie trwały walki i miałam za sobą pracowite noce.

– Oficjalnie czterdziestu sześciu. – Wciąż nie lubiłam tego pytania. Nie miałam ochoty liczyć trupów, nie robiłam tego, żeby się przechwalać. Było to po prostu zadanie, które należało wykonać. A ja je wykonywałam. Nagle gorąco zaczęło mnie przytłaczać i usiadłam.

– Opłuczmy się.

W wiosce, w której się urodziłam, moja rodzina zawsze chodziła do bani razem: rodzice, siostra i ja siedzieliśmy w obłokach pary, a potem wszyscy biegliśmy, by wskoczyć z głośnym okrzykiem do lodowatego strumienia – jeśli zaś strumień zamarzł, do najbliższej zasy. Tutaj nie spadł jeszcze śnieg i nie zamierzałam wskakiwać nago do żadnego strumienia, mając wokół siebie cały pułk, więc opłukałyśmy się z Leną w zaryglowanej od

środku szatni, polewając się lodowatą wodą. Czekaający na zewnątrz mężczyzna znowu zawołał zza drzwi, akurat gdy Lena wylała mi na głowę wiadro wody.

– Nie żebym się tu czaił, ale przed chwilą przyszedł jeden kapral i zostawił całkiem ładne prezenty dla Ludmiły Pawliczenko.

– Prezenty? – Oplukałam parującą skórę lodowatą wodą i zadrżałam. Było to drżenie dobrego rodzaju, czary bani, w której gorąco spotykało się z zimnem, a pot z lodem, przypominając twojemu ciału, że jest wściekle, pięknie żywe. Zagrzebana w pyłe i krwi na froncie, zadowolając się letnią wodą w miednicy, nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebuję. Pokręciłam głową, czując, jak pył i zaschnięta krew spływają, tworząc kałużę u moich stóp.

– Nie myśl sobie, że z tego powodu tu wejdiesz, kochasiu – krzyknęła Lena przez drzwi, odwracając się, żebym tym razem ja mogła wylać wiadro wody na jej głowę. – Te drzwi pozostaną zamknięte, dopóki się nie ubierzemy.

– Więc chyba nie chcą panie tego ładnego kawałka mydła. Jestem pewny, że...

– Dawaj! – Lena natychmiast otworzyła drzwi na tyle, by duża opalona ręka mogła podać mydło.

– Sporo tu różności – ciągnął blondyn, gdy drzwi znów się zamknęły. – Następne mydło, flakonik perfum, gruszka z wiejskiego sadu... Załączono bilecik z napisem: „Od żołnierzy z drugiej kompanii”.

To nie były prezenty od zalotników, lecz zwyczajna odrobina luksusu przekazywana w czasie wojny w ramach podziękowania. Zaszczypały mnie oczy, gdy spieniłam kawałek mydła. Moje nowe zajęcie polegało na odbieraniu życia – czasami zapominałam, że także je ratuję. Moja kompania mogła dziś przemaszerować tą drogą, nieskoszona przez ostrzał z karabinu maszynowego, ponieważ wcześniej oddałam cztery strzały. Zapomniałam o tym na chwilę, ale ci mężczyźni nie zapomnieli. Ich szorstkie, proste podziękowanie sprawiło mi większą przyjemność niż mydliny na mojej skórze.

– A pan jest pewnie jednym z tych cywilnych przewodników – zawołałam przez drzwi do mężczyzny na zewnątrz, mydląc włosy. – Wie

pan może, co się dzieje w pozostałej części wschodniego sektora?

Gdy kończyłam myć włosy, przekazał mi wyniki ataku.

– Moja kompania jest sporo na południe od Gildendorfu – powiedział na koniec. – A tak właściwie, co taka nazwa jak Gildendorf robi tak blisko Odessy?

Uśmiechnęłam się, splukując pianę.

– Tak się składa, że to bardzo ciekawa historia...

– Pożałujesz, że spytałeś – jęknęła Lena, podkradając mi mydło.

– Dowiedziałam się, że miasteczko zostało założone mniej więcej osiemdziesiąt lat temu przez niemieckich osadników. Stąd te germańskie wpływy. Można je zauważyć w miejscowej nomenklaturze na ich nagrobkach – dodałam, ożywiając się dzięki tej ciekawostce historycznej, którą udało mi się poznać.

– Na nagrobkach? – Tym razem baryton wydawał się zdezorientowany. – Czy w przerwach między likwidowaniem gniazd karabinów maszynowych zwiedzała pani cmentarze?

– Gdy robiłam rekonesans, szukając najlepszej pozycji do strzału. Czytałam Walki w Finlandii. Wie pan, że w karelskich lasach fińscy snajperzy strzelali do celu, siedząc na drzewach? Bardzo ciekawe. Dlatego przezywano ich kukułkami...

– Sama jesteś kukułka. – Lena rzuciła mi koszulę, a ja naciągnęłam ją na wyszorowaną, lśniąca skórę.

– ...no więc znalazłam cmentarz – kontynuowałam, zagłuszając ją i wciąż mówiąc przez drzwi. Minęło bardzo dużo czasu, odkąd Milla studentka miała okazję wynurzyć się ze swojej jaskini zamiast Mili snajperki (kiedy walczyłam) albo Mili matki (kiedy pisałam listy do domu). – Mówię panu, ci niemieccy osadnicy nie potrafili nawet wykopać grobów, nie rozmieszczając ich w fanatycznie równiutkich rzędach jak od linijki. Prowadziłam obserwację, siedząc z karabinem na drzewie tuż nad grobem bürgermeistra Wilhelma Schmidta, który umarł w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym...

– Czy to wyjaśnia ten kuszący strój, który leży pod drzwiami? – Tym razem w barytonowym głosie wyraźnie dało się słyszeć rozbawienie. –

Widywałem już kamuflaże, ale ten...

– Szykowałam go całą noc! – Kawałki siatki, brązowej tkaniny workowej i starego zielonego materiału na mundury skrupulatnie pocięte na wstążki i ponaszywane na całą moją kurtkę – zapamiętałam lekcje instruktora z blizną, który zniknął na łące w niemożliwym do opisania żółto-zielonym kombinezonie z kapturem, całym obszytym liśćmi, i czekał, aż go znajdziemy. Poddawaliśmy się po godzinie z bólem w oczach, a on niezmiennie wyskakiwał z krzaków oddalonych od nas o jakiś metr i ironicznie się uśmiechał. Na stepie nie miałam okazji wykorzystać swoich umiejętności w zakresie kamuflażu, ponieważ trudno było tam znaleźć tło, w które można by się wtopić, ale zalesione obszary wokół Gildendorfu dostarczały mi drzew i listowia, wśród których mogłam się ukryć. – I nie powinien się pan z niego śmiać, bo przecież zlikwidowałam gniazdo karabinu maszynowego.

– A potem spadła z drzewa – zawołała Lena.

– Z dziewięciu metrów. – Zapięłam koszulę, wciągnęłam spodnie i zapięłam pas. – Prosto na grób bürgermeistra Wilhelma Schmidta zmarłego w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku.

– Kiedy następnym razem będziesz czytała książkę każącą ci się wspinać na drzewa w przebraniu fińskiej kukułki – powiedziała Lena – nie zakładaj, że będziesz umiała latać jak kukułka.

Skrzywiłam się i wyszłam z łaźni, niosąc buty. Pod ścianą bani stał mój plecak przykryty czapką, a obok czekały paczuszka liści wilczej jagody dla Sławki, które udało mi się w międzyczasie zerwać, i mój karabin obwiązany liśćmi klonu i pnączami przysłaniającymi jego kanciaste, wyraźne krawędzie. Zarzuciłam go na ramię, a potem spojrzałam na mężczyznę, z którym gawędziłam przez drzwi. Zdążył już włożyć zniszczone buty, stare spodnie i jeszcze starszą koszulę bez guzika pod szyją. Wyglądał na mniej więcej trzydzieści pięć lat, co odróżniało go od wszystkich dziewiętnastolatków i dwudziestolatków w mundurach. Bez wątplenia był jednym z miejscowych cywili zwerbowanych jako wojskowi wywiadowcy.

– Upadek z dziewięciu metrów? – Przyjrzał mi się, wypatrując obrażeń, a ja przyłapałam się na tym, że też mu się przyglądam. Był wysoki,

barczysty, wokół oczu miał zmarszczki od uśmiechu... – Macie szczęście, że to biodro nie jest złamane.

Wzruszyłam ramionami.

– Obrażenia się zdarzają. – Tylko świeży rekruci patrzyli na rannych, myśląc: „Mnie to nie spotka”. Żołnierz, który już był pod ostrzałem, myśli: „Mnie też może to spotkać, więc muszę bardziej uważać”. A żołnierz, który widział, jak jego towarzysze giną bez względu na to, jak bardzo uważali, myśli: „Pewnego dnia spotka to także mnie – ale nie dzisiaj, jeśli tylko zdołam się stąd wydostać”.

Lena wyszła z bani, wciąż wycierając włosy, i dała blondynowi głośnego całusa.

– To za to, że skróciłeś dla nas swoją kąpiel, zajczik.

Spojrzał na mnie i uniósł brew.

– Jeśli dostanę takiego całusa także od snajperki, uznam, że było warto.

Roześmiałam się, stanęłam na palcach i objęłam go ręką za szyję.

– Czemu nie?

Nigdy nie reagowałam na flirtowanie ze strony innych żołnierzy, ale z cywilami to było co innego. Od dawna nie czułam się przez nikogo podziwiana, komplementowana, nie czułam się kobieca, dlatego pocałowałam go w policzek. Odwrócił głowę, bezwstydnie skręcając w stronę moich ust, a ja odsunęłam się z uśmiechem, zanim jego wargi zdołały ich dotknąć. Pachniał sosnami.

Lena przeciągle zagwizdała, podnosząc małą stertę prezentów zostawionych obok drzwi.

– Chodźmy już, bo inaczej spóźnimy się na żarcie!

Pozwoliłam, żeby mnie odciągnęła, i znowu się skrzywiłam, gdy moje biodro zapłonęło z bólu.

– Kochaś miał rację, mówiąc, że mogłaś się połamać. Potrzebujesz partnera, Milu. Kogoś, kto będzie cię ubezpieczał, poda pomocną dłoń, kiedy będziesz musiała wyskoczyć ze snajperskiego gniazda.

– Jeszcze go nie znalazłam. – Szukałam w swoim batalionie, wypełniając rozkazy Siergijenki, by szukać rekrutów do przyuczenia na snajperów, ale

nie trafiłam na nikogo, kogo chciałabym mieć za plecami dłużej niż przez jeden nocny wypad. Pewien chłopak z Kijowa dobrze strzelał, lecz poruszał się jak słoń, zaś tyczkowaty leningradczyk miał najbystrzejsze oczy, z jakimi kiedykolwiek się spotkałam, ale gdy pociągał za spust, nie umiał się nie wzdrygnąć.

– Czterdzieści sześć trafień... – Lena wyjęła złotą gruszkę spośród moich prezentów i wciągnęła jej zapach. – Żyjesz na kredyt. Znajdź sobie partnera, bo gdy następnym razem spadniesz na grób, może się okazać, że to będzie twój własny. To jak, pozwolisz mi zjeść tę gruszkę?



Czternastu mężczyzn najróżniejszego wzrostu i tuszy, w każdym wieku: moi nowi rekruci stali w luźnej grupie, śmiejąc się i rozglądając w oczekiwaniu na swojego oficera. Pozwoliłam im poczekać trochę dłużej i oparłszy wciąż obolałe biodro o skrzynię z pociskami, przeglądałam opatrzoną autografem broszurę swojego dawnego instruktora. Chodziły słuchy, że niebawem nas przeniosą, że będziemy się wycofywali przez Odessę, ale jeszcze nie teraz – a ja otrzymałam kolejne rozkazy dotyczące szkolenia nowych strzelców wyborowych, tym razem wydane przez samego generała Pietrowa. Chciał więcej snajperów, i to szybko. „Nie da się wyszkolić snajpera w zaledwie trzy albo cztery dni”, zaprotestowałam, lecz skwaszony major stojący za Siergijenką odparł: „Macie tydzień”.

Z powątpiewaniem przyglądałam się znad krawędzi broszury zebranych obok mężczyzn. Kilku z nich było strzelcami ocalałymi z rozgromionych plutonów i przydzielonymi do nowych kompanii, ale dwie trzecie grupy stanowili marynarze z Sewastopola, którzy zgłosili się na ochotnika. Miałam pewne wątpliwości, czy jakikolwiek mężczyzna w szerokich spodniach, bardziej przywykły do rozkołysanego pokładu niż do gładkiego, brutalnego ciężaru mosina-naganta, będzie miał oko godne strzelca wyborowego.

W końcu zawołał do mnie najroślejszy z marynarzy.

– Służysz tu, kukułka?

– Tak – potwierdziłam, wciąż przeglądając broszurę.

– Przydzielili nam szalową pielęgniarkę, co, chłopaki? – Nie widziałam, jak puszcza oko do kumpli, ale wyraźnie to poczułam. – Poznajmy się, ślicznotko. Jestem Fiodor Siedych, a ty?

Zrobiłam znaczek ołówkiem.

– Ludmiła Michajłowna.

– No, Luda, nie krzyw się. Bądź miła! Co ci szkodzi?

Nagle przypomniał mi się Aleksiej i jego: „Uśmiechnij się!”. Wypchnęłam go z głowy, ale mój głos zabrzmiał lodowato, gdy odrzekłam:

– Będę miła, gdy wszyscy staniecie na baczość przed swoim dowódcą, tak jak nakazuje regulamin wojskowy.

Zamrugął.

– A gdzie ten dowódca?

– Ja jestem dowódcą.

– Luda, nie żartuj z nas, przecież to nie...

Odwrociłam się, opuszczając broszurę, by mogli zobaczyć moje kaprałskie oznaczenia, i podnosząc głos, ryknęłam jak mój ojciec.

– Baczość!

Jakiś ciemnowłosa mężczyzna wystąpił naprzód i energicznie stanął na baczość. Zapadła długa cisza. Staralam się nie wstrzymywać oddechu. Potem marynarz, który nazywał się Fiodor Siedych, wciąż zaskoczony, ustawił się obok tego pierwszego i po kolei dołączyli do nich pozostali.

– Jesteście tutaj, ponieważ w planowanym natarciu będziemy potrzebowali snajperów – podjęłam, idąc wzdłuż szeregu i patrząc każdemu z nich w oczy. Jedne były niebieskie, inne brązowe, jedne zuchwałe, inne zaciekawione. – Zobaczmy, czy macie to, czego nam tu potrzeba. Magazynki leżą tam, weźcie po pięć na głowę. – Dotarłam do ostatniego rekruta, tego, który pierwszy stanął na baczość. – Zacznijmy od was. – Był starszy od pozostałych, bliżej mu było do trzydziestu pięciu niż dwudziestu pięciu lat, był żylasty i przywodził na myśl brzytwę: zredukowany do mięśni, kości i ścięgien przypominających bicz. Jego czapka tkwiła na czarnych włosach przystrzyżonych krótko jak pole pszenicy zimą, a kiedy spojrział mi w oczy, rozpoznałam go.

– Dotarliście do końca bitwy pod Austerlitz w Wojnie i pokoju? – spytałam Sybiraka, którego ostatni raz widziałam w okopach, zanim zostałam ranna.

Kiwnął głową, nie uśmiechając się, ale uśmiech czaił się w kącikach jego oczu.

Prawie odpowiedziałam mu uśmiechem.

– Jak się nazywacie, szeregowy?

– K.A. Szewieliow. – Głos miał cichy, spokojny, kulturalny.

– Zobaczmy, co potraficie. – Odsunęłam się, a on zaczął ładować broń szybkimi ruchami. Pamiętałam z naszego pierwszego spotkania w okopach, że potrafi strzelać, ale chciałam, by inni zobaczyli, jak wykonuje moje rozkazy. – Potem przyjdzie kolej na pozostałych, zaczynając od Fiodora, który tak lubi się wymądrzać. – Uśmiechnęłam się, by dać mu do zrozumienia, że jestem gotowa pożartować, pod warunkiem że nie będzie się wychylał. – Jeśli ktokolwiek z was jest coś wart, zabiorę was na rekonesans i sprawdzimy, jak sobie radzicie w terenie.

– Skoro nazywacie się Pawliczenko – odezwał się śmiało Fiodor – to czy to wy macie na koncie czterdzieści sześć trafień?

– Pięćdziesiąt jeden. Ładuj broń.

Zacząli ładować. Jedni byli chyba pod wrażeniem, inni wyglądali na urażonych. Tak czy inaczej, wiedziałam, że mam ich w garści.



Parafrazowanie Tolstoja powinno być zakazane, ale nie mogę się powstrzymać: wszystkie nieudane łowy są do siebie podobne, każde udane łowy są udane na swój sposób. (Nie skończyłam Anny Kareniny, podobnie jak Wojny i pokoju, ale nawet ja znałam pierwsze zdanie). Udany dzień snajpera może oznaczać dziesięć trafień albo pełen napięcia impas bez żadnego trafienia. Nieudany dzień snajpera to taki, w którym spudłuje i w końcu zginie. Dlatego na odwieczne pytanie, jak to jest być snajperem, nie ma odpowiedzi. Każdy dzień był inny. Jeśli go przeżyłam, to był dobry dzień.

Ale jak to jest? Słyszałam zadawane bezgłośnie pytanie swoich kursantów. Rok później zobaczyłam je w oczach Eleanor – nawet pierwsza dama Stanów Zjednoczonych nie była uodporniona na chorobliwą ciekawość. Jak to jest, Ludmiło?

Wy też jesteście ciekawi, prawda?

No dobrze. Chodźcie ze mną.

Zabiorę was na rekonesans. Nie jest to żaden szczególnie ważny wypad – tej nocy nie upolowałam adiutanta ani pułkownika Gestapo wiozącego tajne plany Hitlera. Zabiorę was w noc, podczas której znalazłam partnera, drugą połowę swojego ciemnego księżycyca – dla snajpera to odkrycie o wiele ważniejsze niż noc, kiedy poznaje się swoją prawdziwą miłość. Mężom, jak miałam okazję się przekonać, nie zawsze można ufać. Partnerowi snajperka powierza swoje życie, noc w noc. Lepiej, żeby to był ktoś, komu ufa bardziej niż mężowi.

Wcześniej tego dnia znalazłam kryjówkę i przebadałam teren aż do ostatniego źdźbła trawy. Gąszcz zarośli na szerokiej ziemi niczyjej – długi na sto pięćdziesiąt metrów, szeroki na dwanaście do piętnastu – ciągnął się za naszą linią frontu, jego wąski koniec dźgał rumuńską linię obrony jak włócznia, kończąc się w płytkim wąwozie niedaleko drugiego rzutu wroga.

– Kaemiści? – Rekrut, którego postanowiłam ze sobą zabrać tej nocy, mówił ściszym głosem, gdy po północy wyruszyliśmy z wykopu.

– Podnieś łopatę, a nasi strzelcy otworzą ogień, żebyśmy mogli się wycofać.

Nic więcej nie mówiliśmy, przemykając w ciepłą noc z wykopu do kryjówki w zaroślach. Prześlizgiwaliśmy się jak cienie pod bezchmurnym niebem, taszcząc swoje karabiny i torby z amunicją. Godzina na pokonanie sześciuset metrów.

A teraz patrzcie, jak ja i mój rekrut odrabiamy lekcje. Nudna, mozolna część, która nikomu nie przychodzi na myśl, gdy wyobraża sobie tę mroczną robotę wykonywaną w ciemności. Nie przypomina to popisu, o jaki poprosił mnie kapitan Siergijenko w zbombardowanym wiejskim domu; nie przypomina też mojej obserwacji na klonie, gdzie tkwiłam w kamuflażu, by wtopić się w listowie. Grunt trzeba przygotować, a to oznacza godziny w całkowitym mroku poświęcone robieniu okopów

i małych nasypów, wzmacnianiu ich kamieniami i darnią – ponieważ wbrew powszechnemu wyobrażeniu snajperzy częściej strzelają z kryjówek na ziemi niż z wysokich dachów albo z drzew. Potem godziny leżenia w naszych gniazdach, ustawiania luf, by znaleźć optymalnie stabilne miejsce, sprawdzanie kierunku wiatru, obliczanie odległości. A następnie czekanie: my dwoje skuleni w rozprutej ziemi, gwiazdy przetaczają się po niebie, a wróg śpi. Właśnie podczas czekania zieloni snajperzy pokazują swój brak doświadczenia. Wiercą się i postukują magazynkami, denerwują się wystarczająco mocno, by sięgnąć po papierosy. Ciemnowłosy Sybirak leży cicho na wyciągnięcie ręki, zachowuje zimną krew, tylko jego oczy błyszczą w świetle gwiazd.

A teraz patrzcie, jak nastaje świt. Jak ruch pobudza wroga niczym gorąco przetaczające się po powierzchni garnka z zupą, żołnierze chodzą tu i tam, nawołują się, myślą, że są bezpieczni. Zaczyna działać kuchnia polowa, oficerowie wydają głośno rozkazy, w punkcie medycznym roi się od połyskujących białych fartuchów lekarzy. Jeden gest do mojego nowego rekruta – ja zajmę się lewą flanką, on weźmie prawą. Odpowiada kiwnięciem głowy.

Patrzcie, jak dzień się ogrzewa. Palce się rozprostowują, rozluźniają, nabierają giętkości. Serce się ożywia. Słońce wspina się po niebie. Karabin śpiewa do mnie cicho, a nad naszymi głowami dudni ogień artyleryjski. Zaczynam liczyć do dwunastu, do swojej północy.

Patrzcie.

Pierwsze trafienie należy do mnie. Rumuński oficer w kepi się przewraca. Sybirak oddaje pierwszy strzał, zanim mój pierwszy cel dotyka ziemi, i widzę, jak drugi oficer chwieje się na nogach. Nasze strzały maskuje dudnienie artylerii. Przez chwilę nikt nie wie, kto ani co kładzie ich oficerów, i zdejmujemy jeszcze dwóch, zanim wszyscy wpadają w panikę. Strzelam, strzelam i strzelam, Sybirak obok mnie przeładowuje raz po raz i dopiero gdy serie z karabinu maszynowego zaczynają smagać zarośla wokół nas, zwijamy się i ześlizgujemy z powrotem w krzaki, podnosząc łopaty, by nasi zaczęli nas osłaniać.

Gdy jesteśmy już za swoją linią, wciąż dysząc po pokonaniu sprintem ostatniego odcinka, spoglądam na swojego towarzysza.

– Siedemnaście strzałów, szesnaście trafień. A ty?

– Siedemnaście strzałów, dwanaście trafień. – To pierwsze słowa, które wypowiedział w ostatnich dwunastu godzinach i chyba jest na siebie zły za tych pięć chybień.

– Ja potrzebowałam siedmiu kul, żeby położyć dwóch pierwszych w swoim życiu. Zdarza się. – Usiedliśmy w wykopie i w stalowoszarym świetle poranka zaczęliśmy rozkładać i czyścić swoje karabiny. – Gratuluję, właśnie otworzyłeś swoją listę.

Kiwnął głową i skupił się z powrotem na oliwieniu lufy. Lekko drżały mu dłonie. Starał się to przede mną ukryć.

– Wystaw rękę – powiedziałam.

Zawahał się.

Wystawiłam swoją, żeby zobaczyć, że też się trzęsie.

– Napięcie nerwowe – wyjaśniłam. – Pojawia się po wypadzie, ale mija. – Ja już o tym wiedziałam, ale on jeszcze nie. – Nie trząśłeś się, kiedy strzelałeś, prawda? – spytałam łagodnym tonem.

– Nie. Ale i tak pięć razy spudłowałam. – Na jego twarzy nie było grymasu niezadowolenia, lecz spochmurniał. – Poluję od dziecka. Nie pudłowałam tak, odkąd miałem osiem lat.

– Strzelanie po raz pierwszy do człowieka to nie to samo co strzelanie do jelenia. Nie ma co udawać, że jest inaczej.

– Do ludzi też strzelałem. W batalionie setki razy mierzyłem do żołnierzy wroga.

– To co innego. My widzimy ich twarze. Widzimy, czy rano się umyli, czy dbają o mundur, czy są flejtuchami, czy niedawno się strzygli. – Tym razem to ja się zawahałam. – To... coś intymnego. Potem się to czuje.

– Nie w trakcie?

– W moim przypadku nie. Gdy czekam w kryjówce... – Znowu się zawahałam. – Wtedy nie czuję żadnych emocji. Przyczajam się i czekam. Mówię swojemu karabinowi, żeby był pewny i opanowany.

– Mówisz do niego?

– O tak. Znam go lepiej niż samą siebie. Jest trochę bardziej humorzasty niż jego poprzednik, trochę niesforny. – Pocałowałam chłodny, czarny metal lufy. – Ale można na nim polegać.

Spojrzał na mnie. Pachniał prochem, podobnie jak ja.

– Widzisz później ich twarze?

– Już nie. – W każdym razie nieczęsto.

– Ale mimo to... – Skinął w stronę mojej drżącej ręki.

– Wiem z doświadczenia, że to za jakiś czas mija. Tak samo jak zmęczenie oczu. – Pogrzebałam w kieszeni w poszukiwaniu papierośnicy.

– Palenie pomaga. Dawniej nie paliłam, ale moja przyjaciółka Lena mówiła, że to tylko kwestia czasu, i miała rację. – Zapaliłam papierosa, wciągając w płuca kojący dym.

– To też pomaga. – Wyjął piersiówkę z kieszeni na piersi i podał mi ją.

– Załatw sobie taką powleczoną materiałem. – Pociągnęłam łyk. Ostra wódka smakowała jak sok z sosny. – Lepiej, żeby błysk metalu nie zdradził twojej pozycji.

– Karabin, piersiówka, nóż, dwie skrzynki z amunicją... – wymieniał przedmioty z listy snajperskiego wyposażenia. – Bez hełmu? – Spojrzał na moją gołą głowę.

– U mnie bez. Uszkodzenie słuchu podczas tamtego ataku Rumunów z kapłanem. Moje uszy nie są już takie jak dawniej. – Prawie były, ale nie do końca, a dla kogoś, kto tak jak ja operował ułamkami, „prawie” było drobinką równie zabójczą jak kaukaski jar. Gdy żyło się zgodnie z zasadą „nie spudłować”, nie było miejsca na „prawie”. – Snajper musi zamienić się w słuch, a hełm utrudnia mi wyławianie słabych dźwięków. – Położyłam karabin z boku.

– Ręka?

Uniósł ją. Palce były nieruchome jak gład. Jego oczy się uśmiechnęły.

– Dobrze. – Siedzieliśmy, podając sobie piersiówkę i patrząc na obozową krzątanicę. Batalion miał już wkrótce się zwinąć i wycofać przez Odessę. Chodziły słuchy, że połączymy się z dwoma innymi batalionami z pięćdziesiątego czwartego. Potem mieliśmy przejść do dużego natarcia.

– Będziesz moim partnerem? – spytałam zwyczajnie.

Jego odpowiedź zabrzmiała równie zwyczajnie.

– Tak, Pawliczenko.

– Skoro mnie osłaniasz, możesz mi mówić Mila. – Zaproponowałam mu papierosa. – Jak masz na imię K.A. Szewieliow?

– Konstantyn Andrejewicz. – Zapalił i wypuścił kręty kłęb dymu. – Kostia.

Patrzcie. Oto dzień z życia snajpera. Jedne łowy. Dwadzieścia osiem trafień. A do tego znalazłam partnera – swój cień, swoją drugą połowę.

9

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Rankiem drugiego dnia października nasza potężna machina wojenna przystąpiła z werwą do zorganizowanych i skutecznych działań pod Tatarką.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Było to mniej więcej tak zorganizowane i skuteczne jak obrzucanie się gównem przez małpy w zoo.

Bataliony moździerzy i formacje działowe pierwsze uderzyły w najeźdźców – ryk był równie ogłuszający jak wrzask smoka, a do tego olbrzymie żółte wybuchy ognia otaczające pozycje wroga na zachodzie i południowym zachodzie Tatarki, które także mogłyby być smoczym dziełem. Kilka godzin później ruszyłam razem z resztą batalionu przez czarną ziemię przemienioną przez ogień w piekielny krajobraz jak z koszmaru. Okopy, transeje, stanowiska strzelnicze otoczone wysoką trawą, leszczyną i dzikimi jabłoniąmi – wszystko było zwęglone. Oddział moich świeżo wyszkolonych strzelców wyborowych szedł za mną w milczeniu. Przed bitwą przechwalali się, mówiąc, ilu żołnierzy wroga zastrzelą, lecz teraz, w obliczu zwycięstwa, byli bladzi jak ściana. W tak przerażającym triumfie śmierci nad życiem nie ma nic przyjemnego, nawet jeśli jest to śmierć znienawidzonego wroga. Połowa moich ludzi zwymiotowała, gdy pierwszy raz poczuli dziwną słodkawą woń trupów.

– Spójrzcie na to wszystko – powiedziałam do nich, przechodząc nad tłącymi się resztkami stanowiska strzeleckiego. – Ale potem zapomnijcie,

bo znowu będziemy musieli to robić. – Cały ten ogień i cała ta krew dały nam jedynie półtora kilometra ziemi, a Rumuni wciąż mieli osiemnaście dywizji przeciwko czterem naszym.

Tak, walczyłam w tej bitwie, a później, czytając o niej, pamiętałam jej ogólny przebieg. Tatarka jednak już zawsze będzie mi się kojarzyła nie z bitwą, lecz z dziewczyną o imieniu Maria.

– Chutor Kabaczenków. – Kciuk kapitana Siergijenki wskazał go na mapie. – Roztacza się z niego widok na drogę z Owidiopola do Odessy, jest niedaleko torów kolejowych, a batalion karabinowy wroga urządził w nim stanowisko dowodzenia. Na razie je porzucili. Weźcie swoich ludzi – ciągnął, skinąwszy w moją stronę – zabierzcie po dwieście nabojów na głowę i utrzymajcie tę pozycję najdłużej, jak się da.

Zaczął przydzielać pozostałe wysunięte posterunki, a ja poszłam przygotować swój nieformalny oddział. Byłam już sierżantem i z czternastu ludzi, których dano mi do przeszkolenia, odrzuciłam czterech. Wśród dziesięciu pozostałych było ośmiu przyzwoitych strzelców, a dwaj pozostali mieli zadatki na prawdziwych snajperów.

Śpiewali, maszerując za mną w stronę chutoru Kabaczenków – była to piosenka *Wesoły wiatr* z filmu *Wajnsztoka Dzieci kapitana Granta*.

– Nie oglądałam go – powiedziałam do Kostii, który jak zwykle szedł obok mnie. Uśmiechnął się bez słowa. Był teraz moim partnerem i rzadko oddalał się bardziej niż na wyciągnięcie ręki, a mimo to wciąż wiedziałam o nim niewiele poza tym, że pochodził z Irkucka i aktualnie miał na koncie trzydzieści sześć trafień. Nie przechwalał się swoimi osiągnięciami tak samo jak ja – właśnie to, nawet bardziej niż jego bystry wzrok i wilczy chód, mówiło mi, że dobrze wybrałam partnera. Wojna uwypukla prawdziwą naturę każdego człowieka i choć o Kostii wiedziałam niewiele, byłam pewna, że z natury jest twardy jak skała.

Gospodarstwo składało się z parterowego budynku krytego dachówką, a na łagodnym wzniesieniu za nim rozpościerał się sad. Gdybyśmy zabezpieczyli to wzniesienie, moglibyśmy mieć na oku drogę i strzelać do każdego, kto by się tamtędy zbliżał... Mój oddział rozdzielił się, by ominąć spalony wrak ciężarówki wroga i przewrócony motocykl, transporter opancerzony z rozerwaną gąsienicą. Kobieta, która otworzyła, gdy

zapukałam do drzwi, wyglądała na pięćdziesiąt lat, stała wyprostowana, miała gorzkie spojrzenie i szarą chustkę na głowie.

– Nieczęsto widuję żołnierzy pod dowództwem kobiety – odrzekła chłodno na moje pozdrowienie. – Nazywam się Serafima Nikonarowna. Wejdźcie. – Widocznie wiedziała, że i tak będziemy musieli wejść i skorzystać z jej zapasów bez względu na to, czyby nas zaprosiła czy nie, lecz i tak wykonała sztywno mały zapraszający gest. – Oczywiście podzielimy się z wami tym, co mamy.

Zanim przyszli faszyci, było to małe gospodarstwo z rodzaju tych, jakie często widuje się na wsi: przytulny dom z mężem i żoną, synami i córkami, pielęgnującymi wspólnie ogród warzywny, kurnik i chlew. Potem nadszedł wróg, splądrował warzywnik, wyłapał kurczęta i zaszlachtował świnię. Jeśli zaś chodzi o rodzinę, dwaj synowie zostali brutalnie pobici, ojciec trzymał rękę w prowizorycznym temblaku, a córka siedziała przy oknie owinięta chustami, wpatrując się tępo w pole za domem. Jeden z moich ludzi podszedł do niej i przyjaźnie się uklonił – był to Fiodor Siedych, ten młody byczek, który na początku mi się stawiał, a obecnie był moim drugim najlepszym strzelcem po Kostii – ona jednak skuliła się i bez słowa rozplakała. Fiodor, chłopak miły i niezbyt bystry, wycofał się ze zdziwioną miną, a matka dziewczyny rzuciła mu nieprzyjemne spojrzenie.

– Wszystkie nasze jednostki wojskowe wycofały się stąd we wrześniu – głos Serafimy zabrzmiał szorstko, gdy bez ociążania się postawiła na stole talerz z kiszoną kapustą i ogórkami. – Zostawili nas na łasce faszystów. Kazałam swojej Marii schować się za chlewem, ale i tak ją znaleźli.. Oni ją... – Matka dziewczyny urwała, patrząc na mnie z wściekłością. – Było ich czterech. Czterech. Gdzie się wtedy podziewaliście, towarzyszeko sierżant?

Chciałam jej powiedzieć, że wojna nie jest przegrana, że to dopiero początek. Chciałam jej powiedzieć, że od ponad dwóch miesięcy utrzymujemy linię obok Odessy, że tysiące najeźdźców zginęły, próbując zająć czarnomorskie stepy. Słowa jednak zamieniły się w pył na moim języku. Stałam, pozwalając, by robiła mi wyrzuty, a gdy skończyła, podeszłam do okna, przy którym siedziała siedemnastoletnia Maria z oczami jak pola popiołu. Od Fiodora się odsunęła, ale mnie pozwoliła uklęknąć obok.

– Mario, może mogłabyś mi pomóc w pewnej sprawie – powiedziałam cicho, odwijając chusteczkę, którą wyjęłam z kieszeni. Była w niej garść różnych liści, które teraz rozłożyłam jej na kolanach. – Zbieram liście drzew, żeby przesłać je synowi. Jest w pionierach i uczy się o roślinach, ale ja nie jestem dziewczyną ze wsi i nie wiem, z jakich drzew pochodzą te liście. Czy ten jest... z brzozy?

Jej głos był jedynie szeptem.

– To olsza.

– A ten?

– Wiąz.

– A ten?

– Dąb. – Wymieniała dla mnie nazwy ich wszystkich po kolei, a jej matka i moi ludzie się temu przyglądali.

– Dziękuję ci, Mario. – Schowałam liście na później, by czekały do chwili, gdy będę mogła odsunąć snajperkę na bok i napisać do Sławki. – Mogę ci coś pokazać?

Kiwnęła głową jak bardzo, bardzo stara kobieta. Ukłucie, które poczułam, tak dalece wykraczało poza ból, poza smutek, że zabrakło mi tchu. Delikatnie wzięłam ją za rękę, którą trzymała na kolanach.

– Widzisz te czarne smugi na wzgórzu? – Wskazałam pole za oknem. – Zrobiły je pociski naszych katusz. Potrafią spalić faszystowskich żołnierzy na czarny popiół. Nie grzebiemy ich, Mario. Pozwalamy, by ich prochy zniknęły w ziemi i żeby nikt nie pamiętał ich twarzy ani imion. Właśnie tak powinni umierać najeźdźcy.

Przeszyła mnie wzrokiem. Obym nigdy nie ujrzała takiego spojrzenia w oczach własnego dziecka. Żadna matka nie powinna oglądać czegoś takiego.

– Dobrze strzelacie, sierżancie? – spytała dziewczyna.

– Tak. Mam karabin ze specjalnym celownikiem.

Poczułam, że wszyscy z mojego oddziału wstrzymują oddech.

– Zabijcie ich – powiedziała Maria. – Bez względu na to, ilu ich zobaczycie, zabijcie wszystkich.



Morderczynie. Rzeźniczka niewinnych. Bezwzględna zabójczyni. Tak mnie później nazywali niektórzy amerykańscy dziennikarze. Według nich kobieta, która stłumiła swoje naturalne kobiece współczucie, by zostać snajperką, musiała być bezlitosną morderczynią z linii frontu polującą na biednych, bezbronnych niemieckich żołnierzy, którzy przecież tylko wykonywali rozkazy. Miałam ochotę powiedzieć prawdę tym przemądrzałym wojownikom uzbrojonym w maszyny do pisania: to nie wy patrzyliście w oczy Marii Kabaczenki po tym, jak przygwoździli ją do ziemi czterej mężczyźni, którzy najpierw napadli na jej kraj, potem na jej dom, a na końcu na jej ciało. To nie wy widzieliście rozpaczliwą, przepojoną smutkiem wściekłość w jej oczach. To nie wy trzymaliście jej kurczowo zaciśnięte dłonie, gdy błagała: „Zabijcie ich wszystkich”.

Gdybyście to byli wy, zrobilibyście to samo co ja. Z całą delikatnością swojej duszy uścisnęlibyście jej ręce, a potem z każdą kroplą gniewu, jaki zdołalibyście w sobie znaleźć, odpowiedzielibyście: „Zabiję, obiecuję”.

Zastrzeliłam pięciu, gdy mój oddział urządził zasadzkę na trzy motocykle z koszami. Ośmiu kolejnych położyłam, gdy zatrzymaliśmy dwie mijające nas z warkotem ciężarówki wroga: Kostia przestrzelił koła, a ja zdjęłam najeźdźców, którzy wyskoczyli z kabin. Moi ludzie wykopali okop u podnóża wzniesienia za gospodarstwem, za pagórką porośniętą dzikimi różami, a potem położyłam się tam między Kostią i Fiodorem i patrzyliśmy, jak przejeżdżają rumuńskie czołgi. Usłyszeliśmy smoczy ryk naszej artylerii otwierającej do nich ogień, a następnie odstrzeliliśmy ocalałych, którzy wycofywali się po wzniesieniu. Codziennie przynosiłam garść liści i kwiatów, prosząc Marię, żeby wymieniła ich nazwy, a gdy to zrobiła, mówiłam jej, ilu żołnierzy wroga zabiłam tego dnia. Wtedy mnie obchodziło, ile trafień mam na koncie, ponieważ codziennie widziałam, jak Maria się uśmiecha.

– Będę się za was modliła – szepnęła, gdy usłyszała, że nazajutrz wracamy do swojego batalionu. – Nasz Pan Jezus Chrystus będzie was chronił.

Omali jej nie powiedziałam, że nie wierzę w Boga. Jak większość rodzin w mieście, moja zawsze przedkładała wiarę w ojczyznę nad wiarę w puste symbole religijne. Nawet gdybym była pobożna, tak jak wiele tych wiejskich rodzin na oddalonych od miast obszarach, wojna i jej koszmary na pewno zabiłyby we mnie wiarę. Ścisnęłam jednak dłoń Marii i podziękowałam jej za modlitwę.

– Kostia, wierzysz w Boga? – spytałam tego wieczoru swojego partnera. Wszyscy oprócz tych stojących na warcie – i oprócz nas dwojga – poszli już spać. Wyszłam z budynku, żeby posiedzieć w wysokiej trawie przed spowitym ciemnością domem, rozkoszować się rześkim jesiennym powietrzem, a Kostia wyszedł za mną z dzbanem mętnego domowego piwa, które wieczorem odkorkowała dla wszystkich matka Marii. Leżeliśmy w trawie, opierając się na łokciach, obok niczym wierne psy spoczywały karabiny, po niebie przesuwwały się cicho gwiazdy jak diamenty... to była noc w rodzaju tych, w czasie których rozmawia się o Bogu, duszach i wielkich tajemnicach.

Mój partner długo milczał, turlając między palcami źdźbło trawy,

– Wierzę w książki – powiedział w końcu.

– Tylko w książki?

– W książki... i w przyjaciół.

– Ale podobnie jak ja jesteś samotnikiem. – Fiodor i pozostali ciągle się ze sobą siłowali i bawili w grupie jak rozbrykane psy, lecz Kostię zazwyczaj można było zobaczyć w pojedynkę, gdy czytał albo czyścił karabin na własnym skrawku samotności. Całkiem jak ja. Lubiłam towarzystwo, lubiłam się pośmiać, ale po pewnym czasie potrzebowałam być sama.

– Jesteśmy samotnikami – powiedział Kostia. – Ale mamy przyjaciół gotowych oddać za nas życie. I też jesteśmy gotowi za nich umrzeć.

Zastanawiałam się, co porabiają w Odessie wesoła Sofia albo kąśliwa Wika.

– Wątpię, czy przyjaciele sprzed wojny jeszcze by mnie poznali. – Bibliotekarce Mili daleko było do snajperki Mili.

– Zaczęłabyś mówić o Bohdanie Chmielnickim. – Przez spowitą ciemnością twarz Kostii przemknął uśmiech. – Wtedy by cię poznali.

Roześmiałam się, sięgając po dzban z domowym piwem. Wieczorem przy kolacji piliśmy je z kielichów z rżniętego szkła wyjętych z dumą przez Serafimę ze skrzyni, która jakimś cudem ocalała po nalocie Niemców. Teraz pociągnęłam prosto z dzbana i zakasłałam.

– Przysięgam, że to paliwo do czołgu.

– Daj. – Kostia upił tęgi łyk, znowu patrząc na powolny taniec gwiazd.

– W co wierzysz, Milu?

Zastanowiłam się, czując palenie podłego alkoholu w gardle.

– W wiedzę, która rozjaśnia drogę ludzkości – odrzekłam w końcu. – Oraz w to. – Poklepałam karabin. – By chronić ludzkość, gdy zbaczamy z tej drogi.

– Prowadź nas po tej drodze – powiedział Kostia. – Będę cię zabezpieczał.



Pierwszy batalion wyparł najeźdźcę z Tatarki, ale zaraz po powrocie w jego szeregi ja i mój oddział znaleźliśmy się w ogniu walk, rzuceni przeciw trzem batalionom wroga obok torów kolejowych. Bomby spadały na nasz okop jak letni deszcz. Na wpół ogłuszona i na wpół oślepiona, szarpałam się z zatkanym przez pył zamkiem karabinu, gdy coś zaśpiewało tuż przy moim uchu dźwięczną ostrzegawczą melodię. I nagle przestałam widzieć. Krew spływała mi po twarzy, zaszywając lewe oko, ześlizgując się po ustach. Poczułam miedź i sól.

Do strzelania wystarczy jedno oko, pomyślałam ospale, wciąż pociągając za niesprawny zamek. Krew płynęła dalej, a ja całkiem ogłuchłam na lewe ucho. Jak przez mgłę patrzyłam, jak moje ręce wypuszczają karabin i gmerają przy pasku w poszukiwaniu apteczki. Zdołałam przycisnąć do twarzy zwitek bandaża, ale owinięcie nim głowy wydawało się niemożliwe. Gdyby ten hałas, gdyby ten pył ustąpił... Nic nie widziałam...

– Milu. – Głos Kostii zabrzmiał bardzo spokojnie. – Spójrz na mnie. – Mój partner przyciskał coś, co najprawdopodobniej było raną wśród moich włosów nad czołem. Przeszył mnie ból. Kostia owijał mi głowę bandażem, a ja miałam ochotę zażartować: Zabezpieczałeś mi tyły, a teraz

zabezpieczasz mi głowę! Wszystko wokół mnie spowijała jednak coraz gęstsza mgła. I po raz drugi ocknęłam się na szpitalnym łóżku.

– Chcesz coś na pamiątkę, śpiochu? – Lena włożyła mi do ręki poczerńiały kawałek metalu o nierównych krawędziach. – To on rozplątał ci głowę.

Spojrzałam na odłamek mózdzierza niewiele większy od zapalki. Trochę niżej i przeszedłby przez mój oczodół – dołączyłabym do grona stu pięćdziesięciu żołnierzy z mojego pułku, którzy zostali w Tatarce na zawsze.

– Kogo straciliśmy? – spytałam Lenę, zaciskając palce na odłamku. – Kto zginął tym razem, kiedy byłam nieprzytomna?

Zapaliła papierosa, wychudła i poszarzała na twarzy po – jak mogłam jedynie przypuszczać – gorączkowych, niekończących się godzinach zmagania się z ciągłym napływem rannych.

– Szeregowy Bazarbajew dostał kulę w serce.

Jeden z moich podopiecznych, których szkoliłam na snajperów. Niezbyt dobry, ale się starał, i to bardzo. Poczułam, jak ostre krawędzie metalowego odłamka wrzynają mi się w dłoń, gdy zacisnęłam na nim palce.

– Kto jeszcze?

– Dowódca twojej kompanii... Jak on się nazywał?

– Woronin. – Dobry człowiek, jeden z nielicznych oficerów, których lubiłam. Przypomniało mi się, jak kiedyś obok okopów rozmawialiśmy o swoich ulubionych zbiorach muzealnych. Młody oficer rozprawiał elokwentnie o kolekcji scytyjskiego złota w Ermitażu, a ja opowiedziałam mu o wykopaliskach archeologicznych, w których miałam przyjemność uczestniczyć po pierwszym roku na uniwersytecie. Przez tę jedną krótką godzinę mówiłam o kurhanach z dziesiątego wieku i o jeleniu kostromskim, czując się bardziej studentką niż żołnierzem. A teraz jego już nie było, a ja miałam iść z karabinem na kolejny pospieszny pogrzeb między jednym a drugim wypadem, z kilkoma mamrotanymi słowami i czerwoną gwiazdą z dykty.

– Kostia? – spytałam, obawiając się odpowiedzi. – Czy on...

– Awansował na kaprała. Płacze się tu pod nogami, przesiadując przy tobie, jeśli akurat nie prowadzi rekonesansu.

– Powinien był mnie pozszywać na froncie, zamiast od razu tu wysłać – powiedziałam z niezadowoleniem. Przynajmniej mój prowizoryczny oddział był pod moją nieobecność w dobrych rękach. – Kiedy będę mogła stąd wyjść? – Spróbowałam się podnieść, ale nagłe zawroty głowy o mało mnie nie powaliły. Lena wyciągnęła rękę i jednym palcem popchnęła mnie z powrotem na poduszkę.

– Wrócisz, gdy będę potrzebowała obu rąk, żeby cię z powrotem położyć, a nie małego palca. Najwcześniej za tydzień.

– Tydzień...

– Spiesz ci się, żeby dopisać kolejne trafienia do listy? Słyszałam, że przekroczyłaś setkę.

To prawda. Dawno przekroczyłam setkę. Ale rozmawianie o moim snajperskim koncie było ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę. – Leno, porozmawiaj z lekarzami. Mogą mnie wypisać na...

Mocno zaciągnęła się papierosem, sięgnęła do kieszeni po poobijane lusterko kieszonkowe i przysunęła je do mojej twarzy. Bardzo dawno na siebie nie patrzyłam i aż się wzdrygnęłam na widok swojego odbicia. Miałam zapadnięte policzki, cienie pod oczami; ogolono mi kawałek głowy, żeby opatrzyć ranę po odłamku, która ciągnęła się równolegle do linii włosów niczym stonoga z czarnej nitki. Wysmarowano ją jaskrawozielonym środkiem dezynfekującym. Wyglądałam jak...

– Jak śmierć – podsunęła Lena. – Nigdzie się nie wybierasz, Milu, bo wyglądasz jak śmierć.

Odepchnęłam lusterko.

– Jestem śmierć. – W każdym razie byłam dla ponad setki najeźdźców. To za mało, szepnęło coś w mojej głowie.

Za dużo, odpowiedział inny szept.

Lena schowała lusterko i wstała.

– Wciąż mogą cię zabić, Pani Śmierć – rzuciła przez ramię, idąc dalej na obchód.

– Pani Śmierć? – spytałam Kostię, gdy odwiedził mnie następnego dnia. Przygotowałam się na lawinę serdeczności spod znaku „całe szczęście, że nie zginęłaś”, ale mój partner tylko przysunął bez słowa taboret, opierając karabin o łóżko. – Dlaczego Lena mnie tak nazwała?

– Wszyscy cię tak nazywają. – Spojrzał na suszone kwiaty, którymi zasłałam pół prześcieradła: na ostatnią partię próbek dla Sławki. – Irys, rumianek, azalia – powiedział, wymieniając ich nazwy.

Zaczęłam zawijać je po kolei w osobne kawałki papieru, zapisując te nazwy wielkimi, koślawymi literami. Moje ręce nie były jeszcze do końca sprawne, więc być może Lena miała rację, mówiąc, że potrzebuję więcej czasu. Przed każdą inną osobą wstydziłabym się tych drżących rąk, ale nie przed swoim partnerem.

– Pani Śmierć. Jak Pani Północ, służąca Baby Jagi? – Północnica, służąca sławnej czarownicy ze starej bajki, zmieciona przez rewolucję razem z innymi zabobonami i mitami.

– To twoja ulubiona postać ze starych opowieści?

– Wolałam Południcę. Ale to w zasadzie jedno i to samo. Kiedyś pisałam pracę na temat przedrewolucyjnych postaci folklorystycznych przedstawiających przeciwstawne oblicza kobiecości w czasach przedradzieckich. – Włożyłam do papierowej koperty kolejny suszony kwiat. – Dostałam najwyższą ocenę.

– Jakżeby inaczej. – Poznaczone odciskami od spustu palce mojego partnera przesuwają suszone stokrotki. – Kiedy byłem mały, myślałem, że mój ojciec to stary Morozko.

– Myślałeś, że twój ojciec to Dziadek Mróz?

– Był nadbajkalskim myśliwym... Zjawiał się w Irkucku tylko raz w roku, z pierwszym śniegiem, naszpikowany nożami jak soplami lodu. Zawsze wyjeżdżał w olbrzymim tumanie wściekłości przypominającym lawinę.

– Sprawia wrażenie hałaśliwego człowieka. Zima jest cicha. – Kostia pierwszy raz wspomniał o swojej rodzinie. – To ty jesteś Morozko, nie on.

Oczy Kostii się uśmiechnęły. Wziął mnie za rękę leżącą wśród porzrzucanych kwiatów, rozprostował mi palce, a potem złożył je z powrotem, zamknął w swojej dłoni i przyciągnął do piersi. Nic nie mówił

– po prostu trzymał moją dłoń przy swojej tunice, spod której dobiegało miarowe bicie jego serca.

Delikatnie wyplątałam palce i odsunęłam się. Też nic nie mówiłam, tylko patrzyłam na niego ze spokojnym żalem. To nie było to samo co flirtowanie dla zabawy z tamtym jasnowłosym zwiadowcą – byłam sierżantem Kostii i choć różnica rangi nie powstrzymywała większości oficerów od bratania się z podwładnymi, ja tego nie uznawałam. Co ważniejsze, Kostia był moim partnerem, na którym podczas śmiertelnego conocnego tańca na ziemi niczyjej polegałam bardziej niż na całej reszcie. Nie odważyłabym się wprowadzić żadnego chaotycznego napływu nowych namiętności do tej delikatnej, decydującej o wszystkim równowagi, ponieważ w przeciwnym razie obydwójce moglibyśmy tego nie przeżyć. Pozwoliłam zatem, by milczenie trwało dalej, i tylko lekko pokręciłam głową.

– Pomogę ci wstać i trochę pochodzimy – powiedział Kostia, jakby nic się nie stało, po czym pomógł mi się podnieść, żebym podreptała chwilę po sali. Następnego dnia wstałam o własnych siłach i w spiczastej czapce wciśniętej na poturbowaną, zabandażowaną głowę z determinacją pokuśtykałam na zewnątrz. Batalion medyczny stacjonował w budynku dawnej wiejskiej szkoły. Omijając łóżka i zabieganych lekarzy, nosze z poparzonymi, z nieprzytomnymi rannymi i z jęczącymi mężczyznami, którzy ściskali kikuty rąk i nóg, zdołałam znaleźć drogę do ogrodu otaczającego budynek szkoły.

Zaledwie przed kilkoma dniami jesienne słońce świeciło jasno na błękitnym niebie, ogrzewając całą przepastną powierzchnię stepu. Teraz zima nadciągała kłębowiskiem ołowianych chmur i powiewów zimnego północnego wiatru, stary Morozko podkradał się coraz bliżej na swoich pachnących śniegiem nogach. Nawet tutaj, tak daleko od linii frontu, słyszałam pomruki dział.

Odwróciłam się od tego dźwięku, wciągając zapach świeżo przekopanej ziemi i dzikich róż. Jałowiec rósł tu prosto jak zielona ściana; na obrzeżach kwitły tulipany i róże – mimo ciągłego bombardowania i ostrzału ktoś dbał o ten ogród. Podziękowałam w myślach istocie, która zadała sobie trud, by doglądać tego skromnego kwitnącego kawałka ziemi w żywym piekle. Podniosłam dla Sławki opadły czerwono-złoty liść, o mało nie przewracając się pod wpływem zawrotów głowy, i spróbowałam

rozprostować go w dłoni. Połamał się, suchy i martwy. Wyrzuciłam go, czując kolejną falę osłabienia, zastanawiając się, dlaczego tak mi zależy, żeby stać. Dlaczego po prostu nie upadnę, nie położę się, nie zamknę oczu? Byłam zmęczona. Wiedziałam, że gdy wrócę do walki, będę musiała na nowo rozbudzić w sobie gniew i ciągnąć dalej, ale na razie miałam popiół w żołądku, martwy i zimny po trzech i pół miesiącach wypadów i bitew. Usiadłam na ławce w ogrodzie i wyjęłam swoją rozprawę, mając nadzieję, że mój drogi stary Bohdan Chmielnicki zdoła mnie rozweselić, ale nie mogłam skupić wzroku na słowach. Litery spadały ze strony jak mrówki, a nagłówek, który bibliotekarka Mila Pawliczenko napisała z taką dumą na początku tego roku, był już prawie całkiem przysłonięty plamą krwi.

Mimo szczerych chęci nie potrafiłam powiedzieć, czyja to krew.

Do mojego jedyne go zdrowego ucha dotarło jakieś mruczenie i gdy podniosłam głowę, zobaczyłam służbowy samochód koloru khaki wtaczający się przez otwartą bramę szkoły. Rój mundurów. Zanim pomaszrowali w stronę głównego wejścia, wcisnęłam rozprawę z powrotem do plecaka, pokuśtykałam po podjeździe i stanęłam na baczność. Nie po raz pierwszy miałam spojrzeć w oczy generałowi dywizji Iwanowi Jefimowiczowi Pietrowowi, dowódcy Samodzielnej Armii Nadmorskiej, lecz pierwszy raz widziałam go z tak bliskiej odległości. Miał ze czterdzieści pięć lat, rudawe włosy, worki pod oczami...

Myślałam, że tylko przejdzie obok mnie, lecz jeden z jego oficerów mnie zauważył, szepnął coś do niego i generał się zatrzymał.

– Pawliczenko, prawda? Słyszałem wasze nazwisko... Kobieta snajper.

Zasalutowałam.

– Tak, towarzyszu generale.

Przyjrzał mi się.

– Widzę, że oberwaliście w głowę.

– Trzynastego października w walkach pierwszego batalionu pod Tatarką.

– Dobrze was tu traktują? – Gdy potwierdziłam, kiwnął głową. – No to szykujcie się do podróży, Ludmiło Michajłowna. Ruszamy do Sewastopola, rozkaz głównodowodzącego.

Wstrząsnęło mną aż po podeszwy stóp. Wiedziałam, że nadchodzi pora odwrotu spod Odessy, lecz zupełnie inaczej było usłyszeć ten rozkaz oficjalnie.

– Ale nie poddacie Odessy wrogowi? Zrówna ją z ziemią. – Moją piękną Odessę z połyskującym morzem i błękitnym niebem, z pasiatymi parasolami i kawiarniami na świeżym powietrzu. Miasto, które pomagałam bronić, utrzymując linie ognia, strzelając. Z nieskrywanym przerażeniem wpatrywałam się w dowódcę Samodzielnej Armii Nadmorskiej i dostrzegłam w jego spojrzeniu iskierkę współczucia. Jego duszy też sprawiało to ból – po prostu lepiej go ukrywał.

– Obowiązkiem żołnierza jest sumienne wykonywanie rozkazów. – Klepnął mnie w ramię zaskakująco delikatnie. – Jakie mam teraz dla was rozkazy? Nie upadać na duchu, wierzyć w zwycięstwo, dzielnie walczyć. Ile już macie trafień na koncie?

– Sto osiemdziesiąt siedem – odpowiedziałam smutno. Wróg atakował w tak zwartym szyku, że mogłam niemal zabijać dwóch jedną kulą. Kto wiedział, ilu zabitych mam faktycznie na koncie, skoro do oficjalnych wypadów dochodziły jeszcze bitwy, potyczki i niepotwierdzone trafienia? Ale oficjalnie było ich sto osiemdziesiąt siedem.

Za plecami generała Pietrowa rozległy się ciche gwizdy, a jego uścisk na moim ramieniu wzmochnął się z uznaniem.

– Mistrzynie – powiedział. – Sewastopol potrzebuje takiego karabinu. Przeprowadzimy się przez morze i będziemy bronić Krymu. – Widziałam, że wyraźnie szuka jakichś motywujących słów, czegoś, co rozpali ogień w mojej krwi, ale wyglądał na równie wyczerpanego jak ja. – Wszystko będzie dobrze – powiedział w końcu. – Zobaczycie.

Odszedł razem ze swoją świtą, by odwiedzić rannych, ocenić morale – i prawdopodobnie nadzorować ewakuację jednostek wojska do Sewastopola – a ja zostałam nieruchomo przed bezużytecznymi pachnącymi obwódkami z kwiatów.



Mieliśmy się wycofać drogą morską, a to oznaczało odwrót przez Odesę i port.

Błagałam, by mnie wypuścili, żebym mogła jechać ze swoim oddziałem, ale mi odmówiono. Kostia i moi ludzie wyjechali wcześniej, a ja podróżowałam razem z batalionem medycznym, który ruszył transportem drogowym, kryjąc się w ciemności i pod ogniem osłonowym batalionów straży tylnej, które miały pozostać w okopach najdłużej.

– Wycofujemy się – warknęłam do Leny. – Jak pieprzone tchórze. – Nigdy w życiu nie użyłam takiego słowa, ale czułam się, jakby dławili mnie ciernie tkwiące w gardle.

– Nie tak głośno – syknęła. – Chcesz, żeby cię zastrzelili za defetyzm? Karano już egzekucją ważniejszych ludzi i za mniejsze przewinienia.

Wezwano ją, by zmieniła bandaż na kikucie jakiegoś pacjenta w ciężarówce, a ja wiedziałam, że będzie zbyt zajęta, by słuchać moich lamentów. Nie miałam do roboty nic innego, jak tylko stawiać nogę za nogą, być może po raz ostatni patrząc na ukochane miasto.

Tak bardzo się zmieniło od dnia, w którym wsiadłam do pociągu i pojechałam na front. Jesienny zmierzch pokrył parki i bulwary niczym całun, lecz całun nie zdołał ukryć tego, jak wiele budynków ziejże dziurami pozostałymi po dachach, jak wiele czarnych otworów spogląda z góry zamiast okien niczym smutne oczy wycofujących się obrońców. Nasza kolumna zatrzymała się przed skrzyżowaniem zablokowanym przez wozy artylerii i zaskoczona ujrzałam biuro werbunkowe, do którego poszłam, by zaciągnąć się do Armii Czerwonej. Tylko że tego dwupiętrowego budynku już nie było, zostały po nim jedynie poprzewracane belki i poczerniałe od sadzy ściany, powykręcane kości żelaznej klatki schodowej, na której potknęłam się w krepdeszynowej sukience, postanowiwszy chwycić los za gardło.

– Mila?

Od strony przyglądających się nam w milczeniu ludzi dobiegł czyjś głos. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam jakąś kobietę obejmującą się rękami dla ochrony przed zimnem, opatuloną zbyt krótkim płaszczem. Przez chwilę jej nie rozpoznawałam, lecz nagle zauważyłam wytrzeszczone oczy i niekończące się nogi tancerki.

– Wika? – Zamrugalam i zamieniwszy słowo z porucznikiem, wyszłam z kolumny, żeby podejść do przyjaciółki. Nie widziałam jej, odkąd wybuchła wojna, od dnia, w którym ubrana w czerwoną halkę kręciła piruety na deskach opery.

– Wycofujecie się? – spytała osłupiała.

– Wycofujemy się na mocniejszą pozycję – powiedziałam, powtarzając oficjalne stanowisko i czując się podle z tego powodu.

– Wycofujecie się. – Jej głos zabrzmiał głucho. – Porzucacie Odessę.

– Ja przynajmniej walczę – zaperzyłam się. – A czy was, tancerki, nie ewakuowano w bezpieczne miejsce? Na pewno miło się żyje, będąc demisolistką wyszkoloną w teatrze Bolszoi. – Wiedziałam, że jestem niesprawiedliwa, ale jej pogarda boleśnie mnie ubodła.

– Odeszłam z baletu. Mój brat... Ja... – Wika wciągnęła powietrze drżącymi ustami. – Grigorij nie żyje. Nie wytrzymał w wojskach pancernych nawet dwóch miesięcy.

Jej brat bliźniak, jej partner, jej druga połowa.

– Przykro mi – powiedziałam, żałując swoich szorstkich słów.

– Sofia też nie żyje. Zbłąkana bomba.

– Sofia? – szepnęłam, czując ucisk w żołądku.

– Chciała być nauczycielką – powiedziała Wika bezbarwnym głosem. – Chodziła na te wszystkie zajęcia dydaktyczne poświęcone zabawie w grupie, która miała zachęcać do współpracy dzieci od czwartego do siódmego roku życia. Kto zabija kogoś takiego, Milu? Nauczycielkę? Albo takiego chłopaka jak mój brat, który potrafił tańczyć Błękitnego Ptaka jak anioł?

– Faszyci – powiedziałam. Faszyci zabili połowę małego kwartetu, który siedział w kawiarni przy ulicy Puszkina tamtego popołudnia, gdy wybuchła wojna. Jeszcze niedawno myślałam, że gniew złożony w moim żołądku zmienił się w popiół, ale rozgorzał nowym żarem, gdy zobaczyłam pustkę w oczach Wiki.

Moja kolumna szykowała się do drogi, wozy artyleryjskie już usunięto.

– Uważaj na siebie – powiedziałam do niej speszona. – Nie pozwól, żeby wróg powstrzymał Ważkę od tańczenia. A może to był Słowik? Gwiazda?

– Jakie to ma znaczenie? Teraz nikt nie potrzebuje ważek ani gwiazd. Potrzebujemy zabójców. – Uśmiechnęła się ponuro. – Przynajmniej mamy ciebie.

Tancerka odwróciła się, by z uniesioną głową ruszyć wystudiowanym krokiem po zniszczonej ulicy, a ja kontynuowałam odwrót w stronę morza.

Port wyglądał jak Babilon przed upadkiem: wszędzie roilo się od wojskowych ciężarówek, traktorów ciągnących haubice i czołgi, niezliczonych setek żołnierzy. Woda była zapchana statkami Czarnomorskiej Żeglugi Parowej i Floty Czarnomorskiej. W zupełnej ciemności weszłam po trapie na pokład „Jeana Jaurès”, który majaczył przede mną niczym długa, czarna ściana wzniesiona na nabrzeżu. Falująca masa rannych wlewała się poniżej do mesy. Siedziałam, ściskając swój plecak i walcząc z zawrotami głowy, gdy holowniki zaczęły wyprowadzać jednostkę z portu i statek drżał niczym wieloryb sunący ociężale ku otwartemu morzu. Zobaczyłam przez bulaj podskakujące czerwone i złote światelka – płonęły olbrzymie magazyny portowe Odessy. Podpalono je specjalnie, by niczego nie zostawiać faszystom, czy może doszło do jakiegoś wypadku ze zbiornikami paliwa? Tak czy inaczej, nikt nie spieszył, by gasić pożar. Nikt tam nie został. Każdy, kto mógł opuścić Odessę, właśnie ją porzucał. Ostatnie chwile w mieście, w którym zaciągnęłam się do wojska, upływały mi na patrzeniu, jak staje ono w płomieniach, gdy sama wypływałam na Morze Czarne.

Mój gniew rósł, rósł i rósł.

– Towarzyszko – odezwał się karcąco trzeci oficer, widząc, że drżącymi rękami wyjmuję papierosy. – Tu nie wolno palić.

– To mi powiedzcie, gdzie wolno – warknęłam. W mesie pachniało już potem i zdenerwowaniem, powietrze rozbrzmiewało krzykami i szuraniem butów. Czułam ciarki na skórze, rozpaczliwie potrzebowałam samotności.

– Na jucie.

– Na jucie? Gdzie to jest? Pierwsze słyszę o czymś takim jak jut. – Zaczął udzielać jakiejś zawilej technicznej odpowiedzi i straciłam resztkę

cierpliwości. – Mów. Gdzie. Można. Palić.

Zobaczył moją minę.

– To na rufie, na końcu statku.

Przecisnęłam się przez tłum w mesie i poszłam w stronę pokładu, na którym można było palić. Marynarze i sanitariusze stali tam w grupkach, a dym wznosił się do góry. Pomyślałam, że opuszczamy nie tylko Odesę – opuszczaliśmy Gildendorf, chutor Kabaczenków, Tatarkę. Pola bitwy, które zmieniły mnie w to, czym teraz byłam. Cokolwiek to było. W sierżant Pawliczenkę, tak jak mówiono na mnie każdego dnia? W snajperkę, jak mnie nazwał generał Pietrow? W Panią Śmierć, jak nazwała mnie Lena? Rzuciłam te nazwy na wiatr i mrużąc oczy, spojrzałam na ciemny ocean, na którym Odessa zniknęła niczym miraż.

– Mogę pożyczyć lornetkę? – spytałam stojącego najbliżej mężczyznę, a gdy się odwrócił, zmroziło mnie przerażenie.

– Mała Miła – powiedział Aleksiej Pawliczenko, patrząc na mnie z tym swoim uśmiechem rozbawienia błakającym się na ustach. – No proszę.

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

10

Strzelec wyborowy siedział na skraju trawnika z widokiem na mauzoleum Lincolna, wachlując się kapeluszem. Jego zleceniodawca się spóźniał, lecz typy z Waszyngtonu lubiły się bawić w takie gierki, by przypominać innym, jacy są ważni. Strzelec wyborowy odwrócił twarz do słońca, obserwując ukradkiem nielicznych gości wchodzących do olbrzymiego marmurowego budynku albo stamtąd wychodzących. Mimo wczesnej pory garstka turystów już była na nogach, by prześcignąć letnie upały: jakaś rodzina ściskająca broszurki, rodzice na wakacjach ciągnący ze sobą nadąsane nastolatki, trzymająca się za ręce para, która przyszła spacerkiem, by obejrzeć olbrzymią zamyśloną postać z marmuru.

Na ręce strzelca wyborowego padł cień.

– Musimy się spotykać akurat tutaj? – spytał z rozdrażnieniem jakiś głos.

Strzelec wyborowy włożył kapelusz z powrotem na głowę i uśmiechnął się.

– Tutaj, czyli gdzie? Z widokiem na pomnik innego prezydenta, który zginął w zamachu?

– Mów pan ciszej. – Nowo przybyły był człowiekiem w średnim wieku, łysiejącym, zapakowanym w drogi garnitur w delikatny prążek i z niebieską poszetką.

– Nikt nie słucha. – To dlatego strzelec wyborowy wolał załatwiać takie sprawy na świeżym powietrzu. Na szerokiej połaci trawnika, gdzie nie było nikogo, kto mógłby go usłyszeć, pośród krzątaniny tętniącego życiem

miasta nikt nie zwracał uwagi na leniwą pogawędkę dwóch mężczyzn siedzących wygodnie w ciepły poranek. – Niech pan siada.

Poszetka rozłożył chusteczkę, by uchronić garnitur przed trawą, i niezgrabnie usiadł. Strzelec wyborowy nie wiedział, jak ten mężczyzna się nazywa ani jak nazywają się stojący za nim ludzie, którzy wybrali go na pośrednika. I wcale to strzelca wyborowego nie obchodziło. Nie interesowało go, kim są jego klienci ani co ich skłoniło, by płacić za śmierć. Dopóki płacili bez zwłoki i trzymali gębę na kłódkę, cała reszta była bez znaczenia.

– No i? – spytał ostro Poszetka.

– Będę wiedział więcej po śniadaniu w Białym Domu, które zacznie się za godzinę. Dziewczyna razem z resztą delegacji jest już umówiona na konferencję prasową dziś wieczorem – powiedział strzelec wyborowy. – Czy moje nazwisko jest na liście zaproszonych dziennikarzy?

– Tak, ale moi przełożeni nie widzą powodu, dla którego miałyby pan się tam pojawiać.

– Muszę ugruntować swoją pozycję w pobliżu tej delegacji jako prześwietlony przez ochronę i nieszkodliwy element krajobrazu, żebym mógł spoufalić się z kimś, kto w stosownym momencie zdoła mi zapewnić dostęp do dziewczyny. – Zazwyczaj nie pracował w ten sposób. Przeważnie bardziej dystansował się od obiektów, pracował za pośrednictwem wielowarstwowej struktury anonimowych informatorów – ponieważ jednak tym razem miał mieć na celowniku prezydenta, chciał, by jego plan obejmował jak najmniej ludzi i komplikacji. Być może przesądnie wolał dopilnować wszystkiego osobiście.

– Będę potrzebował listy członków delegacji. Nie pozostałych studentów, oni będą na świeczniku. Chodzi mi o maluczkich.

– Dostanie ją pan. – Poszetka wytarł twarz. Było coraz goręcej, ale strzelec wyborowy przypuszczał, że nawet gdyby było zimno, facet by się pocił. Niektórzy ludzie po prostu nie mieli nerwów do zamachów. – Kiedy zamierza pan... to zrobić?

– Piątego września. Ostatniego dnia konferencji.

– Ale nie może pan zagwarantować sukcesu? – naciskał Poszetka.

– Nie. – Śmierć nigdy nie była gwarantowana. – Jeśli nie osiągnę pożądanego rezultatu, mogę w każdym razie zagwarantować kłopotliwą sytuację i oburzenie społeczne na prezydenta oraz na jego radzieckich gości. Dano mi do zrozumienia, że tego rodzaju drugorzędny wynik będzie do przyjęcia.

– Dla części moich szefów – mruknął Poszetka.

– Członkowie America First Committee będą raczej zadowoleni, podobnie jak antysowietnicy. – Strzelec wyborowy uśmiechnął się, widząc zaskoczoną minę drugiego mężczyzny. Nietrudno było się domyślić, kto w tej drapieżnej stolicy chce śmierci Franklina Delano Roosevelta. Nawet lubiani prezydenci mają wrogów, a FDR nie był wyjątkiem: amerykańscy faszyci nienawidzący „prezydenta Żydewelta”, zawzięci rywale polityczni w Kongresie, izolacjonistyczni magnaci przeciwni wojnie z Niemcami, nienawidzący komunistów milionerzy tak wściekle antymarksistowscy, że nawet pokonanie Hitlera nie było według nich warte sprzymierzania się ze Stalinem – nie wspominając o prawych idealistach, dla których każdy prezydent pełniący trzecią kadencję był załączkiem tyrana. Kto mógł wiedzieć, jaka okazja czy wydarzenie sprawiło, że wystarczająco wielu gotujących się ze złości ludzi połączyło siły; jaka zapałka podpaliła knot, gdy wylewali swoje żale; jakie zdarzenia podsyciły ten płomień, aż w końcu ktoś zebrał się na odwagę i szepnął słowo „zamach”... Tak się jednak stało i jak można się było spodziewać, strzelec wyborowy odebrał telefon z ofertą.

Poszetka był blady jak ściana.

– Przecież nie może pan wiedzieć, kim oni są. Dokładaliśmy wszelkich starań, żeby...

– To krawaciarze – odrzekł ze spokojem strzelec wyborowy. – Faceci w drogich garniturach, którzy chcą, by światem kierowano z korzyścią dla nich. Zawsze to właśnie oni mnie wynajmują: jakiś mroczny układ wpływowych i niezadowolonych krawaciarzy. Wiedzą, że potrafię załatwić tę robotę.

Wstał, uchylając w myśli kapelusza przed marmurowym pomnikiem prezydenta Lincolna w mauzoleum. Spektakl teatralny zachlapaný prezydencką krwią i mózgiem, to dopiero było stylowe zabójstwo.

– A teraz pan wybaczy – powiedział strzelec wyborowy do sługusa swoich zleceniodawców. – Spieszę się na śniadanie.

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Mam bardzo mało czasu przed powitalnym śniadaniem dla naszych radzieckich gości, ale oglądam zaproszenie do wygłoszenia przemówienia przed Amerykańską Komisją do spraw Opieki nad Dziećmi z Europy, uważnie analizuję protokół z posiedzenia komisji doradczej Amerykańskiej Federacji Czarnoskórych Studentów, przeglądam plan wodowania nowego okrętu wojennego w stoczni Marynarki Wojennej na Brooklynie, czytam od początku do końca sprawozdanie Agencji Lotnictwa Cywilnego dotyczące udziału kobiet w szkoleniach dla pilotów Urzędu Lotnictwa Cywilnego i zaglądam do Franklina. Siedzi na łóżku, gdzie zawsze je śniadanie, w starej niebieskiej pelerynie narzuconej na piżamę. Taca ze śniadaniem stoi z boku, usiana okruszkami grzanki, w filiżance widać resztkę kawy. Na łóżku walają się gazety – mój mąż zawsze czyta do śniadania „Baltimore Sun”, „Washington Post”, „Washington Times-Herald”, „New York Herald Tribune” i „New York Timesa” – a na podłodze obok szafki nocnej stoi koszyk Eleanor, do którego wkładam sprawozdania i komunikaty z zaznaczonymi miejscami wymagającymi jego uwagi. Czasami jęczy – „Jeszcze więcej lekcji do odrobienia, Eleanor?” – ale wie, że nie jest w stanie przejrzeć wszystkiego, i liczy, że wypełnię te luki. Już przeczytał notatki, które zostawiłam wcześniej, i chyba właśnie zamierza się ubrać, bo słyszę, jak lokaj krząta się w garderobie. Franklin siedzi z zamkniętymi oczami, na jego zastygłej twarzy widać wyczerpanie i determinację.

Wiem, co robi. Wyobraża sobie, że znowu jest chłopcem w rodzinnej posiadłości Rooseveltów w Hyde Parku, stoi obok sanek na szczycie zaśnieżonego wzgórza z widokiem na Hudson daleko w dole. Widzi oczyma duszy, jak zsuwa się z grzbietu wzgórza i pędzi w dół, wiatr owiewa mu twarz, a on pokonuje zakręt po zakręcie, wywołując deszczyk jasnych jak diamenty kryształków śniegu. Na dole się zatrzymuje, przerzuca sznurek przez ramię i wchodzi z powrotem na górę na silnych, młodych nogach. Przeżywa ponownie to wzgórze, tę radość, tę wspinaczkę,

aż to wszystko staje się prawdziwe i przepływa przez niego towarzysząca temu energia.

Zwykle zachowuje to wspomnienie na bezsenne noce, by uspokoić nim umysł i przywołać sen. Tego ranka wydobył je, by przegonić słabość, nim przyjdzie mu się zmierzyć z czekającym go dniem. Tego ranka go potrzebuje. Jego szczupłe, silne ręce podtrzymują jego ciężar na łóżku – jakby szykował się do przyjęcia kuli.

Czego się boisz?, mam ochotę spytać. Czego – albo kogo? Na dole rozlega się jednak gong i oddalam się na palcach, by powitać naszych radzieckich gości.

JEDENAŚCIE MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Wrzesień 1941 Front sewastopolski, ZSRR

MILA

11

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Przed zaciągnięciem się do Armii Czerwonej nie widziałam Aleksieja Pawliczenki przez co najmniej trzy lata. Napisałabym tak nie dlatego, że chciałabym skłamać, lecz dlatego, że wówczas pozbyłabym się go za pomocą jednego zdania, nie musząc na kartce marnować miejsca, które przydzieliło mu prawdziwe życie.

A co napisałabym w nieoficjalnej wersji swojego pamiętnika? Że ten przebrzydły, przypochebny drań wyskoczył w środku wojny jak coś, co Amerykanie nazwaliby diabłem z pudełka. Najbardziej niemile widzianym diabłem na świecie.

Wpatrywałam się w niego, wielkiego jak byk i trzy razy bardziej nieprzyjemnego, gdy tak stał na pokładzie statku płynącego do Sewastopola, aż nagle zebrało mi się na mdłości.

– No, no – powiedział, a po chwili zauważył oznaczenia na moim kołnierzyku. – Sierżant? Kroszka, mam nadzieję, że nie ukradłaś tuniki swojemu chłopakowi, żeby się trochę ogrzać. Za posługiwanie się cudzym stopniem grożą kary!

Już zapomniałam, jaki jest wysoki. Większość żołnierzy na „Jeanie Jaurèsie” była rozczochrana i zmęczona odwrotem, lecz mundur Aleksieja wyglądał jak nowy, a jego czapka nałożona na jasne włosy była zawadiacko przekrzywiona.

– To jest mój mundur – odrzekłam najoschlej, jak umiałam. – Jestem sierżantem.

– To chyba nieźle jak na taką małą dziewczynę. – Nie spytał o Sławkę. Nie chciałam, żeby pytał – nie chciałam, żeby w jakikolwiek sposób zbliżał się do naszego syna – lecz mimo to świadomość, że nie poświęcił ani jednej zbląkanej myśli pięknemu chłopcu, którego spłodził, sprawiła, że krew zagotowała mi się w żyłach. Sławka tak mało dla niego znaczyła. Aleksiej nosił na kołnierzyku trójkąty porucznika, oczywiście był oficerem, oczywiście przewyższał mnie stopniem.

– Batalion medyczny? – Zmusiłam się, by zadać to pytanie. Na pewno zaciągnął się w Odessie mniej więcej wtedy kiedy ja. Chirurdzy posiadający takie umiejętności jak on byli na froncie warci swojego ciężaru w srebrze.

– Zgadza się. Kiedyś ci o tym mówiłem, prawda? Na wojnie pojawiają się różne szanse... a to jest moja. – Skinął w stronę rozciągającego się przed nami czarnego przestworu morza. – Mam dobre przeczucia co do Sewastopola. Czekają nas tam wspaniałe chwile, zobaczysz.

Był taki pewny, nie miał żadnych wątpliwości. Jeśli spędził miesiące w szpitalach Odessy, operując obrażenia wojenne od świtu do zmierzchu, na pewno widział koszmarnie obrazy, lecz najwyraźniej zrobiły na nim bardzo małe wrażenie. Nie poszedł na wojnę po to, by leczyć rannych rodaków albo zachować swój kraj dla syna, poszedł na wojnę po szansę na zrobienie kariery. Najwyraźniej wciąż marzyła mu się potęga.

– Aleksiej Pawliczenko, bohater Związku Radzieckiego?

Mój głos zabrzmiał ostro i drwiąco. Aleksiej zmarszczył brwi. Przywykł do tego, że zwracam się do niego z szacunkiem, błagalnie, jak sfrustrowana żona, która nie zносиła go o nic prosić, lecz i tak ciągle musiała to robić. Kobiętka, która podskakiwała, kiedy jej kazał. Przywykł do tego, że ma nade mną przewagę... ale to się już skończyło. W ostatnich miesiącach widziałam za dużo krwi i grozy, by robił na mnie wrażenie człowiek ze skłonnością do sprawiania innym przykrości. Wciąż potrafił sprawić, że gotowałam się ze złości, ale nie mógł mnie już zmusić do chodzenia na palcach ani do tego, żebym skakała na zawołanie. Aleksiej oparł łokieć o barierkę statku i wyglądał, jakby dopiero teraz mnie zobaczył.

– Dywizja Czapaiewa? – domyślił się. – W Sewastopolu będziemy się częściej widywali.

– Wątpię. – Nie mogłam się powstrzymać od kąśliwej odpowiedzi. – W przeciwieństwie do lekarzy nie działałam w bezpiecznej strefie za linią frontu.

Znowu zmarszczył brwi.

– Ale jesteś w batalionie medycznym?

– Nie – uśmiechnęłam się do niego. – Jestem snajperką.

Roześmiał się.

– Fajnie, że nareszcie masz poczucie humoru, kroszka.

Wzruszyłam ramionami. Skoro był na tyle głupi, żeby nie zauważyć karabinu na moim ramieniu, to nie mój problem.

– Ale bez żartów. – Uśmiech Aleksieja zniknął. – Nie jesteś strzelcem.

– Dlaczego nie?

– To nie jest zajęcie dla kobiet, nawet w czasie wojny. Bez względu na to, co mówią nasze władze.

– Powiedz to wszystkim żołnierzom wroga, których posłałam do piachu, broniąc Odessy.

Rzuciłam mu te słowa, chcąc zobaczyć zdziwienie na jego twarzy. Zamiast tego tylko się roześmiał.

– Jakaś ty dorosła. Nadal chcesz pożyczyć ode mnie lornetkę, żeby ostatni raz spojrzeć na Odessę? – Podniósł ją wysoko i trzymał nad moją głową. – Skacz, mała Milu!

Działałam bez zastanowienia. Zdjęłam karabin z ramienia, wsunęłam lufę pod pasek jego lornetki, a potem jednym szarpnięciem wyrwałam mu ją z rąk i wyrzuciłam za burtę.

– Sam sobie skacz – powiedziałam, słysząc, jak lornetka wpada z pluskiem do wody, po czym odwróciłam się, żeby odejść.

Zdażyłam jednak zauważyć błysk złości w jego oczach, usłyszeć za sobą jego ostatnie słowa.

– Wciąż nie znasz się na żartach? – Mówił wesołym tonem, lecz pobrzmiwała w nim prawdziwa złość. – Wciąż udajesz, że sama nie jesteś śmieszna.

– Stu osiemdziesięciu siedmiu martwych żołnierzy wroga wie, że nie żartuję – odparowałam, po czym odeszłam z wściekłością po tylnym pokładzie.

Na tym statku był Aleksiej Pawliczenko. Serce waliło mi w piersi. Mój mąż znowu znalazł się w moim życiu po latach, w których prawie w ogóle o nim nie myślałam. Był na tym samym statku, płynął do Sewastopola.

To bez znaczenia, tłumaczyłam sobie, schodząc pod pokład. Nie bałam się go, już nie. A w chaosie na froncie łatwo jest się nawzajem unikać. Mogłam trzymać się od niego z daleka, a on – jeśli miał trochę oleju w głowie – powinien trzymać się z daleka ode mnie.

Na pewno tak.



Sewastopol. Przy płynęłam do białego miasta, mając czerwone ręce i poturbowane serce. Stałam zamyślona. Sewastopol nie był nawet w ćwierci tak duży jak tętniąca życiem, kosmopolityczna Odessa, lecz jego parki miejskie i aleje obsadzone czerwono-złotymi drzewami wciąż były nietknięte przez wojnę. Kamienne mury starych bliźniaczych fortów chroniących wejścia do głównej zatoki nie zostały jeszcze podziurawione niemieckimi moździerzami. Niebieska kopuła soboru Świętego Włodzimierza lśniła pełna i nieskazitelna. Ludzie po pracy spacerowali ulicami, chodzili do łaźni publicznych, kupowali bilety na Górą dziewczęta albo Minina i Pożarskiego w kinach. Piękne miasto – miasto, którym szybko się znudziłam, ponieważ nie mogłam się z niego wydostać.

Najpierw dostałam rozkaz, żeby wracać do zdrowia w batalionie medycznym, dopóki nie zagoi mi się rana na głowie. Potem ku swojej rozpaczy nie mogłam znaleźć ani jednego oficera, który potrafiłby mi powiedzieć, dokąd skierowano mój pułk.

– Przecież nie można zgubić całego pułku – zaprotestowałam, rozmawiając z udręczonym oficerem sztabowym. – Zgubiliście też całą

Samodzielną Armię Nadmorską?

– Defetystyczne gadanie – odparł sztywno. – Nie macie wysoko postawionych przyjaciół, Pawliczenko? Ich spytajcie.

Zanim jednak generał Pietrow i jego sztab dotarli do stanowiska dowodzenia obroną wybrzeża w Sewastopolu, październik dobiegł końca, a zanim dostałam zgodę na trzyminutową rozmowę z tym dowódcą, minęły kolejne dni.

– Witajcie, Ludmiło Michajłowna. – Robił z osiem rzeczy naraz, jego generalskie gwiazdki wciąż pokrywał biały pył krymskich dróg, lecz uśmiechnął się, patrząc na mnie przez monokl umieszczony na nosie. – Jak się czujecie?

Tęskniłam za Kostią i swoim oddziałem jak za brakującą kończyną, lecz nie o to pytał.

– Wróciłam do pełni zdrowia, towarzyszu generale.

Zdjęto mi szwy i już odrastały mi włosy na ogolonym miejscu wokół blizny. Jeśli starannie zakładałam czapkę, w ogóle nie było jej widać.

– No więc pobijemy nazistów w Sewastopolu?

– Oczywiście, towarzyszu generale.

– Mianuję was starszym sierżantem i chcę, żebyście po powrocie do swojego pułku dowodzili plutonem snajperów. Wasz pułk jest... – wysłuchał adiutanta, który szepnął mu coś do ucha – gdzieś na drodze między Jaktą a Gurzufem. Zgłóście się do sztabu po dokumenty i do kwatermistrza po zimowe wyposażenie. – Zawahał się. – Dopilnujcie, żeby wydali wam pistolet.

– Mam karabin, towarzyszu generale...

– Weźcie tulskiego tokariewa do strzelania z bliskiej odległości. Osiem naboí. Siedem dla wroga, jeśli was zaskoczy. Ostatni... – Nagle jego twarz przybrała kamienny wyraz. – Tym razem walczymy z hitlerowcami, nie z Rumunami. Niemcy nie biorą snajperów do niewoli. Zabijają ich na miejscu. A jeśli chodzi o kobiety...

Lepiej, żeby nie wzięli mnie żywej. Niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu jak kryształki lodu. Czy właśnie to czekało mnie

w Sewastopolu – śmierć z własnej ręki, by uniknąć zbiorowego gwałtu i egzekucji? Nawet mając na koncie stu osiemdziesięciu siedmiu martwych żołnierzy wroga, poczułam, jak w moim żołądku pełźnie strach. Dotąd strzelałam wyłącznie na płaskich stepach, przy doskonałej widoczności, a moimi celami byli zbici w ciasne gromady, łatwo wpadający w panikę rumuńscy żołnierze. Tutaj był Krym, porośnięty gęstym lasem i pełen tajemnic, a moimi celami byli hitlerowcy. Doskonale wyszkoleni Niemcy dowodzeni przez fanatycznych oficerów nauczonych nienawiści do każdego, kto nie należy do ich rasy panów. Niemcy, którzy zabijali pojmanych rosyjskich żołnierzy albo głodzili ich na śmierć w obozach jenieckich, zamiast traktować ich jak żołnierzy brytyjskich czy francuskich. Niemcy, którzy gwałcili kobietę na śmierć, jeśli schwytali ją żywą, karząc w ten sposób grzesznicę, która sprzeniewierzyła się zasadzie Kinder, Kirche, Küche, by zabijać wrogów, którzy najechali na jej kraj.

Przełknęłam ślinę i zasalutowałam.

– Dopilnuję, żebym nigdy nie została bez pistoletu, towarzyszu generale.

Czekał mnie jeszcze prawie tydzień, zanim mogłam dołączyć do swojego pułku w górach Mekenziowa, w trzecim sektorze obronnym leżącym między rzekami Belbek a Czorną, ponad dwadzieścia kilometrów za Sewastopolem. Wyruszyłam najpierw ciężarówką razem z grupą nowo przybyłych, a potem pieszo, gdy wysadzili mnie obok skupiska okopów i dróg otoczonych gęstym lasem, gdzie pytałam o drogę mijających mnie w pośpiechu żołnierzy. Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę ponurą twarz Siergijenki i poprzekomarzam się z nim, mówiąc, że jeśli jego cera nabierze jeszcze bardziej ziemistego odcienia, będzie wyglądał jak zabalsamowany. Na stanowisku dowodzenia przeżyłam jednak szok.

– Kapitan Siergijenko został ciężko ranny i odesłany do domu. Teraz batalionem dowodzi towarzysz porucznik Grigorij Fiodorowicz Dromin.

Zanim zdołałam poczuć żal z powodu swojego kapitana, już stałam przed jego następcą. Dromin miał trzydzieści pięć lat, był nowy, szczupły i nieskazitelny. Jego gładka twarz, pozbawiona choćby jednego włoska wprost krzyczała: „Świeże mięso!”.

Gdy zasalutowałam, przejrzał moje dokumenty.

– Chcecie zostać dowódcą plutonu, towarzyszek starsza sierżant? Naprawdę dacie sobie radę?

– Nie mnie o tym decydować, towarzyszu poruczniku – powiedziałam spokojnie. – To rzecz dowództwa.

– Które dowództwo macie na myśli? Waszym dowódcą jestem ja, a ja jestem przeciwny zajmowaniu przez kobiety stanowisk dowódczych w armii.

Przynajmniej to powiedział. Mnóstwo oficerów myślało tak samo, ale nie chcieli tego przyznać. Tylko się uśmiechali na widok kobiet zjawiających się w ich szeregach, a potem odmawiali zrobienia z nich użytku.

– Wygląda na to, że jesteście snajperką. – Dromin odrzucił moje dokumenty na bok. – Strzelajcie do nazistów, jak najbardziej. Ale rozkazy będą wydawali ci, którzy powinni je wydawać.

– Czyli kto, towarzyszu poruczniku? – odrzekłam, nie mogąc się powstrzymać.

– Mężczyźni, rzecz jasna. Prawdziwi oficerowie.

Pewnie zaraz kazałby mi odmaszerować, ale z głębi stanowiska dowodzenia, gdzie pracowała grupa oficerów, dobiegł czyjś wesóły głos.

– Daj jej ten pluton, Dromin. Czy może chcesz się kłócić z generałem Pietrowem?

Ze zbyt niskiego taboretu podniósł się jakiś mężczyzna. Przez chwilę myślałam, że to Aleksiej, i o mało się nie wzdrygnęłam. Nie był to jednak on, choć wyglądał tak znajomo. Młodszy porucznik też był wysoki i jasnowłosy.

– Nieoficjalnie dowodziła już oddziałem – ciągnął porucznik, opierając się o biurko mojego nowego dowódcy batalionu. – Daj jej więcej ludzi i nazwij to plutonem.

– Naprawdę wierzymy w te bzdury o stu osiemdziesięciu siedmiu trafieniach? – Dromin mówił, jakby mnie tam nie było. – Gdyby zabiła chociaż jedną czwartą z nich, dawno dostałaby Order Czerwonego Sztandaru.

– Mimo wszystko Pietrow dał jej pluton – głos wciąż brzmiał wesóło. – Rób, co każe, albo będziesz miał z nim do czynienia.

Porucznik uśmiechnął się do mnie i już wiedziałam, kto to taki: to był tamten jasnowłosy mężczyzna z bani pod Gildendorffem, ten, którego pocałowałam w policzek. Wtedy miał na sobie cywilne ubranie, więc założyłam, że jest zwiadowcą albo przewodnikiem... Tylko dlatego pozwoliłam sobie z nim flirtować. A teraz był w przeklętym stanowisku dowodzenia. Poczułam, że się rumienię. Nawet nie zawracałam sobie głowy nadzieją na to, że mnie nie pamięta. Mówił z błyskiem w oku. Pamiętał mnie doskonale.

Z radością przyjęłam oschłą odprawę Dromina i odmaszerowałam, wbijając wzrok przed siebie. Sprzeczka za moimi plecami trwała dalej i wyraźnie usłyszałam: „...maskotka Pietrowa, pewnie grzeje mu śpiwór...”. Płonęły mi policzki, gdy ciężkim krokiem szłam przez gęszcz nieznanomych okopów, transzei, stanowisk karabinów maszynowych. Nowa linia frontu do obrony, nowy wróg do rozpracowania, teren do rozpoznania, a teraz nowy dowódca, który uważał mnie za frontową dziwkę. O to ostatnie mogłam mieć pretensje wyłącznie do siebie. Cóż, gdyby porucznicy nie wałęsali się ubrani jak cywile...

Saperzy przygotowali porządne, głębokie okopy na gęsto zalesionych wzgórzach. Idąc krętym szlakiem, który prowadził ku drugiej kompanii, i wciąż nie mogąc przełknąć wstydu, który palił mnie jak rozgrzane węgle, usłyszałam gromki okrzyk i nagle znalazłam się w czyimś niedźwiedzim uścisku.

– Mila! Mila, nareszcie jesteś...! – Zobaczyłam szeroką rozpromienioną twarz Fiodora Siedycha, gdy ten młody byczek postawił mnie z powrotem na nogi. – Już myśleliśmy, że jednak dopadli cię Rumuni. Mówiłem Kostii...

Odwróciłam się od Fiodora i ujrzałam spokojną, jakby wyrzeźbioną twarz swojego partnera.

– Kostia – przywitałam się, a jego ramiona otoczyły mnie jak żelazna obręcz. Też mocno go uścisnęłam i odsunęłam się tylko po to, żeby mu się przyjrzeć. Był chudszy, niż gdy go widziałam ostatnim razem, a do tego miał zabandażowaną rękę, którą pociągał za spust. – Jesteś ranny? – Wzruszył ramionami, a Fiodor już po chwili ciągnął nas oboje w stronę najbliższego pieca.

– Jesteśmy w tarapatach – oznajmił otwarcie, podgrzewając w menażce trochę wody na herbatę. Usiadłam na odwróconej do góry dnem skrzynce,

mocno przywierając ramieniem do ramienia Kostii, który poprawiał bandaż na swojej dłoni. – Druga kompania zmniejszyła się o połowę. Pod koniec października natknęliśmy się na hitlerowców niedaleko Iszunia. Odparliśmy ich, ale ich moździerze i mессerschmitty dały nam popalić. Byliśmy rozlokowani prawie na otwartym stepie. Za bardzo odsłonięci. To wtedy oberwał Siergijenko. Trafili prosto w stanowisko dowodzenia. Doszczętnie zgruchotali mu nogę.

– Wylize się? – Ścisnęło mnie w gardle na myśl o człowieku, który wyniósł mnie do rangi snajpera, pilnował, żeby nie narzucali mi się jego kochliwi koledzy oficerowie i pierwszy mnie awansował.

– Wylize, ale nie będzie chodził. Teraz Siergijenko może tylko siedzieć za biurkiem.

Przynajmniej przetrwa tę wojnę. Już tęskniłam za spokojnym, kompetentnym kapitanem – bardzo tęskniłam – ale przynajmniej żył.

– A pułk?

Fiodor podał herbatę razem z odrobiną cennego zachomikowanego cukru i dodał do niej zwykłe suchary.

– Skurczył się do sześciuset, siedmiuset ludzi.

Sześciuset albo siedmiuset ludzi z trzech tysięcy należących do pułku w czasie pokoju.

– Co z moim oddziałem? – spytałam, biorąc ranną rękę Kostii i odwiązuując bandaż, ponieważ trudno mu było to zrobić samemu. W plecaku miałam prezenty dla wszystkich żołnierzy, których wyszkoliłam, kupione podczas oczekiwania w Sewastopolu – głównie butelki brandy albo tabliczki czekolady, ale Fiodorowi przyniosłam puszkę jego ulubionych sardynek w oleju, a Kostii używany egzemplarz Opowiadań sewastopolskich Tołstoja. Kupiłam tę książkę, gdy przypominałam sobie jego sfatygowaną Wojnę i pokój... Teraz jednak strach chwycił mnie za serce, ponieważ uświadomiłam sobie, że nie widziałam jeszcze żadnego z pozostałych mężczyzn. Chłopaka z Kijowa z twarzą poznaczoną bliznami po trądziку, tyczkowatego marynarza z Mińska...

– Ilu zostało?

Wtedy Kostia odezwał się pierwszy raz.

– Tylko my.

Dowodziłam dziesięcioma, pomyślałam, czując mdłości. Teraz miałam dwóch. Z Niemcami rzeczywiście walczyło się inaczej.

– Kiedy będziemy mogli zdobyć więcej ludzi? – spytałam raczej siebie samą niż pozostałych. – Więcej ludzi, więcej karabinów...

– Zobaczę, co da się zrobić – zabrzmiał wesoły głos za moimi plecami, a gdy się obejrzałam, zobaczyłam ze zdziwieniem wysokiego jasnowłosego porucznika. Resztki nadziei, że mnie nie pamiętał, wyparowały, gdy powiedział: – Z suchymi włosami wyglądacie inaczej, Pawliczenko.

– Wy też – odrzekłam sztywno. – Towarzyszu poruczniku.

– Kiedy widzieliśmy się poprzednim razem, byłem na przepustce. Stąd tamto cywilne ubranie. Przeniesiono mnie do drugiej kompanii dopiero w Sewastopolu. Porucznik Kicenko. W każdym razie na stanowisku dowodzenia. – Podał mi rękę. – Po służbie Aleksiej.

Słyszając to imię, zamrugałam. To nie jego wina, że był wysokim, niebieskookim blondynem i porucznikiem, tak jak mój mąż, ale czy musiał na dodatek mieć na imię Aleksiej? Po chwili znowu zamrugałam, gdy Kostia zerwał się z miejsca i z szerokim uśmiechem uściskał przybysza, jakby byli braćmi.

– Dostaniecie swój pluton – powiedział do mnie Kicenko i przyjaźnie poklepał Kostię po plecach, usiadł na starej beczce po oleju. – Dromin po prostu się wścieka, bo wie, że nie może się przeciwstawiać Pietrowowi.

– Dziękuję, towarzyszu poruczniku. – Był miły, ale chcąc nie chcąc, zastanawiałam się, czy to nie on snuł przypuszczenia na temat mojej funkcji w śpiworze generała Pietrowa. Wszystko z powodu jednego nierozważnego całusa...

– Przyjaciele mówią mi Lonia – powiedział z uśmiechem Kicenko, markując cios w stronę Kostii, który uchylił się i odpowiedział mu tym samym. – A wy to Ludmiła Pawliczenko. Gdy spotkałem się z obecnym tu Kostią, spytałem go o tę zjawiskową brunetkę, którą widziałem wychodzącą z łaźni jak Wenus z muszli, i Kostia wszystko mi o was powiedział.

To śmiałe pochlebstwo zbiło mnie z tropu, ale nie aż tak jak jego nieoczekiwany koleżeński ton.

– Skąd się znacie?

– Poznaliśmy się przed laty w Doniecku, w technikum – powiedział Kicenko, sięgając po suchara. – Pewnego dnia zobaczyłem, jak ten chudzielec z Irkucka wkrada się do klasy niczym zalękniony wilk...

– Wszyscy naśmiewali się z mojego akcentu – dodał Kostia. – Oprócz niego...

– O, też się naśmiewałem z twojego akcentu. Z syberyjskich samogłosek zdolnych przecinać lód. Ale pomyślałem: „Zaprzyjaźnijmy się, taki mały zdziczały skurczybyk przyda się podczas gry w hokeja”.

– I wtedy jakiś byk z Leningradu nazwał moją matkę dziwką i Lonia złamał mu nos. – Kostia pokręcił głową, wciąż się uśmiechając, a ja tylko patrzyłam bez słowa. Nie słyszałam, by mój milczący partner wypowiedział z własnej woli aż tyle słów w ciągu... no cóż, kiedykolwiek. – No więc jesienią zaprosiłem tego mieszczucha do Irkucka...

– ...i jego ojciec zabrał nas na polowanie, i wtedy zrozumiałem, że to on jest prawdziwym wilkiem – dokończył Kicenko, po czym zadrżał i dodał: – Jak postać z koszmarów o Babie Jadze.

Zastanawiałam się, jak to możliwe, że jeden z nich jest porucznikiem, a drugi kapralem, biorąc pod uwagę, że musieli się zaciągnąć mniej więcej w tym samym czasie, ale Kostia wyjaśnił:

– Lonia poszedł na przyspieszony kurs dla młodszych oficerów organizowany przez sztab generalny Samodzielnej Armii Nadmorskiej.

– I teraz mogę mu wydawać rozkazy – powiedział Kicenko, wymierzając Kostii następny żartobliwy cios. – Ale lepiej posłuchajmy o was, Ludmiło Michajłowna. Skoro zdobyliście sto osiemdziesiąt siedem skalpów, dlaczego nie odznaczono was jeszcze paroma orderami?

– Nie robię tego dla orderów – powiedziałam, nie zdoławszy do końca stłumić ostrzejszej nuty w głosie.

– Ona to robi dla gorzałki. – Fiodor roześmiał się, podając mi kubek wypalającej wnętrzości wojskowej wódki. – Że nie wspomnę o tutejszych luksusowych kwaterach.

Kicenko uśmiechnął się, ale nie dawał za wygraną.

– Pytam poważnie... Dlaczego na tej tunice nie ma ani jednego medalu?

Wzruszyłam ramionami, ale Fiodor odpowiedział za mnie.

– Siergijenko zgłaszał ją do odznaczeń, ale widocznie utknęły na czyimś biurku. Na biurku kogoś stojącego wyżej niż on, kto nie przepada za naszą Milą...

– Kogoś, kto nie ma ochoty przypinać gwiazdek do tuniki kobiety – wtrącił Kostia.

– Przywykną – powiedział Kicenko. – Wiecie, że towarzysz Stalin odznaczył trzy pułki bojowe złożone wyłącznie z kobiet i utworzone w Wojskowych Siłach Powietrznych pod dowództwem Mariny Raskowej? W przyszłym roku będą przypinali czerwone i złote gwiazdki do mundurów setek pań. – Uśmiechnął się do mnie szczerze i z podziwem. – Dostaniecie swoją część, Milu.

Zastanowiłam się, patrząc na niego znad krawędzi kubka.

– Towarzyszu poruczniku – odezwałam się w końcu, starając się go nie urazić. Chciałam jednak wyznaczyć granicę, zanim jego pierwsze wrażenie sugerujące moją skłonność do flirtowania przerodzi się w założenie, że jestem przystępna. – Kostia i Fiodor mówią do mnie Mila. Osłaniali mnie, a ja osłaniałam ich. Zabijaliśmy razem, walczyliśmy razem, krwawiliśmy razem. Jestem po imieniu wyłącznie z towarzyszami broni.

– W takim razie zaczekam, dopóki nie będziemy razem krwawić – odrzekł bez urazy Kicenko i uniósł kubek z herbatą w formie salutu. – Przypuszczam, że Sewastopol stworzy nam ku temu okazję.

W tej kwestii z pewnością miał rację.

12

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Powierzono mi zadanie rekrutacji i wyszkolenia plutonu snajperów – dostąpiłam tego zaszczytu jako

pierwsza kobieta w Armii Czerwonej.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Nie mam pojęcia, czy byłam pierwszą kobietą, która dowodziła plutonem w Armii Czerwonej, ale ktoś w biurze propagandy uznał, że dobrze to brzmi, i dzięki temu dostałam zgraję ślamazarnych nowicjuszy, która w niczym nie przypominała plutonu.

Prawdziwy pluton strzelców liczyłby pięćdziesięciu jeden żołnierzy pod dowództwem porucznika i starszego chorążego sztabowego, których podwładni byliby podzieleni na cztery sekcje, a na czele każdej z nich stałby chorąży. Taki pluton miałby sekcję moździerzową, kuriera, wyraźną strukturę. Mój pluton był garstką zielonych rekrutów, których niechętnie skierował do mnie porucznik Dromin, odsiewając te niedojdy z batalionów piechoty morskiej, gdy w listopadzie nadeszły posiłki. Rozegrała się taka sama scena jak wtedy, gdy dostałam pierwszych żołnierzy do przeszkolenia: mężczyźni spierali się ze mną o to, czy rzeczywiście jestem ich dowódcą, czy rzeczywiście zabiłam stu osiemdziesięciu siedmiu żołnierzy wroga, czy na froncie jest miejsce dla kobiet. Ale szczerze mówiąc, słyszeliście już wystarczająco dużo na ten temat, podobnie jak ja, więc pozwólcie, że przejdę do chwili, w której już mnie tak jakby słuchali, a ja miałam jakby pluton.

W zasadzie żaden kapral nie pomagał mi dowodzić tym plutonem, ponieważ pierwszego dnia ani z Fiodora, ani z Kostii nie było żadnego pożytku. Niezmiernie ich bawiło siedzenie z tyłu i obserwowanie, jak rekruci podnoszą mi ciśnienie. W końcu zagroziłam, że wyślę ich obu do Dromina za karę za naśmiewanie się z dowódcy.

– Wcale się nie śmiałem – powiedział Kostia z kamienną twarzą, lecz roztańczonymi oczami, Fiodor zaś tak rechotał, że nie można go było podnieść z błotnistej ziemi. Ukaralam ich trzema godzinami kopania latryn.

Znowu zatem dowodziłam strzelcami, ale brakowało porządnych wypadów, podczas których mogliby zdobywać doświadczenie. W pierwszej połowie listopada dochodziło do licznych zaciekłych starć, gdy próbowaliśmy odeprzeć hitlerowców, którzy ufortyfikowali Mekenzia, licząc na to, że urzędują tam sobie bazę i przedrą się na tylne pozycje obrońców miasta. Pruli teraz w kierunku Sewastopola, co oznaczało dla

nas nie snajperską robotę, lecz strzelanie na oślep, kontrataki pod ciężkim ostrzałem z moździerzy... tygodnie niemieckich ataków i naszych kontrataków, nie tylko gdy byliśmy w Mekenziach, lecz na całej długości linii obrony Sewastopola.

– Dwadzieścia pięć dni – powiedział Kostia, a ja usłyszałam w jego głosie niepewność. Od dwudziestu pięciu dni szkopy wściekle atakowały Sewastopol, nigdy się nie wahając, nigdy nie ustępując, dopóki nie zepchnęli nas o kilka cennych kilometrów dalej. Nacierający na Odessę nie mieli aż tak żelaznej woli, nie pod ciągłym deszczem śmierci, którym ich tam powitaliśmy.

– Teraz będą musieli się przegrupować – powiedziałam, lustrując przez lornetkę ziemię niczyją: neutralny pas terenu, wzdłuż którego ciągnęły się po obu stronach okopy, przejścia, gniazda karabinów maszynowych, pola minowe i rowy przeciwpancerne. – Na chwilę sytuacja się uspokoi. A wiesz, co to oznacza.

Kostia skinął w stronę miejsca, które mu wcześniej pokazałam, pasma biegnącego wzdłuż wysokiego grzbietu Doliny Kamyszłowskiej. Nie było to przejście, przez które mogliby się przedostać zwykli żołnierze, nie narażając się na miażdżący ostrzał, ale snajperzy nocą? Kiwnęłam głową.

– Tak, tam.

– Na pewno wyślą też swoich – zauważył Kostia. – Czujki, grupy zwiadowcze.

Pierwszy człowiek, na którego mój pluton i ja wpadliśmy podczas wieczornego patrolu, nie był jednak hitlerowcem, lecz jednym z naszych.

Gdy tylko ominęliśmy rozbebeszone odcinki z okopami i drutem kolczastym, las zaczął przypominać labirynt. Budziła się do życia płatanina jałowców, grabów, dwukolczaków śródziemnomorskich, dzikiej róży – po zebraniu tak wielu liści i kwiatów dla Sławki potrafiłam już rozpoznać te rośliny. Prowadziłam swój pluton wzdłuż grzbietu, z którego właśnie zmiotliśmy tuzin niemieckich kaemistów uzbrojonych w schmeissery. Choć znajdowali się poza naszym zasięgiem, szybko się wycofali, lecz my nie dostaliśmy rozkazów, by ścigać pomniejszych patrole. W ramach treningu rozkazałam żołnierzom strzelać do widocznych w oddali szarych kropek niemieckich mundurów, dopóki nie zniknęły wśród drzew. Dym z broni wciąż spowijał wzgórze, ostatnie wystrzały odbijały się echem

w wąwozach, gdy nagle z gęstwiny wynurzył się jakiś białowłosy mężczyzna.

Fiodor natychmiast uniósł karabin, ale ja pchnęłam jego lufę ku ziemi. Starzec miał podniesione ręce i pokazywał coś, co wyglądało na radziecki paszport.

– Swój! Swój! – krzyczał.

– Skoro jesteście swój – zawołałam, nie przybliżając się nawet o krok – co robicie na linii pięćdziesiątego czwartego pułku i jak wam się udało ominąć czujki wroga?

– To nic trudnego. – Splunął na liście u swoich stóp. – Niemcy boją się zapuszczać głęboko w las, a ja znam ukryte ścieżki. Od trzydziestu lat jestem tu leśniczym.

– Leśniczym? – powtórzyłam z powątpiewaniem. W szarej cywilnej kurtce i z plecakiem, z białą, gęstą, potarganą brodą sięgającą mu prawie do oczu, ta chuda przygarbiona postać przypominała raczej starego leśnego ducha.

– Byłem leśniczym. – Stary spojrzał mi w oczy i cała jego twarz wykrzywiła się w paroksyzmie smutku. Szybko wytarł oczy, zanim zdążyły z nich popłynąć łzy, i dodał szorstko: – Znają mnie tu jako Wartanowa. A jeśli mnie posłuchacie, dam wam niemiecki sztab w chutorze Mekenzia.



– Jest tam dom. Obok stoją opancerzone pojazdy transportowe z antenami i karabinami maszynowymi na kabinach, gąsienicowe wyrzutnie pocisków, motocykle z koszami. To właśnie ten sztab.

– Żołnierze? – spytałam.

– Zwykle szarozielone mundury. – Leśniczy kucnął w naszym okopie obserwacyjnym i pałaszował talerz gorącej kaszy jęczmiennej. – Reszta w krótkich czarnych kurtkach i beretach.

– Załoga czołgu – zanotowałam to w myślach. – Kto wydaje rozkazy?

– Wysoki oficer, jakieś czterdzieści lat, jasne oczy. Tunika od munduru galowego, srebrne naramienniki, czarno-biały krzyż pod kołnierzykiem.

Codziennie rano wychodzi umyć się przy pompie i pogimnastykować. Szkopy mają tam wszystkiego pod dostatkiem. – Twarz Wartanowa się wykrzywiła, głęboko pod jej powierzchnią przetoczyła się nienawiść. – Ale boją się Rosjan.

– Dlaczego?

Wzrok Wartanowa przesunął się w stronę mojej broni, której nigdy nie trzymałam dalej niż na wyciągnięcie ręki.

– Podobno macie karabiny ze specjalnymi celownikami.

– To prawda – powiedziałam neutralnym tonem.

– No to ich użyjcie. – Wyskrobał z menażki reszkę kaszy. – To niedaleko stąd, przez las. Jeśli iść skrótem, jakieś pięć kilometrów. Pokażę wam.

Wymieniłam spojrzenia z Kostią. Dał mi oczami znak, żebyśmy porozmawiali na osobności.

– Pułapka? – zadał to pytanie wprost i rzeczywiście istniało takie ryzyko. Nie cała miejscowa ludność była lojalna wobec ojczyzny. Nawet mimo rozchodzących się wieści o tym, jak Niemcy traktują naszych cywili i pojmanych żołnierzy, znajdowali się jacyś wiejscy idioci, którzy widzieli w hitlerowcach wyzwolicieli mogących ich ocalić od głodu, który cierpieli przez towarzysza Stalina. Nie miałam zamiaru dać się złapać w pułapkę i zginąć od kuli.

– Pójdziemy z tym do dowódcy grupy rekonesansowej – zdecydowałam.

– Jeśli jednoznacznie potwierdzimy narodowość i tożsamość tego człowieka, zaryzykuję i wezmę go na rekonesans.

Twarz Kostii stężała.

– Ale nie sama.

– Potrzebujemy przewodnika – powiedziałam. – Linie frontu się stabilizują, w najbliższych tygodniach szkopy prawdopodobnie nie przypuszczą żadnego dużego ataku. Pora wysłać pluton na łowy. – A nie można było tego zacząć, jeśli nie znałam terenu i nie wiedziałam, jak się poruszać w gęstym lesie, który wznosił się niczym zielona ściana i szeleścił na krnąbrnym wietrze znad morza.

Dlatego dwa dni później, zdobywszy zgodę dowództwa i uzyskawszy zadowolające potwierdzenie tożsamości i lojalności Wartanowa, zabrałam o brzasku starego leśniczego w stronę gór Mekenziewa.

Przemykał między drzewami jak duch, idąc ledwie widocznym myśliwskim szlakiem. Podążałam za nim wśród krzywych klonów, zastanawiając się, jak będę strzelała w takiej gęstwinie. Była dobra do ukrywania się – lepsza niż brutalnie odsłonięty step – ale nie do strzelectwa wyborowego. Co miały robić moje kule? Sunąć zygzakiem między pniami?

– Pawliczenko – mruknął Wartanow, którego zastanowiło moje nazwisko.
– Ukrainka?

– Rosjanka – odpowiedziałam spokojnie. Takie pytania o narodowość zawsze mnie irytowały. – Wszyscy mieszkamy w Związku Radzieckim, prawda?

Znowu mruknął. Wątpiłam, czy przyznał mi rację, ale przynajmniej się nie spierał.

– Od tego krzywego klonu do studni jest osiemdziesiąt pięć metrów – powiedział, odbijając w prawo, a ja ruszyłam za nim i zaczęłam kurtką o dwukolczak. Wyswobodziwszy się, zastygłam, słysząc, jak stado małych ptaków wzlatuje hałaśliwie z najbliższego drzewa.

– Ostrożnie – syknął leśniczy, po czym znowu prześlizgnął się przez zarośla jak węgorz. Nim wzeszło słońce, dotarliśmy do chutoru Mekenzia i wspięłam się z lornetką na najbliższe drzewo.

Niemieckie ciężarówki i żołnierze w mundurach mysiego koloru poruszali się niczym mrówki po drodze łączącej chutor z wsią Zalinkoj. Pośród całej tej germańskiej szarości zobaczyłam Tatarów krymskich z białymi opaskami kolaboranckich policjantów. Strzegli szlabanu, ustawieni w kordonie. W południe pojawiła się kuchnia polowa, a mnie pociekła ślinka, gdy rozszedł się zapach kartoflanki i erzacu kawy.

– To on – mruknął z dołu Wartanow, a ja zauważyłam oficera.

Znałam mundury wroga lepiej niż stary leśniczy – zobaczyłam przez lornetkę oznaczenia majora artylerii z Krzyżem Rycerskim. Patrzyłam, jak zapala cygaro i wyrusza samochodem w stronę miejscowości Czerkiez-Kermen. Tam jest pewnie kwatera główna, pomyślałam. Możliwe, że

przebywał tam sam generał pułkownik Erich von Manstein. Do niego pewnie nie udałoby mi się strzelić, ale do tego zadowolonego z siebie majora z jego poranną gimnastyką i srebrnymi epoletami – owszem. Jesteś mój, powiedziałam do niego w myślach, gdy jego samochód odjeżdżał, podskakując na drodze.

Narysowałam prostą mapkę, zanotowałam odległości, zaczęłam obliczać siłę wiatru. „Średnia prędkość: cztery do sześciu kilometrów na godzinę”.

– Co to takiego? – spytał Wartanow, patrząc na moje obliczenia, gdy wycofywaliśmy się bezpiecznie w stronę ziemi niczyjej. – Chodzi o wiatr?

– Karabin wystrzeli kulę, ale to wiatr ją poniesie – zacytowałam stare porzekadło. – Jeśli wybierzemy tę pozycję, będziemy mieli wiatr wiejący z boku pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Z odległości stu metrów od celu poprawka boczna wynosi kilka miliradianów. Ale wysoko nad powierzchnią morza – ożywiłam się, nie umiejac się oprzeć tym szczegółom technicznym – ciśnienie atmosferyczne się zmienia, a tor lotu kuli wydłuża, zwiększając jej zasięg. Jednak na wzgórzach niższych niż pięćset metrów, a my jesteśmy na trzystu dziesięciu, można zignorować wiatr poprzeczny, pod warunkiem że uwzględni się wiatr boczny, bo to właśnie on może spowodować znaczne...

Wartanow zrobił nieufną, zgnębioną minę, jaką robili bibliotekarze w Odessie, gdy zaczynałam mówić o Bohdanie Chmielnickim.

Westchnęłam.

– Oblicza się siłę wiatru, żeby lepiej wymierzyć do celu i nie spudłować.

– Czemu od razu tak nie mówicie? – wydawał się urażony. – Umiem ustrzelić jelenia z dwustu metrów. Wiem, jak brać poprawkę na wiatr!

– Nie wątpię, ale i tak warto znać kryjące się za tym mechanizmy.

Zbył mnie machnięciem ręki.

– O tej porze roku spodziewajcie się silnych podmuchów z północy i północnego wschodu. Zaatakujecie jutro?

Pomyślałam, że nie ma sensu zwlekać. Przy odrobinie szczęścia i zimnej krwi moglibyśmy zlikwidować całe gniazdo... nie było to jednak zadanie dla wszystkich ludzi z mojego plutonu. Część z nich nie opanowała jeszcze

tabel balistycznych, a tym bardziej obliczeń związanych z wiatrem poprzecznym. Czekala nas stresujaca, precyzyjna robota.

– Weź tego czarniawego – odpowiedział Wartanow, czytając w moich myślach. – Swojego partnera. Z was wszystkich tylko on jeden umie się cicho poruszać.

– On, Fiodor Siedych i Burow. – Najlepsi z moich marynarskich rekrutów. – Pożyczę też dwóch bitnych typów od dowódcy grupy rekonesansowej, w razie gdyby zrobiło się gorąco.

– I mnie – powiedział Wartanow.

Zatrzymałam się obok splątanej gęstwiny dwukolczaków.

– Wy nie jesteście żołnierzem Armii Czerwonej, dieduszka – powiedziałam łagodnie. – Nie mogę zabierać cywilów na łowy.

– Ten dom, w którym Niemcy urządzili sobie sztab, należał do mnie. – Widoczne nad gąszczem brody oczy leśniczego przypominały noże połyskujące w leśnym podszyciu. – Mieszkałem tam z synem i jego żoną, ze swoją żoną i młodszymi dziećmi. Mieliśmy banię, stodołę, szklarnie i wszyscy pracowaliśmy od świtu do zmierzchu. Nie potrafiłbym nawet powiedzieć, gdzie toczyła się wojna ani o co. Dziesięć dni temu wybrałem się do gminy, żeby zgłosić dodatkowe wydatki, i właśnie tego dnia zjawiała się grupa hitlerowskich zwiadowców. Kazała mojej rodzinie ustawić się pod ścianą mojego domu i wszystkich rozstrzelała. – W jego oczach były łzy, ale nie pozwolił im wypłynąć. – Będę patrzył, jak te bestie umierają, z waszym pozwoleniem albo i bez.

Powoli sięgnęłam po strzelbę przewieszoną przez jego opuszczone ramię. Pozwolił, by zsunęła się do moich rąk. Był to stary berdand II, prawie zabytek. Spojrzałam leśniczemu w oczy.

– Możecie pożyczyć mosina-naganta od kogoś z mojego plutonu. Dam wam dwadzieścia naboju, żebyście do jutra się z nim oswoili.

Obnażył zęby.

– Wystarczy mi dziesięć.



Patrzcie, jak nazajutrz grupa siedmiu strzelców zbliża się o brzasku do wioski.

Tym razem nie mam u boku Kostii i nie jest on z tego zadowolony. Wprawdzie się ze mną nie spiera, gdy wydaję mu rozkaz pozostania z mniej doświadczonymi członkami plutonu, ale między jego ciemnymi brwiami pojawia się zmarszczka ostra jak bicz.

– Idę ze staruszką – oznajmiam, kiwając głową w stronę Wartanowa. – Jeśli się okaże, że jednak nas oszukał, załatwię go. Ale nawet jeśli mówił tylko prawdę, nie ma żadnego doświadczenia w walce i chcę go mieć na oku. Ty miej na oku resztę. Strzelaj celnie...

Kostia kiwa głową, a potem oddala się chyłkiem w półmrok. Dziwnie się czuję, gdy odchodzi. Odkąd się odnaleźliśmy po Odessie, był dla mnie jak dodatkowa kończyzna; byłabym mniej niespokojna, pełniąc służbę bez swojego cienia niż bez Kostii. Razem z resztą plutonu zajmuje pozycję piętnaście kroków na lewo ode mnie, ja ustawiam się pośrodku razem z Wartanowem, a dwaj dodatkowi żołnierze pożyczeni z grupy rekonesansowej stają piętnaście kroków na prawo: oto trójkąt ognia, którym zalejemy nazistów. Wiatr wieje z prawej. Koryguję ustawienie bocznej śruby na rurce swojego celownika optycznego i cicho wydaję polecenia. Wartanow z błyskiem w oku naśladuje każdy mój ruch.

Patrzcie. Niemcy zbierają się o tej samej porze, w tym samym miejscu i w tej samej liczbie. Na Lenina, może ich sumienne trzymanie się grafików i zasad podbijało kiedyś imperia, ale dla takiego stada rysiów jak my czyni z nich wymarzoną ofiarę. Słońce wspina się po niebie, kuchnia polowa pojawia się punktualnie o 11.37, mężczyźni stoją w grupie... co najmniej sześćdziesięciu oficerów i specjalistów.

Dowódca plutonu snajperów zawsze strzela pierwszy, dając sygnał pozostałym. Mój karabin śpiewa, posyłając pierwszy gorący prezent w oko oficera, który głośno ruga jakiegoś szeregowca, i ledwie szkop zaczyna osuwać się na ziemię, po mojej prawej i lewej grzmią wystrzały.

Patrzcie, naziści padają jak koszone żyto. Przyszpila ich ogień z trzech miejsc: wszyscy moi boczni strzelcy przesuwają się od zewnątrz ku środkowi; ja strzelam do każdego, kto wychodzi ze środka, a Wartanow do każdego, kto przechodzi w lewo albo w prawo w stronę mojej strefy. Przyszli nieuzbrojeni, by ustawić się w kolejce po jedzenie, są zbyt blisko

siebie, by uciekać, a mnie nie jest ich ani trochę żal. To oni zamordowali rodzinę Wartanowa, a jeśli moja mała siedmioosobowa grupa odpuści im choćby na chwilę, przejdą do ataku i zdobędą nad nami przewagę, ponieważ na każdego z nas przypadnie ich ośmiu albo dziewięciu. Gdyby do tego doszło, wszystkich moich ludzi czekałaby egzekucja. Jeśli chodzi o mnie, zostałabym zbiorowo zgwałcona, a potem stracona, o ile wcześniej nie zginęłabym z własnej ręki... Dziś jednak nie jest nam to pisane, ponieważ wygrywamy, i niech szlag trafi liczby.

Major artylerii wybiega z domu, wciąż w podkoszulku, w którym codziennie się gimnastkuje, i kula trafia go między oczy. To chyba kula Wartanowa. Stary leśniczy obok mnie strzela powoli, ale metodycznie, obnażając zęby w starej, surowej twarzy. Kawalek dalej Kostia pociąga za spust z chłodną precyzją, niczym blok lodu, którym jest. Moi nowi rekruci i pożyczeni żołnierze z grupy rekonesansowej mierzą i przeładowują bez wahania, napełniając mnie wielką dumą. Żaden z nich się nie waha. To moi ludzie, moja grupa zabójczych, cichych, bezgłośnie stąpających rysiów.

Patrzcie i nie mrugajcie – za chwilę to się skończy. Na ziemi leży blisko pięćdziesięciu zabitych, kolejny tuzin uciekł do najbliższej ciężarówki i co prędzej odjechał. Robimy szybki nalot na sztab, zabieramy wszystkie dokumenty, które udaje nam się znaleźć, by nasi oficerowie mogli je potem przeanalizować, bierzemy zapasy, by uzupełnić swoje skromne racje, pistolet maszynowy MP 40, który będziemy mogli wykorzystać przeciwko jego twórcom. Potem uciekamy w las. Fiodor, ten byczek, biegnie ciężko i wydaje z siebie ciche okrzyki, jakby właśnie wygrał mecz, Kostia sunie niczym cień, znowu u mojego boku, a Wartanow biegnie i płacze, lecz nawet na chwilę jednocześnie nie przestaje się uśmiechać.

Tak jak ja.



Nie mogliśmy przekroczyć ziemi niczyjej i wrócić do koszar przed zmrokiem, więc rozbiliśmy obóz w miejscu, które Wartanow pokazał mi podczas rekonesansu: w drewnianym szałasie wkopanym w ziemię, osłoniętym przez drzewa iglaste i kłujące jałowce. Gdy już prawie tam

dotarliśmy, dysząc po półtorakilometrowym biegu, nagle z zarośli przed nami wyskoczył jelen.

– Nie ma czasu za nim biec – powiedziałam, zanim którykolwiek z mężczyzn zaczął marzyć o świeżej dziczyźnie.

– Mniejsza o dziczyznę, ustrzelilibym go tylko po to, by móc go powiesić na ścianie. – Fiodor patrzył tęsknie, jak korona poroża znika wśród drzew.

– Snajper nie musi zabijać wszystkiego, co ma w zasięgu wzroku – odparłam, gdy znów ruszyliśmy biegiem.

– Poluj, by napełnić garnek i nakryć łóżko skórą, a nie po to, żeby powiesić trofeum na ścianie – mruknął niespodziewanie Wartanow. – Las jest jak świątynia: przestrzegaj starych zwyczajów, okazuj szacunek, nie zabijaj dla rozrywki, a on cię za to wynagrodzi.

– Nie wierzę w leśne duchy, ale polowanie na zwierzęta nie sprawia mi przyjemności. W starciu z tym są bezbronne. – Poklepałam karabin, schylając głowę przed niską gałęzią klonu. – Nie żyjemy już w czasach, w których bojarzy wyruszali na łowy z włóczyniami. W takim pojedynku zwierzę miało przynajmniej jakieś szanse.

– Właśnie zaszlachtowaliśmy pięćdziesięciu ludzi, siedząc w ukryciu. – Kostia odezwał się pierwszy raz tego ranka. – Im też nie daliśmy szansy.

– Ale my jesteśmy na wojnie, a wojny to ludzkość przeciwko ludzkości. Nie przeciw niewinnym zwierzętom.

Wartanow znowu obnażył zęby.

– Ci, których dzisiaj zabiliśmy, to były zwierzęta.

Gdy dotarliśmy do drewnianego szałas, ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że ktoś już rozpałił ognisko.

– Nie mam dziś służby, więc zaproponowałam, że wyjdę wam naprzeciw!
– zawołał porucznik Kicenko, po czym wstał, strzepując sosnowe igły z bryczesów. – A przy okazji sprawdzę, czy zdobyliście jakieś ważne informacje wywiadowcze.

– Starasz się unikać stanowiska dowodzenia – domyślił się Kostia, klepiąc przyjaciela po ramieniu, gdy reszta z nas wpychała się do środka.

– No dobrze, staram się trzymać z dala od Dromina, zanim wepchnę tego małego nadgorliwego chłystka do wieży czołgu. – Kicenko spojrzał na mnie. – Udane łowy?

– Niezłe. – Uśmiechnęłam się i on też się uśmiechnął. Usłyszałam w głowie, jak Lena gwizdże z uznaniem: To się nazywa uśmiech! – Możecie stanąć na warcie, towarzyszu poruczniku – zaproponowałam, gdy moi ludzie zaczęli się rozgaszczać w szalasie. – Nie ruszymy się stąd przed zmrokiem, a mój pluton potrzebuje snu.

Kicenko patrzył, jak wszyscy padamy na sosnowe igły i wyciągamy się na ziemi. Fiodor już przeciągle ziewał, a ja poczułam, jak moje gardło szykuje się, by zrobić to samo. Szybko płynąca krew pracowitej nocy i stresującego poranka ustępowała miejsca nagłemu, znanemu mi już wyczerpaniu, które niczym kurtyna opadało na mój pluton po akcji.

– Nie wiedziałem, że całe to czekanie i obserwowanie w ramach przygotowań do strzału może być takie męczące. – Kicenko na chwilę się zamyślił.

– Nie ma nic bardziej wyczerpującego niż wielogodzinny stan wysokiej gotowości. – Rzuciłam plecak na ziemię i oparłam się na nim jak na poduszce. – Oko snajpera męczy się od ciągłego skupiania wzroku.

– Tylko jedno oko?

Roześmiałam się.

– Dobrzy snajperzy nie zamykają jednego oka, po prostu skupiają się na dominującym, wtedy łatwiej zapobiec jego zmęczeniu. Ale po jakimś czasie oko i tak się męczy i raz po raz traci ostrość widzenia. – Tak jak moje w tej chwili. Ziewnęłam. – Jeśli nie macie nic przeciwko temu, towarzyszu poruczniku, zamierzam się chwilę zdrzemnąć. – I drzemałam aż do późnego popołudnia, gdy powoli podniosłam gumowate powieki i zobaczyłam, że między drzewa wtoczyła się gęsta jesienna mgła przypominająca mleko.

Kicenko wykopywał palenisko zgodnie z poleceniami Wartanowa, moi ludzie budzili się i ziewali, a ja nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłam równie zadowolona. Mój pluton był w komplecie: mieliśmy za sobą udany poranek, nikt nie zginął ani nawet nie został ranny. Takie dni były jak skarb. Spojrzałam na Kostię wciąż śpiącego na

wyciągnięcie ręki, z głową ułożoną na Wojnie i pokoju – brał tę książkę wszędzie, nawet na łowy – i dałam mu kuksańca.

– Ej, obudź się. Zobaczmy, co dobrego zabraliśmy Niemcom... Chyba że twój przyjaciel oficer już wszystko obejrzał.

– Myślicie, że ryzykowałbym narażenie się kobiecie, która umie przewiercić oczodół z odległości trzystu metrów? – spytał Kicenko. – Ten zaszczyt zostawiłem wam, towarzyszek starsza sierżant.

Wszyscy mężczyźni zebrali się wokół mnie, a gdy otworzyłam plecak majora artylerii, wydali z siebie ekstatyczne jęki. W środku były herbatniki, tabliczki czekolady, puszki sardynek, salami wielkości mojego przedramienia, półtoralitrowa butelka brandy.. Podniosłam głowę i zobaczyłam, że mój pluton patrzy na mnie tęsknie jak wygłodniałe szczenięta, więc spojrzałam na Kicenkę i uniosłam brwi.

Podrapał się po brodzie.

– Jeśli zaniesiecie to do namiotu dowództwa, zostanie skonfiskowane. Nie mamy zatem innego wyjścia, jak tylko...

– Zjeść wszystko do ostatniego okruszka? – Rzuciłam Fiodorowi puszkę sardynek. – Słyszeliście towarzysza porucznika, chłopaki. Zajadajcie.

Nic tak nie skłania ludzi do śpiewu jak świadomość, że jutro czeka ich śmierć, ale dziś udało się jej umknąć. Zanim się obejrzałam, Wartanow gotował wodę nad ogniem w jakimś zdobyтым nie wiadomo gdzie garnku i wrzucał do niej kostki puree z grochu, by zrobić zupę; kawałki przydziałowego chleba przypiekały się na kijkach. Kostia zrobił prawdziwy stół z dużego płaskiego kamienia i pokroił salami. Ja zajęłam się brandy, rozlewając trunek do blaszanych kubków wchodzących w skład standardowego wyposażenia żołnierzy. Wszyscy zebraliśmy się wokół kamienia i mężczyźni patrzyli na mnie w tańczącym świetle ogniska.

– Dobra robota, chłopaki – wzniosłam za nich toast, siedząc między Kostią a Wartanowem. – Obyśmy zawsze mieli tyle szczęścia.

– Za Panią Śmierć i jej sforę diabłów – odpowiedział Kicenko, unosząc swój kubek. – Nigdy w życiu nie widziałem niczego równie przerażającego jak wasza uzbrojona w karabiny grupa wynurzająca się dziś rano spomiędzy drzew. No, może pomijając chwilę, w której wszedłem do

latryny i zobaczyłem świecąca jak reflektor gołą dupę Dromina. Po czymś takim każdy uciekłby z wrzaskiem w noc.

Wokół kamienia rozległ się śmiech i wszyscy razem wychyliliśmy brandy. Rozpaliła swoją drogę aż do żołądka, a ja zamknęłam oczy i poczułam błogi spokój, gdy pierwsza łyżka zupy prześlizgnęła się przez moje gardło i wokół zaczęły fruwać żarty przeplatane śmiechem. Mogłabym tu umrzeć, pomyślałam. Mogłabym tu umrzeć i przynajmniej byłabym szczęśliwa. Otworzywszy oczy, wypłam resztę zupy, zastanawiając się, kiedy zaczęłam myśleć o śmierci jak o czymś nie tylko możliwym, lecz także nieuniknionym.

Mężczyźni zostawili mnie w tyle, już rozprawili się z zupą i teraz wciągali sardynki, a ich brody lśniły od oleju. Brandy najwyraźniej uderzyła Wartanowowi do głowy.

– Łatwo znaleźć drogę wśród drzew, nawet wam, miastowym... – przekonywał. – Drzewa są jak ludzie, każde ma własną duszę...

Gdy zjedliśmy ostatnie okruszki, Fiodor rozebrał się do podkoszulki i wstał w odpowiedzi na wyzwanie rzucone przez jednego z żołnierzy z grupy rekonesansowej, by stoczyć z nim walkę zapaśniczą. Wokół pobrzmiwały coraz głośniejsze okrzyki. Uśmiechnęłam się i pogrzebałam głębiej w plecaku niemieckiego majora, a potem, pogryzając czekoladę, odwróciłam plik dokumentów.

– Co tam znaleźliście? – Kicenko pochylił się, by spojrzeć mi przez ramię.

Trudno było rozczytać spiczaste niemieckie pismo, ale udało mi się rozszyfrować imię i nazwisko tego człowieka. Klement Karl Ludwig von Steingel. Jego odznaczenia świadczyły o karierze wiodącej przez Czechosłowację, Francję i Polskę.

– Sporo wojny jak na jednego człowieka – stwierdził Kicenko. – Tyle dokonań, aż w końcu trafił tutaj.

– Trafił tutaj i tutaj zostanie – powiedział Kostia, stając po mojej drugiej stronie.

– Kostia! – zawołał ktoś przy ognisku. – Chodź i daj Fiodorowi wycisk, ty parchaty wilku...

– Kogo nazywasz parchatym? – odparł Kicenko, mimo że mój partner już wstał i zaczął zdejmować kurtkę. – Powyrywaj mu ręce, Kostia! Zobaczycie – dodał porucznik, zwracając się do mnie ściszym głosem. – Wszyscy będą stawiali na tego byczka Fiodora, bo jest dwa razy większy.

Przeciwnicy zaczęli krążyć wokół siebie, mój partner lekko się uśmiechał.

– Stawiam czekoladę, że wygra młody byczek! – zawołał Wartanow po drugiej stronie ogniska.

– Przyjmuję zakład – krzyknął w odpowiedzi Kicenko, dodając na mój użytek: – A teraz patrzcie, jak nasz wilk pożera go żywcem.

– Już graliście w tę grę – domyśliłam się, gdy Kostia z uniesionymi rękami i czujnym spojrzeniem krążył wokół Fiodora. Fiodor był wielki jak głaz, ale odznaczał się pewną ociężałością i brakiem ostrożności. Mój skromnie zbudowany partner był zaś niewiele wyższy ode mnie, lecz za to stworzony z wolframu i cierpliwości.

– Wiecie, ilu kolegów z klasy pozbawiliśmy w ten sposób kieszonkowego? Każdy moskiewski złoty chłopiec z tatusiem będącym szychą w partii myślał, że będzie mógł wytrzeć podłogę chudzielcem z Syberii. – Kicenko oparł łokcie na podkurczonych kolanach. – Kiedy wypływali zęby, dowiadując się, jak bardzo się mylili, my zgarnialiśmy zakłady, zyskując pięć do jednego.

Patrzyłam, jak Kostia uchyla się przed natarciem Fiodora i odpowiada mu blokadą ramienia, która umożliwiła mu zgięcie nadgarstka przeciwnika za jego plecami.

– Więc wy byliście bukmacherem, a on przyjmował ciosy?

– Och, obaj przyjmowaliśmy ciosy. Moskiewscy złoci chłopcy z tatusiami będącymi szychami w partii nie lubią przegrywać, więc zazwyczaj po zakończeniu oficjalnej walki rozgrywała się druga. Mimo to zgarnialiśmy więcej rubli niż siniaków.

Uśmiechnęłam się.

– To dopiero przyjaźń.

– Najlepsza.

Przytrzymał moje spojrzenie tylko odrobinę za długo. Nie flirtuj z oficerami, upomniałam się w myślach, i ucieszyłam się, gdy Kicenko zerwał się z miejsca, by kibicować mojemu partnerowi.

– Za nogi go, Kostia!

Kostia odwrócił się i wykonał ukłon, a ja się uśmiechnęłam. Trudno było nie polubić Kicenki za to, że wydobył z mojej milczącej drugiej połowy tak nieoczekiwanie jasną stronę.

Odgryzając kolejną kostkę czekolady, znów zajrzałam do plecaka niemieckiego oficera i znalazłam tam coś bardziej niepokojącego: zdjęcie. Ładna jasnowłosa kobieta obejmowała dwóch niezgrabnych chłopców i wszyscy troje uśmiechali się szeroko do aparatu. Na odwrocie napisano kobiecą dłonią: Mein Herz! Mit Liebe, Anna. Był tam też plik listów napisanych tym samym charakterem pisma oraz list napisany przez tego mężczyznę – major odpisał żonie, ale nie zdążył jeszcze wysłać listu. Nawet nazistowskie diabły miały kochające rodziny. Zastanawiałam się, jak czułaby się Anna, gdyby wiedziała o zamordowanej rodzinie Wartanowa i o innych zbrodniach, które popełnił tu jej mąż.

Wokół ogniska rozległ się ryk. Podniosłam głowę w samą porę, by zobaczyć, jak Kostia zgrabnie przewraca Fiodora na twarz, przyszpilając jego olbrzymie ramię. Fiodor kilka razy uderzył otwartą dłoń w ziemię, a Kostia z uśmiechem pomógł mu wstać. Podnosząc zwinnym ruchem kurtkę, zbył machnięciem ręki apele o rewanż i przez chwilę boksował się na niby z Kicenką, którego po chwili zaciągnięto na walkę zapaśniczą ze starym Wartanowem. Mój partner znowu klapnął obok mnie, a potem zastygł na widok zdjęcia w mojej dłoni.

– Ciekawe, kiedy dotrze do niej wiadomość o śmierci męża. – Przechyliłam zdjęcie. – Albo o tym, jak zginął.

Kostia zarzucił kurtkę na ramiona, które zaczęły się już pokrywać gęsią skórką w chłodnej mgle.

– Ładna rodzinka.

– To nie ich wina, że ich ojciec tu przyjechał i znalazł się na moim celowniku. – Skrzywiłam się, patrząc na synów majora: mieli jakieś czternaście i szesnaście lat, stali dumnie w mundurach Hitlerjugend. – Czy

w końcu będziemy walczyli także z nimi, jeśli wojna potrwa wystarczająco długo?

– Jeśli do tego dojdzie. – Kostia zapiął ostatnie guziki. – Nie proszę ich, żeby tu przyjeżdżali i ze mną walczyli. Tak jak nie prosiłem ich ojca.

Wieczorem zapasy i zagrzewające do walki okrzyki wokół ogniska ucichły. Wiedzieliśmy, że kiedy całkiem się ściemni, będziemy musieli zgasić ogień w palenisku i ruszyć w drogę, lecz gdy wokół zawisł fioletowy zmierzch, spłynął na nas błogi spokój.

– Kto zna jakąś piosenkę? – spytał Kicenko po drugiej stronie ogniska, a wtedy Wartanow chropawym, lecz mimo to mocnym basem zaczął śpiewać smutną balladę rosyjsko-ormiańskim dialektem, z którego niewiele rozumiałam. Jeden z moich marynarskich rekrutów odpowiedział melancholijną szantą, a potem odezwał się niespodziewanie niski baryton Kostii.

– Błady księżyc wschodził nad zieloną górą...

Zaskoczona uświadomiłam sobie, że śpiewa po angielsku. Znałam trochę angielski – moja matka uczyła języków obcych w miejscowej podstawówce – ale nie na tyle dobrze, by zrozumieć wszystkie wersy. Było tam coś o tym, że „wśród straszliwego wojny grzmienia jej głos przynosił mi pociechę...”

– Co to było? – spytałam partnera, kiedy skończył, a Kicenko zaczął śpiewać dźwięcznym tenorem Kobiety Warszawy.

– The Rose of Tralee. – Kostia pogrzebał patykiem w ognisku. – Kiedyś śpiewała to moja babcia.

– Znała angielski?

Zawahał się, po czym jeszcze bardziej ściszył głos.

– Była Amerykanką.

– Co?!

Kostia powiedział płynną angielszczyznę jakieś długie zdanie, uśmiechając się na widok mojego zaskoczenia.

– Była młodą Irlandką z Nowego Jorku, która przyjechała tu z grupą misjonarzy jeszcze za cara. Naczytała się Tołstoja, miała romantyczne

wyobrażenia o rosyjskich śniegach i białych nocach... Oczywiście zakochała się w pierwszym sybirskim rewolucjonście, którego spotkała, i została jego żoną. – Oparł się na łokciu. – Żyła jeszcze długo po rewolucji. To od niej nauczyłem się angielskiego.

– I to do niej należał ten egzemplarz Wojny i pokoju, który wszędzie ze sobą taszczysz? – domyśliłam się.

Spojrzał na mnie i nagle spoważniał.

– Milu, nie opowiadam o tym ludziom. Nawet moja babcia trzymała to w tajemnicy. Dopilnowały z mamą, by wszystkie dokumenty przepadły, kiedy rodzina przeniosła się do Irkucka, więc nigdzie nie ma o tym wzmianki.

Wiedziałam dlaczego. Kontakty z cudzoziemcami, których kojarzono z kontrrewolucją, władze traktowały bardzo poważnie. Samo otrzymanie zupełnie nieszkodliwego listu z dekadentckiego Zachodu mogło być wystarczającym powodem, by człowiek wylądował w pokoju przesłuchań, a co dopiero więzy krwi z kapitalistycznym narodem. Ameryka właściwie nie była przyjaciółką naszej ojczyzny, zwłaszcza teraz, gdy zwlekała z zaoferowaniem choćby najmniejszego wsparcia w walce przeciwko hitlerowcom.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie?

Mój partner skinął w stronę Kicenki, który wciąż śpiewał, podczas gdy inni zabijali czas.

– Tylko Lonia.

To mnie zaskoczyło.

– Jest aż tak wielkim przyjacielem?

– Najlepszym – powiedział Kostia, powtarzając to, co usłyszałam wcześniej od Kicenki.

– Ja też nikomu nie powiem. – Trąciłam go ramieniem w ramię, żeby rozładować napięcie, ponieważ nie umiałam odpowiedzieć na tak olbrzymi gest zaufania w inny sposób. – Tylko nie śpiewaj The Rose of Tralee gdzieś, gdzie będą mogli to usłyszeć inni oficerowie, dobra?

Uśmiechnął się.

– A właściwie gdzie jest Nowy Jork? – spytałam, przeszukując w myślach mapę amerykańskiego wschodniego wybrzeża. – Na północ od Waszyngtonu, ale gdzie dokładnie?

– Nie jestem pewny. Chciałbym tam kiedyś pojechać. A ty dokąd chcesz jechać po wojnie?

Dla mnie nie ma żadnego po wojnie, pomyślałam. Nie wybieram się nigdzie indziej niż do grobu.

Pierwszy raz przyznałam przed sobą samą, w co zaczęłam wierzyć: że nigdy nie zdołam wrócić do domu. Że ta wojna, przynajmniej dla mnie, była końcem drogi.

13

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Snajperzy muszą być spokojni, żeby byli skuteczni.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Snajperzy muszą być spokojni, żeby byli skuteczni, i dlatego kobiety są dobre w strzelectwie wyborowym. Nie ma bowiem na świecie takiej kobiety, która nie nauczyła się przełykać wściekłości, by sprawiać wrażenie spokojnej.

– Nie – warknął na mnie porucznik Dromin. – Nie możecie wziąć tego starca Wartanowa do plutonu. Ojczyzna nie jest aż tak zdesperowana, żebyśmy wciskali w mundur zgrzybiałych dziadków i drepczących i podpierających się laskami posyłali ich na wroga.

Jeszcze raz długo i spokojnie przełknęłam furję, zachowując rozsądny ton.

– Sam się zgłosił, a jego znajomość okolicznych terenów jest nieoceniona. – Mój pisemny wniosek o przyjęcie starego leśniczego do plutonu został odrzucony, więc wybrałam się do stanowiska dowodzenia, żeby się wstawić za Wartanowem osobiście. – To dzięki jego pomocy zwiadowczej moi ludzie zmietli na ziemi niczyjej pięćdziesięciu hitlerowców w ciągu ostatnich dwóch dni.

– Słyszałem atak mózdzierzowy, który to wywołało – odezwał się porucznik Kicenko, opierając się o biurko Dromina. – Urządzili niezły koncert. Trochę za dużo instrumentów dętych, ale o to można mieć pretensje raczej do Wagnera...

– Do kogo? – zdenerwował się Dromin. – Nieważne – rzucił, gdy Kicenko otworzył usta.

Kicenko tylko się roześmiał, splatając ręce na piersi. Czapka na jego jasnych rozczochranych włosach była wesoło przekrzywiona. Przypomniało mi się, jak Lena powiedziała: „Zamierzam go sobie spróbować!”, gdy przed banią odprowadzała wzrokiem jego barki, i teraz starałam się nie zwracać na nie uwagi. Jeśli twoją uwagę zwrócą barki mężczyzny, lepiej żeby ten mężczyzna nie był nowym dowódcą twojej kompanii w samym środku strefy wojennej, a jeszcze lepiej, jeśli masz na sobie ładną sukienkę i on także może cię podziwiać. Ja właśnie wróciłam z porannych łowów i byłam w kamuflażu. W kurtce obwieszanej i obszytej pnączami kolczatki wyglądałam jak wędrowny krzak.

– Ja tam przyjąłbym tego Wartanowa, skoro tak bardzo chce służyć – mówił Kicenko. – Być może ostatni raz był w wojsku za Katarzyny Wielkiej, ale kogo to obchodzi? Jeśli w tym drzewie wciąż krążą soki, równie dobrze może nosić mundur.

– Wasza kompania, wasza decyzja – powiedział Dromin z miną człowieka umywającego ręce. – To wy będziecie odpowiedzialni, kiedy nogi odmówią mu posłuszeństwa i spadnie z jakiegoś urwiska. A jeśli o was chodzi, towarzyszek sierżant Pawliczenko... – Widziałam, jak jego spojrzenie przesuwają się z odrazą po moim kamuflażu i karabinie, który owinęłam kolczatką, aż upodobił się do narecza chrustu. Najwyraźniej moja ogrodnicza kreacja nie przypadła mu do gustu i najwyraźniej myślał, że powinnam się tym przejąć. – Jutro po południu będziecie reprezentować drugą kompanię w stanowisku dowodzenia pięćdziesiątego czwartego pułku w Dolinie Kamyszłowskiej, gdy generał major będzie wręczał nagrody państwowe.

Dromin miał złośliwy błysk w oku i ugryzłam się w język, żeby nie zakląć. Popołudniowa ceremonia oznaczała, że po nocy spędzonej na rozpoznaniu, kopaniu i kamuflowaniu gniazda na ziemi niczyjej oraz po stresującym porannym czekaniu, żeby oddać strzał, nie będę mogła się

wyspać. Zamiast walnąć się do śpiwora, miałam się wystroić w mundur galowy i przeprawić przez wąwóz tylko po to, żeby stać i ziewać podczas wielogodzinnych przemówień...

Miałam jednak dostać Wartanowa, a stary leśniczy był wart kilku straconych godzin snu.

– Dziękuję, towarzyszu poruczniku – powiedziałam, salutując elegancko, po czym wyszłam, szeleszcząc swoją liściastą wspaniałością.

Kicenko wyszedł za mną i szedł obok.

– Podwiozę was jutro służbowym samochodem – powiedział. – Mnie też wysyłają na tę ceremonię. Podwózka wynagrodzi wam to całe głędzenie.

– Dlaczego chcecie mnie podwieźć? – pacnęłam dłonią pęd kolczatki, którzy opadł mi na oko.

– Żeby skraść wam buziaka – powiedział. – Poprzednim razem to wy mnie pocałowaliście. Czuję, że powinienem się odwdzięczyć.

– Wiedziałam, że tamten całus wróci i będzie mnie prześladował – odparowałam.

– Oby w snach na jawie, a nie w koszmarach. Zastrzelilibyście mnie, towarzyszek starsza sierżant Pawliczenko, gdybym was pocałował? – ciągnął Kicenko z uśmiechem.

– Być może. – Przystanęłam, żeby zerwać z ramion część pnączy, zachowując grzeczny, ale stanowczy ton. Nie miałam nic przeciwko flirtowaniu w bardziej cywilizowanym miejscu – powiedzmy w przerwie w operze, gdy miałabym na sobie żółty atłas, a nie krzaki. Przez chwilę żałowałam, że mnie tam nie ma. Nie byliśmy jednak w operze, a ja nie miałam już wymówki w postaci niewiedzy, że Kicenko jest moim przełożonym. – Dziękuję, towarzyszu poruczniku, ale mogę sama pójść na jutrzejszą ceremonię.

– Na pewno? Zawsze chciałem wystąpić na ceremonii wręczenia nagród z żywopłotem u boku. Stworzymy bardzo stylową parę. Będę się prężył jak świerk.

Moje usta mimowolnie drgnęły, więc zajęłam się zdejmowaniem kolejnych elementów kamuflażu.

– Dziękuję, że się wstawiliście za Wartanowem. Bardzo się ucieszy, kiedy się dowie, że może oficjalnie zostać żołnierzem Armii Czerwonej. – Właściwie to Wartanow nie darzył miłością Armii Czerwonej, ojczyzny ani niczego, co uważał za ciemnienie ukraińskiego narodu, ale hitlerowców nienawidził bardziej niż towarzysza Stalina. – Jest spragniony zabijania faszystów – dodałam całkowicie szczerze.

– Lubię tego starego drania – powiedział wesoło Kicenko, wkładając ręce do kieszeni płaszcza. – Umiałby się podkraść do Dziadka Mroza i poderznąć mu gardło, od razu to widać. Dobrze, że jest po naszej stronie. Co to? – spytał, gdy wyplątałam butelkę i gumową rurkę z futerału na naboje. – Gruszka do lewatywy?

– Kolejne narzędzie ze snajperskiego worka z magicznymi przedmiotami. Wartanow pokazał mi szlak prowadzący do bardzo małego odcinka ziemi niczyjej. Jest stamtąd widok na szutrową drogę, która biegnie najwyżej pół kilometra od niemieckiej linii frontu. Gdy napełnię to wodą – uniosłam butelkę – a potem zakopię w ziemi obok gniazda, prowadząc tę rurkę od szyjki butelki do swojego ucha, usłyszę dudnienie ziemi oznaczające, że drogą nadjeżdżają motocykle albo pojazdy służbowe. – Leżałam całą noc i pół poranka obok Kostii w płytkim okopie, przykryta zasłoną z pędów dzikiej róży i grabu. Co jakiś czas przekazywaliśmy sobie rurkę, aż usłyszeliśmy wibracje porządnego konwoju. – Przestrzeliliśmy koła jednego samochodu, a potem zdjęliśmy trzech oficerów i strzelca.

– Naprawdę przerażająca z was kobieta. Na pewno nie mogę was pocałować?

Kusiło mnie, żeby mu pozwolić. Pamiętałam, że pachniał sosnami, i denerwowało mnie, że tak wyraźnie to pamiętam.

– Na pewno. – Ruszyłam dalej, ciągnąc za sobą pnącza.

– Dlaczego? – Z łatwością dotrzymywał mi kroku. – Nie lubicie młodszych poruczników?

– Strzelam do młodszych poruczników. Jednego zastrzeliłam dziś rano. Żelazny Krzyż, trądzik.

– Czy w takim razie chodzi o młodszych poruczników o imieniu Aleksiej?

– Mężczyzna, którego poślubiłam w wieku piętnastu lat, jest młodszym porucznikiem i ma na imię Aleksiej, towarzyszu poruczniku. Raczej za

nim nie przepadam. – Ani razu nie widziałam Aleksieja Pawliczenki, odkąd dotarłam do Sewastopola. Nie było w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, że zapewne pracował w batalionie szpitalnym utyłany po łokcie we krwi i środkiem odkażającym. Byłam przekonana, że nie będę musiała go więcej oglądać, dopóki nie zostanę ranna. To dopiero zachęta, by unikać niemieckich kul.

– Mówią na mnie Lonia – przypomniał mi Kicenko. – Matka chciała dać mi na imię Leonid, a nie Aleksiej, i żeby postawić na swoim, nazywała mnie Lonia. Jeśli wy też będziecie, pozbedziemy się negatywnych skojarzeń z moim imieniem.

– Imiona są dla...

– Towarzyszy broni, wiem. Czy muszę zorganizować do jutrzejszego południa jakąś bitwę, żebyśmy mogli razem w niej powalczyć? – Dowódca mojej kompanii zmrużył oczy i spojrział na niebo, jakby szacował, która jest godzina. – To trochę mało czasu, ale...

– Towarzyszu poruczniku, wolę się nie bratać z oficerami – oświadczyłam stanowczo. – Za pierwszym razem wzięłam was za cywila, ale to nie zmienia faktu, że regulamin...

– Wolę się nie bratać z sierżantami. Tylko z niezwykle uroczymi żywopłotami. Przez jakiś czas chodziłem na randki z głógiem. Ooch, ta to była uszczypliwa. Z kaliną miałem więcej szczęścia, ale jej uczucie przywiędło. Za to kolczatka...

– Miłego popołudnia, towarzyszu poruczniku... – I zanim zdążył zauważyć, że wbrew swojej woli się uśmiecham, pomaszerowałam do latryny, dokąd nie mógł za mną wejść.



„Zagłędzić kogoś na śmierć”. Nieważne, czy bierzesz udział w dyskusji Komsomołu na temat „Przyszłości Komunistycznego Związku Młodzieży”, czy we wręczaniu Orderu Czerwonego Sztandaru za dzielną obronę Odessy: każde oficjalne zebranie odbywające się w jakimkolwiek miejscu ojczyzny niezmiennie obejmuje przemówienia. Dawniej myślałam, że nikt nie zdołałby przebić radzieckich mężczyzn w dziedzinie niekończących się przemówień, ale po przyjeździe do Stanów

Zjednoczonych uświadomiłam sobie, że mężczyźni każdej narodowości lubią dźwięk swojego głosu, zwłaszcza ci, którzy spędzają długie godziny na podium. Czy to w waszyngtońskim parku, czy w strefie wojennej w okolicach Sewastopola, zawsze jest tak samo: po pierwszym przemówieniu obawiasz się, że nuda cię zabije, po piątym się o to modlisz.

Aby nie zasnąć na ceremonii wręczania nagród następnego dnia, przerzucałam w myślach strony swojej rozprawy i zastanawiałam się, czy istnieje jakiś sposób, tu, na linii frontu, by przepisać ją na maszynie. Nadmiar okopów i gniazd snajperskich sprawił, że kartki rozmiękły i się pomarszczyły, a fragment z opisem ugody perejaśławskiej był zachlapany krwią, odkąd Kostia oberwał odłamkiem w kark. Rana nie była poważna – zdjął kurtkę i nadstawił kark, żebym mogła ją zszyć, odkażając igłą wódką, by nie musiał się zgłaszać do batalionu medycznego – ale moja nieszczęsna rozprawa, podobnie jak Bohdan Chmielnicki, przeszła wiele wojen... Wyrwałam się z zamyślenia, gdy przyszła pora, bym także wygłosiła (krótką!) mowę gratulacyjną w imieniu drugiej kompanii.

Porucznik Kicenko wygłosił dłuższe przemówienie, umiejętnie równoważąc oficjalny język i lekko drwiący dowcip, co wywołało uśmiechy na twarzach. Był w tym dobry, o czym miałam już okazję się przekonać. Należał do rzadkiej kategorii oficerów, którzy potrafią być przyjacielscy, nie tracąc przy tym autorytetu, i byłam gotowa przyznać, że wręcz ma do tego talent. Widziałam, jak szybko i skutecznie zakończył burdę wszczętą przez grupę żołnierzy, po czym zamiast ich ukarać, walnął im wykład, łącząc besztanie z żartem, a oni trochę się śmiali, trochę płaszczyli oraz przysięgali jak niesforne dzieci, że nie, towarzyszu poruczniku, to się więcej nie powtórzy, towarzyszu poruczniku.

Wreszcie przemówienia dobiegły końca i zaczęło się patrzeć na przypinanie do tunik baretok i gwiazd. Jeden z odznaczonych żołnierzy był kobietą, ładną kaemistką, która pomogła posłać do piachu pięciuset faszystów. Brawo, pomyślałam z uznaniem, patrząc, jak promienieje, gdy przypinano jej do piersi Order Czerwonego Sztandaru. Potem do odznaczenia stanął następny szereg i ujrzałam w nim Aleksieja Pawliczenkę. Nie byłam pewna, jaką baretkę i gwiazdę przypinają mu do tuniki, ale wspomniano coś o „wyjątkowej skuteczności w przywracaniu rannych na front” i zobaczyłam jego rozciągnięte z zadowoleniem usta. Oczywiście, że go odznaczono. Tacy ludzie jak Aleksiej zawsze dostają

nagrody odpowiedniego rodzaju. Piął się szybko po szczeblach kariery jako cywil w szpitalu, piął się szybko po szczeblach kariery jako porucznik w batalionie szpitalnym.

Gdy zebrany pozwolono się rozejść, szybko się stamtąd ulotniłam. Z jakiegoś powodu wiedziałam, że Aleksiej będzie mnie szukał – na pewno namierzył mnie już w chwili, w której zobaczył, jak wychodzę, by wygłosić przemówienie – i popędziłam w splątane zarośla rosnące obok prowizorycznego placu apelowego.

– Mila? – Jego głos uniósł się w powietrzu. Głos, który wciąż miał moc przyprawiania mnie o zgrzytanie zębów. Usiadłam bezgłośnie obok przewróconego drzewa. Postanowiłam, że to przeczekaam, że będę tam siedziała, aż ta zabawa mu się znudzi i Aleksiej wróci do swojego batalionu. Po tylu przeprowadzonych obserwacjach mogłabym przeczekać samego Ojca Czasu, a tym bardziej denerwującego męża.

Nie odważyłam się zapalić, dopóki nie zobaczyłam, jak jasna głowa Aleksieja się oddala. Zaciągając się z wdzięcznością, przypomniałam sobie, jaką świętoszką byłam zaraz po dotarciu na front, gdy marszczyłam nos i mówiłam z wyższością: „Nie palę”. Teraz spojrzałam na tamtą kobietę – bibliotekarkę, studentkę, niedoszłą historyczkę – i ledwie ją poznałam. Byłam w szkole wojny już prawie pół roku.

– Pierwszy raz widzę kobietę palącą fajkę – odezwał się Kicenko za moimi plecami. Mogłam mu powiedzieć, że wolę być sama, ale wiedziałam, że jeśli będę siedziała obok dowódcy swojej kompanii, mąż nie będzie mógł się przysiąc, gdy mnie w końcu znajdzie, toteż nie protestowałam przeciwko temu, by przyjaciel Kostii oparł się o drzewo obok mnie. Nie miało to żadnego, absolutnie żadnego związku z jego barkami.

– Skąd to macie? – spytał, kiwając głową w stronę fajki w mojej dłoni i wyciągając paczkę papierosów.

– Od Wartanowa. Dał mi ją po naszym pierwszym wypadzie. – Była to stara turecka fajka wyrzeźbiona z korzenia gruszy, z bursztynowym ustnikiem – piękna rzecz, najwyraźniej ostatni cenny przedmiot, jaki posiadał. Wolałam papierosy, ale ofiarował mi ją z tak potężną dumą i z takim wzruszeniem, że uznałam, iż lepiej nie odmawiać. To było odznaczenie, na które zasłużyłam i które zdobyłam. Bez zastanowienia

wybrałabym tę fajkę zamiast Orderu Czerwonego Sztandaru kaemistki Oniłowej. – Próbuję się nauczyć ją nabijać, żeby przynajmniej mógł zobaczyć, jak jej używam.

– Czy ta machorka nie jest trochę za mocna? – Kicenko zapalił swojego kazbeka.

– Przywykłam.

– Zabawne – powiedział Kicenko, wydmuchując dym w stronę mroźnego nieba. – Ładne kobiety zazwyczaj nie palą fajek.

– Innymi słowy muszę być brzydka i niezwykła. – Powiedziałam to z uśmiechem, ponieważ w tej chwili w ogóle nie czułam się brzydka. Prawdę mówiąc, pierwszy raz od wielu miesięcy czułam się rozkosznie kobieca. Może pierwszy raz, odkąd zobaczyliśmy się pierwszy raz i flirtowaliśmy przez drzwi bani.

– O tym, że jesteście niezwykła, wie już doskonale cały pięćdziesiąty czwarty pułk. – Kicenko wydmuchnął kółko z dymu. – Za to jeśli chodzi o wygląd, no cóż, sprawa jest złożona. O ideałach decydują czasy, moda, zwyczaje. Jeśli o mnie chodzi – spojrzał na mnie z wielką powagą – nigdy nie spotkałem ładniejszego żywopłotu.

Nie zdołałam się powstrzymać – wybuchnęłam śmiechem. Podniósł rękę w zwycięskim geście, jakby właśnie wygrał w zawodach.

– Dlaczego tak uparcie próbujecie u mnie szczęścia? – spytałam, wciąż się śmiejąc i dając sobie spokój z fajką. – Może w pułku jest niewiele kobiet, ale przecież wystarczy. I wszystkie są łatwiejszymi celami niż ja.

– Mniej interesującymi celami.

– Dlaczego? – Wzięłam papierosa, którego mi podsunął. – Macie jakieś romantyczne wyobrażenie o snajperkach? Chcecie się położyć z kobietą, która położyła więcej niż dwustu mężczyzn? – Zaczynałam zauważać takie podejście u co durniejszych młodych oficerów. Niektórzy oględnie wyrażali przekonanie, że kobieta, która z zimną krwią zabiła tak wielu, na pewno jest, by tak to ująć, gorąca pod mundurem?

– Otóż to. – Kicenko przyglądał mi się w zamyśleniu. – Snajperka z dwustoma trafieniami na koncie... Tworzy się z tego bardzo specyficzny wizerunek. A wy...

– Pasuję do waszych wyobrażeń?

– Ani trochę. Wyobrażałem sobie kogoś w rodzaju przyrodniej siostry Kostii. Poznałem ją w ubiegłym roku, odwiedzając go w Irkucku. Nie mam pojęcia, jak udało mi się to przeżyć. Będzie najlepiej, jeśli Kostia sam wam opowie skomplikowaną historię swojej rodziny, ale jego ojciec i matka nigdy nie byli małżeństwem. Stary mieszka nad Bajkałem z gromadą przyrodnich braci i sióstr Kostii, a jedna z nich przyjechała do Irkucka uczyć się pilotażu...

– Czy ta historia dokądś zmierza, towarzyszu poruczniku? – spytałam, nie mogąc dojrzeć brzegu.

– Cierpliwości. No więc w Irkucku wpadliśmy z Kostią przypadkiem na jego przyrodnią siostrę Ninę. Sam jej prawie nie znał, ale mnie przedstawił. Potem nawiedzała mnie w koszmarach. Mała dzikuska z oczami jak brzytwy, niemal grzebiąca w zębach ludzką kością, bez wątpienia zdolna do tego, by rozerwać ci gardło gołymi rękami. Taka kobieta przychodzi na myśl, kiedy słyszy się o snajperce z dwustoma trafieniami na koncie – zakończył Kicenko. – Dzikuska z syberyjskich pustkowi mająca lodowate spojrzenie i nie więcej sumienia niż wilk.

– Co was skłania do takiego wniosku? – przechyliłam głowę. – Skąd pomysł, że snajperka jest właśnie taka: zimna, wyzuta z emocji, okrutna? Nie znacie ani mnie, ani żadnej innej snajperki, więc skąd pomysł, że musimy być takie, a nie inne? Wyglądać tak, a nie inaczej?

– To po prostu zaskakujące poznać kobietę, która odebrała życie dwustu ludziom, i znaleźć w niej studentkę historii z najnudniejszą na świecie rozprawą w plecaku i z najłagodniejszymi brązowymi oczami, jakie kiedykolwiek nakreśliły siatkę celowniczą na sercu mężczyzny.

Nie wiedziałam, jak na to odpowiedzieć, ale moje własne serce dotąd rzadko tak łomotało, chyba że zaraz po powrocie z łowów.

– Co wy możecie wiedzieć o mojej rozprawie? – zdołałam w końcu powiedzieć. – Dla waszej wiadomości: wcale nie jest nudna.

– Wasza rozprawa jest słynna w całej kompanii, towarzyszeko sierżant. Dzielni mężczyźni skaczą w pas ognia, gdy widzą, jak ją wyjmujecie. Żołnierze odznaczeni Orderem Lenina tracą rezon i bledną...

– Obrażacie moją rozprawę. To dopiero niezawodny sposób, żeby dostać się do śpiwora kobiety!

Jego uśmiechnięte usta drgnęły.

– Nie dotarł do was ten fragment o waszych oczach?

– Nawet jeśli prawiecie bardzo ładne komplementy moim oczom, nie interesują mnie frontowe romanse. Założę się, że macie w domu żonę albo narzeczoną, albo całą zgraję chętnych, by zostać jedną lub drugą.

– Aktualnie nie spotykam się z żadnymi innymi żywopłotami, przysięgam na swój honor. Jestem bardzo monogamicznym krzakiem.

– Każdy tak mówi.

– Pewnie tak – przyznał.

– A jeśli kobieta odmawia, niektórym zdarza się jej grozić, że ją zdegradują.

– Nie zrobię tego, Ludmiło. Nie zrobię tego, nawet jeśli będziecie mi odmawiali od teraz do końca wojny. – Przechylił głowę. – Naprawdę grożono wam degradacją, jeśli nie...

– Oczywiście, że tak. – Ściśle rzecz biorąc, dwa razy. Mniej przejmowałam się degradacją niż tym, że jeśli dalej będę odmawiała, zostanę zgwałcona przez któregoś z oficerów. Takie rzeczy się zdarzały. Lena łatała potem te kobiety w batalionie szpitalnym, ale oczywiście nikt nie składał raportów.

– Kobieta z takimi dokonaniem powinna stać obok tej małej kaemistki i odbierać Order Czerwonego Sztandaru, a nie opędzać się przed groźbami degradacji ze strony własnych oficerów. – Pierwszy raz odkąd go poznałam, ten beztroski z natury porucznik wyglądał na rozzłoszczonego. Jego złość skojarzyła mi się z chmurą, jakby za tymi niebieskimi oczami i szerokimi, wysokimi kośćmi policzkowymi tworzył się front burzowy. – Zgłoszę was. Z taką listą dokonań...

Wzruszyłam ramionami, zaciągając się głęboko papierosem.

– Przyjmę każde odznaczenie, na które zasłużę, ale nie robię tego dla odznaczeń.

– Więc po co?

– Powiedzcie szczerze, czy zadalibyście takie pytanie mężczyźnie?

– Zadałbym i zadaję – odrzekł, zaskakując mnie. – Wszystkich nowych rekrutów pytam, dlaczego się zaciągnęli. Chcę wiedzieć, którzy są patriotami, którzy fanatykami, którzy desperatami...

– Przecież na pewno wszyscy mówią to samo. „Robię to dla towarzysza Stalina i dla ojczyzny”.

– To prawda, ale rzecz w tym, jak to mówią. Właśnie to jest dla mnie najważniejsze. – Dał mi lekkiego kuksańca. – No więc dlaczego się zaciągnęliście?

– Dla towarzysza Stalina i ojczyzny – zaintonowałam.

Spojrzał na mnie z powagą i czekał. Zawahałam się.

– Dla mojego syna. – Zaskoczyło mnie, że to wyznałam. Prawie nikt poza moim plutonem nie wiedział, że mam syna. Nie mówiłam o Sławce, nie potrafiłam o nim mówić. Miałam wrażenie, że go kalam, sprowadzając jego imię do tego śmierzącego świata śmierci, błota i prochu strzelniczego. – Jeśli nie będę walczyła, nie będzie świata, w którym mógłby dorastać.

Kicenko strząsnął popiół z papierosa.

– Macie jego zdjęcie?

Wyjęłam je, znowu zaskakując samą siebie.

– Mój Sławka. – Było to oficjalne zdjęcie zrobione, gdy miał siedem lat. Siedział wyprostowany, ściskając w dłoniach swoją ulubioną drewnianą łódkę, ciemne włosy miał przylizane. – Teraz wygląda zupełnie inaczej – powiedziałam cicho. – Jest znacznie wyższy, bardziej wyciągnięty... W każdym razie tak było, kiedy ostatni raz go widziałam. Kto wie, jak bardzo zdążył się od tej pory zmienić? – Gdybym tam poległa, a ostatnio częściej myślałam o tym raczej w kategoriach „kiedy” niż „gdyby”, nigdy nie poznałabym odpowiedzi na to pytanie.

Gdyby porucznik Kicenko spróbował mnie wtedy objąć, zjeżyłabym się i warknęła jak borsuk. On jednak tylko patrzył na zdjęcie, udając, że nie widzi, jak usiłuję zapanować nad emocjami.

– Śliczny chłopak – powiedział, oddając mi zdjęcie, gdy już się wzięłam w garść. – Podobny do was.

– Obiecałam mu... – Znowu musiałam stoczyć walkę, by zdusić łzy, gdy wkładałam zdjęcie syna z powrotem do kieszeni na piersi. – Obiecałam mu, że codziennie będę o nim myślała. Ale są dni, gdy w ogóle o nim nie myślę. Czy to znaczy, że jestem złą matką? Nawet... – Musiałam zamilknąć, oddychałam nierówno. – Nawet kiedy zbieram liście i kwiaty, żeby mu je przesłać, nie myślę o nim. Nie mogę o nim myśleć, nie tutaj. To nie jest jego miejsce. Dlatego zamknęłam go w osobnym pomieszczeniu w mojej głowie i zaplombowałam drzwi.

– Robicie to, co musicie. Jak my wszyscy. – Kicenko pochylił nade mną głowę. – Ile on ma lat?

– Dziewięć. – Widziałam, jak Kicenko przeprowadza obliczenia. – Tak, urodziłam go w bardzo młodym wieku. – Słyszac, jak łamie mi się głos, szybko wytarłam oczy. – W zbyt młodym.

– Chcąc nie chcąc, zauważyłem porucznika Pawliczenkę w szeregu do odznaczenia. – Dowódca mojej kompanii wypuścił dym. – To wasz były mąż?

Nie odpowiedziałam. Nie chciałam się zagłębiać w skomplikowaną historię rozwodu, który nigdy nie został do końca przeprowadzony. Zaciągnęłam się tylko dymem, długo i wściekle. Siedzieliśmy ramie w ramie, oparci o drzewo, dopóki ostatnie głosy nie ucichły w oddali i nie odjechały ostatnie samochody, a potem Kicenko wyrzucił niedopałek i zgasił go butem.

– Odwiozę was.

– Sama pójdę. – Gdyby Kostia przyjechał razem z dowódcą swojej kompanii, wszyscy uznaliby ich za przyjaciół nieprzejmujących się stopniami. Gdybym ja przyjechała z dowódcą kompanii, wszyscy by uznali, że z nim sypiam.

– Wysadzę was dwieście metrów od obozu, a dalej pójdziecie sami – powiedział, doskonale czytając w moich myślach.

Zawahałam się.

– Dziękuję.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– A jeśli chodzi o całusa...

– Nie dostaniecie żadnego całusa!

– Czy to jakiś zakład? Nie zapominajcie, że byłem kiedyś bukmacherem.

– Musielibyście mnie zaskoczyć w chwili słabości, a ja nie miewam chwil słabości.

– Jestem cierpliwy. Przecież nie możecie zawsze mieć tej gumowej rurki w uchu.

– Podkradanie się do wyszkolonej snajperki, żeby ukraść jej coś, czego nie chce wam dać, wydaje mi się bardzo głupim pomysłem. – Zasalutowałam. – Powodzenia, towarzyszu poruczniku.

– Ach, jednak się uśmiechacie...

14

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: 17 grudnia 1941 roku o 6.10, dziesięć dni po przystąpieniu Amerykanów do wojny, hitlerowcy przypuścili wściekły atak artyleryjski na pozycje obronne Sewastopola. Zamierzali przełamać nasz front i wkroczyć do Sewastopola dokładnie cztery dni później, 21 grudnia, w szóstą miesięcznicę wybuchu wojny między Niemcami a Związkiem Radzieckim.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Szczęście mnie opuściło.

Migotanie, jasność i ciemność. Ból, ciemnoczerwony i czarny jak północ. Dezorientacja, koc tłumiący wszystkie dźwięki.

Nie mogłam się ruszać.

...zbliża się transporter opancerzony, a za nim dwa bataliony strzelców i kaemistów... Wśród trzasków na linii nadchodzi raport z posterunków wojskowych. Ludzie z mojej kompanii pędzą na pozycje. Rozkazy – od Dromina? Od Kicenki? Żołnierze z plutonu snajperów stawić się razem z kaemistami. Pawliczenko – to głos Kicenki, kładzie rękę na moim

ramieniu, jego oczy przypominają niebieskie iskry w ubrudzonej prochem twarzy – zajmiecie zakamuflowany okop na flance i będziecie mierzyć do gniazd karabinów maszynowych i do pozycji mózdzierzowych...

Mrugam, żeby usunąć krew z rzęs. Wciąż nic nie widzę, nie mogę się poruszyć. Leżę na brzuchu, przygwożdżona do ziemi.

– Zlikwidować gniazdo karabinu maszynowego! – Rozkaz wyrzeszczany głosem, który brzmi histerycznie w tym zamieszaniu. Znów słyhać krzyki, gdy opancerzony transporter wślizguje się na swoich gąsienicach na polanę, karabin maszynowy za osłoną na dachu kabiny ćwierka jak jakiś wściekły owad, pełznąć w stronę złamanego pnia młodego wiązu i obsypując kulami stanowiska pierwszego batalionu. Słyszę ryk miażdżonego drewna dobiegający z okopu, który nie wytrzymał, jakiś mężczyzna wrzeszczy z bólu...

Znowu zamrugałam we krwi. Coś powoli spłynęło mi po twarzy, coś przygniotło mi plecy. Kostia. Gdzie jest Kostia? Mój pluton? Kostia.

– ...pozwól mi iść razem z tobą! – krzyknął Kostia prosto do mojego ucha, bym go usłyszała mimo zgiełku, i złapał mnie za ramię, gdy szłam w stronę ukrytego okopu. Ja jednak cofam go do plutonu.

– Masz pluton, weź ich...

Wartanow z rozdziawionymi ustami starał się nie drżeć w rechwachu i dymie swojej pierwszej bitwy. Część pozostałych wyglądała, jakby za chwilę miała uciekać, jeśli nie powstrzyma ich czyjaś uspokajająca ręka.

– Kostia, WEŹ ICH...

Zaraz potem daję nura do płytkiego okopu przykrytego do połowy opadniętymi liśćmi akacji. Transporter opancerzony z warkotem jedzie przed siebie, plując śmiercią. Odciągam zamek, przygotowuję się do strzału, mam mniej niż sześćdziesiąt sekund...

Mrugam. Leżę przyszpilona w ciemności jak motyl na tablicy, czując na ustach smak krwi i żelaza, lecz mój umysł pomocnie podaje wyniki obliczeń, które przeprowadziłam w gorączkowych sekundach zaledwie kilka minut – godzin? dni? – wcześniej. Głowy kaemistów ponad dwa metry nad poziomem ziemi; karabin oparty na przedpiersiu okopu mierzącym dwadzieścia centymetrów; między linią celowania a poziomą wylotu kąt trzydzieści pięć stopni... odległość od ruchomego celu dwieście

metrów; kula lecąca z prędkością dwustu metrów na dwadzieścia pięć setnych sekundy; w tym czasie cel przemieści się o cztery metry... obrócić boczny bęben na rurce celownika... Obliczenia wiły się i krzyżowały, gdy mój wewnętrzny zegar odliczał do północy.

– Ognia!

Moje kule wleciały gładko przez otwory na oczy w tarczy pancernej. Padło jedno ciało. Dwa. Niemiecki porucznik wygramolił się z kabiny, by sprawdzić, co trafiło jego strzelców. Bo przecież czego miałyby się obawiać, skoro osłania go tarcza, a Sowieci strzelają tylko z okopów na przedzie? Moja kula nadlatuje z boku, trafia go w skroń...

Mrugam. Wciąż niczego nie widziałam, ale spróbowałam wsunąć pod siebie ręce, by się podźwignąć. Fala bólu przetoczyła się w górę mojego kręgosłupa, powalając mnie na ziemię. Piach. Wciąż byłam w terenie, w okopie, czy...?

– Scharfschütze, Scharfschütze...

Czy to niemieckie słowo oznaczające snajpera? Czy ten okrzyk dobiega ze stanowiska dowodzenia niemieckiego batalionu rekonesansowego? Nagle ogień artyleryjski wali w drzewa nad moją głową, niemieckie kule ryją ziemię, szukając mojej kryjówki. Łapię karabin, wypełzam z okopu i turlam się w lewo – raz, drugi – kilka kroków dalej jest następne, głębsze gniazdo snajperskie, obrócę się tylko jeszcze raz i zsunę do środka...

Najpierw jednak zsuwa się na mnie świat, pocisk, który rozrywa powietrze i zmiata mnie na bok jak machnięcie jakiejś potężnej, szponiastej bestii. Czując, jak padam na grudy ziemi i odłamki gałęzi, mam czas, by pomyśleć: Nie, nie, tylko nie znowu ranna...

Ale jestem ranna. Uświadamiam to sobie, gdy zimny woal przywraca mi przytomność, gdy mrugam, by usunąć krew z oczu, i nareszcie wracam do swojego poszarpanego ciała w uścisku zapadającej nocy.



Pierwszą rzeczą, na której skupił się porządnie mój wzrok, był mój karabin. Mój mosin-nagant z lśniącymi liniami owiniętymi warstwami kamuflażu z dwukolczaka... Drewniana kolba pękła na pół, lufa się

wygięła, celownik optyczny zredukował się do odłamków metalu i szkła. Mój piękny karabin, który tak słodko mi śpiewał, miał już nigdy nie oddać strzału. Przyciągnęłam jego poturbowane zwłoki i zaczęłam płakać, czując odrętwienie. Mogłam poruszać rękami, ale niczym więcej – ogień artyleryjski oderwał koronę akacji nad moją głową i cisnął ją na dół, by przygwoździła mnie do ziemi. Między kręgosłupem a prawą łopatką czułam kłujący ból. Nie wiedziałam, czy wywołują go wbite gałęzie czy rany od moździerza, ale nie mogłam się podnieść, odwrócić ani sięgnąć do tyłu, by zatamować krwawienie. Mogłam jedynie leżeć w błocie, ściskając zniszczony karabin w lodowatym zmierzchu opadającym łagodnie wokół mnie niczym bezlitosna mgła, i czuć, jak tworzy się pode mną kałuża krwi, gdy blednie światło dnia. Podkoszulka i tunika już całkiem przemokły.

Było tak cicho. Drzewa szeleściły prawie bezdźwięcznie. Najwyraźniej fala bitwy popłynęła ku następnemu odcinkowi, gdzieś w oddali rozlegały się echa ostrzału artyleryjskiego. Mój pluton, pomyślałam, moi towarzysze z pułku – ilu zginęło tym razem? Jak daleko zdołały się przepchnąć szkopy? Gdyby Niemcy mnie tu znaleźli, na pewno nie zdążyłabym wpakować sobie kulki w łeb, zanim by mnie zabrali, nie mogłam dosięgnąć własnego ramienia. Pistolet TT za moim paskiem równie dobrze mógłby być w Moskwie.

Tutaj umrę, pomyślałam, wciąż ściskając swój bezużyteczny karabin. Drzewa miały się na tle zimowego nieba, ogołocone z liści i czarne od ognia moździerzowego, rzucały dziwne cienie na ziemię rozmazującą mi się przed oczami... Zobaczyłam matkę, która pochyliła się nade mną, by odsunąć mi włosy z twarzy, potem powykręcany cień zmienił się w ojca mówiącego ostro: „Bielowowie się nie wycofują!”. Chciałam mu powiedzieć, że się starałam, że wciąż jestem Bielowa, nawet jeśli musiałam ciągnąć za sobą Aleksieja Pawliczenkę niczym zatrutą kotwicę – ojciec jednak zniknął, zanim zdążyłam go o tym zapewnić, i teraz stał przede mną Sławka. Mój mały mors w czerwonej chuście pionierów odwrócił się do mnie z rękami wypełnionymi wszystkimi suszonymi liśćmi i kwiatami, które mu wysłałam. Mamo? Nie miał już puciołowatych policzków morsa, uwidoczniły się kości jego twarzy, ukazując nastolatka, którym miał się wkrótce stać, lecz którego ja nie miałam zobaczyć. Nie miałam go więcej zobaczyć, nie w tym życiu. Wykrwawiałam się.

– Sławka... – zdołałam wycedzić przez zakrwawione zęby, ale gdy zamrugałam, zniknął. Zniknął, a ja zobaczyłam ciemną sylwetkę jakiegoś mężczyzny. Ostatnie drzenie słońca wydobyło błysk z jego hełmu. Porucznik Kicenko – w płaszczu na mundurze i z karabinem maszynowym zarzuconym na ramię.

– Milu – mówił. – Milu, powiedz mi, gdzie cię boli...

Wszędzie. Zauważyłam za nim żołnierzy, ale byli tylko cieniami pomagającymi podnieść roztrzaskaną akację. Nie zawracajcie sobie głowy, miałam ochotę im powiedzieć. Już po mnie. Może wreszcie dostanę medal. Jakieś pośmiertne odznaczenie, dzięki któremu syn będzie o mnie pamiętał.

– Nie gadajcie bzdur, nie wolno wam jeszcze umierać. – Znowu Kicenko. Przewrócił mnie na plecy i wsunął ręce pod moje kolana i ramiona. – Nie złożyliście jeszcze raportu u dowódcy kompanii, czyli u mnie, więc umieranie będzie musiało poczekać. Trzymajcie się... – Już mnie podnosił i niósł z powrotem do okopów.

– O kurwa! – okrzyk zmęczonej Leny Palij dotarł do mnie w tej samej chwili, gdy poczułam, jak nożyce rozcinają szwy na moich plecach. Płaszcz i podkoszulka schodziły ze mnie jak krwawy pancerz skorupiaka. – Wbił się prosto w plecy...

– Mogę ją dostarczyć do batalionu medycznego w dwadzieścia minut. Walki w moim sektorze się uspokoiły. – To znowu Kicenko. – Mam samochód Dromina.

– Ten fiut pożyczył wam samochód?

– Ujmę to tak: jeśli szybko ją zabandażujecie, a ja będę jechał jeszcze szybciej, wrócę, zanim zauważy, że mnie nie było.

Podskakiwałam na podziurawionych pociskami drogach, a mój zabandażowany tors płonął bólem. Kicenko podtrzymywał ręką moją opadającą głowę, gdy tylko mógł na chwilę puścić kierownicę.

– Milu, dajcie spokój, chyba nie pozwolicie, żeby was wykończyło kilka drzazg... Mówcie do mnie, opowiedzcie mi o Bohdanie Chmielnickim. Kto będzie mnie zanudzał opowieściami o ugodzie perejasławskiej, jeśli wy umrzecie?

Na chwilę osunęłam się w nieprzytomność, a potem ukazało mi się ciemnawe piekło 47 Batalionu Medycznego, zawilego labiryntu pokojów zabiegowych, izolatek i sal dla pacjentów wykopanych w podziemnych tunelach jak królestwo kretów.

– Będzie potrzebowała krwi... – zmęczony głos jakiegoś lekarza. – Kurwa, ile ich jeszcze przywieziecie? Zapasy krwi...

Nie potrzebuję krwi, próbowałam powiedzieć. Umieram.



Kicenko podwijał rękaw.

– Widziałem jej nieśmiertelnik. Mamy tę samą grupę krwi. Wkłuwajcie się.

– Będzie lepiej, jeśli ją ustabilizujemy i wyślemy na nieokupowane terytorium. Następny transport...

– Jeśli moja kompania straci Ludmiłę Pawliczenko, wybuchnie bunt. Załatwcie jej stół operacyjny, a potem łóżko.

– Ale...

– Potrzeba wam krwi? Cały jej batalion zjawi się tu z podwiniętymi rękawami, tylko zatrzymajcie ją tutaj.

Sala operacyjna: oślepiające światło u góry, czterej chirurdzy harujący przy czterech osobnych stołach. Ostatnie, co zobaczyłam, gdy mnie tam wwożono, zanim wtoczyłam się do ciemnego tunelu, to krzyczący mężczyzna przytrzymywany przez krzepkiego pomocnika i krew tryskająca z tętnicy. Odwrócił się do mnie przygarbiony z wyczerpania chirurg w zakrwawionym fartuchu. Mimo że mój słuch zanurzał się w ciemności w ślad za wzrokiem, rozpoznałam głos:

– Kroszka, co ty tu robisz?

Och, na Leni...

I odpłynęłam.



Pierwsza twarz, którą zobaczyłam, gdy się ocknęłam, należała do Aleksieja Pawliczenki i wzdrygnęłam się tak gwałtownie, że o mało nie musiał mnie zeskrobywać z sufitu.

– Niezbyt miła reakcja, kroszka. – Przyłożył dłoń do mojego gardła i popchnął mnie z powrotem na szpitalne łóżko polowe, siadając bliżej mnie, niżbym sobie życzyła. Oczywiście, nawet gdyby siedział na łóżku we Władywostoku, byłby bliżej, niżbym sobie życzyła. – Jeśli wziąć pod uwagę, że trzy dni temu uratowałem ci życie.

Chciałam mu powiedzieć, że to Kicenko i Lena uratowali mi życie – on wyniósł mnie z frontu, a ona zabandażowała, żebym nie wykrwawiła się po drodze – lecz zamiast tego dostałam ataku kaszlu, a każde kasznięcie było jak dźgnięcie agonii. Gdy kasłałam, Aleksiej mierzył mi tętno, licząc uderzenia, i z obojętną miną patrzył, jak się zanoszę.

– Jak bardzo jest ze mną źle? – zdołałam wreszcie wykrztusić. – Miałam mniej więcej tyle siły co nowo narodzone kocię. W zagłębieniach swoich łokci zobaczyłam ślady po igle pozostałe po transfuzjach krwi, a plecy i ramię bolały, jakby zanurzono je w kwasie, lecz skoro leżałam tu już trzy dni, nie wyglądało na to, żebym umierała szczególnie szybko. Podciągnęłam koc, uświadamiając sobie, że przeraźliwie zmarzłam.

– Odłamek drzewa o długości twojej stopy przeorał cię od prawej łopatki aż po kręgosłup – oznajmił rzeczowo Aleksiej. – Kilka centymetrów głębiej i byłabyś martwa albo sparaliżowana. Wykopałem go, poszywałem cię, wpompowałem w ciebie krew.

– Dziękuję – powiedziałam, trochę dlatego, że wymownie zawiesił głos, a trochę dlatego, że bez wątpienia dobrze się spisał. Może i Aleksiej Pawliczenko był draniem, ale poza tym był doskonałym chirurgiem.

– Utrata krwi o mało cię nie wykończyła – ciągnął, przeprowadzając różne pomiary moich funkcji życiowych. – Porucznik, który cię tu przywiózł, oddał około litra prosto do twoich żył... Co to za jeden?

Zignorowałam pytanie i spróbowałam usiąść.

– Czy ten niemiecki atak...

– Wciąż trwa, ale ich odpieramy. Von Manstein nie będzie świętował Nowego Roku w Sewastopolu, tak jak sobie zaplanował.

– Kiedy będę mogła wrócić do kompanii?

Aleksiej znowu popchnął mnie na łóżko.

– Miną dwa tygodnie, zanim w ogóle zdejmiesz ci szwy.

– Dziesięć dni – wychrypiałam. – Jedenastego zacznę je wyrywać pierwszą lepszą potłuczoną butelką.

– Zrobiłabyś to, prawda? – Mój mąż przyjrzał mi się i zamyślił. – Wtedy na statku myślałem, że mnie nabierasz, opowiadając te wszystkie bzdury o stu osiemdziesięciu siedmiu trafieniach. Ale potem słyszałem to i owo... Jednak nie żartowałaś, prawda?

Zacisnęłam usta, wpatrując się w sufit.

– Ile ich już jest, kroszka? Ponad dwustu? Biorąc pod uwagę tę kruszynę, z którą się kiedyś ożeniłem, trudno mi sobie...

– Bądźcie łaskawi używać mojego stopnia, kiedy się do mnie zwracacie, towarzyszu poruczniku Pawliczenko.

– Tylko się przekomarzam, nigdy nie znałaś się na żartach...

– Czy nasza kłopotliwa pacjentka stwarza jakieś problemy? – Lena, ku mojej niewysłowionej uldze, weszła lekkim krokiem, niosąc miednicę z wodą. – Sprawdzę jej szwy, towarzyszu poruczniku, a was wzywają z powrotem na salę operacyjną.

Aleksiej rzucił mi z namysłem jeszcze jedno spojrzenie i wyszedł krokiem jak z placu apelowego. Gdy zniknął, cała sala wydała się szersza i jaśniejsza. Nagle zauważyłam w swoim rzędzie inne łóżka polowe. Pacjenci leżeli nieruchomo jak głązy albo rzucali się pod kocami, wokół unosił się zapach środka odkażającego i miedzi. Nagle mogłam głęboko zaczerpnąć tchu, nawet jeśli poczułam się przy tym, jakby moje szwy namoczono w benzynie i podpalono.

– W batalionie jest tylu chirurgów. Dlaczego to właśnie on musiał mnie operować? – spytałam, znowu kaszląc.

– Ponieważ prosił, żeby go zawiadomiono, jeśli cię przywiozą. Wszyscy lekarze tak robią w przypadku żołnierzy, których znają. Tak samo jest

z sanitariuszami. Myślisz, że dlaczego zawsze to ja sprawdzam twoje szwy? A skoro o tym mowa, przewróć się na bok. – Lena pomogła mi się przewrócić, udając, że nie słyszy syknięcia, którego nie udało mi się powstrzymać. – Więc to jest ten twój mąż, tak? Przystojniak. Połowa kobiet w batalionie medycznym próbuje dobrać mu się do spodni.

– Mogą go sobie wziąć. – Napięłam się, czując zimne powietrze na nagich plecach, gdy Lena odwijala bandaż. – Daje ci się we znaki?

– Mam wrażenie, że jestem dla niego za stara – odrzekła Lena bardzo ironicznym tonem. – Zawsze ugania się za tymi młodymi z rozrzuwionymi wielkimi oczami. Ale muszę przyznać, że dobrze się spisał, zakładając ci te szwy. Jeśli chodzi o pozostałych chirurgów, to młodzi są niedoświadczeni, a ci starzy pijani. Twój Aleksiej miał w ubiegłym tygodniu dwudziestoczwierogodzinne dyżury, ale nie spartaczył ani jednego cięcia.

Zimne, zarozumiałe dranie to dobry materiał na chirurgów, pomyślałam.

– Ten atak... Masz jakieś wieści o drugiej kompanii? O moim plutonie?

– Twój partner zgłosił się, żeby oddać krew i krążył tu jak wilk, dopóki mu nie powiedzieli, że nie grozi ci wykrwawienie się. Pojechał objąć dowództwo plutonu, ale dał mi coś, żebym ci przekazała, kiedy tylko się obudzisz. – Lena podała mi złożoną kartkę. – To lista poległych.

Dziękuję ci, Kostia. Przeczytałam nazwiska napisane jego drobnym i kanciastym charakterem pisma. Nigdy wcześniej go nie widziałam – dziwne, że można miesiącami walczyć u czyjegoś boku, znać każdy intymny szczegół na jego temat, poczynając od tego, jak ziewa, a kończąc na tym, jak wypuszcza powietrze i jak bębni palcami o udo, żeby odegnąć strach, i mimo to nie wiedzieć, jak wygląda jego charakter pisma... Westchnęłam z ulgą, czując, jak drzę. Tylko jeden poległy, mój najmłodszy rekrut, a reszta bez szwanku, jeśli pominąć drobne obrażenia. Stary Wartanow dał radę, podobnie jak tępawy Fiodor, Kostia... i ja.

Wciąż nie do końca wierzyłam, że mi się udało. Byłam już taka pewna, że mój czas dobiegł końca.

– Wrócisz do zdrowia szybciej, niż ci się należy – powiedziała wesoło Lena, bandażując mnie z powrotem. – Wiesz bajkowe życie, ty cholerna szczęściaro.

– Bajkowe. – Położyłam się z powrotem na twardej poduszce, zamykając oczy. Kochałam Lenę, ale na razie nie miałam ochoty z nikim rozmawiać, nawet z nią. Szczęściara.

Wszyscy to powtarzali przez następny tydzień. Powiedział to Wartanow, pociągając się za siwą brodę: „Stopy rysia i szczęście diabła!”. Powiedział to Fiodor, ściskając moje dłonie w swoich olbrzymich łapskach. Powiedziała to reszta mojego plutonu, gdy mogła mnie odwiedzić w wolnym czasie, przynosząc wieści z frontu.

– Nie waż się tego mówić – ostrzegłam Kostię, gdy też się zjawił. – Nie waż się mówić, że mam szczęście.

Kącik jego ust drgnął i Kostia zdjął z ramienia lśniącego mosina-naganta.

– Twój nowy karabin. Nalegałem na trioelinijkę. Próbowali ci wcisnąć swietę.

– Kto, do diabła, uznał, że karabin z płomieniem wylotowym jak reflektor to dobra broń dla snajpera?

– Zareagowałem tak samo. – Nic więcej nie mówiąc, usiadł w nogach mojego łóżka, po czym wyjął swoją finkę i pilnik igiełkowy. Zauważyłam, że poświęcił już sporo czasu, by przygotować mój karabin do walki. Setki razy widział, jak rozkładał i smaruję swój stary sprzęt. Wiedział, że usunęłam drewno wzdłuż całej nakładki lufy, żeby nie dotykało lufy. Wiedział, że wolę wsuwać podkładkę między komorę zamkową a magazynek. Wiedział, że spiłowałam końcówkę łoża. Omal się nie rozplakałam, patrząc, jak pracują jego ręce. Poczulałam, że mam na końcu języka: Kiedy wstanę z tego łóżka i wezmę ten karabin, zginę.

Nie mogłam jednak powiedzieć tego Kostii. Był moim partnerem, moim cieniem, człowiekiem, który miał mnie chronić przed śmiercią. Wiedziałam, że gdy mój los się dopełni, Kostia obwini za to siebie – dlatego pozwoliłam, by te słowa się rozplynęły, i ilekroć Kostia odwiedzał mnie w szpitalu, zanurzałam się w jego miękkim jak śnieg milczeniu. Raz po raz przysypiałam, pokrzepiona ciężarem lufy nowej trioelinijki na mojej nodze, a on pracował nad moim karabinem podczas każdej wizyty, cierpliwie dostosowując go do moich potrzeb. Gdy dowódca wątpi w siebie w czasie wojny, nawet jeśli jest tylko sierżantem, nie może pokazać

zwątpienia swoim ludziom. Nauczyłam się tego, dowodząc swoim plutonem.

Nie powinnam była tego okazywać także swoim przełożonym, ale Kicenko miał talent do wydobywania ze mnie zaskakujących wyznań.

– Nie umieracie – stwierdził, stając w drzwiach szóstego dnia, który spędziłam w szpitalu. Zaskoczył mnie, gdy marszcząc brwi, przyglądałam się talerzowi rosołu. – Zjedzcie trochę czekolady – dodał, wyjmując owiniętą w papier tabliczkę, gdy już podszedł, by usiąść na zbyt niskim taborecie obok mojego łóżka. – Prawdziwa, belgijska. Jeden z moich sierżantów wyjął ją wczoraj po południu z plecaka martwego niemieckiego porucznika. Bezwstydnie wykorzystałem swój stopień, żeby ją dla was ukraść.

Zamrugałam, zaskoczona jego wizytą.

– Przecież trwa niemieckie natarcie, nie powinniście...

– Atak na pięćdziesiąty czwarty pułk został wczoraj przerwany. Mam wolne, dopóki nie uderzą ponownie jak czerwie, którymi są. – Miał przybrudzoną twarz oraz pognieciony i zachlapany mundur, jakby przyjechał prosto z linii frontu, lecz mimo to wesoło się uśmiechał, gdy na mnie patrzył. – Nie umieracie – powtórzył, odwijając dla mnie czekoladę.

– Dlaczego ciągle to mówicie?

– Bo kiedy was wlokłem z linii frontu, nie chcieliście mi uwierzyć. Cały czas mamrotaliście: „Umarłam, umieram”. Pomyślałem, że spróbuję wam wbić do głowy prawdę, skoro już jesteście trochę bardziej przytomni. Nie umieracie – zakończył, po czym odłamał kostkę czekolady.

Wsunęłam ją do ust. Prawdziwa belgijska czekolada, nie te kredowe bloki wojskowego zamiennika, do którego przywykłam. Słodycz w ustach wycisnęła mi łzy z oczu.

– Może tym razem mnie nie zabili – usłyszałam, jak mówię prawie niedosłyszalnym głosem. – Zabiją następnym.

Myślałam, że powie coś pokrzepiającego: „Bez obaw, załatwicie jeszcze wielu ku chwale ojczyzny!”. Albo może udzieli mi surowej reprymendy za defetyzm. Zamiast tego odłamał następny kawałek czekolady i wcisnął mi go, pytając:

– Skąd ta pewność?

Przeżułam i połknęłam. Założyłam nierówno obcięte włosy za uszy.

– Mówią, że trzecia rana zabija.

– Jacy oni? I kto powiedział, że ci oni wszystko wiedzą?

– Wiecie, co mam na myśli.

– No cóż, słabo liczycie. To już wasza czwarta rana.

– Dwie pierwsze się nie liczą. – Zniecierpliwiona pokręciłam głową. – Wstrząśnienie mózgu, potem zwichnięte biodro... To były drobne, nic nieznaczące obrażenia. Poprzednia rana była pierwsza. Teraz to. Następna...

– Ale w ubiegłym tygodniu byliście przekonani, że właśnie ta rana was zabije – zauważył Kicenko. – Więc wygląda mi na to, że wciąż zmieniacie śpiewkę. Tak bardzo chcecie zostać męczennicą, że zapomnieliście, jak się liczy?

Spróbowałam zrobić kwaśną minę, ale trudno było tego dokonać z ustami pełnymi czekolady.

– Nie umieracie – powtórzył. – Co mogę powiedzieć, żebyście w to uwierzyli?

– Nie umiem... pozbyć się tych myśli. – Mój głos zabrzmiał słabo, nierówno. – Może nie chodzi o liczbę odniesionych ran. Trzecia, czwarta... w pewnym momencie będzie po mnie. Szczęście już prawie mnie opuściło.

– Nie wydaje mi się, żeby szczęście działało w ten sposób, Pawliczenko. – Odsunął czapkę na potargane, jasne włosy. – Nikomu się go nie przydziela w określonej ilości, jak chleba w kantynie.

– Policzcie sobie – odparłam brutalnie. – Potrafię obliczyć zmianę kierunku wiatru z dokładnością do jednego miliradiana, myślicie, że nie umiem ocenić szansy, że kiedykolwiek zobaczę jeszcze syna?

– Myślę, że zanim taka szansa się pojawi, będzie na waszym koncie jeszcze wielu martwych nazistów. – Kicenko wepchnął mi do ręki kolejną kostkę czekolady. – Jedzcie. Moja matka zawsze powtarzała, że smutnej kobiecie trzeba dać czekoladę i powiedzieć, że jest piękna. W waszym

przypadku mogę to chyba zmodyfikować, dając wam czekoladę i mówiąc, że jesteście niebezpieczna. Owszem, jesteście piękna – dodał – ale coś mi mówi, że bardziej pocieszy was myśl, że wciąż jesteście niebezpieczna. I że hitlerowcy o tym wiedzą.

Może w takiej chwili komplement nie powinien mieć znaczenia, ale miał. Roześmiałam się.

– Nas wszystkich od czasu do czasu dopada to uczucie – dodał. – Wrażenie, że nasz los jest przesądzony. Ono przychodzi i odchodzi, jak gorączka. Poznałem je zaraz po dotarciu na front. Myślałem, że pierwsza bitwa mnie zabije, a jednak wciąż tu jestem. Wiem od Kostii, że on miał słabszy okres pod koniec w Odessie. Był przekonany, że zginie przed ewakuacją.

– Nie wspominał mi o tym.

– Dla was musi być niezwyknięty, tak jak wy dla niego. Teraz to was dopadły złe przeczucia i to zupełnie naturalne. Tak często macie do czynienia ze śmiercią, że czujecie na plecach jej oddech.

– Zamierzacie mi powiedzieć, że ona wcale nade mną nie wisi?

– Wisi nad nami wszystkimi. Wszyscy możemy jutro zginąć. Dlatego jedzcie czekoladę, Pawliczenko. – Podał mi ostatnią kostkę. Przetoczyłam ją w ustach, delektując się ostatnią kroplą słodyczy i nie mając pewności, co powinnam czuć. Poza tym, że było mi... lżej. Odrobinę. Dla wszystkich pozostałych – dla rodziny w listach, dla swoich ludzi w plutonie, nawet dla Kostii w naszym duecie – musiałam być niezwyknięta. Ale przy Kicence mogłam się bać. Mogłam być zmęczona. Mogłam być człowiekiem.

Towarzysząca temu ulga ukłuła mnie tak słodko.

– Mila – powiedziałam w końcu.

– Słucham? – Splótł dłonie i wcisnął je między kolana.

– Już razem walczyliśmy. – Położyłam się z powrotem na łóżku. – Mów mi Mila.

Uśmiechnął się.

– A ty mów mi Lonia.

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

15

– Pani Pawliczenko, czy możemy mówić do pani Ludmiła? Na „Pawlicence” można sobie połamać język!

Strzelec wyborowy obserwował rosnącą falę zaciekawienia, gdy snajperka weszła do jadalni na parterze Białego Domu. Kolejny ogień zaporowy fleszy – schował twarz za pożyczonym aparatem – i zobaczył przez obiektyw, jak ta kobieta się wzdryga. Ludmiła Pawliczenko nie była wysoka, a teraz, gdy przebrała się z oliwkowego munduru w niebieską sukienkę w roślinne wzory, prawdopodobnie w Moskwie uchodzącą za elegancką, wydawała się jeszcze mniejsza. Strzelec wyborowy patrzył, jak jej spojrzenie przesuwają się po szykownych sukienkach wystrojonych kobiet z Waszyngtonu, po ich naszyjnikach z pereł, starannie ułożonych falach i lokach. Na chwilę ręka Rosjanki zbliżyła się ukradkiem do jej nierówno obciętych włosów.

Jest onieśmielona, zanotował w myślach strzelec wyborowy, wciąż majstrując przy aparacie, by ukryć twarz. Pożrą ją żywcem.

– Mam nadzieję, że państwo wypoczęli. – Pierwsza dama wystąpiła naprzód, witając gestem całą radziecką delegację, gdy mężczyźni w ciemnych garniturach weszli za swoją snajperką, starając się nie gapić na otoczenie. Pomieszczenie było duże, mimo że nazywano je Małą Jadalnią: były tam połyskujący żyrandol, sufit z gustownymi gzymsami i wysokie okna elegancko udrapowane podwiązanymi zasłonami. Tłumacze obu stron mamrotali, przedstawiając swoich pracodawców, i strzelec wyborowy uważnie słuchał mamrotania Rosjanina. Sam słabo

mówił po rosyjsku, ale rozumiał ten język. Przydał mu się, gdy musiał siedzieć na zebraniach Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych, czekając na szansę wyłuskania najnowszego komunistycznego agitatora, który wystarczająco mocno zaniepokoił kogoś w Waszyngtonie albo Nowym Jorku. Za aranżowanie śmiertelnych wypadków amerykańskich marksistów można było kiedyś żyć na niezłym poziomie – teraz już nie bardzo, odkąd Sowietci stali się sojusznikami...

Ludzie, dla których pracował, wcale nie byli jednak przekonani, że Sowietci powinni pozostać sojusznikami, a według strzelca wyborowego taka perspektywa mogła oznaczać sporo przyszłych zleceń.

Pierwsza dama kontynuowała powitanie, zapraszając wszystkich do długiego stołu zastawionego mnóstwem porcelany, kryształu i srebra.

– Pomyślałam, że mogą państwo rozpocząć zapoznanie się z amerykańskim stylem życia od tradycyjnego amerykańskiego śniadania.

– Czy Amerykanie zawsze aż tyle jedzą na śniadanie? – Strzelec wyborowy usłyszał, jak szef rosyjskiej delegacji mamrocze te słowa, gdy wszyscy zajmowali miejsca. Potrawy już czekały: jajka sadzone, grillowany bekon i kielbaski, marynowane grzyby, dzbanki z zimnym sokiem pomarańczowym i karafki z gorącą kawą. – A to co takiego, ołady?

– Naleśniki – mruknęła w odpowiedzi Mila Pawliczenko, także po rosyjsku. Strzelec wyborowy wcisnął się na miejsce dwa krzesła od niej, skąd mógł ją wyraźnie słyszeć, lecz ona nie widziała jego twarzy. – Amerykanie mówią na nie pancakes. Nie gap się tak, bo wezmą nas za prostaków.

– Gapią się na ciebie. Może myślą, że to ty jesteś prostytutką. – Szef radzieckiej delegacji wydawał się zdenerwowany i strzelec wyborowy ukrył uśmiech, gdy przy stole rozgorzała rozmowa. Związek Radziecki przysłał na międzynarodową konferencję jeszcze dwóch innych rosyjskich studentów zmienionych w żołnierzy, obaj siedzieli przy stole razem z gromadą ochroniarzy i personelem ambasady – byli jednak zwalistymi, pozbawionymi wdzięku facetami w ciemnych garniturach i nikogo nie interesowali. Oczy zgromadzonych skupiały się na snajperce, która zaczęła nakładać marmoladę do swojej filiżanki z herbatą, a gdy poczuła na sobie spojrzenia ludzi siedzących obok, powstrzymała się i zbagatelizowała to lekkim wzruszeniem ramion.

– Chciałabym, żeby przestali na mnie mówić girl sniper. – Strzelec wyborowy usłyszał, jak mruknęła te słowa, po czym upiła duży łyk posłodzonej herbaty. – Tylko w Ameryce można mieć dwadzieścia sześć lat i wciąż być dziewczyną.

Delikatna, odnotował strzelec wyborowy, zajadając bekon i coraz bardziej ciesząc się z tego, że się tu znalazł, by samodzielnie ocenić Ludmiłę Pawliczenko. Zwykle uzyskiwałyby wszelkie potrzebne informacje na jej temat od jakiejś osoby trzeciej przekupionej pokazną łapówką i przezornie trzymałby się z daleka od frajerki, którą miał zlikwidować. Jednak dzięki pierwszorzędnej fałszywej tożsamości, jaką zapewnili mu wpływowi sponsorzy, oraz dzięki tłumowi gorliwych dziennikarzy i wymuskanych waszyngtońskich urzędników, którzy zniechęcali dziewczynę do przyglądania się twarzom przy stole hałaśliwych obcych ludzi... Cóż, uznał, że warto podjąć to niewielkie ryzyko. Już czuł, jak w jego głowie powstaje sylwetka tej ładnej kukielki radzieckiej propagandy: kim jest, co ją drażni, jak można na nią wpłynąć. Wątpił, by okazała się wielkim wyzwaniem.

– Kobieta na linii frontu, służąca jako żołnierz! – Jakaś szczupła blondynka pochyliła się z przejęciem w stronę rosyjskiej delegacji. – Nie wyobraża sobie pani, jakie to dziwne dla Amerykanek. Przypuszczam, że przeszło to tylko po to, żeby pokonać Hitlera. Desperackie środki na desperackie czasy?

– Wręcz przeciwnie – odpowiedziała po rosyjsku snajperka, gdy przetłumaczono jej pytanie. – Nasze kobiety były równo traktowane na długo przed dojściem Hitlera do władzy. Pierwszego dnia rewolucji zagwarantowano nam pełne prawa. To dzięki niej jesteśmy równie niezależne jak nasi mężczyźni, to nie dzięki wojnie.

Przygotowała się, pomyślał strzelec wyborowy, gdy przetłumaczono jej słowa na angielski. Oczywiście, że się przygotowała. Radzieccy wysłannicy zawsze byli nafaszerowani gotowymi odpowiedziami i wyuczonymi na pamięć sloganami.

– Tęsknisz za barszczem, Ludmiło? – spytał jeden z pomocników pierwszej damy, pochylając się nad sokiem pomarańczowym i bekonem.

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie tęskni za burakami – powiedziała Ludmiła Pawliczenko przez tłumacza i wywołała śmiech.

Dowcipna, pomyślał z pewnym zaskoczeniem strzelec wyborowy. Nie spodziewał się poczucia humoru.

Padły następne pytania.

– Zdaje się, Ludmiło, że przyjechałaś dziś rano pociągiem z Miami do Waszyngtonu. Pierwszy raz jechałaś ekspresem? Byłaś oszołomiona jego prędkością?

– Jedyne, co mnie oszołomiło, to tabliczka na wagonie, na której był napis TYLKO DLA BIAŁYCH. – Snajperka nadziała pieczarkę na widelec. – Dziwnie jest zobaczyć coś takiego w kraju, który zaczął od słów: „Wszyscy ludzie stworzeni są równymi”.

Kąśliwa, pomyślał strzelec wyborowy. Był całkiem pewny, że szef delegacji kopnął ją pod stołem, ona jednak tylko beznamiętnie przeżuwała pieczarkę. Tłumaczowi chyba ulżyło, gdy blondynka się pochyliła, by zadać kolejne pytanie.

– Niech mi pani powie, czy niezamężnym kobietom wolno wstępować do Armii Czerwonej? Zauważyłam, że jest pani panią Pawliczenko.

Mężatka, odnotował strzelec wyborowy. Zastanawiał się, gdzie podziewa się jej mąż.

– Wątpię, żeby radzieccy mężowie byli bardziej przychylni wyjeżdżaniu ich żon na wojnę niż Amerykanie.

Blondynka się roześmiała.

– Ech, ci mężczyźni! Gdy szykuję się do przewodniczenia posiedzeniu komisji, mój mąż robi z tego powodu taką aferę, jakbym go porzuciła, by jechać na front wschodni!

– Niektórym mężom nie podoba się większość tego, co robią ich żony – powiedziała snajperka.

Przy stole znów się roześmiano.

– Czy ja wiem? – Pierwsza dama nieoczekiwanie zabrała głos. – Przypuszczam, że gdybym postanowiła wyruszyć na front wschodni, mój mąż powiedziałby tylko: „Nie daj się zabić, Eleanor, i przywieź jakieś nazistowskie skalpy do gabinetu”.

Snajperka się roześmiała. zanim tłumacz przełożył słowa prezydentowej. Zna angielski, pomyślał strzelec wyborowy, znów z lekkim zdziwieniem. I jest wystarczająco bystra, żeby się z tym nie obnosić.

– Widzę, pani Pawliczenko, że jak na pierwszą wycieczkę do Stanów Zjednoczonych dobrze sobie pani radzi – odezwał się tubalnym głosem jakiś jowialny mężczyzna po drugiej stronie stołu. – Wystarczy spojrzeć, obchodzi się pani z tymi srebrami jak profesjonalistka!

W głosie Ludmiły Pawliczenko zabrzmiała ostrzejsza nuta.

– Dziękuję – odrzekła wesoło. – Srebra dotarły do Związku Radzieckiego dopiero w ubiegłym tygodniu. Wcześniej wszyscy nadziewaliśmy jedzenie na patyki!

Gniewna, pomyślał strzelec wyborowy, przekonany, że dostała następnego kopniaka pod stołem. Patrzył, jak znówu skupia się na talerzu, nadziewając kielbaskę na widelec z większą siłą, niż to konieczne. Zachowuj się i uśmiechaj, mruknął po rosyjsku szef delegacji, a ona w odpowiedzi spojrzała na niego, mrużąc oczy. Nawet bardzo gniewna, poprawił się strzelec wyborowy. Nie taka potulna i opanowana, jak można by się spodziewać po dziewczynie z plakatu propagandowego. Ludmiła Pawliczenko nie miała ochoty tu być, nie lubiła uśmiechać się na rozkaz i nie znosiła idiotycznych pytań.

Strzelec wyborowy uśmiechnął się, zapisując to wszystko w myślach. Bądź gniewna, mała, pomyślał, sącząc kawę. Niech ci puszcza nerwy, strać panowanie nad sobą, wypadnij z roli. Im gniewniej będziesz wyglądała w nadchodzącym tygodniu, tym chętniej zebrani tu ludzie uwierzą, że to ty pociągnęłaś za spust, zabijając ich prezydenta.

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Franklina z pewnością zainteresuje, że nasi radzieccy goście znają angielski lepiej, niż są skłonni przyznać, a przynajmniej ta młoda kobieta. „A to hultaje”, powie, chichocząc z fifką w zębach. Później z przyjemnością odmaluję przed nim tę scenę – nie bez powodu nazywają mnie oczami i uszami prezydenta. Będzie udawał, że poranny upadek w ogóle się nie

wydarzył, zbędzie machnięciem ręki moje domysły, że martwi go zła wola jego wrogów, i poprosi, żebym opowiadała. „Mów, co się działo, Eleanor!”.

Ile razy tak mówił, bębniąc szczupłymi palcami o podłokietnik fotela, a jego błyszczące i zachłanne oczy pragnęły rozumieć, chłonąć, uczyć się? Często mówię mu znacznie więcej, niż chce usłyszeć, a jego denerwuje, że upieram się przy błahych sprawach, lecz nigdy nie powstrzymało go to od proszenia mnie o te relacje, a mnie od ich dostarczania.

Obserwuję zatem Rosjan przy śniadaniu, gromadząc wrażenia dla męża, choć jednocześnie myślę o tysiącu innych spraw, które będą wymagały mojej uwagi już w chwili, gdy wyjdę z tego pomieszczenia (rubryka, którą muszę dokończyć, list do Hick, planowany bankiet dla Ligi Głosujących Kobiet, a po nim zbiórka na pomoc humanitarną dla Polski...). Nasi rosyjscy przyjaciele są dostojni, poważni, zależy im na zrobieniu dobrego wrażenia, a jednak pod tym dostojemstwem wyczuwam kruchość. Rosjanie nie przysłali na moją międzynarodową konferencję wyłącznie studentów, nie przysłali też twardych jak granit sowieckich supermenów. Przysłali zmęczonych wojną weteranów, którzy cierpią. Spójrzcie na nas, mówią każdym ruchem i każdym gestem. Jemy bekon i naleśniki z takim samym smakiem jak wy; śmiejemy się z tych samych żartów co wy; planujemy, mamy nadzieję i marzenia, tak jak wy... a wykrwawiamy się w walce z hitlerowskimi czołgami, bombami i samolotami. Zobaczcie w nas sojuszników, którymi nas nazywacie. Pomóżcie nam.

To prawdziwy cel ich wizyty, oczywiście. Uświadomić nam, jak bardzo potrzebują pomocy, jak bardzo potrzebują drugiego frontu...

A tu, w Waszyngtonie, są tacy, którzy zrobią wszystko – dosłownie wszystko – by powstrzymać Franklina od udzielenia im tej pomocy.

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Grudzień 1941 Front sewastopolski, ZSRR

MILA

16

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Bycie kobietą w wojsku bywa trudne. W towarzystwie mężczyzn trzeba przestrzegać surowych zasad: żadnego flirtowania, żadnego przekomarzania się, żadnych gierek, nigdy.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: No cóż, jeśli o to chodzi...

– Przestańcie – wydyszałam, wycierając oczy. – Zaraz puszcza mi szwy.

Kostia i Lonia w ogóle nie zwracali na mnie uwagi. Toczyli udawany pojedynek, biegając po całym oddziale uzbrojeni w rolki bandaża udające szable i w baseny pełniące funkcję tarcz.

– Poddaj się, łachudro! – zawołał Lonia, wymachując rolką bandaża niczym Errol Flynn.

Coś mi mówiło, że obejrzałam ukradkiem parę zakazanych zachodnich filmów. Cały oddział wiwatował: pacjenci na łózkach kibicowali walczącym, Lena i inne sanitariuszki pokładały się ze śmiechu, stojąc w drzwiach. Próbowałam złapać oddech, ale dostałam następnego ataku śmiechu. Nie pamiętałam, kiedy tak się śmiałam.

Kostia i Lonia nie mogli mnie odwiedzać częściej niż co kilka dni, ale gdy już się zjawiali, chyba zawsze wynikały z tego jakieś wymyślne szaleństwa. Poprzednim razem Kostia nauczył nas jakiejś zawilej gry z zestawem kostek zrobionych z kości renifera, którego ustrzelił, gdy miał dziewięć lat, i Lonia ograbił nas do ostatniego rubla, zanim spostrzegliśmy, że oszukuje. Wcześniej potrzebowałam transfuzji i Lena podłączyła mi

wężyk prosto z łokcia Kostii, a Lonia opowiadał makabryczne historie o nocnym upiorze żywiącym się krwią.

– Milu, żeby przypadkiem nie wyrosły ci kły. Kostia oczywiście i tak by ich u siebie nie zauważył przez te jego wilcze siekacze...

A dzisiaj...

– Rozbroiłem cię, szubrawcze! – Po żywiołowym odparciu ataku przez Lonię zrobiony z basenu puklerz Kostii wystrzelił w powietrze i mój partner wydał z siebie potworny okrzyk, gdy miecz z bandaża dramatycznie dźgnął go w trzewia. Zgiął się wpół, padł obok mojego łóżka polowego i wił się tam przez chwilę w jakichś nieodzownych agonalnych drgawkach, Lonia zaś się kłaniał, a cały oddział bił brawo. Miesiąc wcześniej mogłabym przysiąc, że mój milczący partner nie ma talentu do wygłupów. Teraz oklaskiwałam jego dramatyczny zgon równie głośno jak cała reszta.

– Lepiej, żebyś nie był za bardzo martwy – powiedziałam do niego. – Kiedy stąd wyjdę, będę potrzebowała partnera.

– A ja muszę dopilnować, żebyś miała pluton, do którego można wrócić. – Kostia spojrział na zegarek, wstał z podłogi i włożył czapkę z powrotem na głowę. – Powinienem już iść. Twój karabin jest prawie gotowy do walki – dodał.

– Nie mogę się doczekać, kiedy do niego wrócę. – Leżałam, bębniąc piętami pod kołdrą i myśląc o tym, że moi ludzie wyruszają na łowy, a ja nie mogę nad nimi czuwać. – Powiedz chłopakom, żeby się spisali. – Patrzyłam tęsknie, jak Kostia klepie Lonię po ramieniu i bezszelestnie wychodzi. – A ty nie idziesz? – spytałam Lonię, gdy opadł na krzesło obok mojego łóżka.

– Na szczęście w przeciwieństwie do was, upiorów, nie mam nocnych służb. Czy o trzeciej w nocy można robić cokolwiek innego, niż rozpamiętywać dawne błędy?

Zaczęłam wykonywać dłonią i ramieniem koliste ruchy, by przywrócić im sprawność. Zachęcała mnie do tego Lena, mimo że powodowało to bolesne naciąganie się szwów.

– Jakie błędy rozpamiętujesz?

– Byłem kiedyś żonaty – powiedział nieoczekiwanie. – Rozwiodłem się po niespełna roku. Masz o mnie teraz gorsze zdanie?

– To zależy od tego, dlaczego się rozwiodłeś.

– Och, byłem młody i głupi. – Pokręcił głową ze smutkiem. – Miałem osiemnaście lat i pozwoliłem, by matka namówiła mnie na ożenek z sąsiadką. Nie miałem pojęcia o kobietach, nie umiałem nawet powiedzieć Oldze, że jest piękna, i dać jej czekolady, kiedy płakała. Po kilku miesiącach nie robiła już prawie nic innego, tylko płakała. Obydwoje zrozumieliśmy, że popełniliśmy błąd, więc rozstaliśmy się, zanim pojawiły się dzieci, które by przez to cierpiały. Olga jest teraz inżynierem, ma innego męża i dwoje dzieci. Pozostajemy w dosyć przyjaznych stosunkach.

– Jakie to cywilizowane – powiedziałam, myśląc o Aleksieju mówiącym szyderczo: „Skacz!”. Znowu naciągnęły się moje szwy i aż się wzdrygnęłam.

– Wiem, że ty też młodo wzięłaś ślub. – Lonia odchylił się na zbyt małym krześle, przerzucając łokieć przez oparcie. – Co poszło nie tak?

– On uznał, że bycie mężem i ojcem nie jest dla niego. – Zawahałam się. – Nawet gdyby tego nie zrobił... w końcu i tak bym od niego odeszła. Źle traktował naszego syna, a ja czułam się przy nim taka mała.

– Jesteś mała. Kieszonkowa snajperka. – Widząc, że próbuję mocniej rozciągnąć ramię, Lonia złapał mnie za nadgarstek, jego palce z łatwością oplotły się wokół moich cienkich kości, i powoli, zdecydowanie za niego pociągnął. – Ale widziałem cię, kiedy ten twój porucznik Pawliczenko zjawia się na obchodzie. Kulisz się przy nim. Nie lubię na to patrzeć. No, powiedz mi, gdzie cię boli...

Wydałam z siebie zduszony okrzyk, czując, jak naciągają mi się poszarpane mięśnie.

– A ja nie lubię się tak czuć, wierz mi.

Gdy kiwnęłam głową, Lonia puścił mój nadgarstek, a ja położyłam się z powrotem na poduszce, nie mając ochoty dłużej rozmawiać o Aleksieju. Lonia skierował rozmowę na weselsze tory, a po mniej więcej półgodzinie spojrzał na zegarek.

– Powiniennem już iść. Ponoć jestem porucznikiem i mam ważne obowiązki. Muszę się od nich przez jakiś czas pouchyłać, żeby Dromin miał pretekst, by mi rzucać wściekle spojrzenia.

Roześmiałam się. Lonia przysunął się i powiedział mi na ucho:

– Za drzwiami czai się twój były mąż. Mam cię teraz pocałować, żeby był zazdrosny?

Zduśiłam śmiech, czując pokusę.

– Nie.

– Warto próbować. – Lonia odszedł wolnym krokiem, pogwizdując, jego jasne włosy lśniły w ostrym szpitalnym świetle, a ja pospiesznie przewróciłam się na bok i udałam, że śpię, zanim Aleksiej zdążył przyjść i nawiązać rozmowę. Słyszałam jednak, jak długo stoi nad moim łóżkiem. Tylko oddychał.

Czego ty chcesz? Pomyślałam, wciąż nasłuchując, gdy wreszcie sobie poszedł.

Lena przyszła przy mnie posiedzieć w czasie swojej przerwy i niczego nie owijała w bawełnę.

– Zastanawia się, czy baraszkujez w śpiworze Loni czy Kostii, albo może jednego i drugiego. Wypytuje o waszą trójkę wszystkie pielęgniarki i sanitariuszki.

– To nie jego sprawa – zaprotestowałam. – I dlaczego nikt mi nie wierzy, że po prostu wykonuję swoją pracę, a nie przeskakuję ze śpiwora do śpiwora?

– Bo mężczyźni plotkują bardziej niż staruszki, ot co. Chodzą słuchy, że pieprzysz się z nimi oboma. – Lena rzuciła mi przenikliwe spojrzenie. – No więc który z nich jest tym szczęściarzem?

– Żaden i dobrze o tym wiesz. Na Lenina, przecież niedawno wyjęli mi z pleców odłamek wielkości stopy.

– Mogłabyś mieć każdego z nich i to ty dobrze o tym wiesz. Zadziwiający, że jeszcze nie zaczęli okładać się pięściami.

– Nie zrobiliby tego. Przyjaźnią się. – Lonia był jedynym znanym mi człowiekiem, który umiał przełamać milczenie Kostii, wywołać jego

ulotny, nieco krzywy uśmiech. – I ze mną też się przyjaźnią. Nic więcej.

– Nawet bez przybiegania tutaj z prezentami co drugi dzień Kicenko ma wystarczająco dużo roboty w namiocie dowództwa. – Lena skinęła głową w stronę owiniętego koronkową chusteczką flakonika perfum, który dostałam podczas ostatniej wizyty dowódcy mojej kompanii. – Czerwona Moskwa, nietania rzecz. Najpierw litr własnej krwi, potem perfumy... Przyniósłby ci diamenty, gdyby je miał. On się do ciebie zaleca, Północnico.

– To teraz jesteś orędowniczką frontowych romansów? – Pochyliłam się, by mogła sprawdzić moje szwy. – Po tym wszystkim, co mówiłyśmy o opędzaniu się od oficerów?

– O opędzaniu się od dupków i brutali. – Miała lodowate palce. Był ostatni dzień roku i nastał przeraźliwy ziąb. Jedynym pocieszeniem w tym przenikliwym zimnie było to, że Niemcy, wydelikaceni w dzieciństwie na przykład w Bawarii, bez wątpienia znosili te warunki gorzej niż my. – Od oficerów, którym się wydaje, że powinniśmy padać przed nimi na plecy, jeśli choćby kiwną palcem. To przed nimi trzeba uciekać. Ale jeśli prosi miły, porządny facet, nie zawsze uciekam. – Poruszyła brwiami. – Albo przynajmniej uciekam wystarczająco wolno, żeby mógł mnie złapać.

– Mam nadzieję, że jesteś ostrożna.

– Od razu im mówię, że mogą albo nałożyć na niego kaptur, albo go schować z powrotem. – Naciągnęła moją koszulę z powrotem na szwy. – Miło jest się przytulić do czyjegoś ciepłego ciała w takie zimne noce, Milu. Przekonaj się sama. Zarówno twojemu porucznikowi, jak i twojemu Sybirakowi pospadałyby z radości skarpety, gdybyś wślizgnęła się któremuś z nich pod koc.

– Kostia nie...

– Nawet nie udawaj, że jesteś jedną z tych idiotek, które nie zauważają, że facet jest zakochany po uszy!

– Ale on jest moim partnerem – powiedziałam cicho. Trudno wytłumaczyć więź łączącą snajperskich partnerów komuś, kto nie jest snajperem. Idąc ramię w ramię w ciemności nocnych łowów, nie tylko poruszaliśmy się jednocześnie, ale oddychaliśmy jednocześnie, myśleliśmy jednocześnie, czuliśmy jednoczesne bicie swoich serc jak para miękko stąpających rysiów prześlizgujących się przez śnieg. Nasze serca

nieustannie szeptały: Nie spudłować. Gdyby to doskonałe partnerstwo zostało czymś zakłócone, jedno z nas albo i obydwójce mogłoby popełnić jakiś nieskończenie mały, lecz śmiertelny błąd – i skończyłoby w wykopanym naprędce grobie z nazwiskiem napisanym z błędem na czerwonej gwiazdzie z dykty. Nie.

– W takim razie twój porucznik. Oj, przystojniak z niego. – Lena spryskała się Czerwoną Moskwą. – No, za dwa dni stąd wyjdiesz. Obiecasz mi, że postarasz się wytrzymać co najmniej tydzień, zanim znowu wylecisz w powietrze?

– Nie spaceruję wśród odłamków mózdzierzy tylko po to, żebyś nie wyszła z wprawy w zszywaniu ran, Leno Palij. – Nie zwierzyłam się Lenie ze swojego przesądneho przekonania, że następny raz mnie zabije, bo pewnie walnęłaby mnie basenem.

Nie oznaczało to jednak wcale, że to uczucie mnie opuściło: ten wiszący nade mną strach, szara pewność, że moje szczęście się wyczerpało. Nie bądź tchórzem, zbeształam się ze złością, ale to w zasadzie nie było tchórzostwo. Gdyby na moim celowniku znalazł się jakiś hitlerowiec, na pewno nie zawahałabym się przed pociągnięciem za spust. Nie, to był tylko rzeczowy głos w tyle mojej głowy, mówiący: dorwij, ilu tylko zdołasz, zrób, ile tylko zdołasz, bo twój piasek już prawie przesypał się w klepsydrze.

No cóż. Czy to byłoby aż tak straszne, gdyby Mila Pawliczenko nie dotrwała do końca tego nowego, 1942 roku, nie dożyła dwudziestu sześciu lat? Spełniłabym swój obowiązek wobec ojczyzny, walczyłabym długo i zaciekle, dopóki bym potrafiła. Mój syn byłby ze mnie dumny i dorastałby z moimi rodzicami otoczony całą miłością, jakiej sama nie mogłabym mu już dać.

A gdyby Niemcy podbili mój kraj i podporządkowali swastyce wszystkich, których kocham, nie musiałabym tego oglądać.

Wypisano mnie ze szpitala o stalowym zmierzchu kilka dni po Nowym Roku. Zapinając mundur, zauważyłam, jak ubranie na mnie wisi, a w skrawku lustra zobaczyłam, jak szorstka i ziemista stała się moja cera.

– Ładnie wyglądasz – odezwał się Aleksiej tuż za moimi plecami. – Dużą masz bliznę?

– Tracisz wycucie, Aleksiej. – Założyłam czapkę, czując na głowie wypukłą krawędź blizny pozostałej po poprzedniej wycieczce do batalionu szpitalnego. – Mówisz kobiecie, że ładnie wygląda, i jednocześnie wspominasz o jej bliznach.

– Tej przynajmniej nie widać pod mundurem. – Zbliżył się o krok. – Wiesz, mogłabyś mi ją pokazać. Może później. Po kolacji.

– Blizny pod moim mundurem to nie twoja sprawa. Nigdy, przenigdy ich nie zobaczysz. – Specjalnie się nie odsunęłam. Aleksiej często tak robił, gdy byliśmy małżeństwem: podchodził odrobinę za blisko, żebym się odruchowo cofnęła. Już skończyłam z cofaniem się. – A teraz przepraszam, towarzyszu poruczniku. – Odwróciłam się od lustra.

– Próbuję ci powiedzieć komplement, kroszka. – Jego dłoń opadła na moje ramię. Wydawał się poirytowany. Gdy Aleksiej Pawliczenko wysiłał się dla kobiety, oczekiwał, że jego starania zostaną przyjęte z uśmiechem. – Nie potrafisz tego docenić?

– A ja mam wrogów do odstrzelenia. – Wyszarpnęłam ramię. – Nie potrafisz tego docenić?

Roześmiał się i ten pełen samozadowolenia dźwięk ukłuł mnie w uszy.

– Milu, doprawdy. Powinnaś...

– Już iść? Zgadza się. – Poprawiłam kołnierzyk, uniosłam głowę. – Nie chcę twoich komplementów. Nie chcę, żebyś mnie zapraszał na kolacje. W ogóle niczego od ciebie nie chcę.

– Wolisz tego jasnowłosego porucznika? – spytał Aleksiej tonem pogawędki. – Może powinienem mu udzielić kilku rad. Jak się obchodzić ze snajperką... Minęło wprawdzie trochę czasu, ale wciąż pamiętam, co sprawia, że się wijesz i jęczysz.

Z wściekłości kręciło mi się w głowie, gdy szłam korytarzem wypełnionym jaskrawym, migotliwym światłem. Za zakrętem musiałam się zatrzymać i oprzeć o ścianę. Czułam rwący ból w ramieniu. Tłumienie wściekłości nie pomagało, rana ciągle pulsowała bólem, który docierał aż do stóp. Naprawdę nie była jeszcze całkiem zagojona. Gdyby panował pokój, dostałabym kolejny tydzień zwolnienia, ale gdyby panował pokój, żadne zwolnienie nie byłoby mi potrzebne. Drugie natarcie Niemców zostało odparte kosztem dwudziestu trzech tysięcy poległych, rannych albo

zaginionych... wkrótce miało nastąpić kolejne. Stałam, wyobrażając sobie, jak biorę na celownik ten uśmiezek na twarzy mojego męża, gdy mówi wesoło: Tylko się droczyć, Milu! Na pewno bym nie spudłowała. Pociągałam za ten spust, dopóki nie przeszły wywołane wściekłością zawroty głowy. Potem wyszłam z podziemnego centrum medycznego na powierzchnię.

Oślaniając oczy w coraz słabszym zimowym świetle, zauważyłam ubłocony służbowy samochód, który zatrzymał się przed wejściem. Lonia stał oparty obok niego i czytał zniszczoną powieść Gorkiego.

– Pomyślałem, że zawiozę cię z powrotem na linię pierwszego batalionu – powiedział, gdy mnie zobaczył. – Zjesz ze mną kolację, kiedy tam dotrzemy?

Odepchnęłam od siebie szyderczy głos Aleksieja i odpowiedziałam zwyczajnie.

– Z chęcią.



Na froncie nawet dowódca kompanii nie dostaje porządnej kwatery. Lonia miał osobną ziemiankę przypominającą maleńką piwnicę, ze ścianami z ziemi, klepiskiem i trzema warstwami polan pełniącymi funkcję sufitu, pod którym musiał się schylać... ale gdy zobaczyłam, jak ją wyszykował na moje przyjście, wyrwało mi się ciche: „Och...”.

– To nic specjalnego – powiedział zaniepokojony, zatrzymując się przy wejściu. Zbił stół z nieoheblowanych desek i nakrył go płócienną zasłoną zamiast obrusa. Lampka na baterię ukazywała kolację czekającą na blaszanych talerzach – rodzaj frontowej uczy, i wszystko wskazywało na to, że w ubiegłym tygodniu odbywał się w tym celu handel wymienny i oddawanie przysług za przysługi. Czarny chleb i twarde salami, puszka gulaszu, ziemniaki ugotowane w menażce, wódka... Na środku stała łuska po naboju kaliber czterdzieści pięć milimetrów, którą Lonia zmienił w wazon, wciskając do niej zielone gałązki jałowca i zasuszone gałązki klonu płonące czerwono-złotymi liśćmi.

– Pomyślałem, że później będziesz mogła je wysłać synowi. Wiem, że zbierasz dla niego liście i kwiaty.

Zbliżyłam twarz do gałązek, wciągnęłam zapach jałowca i nagle znowu zabrakło mi tchu. „On się do ciebie zaleca”, powiedziała Lena.

Tak, wszystko na to wskazywało.

– Co byś zrobił, gdybym nie zgodziła się przyjść? – spytałam, prostując się.

– Zaprosiłbym Kostię – powiedział Lonia. – Słyszałem, że jest świetny w łóżku.

Wyrwał się ze mnie śmiech, rozładowując napięcie, i pozwoliłam, by Lonia wysunął dla mnie taboret spod prowizorycznego stołu.

– Umieram z głodu.

– To dobrze, bo dziś wieczorem oficjalnie masz wolne.

– Ale... – Nie widziałam się jeszcze ze swoją kompanią, z plutonem ani nawet nie wróciłam do swojej ziemianki.

– Towarzyszko starsza sierżant, z marszem z powrotem na ziemię niczyją możecie poczekać do jutra. – Lonia ubiegł moje protesty, nakładając mi gulaszu na talerz. – Dziś wieczorem porządnie się najecie i wyśpicie, to rozkaz dowódcy waszej kompanii. I to ostatnie słowa, które wypowiadam dziś wieczorem jako dowódca waszej kompanii.

– A to dlaczego? – rzuciłam się na tę ucztę.

– Bo gdy po kolacji zaproponuję ci małżeństwo – wyjaśnił Lonia – wolałbym, żeby moim oświadczynom nie towarzyszyło żadne poczucie obowiązku wynikające z hierarchii wojskowej. Wódki, moja jedyna? – spytał, gdy zakrztusiłam się gulaszem.

– Chyba nie mówisz poważnie. – Zdołałam przełknąć gulę, która była bardziej chrząstkowata niż mięso w gulaszu. Zaproszenie na kolację i kwiaty to jedno. Wiedziałam, że Lonia ma nadzieję poromansować ze mną w swoim śpiworze, ale... – Proponujesz mi małżeństwo?

– Nie – odrzekł, nalewając nam wódki. – Zrobię to później, gdy się już najemy.

– Droczyś się ze mną – uznałam.

Spojrzał nad stolikiem w świetle lampki.

– Jesteś olśniewająca – powiedział.

Moja dłoń zbliżyła się odruchowo do krzywo obciętych, wyschniętych na wiór włosów.

– Znasz mnie półtora miesiąca.

– Olśniłaś mnie w półtorej sekundy, Milu.

Wychyliłam wódkę, zagryzając ją kęsem czarnego chleba i salami.

– To za wcześnie. Znam cię zaledwie od...

– Więc odmów. I tak spytam. Później – zaznaczył, połykając swoją porcję gulaszu. – Na razie za bardzo się denerwuję. Większość facetów denerwuje się w tym momencie, ale jestem całkiem pewny, że tylko ja jeden proponuję małżeństwo kobiecie, która osobiście wyprawiła na tamten świat ponad dwustu facetów.

Znowu się roześmiałam, trochę wbrew sobie.

– Jak to możliwe, że ciągle to robisz?

– Że proponuję małżeństwo kobietom mającym talent do zabijania?

– Że mnie rozśmieszasz.

– Przejawiam niepokojącą skłonność do braku powagi i burżuazyjnego sentymentalizmu. Tak w każdym razie oznajmiono mi w Komsomole, kiedy byłem nastolatkiem. Nigdy nie zrobię kariery w partii, jeśli nie przestanę przedkładać obiektywizmu w relacjach osobistych ponad radość.

– Najwyraźniej jesteś beznadziejnym przypadkiem.

– W wieku trzydziestu sześciu lat? Zdecydowanie tak.

Uśmiechnęłam się, czując mimo woli, że się odprężam. Wódka rozgrzała mi żołądek. Nie pamiętałam, kiedy ostatni raz jadłam kolację dla przyjemności, połączoną z rozmową i z odprężeniem, a nie w ramach prostej czynności uzupełniania zapasów w przerwach między uśmiercaniem ludzi.

– Powiedz mi coś, Lonia. – Postanowiłam zmienić temat i pomówić o czymś trochę lżejszym niż propozycje małżeństwa i statystyki zabójstw. – Czy jako oficer masz może pomysł, gdzie mogłabym uzyskać na froncie dostęp do jakiejś maszyny do pisania?

– Maszyny do pisania? – Wskazał zimowy bukiet na stoliku. – Zapraszasz kobietę na romantyczną kolację, a ona chce maszynę do pisania...

– Chcę przepisać swoją rozprawę. Jest cała we krwi...

Trzask nad głową prawie mnie ogłuszył. Pisk moździerzy – zwykle byłam uodporniona na dźwięki niemieckiej artylerii, ale dwa tygodnie w szpitalu, z dala od frontowego klangoru, zmiękczyły moje uszy. Może zmiękczyły także kręgosłup, bo słysząc huk ostrzału artyleryjskiego, zerwałam się z krzesła jak rażona prądem, rozpaczliwie próbując chwycić za karabin, którego tam nie było.

– Milu...

Stolik się zachybotał, gdy pod niego wskoczyłam, zatykając uszy rękami i czując, jak serce wali mi w piersi.

– Milu...

Nie wiedziałam, czy nadlatują kolejne moździerze, w moich zniszczonych uszach dzwoniło i huczało. Zadrżałam, zaciskając powieki. Czy te niemieckie dranie już zaczynały od nowa? Czy nic nie zdoła ich powstrzymać?

– Milu. – Ciepło wokół mnie, czyjś cichy i miękki głos obok mojego ucha. Lonia wydawał się spokojny, ale mięśnie miał napięte. – To nie jest atak, hitlerowcy po prostu zapewniają nam odrobinę nocnej muzyki. Zależy im, żebyśmy cały czas się bali.

Nie boję się, próbowałam powiedzieć, ale słowa utknęły mi w gardle. Zresztą cóż to za idiotyczne słowa – było oczywiste, że się boję: siedziałam pod stolikiem i zasłaniałam uszy rękami. Dowódca mojej kompanii musiał wczłgać się tam za mną. Poczułam, jak mocno mnie obejmuje, przytula do klatki piersiowej. W szpitalu poczułam wielką ulgę, gdy sobie uświadomiłam, że nie muszę przed nim ukrywać swoich lęków... ale nie byłam już w szpitalu, powinnam była wracać do zdrowia, a nie dalej kulić się i truchleć ze strachu. Przeleżała się przeze mnie taka fala wstydu, że o mało nie wsiąkałam w podłogę niczym domowej, jeden z tych starych duchów ogniska domowego, którym składano ofiary przed rewolucją, zanim edukacja i racjonalizm zwalczyły strach i przesady. Tylko że oczywiście czegoś takiego nigdy nie da się do końca zwalczyć bez względu na to, co mówi partia.

– Przepraszam – wymamrotałam, próbując się odsunąć, próbując schować głowę wewnątrz kołnierzyka, ale Lonia tylko mocniej przytulił mnie do swojego ramienia.

– Wierz mi, ja też się boję. Wskoczyłem pod stół zaraz za tobą.

Obydwoje przywarliśmy do podłogi, płócienna zasłona prowizorycznego obrusa odgradzała nas od reszty świata. Moje serce wciąż pędziło, gnane chybioną paniką. Odkleiłam ręce od uszu i patrzyłam, jak moje palce zatapiają się w kurtce Loni.

– Oni nie... nie atakują.

– Wygląda na to, że nie.

Nasłuchiwałam. Z zewnątrz dobiegały odgłosy kroków, sporadyczne stłumione śmiechy, brzęk metalowych kubków. Kompania wykonywała rutynowe wieczorne czynności, nie było słycać żadnych krzyków, wrzasków ani terkotania karabinów maszynowych.

– Nie mów im – szepnęłam do jego kurtki. – Nie mów kompanii, ani ludziom, ani oficerom...

– Czego mam im nie mówić?

– Że ja... Nie mów im tego. – Że Ludmiła Pawliczenko siedziała skulona i się trzęsła. Że snajperka mazgała się pod stołem.

– Zabiłaś ponad dwustu mężczyzn i patrzyłaś im prosto w twarz, pociągając za spust. – Ręka Loni przesunęła się na moje włosy. – Nikt cię nie uważa za tchórza.

Nikt oprócz mnie.

– Dalej myślisz, że jestem olśniewająca? – zdołałam wykrztusić zachrypniętym głosem.

Poczułam, jak uśmiecha się przy mojej skroni, przyciskając usta do mojego ucha.

– Zdecydowanie tak.

Wyplątaliśmy się z objęć i wyszliśmy spod stołu. Blaszane talerze były bezpieczne, ale wazon z łuski się przewrócił i zimowy bukiet leżał rozrzucony na klepisku.

– Nic nie szkodzi – zapewnił Lonia, lecz ja kucnęłam, by pozbiierać gałązki jałowca i klonu. Jaskrawe liście przypominały ogień zamknięty w moich wciąż trzęsących się dłoniach, wciśnięty do łuski po czterdziestopięciomilimetrowym pocisku – jeśli to nie była wojna w pigułce, to nie wiem, co nią było. Gdzieniegdzie zabłąkana gałązka piękna, wciśnięta do czegoś produkowanego na masową skalę i okrutnego, zazwyczaj przewracana i deptana. Jutro martwa i zwiędła, lecz dziś wciąż żarząca się życiem.

Jak my.

Nadal drżałam, gdy wyciągnęłam rękę i przysunęłam twarz Loni do swojej.

– Masz coś? – spytałam i pocałowałam go. Smakował wódką i sosnami.

– Coś? – Już oddawał mi pocałunki, zanurzając palce w moich włosach, i obydwójce padliśmy na ścianę ziemianki.

– No, wiesz. – Ciągnęłam go za kołnierzyk, a on ciągnął za mój, przesuwając ustami wzdłuż mojej żuchwy. Czyjś guzik odbił się od stolika.
– Masz...

– Nie mam pierścionka – wyznał. – Wystarczająco trudno było zdobyć bochenek porządnego chleba i tę przeklętą puszkę gulaszu.

– Na Leni... – Popchnęłam go na krzesło, wspierałam się na jego kolana, przystawiłam czoło do jego czoła, żebyśmy patrzyli sobie w oczy, ciemne oczy tonące w niebieskich, a drugą rękę zacisnęłam na sprzączce jego paska. – Lonia, nie zamierzam zająć w ciążę na froncie. Masz coś?

– A – powiedział. – Tak – dodał, wyjmując skądś pakuneczek.

– To dobrze. – Nasze usta zwały się z powrotem, gdy moja, a potem jego kurtka upadły na podłogę. Może to nie był dobry pomysł, nie z dowódcą mojej kompanii, którego znałam od niespełna dwóch miesięcy, ale nie miałam pojęcia, czy za tydzień wciąż będziemy żywi. Daj mi to, pomyślałam, zrzucając buty, dopóki jeszcze żyję i mogę się tym cieszyć.

– Nigdy nie musiałem rozbrajać kobiety przed pójściem z nią do łóżka – wymamrotał Lonia do mojego obojczyka, odrzucając na bok moją finkę, mój pistolet, pasek z futerałami na naboje, i wciągając mnie sobie z powrotem na kolana, gdy obydwójce zrzuciliśmy już spodnie. Było za

zimno, żeby się tak rozbierać, drżeliśmy mimo małego piecyka, oddech unosił się między nami w postaci pary i z każdym pocałunkiem roztopiał z powrotem. Lonia miał szerokie barki, wydłużony tors, włosy miękkie w dotyku, a gdy rozrywałam paczuszkę, jego szerokie dłonie przytrzymywały moje biodra.

– Dawno tego nie robiłam – mruknęłam, gdy wpasowaliśmy się w siebie, a potem mimowolnie pomyślałam o chłopaku, z którym w ubiegłym roku przeżyłam niezobowiązującą przygodę podczas wizyty we Wszechzwiązkowej Akademii Nauk Rolniczych imienia Lenina. To była dobra, szybka zabawa, trochę zdawkowa, nic poważnego z żadnej ze stron. Z Lonią zaś nic nie było szybkie ani zdawkowe. Cały czas uśmiechał się do moich oczu, przesuwając dłońmi po moich plecach, mojej szyi, moim karku. Nasze ciała kołysały się w ciszy pierś przy piersi, prozaiczny ubłocony świat pułku poruszał się na zewnątrz w swoich podkutych butach.

Kocham cię, zamruczały bezgłośnie jego usta do moich, a jego dłoń na mojej szyi musiała poczuć nagłe zacięcie się mojego tętna w odpowiedzi na te proste, przerażające słowa, ponieważ uśmiechnął się i wypowiedział je na głos, żebym nie mogła go nie zrozumieć.

– Kocham cię.

Proste i czyste wyznanie. Poruszał się we mnie, a do moich oczu napłynęły łzy. Zatrważające zwanie naszych oczu nie ustawało aż do końca, gdy zobaczył, jak gwałtownie przygryzam wargę, gdy w nas obojgu wzbierała fala. Położył swoją szeroką dłoń na moich ustach i pozwolił mi krzyczeć do niej, tłumiąc własny krzyk na moim ramieniu.

Potem trzymaliśmy się kurczowo w milczeniu, wciąż spleceni na krześle.

– Wyjdź za mnie – szepnął do mojej szyi. – Wyjdź za mnie, Milu.

– Nie mogę – mruknęłam, wciąż drżąc w jego ramionach.

Odsunął moje włosy.

– Nie ufasz mi?

– Ufam, ale... – Musieliśmy odbyć pewną rozmowę, lecz czy naprawdę teraz? – Musimy rozmawiać o przyszłości, Lonia? Nie możemy po prostu...

Nie możemy po prostu tego mieć? Tylko tego, na razie? Od miesiący nie czułam się równie żywa.

– Nad sprawą małżeństwa jeszcze popracujemy. – Pocałował mnie w skroń i zaczęliśmy się z siebie wyplątywać. – Jutro zapytam cię znowu. Czy tymczasem zechcesz u mnie przenocować?

– Przenocować, jakbyśmy byli na wakacjach? Jesteśmy w okopach. Pociski mogą w każdej chwili rozerwać dach.

– Chyba nie powiesz, że cię to nie podnieca...

17

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Porucznik Kicenko złożył wniosek do naszych przełożonych, by oficjalnie sformalizować nasze nowe stosunki. Wniosek wymagał pieczętki i podpisu porucznika Dromina oraz dowódcy pułku, a następnie zdobył stempel aprobaty pułku oraz przekazano go do wdrożenia w sztabie głównym 25 Dywizji Strzeleckiej Czapajewa.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: „Lonia, musimy porozmawiać...”.

– Wciąż jesteś mężatką? – powtórzył po raz trzeci mój nowy kochanek.

– Tylko teoretycznie. – Wzięłam głęboki oddech, próbując uspokoić rozdygotany żołądek. Dwa dni po swojej pierwszej wspólnej nocy siedzieliśmy przy chybotliwym stoliku w jego ziemiance i temat, którego tak się obawiałam, wylewał się na ten stolik niczym brudna, niewidzialna plama oleju. – Rozwód nie został sfinalizowany.

Lonia podrapał się po zuchwie.

– Przecież uzyskanie rozvodu to nic trudnego.

– Mój ojciec skomplikował sprawę – westchnęłam. – Bywa staromodny... Nie do końca aprobował moje odejście od Aleksieja. Pozwolił mi wrócić do domu, ale prosił, żebym wstrzymała się z rozwodem i jeszcze go przemyślała, upewniła się, że to słuszna decyzja. Odpuściłam, bo myślałam, że Aleksiej się ze mną rozwiedzie, że to będzie tylko formalność bez zwracania głowy, a powinnam była wiedzieć, że posiadanie

nieobecnej żony, której nie musiał utrzymywać, będzie mu na rękę. – Miał pełnię wolności pozwalającą mu kręcić z młodymi dziewczynami, a potem mówić im ze smutkiem: „Nie mogę się z tobą ożenić, kroszka, mam już małżeńską pętlę na szyi”. – Zanim się obejrzałam, Sławka skończył cztery lata i zmieniły się przepisy. – Wprowadzono pięćdziesięciorublową karę za niestawienie się przed urzędnikami obu stron w celu rozwiązania małżeństwa. Wyjaśniłam, że Aleksiej nie zjawił się na żadnym spotkaniu, które umówiłam.

– Więc odłożyłaś to na później? – domyślił się Lonia. – Gdy sytuacja się trochę uspokoi?

– Tylko że gdy próbujesz pogodzić opiekę nad dzieckiem z pracą w fabryce i nauką w szkole wieczorowej, a potem ze studiami i pracą w bibliotece, sytuacja nigdy się nie uspokaja. – Nigdy nie nadszedł dzień, w którym pomyślałam: „Teraz jest właściwy moment, by wnieść opłatę, na którą mnie nie stać, i zaciągnąć męża, którego nie mogę znieść, do biura, którego zapewne znowu nie będzie mógł znaleźć, żeby podpisał papiery, których nie ma zamiaru podpisać”. Poza tym to, czy będziemy z Aleksiejem po rozwodzie, czy jedynie w separacji nie miało żadnego wpływu na codzienne życie moje ani Sławki.

Tyle że teraz siedziałam naprzeciw mężczyzny chcącego się ze mną ożenić... i czułam, że pragnę za niego wyjść. Przyglądałam się twarzy Loni, wypatrując oznak złości, lecz on pochylił się nad stolikiem i pocałował mnie z uśmiechem.

– Przyznaję, że psuje mi to trochę plany małżeńskie.

– Nie gniewasz się?

– Czy się nie gniewam? Ulżyło mi. Bałam się, że nie chcesz za mnie wyjść. Jeśli to tylko kwestia wciąż żyjącego męża, to cóż, mogę temu zaradzić.

Uniosłam brew.

– Jak, zamierzasz go zabić?

– Nie wykluczam takiej ewentualności – odrzekł wesoło Lonia, podchodząc do piecyka, żeby podgrzać trochę herbaty. – Armia Czerwona straciłaby dobrego chirurga, ale zaoszczędziłaby na papierkowej robocie.

A skoro taka z niego świnią uganiająca się za uczennicami, oddalibyśmy światu przysługę.

– To nie jest zabawne – zaprotestowałam, ale i tak się roześmiałam. Już odkryłam, że Lonia ma do tego talent: umiał wywołać śmiech przypominający zbłąkany promień słońca, który rozświetlał nawet najciemniejsze pomieszczenie. Spojrzał z uśmiechem przez ramię i też się do niego uśmiechnęłam, opierając brodę na dłoni. – A jeszcze mniej zabawne jest to, że cała ta papierkowa robota, którą wykonałeś, żeby zdobyć pozwolenie na ślub na froncie, pójdzie na marne – powiedziałam, podziwiając jego szerokie plecy pod mundurem. – Ile tego było, szesnaście stron w trzech egzemplarzach?

– Jestem przekonany, że można przedłożyć kolejnych szesnaście stron w trzech egzemplarzach, żeby zalegalizować niedozwolony frontowy związek umożliwiający nam wspólne zakwaterowanie. Dowiem się.

Zmarszczyłam nos.

– Myślisz, że istnieją jakieś papiery dokumentujące, kto z tobą mieszka jako twoja okopowa dziewczyna?

– Miłaja, to Związek Radziecki. – Lonia wcisnął mi do ręki blaszany kubek z herbatą, gorącą i posłodzoną, taką, jak lubiłam. – Tu są papiery na wszystko.

– Na Leni...

– Nie martw się, załatwimy sprawę z Aleksiejem tak czy inaczej... później. Na razie muszę wracać do stanowiska dowodzenia. – Lonia pochylił się i pocałował mnie w kącik ust. – Do zobaczenia rano. Zabij mnóstwo nazistów. Nie zgiń.

Pocałował mnie jeszcze raz, tak mocno, że o mało nie rozlałam herbaty, a potem wyszedł rozkołysanym krokiem, pogwizdując.

– Szesnaście stron w trzech egzemplarzach – mruknęłam, ale nie mogłam przestać się uśmiechać. W obliczu żartów Loni ani w Aleksieju, ani w moim wciąż trwającym w obliczu prawa małżeństwie nie widziałam już wielkiej przeszkody. I nawet gdybym potrzebowała jeszcze paru miesięcy, by doprowadzić do rozwodu, miałam Lonię tu i teraz. Minęło zaledwie kilka dni, lecz zdążyłam się już uzależnić od spania obok jego twardego, ciepłego ciała, od ramion, które mnie obejmowały, gdy

wracałam zmarznięta i ośnieżona po nocy spędzonej w snajperskim okopie, i od garnka z wodą, który zawsze czekał na mnie na piecyku, bym mogła umyć zziębniętą twarz i obolałe ręce.

– Mogę zabić te łachudry, towarzyszek starsza sierżant? – mruknął z niezadowoleniem stary Wartanow, gdy dołączyłam do swojego plutonu. Machnął w stronę garstki nowych rekrutów, których uczył rozkładania karabinów SWT-40. – Są nic niewarci, wszyscy co do jednego. Młodszy niż świeże masło.

Przyjrzałam się nowym żołnierzom, wypatrując pełnego urazy błysku w oku mogącego oznaczać kłopoty, lecz wszyscy wydawali się albo wystraszeni, albo zatrwożeni moim widokiem.

– Nie zapominaj, że sam też kiedyś byłeś młodszy niż świeże masło.

– Kiedy ja byłem taki młody i tępy, w Rosji rządził jeszcze car.

– No cóż, od tej pory sytuacja się poprawiła.

– Czyżby? – zastanowił się Wartanow.

– Oczywiście, że tak!

Pociągnął się za nierówną brodę.

– No nie wiem, towarzyszek starsza sierżant. Maluczcy dalej walczą i giną od kul, a ważniacy siedzą bezpieczni i susi. Nic się w tej kwestii nie zmienia bez względu na to, kto rządzi.

– Zamknij się, Wartanow. – Powstrzymałam go, zanim zdążył popaść w jeden z tych swoich patriotycznych nastrojów ukraińskich i zacząć wygłaszać dość przejrzyste antyradzieckie komentarze. – Powtórzyć! – zawołałam do nowych rekrutów, po czym rozkazałam staremu leśniczemu, by rozłożył swietę, a sama zaczęłam głośno wymieniać etapy tej procedury. – Odczepić skrzynkę na naboje... Zdjąć pokrywę zamka... Widzicie, jak odbezpiecza i opuszcza broń, kierując celownik do góry? Teraz pchnąć pokrywę do przodu, lewą ręką, o tak... – Cierpliwie objaśniałam wszystko krok po kroku. – Powtórzyć, tym razem samodzielnie. Już niedługo będziecie umieli to zrobić po ciemku.

– Nie tak znowu niedługo – mruknął Wartanow, gdy znowu zaczęli nieporadnie rozkładać karabiny. – A wy, towarzyszek, powiedzcie temu swojemu dowódcy, żeby przysłał nam lepszych rekrutów.

Czekałam, chcąc sprawdzić, czy wzmiance o Loni będzie towarzyszyło jakieś znaczące spojrzenie albo mrugnięcie, ale tak się nie stało. Już od jakiegoś czasu szykowałam się na drwiny albo obsceniczne żarciki, bojąc się chwili, w której usłyszę szyderstwa ze strony własnego plutonu – tak długo chroniłam swoją reputację, tak się starałam, żeby nie przekroczyć tej granicy – ale jak dotąd moi ludzie chyba podchodzili do tego ze spokojem.

– Chłopaki czują, że nie muszą się o nic martwić, odkąd macie w śpiworze oficera, Ludmiło Michajłowna – powiedział Wartanow, jakby czytał w moich myślach.

– To nie twoja sprawa, towarzyszu kapralu – odrzekłam chłodno. Nie mogłam jednak zaprzeczyć, że mi ulżyło. Może rzeczywiście udałoby się to wszystko rozegrać bez zbytniego zamieszania. Jeśli już, to raczej kierowano w moją stronę mniej zuchwałych spojrzeń i flirciarskich uwag niż dotychczas.

– Widok młodej kobiety, która chodzi po strefie wojennej i nie wiadomo, do kogo należy, wytrąca chłopaków z równowagi. – Wartanow bez wątpienia był jedyną osobą w moim plutonie, która śmiała zwracać się do mnie bez ogródek, lecz wiek miał swoje prawa nawet na linii frontu. – Przywróciliście równowagę i teraz będą mogli ją odzyskać.

Na Lenina, pomyślałam. Mężczyźni.

– Powtórzyć! – zawołałam do nowych rekrutów ze swietami. Zaczęli rozkładanie jeszcze raz i grzebali się z tym, grzebali...

– Nawiasem mówiąc, wrócił Kostia – dorzucił Wartanow, krzywiąc się na widok osłony zamka, którą ktoś upuścił na trawę.

– Kostia? – Nie widziałam swojego partnera od jego ostatniej wizyty w szpitalu. Rano po powrocie od Loni, uśmiechnięta, uskrzydłona i niezaprzeczalnie zarumieniona od pocałunków, znalazłam swój nowy karabin oparty w ziemiance, w której zazwyczaj spałam, wypolerowany na błysk i opatrzony liścikiem napisanym drobnym kanciastym pismem Kostii. „Twój”, widniało na nim po prostu. A potem Fiodor mi powiedział, że gdy niemiecki atak nareszcie ustał, mój partner wystąpił o zaległą przepustkę i pojechał do Sewastopola, jakby goniła go cała dywizja pancerna.

– Wrócił – powtórzył Wartanow, drapiąc się po szorstkiej białej brodzie. – Nie powiedziałbym, że jest w najlepszym humorze. Nigdy nie widziałem równie skacowanego chłopaka, a w swoim czasie widziałem ich wielu.

– Kiedy go zobaczysz, przekaż mu, żeby do mnie przyszedł. – Wiedziałam, dlaczego mój partner wyjechał, lecz nie było w tej sprawie nic do powiedzenia, więc tylko zawołałam do nowych rekrutów: „Powtórzyć!”, i zaczęłam myśleć o czekającym mnie wieczorem wypadzie na ziemię niczyją i o ewentualnym wzięciu Wartanowa na rekonesans, lecz jakiś ordynans zjawił się z wiadomością: miałam natychmiast stawić się w stanowisku dowodzenia pułku.

Myślałam, że zastanę tam Lonię, ale czekał na mnie major Matusiewicz i jakiś krzepki rumiany pułkownik przedstawiony jako dowódca 79 Brygady Strzelców Marynarki Wojennej. Zasalutowałam i pułkownik z zaciekawieniem zmierzył mnie wzrokiem.

– Podobno jesteście najlepszym strzelcem w dywizji, towarzyszek starsza sierżant Pawliczenko. Wasze zdjęcie wisi na tablicy honorowej.

To była dla mnie nowość. Mówił dalej.

– W naszym rejonie obronnym pojawił się niemiecki strzelec wyborowy. W ciągu ostatnich dwóch dni zabił pięciu naszych: trzech żołnierzy i dwóch oficerów, w tym dowódcę naszego drugiego batalionu. Wszyscy zginęli od strzału w głowę.

Poczułam mrowienie w całym ciele.

– Jego gniazdo?

Wzruszył ramionami.

– Domyślamy się, że zaszył się gdzieś w ruinach mostu nad Doliną Kamyszłowską.

Poczułam, że się uśmiecham. Lonia nigdy nie widział tego uśmiechu. Nie widział go nikt, może z wyjątkiem Kostii, ponieważ uśmiechałam się tak, tylko gdy zaczynałam odliczać do północy i przychodziła pora, by strzelać.

– Znam ten most.

Znałam go, ponieważ oznaczyłam go jako snajperski raj. Wąwóz pośrodku ziemi niczyjej porastały szuwary i zapuszczone sady jabłoniowe, dwa stoki wznosiły się nad strumieniem meandrującym przez środek. Stromy, pokryty sosnami południowy stok był pod kontrolą naszej dywizji, łagodniejszy stok północny zajęły jednostki niemieckiej 50 Brandenburskiej Dywizji Piechoty... a dwa wysokie boki wąwozu kiedyś łączył teraz zbombardowany most kolejowy. Po obu stronach przetrwało parę przęseł, w środkowej części ustępowały miejsca powietrzu i betonowym palom zwieńczonym pajęczą siecią poplątanego, powykęcane metalu z widokiem na jar.

– Na pewno znalazł miejsce na którymś z ocalałych przęseł i schował się wśród szczątków metalu. – Na stole leżała mapa. Postukałam palcem w to miejsce. – Sześćset, osiemset metrów... doskonałe miejsce, żeby oddać strzał. Jeśli się tam ukrył, mógł strzelać bez pośpiechu.

– Możecie temu zaradzić?

Podniosłam głowę, wciąż się uśmiechając.

– Tak.



– Niemieccy snajperzy. – Głos Loni brzmiał rzeczowo. – Nie dziwię się, że zaczynają się pojawiać.

– Dlaczego? – Walcząc, byłam tak skupiona na swoich zadaniach, że widziałam niewiele poza tym, co pojawiało się na moim celowniku, a w najlepszym razie poza tym, co bezpośrednio dotyczyło mojej kompanii, mojego pułku, mojej dywizji. Wojna Loni, widziana ze stanowiska dowodzenia kompanii, oferowała szerszą perspektywę.

– Podczas pierwszego ataku na Sewastopol hitlerowcy myśleli, że przedrą się prosto przez nasze linie obrony. – Lonia odsunął resztki naszej kolacji, przyniesionej przez ordynansa z kuchni polowej, i rozwinął mapę. – Podczas drugiego ataku uświadomili sobie, jak dobrze się okopaliśmy, i musieli zrewidować swoje podejście. Stworzyliśmy tu pierwszorzędną fortecę, zaczęli więc sprowadzać specjalistów, by nadszarpnąć nasze

morale. W stanowisku dowodzenia chodzą słuchy o niemieckich snajperach przysyłanych z Polski, a nawet z Francji.

– Jak myślisz, kim on jest? – Za moimi plecami zabrzmiał głos Kostii. Odwróciłam się i zobaczyłam swojego partnera opierającego się o framugę niczym mroczny cień. Czarne oczy miał trochę zapadnięte, ale spokojne. – Chodzi mi o tego niemieckiego snajpera.

– Nieważne, kim on jest. – Wzruszyłam ramionami. Być może Alzaczykiem o lodowatym spojrzeniu, który który w dzieciństwie polował na dziki w rodzinnej posiadłości, jakimś fanatycznym płowowłosym żołnierzem Reichu, który wzorowo przeszedł specjalne szkolenie, by móc zająć miejsce na tym zniszczonym moście i nas wystrzelać. Jakie to miało znaczenie? – Już jest mój.

– Nie pójdziesz tam sama – zaprotestował Lonia.

– Nie. – Spojrzałam na swojego partnera. – Kostia, kogo radzisz mi zabrać: Fiodora czy Wartanowa?

Było to pytanie podyktowane ostrożnością i oczekiwałam szczerzej odpowiedzi. Gdyby Kostia czuł się teraz przy mnie niezręcznie, gdyby zaraz po wyruszeniu na łowy nie mógł stać się moją drugą połową, nic dobrego by z tego nie wynikło. Jeśli tak było, musiałam usłyszeć wyraźne nie, a co więcej, musiałam je usłyszeć teraz, zanim któreś z nas zapłaciłoby za to życiem.

Kostia zajął trzecie miejsce przy stoliku i spojrzał na mapę.

– Wyśledzimy go jutro. Poczęstujemy go starym rosyjskim zestawem...

– Przebiegłość, upór, cierpliwość – dokończyłam chórem razem ze swoim partnerem. Nie zdołałam powstrzymać uśmiechu, który wypłynął mi na twarz. Lonia z nieco krzywym uśmiechem przesunął po stoliku kieliszek wódki. Kostia wypił ją gładko i ponownie pochylił się nad mapą, zwracając moją uwagę na miejsce niedaleko północnego krańca mostu. Obydwoje oparliśmy łokcie na stoliku, zbliżyliśmy głowy i ułożyliśmy plan, podczas gdy Lonia siedział z boku i obserwował nas przy pracy, wtrącając niekiedy jakąś uwagę. A gdy nastąpiła godzina przed świtem i przyjechał samochód mający zawieźć mnie i Kostię do stanowiska dowodzenia 79 Brygady Strzelców Marynarki Wojennej, Lonia załadował do niego nasze torby i karabiny, zapiął na mnie płaszcz i beształ Kostię za to, że nie zabrał

uszatki, dopóki Kostia nie trzepnął go ręką i nie zaczęli boksować się na niby w ziemiance.

– Przestańcie – skarciłam ich, pacnąwszy obu dłońią, i Lonia się uspokoił, a potem spowaźniał i złapał Kostię za ramię.

– Uważaj tam na nią – powiedział mój kochanek. – Zrób to dla mnie.

– Jasne – powiedział mój partner i na chwilę zapadła cisza, którą przerwałam kasznięciem.

– Tylko bez rozwlekłych pożegnań – powiedziałam dziarsko. – Zasmucają serce w czasie wojny! – Wyszliśmy na zewnątrz. Gdy jednak samochód już nas wiozł, doznałam najdziwniejszego uczucia w swoim życiu: nowego dla mnie doznania, że zostawiam za sobą kogoś, kto będzie się o mnie zamartwiał przez całą noc. Wyruszałam do walki, podczas gdy kochający mnie mężczyzna stał z rękami w kieszeniach i ze strachem o moje życie tłącym się w oczach patrzył, jak odjeżdżam.

A potem zupełnie zapomniałam o Loni, ponieważ właśnie tak należało zrobić.



Razem z Kostią wpatrywaliśmy się w most przez bite trzy godziny, zanim którekolwiek z nas się odezwało.

– Trudna sprawa – powiedział w końcu.

– Akurat kiedy się przyzwyczaiłam do strzelania wśród drzew – odrzekłam, myśląc o szlakach w krymskim lesie, po których Wartanow nauczył mnie poruszać się jak cień. Tu jednak zetknęliśmy się z czymś nowym: z przęsłami zrujnowanego mostu zwieńczonymi zwęglonym drewnem, połamanymi podkładami, powykręcanyimi torami kolejowymi wycelowanymi w pobielale niebo niczym włócznie. Mój partner i ja leżeliśmy na brzuchach na zaśnieżonej ziemi po drugiej stronie jaru, w kamuflażach naciągniętych na głowy, i mrużąc oczy jak jastrzębie, patrzyliśmy przez lornetki.

– Jest tam – powiedział Kostia.

– Nie teraz.

– Teraz nie, ale oddał swój strzał i wróci po zmroku. Ale strzela z gniazda tam na górze.

– Leniuch. – Przesunęłam lornetkę wzdłuż plątaniny powykęcanych metalowych dźwigarów. – Strzela z tej pozycji drugi dzień z rzędu. Ja drugiego dnia poszukałabym innego stanowiska. – Dobry snajper nie miewa przyzwyczajień. Przyzwyczajenia gwarantują śmierć.

– Niemcy lubią schematy. – Lornetka Kostii przesuwiała się wzdłuż mostu. – Dwa razy mu się udało. Pewnie uzna, że znów się uda.

– Moim zdaniem jego gniazdo jest tam... – pokazałam palcem.

– ...albo tam – wskazał inne miejsce.

– Zgoda. Albo tu, albo tu.

Wycofywaliśmy się, podpierając się łokciami, ostrożnie, dopóki nie znaleźliśmy się za swoimi liniami. Usiadłam, rozprostowałam szyję i wyprężyłam plecy, by rozciągnąć mięśnie obolałe po długiej obserwacji. Kostia wyjął nasze nocne racje: po przylepce żytniego chleba na głowę, z dwoma plasterkami różowawej słoniny posypanej solą i zmielonym czarnym pieprzem. Przeżuwaliliśmy, wciąż patrząc w stronę mostu.

– Do okopów? – spytał w końcu Kostia, połykając resztę chleba.

– Do okopów – potwierdziłam. – I wiesz, kogo jeszcze będziemy potrzebowali.

Kostia spojrzał na mnie i szeroko się uśmiechnął. Jego zęby były nagłym błyskiem bieli pod półksiężycem.

– Iwana?

– Iwana.

Pułkownik 79 dywizji miał wątpliwości, ale ostatecznie zgodził się nam pożyczyć saperów. To ci mężczyźni, schowani w mroźnym gąszczu krzewów jałowca i leszczyny, wykopali po zmroku okop w pierwszych godzinach po zmierzchu, gdy ustał dzienny ostrzał, lecz przed powrotem niemieckiego snajpera do gniazda po północy.

– Jest już wystarczająco głęboki – narzekał jeden z nich, pocierając pęcherze na dłoni powstałe wskutek kopania w zamarznętej ziemi.

– Ma mieć osiemdziesiąt centymetrów głębokości i dziesięć długości. – Pomachałam kartkami. – Wszystko wyliczyłam.

– Zaraz ci pokażę, co możesz sobie zrobić ze swoimi wyliczeniami – mruknął ten mężczyzna.

– Mam już na koncie dwieście dwadzieścia sześć trafień – odparłam. – Jeśli chcesz zostać dwieście dwudziestym siódmym, gadaj dalej.

Gdy okop był gotowy, rozłożyliśmy na nim z Kostią metalową ramę i płócienną zasłonę, a potem przez osiem bitych godzin kamuflowaliśmy je gałęziami, krzakami i naręczami śniegu. Poza tym popracowaliśmy nad kolejną małą snajperską sztuczką, którą od dawna nazywaliśmy Iwan.

– Nie może się pochwalić ciekawą osobowością – stwierdziłam, odsuwając się, by ocenić efekt naszych działań.

– Nie krytykuj Iwana – powiedział Kostia. – To mój towarzysz broni.

– A skoro o tym mowa... – Uniosłam karabin, który mój partner przystosował do moich rąk, oczu i przyzwyczajzeń, gdy leżałam w szpitalu. – Nie miałam jeszcze okazji ci za niego podziękować. Jest doskonały.

– Załatwmy nim dwieście dwudziestego siódmego – powiedział z uśmiechem, który wrócił w kąciki jego oczu. Potem wczółgaliśmy się do swojego gniazda.

Najlepsza pora dla snajpera zaczyna się półtorej godziny po północy. Właśnie wtedy strzelec zazwyczaj zajmuje pozycję, a mój partner i ja byliśmy całkowicie ukryci w swoim okopie i leżeliśmy, czekając, aż niemiecki snajper pojawi się na moście i ruszy w stronę swojego gniazda. Noc jednak minęła, przed naszymi lornetkami wstał nowy dzień i w końcu spojrzeliśmy na siebie.

– Wracamy? – spytał Kostia, ponieważ teraz, w świetle dnia, Niemiec na pewno nie przyszedłby do swojego gniazda.

Wyobraziłam sobie ziemiankę Loni, piecyk, menażkę z gorącymi ziemniakami i gulaszem, którą postawiłby dla mnie na ogniu, gdy zdejmowałabym mundur. Kompres, który by przygotował na wciąż jeszcze niezagojoną ranę na moich plecach.

Pokręciłam głową, spoglądając na most za jarem.

- Zostaję, dopóki go nie odstrzelimy.
- Będę obserwował przez cały ranek. Prześpij się.

Wahałam się, czy przytulić się do Kostii tak jak kiedyś, lecz mój zimowy mundur – gruba bielizna, tunika, watowane spodnie i kamizelka, płaszcz, biały kamuflaż – zapewniał niewiele ciepła i jedynie chronił przed zamrożeniem na śmierć. Przytuliłam się zatem do pleców Kostii i spałam, dopóki mnie nie obudził, byśmy zamienili się miejscami. Robiliśmy tak przez cały dzień, dopóki znowu nie zaszło słońce i nie wzeszedł kurczący się księżyc, a my obydwój nie sięgnęliśmy znów po lornetki. No, pokaż się, szwabski draniu.

Następna długa, pusta noc. Następny poranek wypełniony spaniem i czuwaniem na zmianę, uprzejme odwracanie wzroku, gdy to drugie sikało do pustej puszeki. Lonia już pewnie wydeptał całą podłogę w ziemiance, krążąc po niej nerwowo, ja jednak nie mogłam zakończyć tej obserwacji – jeszcze nie.

- A jeśli on nie żyje? – spytałam, gdy do jaru wtoczyła się kolejna północ.
- Jeśli nasi wykończyli go gdzieś w lesie, kiedy wycofywał się stąd po ostatnim wypadzie?

Kostia podał mi szczyptę suchej herbaty i grudkę cukru owiniętą w sreberko. Jeśli żuło się cukier razem z herbatą, łatwiej było nie zasnąć podczas długich obserwacji, a dodatkowo nie wlewało się do brzucha herbaty, którą potem trzeba by było wysikać do puszeki.

- Bardzo chcesz go dopaść – zauważył mój partner. – Bardziej niż zwykły cel.

– Tak. – Przez jakieś pół godziny zastanawiałam się, dlaczego tak jest. Potrafiliśmy z Kostią prowadzić czterozdaniowe rozmowy ciągnące się dziesięć godzin. W gnieździe snajperów nie trzeba było się spieszyć. – Nie mam żadnych niedorzecznych przekonań o tym, że to, co robią snajperzy, jest nie fair – powiedziałam w końcu. – Hitlerowcy napadli na nasz kraj, a potem zaczęli nas zabijać. Powstrzymujemy ich wszelkimi możliwymi sposobami. Zdobyli nad nami przewagę w bardzo wielu dziedzinach. Dlatego nie mam cierpliwości dla nikogo, kto mówi, że strzelanie do nich z ukrycia może być nie fair.

– Nikt tak nie mówi – zauważył Kostia i miał rację. Wystarczyło kilka tygodni w chaosie i okrucieństwie frontu, by nawet najbardziej zagorzałego miłośnika fair play zmienić w żołnierza gotowego zrobić wszystko, by pokonać swastykę. W czasie brutalnej inwazji nie było miejsca na zastanawianie się nad tym, na czym polega fair play. To był akademicki spór na czas pokoju. W głębi serca byłam jednak studentką i w tak długie, puste noce jak ta kwestie teoretyczne wciąż czasami przepływały mi przez głowę.

– Snajper przeciwko snajperowi... – Zamilkłam i znów przez pół godziny rozmyślałam w ciszy. Kostia czekał, żując herbatę. – Na tej paskudnej wojnie nie ma chyba nic bardziej zbliżonego do prawdziwie uczciwej walki. Cokolwiek to znaczy – dokończyłam wreszcie.

– Jest dwa na jednego – zauważył Kostia.

– Świetnie, obal moją teorię. I tak jest kiepska. – Nie miałam nic przeciwko temu. Patrząc na most, na którym miałam nadzieję schwycić wroga w pułapkę, pragnęłam jedynie wygrać ten pojedynek.

Księżyc wspinał się po niebie. Herbata się skończyła. Skończył się chleb. Głód rozdzierał mi brzuch stalowymi szponami, lecz mimowolnie odpłynęłam w sen i opadła mi głowa, gdy siedziałam w kucki, zaparłszy się ramieniem o ścianę okopu – i właśnie wtedy Kostia dotknął mojej ręki. Obudziłam się gwałtownie, a on wskazał most.

Patrzcie. Zaczyna się pojedynek.

Pierwsze mroźne światło nadchodzącego styczniowego poranka właśnie wpełza na most, ledwie wystarczając, byśmy zauważyli w ciemności postać mężczyzny idącego przez żelazną płataninę dźwigarów. Jest spóźniony, spieszy się, lecz mimo to trzyma się blisko ziemi – znika prawie tak szybko, jak się pojawił. Za szybko, żebym mogła oddać strzał.

Wymieniamy z Kostią spojrzenia. On kiwa do mnie kciukiem, ja potakuję. Mój partner zaczyna pełznąć na brzuchu z powrotem wzdłuż okopu ku linii frontu, a ja obserwuję most przez celownik. Za wąwozem niemiecki snajper mości się zapewne w swoim gnieździe poza zasięgiem mojego wzroku, ustawiając karabin, odnajdując znajome punkty, by wymierzyć dzisiejsze śmiertelne strzały. Moja kula powinna go osiągnąć z dołu.

Mija pół godziny, gdy dzień rozjaśnia się w zupełnej ciszy. Tego ranka nie słyszczyć terkotania moździerzy, ponieważ działa po obu stronach przeczyszczają sobie gardła. Żadne myśliwce ani bombowce nie wzlatają ku niebu. Wojna wycofała się z pola widzenia niczym łabędź, który zwinął skrzydła. Jest tylko wąż i snajper po każdej jego stronie. Przykładam dwa palce do ust i wydaję z siebie niskie, wibrujące ptasie wołanie, którego nauczył mnie Wartanow. Po chwili słyszę, jak Kostia odpowiada mi gwizdem.

Nawet na chwilę nie odrywam wzroku od mostu, ale mój umysł widzi jasno i wyraźnie każdy ruch mojego partnera. Kostia przesuwając Iwana na pozycję – Iwan to kukła, którą zrobiliśmy z wypchanego torsu na kij, ubrana w zimowy płaszcz i kapitański hełm. Z drugiej strony mostu powinien wyglądać jak radziecki oficer, który na chwilę porzucił pozycję i wybrał się nad jar, by rozprostować nogi.

– Stary numer – powiedział Kostia, gdy wciskaliśmy Iwana w zapasowy mundur.

– Dobry numer – odparłam.

Strzał z drugiej strony mostu jest stłumiony, przypomina bicie pękniętego dzwonu. Widzę mignięcie światła w gąszczu roztrzaskanych żelaznych dźwigarów i mój celownik przesuwając się ku temu miejscu. Mam cię, myślę, gdy Kostia pozwala, by wypchany Iwan osunął się na ziemię. Mam cię, ty nazistowski draniu. Niemiecki snajper siedzi na prawej pięcie, opierając karabin w zagłębieniu wygiętej gałęzi. Jest prawie całkiem zasłonięty metalowym dźwigarem. Widzę przez celownik, jak pociąga za zamek karabinu, chowa do kieszeni pusty magazynek... i podnosi głowę, by wyjrzeć z gniazda.

Północ, myślę.

I strzelam.



– Więc był sławny?

– Bardzo sławny. Helmut Bommel, odznaczony Krzyżem Żelaznym. Sto dwudziesty pierwszy Pułk Piechoty, pięćdziesiąta Brandenburska Dywizja

Piechoty, oberfeldfebel... – Wydaję z siebie jęk, gdy dłonie Loni zaczynają masować moje obolałe stopy. Zaraz po tym, jak postawił mnie na ziemi, wyjąwszy mnie ze służbowego samochodu i wyściskawszy do utraty tchu, zaniósł mnie do swojej ziemianki, rozebrał do podkoszulki, owinął kocem i usadowił obok rozgrzanego piecyka, przysiadając na taborecie, by położyć sobie na kolanach moje stopy.

– Przestań się wiercić, miłaja, twoje stopy są zimne jak lód. Jak ci się udało poznać jego nazwisko i stopień? – Masował moje mrowiące palce u nóg.

– Dzięki jego książeczce wojskowej. – Ciało snajpera runęło z mostu do jaru jak spadająca gwiazda. Kostia mnie osłaniał, a ja ześlizgnęłam się do zarośniętego krzakami wąwozu, by poszukać przy zwłokach przydatnych informacji wywiadowczych. – Podobno walczył w Polsce, Belgii i Francji, a potem służył jako instruktor w Berlinie. Miał na koncie dwieście piętnaście trafień – powiedziałam, myśląc o zaróżowionych policzkach i nakrapianej zimnem twarzy tego martwego mężczyzny leżącego wśród pobielających od szronu szuwarów.

– Dlaczego tak się krzywisz? – Dłonie Loni przesunęły się w stronę moich spiętych i obolałych łydek.

– Nie lubię patrzeć potem na ich twarze – wyznałam.

– Więc jednak Pani Śmierć jest człowiekiem. – Uśmiechnął się. – Bez obaw, nie powiem tym na górze.

Prychnęłam.

– Pułkownik siedemdziesiątej dziewiątej założył, że to Kostia oddał strzał. Spojrzał nad moją głową i spytał go, jak to zrobił.

– Odwróć się, pozwól mi się zająć ramionami...

Odwróciłam się i znowu jęknęłam, gdy silne kciuki Loni zaczęły drążyć okręgi obok mojego karku, starannie omijając ranę od szrapnela.

– Gwarantuję ci, że nigdy nie widziałeś faceta bardziej zakłopotanego niż ten pułkownik w chwili, kiedy Kostia wskazał mnie kciukiem. Nie mógł się nadziwić i pytał: „Jak to możliwe, że ten hitlerowiec miał dwa odznaczenia, a wy nie macie żadnego, towarzyszko starsza sierżant Pawliczenko?”. I wtedy to Dromin zaczął wyglądać na zakłopotanego. Aua!

– Spędziłaś dwa dni w gnieździe snajperskim, gdzie żułaś suchą herbatę przy minus trzydziestu stopniach Celsjusza, a teraz grymasisz podczas masażu pleców? – Lonia odcisnął pocałunek między moimi łopatkami, pozwalając, by jego usta pozostały tam przez dłuższą chwilę. – Przeraźliwie się o ciebie bałem, miłaja – powiedział cicho. – Wolałbym walczyć z setką hitlerowców uzbrojonych w bagnety, niż krążyć po tej ziemiance, zastanawiając się, czy jakiś cholerny snajper z egzemplarzem Mein Kampf przy sercu nie wpisze cię na swoją listę jako dwieście szesnaste trafienie.

Poczułam, jak moje ramiona się napinają.

– Lonia... Nie zrezygnuję z tego, jeśli o to ci...

– Nie. O to nie proszę. – Odwrócił mnie, żebyśmy mogli spojrzeć sobie w oczy. Zdążyłam już bardzo dobrze poznać jego twarz: szeroką, z wysokimi kośćmi policzkowymi, niebieskimi oczami i lekko przekrzywionymi ustami. Tym razem się nie uśmiechał. – Po prostu... bądź ostrożna.

– Nie mogę być ostrożna – odpowiedziałam szczerze. – Przez ostrożność się pudłuje. Można być albo ostrożnym, albo dobrym, a ja jestem bardzo dobra.

– Jesteś dobra, moja ty mała zabójczyni. – Przytulił mnie do piersi, rozcierając moje ramiona, wciąż mrowiące od przenikliwego zimna po dwóch dniach spędzonych w okopie. – Świat niedługo się o tym dowie.

– Co masz na myśli?

– Myślę, że Dromin nie będzie mógł dłużej udawać, że nie zauważa twoich osiągnięć. Niebawem – Lonia pocałował mnie w czubek nosa – staniesz się sławna.

18

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Generał Pietrow pogratulował mi snajperskiego pojedynku oraz wyraził nadzieję, że nie spocznę na laurach i dalej będę miażdżyła wrogów naszej socjalistycznej ojczyzny. Poza tym

poinformował mnie, że relacja o pojedynku snajperów będzie rozpowszechniana w całym rejonie obrony Sewastopola, a ja będę na zdjęciu w jakichś ulotkach dla wojska. Zgodziłam się z przyjemnością, by inspirować naszych dzielnych żołnierzy Związku Radzieckiego.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Ulotki dla wojska? Na Lenina!

Nie wiem, jak ktokolwiek może marzyć o sławie. Sława doprowadza do szału. Najpierw były odwiedziny starszego oficera politycznego, a potem hordy dziennikarzy. Każda kolejna wizyta bardziej denerwująca od poprzedniej.

Wesoły fotograf pracujący dla gazety armii wybrzeża „Za Ojczyznę”:

– Jesteście bardzo fotogeniczna, towarzyszek starsza sierżant. Spróbujcie się uśmiechnąć...

Korespondent „Światła Komuny”:

– Najbardziej przydałyby się szczegóły pojedynku... Jesteście pewna, że właśnie tak to wyglądało? Nie było to trochę bardziej dramatyczne? Postarajcie się zrobić przyjaźniejszą minę do aparatu...

Dziennikarz przysłany przez „Czerwony Krym”:

– Może by tak uśmiech do partnera? Na pewno pomógł wam oddać ten decydujący strzał!

Fotograf wojenny towarzysz Władisław Mikosza:

– Szukam odpowiedniego kąta. Jakoś tego nie widzę. Posłuchajcie, może wejdziecie na tę jabłoń, jakbyście polowały ze strzelbą? Szeroki uśmiech...

– Nie – warknęłam, gdy w końcu puściły mi nerwy. – Nie mam zamiaru wchodzić na żadną jabłoń, a to nie jest strzelba, tylko karabin.

Mój kochanek i mój partner w ogóle mi nie pomagali. Lonia tak się śmiał, że ledwie stał na nogach. Kostia musiał go podtrzymywać i jemu też śmiały się oczy. Rzuciłam im obu mordercze spojrzenie, gdy fotograf gmerał przy swoim aparacie.

– Posłuchajcie – zaczęłam, próbując to wytłumaczyć cywilowi. – w Sewastopolu nie strzelam z drzew, więc takie zdjęcie byłoby mylące. Poza tym nie mogę odpowiadać na pytania dotyczące umiejętności

strzeleckich, technik kamuflażu ani swoich metod łowieckich. Wszystko, co wydrukowałyby gazety, trafiłoby w ręce wroga.

Bez troski machnął ręką.

– Nie potrzebujemy szczegółów technicznych, towarzyszko starsza sierżant, potrzebujemy emocji! Opowiedzcie nam o chłodnym szarym oku faszystowskiego najeźdźcy, gdy wasze spojrzenia skrzyżowały się w celownikach...

– Spojrzenia nie krzyżują się w celownikach. To nie jest tak.

– ...opowiedzcie mi, jak drżeliście z nienawiści do najeźdźcy Helmuta Bommla, zanim zapanowaliście nad gniewem i pociągnęliście za spust...

– Nie czuję gniewu, kiedy pociągam za spust. To by mnie tylko rozpraszało. Zajmuje się pozycję ze spokojem w sercu i pewnością, że jest się po słusznej stronie. Gwarantuję wam, że Helmut Bommel czuł to samo.
– Spojrzałam błagalnie na Lonię, lecz on tylko stał i trząsał się ze śmiechu.

– Posłuchajcie, Ludmiło Michajłowna – powiedział w końcu fotograf. Wydawał się rozbawiony. – Nie obchodzi mnie, co czuliście, pociągając za spust. Ludzie potrzebują teraz bohaterów i to właśnie was wybrano do tej roli, więc powiedzcie kilka ładnych słów o tym, jak was inspirowała odwaga towarzyszy broni i przywódców partii, a potem weźcie karabin i wleźcie na tę przeklętą jabłoń. Z uśmiechem.

Ugryzłam się w język. Cały ten cyrk był niedorzeczny, ale w kwestii zapotrzebowania na bohaterów miał rację. Nie uważałam się za bohaterkę, lecz być może Sławka przeczytałby te doniesienia i byłby dumny z matki, która nie widziała go od ponad roku. Dlatego wspięłam się na to przeklęte drzewo, zapolowałam z karabinem i odsłoniłam zęby, prezentując coś, co przy odrobinie wyrozumiałości można by nazwać uśmiechem.

Przynajmniej gdy to wszystko się skończy, pomyślałam, nie zwracając uwagi na stłumione rechotanie Kostii i Loni, kiedy próbowałam zgadnąć, co właściwie znaczy: „Pokażcie bohaterski błysk w oku!”, wszyscy sobie pójda i zostawią mnie w spokoju.

– Błąd, miłaja – powiedział Lonia, gdy zaczęto publikować te materiały. – Obawiam się, że to dopiero początek.

– Wszystko poprzekrećali. – O mało się nie popłakałam, krążąc po ziemiance i czytając jeden z wycinków z gazety. – Posłuchaj tego: „W bladym świetle poranka Ludmiła zauważyła swojego wroga za korzeniem drzewa...”. Przenieśli wszystko do lasu. Najwyraźniej most był niedostatecznie dramatyczny. „...Nagle na jej celowniku pojawiły się zmrużone oczy, płowe włosy i kwadratowa żuchwa hitlerowskiego snajpera...”. On wcale tak nie wyglądał, a poza tym nigdy nie próbowałam go opisywać! „W jednej chwili przesądziły się losy życia: nasza snajperka wyprzedziła jego strzał o zaledwie sekundę. Z zabranych nazistowskiemu snajperowi notatników dowiedziała się, że z jego faszystowskich rąk zginęło ponad czterystu Francuzów i Anglików”. Ich było dwustu piętnastu, a nie...

– Według „Światła Komuny” miał na koncie sześciuset samych tylko żołnierzy radzieckich – poinformował mnie Lonia, czytając.

– Kto w to uwierzy? – Wepchnęłam wycinek do piecyka. – Żaden niemiecki snajper nie miałby szans uzbierać tylu trafień od początku wojny. Snajperzy wkraczają do gry podczas walk w okopach i długotrwałego oblężenia. Hitlerowcy są tu dopiero pół roku i prą naprzód w czołgach i samolotach, zamiast siedzieć w okopach z celownikami optycznymi. Walka pozycyjna...

– Uwielbiam, jak zaczynasz wtrącać na marginesie uwagi na temat walki pozycyjnej. – Lonia odrzucił wycinki i posadził mnie sobie na kolanach. – Potrafisz oddzielić snajperkę od studentki, ale nie potrafisz oddzielić studentki od snajperki.

– To wszystko kompletne bzdury – jęknęłam, uderzając głową w jego ramię.

– Ci ludzie to propagandziści, miłaja. Bzdury to dla nich chleb powszedni. Postanowili zrobić z ciebie bohaterkę...

Udałam, że wymiotuję.

– ...a mnie bardzo się podoba pomysł zostania mężem bohaterki. Ty będziesz zdobywała sławę, ja będę się pławił w jej blasku. Już mnie pytano, jak to jest mieszkać ze snajperką...

Jęknęłam, lecz poczułam, że na moją twarz wypełza uśmiech.

– Co odpowiedziałeś?

– Mówiłem same pochlebne rzeczy. Że jesteś śmiertelnie niebezpieczna na polu walki, ale zupełnie nieprzydatna w kuchni, a czego mężczyzna mógłby chcieć więcej od żony?

– Nawet nie wiesz, czy umiem gotować...

– Jestem pewny, że masz gdzieś pudełko z przepisami i wszystkie są opatrzone pięknymi uwagami na marginesie. Oraz poplamione krwią – dodał Lonia, a gdy wybuchnąłem śmiechem, podniósł mnie i zarzucił sobie na ramię. – Kiedy będziemy mogli się pobrać? – spytał, rzucając mnie na swoje łóżko polowe.

– Później. – Pociągnęłam go na siebie i wzięłam jego twarz w dłonie, szykując się do długiego pocałunku. – Chodź do mnie...

– Dlaczego później? – spytał, gdy było już po wszystkim i obydwójce wciąż dyszeliśmy, mokrzy od potu i nadal ze sobą spleceni. – Dlaczego nie sfinalizujesz rozwodu z Aleksiejem i nie wyjdiesz za mnie, Milu?

Moja dłoń, wciąż zanurzona w jego włosach, przesuwiała się powoli tam i z powrotem od miękkich pasemek na ciemieniu do krótkiego aksamitnego meszku na karku.

– Kocham cię, Lonia... ale czy jesteś pewny, że właśnie tego chcesz? To tak szybko...

– Minął miesiąc, odkąd ze mną jesteś. A miesiąc na froncie to jak rok w czasie pokoju. – Spojrzał na mnie przenikliwie. – Myślę, że się ociągasz, bo nie chcesz pójść do Aleksieja w sprawie rozwodu.

Ociągałam się i byłam na siebie zła. Wiedziałam, po prostu wiedziałam, że Aleksiej będzie robił problemy, gdy mu oznajmię, że chcę rozwodu, by móc poślubić innego, a zapraszanie do życia choćby odrobiny więcej problemów, gdy już i tak żyliśmy z Lonią w strefie wojennej, wydawało się igraniem z losem.

– Po co ten pośpiech? – spytałam, unikając tematu. – Czy małżeństwo da nam coś, czego teraz nie mamy? – Wskazałam mały świat ziemianki: piecyk, który ogrzewał nasze wieczory, stół, przy którym jedliśmy kolację, łóżko polowe, na którym chroniliśmy się przed zimnem.

– Gdybyśmy byli małżeństwem, po mojej śmierci dostałabyś po mnie rentę – zauważył Lonia. – No, Pani Śmierć, wyjdź za mnie dla pieniędzy.

– Może to tobie chodzi o pieniądze – droczyłam się z nim. – O niesamowicie luksusową rentę po starszej sierżant, w razie gdybym wyciągnęła kopyta na froncie.

– Chciałbym mieć pewność, że po tym wszystkim będziesz zabezpieczona. – Jego usta wykrzywiły się w charakterystycznym uśmiechu. – Po wojnach nastają chude i głodne czasy. Jestem od ciebie starszy o jedenaście lat. Chyba trochę lepiej pamiętam głód po poprzedniej wojnie.

– Tym się nie przejmuj. – Przesunęłam palcem po zewnętrznej krawędzi jego brwi. – Ja nigdy nie głoduję. Mój ojciec ma znajomości. Zna ludzi, którzy sami nigdy nie umierają z głodu, ale potrafią dopilnować, by spotkało to ich wrogów.

– W takim razie wyjdź za mnie, żeby twój ojciec nie oskarżył mnie o wykorzystanie córki i nie postanowił podjąć stosownych kroków. – Lonia z uśmiechem przewrócił się na plecy, wciąż obejmując mnie w talii. – Zrób ze mnie uczciwego mężczyznę, zanim mnie znajdą dryfującego w rzece.

– Jeśli jakiś mężczyzna kiedykolwiek będzie miał dryfować w rzece z mojego powodu, to sama go w niej utopię! – Wtuliłam twarz w ramię Loni. – Ale przypuszczam, że tata byłby zadowolony, gdybyś poprosił go o zgodę.

– Proponuję ci układ. Ja napiszę do twojego ojca, jeśli ty pójdziesz do Aleksieja.

Wzięłam głęboki oddech. Tak, mogłam to zrobić. Na tej wojnie spotykały mnie większe przeciwności losu niż Aleksiej, więc moje ociąganie się było niewybaczalne.

– Chciałabym najpierw napisać do Sławki, żeby mógł się przyzwyczaić do tej zmiany. Jeszcze go nie znasz, a ja go uwzględniam w każdej decyzji, którą podejmuję.

– Może i go nie znam, ale jest twoim synem, więc jego też będę kochał. – Lonia uniósł brew. – Chyba nie myślisz, że odmówię wychowywania chłopca, którego nie spłodziłem?

Spotykałam już mężczyzn mających właśnie takie podejście. Aleksiej nie chciał nawet wychowywać chłopca, którego spłodził. Ale nie, nie wątpiłam, że Lonia jest inny.

– Aleksiej od nas odszedł – powiedziałam – i Sławce trudno było dorastać ze świadomością, że ojciec go nie chciał. Jeśli sprowadzę do jego życia kogoś innego i coś się nie uda, znowu zostanie zraniony. Dlatego musisz mieć pewność, Lonia. Masz ją?

Powoli splótł palce z moimi, jeden po drugim.

– Jestem pewny od chwili, w której cię poznałem, Milu. Dlaczego pytasz?

– Bo trwa wojna. Życie, jakie teraz wiemy, nie jest normalne. – Widywaliśmy się jedynie wieczorem przez kilka godzin: Lonia dawno spał, gdy o północy wkładałam buty, by wyruszyć na ziemię niczyją, a gdy przed południem wracałam z karabinem i ziewając, padałam na łóżko, jego już dawno nie było, ponieważ wypełniał swoje obowiązki jako porucznik. Tak naprawdę widywaliśmy się tylko po zmierzchu, gdy on wracał ze stanowiska dowodzenia i budził mnie słowami: „Kolacja gotowa, miłaja”. Po jedzeniu spędzaliśmy niekiedy kilka godzin w łóżku, ale wiedziałam, że gdy tego wieczoru on zaśnie, ja włożę mundur i wyruszę na łowy z Kostią.

– To nie jest prawdziwe życie... a jednak rozmawiamy o prowadzeniu razem prawdziwego życia. – Zmusiłam się do powiedzenia na głos tego, czego się obawiałam. – Co będzie, jeśli w zwyczajnym świecie odkryjemy, że do siebie nie pasujemy? Jak właściwie wygląda normalny świat?

– Powiem ci. – Wciąż splatał swoje palce z moimi. – Znalazłbym pracę w Moskwie. Mam uprawnienia elektryka, tacy fachowcy jak ja zawsze znajdują pracę. Ty skończysz swoją rozprawę, zdobędziesz dyplom, zostaniesz historyczką albo bibliotekarką. Będziemy żyli w tym samym rytmie, chodzili do pracy codziennie o tej samej porze. Co rano sładziłbym ci herbatę dżemem, ty pakowałabyś dla nas drugie śniadanie, a gdybyśmy pracowali niedaleko siebie, spotykalibyśmy się w przerwie. Gdy Sławka wracałby ze szkoły, szedłbym z nim do parku Gorkiego, żeby pomachać kijami do hokeja. – Uśmiechnął się. – W naszym życiu zmieniłoby się tylko to, Ludmiło Michajłowna, że zamiast pytać: „Ilu nazistów dziś zabiłaś”, pytałbym: „Ile przypisów dziś dodałaś?”.

Usiadłam, naciągając koc na ramiona, by ukryć drżenie. Nie drżenie z zimna, lecz drżenie z tęsknoty. Widziałam to, czułam, prawie tego dotykałam: tego wspólnego mieszkania, tej herbaty posłodzonej dżemem,

tych drugich śniadań i zabaw w parku. Złotego, wspaniałego później po drugiej stronie naszego ponurego, zakrwawionego teraz.

O ile będzie jakieś później, szepnęło coś w mojej głowie. Ponieważ strach, który czasami wciąż chwycił mnie za gardło, jeszcze nie minął. Nie minęła pewność, że następna kula mnie zabije... że wszystkie opowieści Loni o przyszłości są bezcelowe, ponieważ jedyną przyszłością, jaka mnie czeka, jest trumna.

– Nawiasem mówiąc... – Lonia pocałował mnie w bok szyi. – Zadzwoń do starszego sierżanta sztabowego, żeby znalazł dla ciebie w magazynie pułku jakiś mundur galowy.

– Przez większość dni chodzę przebrana za krzak – powiedziałam. – Po co mi nowy mundur galowy?



– Pierwszy raz? – raczyła spytać towarzyszka starsza sierżant Oniłowa. – Chyba też się denerwowałam przed swoim pierwszym wystąpieniem publicznym. Od tej pory występowałam tyle razy, że już nawet nie pamiętam. – Poprawiła swój Order Czerwonego Sztandaru.

Chciałam powiedzieć, że byłam obecna przy tym, jak jej go przypinali, ale za bardzo się denerwowałam. Nerwy czy nie, dostałam wyraźne rozkazy: 2 lutego 1942 roku dowodząca plutonem starsza sierżant L.M. Pawliczenko opuści linię frontu i weźmie udział w konferencji działaczek na rzecz obrony Sewastopola, gdzie wygłosi trwające najwyżej piętnaście minut przemówienie na temat działań i pracy snajperów.

– Oficjalne przemówienie? – spytałam, mając duże wątpliwości. – Strzelam do ludzi z dużej odległości, robiąc wszystko, co w mojej mocy, żeby nikt mnie nie zobaczył, a oni chcą, żebym stanęła przed pełną salą i w mocnym świetle wygłosiła przemówienie? No, spróbuję, ale...

– Zamknij się, Mila, będziesz wspaniała – powiedział Lonia.

– Ci na górze w ogóle tego nie przemyśleli. A jeśli się skompromituję? Jak coś takiego podziała na morale działaczek na rzecz obrony Sewastopola?

– Ci na górze nigdy niczego nie przemyśleli, a ty się nie skompromitujesz. Zarabiasz na życie, strzelając w oczodoły niemieckim

snajperom odznaczonym Krzyżem Żelaznym. Nie mów mi, że boisz się małego przemówienia.

– Ani trochę – skłamałam. I oto siedziałam w samochodzie dowódcy pułku, ubrana pierwszy raz od ośmiu miesięcy w spódnicę od munduru i pończochy, i nerwowo powtarzałam w myślach przemówienie, które z każdą minutą wydawało mi się głupsze.

– Jesteście tą snajperką, prawda? – ciągnęła Oniłowa, przejawiając umiarkowane zainteresowanie. – Tylko mi nie mówcie, że przygotowaliście notatki. O rany, od wieków nie potrzebuję notatek. Nie czytajcie z kartki, to wygląda fatalnie. I nie garbcie się nad mównicą...

Przez całą drogę z linii frontu do Sewastopola terkotała dalej jak jej karabin maszynowy, a ja przygryzałam wargę i szczypałam pończochy, które się zsuwały, a do tego wywoływały swędzenie. Powinnam była chłonąć miejskie widoki, gdy samochód toczył się przez centrum Sewastopola – od dawna nie widziałam domów, iglic, czegokolwiek, co nie miało burego koloru i nie było zrobione z metalu oraz płótna – ale za bardzo się denerwowałam. Po krótkim oprowadzeniu po Domu Nauczyciela, w którym zorganizowano konferencję, nagle znalazłam się w sali pełnej kobiet. Kaemistkę Oniłową natychmiast porwał tłum zagorzałych wielbicielek, lecz ja tylko stałam, rozglądając się. Od miesiący nie widziałam tylu kobiet w jednym miejscu: niebieskie sukienki i różowe bluzki, długie warkocze kołyszące się nad kościstymi biodrami... oraz przypominające brudne plamy wśród tych wszystkich ozdób surowe wojskowe tuniki takich żołnerek jak ja. Bystrookich rysiów w tłumie łagodnych kotów domowych.

A może nie aż tak łagodnych?, pomyślałam, zauważając wojownicze miny mieszkanek Sewastopola, gdy zebrały się, żeby zająć miejsca. W końcu to one pozostały, by żyć w oblężonym mieście – wiedziały, jaką zapłacą cenę, jeśli miasto upadnie. Po monotonnych wystąpieniach jakichś grubych ryb przyszła pora na przemówienia kobiet. Jedna po drugiej zabierały głos, aż nagle poczułam się zafascynowana. Niektóre miały notatki, podobnie jak ja. Inne improwizowały, opowiadając swoje historie. Jakaś kobieta z żółtą chustką codziennie uczyła całą klasę dzieci w schronie przeciwlotniczym. Przysadzista puciołowata matrona przez dwanaście godzin dziennie produkowała granaty ręczne. Kobieta, która straciła lewą rękę w nalocie, została mimo to w mieście, by pracować –

oznajmiła, że codziennie wyrabia normę, ponieważ taką właśnie ma rolę do odegrania w ramach walki z wrogiem. Pusty lewy rękaw przypięła do sukienki jak ozdobę i nosiła go równie dumnie jak Oniłowa Order Czerwonego Sztandaru. A ja miałam stanąć po niej na mównicy i przedstawić suchą relację o wykańczaniu nazistów w krymskich lasach?

Gdy przyszła pora, by wstać i przemówić, miałam łzy w oczach. Zmiałam kartkę z planem przemówienia i usłyszałam swoje słowa.

– Trzeba czuć w kościach, że nie wolno spudłować. Ani na wojnie, ani w cywilu, bo inaczej będzie po nas.

Mówiłam od serca.

– Jak poszło? – spytał Lonia, gdy wróciłam.

– Okropnie – przyznałam. – Jąkałam się. Powtarzałam. Wiele razy nie mogłam znaleźć odpowiednich słów. Ale i tak nagrodziły mnie oklaskami i powiedziały, żebym zabiła po jednym hitlerowcu w imieniu każdej z nich, a ja im to obiecałam. Chyba więc spisałam się, jak należy. – Z ulgą zaczęłam zdejmować mundur galowy, nie mogąc się doczekać, kiedy znowu włożę ocieplane spodnie i kamuflaż.

– Masz najładniejsze nogi na froncie – podziwiał mnie Lonia, patrząc, jak ostrożnie zsuwam pończochy.

– Niczym nieuzasadnione założenie. Skąd możesz wiedzieć, że mam najlepsze nogi na froncie, skoro nie przeprowadziłeś szeroko zakrojonej analizy danych?

– Nie mam zamiaru analizować reszty danych. Nie interesuje mnie oglądanie Kostii ani starego Wartanowa w spódnicy. Naprawdę zamierzasz zabić po jednym Niemcu dla każdej z tych kobiet?

– Jeśli je zawiodę, dadzą mi popalić. – Wciągnęłam spodnie, zapinając pasek na biodrach. – Omal nie zażądały, żebym przyniosła im uszy w charakterze dowodów.

– Kobiety to krwiożercze istoty. Anglicy i Amerykanie są skończonymi głupcami, skoro myślą, że kobiety są zbyt delikatne, by je posyłać na front. – Lonia podał mi buty. – Masz więc za sobą pierwsze wystąpienie publiczne... Przełomowe wydarzenie.

– Pierwsze? – prychnęłam, zakładając grube skarpety. – Po moim dzisiejszym popisie już nikt nie będzie chciał mnie postawić przed tłumem ludzi.

Los naprawdę sobie ze mnie zakpił.

19

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: 4 marca 1942. Dzień, w którym...

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: ...

Wiosna! Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek przyjęła zmianę pór roku z większą radością. Poprzedni tydzień przyniósł nam burze z nisko zawieszonymi chmurami, tumany śniegu i szron trzeszczący pod nogami. Dziś śnieg już stopniał, świeciło słońce, temperatura poszybowała grubo powyżej zera. Na krymskich wyżynach można było zobaczyć pożółkłą trawę, nowe pędy jałowca, cyprysy i cedry wypuszczające jasnozielone przyrosty – znów mogłam zacząć zbierać próbki liści i kwiatów dla Sławki. Lustrowałam dolinę przez lornetkę i prawie się uśmiechałam.

– Wiosna oznacza, że wkrótce zacznie się kolejny atak – warknął Wartanow obok mojego łokcia. – Za długo siedzieli cicho.

– W takim razie zafundujmy im wstrząs. – Miałam ze sobą siedmiu ludzi z plutonu, ponieważ cała grupa nazistowskich snajperów ulokowała się na szczycie wzgórza, które na naszych mapach oznaczono po prostu jako Wzgórze Bez Nazwy. Mierzyli do pojazdów poruszających się po biegnącej w dole szutrowej drodze. Poprzedniego dnia zabili połowę obsługi czterdziestopięciomilimetrowego działa przeciwpancernego, a odpowiedź artylerii skłoniła ich jedynie do zmiany pozycji i dalszego likwidowania naszych. „Weźcie swoich chłopaków, Ludmiło Michajłowna”, rozkazano mi – zjawiłam się zatem z prawie całym plutonem.

– Nie spuszczaście oka z naszych krzaków – poleciłam.

Poprzedniego wieczoru w ziemiance Loni zebraliśmy się z Wartanowem i Kostią, by przygotować sześć przynęt, splatając ze sobą długie gałęzie

jałowca. „Wyglądamy jak panny młode przygotowujące girlandy – powiedział Lonia, zgłaszając się do pomocy – tyle że w kolorze khaki”. Kostia odparował, mówiąc mu, że jest najbrzydszą panną młodą, jaką kiedykolwiek widział, a ja stanęłam między nimi, zanim zdążyli zacząć się przepychać wśród krzaków.

– Jesteście nieznośni! – powiedziałam, gdy Lonia pocałował mnie w szyję, a Kostia rzucił we mnie gałązką jałowca.

O trzeciej w nocy Lonia uściskał mnie na pożegnanie na schodach ziemianki, a gdy wyszliśmy na powierzchnię, oficjalnie odpowiedział na mój salut. Zawsze tak było: po przekroczeniu progu ziemianki natychmiast przestawaliśmy być kochankami. Byliśmy towarzyszami broni, którzy oficjalnie się żegnali i życzyli sobie udanych łowów.

A teraz, po długiej nocy zastawiania pułapki, wypatrywałam niemieckich snajperów przez lornetkę i czekałam, aż połkną haczyk: nasze przynęty dla wroga, który zdążył już poznać każdy centymetr tego wzgórza i z pewnością zauważyłby sześć nowych krzaków wyrosłych na stoku w ciągu jednej nocy. I nie mogłam powstrzymać uśmiechu, gdy nastał nowy dzień i hitlerowcy zaczęli grzmieć z karabinów do splecionych gałęzi jałowca, które uznali za naszą kryjówkę.

– Tam... – Kostia wskazał jedno z ukrytych gniazd niemieckich snajperów, namierzywszy je z dołu. – I tam... i tam... – A gdy niemiecki ostrzał ucichł i nazistowscy snajperzy wystawili głowy, by oszacować zniszczenia, powitał ich grad rosyjskich kul.

– Powstań! – zawołałam, gdy wszystko znieruchomiało. – Naprzód!

Pokonaliśmy ostatnich sto metrów Wzgórza Bez Nazwy, mijając szczyt i schodząc do okopów wroga. Nie był to jedynie kompleks snajperskich nasypów, lecz umocniona sieć transzei i gniazd karabinów maszynowych, w których trzy karabiny maszynowe MG 34 z załadowanymi pasami z amunicją czekały skierowane w stronę drogi... Wartanow odpalił czerwoną flarę, która oznaczała, że zdobyliśmy cel. Odpowiedziano nam zieloną flarą, która rozkwitła po radzieckiej stronie ziemi niczyjej i oznaczała: „Dobra robota!”. Wkrótce na szutrowej drodze miało się zarość od naszych żołnierzy, lecz mój pluton patrzył na mnie, gotowy i wygłodniały.

– Czekamy – spytał Kostia – czy oczyszczamy teren?

Bez wątpienia było tam więcej hitlerowców, którzy zastawiliby na nas pułapkę, gdyby tylko dostrzegli choć cieni szansy.

Uśmiechnęłam się do partnera.

– Oczyszczamy.

Przedzieraliśmy się niczym metodycznie działające wilki, jeden okop po drugim. Wrzucaliśmy granaty do ziemianek, osłanialiśmy się przed wybuchem, a potem przechodziliśmy przez nie, strzelając raz po raz i czujnie osłaniając się nawzajem. Jakiś kapral uzbrojony w walthera rzucił się na mnie z przenikliwym okrzykiem. Szybko chwyciłam za pistolet, ale Kostia położył napastnika pchnięciem finką. Niemiecki kapitan poległ, pozbawiwszy Fiodora skrawka ucha oddanym na oślep strzałem. Gdy wreszcie oczyściliśmy podziemne kwatery, wznieśliśmy zwycięski okrzyk na widok przenośnego radia z aparatem nadawczo-odbiorczym i bateriami oraz anteną sterzącą nad zadaszaniem ziemianki.

– Dowódca grupy rekonesansowej będzie tańczył z radości – zarechotał Wartanow, odłączając radio przed transportem.

Sprawne radio należące do wroga było niezwykle cenną zdobyczą, a oprócz niego mieliśmy słuchawki, książki kodowe i dzienniki frontowe. Zaczęłam je sortować, żeby przydzielić swoim ludziom do niesienia, a krew pulsowała w moich żyłach: dalej, dalej.

– Milu! – wołanie Kostii dobiegło ze wschodniej strony ziemianki i podbiegłszy do niego, zobaczyłam co najmniej dwudziestoosobową grupę niemieckich kaemistów wspinających się mozolnie wąskim szlakiem wiodącym przez leszczynowe zarośla. Mój pluton zebrał się wokół mnie, osiem kolb uderzyło w ramiona, osiem luf opadło na nasyp. Wykrzyczałam wyniki obliczeń, które przeprowadziłam w głowie w pół sekundy, po czym zakończyłam słowami: „Chłopaki, strzelajcie z poprawką na kąt miejsca celu, nie spudłujcie”, i pierwsza pociągnęłam za spust, dając początek gradowi kul.

– Ilu trafiliście? – spytał młody kapitan, który kilka godzin później zmienił nas na tej pozycji.

– Trzydziestu pięciu – powiedziałam, a mój pluton zebrał się wokół mnie i wydał zwycięski okrzyk. Ucałowałam każdego ze swoich ludzi w oba policzki, jak brata, zbyt wzruszona, by cokolwiek dodać. Ociężałego

Fiodora i mojego milczącego Kostię – obaj byli już młodszymi sierżantami – starego Wartanowa i pozostałych mężczyzn, których wyszkoliłam, zmieniając ich z nieporadnych zielonych rekrutów w opanowanych, kompetentnych strzelców... Nie było wśród nich nikogo, kto nie umiałby się teraz poruszać niczym cień wśród krzaków albo drzew; nikogo, kto nie umiałby trwać w bezruchu w ciemności i zimnie przez sześć godzin bez przerwy, jeśli wymagało tego oddanie strzału.

– Niech Niemcy przeprowadzą to trzecie natarcie! – zawołałam, przekrzykując gwar, gdy moi rozwrzeszczani ludzie nieśli mnie na ramionach z powrotem do naszej dywizji. – Dajcie mojemu plutonowi dobrą pozycję i wystarczająco dużo amunicji, a zatrzymamy całą kampanię wschodnią!

– Na pewno cię za to odznaczą – powiedział mi wieczorem Lonia. – Ciebie i Kostię. Dromin zawodzi jak kot w beczce, ale nie może zatrzymać odznaczeń przyznanych przez Pietrowa. Niedługo będziesz miała tyle blachy na tunice, że będziesz mogła z niej zrobić zastawę obiadową, miłaja. Ile trafień masz już na koncie?

– Dwieście czterdzieści dwa. – Stałam na palcach w butach wojskowych, żeby go pocałować. – Miłość dobrze wpływa na moje oko. Przysięgam, że każda kula śmiga po właściwej trajektorii, gdy wiem, że czekasz na mój powrót...

– Na Lenina, kobieto, czyżbyś właśnie wyznała mi miłość zaraz po podliczeniu trupów, które masz na koncie? Cała Miła Pawliczenko. – Oddał mi pocałunek, a ja omal się nie rozpląnęłam. – Przyznano ci przepustkę do Sewastopola. Też mógłbym się o nią postarać... Co byś powiedziała na popołudnie w mieście?

– Wolny dzień? Razem? – Ostatnie pół wolnego dnia spędziłam w szpitalu polowym, próbując znaleźć Aleksieja, i w końcu zostawiłam dla niego liścik, informując, że chcę omówić jak najszybsze sfinalizowanie naszego rozwodu. Wciąż nie dostałam odpowiedzi i wiedziałam, że będę musiała go wytropić, ale nie zamierzałam marnować przepustki na Aleksieja, skoro mogłam ją wykorzystać na wypad do Sewastopola z Lonią.

Czułam się przedziwnie, idąc z nim w ten wolny dzień wzdłuż krętej linii brzegowej, gdy wokół moich kolan łopotąca stara sukienka w kwiaty, a nie wojskowy płaszcz, a Lonia miał na sobie nadpruty sweter zamiast

epoletów. Szliśmy pod rękę jak zwyczajna para rozkoszująca się niedzielnym popołudniem, patrząca na przepastne morze, przystająca co jakiś czas, by scałować sól ze swoich ust. Kupił dla mnie bukiet wczesnych hiacyntów, a potem go uratował, gdy zaczęłam trochę zbyt żywo gestykulować przy pomniku zatopionych statków.

– Wzniesiono go dla upamiętnienia samozatopienia Floty Czarnomorskiej podczas wojny krymskiej! Pisałam o tym na studiach. To jeden z niewielu pomników z czasów carskich, kiedy zrezygnowano z ostentacji na rzecz prostoty: tylko jedna granitowa kolumna na kamiennej iglicy, obmywana falami ze wszystkich stron. Wiesz, że zaprojektował go...

– Nie wiem, kto go zaprojektował, ale coś mi mówi, że żadna siła nie powstrzyma cię przed wyjawieniem mi tego – powiedział Lonia, obejmując mnie od tyłu i opierając brodę na mojej głowie, gdy trajkotałam, wymachując rękami w stronę pomnika.

– Historia żyje wokół nas – podsumowałam z zadowoleniem, gdy Mila studentka obudziła się z hibernacji, wygłaszając naprawdę bardzo skrócony wykład na temat dzieł Amandusa Adamsona i jego wpływu na rosyjską secesję. – Można nią oddychać na każdym kroku. Pójdziemy do muzeum przy ulicy Frunzego? Jedna z kobiet na konferencji powiedziała, że jest tam specjalna wystawa historyczna. Od pierwszego oblężenia w tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku przez rewolucję...

– Życie z tobą będzie oznaczało brnięcie przez bardzo liczne muzea, prawda? – narzekał Lonia.

– ...po wystawy fabryczne! Wiedziałaś, że związek tokarzy zorganizował specjalną...

– Tak, tak, zabiorę cię do tego przeklętego muzeum...



Nazajutrz rano po powrocie na linię frontu wciąż myślałam o muzeum. Wieczorem miałam wrócić do swoich zwykłych nocnych zwyczajów, ale na razie mogłam się obudzić w promieniach słońca i wyjść na wiosenną jasność, by delektować się śniadaniem jak każdy inny żołnierz. Ziewając, rozmyślając o wystawie poświęconej roli Sewastopola w rewolucji i zastanawiając się, czy mogłabym z niej zaczerpnąć jakieś analogie do

tematu swojej rozprawy, wzięłam swój kubek wystygłej kawy i dołączyłam do Loni, który już siedział na przewróconym pniu, trzymał menażkę i droczył się z Kostią.

– Mój ojciec nie przemienia się w wilka pod wpływem światła księżyca – mówił Kostia, przyszywając do swojego kamuflażu kudłatą siatkę. – Widziałeś go raz i jesteś przekonany, że to bodark?

– Przysięgam, że miał siekacze, które wydłużały się przy każdym uśmiechu, podobnie jak u tej twojej siostry.

– Przyrodniej siostry...

– Która w połowie jest wilkiem. Cała twoja rodzina jest półdzika, ty syberyjski łachudro...

Dokuczali sobie dalej, gdy usiadłam na pniu. Lonia objął mnie z roztargnieniem – „Wy, mięczaki z południa, nie przetrwalibyście w syberyjskiej tajdze jednego dnia”. „Powinienem ci rozkazać, żebyś zdjął buty, Kostia. Założę się, że zamiast palców u nóg masz wilcze pazury” – a ja podkrađłam z jego menażki kawałek czarnego chleba, by rozrzucić okruszki sewastopolskim wróblom. Ptaki skakały wokół moich butów, ćwierkając i dziobiąc, w ogóle się nie bały. Jak to możliwe, że takie małeńkie, kruche istoty wcale nie czują strachu?

– A, poranna muzyka kameralna – zauważył Lonia, gdy jak zwykle zaczęło się terkotanie niemieckich dział dalekiego zasięgu. – Czekaj nas dziś Brahms czy Wagner? – Słuchaliśmy, jak pierwsze pociski wybuchają gdzieś daleko na tyłach. – Wagner – stwierdził Lonia, gdy druga salwa też nie dosięgła celów. – Z całą pewnością słyszę, jak wchodzi kotły.

Śmiałam się, Kostia się śmiał i Lonia się śmiał.

– Jak ci się spało, miłaja? – spytał, ściskając moje ramię. – Nie jesteś zmęczona, prawda?

I wtedy pocisk z trzeciej niemieckiej salwy eksplodował tuż za naszymi plecami.

Wszyscy troje padliśmy na ziemię, zasłaniając głowy rękami. Lonia wciągnął mnie pod swoje ciało, gdy powietrze rozdarły odłamki i szrapnele. Dzwoniło mi w uszach i kasłałam, wciśnięta między twardą

ziemię a ciężki tors Loni. Gdy hałas ustał, odsunęłam ręce i podniosłam głowę.

– Mila? – Kostia robił to samo co ja, rozglądał się. Miał na czole krwawiącą ranę od szrapnela, ale już się podnosił. Lonia z jękiem zsunął się ze mnie, siadając z wysiłkiem obok pnia, a ja podczołgałam się do niego, wciąż słysząc dzwonięcie w uszach.

– O mało mnie nie zmiażdżyłeś – chciałam powiedzieć z uśmiechem, lecz wtedy zobaczyłam bladość szerokiej, przystojnej twarzy Loni. Zobaczyłam czerwoną ciecz, którą nasiąkało jego prawe ramię, zobaczyłam, że coś jest nie tak – bardzo, potwornie nie tak – z jego prawą ręką zwisającą bezwładnie w rękawie. Poczułam się, jakby nagle zapadła się cała moja klatka piersiowa. Wstałam i kątem oka zobaczyłam czerwoną ruinę, w jaką zmieniły się plecy mojego kochanka.

Rany od odłamków, które przecięły tunikę i podkoszulkę, wbijając się głęboko w jego ciało, gdy owinął mnie sobą, żeby mnie osłonić.

– Posłuchajcie tej sekcji dętej – powiedział, próbując się uśmiechnąć, a potem powoli się przechylił i osunął na ziemię.



Znowu batalion medyczny. Znałam go już tak dobrze, że czułam się w nim jak w domu. Tylko że tym razem to nie mnie wieziono na blok operacyjny.

– Lonia, oddychaj, oddychaj. Jesteś teraz w dobrych rękach.

Moja dłoń nie odsuwała się od jego bladego, spoconego czoła przez całą wyboistą drogę do tego podziemnego piekła środków dezynfekujących i jaskrawego światła. Gdy mi go zabierali, by powieźć go dalej, poczułam, jak jego miękkie włosy wyslizgują mi się z palców niczym zjawy.

Bezmyślnie ruszyłam za nim, lecz Kostia mnie zatrzymał.

– Pozwólmy chirurgowi działać.

Wcześniej pomógł mi zanieść Lonię na kocu do punktu pierwszej pomocy, a teraz mnie od niego odciągał.

– Krew – wybelkotałam, przypominając sobie, jak to było, gdy ja zostałam ranna. – Będą potrzebowali dla niego krwi, mamy tę samą grupę... –

Rozdarłam rękaw, podsuwając pielęgniarce rękę, by wbiła igłę. Gdyby mi pozwolili, przegryzłabym sobie żyły i wlała tę krew prosto do ciała Loni. Nie powinien być ranny, nie on, porucznik, który całymi dniami przebywał w stanowisku dowodzenia. Poza tym to nie był nawet atak z prawdziwego zdarzenia – to była poranna muzyka kameralna. Dlaczego zatem został ranny?

– Milu. – Kostia wziął mnie za ramiona. Jego twarz raz po raz traciła ostrość, a smugi zaschniętej krwi z boku przypominały maskę arlekina. On też podciągnął rękaw. Pielęgniarka miała zanieść na salę operacyjną pół litra mojej i pół litra jego krwi. – Teraz zaczekamy.

I czekaliśmy. Chodziłam tam i z powrotem w podziemnym korytarzu. Kostia siedział pod ścianą, oparłszy łokcie na podkurczonych kolanach, zastygły, jakbyśmy byli na obserwacji. Może czekał z nami ktoś jeszcze, nie wiem. Chodziłam tylko, odliczając minuty, które wlekły się niemiłosiernie.

A potem wyszli dwaj chirurdzy z rękami unurzanyymi w krwi aż po łokcie.

– Nie traćcie ducha, Ludmiło Michajłowna. – Starszy mężczyzna z ponurą miną ścisnął mi rękę. – Musieliśmy mu amputować prawe ramię. Wisiało na jednym ścięgnię.

Powietrze wlatywało we mnie i wylatywało z powrotem, ale nie mogłam oddychać. Jak przez mgłę usłyszałam słowa Kostii.

– Bez ręki można żyć.

Wtedy odezwał się drugi chirurg i zobaczyłam wstrząśnięta, że to Aleksiej.

– O wiele gorsza sprawa to siedem odłamków w jego plecach. Wyjąłem trzy, ale reszta...

Nie wiem, co się potem stało. Nie pamiętam. Nie pamiętam. Ocknęłam się w jakimś pokoju, siedząc na wąskim łóżku polowym. Moja ręka odruchowo sięgnęła do kabury i odkryłam, że nie mam broni.

– Gdzie jest mój pistolet? – spytałam pielęgniarkę.

– Oddamy go później, kiedy wasze emocje trochę...

– Nie. – Szarpnęłam się i zdołałam wstać. – Oddajcie mi go. Oddajcie natychmiast.

– Milu, przestań. – Głos Kostii, ręce Kostii powstrzymujące mnie od rzucenia się na pielęgniarkę.

– Myślicie, że się zastrzelę? – krzyknęłam. – Nie. Nie zrobię tego. – Przestałam się szamotać, złapałam partnera za kołnierzyk i przyciągnęłam do siebie, aż omal nie zderzyliśmy się nosami. – Dajcie mi go. Mój pistolet.

Kostia mi go przyniósł. Widziałam okropne wątpliwości w jego oczach, napięcie, które się w nim kłębiło – ja jednak tylko włożyłam pistolet odrętwiałymi palcami z powrotem do kabury. Nie umiałam zachować spokoju, nie mając pod ręką broni. Podniosłam głowę i powiedziałam ze łzami w oczach:

– A teraz mnie do niego zaprowadźcie.

Mój ukochany leżał obandażowany i nieruchomy na łóżku oddzielonym zasłoną. Tak bardzo nieruchomy. Uklękłam obok niego, wyciągając rękę, by dotknąć dłoni, która mu została.

Lonia. Próbowałam to powiedzieć wyraźnie i spokojnie, lecz nie wydobył się ze mnie żaden dźwięk, tylko moje usta poruszyły się bezgłośnie. Cały jego tors był zabandażowany, prawa ręka kończyła się zasklepionym gazą kikutem tuż pod ramieniem. Twarz miał wycieńczoną, pustą, nie było na niej żadnego śladu zmarszczek od śmiechu, które zwykle widniały w kącikach jego oczu, ani pełnej humoru energii rozciągającej jego usta w uśmiechu.

Wyjęłam pistolet z kabury, czując, jak Kostia znowu się spina, lecz tylko zacisnęłam na kolbie bezwładną dłoń Loni, a potem ujęłam ją w swoje ręce. Nie była to moja trioeliniejka, lecz znała tę samą piosenkę.

– Dasz radę – szepnęłam, widząc, jak łzy rozmazują mi obraz. – A potem zabiję stu nazistów za tego jednego, który wystrzelił do ciebie z moździerza.

Ścisnęłam jego rękę, lecz nie zareagował. Na jego pustej twarzy nie pojawiła się żadna isierka. Ze ściśniętym gardłem położyłam pistolet na szafce nocnej i wpełzłam na łóżko polowe, kładąc się obok niego, opierając głowę na jego ramieniu. Leżałam tak przez bardzo wiele nocy... nie. Nie aż

tak wiele. Byliśmy razem zaledwie od trzech miesięcy. Za krótko. Na pewno mieliśmy przed sobą więcej czasu. Musiał dać radę.

– Może się obudzi – powiedziała pielęgniarka beznamiętnym tonem. – Możecie spróbować mu czytać, mówić do niego.

Próbowałam. Tak bardzo się starałam, lecz jedynym dźwiękiem, jaki udało mi się z niego wydobyć, było zdławione łkanie. Leżałam tylko i trzęsłam się przy ramieniu Loni. Kostia siedział po drugiej stronie łóżka, jego oczy przypominały czarne dziury wypalone w śniegu i w jego rzeźbionej twarzy widziałam tę samą bezsilność. Byliśmy snajperami. Żyliśmy w świecie milczenia i ciemności. To okropne miejsce pełne jaskrawego światła i donośnych głosów pozbawiało nas sił.

Widząc, że wciąż nie jestem w stanie mówić, Kostia sięgnął do plecaka i wyjął zniszczony, poplamiony krwią egzemplarz Wojny i pokoju. Miał zachrypnięty głos, gdy zaczął czytać, tłumacząc anglojęzyczne wydanie na rosyjski.

– „Wiero, rzekła hrabina zwracając się do starszej córki, nie kochanej widać. Jakaś ty mało pojętna! Czy nie czujesz się tu zbyt uczona?”*

Kostia czytał dalej, gdy pielęgniarka po cichu wyszła, a po moich policzkach zaczęły płynąć łzy. Nikt cię tu nie chce, powiedziałam do śmierci, oddychającej słabo i nieustępliwie nad moim ramieniem. Miałaś zabrać mnie. Nie jego.

Śmierci było wszystko jedno. Stała nade mną, nieubłagana, nieruchoma, gdy godziny dnia przedzierzgały się w noc, gdy Kostia czytał, czytał i czytał, gdy Lonia poruszał się niekiedy w delirium i otwierał niewidzące, puste oczy, a niekiedy leżał nieruchomy jak głaz. Raz odwrócił do mnie głowę – pomyślałam, że chyba się do mnie uśmiechnął. Wtedy Kostia, który zdążył już tak zachrypnąć, że prawie stracił głos, całkiem zamilkł.

Wzięłam Lonię za rękę, pocałowałam go w pergaminowy policzek.

– Mamy się pobrać – szepnęłam. – Pamiętasz? – Nie poruszył się, nie uśmiechnął, nie odezwał. Śmierć dalej oddychała nad moim ramieniem. – Dostałam rozwód. Teraz mogę za ciebie wyjść. – Powiedziałabym wszystko, byleby go tylko zatrzymać, byleby ze mną został. – Teraz możemy się pobrać. Jutro zostanę twoją żoną.

Powtarzałam to jeszcze długo po tym, jak odszedł.

* L. Tołstoj, *Wojna i pokój*, przeł. A. Stawar, Gdańsk 2000, s. 42.

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

20

Powitalne śniadanie w Białym Domu już prawie dobiegło końca. Dopijano herbatę, wycierano z talerzy smugi syropu klonowego, gwar rozmów w Małej Jadalni powoli cichł. Strzelec wyborowy poruszył filiżanką, by zamieszać resztkę kawy. Gdy snuł w milczeniu plany, ktoś wreszcie zebrał się na odwagę, by zadać snajperce pytanie, które nurtowało wszystkich, odkąd przyjechała.

– Pani Pawliczenko, wprost zżera mnie ciekawość... Czy to prawda, że jest pani... snajperką? Że, hm, no cóż... – nikt nie miał ochoty używać słowa „zabiła” – odstrzeliła pani trzystu dziewięciu żołnierzy wroga?

Wszyscy przy stole zamilkli i oczy wszystkich Amerykanów zwróciły się w stronę Ludmiły Pawliczenko. W niektórych widać było dezaprobatę, w innych niedowierzenie, ale wszyscy byli zaciekawieni. Strzelec wyborowy, równie ciekaw jej odpowiedzi, rozparł się na krześle.

Pełna wdzięku, ładna twarz młodej Rosjanki nie wyrażała najmniejszego poirytowania. Ludmiła Pawliczenko uśmiechnęła się uprzejmie do zgromadzonych przy stole i powiedziała za pośrednictwem tłumacza:

– Tak, to prawda.

Pieprzenie, pomyślał strzelec wyborowy. Znał kobiety umiejące strzelać: żony mieszkające w gęstych lasach, wkładające do garnka to, co udało im się ustrzelić, by wyżywić rodzinę; ślicznotki z socjety lubiące poplotkować podczas ćwiczeń na strzelnicy poprzedzających lancz, do którego wypijały trzy martini; sportsmenki wypełniające swoje pokoje rzędami pucharów

zdobytch w zawodach strzeleckich. Nie wierzył jednak, że kobieta mogłaby zastrzelić trzystu dziewięciu mężczyzn – a jeśli tak, byłaby w kajdankach albo w kaftanie bezpieczeństwa. Żadna kobieta nie mogłaby zastrzelić trzystu dziewięciu mężczyzn, a potem ze stoickim spokojem sączyć herbatę w towarzystwie pierwszej damy.

Szmer, którzy przetoczył się nad stołem, brzmiał sceptycznie. Najwyraźniej nie tylko strzelec wyborowy miał wątpliwości. Eleanor Roosevelt wyglądała jednak na zamyśloną, oparła brodę na dłoni.

– Widzi pani ich twarze? – spytała.

Jej tłumacz, młody oficer z epoletami porucznika, przetłumaczył odpowiedź snajperki.

– Czyje twarze, pani Roosevelt?

– Mężczyzn, których pani zabija. Jeśli wyraźnie widzi pani przez celownik twarze wrogów, lecz mimo to strzela, by ich zabić... Cóż, Amerykankom trudno byłoby panią zaakceptować, droga Ludmiło.

Snajperka długo wpatrywała się w pierwszą damę. Wystarczająco długo, by zebrani zaczęli się niespokojnie poruszać, wystarczająco długo, by strzelec wyborowy poczuł szczypanie krwi w żyłach. Nagle zapragnął sięgnąć do marynarki po broń, lecz oczywiście idąc do Białego Domu, nie zabrał ze sobą nawet scyzoryka. Mimo to niespodziewanie, tu i teraz, zaczął żałować, że nie ma przy sobie pistoletu.

– Pani Roosevelt – zaczęła Mila Pawliczenko i zaskoczony strzelec wyborowy uświadomił sobie, że kobieta mówi po angielsku. Miała silny akcent i najwyraźniej precyzyjne wyrażanie myśli w obcym języku kosztowało ją sporo wysiłku, lecz każde jej słowo brzmiało wyraźnie... i wściekle. – Cieszymy się, że możemy odwiedzić pani piękny kraj. Panuje tu dobrobyt, wszyscy żyjecie z dala od walk. Nikt nie niszczy waszych miast, miasteczek i pól. Nikt nie zabija waszych obywateli, waszych sióstr i matek, waszych ojców i braci. Tam, skąd przyjechałam, bomby ścierają wioski na proch, rosyjska krew oliwi gąsienice niemieckich czołgów, codziennie umierają niewinni cywile. – Pohamowała się, powoli wypuściła powietrze, układając kolejne słowa. Nikt się nie poruszył, a już zwłaszcza strzelec wyborowy. – Kula wystrzelona celnie przez taką snajperkę jak ja, pani Roosevelt, jest niczym więcej niż tylko odpowiedzią dla wroga. W Sewastopolu mój mąż zginął na moich oczach. Umarł

w moich ramionach. Każdy hitlerowiec, którego widzę przez celownik optyczny, to ten, który go zabił.

Wszyscy zamilkli, zmrożeni. Poruszały się tylko oczy strzelca wyborowego, gdy się rozglądał, notując w myślach reakcje. Szef radzieckiej delegacji ścisnął nóż do masła i wyglądał, jakby miał ochotę odpiłować Ludmile Pawliczenko głowę i potoczyć ją przez okno do ogrodów Białego Domu. Elegantki z Waszyngtonu, całe w falbankach i perłach, wydawały się przerażone. Pierwsza dama była... Owca

Zakłopotana?, zastanawiał się strzelec wyborowy. Czyżby ta jędza z końskimi zębami była zakłopotana?

– Wybacz, droga Ludmiło – powiedziała cicho, odkładając serwetkę. – Nie chciałam cię urazić. To ważna rozmowa i wrócimy do niej w odpowiedniejszym miejscu. Teraz jednak, niestety, pora się już rozejść. Wzywają mnie obowiązki, a o ile wiem, w ambasadzie czeka na państwa fotograf.

Wstała od stołu, pożegnała się z kilkoma osobami i zniknęła, zanim snajperka zdążyła odpowiedzieć.

– Co ty mówisz? – syknął szef delegacji. – Mamy rozkazy, żeby ich nie obrażać!

– To oni mnie obrazili – szepnęła ledwie dosłyszalnie po rosyjsku wściekła Ludmiła Pawliczenko.

Strzelec wyborowy, odprowadzając wzrokiem pierwszą damę, jakby nie rozumiał rosyjskiego, wyteżał słuch, by zrozumieć każde słowo wypowiedziane dwa miejsca dalej.

– Przyjechałam tu, żeby pomóc uzyskać pomoc dla moich towarzyszy broni, moich przyjaciół na froncie, mężczyzn i kobiet umierających codziennie w okopach, a żona prezydenta się martwi, że wyborcy jej męża nie uznają mnie za sympatyczną?

– Ludmiło Michajłowna, macie postępować zgodnie z wytycznymi...

Wymiana syknień po rosyjsku stała się zbyt szybka, by strzelec wyborowy mógł za nią nadążyć, a zresztą radziecka delegacja i tak już wstawiała od stołu. Odsuwano krzesła, wymieniano uprzejmości w obu językach, obok czekał jakiś asystent.

– Pani Roosevelt poleciła, bym oprowadził państwa po Białym Domu, zanim wyruszą państwo do ambasady..

Strzelec wyborowy wtopił się w tłum wychodzących gości i odwrócił głowę, by jeszcze raz z namysłem spojrzeć na snajperkę. Gdy ruszyła za asystentem, jej policzki płonęły ze złości, a oczy błyszczały.

Przez krótką chwilę strzelec wyborowy zastanawiał się: A jeśli wszystko, co o niej mówią, to prawda?

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

– Przywołała mnie do szeregu – mówię później ze smutkiem Franklinowi. – Trudno to inaczej nazwać.

– Chciałbym zobaczyć Ruskę, której się to udało – uśmiecha się.

– Nie zamierzałam jej umniejszać... Jeśli już, to myślałam mniej pochlebnie o Amerykankach. Chcę, żeby wizyta radzieckiej delegacji zakończyła się sukcesem, ale typowa gospodyni w Wirginii albo pani domu w Waszyngtonie nie będzie równie łaskawa dla kobiety w rodzaju pani Pawliczenko. – Niezadowolona z siebie, marszczy brwi, podając mężowi nowe pióro. Takie potknięcia podczas podejmowania gości nie są w moim stylu, ale dziś rano rozpraszała mnie dręcząca obawa o Franklina.

– Mniejsza o amerykańskie panie domu. Będzie miała wystarczająco dużo kłopotów z amerykańską prasą. – Zdejmuje zatyczkę pióra i wygląda na pełnego siły i wigoru, co sprawia mi ulgę. – Na dzisiejszej wieczornej konferencji przekonamy się, czy zdoła przywołać do szeregu dziennikarzy.

Stuka piórem w szynę na nodze i wydaje się zamyślony, nawet gdy robimy notatki przed jego zbliżającym się objazdem zakładów przemysłu obronnego na zachodzie. Zastanawia się, czy snajperka może się przydać w jego krucjacie na rzecz przekonania opinii publicznej do pomocy Związkowi Radzieckiemu. Ma nadzieję, że tak, nie tylko dlatego, że chce, by w Europie powstał drugi front – a jak dotąd spotyka się z oporem wobec takiego pomysłu, wywołanym naszymi problemami na Pacyfiku – ale ponieważ ma niezwykle upodobanie dla przydatnych kobiet. Kolekcjonuje nas. A my tworzymy bardzo urozmaiconą żeńską konstelację. Nieśmiała, nieporadna żona, którą z taką wprawą przemienił w swoje oczy i uszy..

Niezniszczalna sekretarka Missy LeHand, która mogłaby zorganizować ten drugi front równie skutecznie, jak organizuje wszystko inne w Białym Domu... Frances Perkins, jego szefowa Departamentu Pracy, żelazna ręka kierująca jego Nowym Ładem, miażdżąca silnych mężczyzn na posiedzeniach gabinetu...

Kobiety Franklina. Kolekcjonuje nas, podziwia, udoskonala, a potem nie waha się nas użyć, krzesząc ogień z naszych ciał i umysłów, dopóki się nie wypalimy. Jeśli jakaś część nas burzy się w niemy proteście przeciwko takiemu traktowaniu – tak jak czasami dzieje się w moim przypadku, bo przecież nie zawsze się między nami układa – wkrótce umiera niewypowiedziana, gdy widzimy, że on równie bezwzględnie spala samego siebie. Wszystkie byłybyśmy gotowe oddać dla niego życie, ponieważ on zabija się dla nas wszystkich.

Czy mężczyźni, którzy są jego wrogami, którzy nazywają go zdrajcą klasowym, miłośnikiem komunistów i tyranem, zdają sobie z tego sprawę? Mężczyźni, którymi się teraz przejmuje, bez względu na to, czy się do tego przyzna? Czy zdają sobie sprawę, że ten człowiek z szyną na nodze jest naszą zaporą przed klęską Zachodu?

A może pragną go obalić mimo to, byleby tylko zobaczyć jego upadek?

PIĘĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Marzec 1942 Front sewastopolski, ZSRR

MILA

21

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: W pogrzebie mojego męża, porucznika A.A. Kicenki, wziął udział cały mój pluton i wszyscy oficerowie 54 pułku, którzy nie byli wtedy na służbie. Przemówienia były płomienne, a salwa serdeczna.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: W świetle prawa Lonia nie był moim mężem – przegapiłam tę szansę, spudłowałam, i drwina zawarta w tej stracie rozdzierała mi serce. Lonia był jednak moim mężem w każdym sensie oprócz prawnego i wiedziałam, że będę go tak nazywała aż do śmierci.

– Nerwica frontowa – stwierdził Aleksiej Pawliczenko, nie zwracając sobie głowy badaniem mnie. – Przyjmuję cię do szpitala na dwa tygodnie.

– Bzdura. – Spróbowałam wstać z krzesła.

Popchnął mnie z powrotem.

– O mało nie udusiłaś oficera politycznego na pogrzebie Kicenki.

Wpatrywałam się w niego z kamienną twarzą, bez słowa. Polityczny stanął przede mną po salwie nad grobem Loni, pytając, dlaczego nie strzelałam razem z innymi. Chwyciłam go za kołnierzyk i wycedziłam: „Moja salwa będzie skierowana w nazistów”. Tylko tyle pamiętałam z całej tej ceremonii.

– Potrzeba było połowy twojego plutonu, żeby cię od niego odciągnąć – kontynuował Aleksiej. – Domaga się przeprosin. Twój partner go

przekonał, że cierpisz z powodu szoku.

– Dlaczego więc bada mnie chirurg, a nie neurolog?

– Nie potrzeba specjalisty, żeby rozpoznać nerwicę frontową. Poza tym powiedziałem mu, że jestem twoim mężem i że powinien cię przekazać w moje ręce. – Aleksiej uśmiechnął się z łatwością, złoty i zdrowy jak słońce. – Wiem, że chciałaś sfinalizować nasz rozwód, ale jakoś się nie złożyło, prawda? I chyba nie ma tego złego. Mogę ci teraz pomóc. Mogę przekonać tego oficera politycznego, żeby zapomniał o przeprosinach. Jeśli ładnie poprosisz.

– Pójdę bosą do Władywostoku, zanim cię o cokolwiek poproszę. – Miałam ochotę zerwać się z miejsca i zatopić paznokcie w jego gardle, ale za bardzo trzęsły mi się ręce. Zaciskałam dłonie, trzymając je na kolanach, żeby nie zwrócił na nie uwagi i żebym nie musiała wyznawać, że trzęsą się tak od trzech dni.

– Dwa tygodnie odpoczynku – podjął Aleksiej, ignorując jad w moim głosie. – Napar z korzenia waleriany i roztwór bromu na uspokojenie...

– Zabiłeś go? – spytałam.

Pierwszy raz, odkąd go znałam, Aleksiej wyglądał na szczerze zaskoczonego.

– Co?

– Czy. Zabiłeś. Lonię. – Słowa wyrywały się ze mnie, jakbym się krztusiła. – Miałeś go na stole operacyjnym. Wiedziałaś, że chcemy się pobrać. Trafił tu z siedmioma odłamkami, a tobie udało się wyjąć tylko trzy... – Zamilkłam. W moim gardle gotowała się wściekłość. To podejrzenie prześladowało mnie, odkąd zobaczyłam, jak Aleksiej wychodzi zakrwawiony z bloku operacyjnego. – Zabiłeś go, sukinsynu?

Twarz Aleksieja zastygła. Zobaczyłam na niej złość, lecz także olbrzymi, podszyty wyczerpaniem smutek.

– Myślisz, że mógłbym to zrobić? Że zamordowałbym człowieka na swoim stole operacyjnym?

Postanowiłam, że nie odwrócę wzroku.

– Zrobiłeś to?

– Słuchaj, możesz mnie uważać za gównianego męża i gównianego ojca...

– Jesteś gównianym ojcem – syknęłam.

– ...ale nigdy nie wolno ci mówić, że jestem gównianym chirurgiem. Codziennie spędzam na tym bloku operacyjnym piętnaście godzin. Myślisz, że zauważam jeszcze nazwiska i twarze? Nie wiedziałem, że to ten twój złotowłosy porucznik, dopóki nie było po wszystkim. To, że osobiście przekazałem ci wieści, było wyrazem uprzejmości...

– Nie doczekasz się podziękowania. Nie za to, że wykonałeś swój obowiązek wobec rannego. Gdybyś...

– Nie uratowałbym go, nawet gdyby dostał tymi odłamkami, leżąc przede mną na stole. Nawet sam Święty Mikołaj Cudotwórca nie zdołałby ich wydobyć z jego płuc. – Aleksiej odsunął się od mojego krzesła. – Możesz mi wierzyć lub nie, Milu.

Odchodząc, wyglądał jak najbardziej zmęczony człowiek na świecie. Ja siedziałam dalej. Głowa pulsowała mi tępyim bólem. Nie wiedziałam, czy wierzyć Aleksiejowi. Chyba w ogóle nie wiedziałam, co mówię, widzę i myślę. Nie spałam od trzech dni. Gdy próbowałam zasnąć, tylko leżałam obolała i wyczerpana na łóżku polowym w ziemiance Loni, którą prawdopodobnie powinnam niebawem zwolnić, by mogli ją przydzielić nowemu dowódcy kompanii.

– Mamy dla was łóżko, towarzyszek starsza sierżant. – Jakaś sanitariuszka pomogła mi wstać, gdy stało się jasne, że sama nie dam rady. – Dwa tygodnie rekonwalescencji w szpitalu, zaczynacie od dzisiaj.

Nie, pomyślałam. Chcę polować. Zabijać ludzi, którzy zabili Lonię. Nie czułam się jednak na siłach, żeby to robić, i właśnie taka była okrutna prawda. W dniu pogrzebu wróciłam do ziemianki, zdarłam z siebie mundur galowy, by włożyć kamuflaż, sięgnąć po trioelinijkę... i uświadomiłam sobie, że za bardzo trzęsą mi się ręce, bym mogła włożyć do komory choćby jedną kulę. Gdy próbowałam to zrobić, ciągle wyslizgiwała mi się z palców. Karabin równie dobrze mógłby być pałką, a nie moim śmiercionośnym nocnym partnerem śpiewającym niedosłyszalną piosenkę. Gdybym spróbowała pójść z nim na łowy, nie

oddałabym ani jednego celnego strzału. Sprowadziłabym śmierć na siebie samą albo i na cały swój pluton.

Przewycięż to, Pawliczenko, próbowałam rozkazać swoim trzęsącym się rękami, gdy sanitariuszka prowadziła mnie do łóżka – potrafiłam jednak myśleć wyłącznie o tym, że gdybym się tak cholernie nie ociągała z rozwodem, mogłabym już mówić do siebie Kicenko.

– Powinnam była za ciebie wyjść – szepnęłam, osuwając się na łóżko.

Teraz było już za późno. Za późno, żeby za niego wyjść, za późno, żeby go pomścić.

Za późno na wszystko.



W czasie następnych dwóch tygodni uzmysłowiłam sobie, że dłoń podająca mi dzienną dawkę waleriany nie należy do Leny ani do żadnej z pielęgniarek. Była to dłoń mężczyzny, twarda i o oliwkowej skórze poznaczonej snajperskimi odciskami.

– Cześć, Kostia – wychrypiałam i zaskoczyło mnie szorstkie brzmienie mojego od dawna nieużywanego głosu. Kostia schudł, miał zapadnięte oczy, wyglądał okropnie. Zajrzałam do swojego kubka. – Szkoda, że to nie wódka.

– Mam wódkę – powiedział, wskazując swój plecak.

Powoli kiwnęłam głową.

– Możemy... się upić?

Rozejrzał się.

– Nie tutaj.

Było wczesne popołudnie, większość sanitariuszek i pielęgniarek asystowała chirurgom, ranni leżeli cicho.

– Od dawna tu jestem?

– Od dziewięciu dni.

– Co z plutonem?

– Potrzebuje cię.

Podniosłam rękę. Wciąż się trzęsła. Codziennie próbowałam, starałam się, lecz to drżenie nie chciało ustąpić.

– Chcę tam być – szepnęłam. – Ale nie mogę. Nie w takim stanie. Zginęlibyście przeze mnie.

Kostia wstał.

– Wyjedźmy stąd. Pożyczyłem samochód.

– Nie umiem prowadzić. – Aleksiej umiał i był z tego bardzo dumny. Ja nigdy nie miałam powodu, żeby się nauczyć.

– Sam będę prowadził.

Kostia wiózł nas szybko i z wprawą, pędząc z terkotem ku czwartemu sektorowi obronnemu. Wiedziałam, dokąd jedziemy, jeszcze zanim pokonaliśmy połowę drogi, i brutalnie przygryzłam wewnętrzną stronę policzka, gdy naszym oczom ukazała się ściana z krymskiego piaskowca z imponującą żelazną bramą: Cmentarz Braterski.

Wjechaliśmy południową bramą, zaparkowaliśmy i zaczęliśmy się wspinać w stronę starej zbombardowanej cerkwi na szczycie wzgórza. W czasach carskich poświęcono ją Świętemu Mikołajowi Cudotwórcy, co sprawiło, że przypomniały mi się słowa wypowiedziane w gniewie przez Aleksieja. Teraz po cerkwi zostały tylko ruiny. Mogłabym wykorzystać poczerńiałą, zapadniętą kopułę jako snajperskie gniazdo.

Na pogrzebie przed ponad tygodniem nie zauważałam starych grobów z biało-czarnymi płytami z marmuru, a tym bardziej nowszych mogił oznakowanych jedynie drewnianymi gwiazdami. Na widok gwiazdy Loni zaczerpnęłam tchu, żeby się uspokoić. Pomalowano ją staranniej niż inne, inskrypcja była dłuższa, daty narodzin i śmierci oraz pełne imię i nazwisko napisano starannym, kanciastym pismem, które znałam.

– Ty to zrobiłeś? – spytałam Kostię mimo ściśniętego gardła.

Kiwnął głową, a ja przesunęłam koniuszkiem palca po literach.

– Żałuję, że nie powiedziałam czegoś o tym, jak potrafił wszystkich rozśmieszyć. Nawet mnie.

– Był najlepszym przyjacielem, jakiego miałem – powiedział Kostia.

– Opowiedz mi o nim. – Obok mogiły tkwił pień wystarczająco szeroki dla nas dwojga. Usiadłam i pociągnęłam Kostię na miejsce obok. – Chcę... chcę się o nim więcej dowiedzieć.

Przez dłuższą chwilę wątpiłam, by Kostia zechciał mówić.

– Chłopcy potrafią być okrutni – zaczął w końcu. – Konstantin Andriejewicz Szewieliow. Wszyscy wiedzieli, że Andriej Szewieliow nie był moim ojcem. Matka za niego wyszła, ponieważ mój prawdziwy ojciec był myśliwym i polował nad jeziorem Bajkał, a gdy już byłem w drodze, odkryła, że on ma tam żonę i dzieci, o czym nigdy jej nie wspominał, gdy przyjeżdżał do Irkucka, żeby sprzedawać skóry. Chłopcy wiedzieli jednak, że moim ojcem jest stary stuknięty Markow znad jeziora i nawet gdy poszedłem do szkoły w dalekim Doniecku, ktoś się o tym dowiedział i potem wszyscy nazywali moją matkę dziwką, a mnie bękartem. – Wziął oddech. – Wszyscy oprócz Loni...

Ja i mój partner siedzieliśmy ramię w ramię na pniu, a w oszczędnych, precyzyjnych słowach Kostii ujrzałam Lonię takiego, jakim zobaczył go kiedyś mój partner: barczystego, zwinnego, złotowłosego młodego atletę, zafascynowanego hokejem i zbierającego słabe oceny, pełnego życzliwości, której większość złotowłosych młodych sportowców nie ma za grosz.

– Zawieranie przyjaźni przychodziło mu z łatwością – podsumował cicho Kostia. – Mnie nigdy. Ale to było bez znaczenia, bo miałem jego.

Gdy mówił, przekazywaliśmy sobie nawzajem jego piersiówkę z wódką. Pociągnęłam kolejny łyk, spoglądając na rząd grobów. Grób Loni był świeżo usypany, wypełniony czarną i wzruszoną ziemią, wkrótce jednak miał się zmienić w następny wysychający kopiec zwieńczony samotną blaknącą gwiazdą. Nie miałam kwiatów, więc wyjęłam przylepkę chleba z płóciennej torby na maskę gazową i rozkruszyłam ją, rzucając drobinki na ziemię, by sewastopolskie wróble mogły tu przylecieć i śpiewać. Mojemu złotowłosemu frontowemu mężowi.

Kostia chlusnął wódką na grób.

– Spoczywaj w pokoju, bracie.

Próbowałam coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Zamilkliśmy i przez ponad godzinę siedzieliśmy na coraz większym

chłodzie, dalej podając sobie wódkę. Wróble nurkowały, trzepotały skrzydłami, odfruwały. Taki piękny dzień.

– Słyszałam, że zostałeś starszym sierżantem – odezwałam się wreszcie. Kostia potaknął. – Pluton jest twój.

Pokręcił głową.

– Potrzebujemy cię, Milu.

Podniosłam rękę. Wciąż się trzęsła. Włożył w nią piersiówkę, a ja upiłam łyk, czując, jak wódka pali mnie od gardła aż po żołądek.

– Nie potrzebujecie mnie. Potrzebujecie kogoś, kto umie strzelać.

– Potrzebujemy ciebie, Milu...

– Przestań. – Nagle popchnęłam go z furją. Spadł z pnia, ale natychmiast się podniósł i stanął z rozłożonymi rękami oraz czarnymi, nieruchomymi oczami.

– Jesteś najlepsza. – Jego głos był nieprzejednany jak granit. – Hitlerowcy się ciebie boją. Pluton w ciebie wierzy. Potrzebujemy cię z powrotem.

– Nie mogę strzelać! – krzyknęłam, zrywając się z miejsca i popychając go jeszcze raz. Zaparł się i wytrzymał. Tym razem go uderzyłam, pięścią w mostek, i to także przyjął. – Nie pragnę niczego poza tym, żeby ich zabijać, a nie mogę strzelać...

– Musisz – powiedział. – Potrzebujemy cię.

Pociągnęłam długi łyk z piersiówki i rzuciłam mu ją pod nogi.

– Nie chodzi o to, że się boję. – Mój język plątał się przy tych słowach i uświadomiłam sobie, jak mocno wódka podrażniła mój pusty żołądek.

– Nie powiedziałem, że się boisz. – Kostia zrobił krok w moją stronę. Znowu uderzyłam go pięściami w tors. Kostia był mojego wzrostu, nie musiałam daleko sięgać. – Milu...

Miałam łzy w oczach. Zatoczyłam się, ponownie unosząc rękę, spoglądając na grób.

– To ja wykonywałam niebezpieczną pracę. To ja powinnam była zginąć.

– Nie – powiedział po prostu mój partner.

- Przeze mnie pozabijają was wszystkich – szepnęłam.
- Wtedy zginiemy jak Lonia. – W czarnych oczach Kostii zauważyłam łzy.
- Zginiemy jak żołnierze.
- W agonii, z odłamkami żelaza w płucach? – Mój głos brzmiał niewyraźnie. Byłam bardzo pijana. Dlaczego wódka nie koła bólu?
- Umrzemy odważni. Tak jak on. – Kostia wyciągnął rękę i wziął mnie za ramiona, w równym stopniu po to, by mnie podtrzymać, jak po to, by samemu nie upaść. Potrafił to ukrywać, jak przystało na Sybiraka, ale on też się upił. – A ja i ty... Milu, my umrzemy, strzelając.

Przytulił mnie do piersi i szloch wyrwał się nam obojgu. Kostia płakał, przyciskając twarz do mojej szyi, a ja płakałam, przyciskając swoją twarz do jego szyi, trzymaliśmy się kurczowo, kołysząc się nad grobem Loni. Nie wiem, ile minęło czasu, nim ten wybuch smutku ustał. Wiem tylko, że znowu siedzieliśmy na pniu, oparci o siebie nawzajem, ze słonymi od łez policzkami, i wciąż gwałtownie oddychając, dopijaliśmy wódkę, patrząc, jak zapada zmierzch. W ciemności siedzieliśmy dalej, milcząc jak snajperzy, nieruchomi jak śmierć. Śmierć, która wciąż sterczała nad moim ramieniem, oddychając złowieszczo i cicho.

Kostia spojrzał na mnie.

- Towarzyszko starsza sierżant? – zaczął oficjalnie.

Wzięłam głęboki oddech i podniosłam rękę. Nie spałam od tygodnia. Moje spuchnięte oczy przypominały szparki. Miałam brzuch pełen wódki, serce pełne nienawiści i duszę pełną smutku – ale moja dłoń była nieruchoma jak skała.

- Jutro w nocy – zapowiedziałam swojemu partnerowi.

I wróciłam.

22

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Dzięki mężnemu duchowi Armii Czerwonej i dowództwu naszych dzielnych oficerów nikt z nas nie wierzył,

że Sewastopol upadnie.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Dokładnie pamiętam chwilę, w której już wiedziałam, że los Sewastopola jest przesądzony.

Spokojne miesiące: marzec, kwiecień, maj, gdy co noc wychodziłam na łowy na ziemi niczyjej, a w ciągu dnia spałam jak zabita... i potem nagły, wściekły atak nazistów, którzy w połowie maja zajęli Półwysep Kerczeński. Jeszcze później zmasowane naloty bombowe na główną bazę wojskową Floty Czarnomorskiej, zmieniające miasto w morze ognia i dymu – i wreszcie w pierwszym tygodniu czerwca atak główny, długo wyczekiwany, od dawna budzący grozę.

– Atak psychologiczny – powiedział Kostia, gdy obserwowaliśmy olbrzymią falę niemieckiej piechoty nacierającą na naszą linię obrony. Wiedziałam, że myśli o Rumunach w napoleońskiej kolumnie, maszerujących pod wodzą swojego rozwrzeszczanego kapłana, zamierzających nas przytłoczyć zarówno swoją liczebnością, jak i strachem.

Obserwowałam natarcie przez lornetkę opartą na krawędzi snajperskiego okopu, w którym obydwójce leżeliśmy na brzuchach, patrząc na czołgi sunące naprzód niczym stonogi, na niemieckich strzelców uzbrojonych w mauzery, na kaemistów z MP 40, przysłoniętych zwojami czarnego dymu unoszącego się po porannym ostrzale artyleryjskim.

– Nowi – powiedziałam, zauważając dobrze odżywione ciała w nazistowskich mundurach, jeszcze nieociosane przez rosyjskie zimno i rosyjski opór. – Reichsdeutsche. Pewnie przetrzuceni z Doniecka, 17 Armia. – Odrzuciłam lornetkę, przyłożyłam karabin do ramienia i zobaczyłam jakiegoś maszerującego razem z żołnierzami oficera, który wszedł prosto w mój celownik. Strzeliłam, karabin zrobił odrzut, a oficer upadł. – Nie poszczęści im się bardziej niż podczas dwóch pierwszych ataków w ubiegłym roku.

Wierzyłam w to. Wciąż pozostawałam w uścisku rozpaczliwej furii, która chwyciła mnie w zęby po śmierci Loni. Przez trzy miesiące zabijałam hitlerowców sześć nocy w tygodniu, a siódmej nocy próbowałam pisać listy do Sławki, zawijając suszone kwiaty w kartki wyrwane z rozprawy. Gdy zaczął się trzeci atak, dołączyłam do walki razem ze swoim plutonem i nie przyszło mi do głowy, że przegramy.

Młot uderzał jednak codziennie: pięciogodzinne ataki moździerzowe, czołgi i kolumny piechoty nadciągające drogą, która prowadziła ku stacji kolejowej w górach Mekenziowa. Codziennie naziści skubali po kawałku naszą obronę niczym szczury, którymi w istocie byli, prac centymetr po centymetrze ku północnej stronie głównej zatoki. Dziesięć, może jedenaście dni ciągłych walk. Gdy szłam chwiejnym krokiem jakąś ścieżką w Dolinie Martynowskiej, zastanawiając się, gdzie mogłabym dostać coś do jedzenia i zdrzemnąć się godzinę,omal nie zderzyłam się z szeregiem chłopców, którzy szli mozolnie, zagrzewani przez grupowego Komsomołu.

– Towarzyszko starsza sierżant! – pozdrowił mnie. – Patrzcie tylko, chłopcy! Nasza własna snajperka, prawdziwa bohaterka ojczyzny. Ile to macie już na koncie, Ludmiło Michajłowna?

– Nie wiem – powiedziałam zmęczona. Trzystu? Kogo to obchodziło?

– Hitlerowcy boją się cienia jej karabinu – powiedział grupowy do swoich chłopców, którzy tylko gapili się na mnie, wyczerpani, z pustką w oczach i na twarzach. Wydawali się tacy młodzi – część nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. Zasalutowałam w odpowiedzi, próbując się uśmiechnąć, ale wesoły okrzyk nagle zastygł grupowemu na ustach. Mężczyzna zasłonił je dłonią, by ukryć drżenie warg, a ja odciągnęłam go na bok.

– Jak źle jest w waszym sektorze? – spytałam ściszym głosem.

– Szkopy wzięły całą Dolinę Kamyszłowską – mruknął. – Stację kolejową, Wierchnij Czorgun, Niżnij Czorgun, Kamary... Trwają zacięte walki wokół Cmentarza Braterskiego.

Ścisnęło mnie w żołądku. Grób Loni... być może Niemcy właśnie go bezczeszczą, roztrzaskują jego czerwoną gwiazdę.

Grupowy ciągnął monotonnym głosem.

– To wszystko, co zostało z moich chłopców... – Machnął ręką w stronę szeregu ślaniających się na nogach pobladłych chłopaków. – W ciągu dziewięciu dni straciłem dwie trzecie całej ligi. Nie dostajemy już amunicji. A jeśli chodzi o żywność i wodę...

Przegramy, uświadomiłam sobie wtedy, patrząc na tych skazanych na klęskę, śmiertelnie wyczerpanych chłopców, z trudem stojących w słonecznym żarze. Wyglądali na niewiele starszych od mojego Sławki, który w ostatnim liście poinformował mnie, że dostał najwyższą ocenę

z dyktanda i czwórkę z liczenia w pamięci, że za mną tęskni i że założył album ze wszystkimi próbkami roślin, które ode mnie dostał – był najlepszy z biologii w całej swojej pionierskiej drużynie ...

Gdyby mój Sławka był tu, w Sewastopolu, być może nosiłby teraz karabin, ponieważ miasto było bliskie upadku.

– Możecie powiedzieć moim chłopcom coś pokrzepiającego? – poprosił mnie grupowy. – Tylko parę słów.

Nie miałam do powiedzenia nic pokrzepiającego, nie było we mnie nadziei. Ale spojrzałam na tych chłopców, starając się zapamiętać ich twarze, i powiedziałam:

– Przysięgam, że będę za was wszystkich walczyła do ostatniej kropli krwi.

– My za was też... Przysięgamy... – Przynieczenia zaszemrały wśród nich jak powiew gorącego, ustającego wiatru w zbożu. Zasalutowaliśmy i ruszyliśmy w swoją stronę, by bronić miasta, którym zaczynały już wstrząsać agonalne drgawki. Gdy wróciłam do swojego plutonu i stanęliśmy w obliczu następnej fali nacierających nazistowskich żołnierzy w dumnych i dobrze odżywianych szeregach, fala nienawiści, która we mnie wezbrała, omal mnie nie ogłuszyła.

– Nie mierzcie do pierwszego szeregu – rozkazałam swoim ludziom. – Mierzcie do drugiego, celujcie w bebechy... i nie pudłujcie.

Karabiny zaczęły pluć pociskami i hitlerowcy w drugim szeregu zaczęli krzyczeć, przewracając się. Trzeci szereg potykał się o nich, a pierwszy odwrócił, gdy usłyszał krzyki. Kolumna zgubiła szyk.

– Trzymać tak dalej! – zawołałam, zatapiając stal w kolejnych miękkich niemieckich brzuchach. Ja, kobieta, która szczyciła się czystym, szybkim, miłosiernym zabijaniem, tym razem strzelałam po to, by okaleczać. – Wytrąćcie ich z równowagi. Niech cierpią. Niech zwolnią.

I tak mieli zająć Sewastopol, ale Mila Pawliczenko postanowiła dopilnować, by słono za to zapłacili.

Minął prawie miesiąc, nim miasto upadło, i kosztowało to Niemców trzysta tysięcy żołnierzy, ponad czterysta czołgów oraz przeszło dziewięćset

samolotów. Nie mogłam tego jednak zobaczyć, ponieważ już mnie tam nie było.

W dniu, który okazał się ostatnim dniem mojej walki na froncie czarnomorskim, zesłam zmęczona z położonych wysoko ruin kościoła, które wykorzystywałam, by likwidować niemieckich zwiadowców. Byli jak kruki, gnieździli się w drzewach, na szczytach wzgórz, na wyższych piętrach budynków – powinnam była mieć przy sobie Kostię, lecz walczyliśmy teraz w zbyt wielkim rozproszeniu, by działać parami. Zobaczyłam go, gdy wychodził z budynku po drugiej stronie ulicy. Miał brudną twarz.

– Dopadłem dziewięciu – oznajmił.

– Ja dwunastu. – Na nic to się jednak nie zdało. Zastrzel dwunastu zwiadowców, a dwunastu innych zajmie ich miejsce, a naloty na płonące miasto jeszcze bardziej się nasilą. Samoloty Luftwaffe ostrzeliwały teraz samochody i przechodniów na zrujnowanych ulicach Sewastopola. Miasto, po którym chodziłam pod rękę z Lonią, podziwiając pomnik zatopionych okrętów i planując naszą przyszłość, zmieniło się w rzeźnię.

– Fiodor?

– Przecnicę dalej, na dachu piekarni.

Zrównaliśmy krok, trzymając karabiny w pogotowiu. Żadne z nas się nie wzdrygało, słysząc trzask i huk artylerii nad naszymi głowami oraz następujące po nich krzyki umierających i dudnienie przewracających się kamiennych ścian. To nie była już tylko poranna muzyka kameralna. To była symfonia śmierci. Symfonia, która nie miała końca.

Wspięliśmy się na dach piekarni, gdzie Fiodor Siedych ulokował się za kominem, by strzelać do zwiadowców, i gdy Kostia wciągnął mnie przez dziurę w zbombardowanym dachu, zawołałam: „Fiodor?”. Młodszy sierżant, mój olbrzymi ociężały byczek, nie mógł mi jednak odpowiedzieć: podczas nalotu zbombardowano dach, a komin runął i przygwoździł go stertą roztrzaskanych belek i połamanych cegieł. Fiodor stracił całą dolną część twarzy, lecz jego oczy patrzyły błagalnie. Podeszliśmy do niego z Kostią, stanęliśmy po obu stronach tego dużego, beznadziejnie zmasakrowanego ciała, i Kostia wziął Fiodora za rękę, mamrocząc pytanie, które, jak wszyscy wiedzieliśmy, należało zadać, gdyby kiedykolwiek

przyszedł taki dzień jak ten. Fiodor kiwnął głową, wijąc się i cały czas patrząc mi w oczy. Ja też kiwnęłam głową.

– Fiodorze Siedychu, bohaterze Związku Radzieckiego – powiedziałam zachrypniętym głosem – to był dla mnie zaszczyt...

A potem oddałam jeden miłosierny strzał.

Byliśmy z Kostią zbyt zdruzgotani, by płakać, schodząc z tego zniszczonego dachu. Przez kilka odrętwiałych sekund trzymaliśmy się tylko w kurczowych objęciach, a potem odsunęliśmy się od siebie i ruszyliśmy w stronę sztabu głównego swojego pułku. Oprócz nas w moim plutonie zostały jeszcze tylko cztery osoby.

– Sprawdź, co u Wartanowa i reszty – powiedziałam do Kostii, gdy czekaliśmy na nowe rozkazy od dowódcy grupy rekonesansowej, i wtedy w okopy uderzyła bomba.

Nie było czasu, żeby ostrzec partnera.

Nie było czasu, żeby się osłonić.

Nie było czasu.



Pot. Smar. Wszędzie wokół duchota i niemyte ciała. Mimo że oczy miałam wciąż mocno zamknięte, wiedziałam, że wciśnięto mnie do jakiejś klaustrofobicznie małej przestrzeni, w której moje kości wibrowały pod wpływem warkotu pracujących silników Diesla. Jeszcze zanim odzyskałam pełnię przytomności, wpadłam w panikę.

– Myślałem, że umarłaś – zabrzmiał jakiś słaby głos obok mnie.

Z wysiłkiem podniosłam powieki. Niski sufit niedaleko nade mną, podłoga usiana korkowymi materacami i metalowymi przepierzeniami, żołnierze ściśnięci wszędzie, gdzie można było siedzieć, leżeć albo zwinąć się do pozycji płodowej. Większość była zabandażowana, wszyscy wpatrywali się tępo w jakąś nieokreśloną dal. Tylko że nie było żadnej nieokreślonej dali. W pomieszczeniu brakowało okien i było ciasno jak w lufie karabinu.

– Gdzie jesteśmy? – wychrypiałam, a odwróciwszy się, zobaczyłam chudego kaprała z 54 pułku, z którym od czasu do czasu gawędziłam w kolejce w kantynie. – Jesteś Misza... kapral Sternow, prawda? Z trzeciej kompanii? Gdzie...

– Płyniemy pod wodą w stronę Zatoki Cemeskiej w Noworosyjsku – odpowiedział. – L-4 był kiedyś stawiaczem min, ale teraz jest transportową łodzią podwodną. Kapitan Poliakov zszedł nim pod wodę dziś o świcie. Byłaś nieprzytomna, odkąd wnieśli cię tu na noszach.

Nic z tego nie rozumiałam. Łódź podwodna? Jak przez mgłę przypomniały mi się pogłoski, że do Sewastopola płynie kilka łodzi podwodnych z amunicją, paliwem i zapasami, lecz poza tym nikt nic nie wiedział. Jeśli przypłynęły i je rozładowano, na pewno odpłynęły z największą liczbą rannych, jaką mogły zabrać...

Kostia. Wartanow. Mój pluton. Próbowałam usiąść i fala rozdzierającego bólu spustoszyła moją głowę. Wiedziałam, co to oznacza: wstrząśnienie mózgu, uszkodzenie słuchu, nerwica frontowa. Usłyszałam jęk, który wydobył się chyba z moich ust, a gdy sięgnęłam ręką, znalazłam wzdłuż płatka ucha rząddek starannie założonych szwów.

– Wygląda na to, że ogłuszył cię wybuch i odłamek o mało nie pozbawił cię ucha. – Kapral Sternow spojrzał na mnie trochę zaczepnie. – Chciałbym wiedzieć, kogo z batalionu medycznego masz w kieszeni, że wpisał cię na listę ewakuowanych z powodu rany od odłamka.

Lena... czy też tu była?

– Znasz Lenę Palij? To najlepsza sanitariuszka w...

– Nie żyje. Tak słyszałem. Atak mózdzierzowy na punkt opatrunkowy.

Nie, tylko nie Lena, nie Lena.

– Mój pluton. – Zwilżyłam spierzchnięte usta, próbując usiąść mimo pulsującego bólu w czaszce. – Sierżant Szewieliov, kapral Wartanow...

Wzruszył ramionami.

– Druga kompania? – Nazwiska przyjaciół i towarzyszy broni przelatowały przeze mnie z łopotem niczym schwytane w pułapkę nietoperze.

– Prawdopodobnie wszyscy zginęli. – Z szokującą nagłością twarz Sternowa wykrzywiła się i z jego ust wyrwał się szloch. – Moją kompanię też rozbili. Nie wiem, czy nie jestem jedynym, który...

Sięgnęłam po jego rękę i uścisnęłam ją, nie do końca wiedząc, co robię.

– Nie mogę tu być – szepnęłam. Co ja robiłam w tej łodzi podwodnej, podczas gdy tam został mój partner, gdy tam zostali moi ludzie, gdy tam został grób Loni? Jakim cudem znalazłam się na noszach i w łodzi podwodnej, uciekając ze swojego skazanego na klęskę miasta jak jakiś podwodny szczur? Gdybym była przytomna, kiedy przyszedł rozkaz ewakuacji, walczyłabym każdą kością w swoim ciele, zwlekłabym się z noszy i poczołgała z powrotem do Sewastopola na zakrwawionych rękach i kolanach. – Muszę wracać.

– Myślisz, że zawrócą dla ciebie łódź podwodną? – odburknął Sternow ze łzami w oczach. – Nawet Pani Śmierć nie ma takich przywilejów.

– Nie nazywaj mnie tak!

Odsunął się gwałtownie, po jego twarzy wciąż płynęły łzy. Przekręciłam się na drugi bok, twarzą do wibrującej metalowej ściany, i poczułam dżgnięcie czegoś kanciastego. Leżałam na swoim plecaku. Prawdopodobnie tylko dzięki temu mi go nie ukradziono. Mój karabin zniknął – pewnie rzucili go komuś, kto wciąż był w stanie bronić Sewastopola. Piękny mosin-nagant, trioeliniejka, przemieniony przez Kostię ze zwykłego karabinu w snajperską broń specjalnie dla moich rąk... moje trzęsące się palce odnalazły jednak resztę moich rzeczy. Plik listów od rodziny, zdjęcie Sławki, moją zniszczoną rozprawę, fajkę z drewna gruszy podarowaną przez Wartanowa. I coś jeszcze.

To coś wysunęło się z plecaka na moje dłonie: zakrwawiony, wymazany smarem angielski egzemplarz Wojny i pokoju. Książka Kostii. Wielokrotnie widziałam, jak opiera na niej karabin, jeśli nie było czasu zbudować parapetu. Wyjmował ją i czytał podczas długich obserwacji, ostrożnie wyrwał podłużny kawałek pustej ostatniej strony, by przypalić nam papierosy, gdy zabrakło zapalek. Droczyliśmy się z nim, mówiąc, że kocha tę książkę bardziej niż swoją babuszkę.

– Ta książka należała do mojej babuszki – odcinał się.

Nie wiedziałam, czy dał mi ją na pożegnanie, gdy ostatni raz znosili mnie z pola bitwy, czy może tam zginął i jakiś życzliwy sanitariusz wetknął ją do moich rzeczy na pamiątkę. Nie wiedziałam i być może miałam się już nigdy nie dowiedzieć. Mój partner.

Skuliłam się i rozplakałam, ściskając kurczowo książkę, gdy łódź podwodna sunęła przez obce wody ku bezpieczeństwu, którego nie chciałam, z dala od śmierci, którą powitałabym z otwartymi ramionami. Opuszczałam wszystkich, których kochałam.



– To wy, Ludmiło Michajłowna?

Odwrociłam się, idąc do biura komendanta Noworosyjska. W pierwszej chwili nie rozpoznałam wyniszczonego, zmęczonego mężczyzny w pięknym szynelu, w asyście adiutantów. Potem zobaczyłam jego stopień i szybko zasalutowałam.

– Tak jest, towarzyszu generale Pietrow.

Minęło dwanaście dni, odkąd łódź podwodna wpłynęła do Noworosyjska i wylądowała rannych – a wśród nich mnie – przekazując ich oddziałom szpitalnym. Za ledwie poprzedniego dnia zwolniłam łóżko i kazano mi się stawić w biurze komendanta, bym zaświadczyła o swoim powrocie do zdrowia – a przynajmniej o tym, że wyzdrowiałam na tyle, by znowu trzymać karabin. I oto miałam przed sobą samego Pietrowa, który odwrócił się od czekającego z włączonym silnikiem samochodu służbowego i szedł do mnie z uśmiechem. Przypomniało mi się, jak spotkałam go przed ewakuacją z Odessy. Wiedziałam, że to on zgłosił mnie do pierwszego medalu za walkę po pojedynku na moście, ale poza tym nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Skoro rozpoznał moją poszarzałą, pozbawioną uśmiechu twarz ze stonogą szwów wciąż maszerującą wzdłuż szyi i ucha, musiał mieć dobrą pamięć.

Przemówił otwarcie, nie siląc się na uprzejmości.

– Słyszeliście?

– Tak, towarzyszu generale. – Poprzedniego dnia „Prawda” podała wieści: „Z rozkazu najwyższego dowództwa Armii Czerwonej z dnia trzeciego

lipca siły radzieckie opuściły miasto...”. Od dwudziestu godzin pukałam do wszystkich drzwi, jakie zdołałam znaleźć, błagając o informacje o ocalałych z Sewastopola. Musiał ktoś ocaleć. Reszta mojego plutonu...

– Komu z dywizji Czapajewa udało się uratować razem z wami, Ludmiło Michajłowna? – Generał Pietrow był tam do końca. Powiedziano mi, że ewakuował się z resztą dowódców tuż przed poddaniem miasta. Przekazałam mu wszystkie nazwiska, jakie mogłam, wymieniając żołnierzy, których ewakuowano razem ze mną łodzią podwodną, tych, których widziałam później w szpitalu. Widziałam, jak zapisuje w myślach każde z nich. – Mam dla was jedno nazwisko, towarzyszek starsza sierżant. Wasz mąż, doktor Aleksiej Pawliczenko, opuścił miasto z ostatnim transportem. Zdaje się, że zmierzali do Krasnodaru. – Uśmiechnął się. – Odznaczono go za służbę na rzecz rannych. Dzielnie służy Armii Czerwonej.

– Dzielnie – powtórzyłam jak echo. Milczący stoicyzm Kostii, zaprawiona goryczą wytrzymałość Wartanowa, poczucie humoru Leny pod ostrzałem – to oni byli dzielni. Nie mogłam jednak zaprzeczyć, że sprawne dłonie Aleksieja prawdopodobnie ocaliły życie setkom, jeśli nie tysiącom ludzi, a generał najwyraźniej myślał, że przekazał mi dobrą wiadomość. Podziękowałam zatem kiwnięciem głową i zadałam pytanie, które bałam się zadać.

– A reszta mojej dywizji? Żołnierze, którzy zostali w Sewastopolu, gdy mnie ewakuowano pod koniec czerwca?

– Dywizji Czapajewa już nie ma – odrzekł łagodnie Pietrow. – Walczyli do końca: spalili dokumenty sztabowe, zakopali pieczęcie, wyrzucili sztandary do morza. Hitlerowcy nie będą paradowali w Berlinie z barwami waszej dywizji w charakterze trofeów.

Do oczu znowu napłynęły mi łzy. Udało mi się je powstrzymać, gdy sztywno kiwnęłam głową. Generał zdołał się uśmiechnąć, lecz przypominało to raczej zastygły grymas trupiej czaszki. Przypomniały mi się plotki o tym, że próbował się zastrzelić, zamiast uciekać z Sewastopola, lecz powstrzymał go któryś z jego doradców wojskowych. Była to tylko jedna z tych szokujących wojskowych plotek fruwających wszędzie jak drobinki pyłu, lecz nagle w nią uwierzyłam. Generał Pietrow wydawał się udręczony, przypominał chodzącego trupa.

- Powiedzcie mi, towarzyszek starsza sierżant, dostaliście nowe rozkazy?
- Jeszcze nie. – Ku swojemu zawstydzeniu byłam zmuszona wytrzeć oczy.
- Mam nadzieję, że wyślą mnie z powrotem na front w randze oficera.

Adiutant Pietrowa spojrzął wymownie na czekający samochód, lecz generał odwrócił się do mnie.

– Oficera?

– Tak. Chyba już na to zasłużyłam. – Nie powinnam mówić tak otwarcie, lecz byłam zbyt wycieńczona, by okazywać coś innego niż szczerość. – W ostatnim roku nauczyłam się dowodzić żołnierzami, towarzyszu generale. Myśleć o nich w walce, odpowiadać za nich. I nie wyrównałam jeszcze rachunków z nazistami za śmierć moich przyjaciół. – Lena, Fiodor, Lonia. Och, Lonia. Gdybym na następnej placówce była oficerem i znów odpowiadała za wydawanie rozkazów, być może następnym razem zdołałabym ocalić więcej swoich ludzi. – Hitlerowcy wciąż posuwają się naprzód. Widziałam, co robili z cywilami w Odessie i Sewastopolu... Ziemia powinna zapłonąć pod ich nogami.

Generał przyglądał mi się przez chwilę.

– Za trzy dni wyjeżdżam z Noworosyjska do Moskwy. Pojedziecie ze mną... na waszą nową placówkę.

23

Mój pamiętnik, wersja oficjalna: Moskwa była doskonałym ucieleśnieniem radzieckiej wyobraźni zamkniętej w kamieniu i stali.

Mój pamiętnik, wersja nieoficjalna: Moskwa była olbrzymią, sroga i okropna. Ale oczy mojej matki zrobiły się wielkie jak spodki, gdy ujrzała to miasto – oraz mnie.

– Tylko spójrz: bohaterka wojenna, porucznik oraz moskwianka!

Mama bardzo schudła na wojennych racjach żywnościowych, ale wciąż miała długi warkocz i błyszczące oczy, gdy prowadziłam ją do swojej kwatery w akademiku przy ulicy Stromynka. Mieszkałam tu od przyjazdu

do Moskwy – już ponad miesiąc. – Żałuj, że nie widziałas ojca, kiedy dowiedział się o twoim Orderze Lenina. Poszedł do pracy dumny jak paw.

Poczułam szczypanie łez. Żałowałam, że ojciec nie mógł przyjechać do Moskwy razem z matką, lecz przepustkę wydano dla jednej osoby, a poza tym nie mogłoby opuścić pracy na czas, jakiego wymagało przebycie ponad tysiąca kilometrów tylko po to, by mnie zobaczyć. Dziecko też nie mogło odbyć takiej podróży. Wzięłam głęboki, bolesny oddech, nim zadałam pytanie.

– Co powiedział Sławka?

– Pęka z dumy. – Mama wsunęła wiklinową walizkę pod stół. – A zanim spytasz, jest przekonany, że odwiedzam kuzynkę.

– To dobrze. – Gwałtownie drgnęłam. Gdyby wiedział, że wróciłam z frontu, błagałby, żeby pozwolono mu mnie odwiedzić, a przecież nie mogłabym mu tego zrobić. Słyszałam od innych żołnierzy, że próba odwiedzenia dzieci, gdy można z nimi spędzić tylko parę chwil, jest druzgocąca – gdy przychodziła pora się rozstać, wpadały w czarną rozpacz.

– Och, małyżka, nie płacz. Postępujesz słusznie. – Mama objęła mnie jak dziecko i zamknęła w uścisku, którego tak pragnęłam. Poddałam się jej ramionom, a gdy szybko wciągnęła powietrze, wyczuwszy woń wódki, uświadomiłam sobie, że nie udało mi się pozbyć śladu poprzedniej nocy.

Także z tego powodu poprosiłam, żeby nie zabierała ze sobą Sławki: nie chciałam, żeby zobaczył, że jego roześmiana mamoczka, kobieta, która sprawdzała mu prace domowe i opowiadała o Północnicy załatwiającej sprawunki Baby Jagi, zmieniła się w kobietę noszącą twarde, błyszczące buty i bezlitosne mosiężne gwiazdy, kobietą bez uśmiechu. Kobietą, której udawało się przespać noc tylko dzięki wódce.

Matka nie wspomniała jednak o wódce.

– Co za luksus – powiedziała, podziwiając mój pokój. – Szesnaście metrów kwadratowych wyłącznie dla ciebie! Długo tu będziesz?

– Nie wiem. Mają mi przydzielić pluton snajperów w 32 Gwardyjskiej Dywizji Powietrznodesantowej, ale na razie nie dostałam rozkazu, by wyruszyć na front. – Musiałam tłumić frustrację, odkąd przyjechałam do Moskwy. Teraz, gdy zaczęłam wyjmować kromki czarnego chleba i pikle, cała ta frustracja się ze mnie wylała. – Mamo, utknęłam tu w miejscowym

ośrodka szkoleniowym. Gdy nie stoję przy tablicy, sekretarz Komitetu Centralnego Wszechzwiązkowego Leninowskiego Komunistycznego Związku Młodzieży domaga się, żebym wygłaszała przemówienia.

– A czy to źle? – uśmiechnęła się. – Przecież jesteś bohaterką.

– Nie jestem mówczynią. – Tak właśnie powiedziałam w sekretariacie, lecz oni zbyli moje obiekcje machnięciem ręki. „Trzeba ludziom mówić o tej wojnie. Po prostu róbcie to z optymistyczną nutą!”.

Optymistyczną! Jakby istniał jakiś optymistyczny sposób opowiedzenia o tym, jak straciłam cały pluton... O żadnym ze swoich ludzi nie miałam wieści, bez względu na to, jak często dobijałam się do drzwi, szukając informacji: „Konstantin Szewieliow bardzo dobrze zna angielski, może wydostał się z Sewastopola i został skierowany do pracy jako tłumacz w którejś z ambasad? Anastas Wartanow. Czy są jakieś wieści o starym leśniczym z Krymu?”.

Nic.

– Myślę, że robisz coś więcej, niż tylko wygłaszasz przemówienia i szkolisz żołnierzy z balistyki! – Matka rozpromieniła się i przez okropną chwilę myślałam, że spyta, czy w moim życiu jest jakiś mężczyzna. Nie, omal nie zawołałam, nie mam mężczyzny! Codziennie zasypiam, tęskniąc za Lonią, i chyba już zawsze tak będzie. Powstrzymałam jednak podszyte złością słowa, zanim zdążyły się wydostać. Moja matka nie wiedziała o Loni. Zginął, zanim napisałam o nim rodzinie – chciałam poczekać na sfinalizowanie rozwodu z Aleksiejem, zanim powiem rodzicom o nowym zięciu, a po jego śmierci nie mogłam się zmusić, by umieścić jego imię na kartce. Mama nie wiedziała, że jestem w żałobie. Na szczęście jednak nie wyglądało na to, by chciała mnie pytać o romanse, ponieważ podsunęła:

– Broszura Ławrieniowa?

– A – powiedziałam. – O to ci chodzi.

Ta przeklęta broszura, zlecona przez Główny Zarząd Propagandy Politycznej RKKK w ramach poczytnej serii frontowej: wojenne bohaterskie czyny snajperki Ludmiły Pawliczenko miały zostać spisane przez słynnego powieściopisarza Borysa Ławrieniowa we własnej osobie.

– Jaki on był? – chciała wiedzieć mama. Próbowałam wyłożyć dla niej coś do jedzenia, ale popchnęła mnie na krzesło i sama wzięła się do krojenia

salami. – Zawsze uwielbiałam Czterdziesty pierwszy, to takie romantyczne! Osobiście z tobą rozmawiał?

Ha. Ten wielki człowiek zmierzył mnie od stóp do głów przez swoje okulary w żelaznej oprawce, przerwał mi w połowie pierwszego zdania i wyjaśnił Wizję, zgodnie z którą zamierzał przedstawić moje życie masom. (Miał Wizję. Wyczułam wielką literę).

– Jesteście całkiem jak moja Marjutka – powiedział uprzejmie. – Mówię o bohaterce Czterdziestego pierwszego, na pewno ją znacie. Wystarczy kilka szczegółów na wasz temat i skończę broszurkę w tydzień.

Przyznaję, że nie zareagowałam dobrze. Byłam skacowana, byłam zmęczona, a błysk okularów zadowolonego z siebie mężczyzny przyprawiał mnie o pulsujący ból głowy.

– W niczym nie przypominam waszej głupiej fikcyjnej dziewczyny z fabryki – odparłam stanowczo. – Wszystkie założenia waszej powieści są naciągane i jeśli myślicie, że chcę, aby pisał o mnie taki marny pisarzyna jak wy...

Potem było już tylko gorzej, choć nie aż tak źle, by postanowiono zrezygnować z broszury. Zamierzano ją wydać pod koniec roku i widziałam już próbną wersję. Pewnego pięknego poranka szedłem z młodą snajperką bulwarem przy placu Komuny. Wiatr mierzwił jej krótko obcięte jedwabiste włosy nad gładkim licem, gdy siedzieliśmy na ławce. Jej delikatna, napięta twarz pulsowała głęboką siłą charakteru. Oczy wydawały się smutne, lecz w odpowiedzi na moje zręczne pytania rozbłysły dziecięcą gorliwością.

Zastanawiałam się, czy nastąpiło to przed tym, czy po tym, jak ja nazwałam go pisarzyna bez polotu, a on mnie wściekłą ukraińską suką.

– Byłabym zapomniała, Liuda... w ubiegłym tygodniu przyszedł do ciebie list. – Mama pogmerała w torbie ze ściąganyymi uchami. – Przesłałabym ci go, ale skoro wiedziałam, że wkrótce się zobaczymy...

Rozciąłam kopertę, otworzyłam przybrudzoną kartkę i zaczęło mi walić serce. Wymieniłam się adresami domowymi z całym swoim plutonem i przysięgliśmy sobie, że będziemy pisać do swoich rodzin, jeśli któreś z nas polegnie albo odłączy się od kompanii. Wysłałam listy do rodzin wszystkich swoich ludzi. Kto mógł do mnie napisać?

Drobne, kanciaste pismo, znajome jak mój własny puls.

Milu,

Żyję. Ostatnia ewakuacja z Sewastopola, zgruchotane kolano. Doszedłem do siebie w szpitalu w Krasnodarze. Niedługo mam dostać przydział do moskiewskiego okręgu wojskowego. Gdzie jesteś?

Kostia

– Dobrze się czujesz? – Ręka matki szybko dotknęła mojego czoła. – Tak dziwnie wyglądasz...

– Nic mi nie jest, mamu. – Oderwałam wzrok od listu mojego partnera i uśmiechnęłam się, mając wrażenie, że ten uśmiech rozciąga się aż po czubki moich palców u nóg. – Właśnie przyniosłaś mi pierwszą dobrą wiadomość, jaką dostałam od miesięcy.

Kostia żył. Mój partner, mój cień, moja druga połowa. Mroczny bezdenny ból w moim sercu ustąpił, jakby jedna z moich nóg zdrętwiała, a teraz znowu popłynęła w niej krew, wywołując bolesne, lecz upragnione szczypanie połączone ze świadomością, że wciąż żyję i jestem cała.

Kostia żył.

Uściskałam matkę tak mocno, że jej stopy oderwały się od podłogi.

– Włóż najlepszą sukienkę, jaką masz w walizce, mamoczka. W tym tygodniu zwiedzisz całą Moskwę, zaczynając od baletu.

– Balet! – Moja matka zachichotała. – Pamiętasz tę swoją przyjaciółkę Wikę? Słyszałam, że zrezygnowała z głównej roli w Odessie, żeby prowadzić T-34 w wojskach pancernych! Balerina została czołgistką. Co ta wojna z nami wyprawia. Dzięki Bogu, wróciłaś już z frontu...

Nie powiedziałam jej, że pragnę jedynie znów tam pojechać. Zabrać swojego partnera, załatwić mu przydział do mojego nowego plutonu, a potem znowu wyruszyć na wojnę. Ponieważ praca nie dobiegła jeszcze końca i na razie do niczego innego się nie nadawałam.



– Dobre wieści, Ludmiło Michajłowna! Wracacie na wojnę.

Zdziwiona zamrugałam szczypiącymi z wycieńczenia oczami. Miałam za sobą dwudziestoczworgodziną zmianę w ośrodku szkoleniowym, chodziłam po różnych biurach i wypytywałam kadrowców, czy Kostia dotarł już do moskiewskiego okręgu wojskowego, a potem pomogłam zorganizować cztery ciężarówki ze świeżą dostawą broni. Teraz wezwano mnie do biura pierwszego sekretarza i stanęłam przed gromadą mężczyzn – część była w mundurach, a część w garniturach.

– Przyszły moje rozkazy? Mam jechać na front?

– Nie na tej wojnie – roześmiał się pierwszy sekretarz. – Na najważniejszej ze wszystkich wojen: na wojnie propagandowej.

Wpatrywałam się w niego zupełnie zdezorientowana.

– Nie nadaża – odezwał się znajomy głos za moimi plecami, a gdy się odwróciłam, zobaczyłam uśmiechniętą twarz Aleksieja. Nie widziałam go od Sewastopola i nie myślałam o nim, odkąd Pietrow powiedział, że mojego męża ewakuowano. Założyłam, że polerował gdzieś swoje nowe błyszczące odznaczenia i zabiegał o lepszy przydział. A teraz był tutaj?

– Witaj, kroszka. – Ucałował mnie w oba policzki, witając się wesoło. – Jedziemy do Ameryki.

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

24

Jeśli było coś, czego strzelec wyborowy nie lubił, to konieczność uspokajania denerwujących się klientów. Chcesz, żeby ktoś ukoił twoje nerwy, idź do lekarza od czubków. Nie dawał po sobie poznać zniecierpliwienia, gdy spacerował z Poszetką po rozgrzanym waszyngtońskim chodniku, ale był rozdrażniony. Rano przed śniadaniem w Białym Domu przekazał już najnowsze informacje, drugie spotkanie było zbędne. Wolał ograniczać kontakt ze zleceniodawcami do minimum, na litość boską – im mniej powiązań, tym bezpieczniejsi byli oni wszyscy. A mimo to wymagano od niego, by koił nerwy i uspokajał.

– Musimy wiedzieć. – Poszetka obejrzał się przez ramię. Pocił się bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Już cierpiał katusze, ponieważ strzelec wyborowy odmówił spotkania się z nim w jakimś ciemnym, cuchnącym whisky barze, by to wszystko przedyskutować. W barze byli podsłuchiwanie i dlatego strzelec wyborowy prowadził wszystkie biznesowe rozmowy pod gołym niebem. – Mówił pan, że po powitalnym śniadaniu będzie pan wiedział więcej. No i?

– Wszystko jest pod kontrolą. – Strzelec wyborowy przyspieszył kroku, gdy skręcili za ostatni róg, zmierzając w stronę radzieckiej ambasady. Za godzinę delegacja miała się zwrócić do narodu podczas radiowego wystąpienia na żywo.

– Ale my chcemy znać szczegóły – syknął Poszetka.

– Płacie mi za wyniki, nie za szczegóły. – Strzelec wyborowy już wyłuszczył swój plan na piątego września, ostatni dzień konferencji.

Pierwsza dama, ta jędza o końskich zębach, zamierzała zaprosić wszystkich zagranicznych studentów na pożegnalne przyjęcie na trawniku obok Białego Domu. Miał w nim uczestniczyć prezydent, mieli być także liczni dziennikarze... w tym strzelec wyborowy dzięki sznurkom, za której pociągnęli za kulisami mocodawcy Poszetki. – Z mojej strony wszystko idzie zgodnie z planem. – W każdym razie prawie wszystko.

– Czego się pan dowiedział o tej komunistce? – Poszetka co rusz się rozglądał, ściągając na siebie spojrzenia dwóch kobiet w średnim wieku, które mijały ich szybkim krokiem, niosąc zakupy. – Może pan zagwarantować, że cała wina spadnie na nią?

– W tym biznesie nie ma żadnych gwarancji. – Strzelec wyborowy wplótł w swój głos trochę więcej wirgińskiego zaciągania, by uspokoić rozmówcę. – Ale pana ludzie postąpili słusznie, pozwalając mi się jej przyjrzeć. Nie mogliśmy sobie wymarzyć lepszej frajerki.

Poszetka podniósł głowę i spojrział na kamienną bryłę ambasady, która już się przed nimi wznosiła. Dziennikarze i fotoreporterzy wchodzili pospiesznie do środka, pokazując ochronie przepustki prasowe.

– Naprawdę jest snajperką?

– Nie. – Strzelec wyborowy miał wprawdzie chwilę zwątpienia, gdy pod koniec śniadania patrzył na wściekłość malującą się na twarzy Ludmiły Pawliczenko mówiącej: „Kula wystrzelona celnie przez taką snajperkę jak ja, pani Roosevelt, jest niczym więcej niż tylko odpowiedzią dla wroga...”, ale po zastanowieniu odrzucił tę myśl. Z gniewnej kobiety byłaby kiepska snajperka. – To dziewczyna z plakatu propagandowego, która słysząc idiotyczne pytania, łatwo wpada w zakłopotanie i traci panowanie nad sobą, a Bóg mi świadkiem, że dziennikarze są niezawodni, jeśli chodzi o zadawanie mnóstwa takich pytań. Ruscy popełnili błąd, wymyślając tę bajeczkę o snajperce. Myśleli, że wywoła tym podziw, zostanie bohaterką wojenną. – Być może w Związku Radzieckim, ale nie w Stanach Zjednoczonych, gdzie ładne brunetki powinny piec ciasteczka, a nie zabijać faszystów. – Pani Pawliczenko nie robi tu takiej furory, na jaką liczą. Dokądkolwiek pójdzie, uznają ją za dziwadło i potwora.

W zasadzie to właśnie na to liczył.



– Pani Pawliczenko...

– Pani Pawliczenko...

– Pani Pawliczenko...

Staralam się nie wzdrygać. Flesze eksplodowały przed moją twarzą jak granaty – czy żaden z tych dziennikarzy nie zadawał wcześniej pytań żołnierzom? Zbliżanie do twarzy weterana wojennego czegoś, co wybucha błyskiem światła, było wręcz proszeniem się o dźgnięcie nożem.

– Uśmiechaj się – mruknął szef delegacji.

Do delegacji wybrano nas troje, samych studentów, samych żołnierzy, lecz to on dowodził: Nikołaj Krasawczenko, barczysty i poważny dwudziestosześcioletek. Dobrze walczył pod Smoleńskiem, ale nie dlatego postawiono go na czele delegacji. Wybrano go, ponieważ był młodym nadętym nudziarzem i można było mieć pewność, że w czasie całej tej wycieczki nie przyjdzie mu do głowy ani jedna oryginalna myśl. Wyobrażałam sobie, jak stawiali stempel na formularzu zgody w jego teczce, mówiąc: „Żadnych niespodzianek. Podstawa funkcjonowania partii!”.

Może Krasawczenko był szczęśliwy, że go wybrali, ale ja nie. W Moskwie stałam (osłupiała, niedowierzająca, coraz bardziej zła), słuchając rozwlekłego gładzenia o międzynarodowej konferencji studenckiej Eleanor Roosevelt. Mówili, że stwarza ona towarzyszowi Stalinowi okazję do wysłania studentów jako najbardziej postępowego elementu narodu, by opowiadali Amerykanom o swoim sprzeciwie wobec faszyzmu... Mówili, że wybrano nas spośród setek kandydatów w moskiewskim okręgu wojskowym, nie tylko jako byłych studentów i obecnych żołnierzy, lecz także jako członków Komsomołu... Że będziemy wspierali swój kraj, swoją partię oraz podkreślali pilną potrzebę amerykańskiej pomocy...

– Uśmiechaj się – powtórzył Krasawczenko, patrząc na mnie z wściekłością. Nie był zadowolony z mojego wybuchu złości podczas śniadania w Białym Domu, a powinnam była słuchać jego rozkazów, więc spojrzalam w obiektyw i posłusznie rozciągnęłam usta. Konferencja zaczynała się dopiero za kilka dni. Wieczorne przemówienie dla

amerykańskiej prasy miało być nadawane na żywo przez radio z ambasady do całej Ameryki. Przełknęłam zdenerwowanie, spoglądając na morze aparatów fotograficznych i gawędzący tłum. Cała ta scena wydawała mi się równie obca jak Księżyc. Chciałam jedynie znaleźć Kostię i wrócić do walki, a zamiast tego wysłano mnie z misją propagandową na kontynent pełny niczego nieświadomych kapitalistów? Amerykanie nie lubili Rosjan. Nazywali siebie naszymi sojusznikami, ale jak dotąd zostawiali nas, byśmy tysiącami ginęli. Jak cokolwiek, co mogłam powiedzieć na tej konferencji prasowej, miałoby to zmienić?

– Szklankę wody, kroszka? – mruknął Aleksiej, stercząc nade mną.

– Sama mogę sobie przynieść wodę. Nie wymagam, żeby robił to dla mnie lekarz delegacji.

Właśnie taka trafiła mu się funkcja: został oficjalnym lekarzem radzieckiej delegacji do Waszyngtonu.

– Jak ci się udało wkręcić do tej misji? – wypaliłam w Moskwie, wciąż oszołomiona zaskoczeniem, jakie przeżyłam na jego widok. – Po co studenckiej delegacji chirurg wojskowy?

– Chcą, żeby radziecki lekarz, towarzysz broni cieszący się nieposzlakowaną opinią, zaspokajał wszelkie potrzeby delegacji związane z opieką zdrowotną, a przecież mam doświadczenie w zakresie medycyny ogólnej. – Aleksiej wyglądał promiennie i pewnie w nieskazitelnym mundurze, nie nosił na sobie ani śladu sewastopolskiego horroru. – A co do tego, w jaki sposób zdobyłem ten przydział... No cóż, naturalnie trzymałem rękę na pulsie, śledząc wszystkie wieści na temat swojej żony. – Poprawił Order Lenina wiszący na mojej piersi i jego palce zatrzymały się na chwilę na dumnej czerwonej baretce. – A naturalnie każdy mąż chciałby towarzyszyć żonie za granicą, gdyby wysyłano ją w tak długą podróż...

– Wykorzystujesz moje nazwisko, żeby wycofać się ze służby na froncie i zdobyć ciepłą posadkę – syknęłam, lecz nie można było nic na to poradzić. Nawet na drugim końcu świata nie udałoby mi się uciec przed mężem.

Potem nieustannie mi nadskakiwał: najpierw w Moskwie, podczas tych kilku gorączkowych dni, kiedy nas wszystkich instruowano i przygotowywano do podróży; potem podczas długiego lotu z Moskwy do

Teheranu i następnie do Kairu, gdzie wyłudził miejsce obok mnie. Podczas startu samolotu ściszałam kurczowo podłokietnik, a on zaproponował, że jeśli się boję, potrzyma mnie za rękę.

– Czego ty chcesz? – spytałam wprost.

Tylko się uśmiechnął.

– Nie mogę powiedzieć swojej żonie, jaka jest odważna? To twój pierwszy lot. Radzisz sobie wspaniale, kroszka.

– Och, bo przecież ty ciągle latasz samolotami – prychnęłam.

Uśmiech jednak nie schodził mu z twarzy, a gdy przylecieliśmy z Kairu do Miami, zapukał do drzwi mojego pokoju hotelowego i spytał, czy mam ochotę na spacer po plaży... „Wystawmy tę ładną buzię na odrobinę słońca”. Wszystkie te uprzejmości sprawiały, że byłam bardziej podenerwowana niż podczas dwudniowej obserwacji na froncie.

Odepchnęłam go teraz, patrząc z powrotem na rząd mikrofonów i aparatów fotograficznych, gdy prowadzono nas na stanowiska.

– Zechcą państwo zająć miejsca. Pani Pawliczenko na środku...

Zrobiłam, jak mi kazano, i choć nie mogłam pozbyć się męża, wypędziłam go przynajmniej ze swoich myśli. Siedzący po mojej prawej stronie Krasawczenko przekładał kartki ze swoim oświadczeniem, a z lewej rozparł się dumnie porucznik Pczelincew, nasz trzeci delegat studencki.

– Masz kawę na tunice – powiedziałam, a on o mało nie przewrócił kubka, chcąc jak najszybciej się wytrzeć. W gruncie rzeczy trudno go było nie lubić – pod pewnymi względami wcale się tak bardzo ode mnie nie różnił, był tylko sumiennym studentem uniwersytetu, zanim wojna skierowała go na inną drogę i zrobiła z niego snajpera. Nie mogłam jednak nie patrzeć na niego z pewnym cynizmem, ponieważ choć był ode mnie o trzy lata młodszy i jego oficjalne statystyki sięgały zaledwie połowy moich, został starszym porucznikiem, podczas gdy ja byłam młodszą porucznik, a w dodatku uczyniono go Bohaterem Związku Radzieckiego, a mnie jedynie Kawalerem Orderu Lenina. Nie zżerała mnie zazdrość o jego złotą gwiazdę, ale trudno było nie patrzeć na młodego wspaniałego porucznika Pczelnicewa i nie mieć wrażenia, że osiągnęłabym to, co on, gdybym po prostu urodziła się mężczyzną.

Zwiększ stan konta do czterystu, chłopczyku, pomyślałam, gdy w Moskwie pierwszy raz zauważyłam, jak Pczelincew spogląda na mnie z wyższością. Wtedy będziesz mógł patrzeć na mnie z góry.

To jednak nie moje imponujące dokonania zapewniły mi miejsce między Pczelincewem a Krasawczenką, i dobrze o tym wiedziałam. Słyszałam, jak dwie moskiewskie szychy spierały się o mój udział w delegacji, gdy zdejmowano ze mnie miarę na spódnicę od munduru, którą miałam teraz na sobie:

– Powinniśmy byli wybrać tego czołgistę, który studiował literaturę w Leningradzie, Wasilija Jakiegoś tam. Komu potrzebna kobieta w delegacji? One są zbyt uczuciowe, trudno nad nimi zapanować.

– Ale ta jest ładna i pokaże ZSRR w korzystniejszym świetle...

– Zaczynamy. – Szept Krasawczenki gwałtownie przywrócił mnie rzeczywistości. – Pamiętaj, słuchaj naszego tłumacza, nie amerykańskiego.

A mnie aż ścisnęło w gardle na widok Kostii spokojnie zajmującego miejsce przed stołem.

Skoro Aleksiej mógł pociągnąć za sznurki, by dołączyć do delegacji, ja także mogłam użyć swoich wpływów – i gdy tylko usłyszałam, jak Krasawczenko głądzi o zabranii naszych tłumaczy, zadbałam o to, by mój partner znowu znalazł się u mojego boku. Nie ułożyłam żadnego planu, po prostu powiedziałam bez zastanowienia: „Mogę polecić doskonałego tłumacza, przeniesionego niedawno do moskiewskiego okręgu wojskowego. To odznaczony żołnierz, płynnie włada angielskim i rosyjskim”. Ponieważ jeśli miałam jechać na drugi koniec świata i prawdopodobnie stanąć przed nowymi wrogami, mając za plecami co najmniej jednego starego wroga, chciałam mieć u boku swojego partnera.

I oto był, mój partner, prawie nie do poznania w wyprasowanym mundurze i z gładko ogoloną twarzą. Stał obok stołu delegacji, podpierając się laską, której wciąż potrzebował po tym, jak odłamek o mały nie rozerwał mu kolana, gdy upadał Sewastopol. Chciałam, żeby na mnie spojrzał i się uśmiechnął, lecz on przekładał kartki, poprawiając mikrofon. Po konferencji prasowej, pomyślałam. Wtedy będziemy mogli wreszcie porozmawiać... Znowu rozbłysły flesze w całym pomieszczeniu i zaczęła się audycja.

Gdy nas przedstawiano, poruszyłam się nerwowo na krześle, by pozbyć się uczucia, że jestem na widoku, nieuzbrojona, uwięziona na czymś nieprzyjaznym celowniku. Krasawczenko wydawał się w tego rodzaju okolicznościach obyty i odprężony, ja wolałabym być przebrana za krzak i trzymać w dłoni swoją trioelinijkę. Moja droga powrotna na front prowadziła jednak tą trasą. „Trzeba pokazać Amerykanom prawdę o naszej walce z nazizmem – pouczano nas w Moskwie, gdy przygotowywaliśmy się do tej podróży. – Potrzebujemy wsparcia... i właśnie to jest prawdziwy cel naszej delegacji, a nie jedynie siedzenie na spotkaniach z zagranicznymi studentami. Wytyczne pochodzą od samego towarzysza Stalina. – Surowe spojrzenie. – Nie możemy zmarnować tej szansy”.

Po tych słowach poczułam, jak mój kręgosłup się prostuje. Może i nie miałam karabinu w dłoni, lecz najwyraźniej ta misja także sprowadzała się do tej samej zasady: Nie wąż się spudłować.

– Propagandowe kukiełki – prychnął jakiś amerykański dziennikarz w pierwszym rzędzie, gdy audycja już trwała. Nie zawracał sobie głowy szeptaniem, ponieważ założył, że żadne z nas go nie rozumie. – Niech pokażą, co potrafią.

Podniosłam głowę. Tak, pokażmy.

Początkowo nie było źle. Krasawczenko przeczytał oświadczenie: straszliwie trudna sytuacja naszego kraju, jedność naszych cywili... Pczelincew przeczytał oświadczenie: gotowość Armii Czerwonej, by odeprzeć Niemców... Ja przeczytałam oświadczenie: najpierw trochę zaaprobowanych przez partię dyrdymałów o pozdrowieniach od radzieckich kobiet, a potem z zadowoleniem przeszłam do sedna.

– Naród radziecki przesyła podziękowania za waszą pomoc, lecz walka, którą prowadzimy, stawia nam coraz wyższe wymagania. Oczekujemy aktywnej pomocy i otwarcia drugiego frontu. – Usłyszałam Kostię tłumaczącego moje słowa ścisłym głosem; zobaczyłam poruszające się ołówki dziennikarzy. Wyprostowałam się na krześle. – Jako rosyjski żołnierz wyciągam do was rękę. Razem musimy pokonać nazistowskie potwory. – Na tym drukowana wersja mojego oświadczenia się kończyła, lecz uśmiechnęłam się i dodałam po angielsku: – Naprzód, ku zwycięstwu! – Ładny slogan, którym można było zakończyć chyba każde przemówienie.

Ludzie potrzebowali sygnału, że wystąpienie dobiegło końca i że można już zacząć klaskać.

Ambasador oznajmił, że można zadawać pytania, a ja zaczęłam układać sobie w głowie fakty i liczby, choć byłam przekonana, że większość pytań będzie zapewne skierowana do Krasawczenki.

Okazało się jednak, że prawie wszystkie są skierowane do mnie i wcale nie dotyczą wojny.

– Czy to prawda, że nosi pani przydomek Pani Śmierć?

Zaczęłam mówić, że można to także zinterpretować jako Pani Północ, ale od razu poczułam, że nikt tam nie chce zawiłych odpowiedzi. Chcieli prostych słów, które z łatwością można zmieścić w podpisach pod zdjęciami w gazecie.

– Tak – powiedziałam za pośrednictwem Kostii. Poinstruowano mnie, żebym korzystała z tłumacza podczas udzielania odpowiedzi na wszystkie pytania, nawet jeśli wystarczająco dobrze znałam angielski. (Bo kto wie, co mogłaby powiedzieć wybuchowa kobieta bez mężczyzny mogącego przesłać jej słowa, gdyby wymknęła się spod kontroli? Słyszając to, przewróciłam oczami, ale w sumie wolałam, by dziennikarze nie znali pełni moich możliwości, toteż uznałam, że będzie lepiej, jeśli pomyślą, że słabo znam angielski). – Czasami nazywają mnie Panią Śmierć. Oraz rysiem ze względu na sposób, w jaki poruszam się wśród drzew.

– Ludmiło, czy na froncie można wziąć ciepłą kąpiel?

Zamrugalam, zaskoczona trochę samym pytaniem, a trochę tym, że dziennikarz nie zawracał sobie głowy używaniem mojego stopnia wojskowego.

– Słucham?

– Kąpiel – powtórzył tyczkowaty facet z „Washington Post”. – Ciepłą. – Pokazał na migi, że się poci.

Przez chwilę wpatrywałam się w niego bez słowa.

– Tak, biorę ciepłe kąpiele ze dwa, trzy razy dziennie, ilekroć siedzę w okopie i trwa atak artyleryjski. To dopiero prawdziwa kąpiel! Tyle tylko, że kąpię się w piachu.

Moja odpowiedź wywołała zaskoczenie i salwę śmiechu. Potem wstał mężczyzna w kraciatym krawacie.

– Czy kobietom walczącym na froncie wolno używać szminki?

Zerknęłam na Krasawczenkę. Wykonał lekki ponaglający gest.

– Gdy lecą na ciebie kule, sięgasz raczej po karabin niż po szminkę.

Kostia tłumaczył moje słowa z niewzruszoną twarzą, ale dosłyszałam w jego głosie głęboko ukryte rozbawienie.

Potem odezwała się jakaś dziennikarka, która patrzyła na mnie, ściągając z niesmakiem usta.

– To pani mundur galowy czy codzienny?

– Nie mamy czasu na parady na...

– Ma bardzo nietwarzowy krój. Spódnica tej długości panią pogrubia! Nie przeszkadza to pani?

Powoli wypuściłam powietrze, gdy rosła we mnie złość, pozbawiając pomieszczenie kolorów. Podczas odprawy w Moskwie ostrzegano mnie: „Niektórzy Amerykanie będą przekonani, że kobieta nie może robić tego, co wy, Ludmiło Michajłowna, że jesteście aktorką przygotowaną przez propagandzistów. Wyprowadźcie ich z błędu, tylko delikatnie”.

Już rano podczas śniadania w Białym Domu postanowiłam, że jeśli pytania okażą się wystarczająco obraźliwe, nie będę sobie zawracała głowy delikatnością.

– Mundur swojej armii noszę z dumą – odpowiedziałam tej dziennikarce. – Jest przesiąknięty krwią moich towarzyszy, którzy polegli w walce. – Nagle przed oczami przemknął mi przerażający obraz krwi Loni wsiąkającej w moją tunikę, gdy odłamki wbiły się w jego płuca jak lodowe ostrza; obraz, na którym obryzgała mnie szara breja mózgu Fiodora Siedycha, gdy zakończyłam jego agonię na dachu w Sewastopolu. Oddychaj. Oddychaj. – Szkoda, że nie mogła pani doświadczyć nalotu bombowego. Proszę mi wierzyć, od razu zapomniałaby pani o kroju swojego ubrania.

Nawet nie widziałam następnego dziennikarza przez bezkształtną furję, która zamgliła mi wzrok. Usłyszałam tylko leciutką pożądlivość w głosie

tego mężczyzny.

– Ludmiło, jakiego koloru bieliznę preferujesz?

Kostia tego nie przetłumaczył. Tłumacz z ambasady owszem, lecz mój partner siedział, emanując zimną wściekłością, podobnie jak Krasawczenko i Pczelincew po obu moich stronach. O dziwo, wpłynęło to uspokajająco na szaleńczy rytm mojego tętna. Może jednak miałam przy sobie swój pluton.

Spojrzałam na tego dziennikarza i uśmiechnęłam się. Był to uśmiech, który skłaniał nowych rekrutów do cofnięcia się o kilka kroków, jeśli mieli choć krztynę rozumu.

– W Rosji – zaczęłam, kiwnąwszy głową do Kostii, żeby tłumaczył – za takie pytanie zostałby pan spoliczkowany. Takie pytanie może pan kierować do swojej żony albo kochanki. Nie jestem dla pana ani jedną, ani drugą, panie redaktorze, więc jeśli zechce pan podejść, z radością pana spoliczkuję.

Ku mojemu zaskoczeniu wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nawet mężczyzna, który zadał to pytanie, pokręcił ze smutkiem głową, jakby wiedział, że zasłużył sobie na moją ostrą reakcję. Nie ufałam sobie na tyle, by cokolwiek dodać, toteż wstałam, zanim ucichły brawa.

– Dziękujemy za pytania.

Wychodząc na korytarz, szykowałam się na reprimendę ze strony radzieckiego ambasadora, on jednak tylko spojrzał na mnie z ponurym rozbawieniem.

– Dobrze to ujęliście, Ludmiło Michajłowna. Te waszyngtońskie karaluchy...

– Czuję, że muszę przeprosić za naszych dziennikarzy. – Poważny ton pierwszej damy sprawił, że wszyscy się wyprostowaliśmy. – Potrafią dać się we znaki. – Towarzyszył jej kojarzący się z kometą ogon złożony z sekretarek i sługusów Białego Domu. Była ubrana w praktyczną granatową sukienkę. Jestem kobietą pracującą, mówiła ta sukienka, nie żadną strojnisią. Co wyraźnie kontrastowało z informacją, jaką usłyszałam podczas odprawy w Moskwie: „Arystokratka, milionerka, przedstawicielka klasy wyzyskiwaczy”.

Czy naprawdę taka była? Widziałyśmy się drugi raz; za pierwszym razem nie poszło nam najlepiej... uśmiechała się jednak równie serdecznie jak rano podczas powitania. Jeśli była na mnie zła, nie okazywała tego.

– Wszyscy państwo jesteście zaproszeni na kolację do pani Haabe, córki byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Związku Radzieckim – ciągnęła pierwsza dama, obejmując nas swoim uśmiechem. – Pomyślałam, że być może chcielibyście państwo od razu tam pojechać.

Zapanował dwujęzyczny rozgardiasz, gdy omawiano szczegóły, i w końcu wymknęłam się na najbliższy balkon, żeby zapalić papierosa, ponieważ równie rozpaczliwie potrzebowałam nikotyny co chwili samotności. Następne spotkanie pełne ciekawskich obcych ludzi w dniu, który zaczął się od krępującego śniadania, a po południu zmienił się w chaotyczną masę zebrań, zdjęć, przemówień... Pogmerałam w poszukiwaniu zapalek i zobaczyłam na balkonie czyjąś sylwetkę. Ten ktoś już palił – nie trzymał papierosa luźno między opuszkami palców, lecz osłaniał go odwróconą dłonią jak snajperzy, którzy nie chcą, by ogień zdradził ich pozycję. Zapaliłam papierosa, zaciągnęłam się i podeszłam do swojego partnera. Kostia stał nieruchomo jak słup, lustrując miasto. Tyle świateł elektrycznych! Waszyngton przypominał rozrzucone w mroku klejnoty. Powinno to wyglądać pięknie, lecz potrafiłam myśleć tylko o tym, jak negatywnie wpływa na moją zdolność widzenia w ciemności.

– Trzy – odezwał się w końcu Kostia.

– Ja widzę cztery – odpowiedziałam. – Gdzie są twoje?

Wskazał dach naprzeciwko, okno na piętrze po skosie, budkę telefoniczną na rogu ulicy – wszystkie najlepsze punkty obserwacyjne zapewniające prostą linię strzału do miejsca, w którym staliśmy.

– A twój czwarty?

Wskazałam punkt prawie bezpośrednio nad nami, okno na piątym piętrze.

– Dobry strzelec dałby radę: prosto między gzymsami.

– Wiatr boczny skomplikowałby sprawę.

– Ja bym trafiła. Ty też.

Było tyle rzeczy, o których chciałam mu powiedzieć. Można by pomyśleć, że mieliśmy mnóstwo okazji do rozmowy: wielogodzinne przygotowania w Moskwie, niekończące się przeloty, tych kilka dni w Kairze, gdzie kazano nam wszystkim paradować przed brytyjskimi i amerykańskimi ambasadorami i gdzie zdobywaliśmy pierwsze pobieżne szlify na bankietach i przed obiektywami. Nie mieliśmy jednak z Kostią okazji, by zamienić ze sobą więcej niż kilka pospiesznych słów. Gdy zobaczyłam go zaledwie dwa dni po tym, jak zaproponowałam go na stanowisko tłumacza delegacji, byłam zupełnie zaskoczona – zjawił się w biurze sekretarza ogorzały i wychudły, z Orderem Czerwonego Sztandaru połyskującym na piersi. Gdybyśmy mieli szansę paść sobie w koleżeńskie objęcia i przez chwilę spokojnie powspominać ostatni dzień w Sewastopolu, wszystko byłoby dobrze.

Teraz jednak staliśmy skrępowani, gapiąc się na siebie – chyba z trudem mnie rozpoznawał z nowymi medalami i w spódnicy; moje spojrzenie zatrzymało się na lasce w jego dłoni, na wywołanych bólem zmarszczkach bielących się wokół jego ust – i ta chwila minęła. Od tej pory miałam wrażenie, że ciągle ktoś przy nas jest, uniemożliwiając nam rozmowę: Krasawczenko trajkoczący o partyjnej notatce służbowej, brytyjski ambasador w Kairze zastanawiający się głośno, czy ja i Pczelincew jesteśmy prawdziwymi żołnierzami, nieodstępujący mnie na krok Aleksiej...

Teraz jednak mieliśmy wreszcie chwilę tylko dla siebie i pokazywaliśmy sobie linie strzału w wyimaginowanych pojedynkach. Wyobraziłam sobie, jak Lonia się z nas śmieje: „Ale z was pajace!”. Rozpaczliwa tęsknota przeszła mnie niczym kula. Jak kiedykolwiek zdołam sobie przypomnieć, jak to jest się śmiać, skoro nie ma już Loni?

– Wciąż masz fajkę Wartanowa? – spytał niespodziewanie Kostia, patrząc na papierosa w mojej dłoni.

Wyjęłam fajkę z kieszeni – talizman, który nadal wszędzie ze sobą zabierałam.

– Nigdy nie nauczyłam się jej palić, bez względu na to, ile razy próbował mnie nauczyć. – Poglaskałam bursztynowy ustnik, czując ucisk w piersi. – Nie mówiłeś, co się z nim stało.

– Oberwał w udo dzień przed moją ewakuacją. Kula trafiła w tętnicę. Wykrwawił się, zanim sprowadziliśmy sanitariusza.

Pochyliłam głowę za starego leśniczego, za jego umiejętność poruszania się wśród drzew niczym zjawą.

– A reszta? Burow, Wołkoński... – Słuchałam, jak Kostia wylicza ich wszystkich. Miałam nadzieję, że kogoś ewakuowano razem z nim, lecz ta nadzieja mnie opuszczała, gdy Kostia wymieniał kolejne nazwiska. – Mówisz, że z całego plutonu ocaleliśmy tylko...

– My. – Tak jak powiedział, gdy dołączyłam do niego w Sewastopolu po ewakuacji z Odessy. – Tylko my.

Ile bym dała za butelkę wódki i odrobinę prywatności. Moglibyśmy się kompletnie zalać, tak jak po śmierci Loni, wypłakać się na swoich ramionach, porozpaczać, powściekać się i wyjść po drugiej stronie. Tak się robiło, gdy straciło się przyjaciół na wojnie. Staliśmy jednak na balkonie w Waszyngtonie i w każdej chwili mogli nas wezwać z powrotem, byśmy pełnili jakąś przekłętą oficjalną funkcję, a ja nie wiedziałam, jak zwalczyć smutek, który zagęszczał powietrze między nami, upodobniając je do bursztynu.

– Kostia – zaczęłam, nie wiedząc nawet, o co zamierzam go spytać. Wciąż mam twoją Wojnę i pokój, chcesz ją z powrotem? Wybaczysz mi, że wyciągnęłam cię w tę podróż, gdy prawdopodobnie wolałbyś być na froncie i pomścić naszych przyjaciół? Myślisz, że sama chcę tu być, wśród tych wszystkich świateł i idiotycznych pytań?

– O, tu jesteście. – Aż podskoczyliśmy, słysząc donośny głos Krasawczenki. – Jedziemy do domu pani Haabe, ale w cadillaku nie zmieszczą się wszyscy delegaci i tłumacze.

– Pani Pawliczenko mogłaby pojechać ze mną – zaproponowała pierwsza dama, gdy zgasłam papierosa i wróciłam do środka, pospiesznie ścierając z twarzy frustrację. – Przyjechałam sama, a w moim samochodzie jest miejsce dla pasażera.

– Ja? – Wciąż miałam w pamięci jej słowa przy śniadaniu: „Amerykankom trudno byłoby panią zaakceptować”. Zinterpretowałam je tak, że to ona mnie nie akceptuje. Dlaczego zatem zapraszała mnie do swojego prywatnego samochodu?

Spojrzałam na nią, spojrzałam na nią naprawdę: bardzo wysoka kobieta, raczej schludna niż modna, emanująca energią kojarzącą się z trzaskami przed burzą. Wydatne zęby, życzliwe spojrzenie, niezaprzeczalnie przyjazny uśmiech, z którym na mnie patrzyła.

– Chętnie skorzystałabym z okazji, by lepiej panią poznać, droga Ludmiło.



Można chyba powiedzieć, że niełatwo mnie przestraszyć. Przeżyłam oblężenie Odessy, przetrwałam upadek Sewastopola. Zasłużyłam na przydomek Pani Śmierć.

Cóż, Pani Śmierć jeszcze nigdy nie była równie pewna, że za chwilę umrze.

– Na kolacji będzie Harry Hopkins, to wielki zwolennik zbliżenia między naszymi krajami. – Pierwsza dama pędziła swoim dwumiejscowym kabriolecikiem po szerokich waszyngtońskich alejach, jakby pilotowała tornado. Już na pierwszych światłach zostawiłyśmy w tyle cadillaca ambasady oraz oba patrole ochrony, radziecki i amerykański. Robiłam, co w mojej mocy, by trzymać się kurczowo i próbować nadażyć za jej angielskim. Czy żonom prezydentów wolno było coś takiego robić? Próbowałam sobie wyobrazić żonę towarzysza Stalina (gdyby ją miał) pędzącą po Moskwie jak pozbawiona eskorty rakieta i moja wyobraźnia zupełnie przy tym poległa. – Harry bardzo chciałby z panią porozmawiać o walkach pod Leningradem, Odessą i Sewastopolem.

– Nie walczyłam pod Leningradem, pani Roosevelt. – Gdy zbliżyłyśmy się do zakrętu, wcisnęłam się z powrotem w fotel. Na Lenina, chyba zamierzała zwolnić przed zakrętem?

– Gdziekolwiek pani walczyła, on chętnie pozna szczegóły. – Weszła w zakręt i pokonała go prawie na dwóch kołach. Chwyciłam za klamkę w drzwiach. – Od dawna przekonuje prezydenta, że choć wy, Rosjanie, stawiliście opór bezprecedensowej niemieckiej sile, przyszła pora, by zaproponować wam pomoc.

– Czas przeszły – zauważyłam, nie mogąc się powstrzymać i próbując ukryć grymas niezadowolenia.

– Droga Ludmiło, naprawdę rozumiemy pilną potrzebę pani ojczyzny, by powstał drugi front. – Głos pani Roosevelt brzmiał łagodnie, lecz bardzo stanowczo, nawet gdy mknęłyśmy jej samochodem kolejną długą aleją. – Być może nie jest pani świadoma trudności, jakie wiążą się z przedsięwzięciem takich środków. Mamy ręce pełne roboty na Pacyfiku: upadek Singapuru, wycofanie się z Filipin. Są tacy, którzy twierdzą, że musimy się skupić na Japonii, zamiast rozdzielać siły między Pacyfik a Europę, i trzeba uwzględnić tego rodzaju obawy.

Zamrugałam. W zasadzie nie wzięłam tego pod uwagę – tego, że Amerykanie także mogą mieć trudności z podziałem swoich sił na tej wojnie. Mieli tak wielkie siły, że wysłanie do nas pomocy wydawało mi się prostą sprawą, czymś, co można osiągnąć jednym machnięciem prezydenckiej dłoni. Tymczasem było inaczej. W ciemności poczułam, że się rumienię – być może na śniadaniu wytrąciłam pierwszą damę z równowagi, lecz ona zrobiła mi teraz to samo za pomocą kilku zgrabnych słów.

– Drugi front... to obsesja żołnierzy Armii Czerwonej – odrzekłam, z trudem znajdując właściwe słowa po angielsku. Słowa, które posłużyłyby jako gałązka oliwna podana w ramach przeprosin za moją zbyt wąską perspektywę, lecz jednocześnie nie byłyby przeprosinami za staranie się o coś, czego przecieŜ naprawdę rozpaczliwie potrzebowaliśmy od jej kraju. – Jesteśmy za blisko przemocy i walki, by zachować obiektywizm. Poza tym oczywiście rozumiem jak snajper, skupiając się wyłącznie na tym, co mam na celowniku... – Znowu zamilkłam, gdy światła niespodziewanie zmieniły się na czerwone i zaparłam się w fotelu, by nie wylecieć przez szybę podczas gwałtownego hamowania.

– Naturalnie, myśli pani przede wszystkim o mężczyznach i kobietach walczących razem z panią w okopach. I pragnę panią zapewnić, że my też o nich nie zapominamy. Podczas dzisiejszej kolacji spotka pani ludzi popierających pani sprawę, lecz znajdą się tam także jej przeciwnicy... – Pierwsza dama oderwała ręce od kierownicy i kontynuowała tonem pogawędki, błyskając okazałymi zębami jak typowa rozplotkowana pięćdziesięcioośmiolatka gawędząca o swoich wnuczętach. Z tą różnicą, że ona rozkładała na części antyradzieckie frakcje, których przedstawiciele

mogłam się spodziewać na uroczystej kolacji, i nie zamilkła, by zaczerpnąć powietrza, gdy światła znów się zmieniły i wystrzeliłyśmy przed siebie, osiągając prędkość, której nie powinny chyba rozwijać pociągi, a co dopiero automobile. Żona prezydenta jest szalona, pomyślałam, trzymając się drzwi ze wszystkich sił. Rzuciła mi rozbawione spojrzenie, jakby zgadła, co pomyślałam, lecz za nic w świecie nie zamierzałam jej prosić, żeby zwolniła. A ona tego nie proponowała.

– Naprawdę ma pani trzysta dziewięć trafień na koncie?

Tak. Nie. Może? Wiedziałam, że oficjalnie mój licznik przekroczył trzysta, lecz w ostatnich chaotycznych dniach przed upadkiem Sewastopola przestałam liczyć trafienia. Kto miałby na to czas, gdy Niemcy nieubłaganie posuwali się naprzód? „Ale Amerykanie będą chcieli usłyszeć konkretną liczbę”, upierał się sekretarz w Moskwie, toteż zdecydowano się na liczbę trzysta dziewięć. Za mało mnie to obchodziło, żebym protestowała. Tak naprawdę miałam pewnie ponad czterysta trafień, lecz nikt nie wydawał się zainteresowany skomplikowaną odpowiedzią i wszyscy woleli tę prostą.

– Trzysta dziewięć, da – odpowiedziałam pierwszej damie.

– Wie pani, to, że zna pani angielski, przyniesie pani korzyść na takich imprezach jak dzisiejsza kolacja – powiedziała pani Roosevelt, przemykając bez zwalniania na żółtym świetle. – Mówi pani naprawdę bardzo dobrze. Gdzie się pani nauczyła?

– Pierwszych lekcji udzielała mi matka, kiedy byłam małą.

– Jest nauczycielką?

– Da... – Przygryzłam wargę, bo omal nie zarysowałyśmy ciemnozielonego packarda. – Interesuje to panią?

– Amerykanie chcą lubić ludzi – oznajmiła niespodziewanie. – Chcemy lubić wszystkich. To jedna z naszych lepszych cech. Ale potrzebujemy jakiegoś powodu, Ludmiło. Pani Rosjanie z tymi oświadczeniami i ustalonymi z góry tematami do rozmowy... To wszystko świetnie się nadaje na zebrania polityczne, ale Amerykanie chcą poznać panią. Młodą kobietę stojącą za oficjalnymi oświadczeniami. Chcą wiedzieć, kim są pani rodzice, co lubi pani jeść...

– Jaką noszę bieliznę? – Nie zdołałam się powstrzymać. Wyobraziłam sobie śmiech Leny: „Może i jest pierwszą damą, ale poza tym pyskata z niej jankeska! A nie możesz pozwolić, żeby pyskate jankeski stawiały na swoim”. – Takie rzeczy chcą o mnie wiedzieć Amerykanie? Jaką noszę bieliznę?

– Byliby wdzięczni, mogąc poznać od podszewki pani charakter – odrzekła taktownie pani Roosevelt. – Pytanie o podszewki pani ubrań może pani oczywiście zignorować.

– Ale mój charakter, moja rodzina... te sprawy nie mają tu nic do rzeczy. To nie są sprawy publiczne. – Próbowałam znaleźć odpowiednie słowa, gdy kabriolet zatrzymał się z piskiem opon przed okazałym waszyngtońskim domem z czerwonej cegły otoczonym olbrzymim trawnikiem. Okna jaśniały światłem. Widziałam kobiety w atlasowych sukniach poruszające się za szybami, kelnerów z tacami pełnymi przekąsek. – Ważny jest powód, dla którego się tu znalazłam. Mówi pani, że prezydencki doradca pan Hopkins chce poznać szczegóły naszej walki. Dlaczego tylko on? – Mimowolnie podniosłam głos. – Dlaczego nie obchodzi to waszych dziennikarzy? Czytelników ich gazet?

– Proszę dać im szansę, by panią lepiej poznali – odrzekła Eleanor. – Niech pani sprawi, żeby zaczęło ich to obchodzić.

– A jeśli mi się nie uda?

– Nie znoszę tego tak ujmować, droga Ludmiło, ale nie przyjechała tu pani na długo. Ma pani niewiele czasu, żeby zjednać sobie Amerykanów.

– Bez obaw, pani Roosevelt. – Spojrzałam na trwające w rezydencji przyjęcie i wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić. – Gdy mam jakiś cel, nie pudłuję.

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Dobrze się spisała. Nie jest łatwo wejść na przyjęcie w Waszyngtonie i bronić swojego zdania wśród tych wszystkich leniwych, ciekawskich spojrzeń (och, jak drżały mi kolana na widok tych eleganckich, sączących drinki matron, gdy byłam młodą panią Roosevelt!). Zwłaszcza jeśli trzeba

się posługiwać obcym językiem – Ludmiła mówi po angielsku z akcentem, ale bardzo dba o gramatykę.

Dochodzi północ, gdy towarzyszę naszym radzieckim gościom w drodze powrotnej do Białego Domu. Rozchodzą się do swoich pokoi, sprawiając wrażenie wykończonych, lecz mnie czeka jeszcze wiele godzin pracy: szkic przemówienia, które mam wygłosić w stoczni marynarki wojennej na Brooklynie, tekst do rubryki Mój dzień, którego jeszcze nie dokończyłam. Franklin będzie już pewnie spał, a przynajmniej mam tę nadzieję, bo wolałabym nie widzieć, jak rozmyśla o wrogach knujących intrygi pod osłoną mroku ani o tym, co mogą albo czego nie mogą planować. Najlepszy sposób, żeby przestał o tym rozmyślać, to czymś go zaintrygować, a ja doskonale wiem, jak to zrobić. Przystając na chwilę w nieoświetlonym korytarzu przed jego sypialnią, kiwam głową do funkcjonariusza Secret Service, który pełni tam służbę, i zapisuję szybko notkę do koszyka Eleanor, po czym wsuwam ją pod drzwi z myślą o jutrzejszym porannym przestudiowaniu. Bolać mnie stopy, gdy idę do swojego gabinetu, przerzucając już kartki z przemówieniem, które wygłoszę w stoczni, i nie mogę się doczekać, kiedy zdejmę buty.

„Polubiłbyś Ludmiłę Pawliczenko – brzmi mój liścik do Franklina. – Poza tym wpadłam dzięki niej na pewien pomysł”.

25

Nagłówek: SNAJPERKA LUDMIŁA PAWLICZENKO SPĘDZIŁA SWOJĄ PIERWSZĄ NOC W WASZYNGTONIE POD DACHEM PREZYDENTA.

Prawda: Snajperka Ludmiła Pawliczenko odkryła, że nawet pod dachem prezydenta nie uniknie osób, które życzą jej śmierci.

Przez chwilę tylko wpatrywałam się w nią bez słowa: w złożoną kartkę białego papieru, którą włożono do nieopisanej koperty i wsunięto pod drzwiami mojego pokoju, gdy spałam. Żadnego pozdrowienia, żadnego podpisu, jedynie napisane kanciastą cyrylicą słowa bijące w moje zaspane oczy.

WRACAJ DO DOMU KOMUNISTYCZNA DZIWKO

BO INACZEJ TU UMRZESZ

Jak przez sen uświadomiłam sobie, że ręka, w której trzymam tę kartkę, drży. Nie z powodu słów – już wcześniej nazywano mnie dziwką i z pewnością grożono mi już śmiercią. Chodziło raczej o to, że ktoś dotarł do mnie nawet tutaj, w Białym Domu. Przyszedł pod moje drzwi, gdy wróciłam z wieczornej konferencji prasowej, i wepchnął mi pod drzwi swoją nienawiść, żebym mogła ją znaleźć wkrótce po przebudzeniu.

Ktokolwiek to był, chciał, żebym wiedziała, że może mnie zdenerwować. Nawet tutaj.

Rozejrzałam się po okazałej sypialni, do której pani Roosevelt zaprowadziła mnie zaledwie poprzedniego dnia rano.

– Podczas wizyt w Waszyngtonie mieszkają tu pan Churchill oraz Märtha, księżna Norwegii. – Członkowie żadnej rodziny królewskiej nie robili na mnie wrażenia, ale z pewnością byłam pod wrażeniem, mogąc położyć głowę w miejscu, gdzie premier Wielkiej Brytanii kładł swoją. Były tam: duże łóżko z różowym baldachimem, pasiaste kanapy i stoliki nakryte koronkowymi obrusami, toaletka i garderoba. Prywatna łazienka, której nie musiałam dzielić z ośmiorgiem sąsiadów z Moskwy mieszkających po drugiej stronie korytarza... Poprzedniego wieczoru wylegiwałam się bez skrpułów w dużej wannie, a potem na niewiarygodnie miękkich poduszkach, rozmyślając o tym, jak bardzo się to różni od błotnistych okopów na linii frontu. W takim łóżku nawet osoba mojego pokroju mogła odpłynąć w sen i poczuć się bezpieczna.

Spojrzałam na nabazgrane pogrożki, które trzymałam w dłoni. Już nie.

– Markotnie pani wygląda, moja droga – powitała mnie pierwsza dama, gdy zeszłam na śniadanie. Krasawczenko i Pczelincew zajadali już jajka z bekonem. – Kiepsko pani spała?

– Pani przyjaciel pan Hopkins za często dolewał mi wczoraj wieczorem whisky, pytając o front sewastopolski. – Przykleiłam do twarzy promienny uśmiech, rozkładając gazetę.

– Doniesienia z wczorajszej konferencji prasowej są naprawdę bardzo pochlebne – powiedziała pierwsza dama, nalewając gorącej herbaty do delikatnej porcelanowej filiżanki. – Elsa Maxwell uroczo panią opisała w „New York Post”. Proszę posłuchać: „To, co posiada porucznik

Pawliczenko, to coś więcej niż jedynie uroda. Jej niezmacony spokój i pewność siebie biorą się z tego, co musiała znieść i czego doświadczyła. Ma twarz Madonny z obrazu Correggia i dłonie dziecka, a jej oliwkową tunikę z czerwonymi oznaczeniami nadpalił ogień zaciekłych walk...”.

Te kwieciste słowa wywołały rumieniec na mojej twarzy, ale po drugim artykule – w którym napisano, że mam „lodowate spojrzenie bezwzględnej zabójczyni” – zapłonęłam gniewem. Wystarczył jeden dzień w Waszyngtonie i już znaleźli się ludzie, którzy mnie nie lubili. Nie, gorzej – odsunęłam gazetę i dotknęłam złożonej karteczki w kieszeni: „Wracaj do domu ty komunistyczna dziwko albo tu umrzesz”.

Wystarczył jeden dzień w Waszyngtonie i już musiałam na siebie uważać.



– Za kilka dni wrócić do Białego Domu na konferencję studencką – oznajmił nam wszystkim radziecki ambasador, gdy w południe zebraliśmy się w jego gabinecie po konferencji prasowej. – Ale od dziś będziecie mieszkali niedaleko ambasady, w hotelu oddalonym o kilka przecznic stąd. Popołudnie możecie wykorzystać na zwiedzanie na własną rękę. Wieczorem jest przedstawienie w teatrze narodowym, na którym ma się stawić cała delegacja. – Sprawdził notatki. – Tytuł opery to Madama Butterfly.

Nie byłam w operze, odkąd widziałam Traviatę w Odessie w dniu wybuchu wojny. Wtedy wyszłam w przerwie, nie zaczekawszy nawet, by zobaczyć taniec Wiki. Zastanawiałam się, czy Wika wciąż jest czołgistką, czy może wróciła do swoich point i pochyłych scen.

Albo już zginęła. Zginęło tak wiele osób, które znałam. A ja wybierałam się do opery...

Poczułam nagłą i gwałtowną potrzebę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, i gdy już pozwolono nam się rozejść, postanowiłam pospacerować po mieście. Najwyższa pora, bym zobaczyła jakąś część Ameryki, która nie przemykała za oknem pociągu ani której nie przysłał rząd mikrofonów – nie mogłam się nadziwić blichrowi i dobrobytowi tego miasta. Nikt by się nie domyślił, że trwa wojna, patrząc

na mężczyzn w lśniących butach, których nigdy nie łątano, na kobiety w eleganckich kapeluszach i sukienkach ze sklepu, na dobrze odżywione dzieci z pucołowatymi policzkami. Lśniące automobile, budynki niepoznaczone kraterami po bombach, sklepy bez kolejek ciągnących się daleko za drzwiami... A ja się w to wszystko wtapiałam, przechodnie mijali mnie, nawet nie patrząc na moje płócienne pantofle i sukienkę z koronkowym kołnierzykiem. Byłam tylko jeszcze jedną osobą oglądającą wystawę sklepowe, a nie zimnokrwistą zabójczynią o lodowatym spojrzeniu, o której ci ludzie czytali, pijąc rano kawę. Nie „komunistyczną dziwką”.

Odepchnęłam od siebie tę myśl, nim zdążyła popsuć mi dzień.

– Cieszysz się, że wieczorem idziemy do opery? – spytałam odważnie swojego ochroniarza, gdy ciężko stąpając, szedł tuż obok mnie. – Lubisz Pucciniego?

– Nie, towarzyszeko Pawliczenko. To zachodnia rozrywka, więc jest dekadenska.

Westchnęłam. Każdemu z członków delegacji przydzielono goryla, jednego z dyskretnych członków partii w ciężkich garniturach, których zadaniem było nie odstępować nas na krok, gdy wychodziliśmy z ambasady. Poprzedniego dnia zdawkowo przeciw temu zaprotestowałam – myśleli, że co zrobię, ucieknę? Gdy mój syn został w domu? – ale ochroniarz był obowiązkowy, a mój nazywał się Jurij Juripow; w szarym wełnianym płaszczu wyglądał jak blok betonu i miał też osobowość godną bloku betonu. Gdy włókł się za mną wzdłuż sklepów, czułam się, jakbym weszła do basenu, mając na sobie betonową obręcz.

– Co powiecie na małe zakupy, towarzyszu Juripow? Kilka luksusowych drobiazgow dla żony w Moskwie?

Tylko spojrział na mnie z obojętną miną. W zasadzie nie można było oczekiwać rubasznego poczucia humoru od kogoś, kto zrobił karierę w NKWD, ale sporadyczny uśmiech byłby całkiem przyjemny. Wyobraziłam sobie, jak Lena chichocze, mówiąc: „Założę się, że na imprezach sypie żartami jak z rękawa”. Rozpaczliwie marzyłam o tym, by była tu zamiast niego. Stałaby z nosem przyciśniętym do wystawy najbliższego butiku i pożerała wzrokiem sukienki na manekinach. „Patrz,

jakie piękne – piałaby z zachwytu. – W tej wyglądałabym jak Hedy Lamarr!”.

– O, tak – powiedziałam na głos, przystając, by spojrzeć na sukienkę na wystawie: żółtą kreację wieczorową z atłasu w kolorze maślanego słońca, z głębokim dekoltem z przodu i spódnicą spływającą z obcisłej talii ku podłodze. Nie mogłam oderwać oczu od tego koloru – snajper nigdy nie włożyłby czegoś takiego, ten kolor zmieniłby go w tarczę. Spędziłam cały rok, próbując się kamuflować, wtapiać w tło, a teraz nagle zapragnęłam barwy.

Bo i czemu nie? Miałam w kieszeni pieniądze, których dotąd nie było okazji wydać, a Pani Śmierć chciała dla odmiany odrobiny życia. Północnica chciała się ubrać w trochę słońca.

– Mógłbyś tu chwilę poczekać? – spytałam Jurija. – Czy zamierzasz wejść razem ze mną do przebieralni?

– Nie, towarzyszeko Pawliczenko. Moje wytyczne tego nie obejmują.

– Dobrze i to – mruknęłam i weszłam do środka. Pół godziny później, wychodząc z torbą w dłoni, ujrzałam nieprzyjemny widok: Aleksiej stał oparty o słup latarni i palił z Jurijem papierosy.

– Czyżby ładna pani kupowała sobie ładne rzeczy? – spytał mój mąż.

– A co, zamierzasz na mnie donieść, że uległam zachodniej dekadencji? – odparowałam. – Kiedy połowa uczestników tej delegacji pobiegła kupować całe worki szminek i nylonów zarówno dla swoich żon w Moskwie, jak i dla kochanek z Bolszoja?

– Nietrudno zauważyć, że z takich wycieczek można czerpać dodatkowe korzyści. Nylony i szminki to dopiero początek. – Aleksiej zrównał krok z moim. Już zdążył się wyposażyć w zachodni garnitur z eleganckiego, miękkiego tweedu, który dodał jego szczupłej sylwetce swobodnej elegancji. – Za rogiem jest jeden z hoteli Hot Shoppes z kawiarnią o niebo lepszą niż te z czeburkami w Odessie. Pozwól, że postawię ci piwo korzenne. – Obejrzał się na mojego ochroniarza, który trzymał się trzy metry za nami. – Jurijowi też.

– Moje wytyczne nie obejmują piwa korzennego – oznajmił beznamiętnie Jurij.

– Moje też. – Słyszałam, że niedaleko jest park, więc zawróciłam i poszłam po Decatur Street. Snajperka nie mogła za długo oglądać wystaw, ponieważ zaczynała tęsknić do drzew i zarośli.

A może po prostu szukałam osłony. Miejsce między łopatkami swędziało mnie, odkąd rano dostałam nabazgraną na kartce pogrózkę, a teraz nękał mnie jeszcze Aleksiej.

– Zaczekaj, kroszka. – Mój mąż szedł za mną, a za nim szedł Jurij. Na szczęście nie uznano Aleksieja za osobę na tyle ważną, by jemu także przydzielono ochroniarza (och, na pewno go to zdenerwowało), bo w przeciwnym razie wyglądałabym, jakbym prowadziła paradę. – Napij się ze mną piwa korzennego. Polubisz je.

– Tym, czego nie polubię, jest branie czegokolwiek od ciebie, Aleksiej.

– Dawniej mówiłaś do mnie Alosza. Nie w miejscach publicznych, ale gdy byliśmy tylko we dwoje, i nie tyle mówiłaś, ile jęczałaś.

Zatrzymałam się na skrzyżowaniu Decatur z Blagden i omal nie zderzyłam się z kobietą niosącą torebkę z lakierowanej skóry.

– Aleksiej, czego ty chcesz? Dlaczego się tak zachowujesz?

Jego oczy się śmiały.

– Niby jak?

O mało nie krzyknęłam ze złości. To niesprawiedliwe, że potrafił aż tak zaleźć mi za skórę. Niesprawiedliwe.

– Mniejsza z tym. Idę pospacerować w parku.

– W takim razie pójdę z tobą. Towarzyszu Juripow, czy moglibyście dać nam chwilę na osobności? – spytał Aleksiej. – Chciałbym porozmawiać z żoną.

Jurij zatrzymał się i nie pytając mnie o zdanie, zaczekał, aż oddalimy się o kilka metrów. Nie wszyscy w delegacji wiedzieli, że Aleksiej jest moim mężem, lecz dla NKWD najwyraźniej nie było to tajemnicą. Westchnęłam, czując pokusę, by powiedzieć Aleksiejowi, że wolałabym się znaleźć w pasie ogniowym, niż gdziekolwiek z nim iść, lecz jeśli ja i mój mąż mieliśmy się ze sobą rozmówić, lepiej było to zrobić z dala od ambasady. Dlatego wzruszyłam ramionami i poszłam szybkim krokiem w stronę

parku Rock Creek zgodnie ze wskazówkami recepcjonisty hotelu. Spodziewałam się poskromionego skrawka trawnika otoczonego miastem, lecz okazało się, że to prawdziwy kawałek lasu w samym sercu stolicy. Wyglądało to jak całe kilometry zarośli, głązów i drzew: niektóre trzymały się kurczowo swoich zielonych igieł, inne zmierzały już ku czerwonej i złotej jesiennej wspaniałości. Nawet ciągnąc za sobą tę denerwującą swiętę, nie mogłam nie zachwycić się tym widokiem.

– Na pewno nie wolałabyś pójść na hamburgera? – spytał Aleksiej, wciąż idąc obok mnie spokojnym krokiem, gdy lawirowałam wśród buków i dębów. – Spróbowałem czegoś, co nazywają Mighty Mo: przypalone mięso i pozbawione smaku białe pieczywo, dziwnie uzależniające. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spróbować więcej amerykańskiego jedzenia. Zobaczyć więcej tego kraju...

Pochyliłam głowę, żeby przejść pod gałęzią zwisającą nad ścieżką, która prawie nie zasługiwała na to miano.

– Spędzimy tu jeszcze tylko jakiś tydzień.

– Ale dla ciebie to na pewno dopiero początek. Zaaprobował cię sam szef. To oznacza, że mogą być kolejne zagraniczne wycieczki, podróże, przywileje... Na naszą rodzinę spłyną uroki sławy.

– Sława jest ulotna. – Zignorowałam tę „naszą rodzinę” i szłam dalej, kołysząc torbą ze sklepu. – Zamierzam wrócić na front. Jakie są szanse, że przetrwam następny rok? Gdy mnie zabraknie, moje nazwisko będzie pamiętała tylko moja rodzina, i to mi wystarczy.

– Być może partia ma wobec ciebie większe plany. – Aleksiej nie wydawał się zrażony zwisającymi gałęziami i szedł pod górę pewnie niczym kozica górską wspinająca się po zboczu ku wystającej skale. – To się nazywa widok!

Dotarłam na górę, ignorując jego wyciągniętą rękę, i przez chwilę stałam, patrząc na bardziej stromy grzbiet w dole, zanurzony w gęstwinie kalmii szerokolistnej i rozbrzmiewający trzepotaniem skrzydeł drozdów. Doskonale miejsce do obserwacji, pomyślałam odruchowo. Można by się tu położyć z karabinem i zdjąć każdego, kto pojawiłby się na zboczu.

– Co słyhać u Sławki? – spytał Aleksiej, podwijając nieskazitelnie czyste mankiety.

– Nigdy mnie nie pytałeś, co słyhać u twojego syna. – Odwróciłam się, by zejść ze skały, i poczułam, jak na dźwięk imienia Sławki, napięły się wszystkie moje zmysły.

– Mimo to mam prawo wiedzieć.

– To kwestia dyskusyjna. – Znowu ruszyłam żwawym krokiem po krętej ścieżce. – Jest zdrowy, skoro już musisz wiedzieć. Doskonale się uczy.

– Minęło bardzo dużo czasu, odkąd ostatni raz go widziałem, ale na pewno wyrasta na przystojniaka. Zawsze uważałem, że ma moje oczy.

– Pamiętam, jak powiedziałaś, że w ogóle nie jest do ciebie podobny, i spytałeś, czy to na pewno twój syn.

– Byłem wtedy dupkiem. – Aleksiej uśmiechnął się ze smutkiem, lecz dosłyszałam złośliwą nutę, która wkradła się do jego głosu. – Ale czy to wyłącznie moja wina? Twój ojciec zmusił mnie do ślubu, na który nie byłem gotowy. Miałem do wyboru: ożenić się z tobą albo się martwić, że wyśle za mną kogoś, kto mi obetnie kciuki. Dziwi cię, że mam z tego powodu żal? Skoro zostałem zmuszony?

– Nikt cię nie zmuszał, żebyś uwodził piętnastolatkę. – Usłyszałam, jak mój głos robi się piskliwy.

– Przecież przepraszam, Milu. – Wykonał jeden z tych drobnych gestów mówiących „uspokój się”, na których widok miałam ochotę zdzielić go najbliższym tępym kawałkiem betonu. Aktualnie byłby to towarzysz Jurij Juripow, wlokący się za nami i robiący wszystko, co w jego enkawudowskiej mocy, żebyśmy nie zaczęli wyjawiać tajemnic państwowych pierwszemu lepszemu wiązowi. – Nie jestem tu po to, żeby się z tobą kłócić – ciągnął Aleksiej. – Jestem tu, żeby wszystko naprawić. Po powrocie do domu chcę zobaczyć naszego syna.

Przyspieszyłam kroku.

– Nie.

– Milu, mężczyzna potrafi przyznać, że popełnił błędy. Wtedy nie byłem dobrym mężem i ojcem. Pozwól, że ci to teraz wynagrodzę. Koniec końców Sławka wciąż jest moim synem.

Nagle pożałowałam tego spaceru wśród drzew. Nie było tam takich tłumów, jakich się spodziewałam: bawiących się dzieci, kobiet z wózkami,

piknikujących studentów. Tylko kilku spacerowiczów w oddali, kolorowe plamki jaskrawych kurtek, oraz tyczkowaty obserwator ptaków z lornetką... Poza tym jednak w tym pochłaniającym dźwięki lesie nie było żywego ducha oprócz Jurija. A miałam wątpliwości, czy Jurij by interweniował, gdyby Aleksiej chciał mi zrobić krzywdę. Wytyczne ochroniarza obejmowały powstrzymywanie mnie przed niewłaściwym zachowaniem, a nie wtrącanie się w relacje małżeńskie. Usłyszałam szmer strumyka w pobliżu i ruszyłam w jego stronę. Płynąca woda oznaczała odsłonięte brzegi, a nagle zapragnęłam mieć pole jakiegoś manewru.

– Nawet ty musisz przyznać, że każdy chłopiec potrzebuje ojca – namawiał mnie Aleksiej, najwidoczniej nieświadomy mojego zdenerwowania. – Kogoś, kto go nauczy grać w hokeja, pomoże w odrabianiu lekcji...

Sławka dostałby to wszystko od Loni. Tak łatwo było zobaczyć przyszłość, której już nie mogliśmy mieć, nas troje jeżdżących zimą na łyżwach w parku Gorkiego... Gwałtownie zamrugałam, chcąc usunąć łzy z oczu, i stanęłam nad korytem strumienia. Nie było głębokie, był to raczej kręty strumyk usłany kamieniami, lecz po mojej lewej stronie wznosił się mostek, którego stare przęsła ułożono z masywnych kamiennych bloków, więc poszłam w jego kierunku.

– Wiesz, że Sławka potrzebuje ojca. Po co w przeciwnym razie wiązałaś się z tym porucznikiem? – spytał Aleksiej, czytając w moich myślach, mimo że idąc za mną, nie widział mojej twarzy. – Ale jego już nie ma i to mi uświadomiło, że pozwoliłem, by coś dobrego wymknęło mi się z rąk.

Dotarłam na środek mostku i rozejrzałam się. Piękne miejsce. Ogromne drzewa rozpościerały się na obu brzegach, w dole wesoło bulgotał kamienisty strumień, w górze trzepotały czerwono-złote łuki z jesiennych liści. Jakaś częśćka mnie nie mogła się nadziwić, że widzę coś tak pięknego w środku miasta, dziką przyrodę pozostawioną w nieskazitelnym i doskonałym stanie, by uzdrawiała dusze zmęczone kamiennymi budynkami i chodnikami. Inna częśćka mnie była jednak nieufna jak nigdy dotąd, świadoma obecności mojego męża, każdego jego ruchu i każdego spojrzenia.

– Czego chcesz? – spytałam w końcu spokojnym głosem. Doskonale wiedziałam, czego chce, ale nie chciałam mu tego ułatwić.

– Chcę cię odzyskać, Milu. – Aleksiej oparł dłoń na barierce, wyciągając ją do mnie w zapraszającym geście. – Ty, ja, Sławka. Znów będziemy prawdziwą rodziną. Nie wyobrażam sobie lepszej okazji, byśmy zaczęli wszystko od nowa, niż ta delegacja.

– Nie – odparłam. – Po tysiącokroć nie. Nie.

Jego uśmiech nawet nie drgnął.

– Wiem, że będę musiał się postarać, żeby cię odzyskać, kroszka. Zabiegać o ciebie jak należy, tak jak powinienem był za pierwszym razem.

– Nie jestem już dla ciebie trochę za stara? – Widziałam, jak wodzi wzrokiem za ledwie zaokrąglonymi biodrami nastolatek, które mijaliśmy na Decatur Street.

– Wtedy byłaś dziewczyną. Teraz jesteś kobietą. W życiu mężczyzny przychodzi taka pora, kiedy docenia kobietę...

– Chciałeś powiedzieć, kiedy docenia bohaterkę wojenną. Kobietę, którą czekają partyjne przywileje. – Jeśli Aleksiej już myślał o zagranicznych podróżach, na które bym zasłużyła, gdybym przetrwała wojnę, to na pewno myślał też o dużym mieszkaniu w Moskwie, o partyjnych przyjęciach połączonych z obfitością kawioru i szampana, o prezentach, łąpówkach i miejscach przy stole wysokich urzędników. Sława, wygoda, bogactwo – być może wolałby zarobić na to wszystko sam, lecz skoro nie zdołał zostać gwiazdą i musiał podczepić swoją trojkę do innej gwiazdy, był gotów wyjąć uprzęż i zacząć się podpinać.

Potrzebował jedynie, by klacz weszła w chomąto, które dla niej trzymał.

– Wyobraź sobie, jakie mielibyśmy życie – mówił miękko, przekonująco. – Te suknie i klejnoty, które ci podaruję, te przywileje dla Sławki...

– Nie jestem aż taka sławna, jak ci się chyba wydaje. To życie w luksusie, które mnie według ciebie czeka...

– Które nas czeka.

– Nawet gdyby to było możliwe – wątpiłam, by moja zła sława była trwalsza niż płomień zapalki – dlaczego miałbyś mi być potrzebny?

Wszystko, co możesz obiecać naszemu synowi, mogę dać mu sama. – Zignorowałam jego wyciągniętą rękę. – Wszystkie te przywileje, o których mówisz, będą płynęły ode mnie.

– Oprócz nazwiska. – Coś w jego uśmiechu drgnęło. – Nazwisko, pod którym zdobyłaś sławę, Milu. Ono wciąż jest moje.

– Świat zna mnie jako Panią Śmierć, a na ten przydomek zasłużyłam sama. Niczego ci nie jestem winna z powodu nazwiska.

– Coś jednak jesteś mi winna. Czy nie pozwoliłem ci być z tym twoim porucznikiem w Sewastopolu?

Wściekłość na chwilę odebrała mi mowę.

– Pozwoliłeś mi?

– Każdy wiedział, że to długo nie potrwa, więc ci na to pozwoliłem. I tak prędzej czy później odpadłby z gry, albo ty byś odpadła, więc nie robiłem afery... Naprawdę, większość mężów nie byłaby aż tak wyrozumiała. Ale teraz wszystko się zmieniło...

Jakiś drozd wystrzelił z pobliskich zarośli niczym pocisk, gdy zaopatrzonego w lornetkę obserwatora ptaków nadszedł ciężkim krokiem wzdłuż strumienia, błyskając soczewkami. Omal nie wyskoczyłam ze skóry, słysząc ten nagły hałas, a Aleksiej uśmiechnął się odrobinę szerzej.

– Rozwiode się z tobą zaraz po powrocie do Moskwy – zapowiedziałam mu, żałując, że okazałam słabość, po czym ruszyłam z powrotem w stronę beznamietnego Jurija na brzegu. Chciałam się wydostać z tego lasu. Chciałam się znaleźć w swoim pokoju w waszyngtońskim hotelu. Gdzieś, gdzie solidne drzwi mogłyby mnie bezpiecznie odgradzić zarówno od męża, jak i od wszystkich anonimowych wrogów piszących listy z pogrózkami.

– Wcale tego nie chcesz, Milu. – Nie odwróciłam się, ale usłyszałam uśmiech w głosie Aleksieja. Człowieka, którego nie można było rozzłościć, ponieważ zawsze wiedział wszystko najlepiej i zawsze panował nad sytuacją. Zawsze. – Sama nie wiesz, czego chcesz.

To sprawiło, że się odwróciłam, choć wiedziałam, że nie powinnam. W jego oczach pojawił się błysk. „Lubisz sobie pohisteryzować”, mówiły.

– Daj mi spokój – warknęłam. – Nigdy, przenigdy nie przyjmę cię z powrotem.

– Zamierzam sprawić, żebyś zmieniła zdanie – odrzekł łagodnie. – I gwarantuję ci, kroszka, że to ci się spodoba.



– Żądam, by usunięto doktora Pawliczenkę z listy osób, które pójdą dziś wieczorem do opery – oznajmiłam Krasawczence w gabinecie w ambasadzie, który zajął. – Poinstruowano mnie, że bym nie wspominała o nim publicznie podczas tej podróży, ponieważ amerykańska prasa nie pochwaliby kobiety żyjącej w separacji z mężem. I bardzo dobrze, chcę zwiększenia dystansu między nami podczas wszystkich zaplanowanych wydarzeń.

Krasawczenko wydawał się zdezorientowany.

– Wyraźnie dał mi do zrozumienia, że obydwójce rozważacie pojednanie.

– Ja niczego nie rozważam. On na mnie naciska, gdy staram się skupić na swoich obowiązkach, a ty jesteś tu po to, żeby mu w tym przeszkodzić.

Widziałam spojrzenie Krasawczenki: „Patrzcie ją, przesadza jak każda baba”.

– Może spróbuj się uspokoić...

– Jestem bardzo spokojna, zapewniam. Jeśli nikt mnie nie prowokuje, odznaczam się wyjątkowym rozsądkiem, spokojem i małomównością. Jednak doktor Pawliczenko zaczyna mnie prowokować. Gwarantuję ci, że jeśli będziemy przebywali w tym samym miejscu, dojdzie do sceny.

Westchnął.

– Nie pójdzie dziś do opery.

– Dziękuję.

Byleby dotrzeć do końca tej konferencji, pomyślałam, idąc z powrotem do swojego pokoju w hotelu. Gdy wrócę do domu, a potem na front, Aleksiej będzie wiedział, że moje szanse na przetrwanie są zbyt małe, żeby mógł zakosztować owoców mojej sławy, zanim zginę...

Przeczesałam krótkie włosy grzebieniem, znieruchomiałam na chwilę, uświadamiając sobie, że minęło trochę czasu, odkąd czułam nad sobą milczący cień śmierci, który przypominał mi o tym, jak niewiele zostało mi czasu. Miałam krótką chwilę, nim moje życie znowu pochłonie walka. Może warto było z tego korzystać: z długiego ostatniego oddechu poprzedzającego pójście na dno.

Korzystając z przerwy, pomyślałam, czując przypływ nieśmiałej przyjemności, i rozpakowałam żółtą atlasową suknię z butik. Pierwszą ładną rzeczą, jaką kupiłam sobie od dawna – powiesiłam ją, by rozprostowały się zagniecenia, a potem wślizgnęłam się w halkę i poświęciłam trochę czasu na przypudrowanie twarzy, pomalowanie ust. Włosy wciąż miałam przycięte na wysokości karku, lecz odzyskały sprężystość i połysk. Prawie nie było widać miejsca, w którym kiedyś zgolono mi głowę z powodu rany od odłamka. Upięłam je z boku, a z drugiej strony zostawiłam rozpuszczone, by zachodziły na ucho, którego o mało nie straciłam w ostrzale moździerzowym i które wciąż nosiło ślady szwów. Zamaskowawszy blizny, włożyłam suknię przez głowę i sięgnęłam w stronę pleców, by zapiąć tuzin obciążonych atlasem guziczków.

Rozległo się pukanie do drzwi. Dziwne, jak można poznać człowieka po sposobie, w jaki puka do drzwi: pukanie Krasawczenki było równie zrozumiałe jak on sam; pukanie Aleksieja – pełne podtekstów, prawie pełzło pod drzwiami. Pukanie Kostii było prawie niedosłyszalne, niewiele więcej niż muśnięcie knykciami. Nie musiał do mnie wołać, bym wiedziała, że to mój partner.

– Zaraz schodzę. – W pokoju było tylko małe lustro. Stałam przed nim i obracałam się, próbując dojrzeć swoje plecy. – Powiedz Krasawczence, że muszę się przebrać.

– Jak to? – Głos Kostii dobiegł z korytarza.

Nie mogłam dojrzeć swoich pleców. Westchnęłam sfrustrowana.

– Mógłbyś na chwilę wejść?

Mój partner wszedł do pokoju i na jego widok uniosłam brwi: surowy czarno-biały strój wieczorowy podkreślał jego ogorzałą twarz, ciemna laska przypominała raczej miecz rycerza niż pręt, na którym można się oprzeć.

– Jeszcze nigdy nie widziałam wilka w smokingu – zażartowałam.

Nie odpowiedział, tylko mi się przyglądał. Splotłam ręce na atlasowym gorsecie sukni, ogarnięta nagłym skrępowaniem. Dziwnie było czuć tę całą nagą skórę: obnażone ramiona, włosy podwijające się na gołym karku, atlas przywierający do nóg w pończochach. Mój partner w zasadzie widywał mnie wyłącznie w mundurach. Nosiłam wieczorową suknię na oficjalnych spotkaniach w Kairze, ale moskiewskie wyobrażenie na temat wieczornej elegancji bardzo różniło się od amerykańskiego. Kostia starannie utrzymywał obojętny wyraz twarzy.

– Kupiłam ją bez mierzenia – wyparowałam, przerywając ciszę. – Ekspedientka zapewniała, że będzie w sam raz... Wtedy się nad tym nie zastanawiałam.

Odwrociłam się. Tył atlasowej sukni opadał, tworząc na plecach głębokie V, i choć usilnie wyciągałam szyję, nie widziałam, jak dużą część pleców odsłania.

– Widać ją?

Rana po odłamku, przez który wylądowałam na szpitalnym łóżku w Sewastopolu, zagoiła się, tworząc podłużną, czerwonawą, rozwidloną bliznę, która pełzła od mojej prawej łopatki do kręgosłupa. Lena ustawiła kiedyś pod kątem dwa lustra, żebym mogła ją zobaczyć.

– Wygląda, jakby chwycił cię w szpony ognisty ptak – powiedziała wesoło.

Nigdy wcześniej nie miałam powodu, by czuć skrępowanie z powodu tej blizny. Bo niby dlaczego? Jedyłą osobą, która ją widziała – oprócz Leny – był Lonia. Wodził po niej palcem, gdy zasypiałam w nocy, wtulona plecami w jego tors. Poza tym zasłaniał ją mój mundur. Zasłaniały ją wszystkie moje ubrania – oprócz tej sukni, którą niemądrze kupiłam pod wpływem chwili, ponieważ Pani Śmierć chciała wyglądać ładnie.

Nikomu nie przyszłoby do głowy, że moje blizny widoczne między kawałkami żółtego atlasu wyglądają ładnie. Mogłam zasłonić blizny na głowie, na uchu, ale nie tę. „Proszę dać im szansę, by panią lepiej poznali”, doradziła mi pierwsza dama w kwestii kontaktów z Amerykanami, ale przecież nie zechcą mnie poznać, jeśli będzie ich odstręczał widok moich obrażeń wojennych.

– Widać ją, prawda? – spytałam, gdy cisza się przedłużała.

Głos mojego partnera zabrzmiał cicho, tuż za mną, wystarczająco blisko, bym poczuła mrowienie na skórze.

– Tak.

– Przebiorę się. Powiedz Krasawczence...

Kostia oparł dłonie po obu stronach mojej talii. Pochylił głowę, przyłożył usta do nierównej skóry na bliźnie i stał w tej pozycji przez chwilę ciągnącą się jak rok.

– Idź w niej – mruknął do mojej skóry. Pocałunek zaczął się na łopatkę i skończył przy kręgosłupie, tam gdzie blizna. – Noś ją z dumą.

Stałam całkiem nieruchomo, przyszpilona do podłogi, aż usłyszałam ciche skrzypnięcie drzwi sygnalizujące, że Kostia wyszedł.



Strzelec wyborowy wślizgnął się na stołek obok wysokiego jasnowłosego Rosjanina sączącego samotnie wódkę w hotelowym barze.

– Mogę się przyłączyć? – spytał swoim kiepskim rosyjskim, migając sfałszowaną legitymacją prasową. – Doktor Pawliczenko, prawda? Lekarz delegacji. – Wyłuskał to nazwisko z dostarczonej przez Poszetkę listy pomniejszych delegatów.

– We własnej osobie – odrzekł Aleksiej Pawliczenko wyraźnie zadowolony z tego, że ktoś go rozpoznał. – Proszę, proszę, niech pan siada. Zawsze to przyjemność porozmawiać w swoim ojczystym języku.

– Nawet z kimś, kto posługuje się nim tak źle jak ja? Kilka lat temu skierowano mnie do relacjonowania działalności Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych... – Strzelec wyborowy klepał jakieś uprzejmości, pozwalając, by rozmowa krążyła wokół drinków. Zwykle nie nawiązywał kontaktu z ludźmi powiązanymi z celem, zazwyczaj działał zgodnie z zasadą, że im mniej jest punktów styczności, tym lepiej, tym razem jednak był tak dobrze przygotowany, że w razie potrzeby mógł mówić jak dziennikarz przez całą noc, a pewne starannie wprowadzone zmiany w wyglądzie (peruka, wkładki do butów, głos) bardzo obniżały

prawdopodobieństwo, że Aleksiej Pawliczenko rozpozna strzelca wyborowego, gdy ten wróci do swojego prawdziwego akcentu i fryzury.

– Niech mi pan coś powie, doktorze – zagadnął, zamówiwszy jeszcze jedną kolejkę. – Słyszałem, że pan też jest kimś w rodzaju bohatera wojennego. Dlaczego zatem nie jest pan w teatrze narodowym razem z całą resztą?

Uśmiech na twarzy lekarza zastygł.

– Te publiczne wydarzenia są takie męczące. Ci wszyscy dziennikarze, to zainteresowanie...

Nie zaprosili cię. Wieczorem strzelec wyborowy wysiedział w operze do końca pierwszego aktu Madamy Butterfly, nie spuszczając z oka radzieckiej delegacji, która wywoływała większe zainteresowanie niż śpiewacy. W przerwie zaproszono jej uczestników na scenę, by pokłonili się publiczności. Ludmiła Pawliczenko, wyraźnie zdenerwowana w żółtej atłasowej sukni, wygłosiła za pośrednictwem tłumaczy ładne przemówienie o tym, jak to się cieszą, że są w Waszyngtonie, jak pilnie Rosjanie potrzebują pomocy Amerykanów... Gdy po widowni zaczął krążyć kapelusz na datki dla Armii Czerwonej, strzelec wyborowy wstał i wrócił spokojnym krokiem do hotelu, w którym ulokowano delegację. Nie tylko delegację, lecz także jej sługusów i ochroniarzy.

– A o co chodzi z pana nazwiskiem? – zawołał strzelec wyborowy, jakby dopiero teraz zwrócił na nie uwagę. – Brzmi tak samo jak nazwisko tej snajperki. Jest pan jej bratem, kuzynem...?

– Jestem jej mężem. – Lekarz szybkim ruchem wypił wódkę.

– Myślałem, że owdowiała. – Strzelec wyborowy udał zdumienie.

– To skomplikowane – uśmiechnął się porozumiewawczo Aleksiej. – Jak wszystkie sprawy związane z kobietami, prawda?

Strzelec wyborowy zasłonił uśmiech kieliszkiem. W głosie drugiego mężczyzny usłyszał zazdrość, zawiść, złość, tęsknotę... Więc tamta konfrontacja na kamiennym moście rzeczywiście była kłótnią małżonków. Nie był do końca pewny – człapiąc nad brzegiem strumienia w parku Rock Creek i udając obserwatora ptaków, nie zdołał podejść wystarczająco blisko, by ich podsłuchać, a nie chciał się zbliżyć na tyle, by ktokolwiek zauważył jego twarz pod daszkiem bejsbolówki – mowa ciała tej

dziewczyny i lekarza opowiedziała mu jednak intrygującą historię. Ich spotkanie go zaskoczyło. Strzelec wyborowy śledził po południu lekarza, nie dziewczynę – chciał zawęzić grono osób z obsługi delegacji, do których mógłby się zwrócić, zastanawiał się, kogo wykorzystać, by zrobić Ludmiłę Pawliczenko. I właśnie odkrył, że najlepiej nadawałby się do tego celu jej niezadowolony, odsunięty na bok mąż.

Czasami człowiek dostaje od losu nieoczekiwany prezent.

Jeszcze jedna kolejka, a potem strzelec wyborowy zaczął, aż alkohol zacznie działać i przechylił się w stronę lekarza.

– A jeśli chodzi o tę konferencję studencką...

26

Nagłówek w gazecie: DZIŚ ROZPOCZEŁA SIĘ MIĘDZYNARODOWA KONFERENCJA STUDENCKA Z UDZIAŁEM BLISKO CZTERYSTU STUDENTÓW Z PIĘĆDZIESIĘCIU TRZECH KRAJÓW. SPOTKANIE PRZEDSTAWICIELI AMERYKI ŁACIŃSKIEJ, AFRYKI, AZJI I EUROPY ODBYWA SIĘ W ATMOSFERZE HARMONII I ENTUZJAZMU.

Prawda: Studenci z uniwersytetu w Bombaju o mało nie pobili się z grupą Brytyjczyków z Oksfordu o tak zwaną kwestię indyjską. Młody mężczyzna w turbanie krzychał: „W końcu zdobędziemy niepodległość, wy kolonialne dranie!”, a ja powstrzymałam się od dołączenia do niego tylko dlatego, że Krasawczenko zagroził, że załatwi mi zsyłkę za koło podbiegunowe.

– Mogę państwa na chwilę ukraść, moi drodzy?

Zamrugałam i odwróciwszy głowę, zobaczyłam pierwszą damę, która wymieniała spojrzenia z Krasawczenką i Pczelincewem. Do końca przyjęcia inauguracyjnego było jeszcze daleko. Wszyscy troje staliśmy, trzymając talerze z nietkniętymi tartinkami i kieliszki z wszechobecnym ciepłym białym winem przypominającym perfumowane kozie siki, atakowani pytaniami dziennikarzy, gości honorowych z amerykańskich organizacji obywatelskich i innych studentów. Krasawczenko zanudzał asystenta z Białego Domu, Pczelincew odgrywał wszystkie swoje

leningradzkie pojedynki dla jakiegoś amerykańskiego generała obwieszonych medalami, a ja próbowałam się uwolnić od gorliwej autorki rubryki towarzyskiej, która chciała się dowiedzieć, jak robię sobie makijaż na froncie. „Kąpię się w krwi wrogów – miałam ochotę jej powiedzieć. – Wprost cudownie wpływa to na cerę!”. Pewnie jednak uznałaby, że mówię poważnie, ponieważ Amerykanie zakładali chyba, że wszyscy Rosjanie są równie pozbawieni poczucia humoru jak mój ochroniarz Jurij.

Innymi słowy, pierwszego dnia konferencji wszystko wyglądało dokładnie tak, jak się spodziewałam. Teraz jednak pierwsza dama odciągała naszą trójkę na bok.

– Kolacja w Białym Domu. – Przeprosiła wszystkich w naszym imieniu, zabierając po drodze Kostię. Myślałam, że zaprowadzi nas do znajomej jadalni i obiecałam sobie, że tym razem nie będę się gapiła na żyrandole, portrety i porcelanę. Zaproszono nas jednak do prywatnego gabinetu o owalnym kształcie i szczeka opadła mi z zupełnie innego powodu.

Na środku tego pomieszczenia na drewnianym krześle z wysokim oparciem siedział mężczyzna. Jego dłonie o długich palcach spoczywały na szerokich ramionach, a kolana miał przykryte kraciatym kocem.

– Chciałabym państwu przedstawić prezydenta – oznajmiła zwyczajnie pierwsza dama.

Odruchowo stanęłam na baczność. Reszta zachowała się tak samo, wszyscy zareagowaliśmy w ten sposób na władczość emanującą z tego krzesła. Życzliwe spojrzenie prezydenta przesuwano się po nas, gdy Kostia nas przedstawiał, a ja wiedziałam, że gdyby go o to poproszono, prezydent potrafiłby wymienić nasze nazwiska i inne szczegóły nawet za dziesięć lat.

– Krasawczenko, Pczelincew, Pawliczenko... jak wspaniale. – Uśmiechnął się i nie zdoławszy się powstrzymać, odpowiedziałam mu uśmiechem, gdy przyszła moja kolej i podeszłam, by uścisnąć jego długą, żyłastą dłoń.

– Na początek chciałabym posłuchać o pani doświadczeniach. – Uprzejmy lekki ukłon.

Jesteś snajperką z trzystoma dziewięcioma trafieniami na koncie, zbeształam się w myślach. Nie rumień się tylko dlatego, że amerykański prezydent jest czarujący! Ale na Lenina, nie było to łatwe zadanie! Byłam przygotowana na przenikliwy umysł i silną wolę Franklina Delano

Roosevelta, lecz nie spodziewałam się serdeczności, siły i niezmałconej uwagi, z jaką za pośrednictwem Kostii zadawał mi pytania. W jakich walkach brałam udział, za jakie działania mnie odznaczono, jak walczył mój pułk? Amerykańskim dziennikarzom trudno było uwierzyć, że na froncie robię cokolwiek oprócz podkręcania włosów i pozowania do propagandowych zdjęć. Ich prezydent natomiast słuchał bez mrugnięcia okiem, gdy opowiadałam, jak przygotowuje się okop i czeka sześć, siedem, osiem godzin, by oddać doskonały strzał. Jak z powodu skrajnego niedoboru broni mój pierwszy karabin trafił w moje ręce, nosząc jeszcze na lufie mokre ślady krwi poprzedniego właściciela.

– Wojna toczy się od lat – powiedział w końcu prezydent Roosevelt, gdy przepytał także moich kolegów z delegacji – a naszej stronie nigdzie nie udało się stawić wrogowi oporu tak długo jak wam, Rosjanom. Czy to zasługa waszego ducha walki, waszego wyszkolenia? Umiejętności waszych oficerów i generałów? Jedności armii z ludnością? – Przechylił głowę, patrząc po kolei na nas wszystkich. – Jakie jest państwa zdanie?

– To zasługa woli – odpowiedziałam, widząc, że Krasawczenko się waha. – Ponieważ albo wytrzymujemy i walczymy, albo giniemy. Jednak żadna siła woli na świecie nie ma znaczenia, jeśli brakuje kul i karabinów, żeby strzelać.

– Proszę mi o tym opowiedzieć – powiedział cicho prezydent.

Zjednął nas sobie w kilka minut. W tle rozbrzmiewał władczy głos pierwszej damy. Podsuwano krzesła, nalewano drinki. My mówiliśmy, a prezydent słuchał.

– A jak się państwo czujecie w naszym kraju? – spytał na koniec, znów spoglądając kolejno na nasze twarze. – Czy Amerykanie są dla państwa uprzejmi?

Przez chwilę myślałam o drugiej nabazgranej na kartce pogróżce, którą dostałam zaledwie poprzedniego dnia rano: UMRZESZ KRZYCZĄC KOMUNISTYCZNA SUKO. O ile potrafiłam ocenić, miałam do czynienia z tą samą niechlujną cyrylicą i z tym samym charakterem pisma, a wszystko wskazywało na to, że w hotelu w Waszyngtonie można do mnie dotrzeć równie łatwo jak w Białym Domu. Wychodząc gdzieś, nie mogłam się już powstrzymać od ciągłego rozglądania się. Niemniej ambasador Związku

Radzieckiego tylko wzruszył ramionami i powiedział, że to prawdopodobnie nic nie znaczy...

– Wszędzie jesteśmy życzliwie witani – zapewniał prezydenta Krasawczenko za pośrednictwem Kostii. – Wy, Amerykanie, jesteście bardzo gościnni!

Nie zamierzałam wspominać o tym, że grożono mi śmiercią, ale nie zdołałam się oprzeć i powiedziałam po angielsku:

– Czasami jesteśmy obiektem niespodziewanych ataków.

Prezydent zmarszczył brwi.

– Ataków?

– Ze strony amerykańskich dziennikarzy. – Zachowałam poważną minę, ale moje oczy się śmiały. – Są bardzo wytrwali. Chcą, żebyśmy wszystko przed nimi obnażyli.

Prezydent Roosevelt się uśmiechnął. Ależ ten człowiek miał uśmiech. Uprzedzono nas w Moskwie, że lubi kobiety, i czułam, że mnie polubił. W ogóle nie uważał, że krój mojego munduru jest nietwarzowy. Dlatego wzięłam oddech i zaczęłam:

– Czy mogę...

– Poprosić o aktywniejszą pomoc dla Związku Radzieckiego? – dokończył, odgadując bez trudu moje intencje. – Otworzyć w Europie Zachodniej drugi front, żeby odciągnąć niemieckie dywizje od brzegów Wołgi?

Kiwnęłam głową. Wiedziałam, że uruchomienie drugiego frontu nie jest dla niego taką łatwą sprawą, jak zakładałam tuż po przyjeździe do tego kraju, lecz nie zamierzałam udawać, że ta potrzeba nie jest pilna.

Przez chwilę wyglądał na zamyślonego.

– Pan Stalin zdaje sobie już sprawę, że aktualnie trudno jest nam aktywniej wspierać wasz kraj. My, Amerykanie, nie jesteśmy jeszcze gotowi na zdecydowane działania...

– Po Pearl Harbor działaliście zdecydowanie – zauważyłam, nie zdoławszy się powstrzymać.

Znowu się smutno uśmiechnął.

– W kwestii utworzenia frontu w Europie wstrzymuje nas jednak potrzeba wspierania naszych brytyjskich sojuszników. Ale sercem i duszą – jeszcze raz uprzejmie pokłonił się na krzesło – stoimy u boku swoich rosyjskich przyjaciół.

– No tak – mruknął później Krasawczenko, gdy zeszliśmy na zapowiadzaną wcześniej kolację, a prezydent przeprosił, ponieważ zwywały go inne obowiązki. – Wszystko na marne.

– Myślałeś, że położysz rękę na sercu i od razu obieca nam swoją armię? Gdyby tak zrobił, nie wzbudziłby u mnie ani odrobiny zaufania. – Uśmiechnęłam się. – Jesteśmy tylko studentami, nie negocjatorami. Możemy najwyżej wspierać sprawę. On przynajmniej słuchał, w przeciwieństwie do dziennikarzy.

Niespodziewanie odezwał się Kostia. Jego głos zabrzmiał cicho wśród stłumionych odgłosów wydawanych przez nasze buty na drogiej wykładzinie.

– Za takim człowiekiem można pójść w ogień.

– Podsunął mi pewien pomysł... – zamilkłam na chwilę, szukając odpowiednich słów. – Może i jestem tu tylko studentką, ale nie muszę być bezużyteczna. Skoro jeden taki człowiek jak on może przeprowadzić w pojedynkę swój naród przez kryzys światowy, a potem przez wojnę światową, to ja mogę się nauczyć wygłaszać przemówienia i nie czuć się przy tym jak sarna złapana w światło reflektorów, prawda?

Kostia nie odpowiedział, ale pierwszy raz od wieczoru w operze spojrzął mi w oczy. W jego wzroku było teraz coś, co wypalało ślad na mojej skórze, i nie zdołałam powstrzymać pogmatwanej, chaotycznej reakcji swojego żołądka, mimo że prowadzono nas już ku następnemu długiemu stołowi w jadalni pełnej urzędników i gości Białego Domu. Ostatni dzień tej konferencji miał być także dniem, w którym minie pół roku od śmierci Loni...

Z ulgą odwróciłam się od partnera i zajęłam miejsce obok Harry'ego Hopkinsa, prezydenckiego doradcy, który z czymś w rodzaju błysku w oku wysunął dla mnie krzesło. Polubił mnie od naszego pierwszego spotkania, a ja, wbrew instynktowi, który mi podpowiadał, żeby w kontaktach z Amerykanami zachować powściągliwość, polubiłam jego. Podobnie jak

jego szef zadawał pytania i naprawdę słuchał odpowiedzi. Staralam się, by do jego otwartych uszu trafiło jak najwięcej faktów.

– Co pani sądzi o prezydencie?

– Jestem zaszczycona, że mogę go nazywać sojusznikiem – odrzekłam swoim najuprzejmiejszym dyplomatycznym tonem, ciszej dziękując lokajowi, który napełnił mój kieliszek.

– Pani Pawliczenko, słyszałam, że koncern tytoniowy Philip Morris proponuje pani kontrakt – zawołała jakaś kobieta po przeciwnej stronie stołu. – Chce umieścić pani portret na opakowaniach papierosów! Co pani na to?

– Niech idzie do diabła – powiedziałam po angielsku, porzucając serdeczny dyplomatyczny ton, a wtedy wszyscy przy stole wybuchnęli śmiechem.

– Opakowania papierosów to może być dopiero początek – szepnęła pierwsza dama, a ja przechyliłam głowę.

– Co ma pani ma myśli, pani Roosevelt?

– Och, nic. – Jej oczy bez wątpienia się śmiały. – Po prostu wpadłam na pewien pomysł... i sądzę, że prezydent, skoro już wszystkich państwa poznał, chętnie się na niego zgodzi.



Drugi i trzeci dzień konferencji. Długie, monotonne przemówienia, zazwyczaj poprzedzające ożywione debaty. Odpowiadanie na pytania o mój mundur, wymienianie się opowieściami o wykładach z zębatą dziewczyną z Nowego Jorku i gładkolicym chłopakiem z Pekinu, który wyglądał tak młodo, że chyba dopiero niedawno zaczął się golić. Bicie brawa, gdy delegaci przyjęli Memorandum Słowiańskie potępiające niemiecki faszyzm.

– Jak miło z ich strony, że doszli do wniosku, że faszyzm jest zły – szepnęłam do Jurija. – Nie mogę się doczekać, kiedy poinformuję towarzysza Stalina o ich decyzji. Odczuje wielką ulgę!

Nawet to nie wywołało żadnej reakcji mimicznej mojego ochroniarza, który dalej obserwował wszystko świdrującym wzrokiem, siedząc z boku, gdy błyskały flesze.

Pierwsza dama uparła się, by pozować do zdjęć, stojąc między mną a Pczelincewem i ściskając nasze ręce w swoich olbrzymich, zręcznych dłoniach. Być może jej mąż nie mógł obiecać pomocy tak szybko, jak była nam potrzebna, lecz pierwsza dama dopilnowała, by żaden fotoreporter nie wyszedł bez zdjęcia, na którym trzymamy się za ręce, wyraźnie symbolizując wojskowy sojusz radziecko-amerykański.

– Nareszcie oswojasz się z blaskiem świateł – mruknął Aleksiej ostatniego dnia konferencji. Przyjęcie pożegnalne odbywało się na trawniku obok Białego Domu. Ciepły, słoneczny wieczór rzucał przede mną mój wydłużony i ukośny cień. – Dobra robota, kroszka.

– Ta mère suce des ours – powiedziałam do niego. Tego zdania nauczyła mnie studentka z Kanady francuskiej podczas przerwy na papierosa, gdy rozmawialiśmy o tym, jak pozbyć się wykładowców, którzy nie potrafią trzymać rąk przy sobie. Był to temat, o którym studentki umiały dyskutować mimo wszelkich różnic kulturalnych i barier językowych. Ja nauczyłam ją mówić po rosyjsku „wkładaj łapska z powrotem do kieszeni”, a ona mnie ta mère suce des ours, co ponoć znaczyło „twoja matka obciąża niedźwiedziami”.

– Po przetłumaczeniu to jest jeszcze bardziej obraźliwe, niż się wydaje – zaznaczyłam, po czym uśmiechnęłam się do zdumionego Aleksieja i odeszłam w stronę grupy studentów z Montrealu. Obiecałam sobie, że będę się dobrze bawiła na tym ostatnim przyjęciu. W Moskwie byłyby to wymyślna feta, białe obrusy na stołach, ciemne garnitury i długie przemówienia, lecz pierwsza dama urządziła imprezę w ogrodzie: studenci przechadzali się wśród roślin, trzymając papierowe talerze z kanapkami i butelki z coca-colą, a z niewidocznego radia płynęły dekadencjonalne dźwięki znakomitego ragtime’u. Prezydent Roosevelt jeszcze do nas nie dołączył. Wyczuwałam poruszenie tłumu, gdyż wszyscy go wypatrywali, lecz do jego nadejścia impreza mogła zachować zdecydowanie nieformalny charakter. W końcu opowiedziałam asystentowi z Białego Domu o swoim spacerze do kamiennego mostu w parku Rock Creek i zamrugałam ze zdziwieniem, gdy odrzekł, że prezydent Roosevelt zgubił tam kiedyś sygnet podczas wędrówki.

– To prezydent Roosevelt chadzał na piesze wędrówki?

– Miałem na myśli jego kuzyna, prezydenta Teddy’ego Roosevelta, czterdzieści lat temu – wyjaśnił asystent. – Zgubił tam swój ulubiony sygnet, więc zamieścił ogłoszenie w gazecie: „Zgubiono złoty sygnet w pobliżu kamiennego mostu w Rock Creek. Znalazcę uprasza się o zwrócenie go pod adresem Pennsylvania Avenue 1600. Pytać o Teddy’ego”. – Asystent zarechotał, podobnie jak studenci z Montrealu. – Sygnet nigdy się nie znalazł...

Uśmiechnęłam się, biorąc głęboki oddech, by powąchać świeżo skoszoną trawę, i pozwoliłam, by asystent wcisnął mi do ręki kanapkę – bułkę z parówką, którą Amerykanie nazwali hot dogiem. Amerykańskie jedzenie wyglądało jak obraz w technikolorze, jakby zrobiono je z plastiku, a nie z produktów spożywczych.

– Niezłe – powiedziałam, przełykając pierwszy kęs. – To naprawdę z psa?

– Pani Pawliczenko, jest pani nieznośna!

– No co? W Leningradzie jedzą teraz gorsze rzeczy niż psa. – Wśród swobodnych pogawędek moja uwaga zawisała w powietrzu niczym ołowiany balon, jak lubią mawiać Amerykanie, ale pani Roosevelt mnie uratowała, rozładowując napięcie.

– Wie pani, droga Ludmiło – powiedziała, odciągając mnie na bok – organizuję tę konferencję już od dawna. Zamysł jest taki, by propagować amerykańskie wartości w kontekście międzynarodowej młodzieży... ale wy, Rosjanie, zmieniliście ten plan.

Upiłam łyk coca-coli przez słomkę. Była za słodka i za zimna, jakbymssała posłodzone żyletki.

– Jak to?

– Wszyscy członkowie radzieckiej delegacji są elokwentni – ha, to akurat było kłamstwo, Krasawczenko nudził ją tak samo jak mnie – ale o wojnie mówicie ze szczególną pasją. Gdy się państwa słucha, czuje się niemal ból.

– Przykro mi, jeśli słuchanie prawdy sprawia komuś ból – zaczęłam sztywno, lecz ona uspokajająco położyła mi rękę na ramieniu.

– Nie, to dobrze, że to nas boli. My, Amerykanie, przywykliśmy do oglądania wojny z daleka. Jak powiedział kanclerz Otto von Bismarck, to

przywilej wynikający z życia obok słabszych sąsiadów na północy i na południu oraz obok niczego oprócz ryb na wschodzie i zachodzie. Nawet ten przerażający atak na Pearl Harbor wydarzył się tysiące mil stąd. Dzięki państwa delegacji zobaczyliśmy, jaka jest cena wojny widzianej wewnątrz swojej ojczyzny. Krwawienie i cierpienie sąsiadów i ukochanych osób w ich własnych miastach... Dzięki państwu wszystko to staje się prawdziwe i niemożliwe do zignorowania. Dziękuję wam za to.

Zamilkła, lecz ja się nie odzywałam. Wciąż nie do końca wiedziałam, jak traktować tę spostrzegawczą damę, która najwyraźniej postanowiła nas wszystkich oczarować. Być może prezydent Roosevelt był człowiekiem uprzywilejowanym, ale z powodu swojego kalectwa najwidoczniej doskonale rozumiał cierpienie. W przypadku pierwszej damy nie byłam tego taka pewna. Zachowywała się bardzo przyjaźnie, była bardzo sprytna, bardzo nam pochlebiała, mówiąc o „cenie wojny”, ale co tak naprawdę wiedziała o cierpieniu?

Poza tym wciąż pamiętałam słowa, które skierowała do mnie pierwszego dnia przy śniadaniu. Gdy spytała, czy widzę w celowniku twarze swoich wrogów, i stwierdziła, że Amerykankom trudno byłoby mnie polubić z tego powodu.

Uśmiechnęła się, nieurazona moim milczeniem.

– Mam nadzieję, że cały nasz kraj usłyszy, co macie państwo do powiedzenia.

– Przecież za kilka dni wracamy do Moskwy. – Nie mogłam się doczekać. Impreza na trawniku obok Białego Domu miała być końcem naszej podróży, i to mnie cieszyło. Być może przeżyliśmy w Ameryce przyjemne chwile, ale chciałam znów poczuć pod nogami ojczystą ziemię. Chciałam wiedzieć, że jestem przynajmniej na tym samym kontynencie co mój Sławka.

– Państwa ambasador dopiero przekaze tę decyzję oficjalnie, ale plany uległy... – Pierwsza dama zamilkła, gdy Aleksiej uklonił się i włączył do naszej rozmowy.

– Przepróż ode mnie pierwszą damę – szepnął po rosyjsku, pochylając się nad jej dłonią. – Muszę cię na chwilę ukraść, kroszka. Poproszono mnie, żebym ci pokazał ogród różany, zanim zjawi się prezydent Roosevelt i zapanuje chaos.

Już miałam mu powiedzieć, że nigdy nie zamierzam z nim spacerować wśród żadnych róż, ale wtrąciła się pierwsza dama. Umiała powiedzieć po rosyjsku tylko da, niet i spasibo, ale usłyszała nazwisko swojego męża.

– Pyta, kiedy zjawi się prezydent? – spytała, patrząc na mnie. – Niestety, mój mąż nie będzie mógł dziś do nas zejść, tak jak wcześniej planował. Uniemożliwiły mu to inne obowiązki. Ale bez obaw, wszyscy państwo będziecie mieli jeszcze okazję się z nim spotkać – uśmiechnęła się szeroko. – Za moją namową prezydent zaprosił całą radziecką delegację, by przedłużyła swój pobyt. Odwiedzicie państwo inne nasze miasta, by bardziej nagłośnić swoją walkę z Hitlerem. Państwa ambasador już mnie poinformował, że Moskwa właśnie wyraziła na to zgodę!

W obliczu jej radości starałam się, by moja twarz nie zdradziła rozczarowania.

– Jak bardzo przedłuży się nasza wizyta, pani Roosevelt?

– O tym zadecydujemy później. Na razie planujemy wysłać wszystkich państwa jutro rano do Nowego Jorku pociągiem ekspresowym. – Ściszyła głos. – Poprosiłam, żeby zwłaszcza pani, Ludmiło, miała szansę częściej zabierać głos. Myślę, że Amerykanie dobrze zareagują na kobietę, i to nie jakąś przypadkową kobietę, lecz właśnie panią.

– Myślałam, że się pani obawiała, że mnie nie zaaprobują – odrzekłam, nie mogąc się powstrzymać.

Uśmiechnęła się.

– Myślę, że ma pani moc, by skłonić ich do zmiany zdania.

– Co ona mówi? – spytał Aleksiej po rosyjsku.

Zignorowałam go, starając się dorównać wyraźnemu zadowoleniu pani Roosevelt, mimo że byłam zupełnie załamana, skoro nie miałam jeszcze wracać do domu.



Poszetka miał tym razem nie niebieską, lecz czerwoną poszetkę, a jego twarz była jeszcze bardziej czerwona niż zwykle.

– Wyłumacz się pan – syknął do strzelca wyborowego, nawet się nie przywitawszy. Spotkali się w miejscu z widokiem na pomnik Waszyngtona, chmury przemykały nad koniuszkiem wielkiej kamiennej iglicy, a oni stali w bezpiecznej odległości od tłumu turystów. – Konferencja się skończyła, a strzału nie było! Strach pana obleciał czy..

– Prezydent się nie pojawił – odrzekł ze spokojem strzelec wyborowy, uchylając kapelusza przed ładną młodą matką pchającą wózek w stronę pomnika. – W ostatniej chwili zmienił plany. – Wielka szkoda, ponieważ wszystko szło jak po maśle: strzelec wyborowy już miał się niepostrzeżenie oddalić od grupy fotoreporterów, zniknąć w ogrodzie i szykować się do oddania strzału z dużej odległości, który miał posłać kulę prosto między oczy Roosevelta, gdy tylko prezydent pojawiłby się na portyku. Ten dureń, rosyjski lekarz, już został poinstruowany, żeby zaprowadzić swoją żonę do ogrodu różanego, by była podejrzenie nieobecna w chwili, gdy padnie strzał. „Dyskretnie pójde za wami i zrobię wam kilka naprawdę dobrych zdjęć do jutrzejszego artykułu”, obiecał mu strzelec wyborowy w hotelowym barze. Lekarz, wtedy już nasączony wódką, tak bardzo chciał zobaczyć swoją twarz w gazecie obok twarzy żony, że nie potrzebował nawet zachęty w postaci paru zwitków banknotów. Nie miał pojęcia, że jest wrabiany we współudział męża, który pomógł żonie zabić prezydenta. Strzelec wyborowy pomyślał tęsknie, że ładnie by wyglądali na zdjęciach policyjnych w gazetach.

Ech, trudno.

– Ostrzegałem, że nawet najlepsze plany mogą się skomplikować – powiedział do Poszetki, który wciąż był wściekły. – Na szczęście radziecka trasa po Stanach Zjednoczonych została wydłużona, więc będziemy mieli jeszcze mnóstwo okazji, by wmanewrować Pawliczenko. Dziś pojechała do Nowego Jorku. Potrzebuję kopii nowego harmonogramu.

Strzelec wyborowy zamilkł na chwilę i zmarszczył brwi. Dotychczas przykrywka w postaci fałszywej dziennikarskiej tożsamości sprawdzała się dobrze, ale pierwsza dama najwyraźniej poczuła sympatię do Ludmiły Pawliczenko, więc gdyby zaczęły się pokazywać razem podczas trasy, Eleanor Roosevelt na pewno nalegałaby na dziennikarki. Kolejne dziwactwo tej suki o końskich zębach: zatrudnianie większej liczby kobiet w redakcjach gazet. Jakby świat potrzebował więcej jazgoczących krów.

– Możliwe, że będę potrzebował nowej przykrywki – powiedział strzelec wyborowy bardziej do samego siebie niż do Poszetki, po czym bez pożegnania oddalił się od kamiennej iglicy pomnika Waszyngtona. Pani Śmierć była w Nowym Jorku. Miał mnóstwo czasu na ułożenie planu.



– Szkoda, że nie jesteśmy w Stalingradzie.

Powiedziałam to w samochodzie, lecz nie byłam pewna, czy Kostia mnie usłyszał wśród wycia syren i warkotu pojazdów jadących w konwoju wokół cadillaca. Dwa z nich powitały naszą delegację na dworcu kolejowym w Nowym Jorku. Krasawczenkę, Pczelincewa i ich ochroniarzy poprowadzono do pierwszego samochodu tunelem wypełnionym błyskami fleszy, wśród pokrzykiwania dziennikarzy, a ja i mój partner zanurkowaliśmy do drugiego. Jurij siedział obok kierowcy po drugiej stronie przegrody.

– Słyszałam, że Niemcy idą szturmem w stronę Wołgi – ciągnęłam. – Wdzierają się na przedmieścia Stalingradu. – Żołnierze Armii Czerwonej wkrótce zaczną oddawać ulicę po ulicy i nękać wroga z dachów oraz ze zbombardowanych budynków. Doskonałe warunki dla snajperów. Tak wyraźnie widziałam tam siebie i Kostię, zakamuflowanych pośród gruzów, roztrzaskanych rur i zrujnowanych ścian, żujących suchą herbatę i cukier, z lufami karabinów przypominających dwoje identycznych oczu wypatrujących wroga.

A tymczasem zamiast tego siedziałam w cadillacu jadącym w ślimaczym tempie przez najjaśniejsze, najruchliwsze miasto, jakie kiedykolwiek widziałam. Im bardziej zbliżaliśmy się do Central Parku, tym donośniejszy stawał się ryk tłumu wokół nas. Moje serce próbowało wspiać się do gardła. Myślałam, że Waszyngton jest oszalamiający, lecz hałas Nowego Jorku wywoływał we mnie chęć schowania się w lisiej norze.

Być może moje narastające zdenerwowanie miało jakiś związek z trzecim liścikiem z pogrózkami, który odebrałam... Tym razem czekał w kieszeni mojego płaszcza, gdy wsiadałam do pociągu mającego nas zawieźć do Nowego Jorku. Ktokolwiek podążał za mną z Waszyngtonu – był wystarczająco blisko, by mnie dotknąć – mógł zatopić nóż między

moimi żebrami, zamiast wsuwać mi do kieszeni liścik o treści PRZEWIERCĘ CI CZASZKĘ LUFAŁ TWOJEGO KARABINU TY PIEPRZONA KOMUNISTYCZNA MORDERCZYNI.

Nie obchodziło mnie, że ambasada nie jest tym zmartwiona, że zlekceważono to jako „kolejne amerykańskie wariactwo”. Ktoś na mnie polował, a ja byłam bez broni na obcym terenie. Dla snajpera to jest przerażające.

Na dodatek musiałam wygłosić przemówienie w olbrzymim, wypełnionym kakofonią dźwięków parku, gdzie roilo się od ludzi, którzy prawdopodobnie zgodziliby się ze stwierdzeniem, że jestem pieprzoną komunistyczną morderczynią.

– Lonia wspominał, że pierwsze przemówienie wygłosiłaś w Sewastopolu. – Kostia patrzył prosto przed siebie. Mówił cichym, spokojnym głosem, lecz jego ramię przywierało do mojego, jakbyśmy leżeli w okopie, opierając się na łokciach i czekając, żeby oddać strzał. Wiedział o pogroźkach, ale mówiąc mu o nich, starałam się je zbagatelizować. Nie chciałam, by widział, że się boję. – Jak się wtedy przygotowałaś?

– Spytałam Lonię... – Przy jego imieniu głos uwiązł mi w gardle. Z trudem przełknęłam ślinę. – Spytałam, jak ktoś taki jak ja, kto strzela do ludzi z dużej odległości, starając się, by nikt go nie zauważył, ma nagle stanąć w jaskrawym świetle przed gęstym tłumem i wygłosić przemówienie.

– I co powiedział?

– „Zamknij się, Milu, będziesz olśniewająca”.

– Miał rację – spojrzał mi prosto w twarz. – Zawsze będziesz olśniewająca.

– Ale...

Mój partner podniósł rękę i zatrzymał ją płasko na wysokości oczu. Zamilkłam i podniosłam swoją. Może i moje tętno gnało, ale dłoń była nieruchoma jak granit. Pogroźki czy nie pogroźki, tłum czy nie tłum, Kostia się uśmiechnął. Tego uśmiechu nie było widać na ustach, lecz w kącikach jego oczu, gdzie tylko ja mogłam go zobaczyć.

Nie zdołałam się powstrzymać i też się do niego uśmiechnęłam, w moim żołądku znów rozpełtał się dziwny chaos sprzecznych emocji. Swoboda i skrępowanie, czułość i zakłopotanie, ostrożność i...

Cadillac wjechał przez główną bramę Central Parku i gwar przybrał na sile. Zewsząd otaczał nas tłum, ledwie rozstępujący się przed kolumną. Rzuciłam spojrzenie w jego stronę, a potem odwróciłam się z powrotem do Kostii. Wdech, wydech.

– Będziesz mnie osłaniał?

– Stąd do Stalingradu.

Samochód się zatrzymał.

– Żałuję, że nie mam broni – jęknęłam, gdy drzwi się otworzyły, a potem szybko wysiadłam, przyklejając uśmiech do twarzy. Od hałasu huczało mi w uszach. Czyjeś ręce ciągnęły mnie do przodu i krzepcy mężczyźni w marynarkach ponieśli mnie i Kostię przez tłum aż na scenę, gdzie burmistrz Nowego Jorku mówił przez mikrofon o gargantuicznej walce narodu rosyjskiego z niemieckimi faszystami.

A potem przyszła pora na moje przemówienie.

Spojrzałam na morze twarzy, na ocean kamer. Nie zepsuj tego, pomyślałam. Nie spuść.

– Drodzy przyjaciele. – Usłyszałam, jak mój głos się wznosi, jakby miał sięgnąć aż do iglic tych olbrzymich wieżowców. Kostia powtarzał moje słowa do mikrofonu, z uczuciem i donośnie. – Hitler podejmuje rozpaczliwą próbę, by sparaliżować nasze zjednoczone narody, zanim alianci sparaliżują jego. To sprawa życia lub śmierci dla kochających pokój ludzi ze wszystkich krajów, byśmy połączyli siły i wsparli działania na froncie. Większą liczbą czołgów, większą liczbą samolotów, większą ilością artylerii.

Stałam w rozkroku, założyłam ręce za plecy. Znalazłam w sobie wściekłość, której nie zabił rok na froncie, i pozwoliłam, by rozgorzała jak ogień w moim głosie. Mówiłam po rosyjsku, lecz nawet jeśli nowojorczyści nie rozumieli moich słów, rozumieli mój żar. Moją złość. Moją wolę.

Pomożecie nam, pomyślałam. Pomożecie nam w tej walce albo umrę, starając się, żebyście to zrobili.

Wciąż się niekiedy zacinałam. Wciąż się jąkałam. Ale poszło mi lepiej niż w Sewastopolu, lepiej niż podczas wygłaszania oświadczeń na konferencjach prasowych w Waszyngtonie, a gdy skończyłam, okrzyk tłumu omal nie rozsadził moich zniszczonych hukiem uszu.

Może nie wszyscy uważali mnie za pieprzoną komunistyczną morderczynię...

Stałam na scenie, deszcz oklasków spadał na mnie jak pociski moździerzowe, słuchałam, jak tysiące Amerykanów skandują moje imię, i pierwszy raz zastanawiałam się, czy Aleksiej miał rację. Czy ten rozbłysk sławy, którą jakimś cudem zdobyłam, nie jest czymś więcej niż tylko krótkotrwałym płomieniem potartej zapałki.

27

Nagłówek w gazecie: BURMISTRZ NOWEGO JORKU FIORELLO LA GUARDIA ODZNACZYŁ RADZIECKĄ DELEGACJĘ MEDALEM BITYM KU CZCI WSZYSTKICH, KTÓRZY WALCZĄ Z FASYZMEM, A PAUL ROBESON, KTÓREGO BAS JEST RÓWNIE MROCZNY I BŁYSZCZĄCY JAK JEGO OBLICZE, ZAŚPIEWAŁ „SZEROKI JEST MÓJ KRAJ OJCZYSTY”. OBA WYRAZY UZNANIA ZOSTAŁY PRZYJĘTE PRZEZ CZARUJĄCĄ SNAJPERKĘ LUDMIŁĘ PAWLICZENKO, KTÓREJ PRZEMÓWIENIE SPOTKAŁO SIĘ Z ENTUZJASTYCZNĄ REAKCJĄ OBYWATELI NOWEGO JORKU. PANI PAWLICZENKO UDA SIĘ TERAZ DO BALTIMORE...

Prawda: Gdy kobiety zdobywają sławę, nagle zaczynają przyciągać dziwnych mężczyzn.

– Pani przemówienie było wspaniałe, pani Pawliczenko, absolutnie wspaniałe!

– Dziękuję, panie Jonson. – Próbowałam wysunąć palce z uścisku stojącego przede mną mężczyzny, lecz on najwyraźniej postanowił wyrwać mi je z ręki. Jego oczy gorączkowo błyszczały nad wykrochmalonym kołnierzykiem i garniturem w prążki.

– Równie wspaniałe jak to, które wygłosiła pani w Nowym Jorku.

– Panie Jonson, to było to samo przemówienie...

– Najpierw usłyszałem panią w Nowym Jorku, a potem pojechałem za panią do Baltimore tylko po to, żeby usłyszeć panią ponownie!

– Cóż za... zaangażowanie! – Mój serdeczny uśmiech zaczynał blednąć. Czym prędzej przywróciłam go na miejsce, gdy Kostia tłumaczył. Zazwyczaj starałam się mówić po angielsku, gdy rozmawiałam z kimś na tych przyjęciach i imprezach, ponieważ nie podobało mi się polecenie ambasady, byśmy korzystali z tłumaczy, odpowiadając na wszystkie pytania, lecz pan William Patrick Jonson – amerykański milioner, zdeklarowany ekscentryk, właściciel zakładów metalurgicznych oraz człowiek wyraźnie zauroczony snajperką – skłonił mnie do szukania schronienia za podwójną tarczą mojego ojczystego języka i Kostii. Nie mogę jednak powiedzieć, żeby Kostia okazał się bardzo pomocny. Był tak rozbawiony moim nowym wielbicielem, że z trudem powstrzymywał uśmiech.

– Jeśli dalej będziesz się tak podśmiewał, sprezentuję ci naszyjnik z twoich zębów trzonowych – ostrzegłam go po rosyjsku, wciąż uśmiechając się promiennie do pana Jonsona.

– Pan Jonson pragnie się dowiedzieć, czy zechcesz złożyć wizytę w jego domu na przedmieściach Nowego Jorku – powiedział Kostia z kamienną twarzą. – Ma piękną kolekcję dzieł sztuki twórców rosyjskiej awangardy z początków dwudziestego wieku.

– Powiedz mu, żeby wskoczył do portu w Baltimore.

– Pani Pawliczenko preferuje dzieła pieriedwiżników – przetłumaczył Kostia. – Zwłaszcza Wasilija Wiereszczagina.

– Nabędę jakieś dzieła Wiereszczagina, panno Pawliczenko, jeśli tylko zgodzi się pani mnie odwiedzić. – Amerykański milioner wciąż pocierał moją rękę, jakby próbował cofnąć skutki odmrożenia. – A potem będzie pani mogła poznać moją matkę...

Na Lenina!

– Panie Jonson, obawiam się, że niebawem stąd wyjeżdżam. Radziecka delegacja została zaproszona na tydzień do rodzinnej posiadłości prezydenta.

– Pani Pawliczenko z przyjemnością pozna pana matkę po powrocie – przetłumaczył Kostia. Jeszcze zanim udało mi się uwolnić od natręta, mój partner trząsał się ze śmiechu.

– Będiesz numerem trzysta dziesięć na mojej liście – obiecałam mu szeptem, gdy przeciskaliśmy się przez tłum w sali w Baltimore, gdzie zorganizowano przyjęcie. – Bo zamierzam strzelić ci w plecy, gdy tylko wyślą nas do Stalingradu po powrocie z tego cyrku.

– Przecież to ja zawsze ochraniam ci tyły, Północnico.

Wymieniliśmy szybkie uśmiechy. Nie byliśmy już skrępowani w swoim towarzystwie, ale byliśmy świadomi. Raczej prowadziliśmy rozmowę, niż raz po raz osuwaliśmy się w wygodne milczenie.

– Wybierasz się do Hyde Parku? – Usłyszałam nagle swoje wesołe pytanie. – Jeśli Aleksiejowi udało się tam wprosić, to tobie na pewno też się uda.

– Aleksiej też jedzie? – Właśnie w Hyde Parku znajdowała się wiejska posiadłość Rooseveltów położona nad rzeką Hudson. Pierwsza dama zaprosiła tam radziecką delegację, studentów z Wielkiej Brytanii oraz kilka osób z Holandii i Chin. – Myślałam, że Krasawczenko zgodził się go zostawić.

– Aleksiej twierdzi, że musi wyleczyć Pczelincewa z jakiejś choroby.

– Pczelincew ma katar sienny.

– Też tak powiedziałam, ale czy ktokolwiek mnie słucha?

Aleksiej przyjechał do Hyde Parku razem z resztą delegacji, wciskając się między mnie a Kostię. Widziałam, jak zachłannie mruży oczy na widok majestatycznego domu w stylu kolonialnym, wyposażonego w kolumny i portyki, otoczonego hektarami zielonego trawnika i falujących drzew.

– Przestańmy tylko marzyć o tym, że pewnego dnia będziemy mieli daczę – szepnął, kładąc pieszczotliwie dłoń u nasady moich pleców, gdy wszyscy szliśmy w stronę drzwi. – Sprawimy sobie coś takiego. Przestronnego, porządnie urządzonego, blisko lasu, żeby można było wyskoczyć na polowanko... Co ty na to, kroszka?

Odsunęłam się od jego ręki, nie mówiąc ani słowa, ponieważ słowa na nic by się nie zdały. Najwyraźniej jego plan polegał na tym, by zmiękczyć

mnie samą nieustępliwością, aż tak się zmęczę odmawianiem, że wreszcie ustąpię. Obelgi go nie zrażały, nie zrażało go milczenie – i być może dostał ostrzeżenie od kogoś z delegacji, by nie wciągać mnie publicznie w żadne krępujące sceny, ale i tak miał mnóstwo czasu z dala od aparatów i amerykańskich oczu, by kontynuować swoją kampanię. „To moja żona – mówił jak gdyby nigdy nic do innych członków delegacji. – Jesteśmy w separacji, ale kiedy się pobraliśmy, była bardzo młoda... Wiecie, jak zmienne potrafią być młode dziewczyny, nie? Teraz rozumiemy się świetnie...”

Unikaj go, pomyślałam, patrząc na olbrzymie zielone połacie posiadłości Roosevelтів, otaczające kwatery dla gości, gdzie Jurij i inni ochroniarze człapali już z bagażem. Na tak ogromnej przestrzeni będzie to przynajmniej łatwiejsze.

Świeże wiejskie powietrze powinno być odświeżającą odmianą po dławiającym hałasie i dymie Nowego Jorku i Baltimore, lecz z jakiegoś powodu moje sny tamtej pierwszej nocy pełne były pajęczyn i koszmarów. Lonia raz po raz umierał w moich ramionach, a gdy oswobodziłam się z tego snu, wpadłam w następny, w którym jakaś mroczna postać śledziła mnie na pustych ulicach Waszyngtonu, warcząc: „Komunistyczna szmata... Rуска suka...”. Obudziłam się, nie mogąc złapać tchu, gdy wyszeptwała: „Umrzesz tu”.

– Nie zamierzam tu umierać – powiedziałam głośno do skąpanej w półmroku sypialni. Żaden świr nie mógł się zbliżyć ze swoimi nabazgranymi liścikami i morderczymi intencjami do prezydenckiego ustronia na odludziu, otoczonego przez Secret Service i lasy. Wiedziałam jednak, że nie zmrużę oka, więc gdy tylko zaczęło świtać, wciągnęłam przez głowę kwiecistą sukienkę, wymknęłam się z domu na spacer... i natychmiast wpadłam na słup z betonu o imieniu Jurij.

– Serio? – wybuchłam. – Jesteśmy w prezydenckim ustroniu. Wszystko jest pozamykane, nie mogłabym się tu spotkać z żadnym niepożądanym elementem, nawet gdybym chciała, a nie chcę. Nie możesz dla odmiany pójść spać i pozwolić mi na samotny spacer?

– Moje wytyczne tego nie obejmują, towarzyszeko Pawliczenko.

Cóż, przynajmniej spróbowałam.

– Czy w takim razie mógłbyś się trzymać nieco z tyłu? – Westchnęłam i ruszyłam w stronę ogrodu, oddalając się od krzataniny związanej z przygotowaniem śniadania, którą zauważyłam w głównym budynku, gdzie służący kursowali tam i z powrotem.

Park wokół budynku był przeplatany ścieżkami, rabatami jesiennych kwiatów, altanami do wypoczywania, a wszystko to stało spokojnie w porannym słońcu na tle rozciągającej się wokół ciemności lasów. Zaczerpnęłam głęboko powietrza. Dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tęsknię za ciszą – za spokojem – za przestrzenią pozwalającą odetchnąć. Snajperzy są przecież samotnikami, a w towarzystwie Jurija i otoczeniu nieustannie obecnych dziennikarzy, przy napiętym harmonogramie występów, nie miałam dużo czasu dla siebie. Nocne koszmary szybko odpływały, gdy szłam powoli w stronę wody. Jeden brzeg był zarośnięty szuwarami, na drugim zaś zobaczyłam domek kąpielowy, rząd małych łódek, niewielki pomost. Na końcu pomostu ktoś wpatrywał się w wodę.

– Powinam się domyślić, że znajdę cię właśnie tutaj, z dala od całej reszty – powiedziała do pleców Kostii, podchodząc do niego i dając Jurijowi znak, żeby został na brzegu. Mój partner palił lucky strike’a. Obydwoje zasmakowaliśmy w amerykańskich papierosach, więc wyjął drugiego, odpalił go od swojego i podał mi. Przez kwadrans staliśmy w przyjemnej ciszy, patrząc na wodę, a nad naszymi zakrzywionymi dłońmi unosił się dym.

– Trzy – powiedział w końcu.

– Trzy – zgodziłam się z nim. – Domek kąpielowy...

– Za linią drzew...

– I w szuwarach na drugim brzegu. – Zmrużyłam oczy i wpatrywałam się w to miejsce, planując „lisią norę”. – Trudno byłoby tam utrzymać broń w suchości.

– Dobrze, że nie musimy dziś rano nikogo zastrzelić.

Dopaliłam papierosa, zgasłam niedopałek obcasem i spojrzałam na rząd łódek.

– Kiedy byłam mała i mieszkałam w Białej Cerkwi, czasami wypływałyśmy z siostrą na rzekę łódką wiosłową. Nazwałyśmy ją Kozacki

Dąb i udawałyśmy, że płyniemy na biegun północny szukać Morozki. – Przypomniało mi się, jak w Odessie powiedziałam Kostii, że przypomina mi boga zimy z dawnych czasów, cichego jak śnieg i niebezpiecznego. Odchrząknęłam, trącając lekko najbliższą łódkę, wąską i pokrytą skórą, wyposażoną w dwa krótkie wiosła oraz – byłam tego pewna – nazywaną przez Amerykanów kanoe. – Może spróbujemy? Pierwsza dama zachęcała, żebyśmy czuli się jak w domu.

Kostia wskoczył do kanoe, zanim dokończyłam zdanie.

Usiadłam za nim, a on odepchnął nas od pomostu.

– Miejsce tylko dla dwóch osób! – krzyknęłam w stronę Jurija, w razie gdyby przyszło mu do głowy do nas dołączyć, i zaczęliśmy rytmicznie wiosłować, kierując się na głębsze wody. Pieczenie ramion sprawiało mi przyjemność, nawet jeśli wystawiałam głównie stronę bez blizny, rozkoszując się szklistą taflą wody i szumem trzcin. – Loni by się tu spodobało – powiedziałam. Niemal widziałam go razem z nami w kanoe, jego mierzwiłone wiatrem włosy.

– Nie lubił wody – powiedział Kostia przez ramię. – Kiedyś mu z tego powodu dokuczałem.

– A. – Coś, czego nie wiedziałam o mężczyźnie, którego uważałam za swojego drugiego męża. Wyobraziłam sobie, jak wyciąga rękę i zakłada mi kosmyk włosów za ucho. Wielu rzeczy nie zdążyłaś się o mnie dowiedzieć, miłaja.

A teraz już nigdy się nie dowiem. Straciłam swoją szansę, drugą szansę na miłość. Świat podarował mi Lonię po tym, jak popełniłam kolosalny błąd, wychodząc pierwszy raz za mąż. Prawie nigdy nie dostawało się szansy na drugi strzał, jeśli spudłowało się za pierwszym razem. Nauczyło mnie tego życie snajperki, lecz świat okazał się na tyle uprzejmy, by mi ją jednak dać – a ja ją przegapiłam...

– Pani Roosevelt mówi, że w tym domu jest wspaniała biblioteka – powiedziałam, byle coś powiedzieć. – Przydałyby mi się jakieś nowe książki do czytania, do ćwiczenia się w angielskim. Może znaleźlibyśmy coś innego niż Wojna i pokój.

Ramiona Kostii dalej napinały się i rozluźniały, napinały się i rozluźniały, gdy przesuwał swoje wiosło w wodzie.

– Jutro jadę z powrotem do Waszyngtonu.

Zamrugałam.

– Opuszczasz delegację?

– Tylko na kilka dni. Zrobiłem Krasawczence aferę na osobności, mówiąc, że nie czuję się dobrze w pałacu prezydenckim zbudowanym na krzywdzie mas, i poprosiłem, żeby do końca tygodnia pozwolił mi mieszkać z powrotem w ambasadzie. – Jego głos był podszyty nutką rozbawienia. – A tak naprawdę... zanim wsiądę do ekspresu, który zawiezie mnie do Waszyngtonu, chcę spędzić dzień w Nowym Jorku.

– W Nowym Jorku?

Przestał wiosłować i dryfujące kanoe zatrzymało się na środku szklistej tafli wody.

– Pamiętasz, jak opowiadałem ci o babci?

O młodej Amerykance, która przybyła do Rosji przed rewolucją razem z grupą misjonarzy, z głową pełną romantycznych wyobrażeń o syberyjskich śniegach i białych nocach, wyszła za rewolucjonistę i już tam została. Kiwnęłam głową, przypominając sobie noc, w której powierzył mi tę historię – obóz w lesie pod Sewastopolem, gdzie świętowaliśmy z Wartanowem i resztą swojego plutonu, kiedy oni wszyscy wciąż jeszcze żyli i się śmiali. To dziwne, ale prawie zapomniałam, że Kostia jest w jakiejś części Amerykaninem, mimo że ostatnich kilka tygodni spędził wśród Amerykanów, posługując się płynną angielszczyzną zamiast karabinem.

– Mam rodzinę w Nowym Jorku – ciągnął Kostia, wciąż zwrócony do mnie plecami. – Kuzynów, których nigdy nie widziałem. Prawdopodobnie nie wiedzą o moim istnieniu. Trochę poszperałem, bardzo dyskretnie. Wiem przynajmniej, gdzie mieszka siostra mojej babci. Wciąż żyje, jest w Ridgewood.

– Kostia, ryzyko... – Tak długo udawało mu się zatajać swoje powiązania rodzinne z Amerykanami; zapisy przepadły albo zostały zniszczone we wszystkich stosownych dokumentach. Najwyraźniej przeszedł pomyślnie skrupulatne kontrole, skoro ostatecznie pozwolono mu dołączyć do tej delegacji. Gdyby po tym wszystkim się wydało, że ma w Ameryce

kuzynostwo... Nie chciałam sobie nawet wyobrazić konsekwencji. Na pewno byłyby okropne.

– Bez problemu dostanę zgodę na samotny powrót do Waszyngtonu. Takim maluczkiem jak ja nie przydzielają ochroniarzy. I wymyślę jakąś bajeczkę o tym, że uciekł mi ostatni pociąg i musiałem zostać na noc w Nowym Jorku. Niczego nie będą podejrzewali.

– I... co? Tak po prostu pójdziesz do domu siostry twojej babci i zapukasz do drzwi?

– Może zapukam. A może tylko pospaceruję ulicami, na których dorastała moja babcia. – Zawahał się. – Nie wiem.

Próbowałam sobie wyobrazić irlandzką z pochodzenia rodzinę w Nowym Jorku, która znajduje na progu swojego domu żylatego syberyjskiego wilka, kuzyna z drugiego końca świata. Lepiej niech nie zatrzasną ci drzwi przed nosem, pomyślałam.

– Jeśli potrzebujesz jakiejś bajeczki, będę cię kryła – zaczęłam, zanurzając wiosło w wodzie, by zawrócić w stronę brzegu.

– Uważaj – zaczął Kostia – ta łódka ma bardzo małe zanurzenie...

Było jednak za późno. Kanoe gwałtownie się przechyliło i zanim się spostrzegłam, byłam w wodzie.

Oto sławna Pani Śmierć i jej partner snajper! – zawołał z uśmiechem Lonia. Mam zaszczyt przedstawić najbardziej zabójczych strzelców w Sewastopolu!

Woda sięgała tu ledwie do klatki piersiowej, więc nie stało mi się nic złego poza tym, że ucierpiała moja duma, gdy wynurzyłam się, plując wodą. Jurij na brzegu nawet nie drgnął. Rozkazano mu pilnować, żebym nie uciekła, a nie żebym nie utonęła. Kostia odwrócił kanoe, podwinął przemoczone rękawy i wrzucił wiosła do środka, zanim zdążyły odpłynąć.

– Jeśli spróbujemy wejść z powrotem, znowu się przewróci – powiedziałam, łapiąc swój filcowy kapelusz, żeby nie zatonał. – Dobrze, że hitlerowcy nie mogą nas teraz zobaczyć. Umarliby ze śmiechu, a nie od kuli.

Kostia wrzucił do kanoe także mój przemoczony kapelusz, ustawiając łódkę w taki sposób, że zasłoniła Jurija na brzegu. Sięgnął pod wodą po

moją rękę i przysunął ją do swojej piersi, a potem pochylił głowę i mnie pocałował. Smakował jak żelazo i deszcz, drugą dłonią zmierzwił mi włosy i zanim ją odsunął, poczułam na swoim pobliżnionym karku snajperskie zgrubienia jego palców.

– Już wiesz – powiedział. – Wiesz, co do ciebie czuję.

Wiedziałam. Wiedziałam od dawna.

– Nie ma powodu czekać z tym do powrotu do Sewastopola. – Wyplątał palce z moich włosów i sięgnął po kanoe, zanim od nas odpłynęło. – Byłaś moją sierżant. Byłaś moją partnerką. I kochałaś mojego przyjaciela. – Zamilkł na chwilę. – Mam wrażenie, że mówię ci o tym zbyt wcześnie. Lonia nie żyje od zaledwie pół roku.

Lonia. Uświadomiłam sobie, że moja dłoń zacisnęła się na mokrej koszuli Kostii, i ją cofnęłam.

– Żałuję, że nie mogę poczekać rok, poczekać, aż smutek osłabnie. Ale nie mamy roku. Prawie nie mamy jutra. – Zawahał się. Płonący w nim ogień zawsze był na uwięzi, przytłumiony. Tym razem płonął jasno w jego spojrzeniu, niemal zbyt jasno, by na niego patrzeć.

– Kończy mi się czas, Milu. Gdy wrócimy do Moskwy, za tydzień, za dwa, kiedykolwiek to nastąpi, ty wyruszysz z powrotem na front, a ja nie. Każde z nas będzie musiało pójść w swoją stronę. Dlatego muszę to powiedzieć już teraz.

– Przecież też wyruszysz na front. – Nie wiem, dlaczego najpierw skupiłam się na tym, skoro wszystko, co powiedział, szarpnęło mną jak trzęsienie ziemi, lecz myśl o powrocie do walki bez Kostii u boku przeszła mnie potwornym przerażeniem, spychając całą resztę na dalszy plan. – Jesteś moim partnerem. Jeśli poproszę, by cię przenieśli do mojego plutonu, przeniosą cię...

– Nie z takim kolanem. Nie podołałbym dwukilometrowemu marszowi, a tym bardziej całodziennemu natarciu. Jako żołnierz jestem skończony. Skierują mnie do szkolenia snajperów, a ciebie z powrotem do walki. – Odsunął kosmyk mokrych włosów z mojego czoła. – Jest za wcześnie. Wiem o tym. Ale nic więcej nie mamy. Zanim znowu będziemy w niebezpieczeństwie, wokół zaczną śmigać kule, a nam zabraknie życia.

Lonia, pomyślałam. Kostia też o nim pomyślał.

– Wciąż go kochasz. Wciąż za nim tęsknisz. Ja też. Sześć miesięcy, sześć lat czy sześć dekad, zawsze będziemy za nim tęsknili. – Oczy Kostii były czarne i nieruchome. – Nawet nie byłem zazdrosny, że to on cię zdobył. Wybrałaś najlepszego mężczyznę, jakiego znałem. Nie miałem zamiaru zrywać z tego powodu z przyjacielem. Ani z tobą.

W jego głosie słychać było ból, lecz głęboko ukryty. Wtedy go przemilczał, zachował się pragmatycznie, ponieważ z jego perspektywy to nie miało znaczenia, że przegrał. Pamiętam, jak Aleksiej mrużył oczy i obcinał wzrokiem każdego mężczyznę, który odwiedzał mnie w batalionie szpitalnym: jak pies pilnujący wyrzuconej kości, który nie chce, by zdobył ją ktoś inny... Tymczasem Kostia po prostu dalej był moją drugą połową, przyjacielem Loni, dopełniając całości: naszej trójki.

A teraz była już tylko nasza dwójka, która najbardziej kochała Lonię.

– To wszystko. – Kostia powoli wypuścił powietrze. – Po prostu nie mogę cię puścić z powrotem na wojnę, nie mówiąc ci, że cię kocham.

Drżałam z zimna i jeszcze z innego powodu. Moje usta płonęły. Wyciągnęłam rękę, jeszcze raz wzięłam go za koszulę, nie umiając jednak – pierwszy raz, odkąd zostaliśmy partnerami – spojrzeć swojemu cieniowi w oczy.

– Ja też to czuję. – Moje słowa zabrzmiały tak cicho. – Być może czuję to od dawna. Ale wciąż... oplakuję swoich umarłych.

Wszystkich swoich umarłych, nie tylko Lonię. Wciąż walczyłam o wolność.

Palce Kostii zacisnęły się na moich.

– Ja też.

Wypuścił moją rękę, wziął kanoe za dziób i zaczął je holować z powrotem w stronę brzegu.



– Ludmiło! – zabrzmiał nagle głos pani Roosevelt. Podniosłam głowę, idąc po trawniku ku dużemu domowi, i uświadomiłam sobie, że żona prezydenta wychyla się z okna na parterze. – Co się stało, na Boga?

– Pływałam – powiedziałam, szcękając zębami i splatając ręce na przemoczonej sukience. – Bez kostiumu kąpielowego.

Idący za mną Jurij nie zaproponował mi płaszcza. Jego wytyczne tego nie obejmowały.

– Jest o wiele za zimno na kąpiele – zganiała mnie pierwsza dama, przywołując mi na myśl moją matkę. – Niech pani natychmiast wraca do środka.

Byłam za bardzo odrętwiała, żeby protestować. Poszłam drogą, którą wskazała mi pani Roosevelt w stronę bocznego holu, gdzie wyszła mi naprzeciw i cmoknęła zatroskana.

– Pan może zostać na zewnątrz – rozkazała Jurijowi uprzejmie, lecz wyraźnie, a on nawet nie wspomniał pierwszej damie o swoich wytycznych, gdy ta skierowała mnie do swoich prywatnych pokoi. Przedstawiłam jakieś nieskładne wyjaśnienie wywrotki w kanoe, nie wiedząc, czy powinnam chodzić w przemoczonych butach po tak wytwornych dywanach, ona jednak zagoniła mnie do łazienki i narzuciła mi na ramiona duży, miękki ręcznik. (Ech, te amerykańskie ręczniki! Nigdy nie przestałam się zachwycać ich puszystością. W sprawie hot dogów wciąż jeszcze nie mogłam się zdecydować, ale amerykańskie ręczniki...). – Niech pani się tu rozbierze. Zaraz wracam.

– Izwinitie, mogę pójść do swojego pokoju – zaczęłam, ale ją nie sposób było powstrzymać. Zanim wyszłam z łazienki, owinięta ręcznikami, zostawiwszy stertę mokrych ubrań na brzegu wanny pierwszej damy, ona wróciła z piżamą i przybornikiem do szycia. Uśmiechnęła się na widok mojej purpurowej twarzy, zawołała pokojówkę po moje mokre ubranie, a potem odwróciła się do mnie z rzeczową miną, jakby była przyzwyczajona do półnagich radzieckich snajperów ociekających wodą na jej perskich dywanach.

– Niech się pani przebierze w piżamę, moja droga.

– Ale... nie jesteśmy tego samego wzrostu – odrzekłam, wciąż szcękając zębami.

– Nieważne, zaraz podłożę rękawy i nogawki.

– Sa... sama?

– Da, moja rosyjska przyjaciółko. A może się pani wydaje, że kobiety w rodzinie Rooseveltów to utrzymanki, które nigdy nie muszą nic robić? – Właśnie tak myślałam, a ona znowu uśmiechnęła się na widok mojej miny. – Zapewniam panią, Amerykanki umieją pracować! No, to najpierw zajmujemy się spodniami...

Wciąż byłam zbyt zakłopotana, by protestować, więc gdy taktownie się odwróciła, by poszukać czegoś w przyborniku do szycia, wślizgnęłam się w spodnie od pizamy. Były uszyte z różowego atłasu, najwyraźniej nikt ich jeszcze nie nosił, wzdłuż szwów wyhaftowano fiołki – nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie uroczonego, przeznaczonego wyłącznie do spania. Zazwyczaj spałam w jednej ze starych koszulek Loni, a jeśli było zimno, w wełnianej podpince swojego zimowego munduru. Stałam w ręczniku owiniętym wokół tułowia, a pierwsza dama energicznie rozłożyła centymetr krawiecki i zmierzyła mi ręce.

– Nie musi pani tego robić – spróbowałam bez przekonania, lecz w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi, więc poddałam się jej pomiarom.

– Mój Boże – powiedziała, stojąc za moimi plecami, a ja wiedziałam, że patrzy na bliznę. – Co to jest, Ludmiło?

Poczułam, jak Kostia szepcze tuż obok mojego kręgosłupa: „Noś ją z dumą” – poczułam to tak wyraźnie, że dreszcz przebiegł po całej powierzchni mojej skóry.

– Ślad po kawałku metalu – odpowiedziałam w końcu, nie znajdując angielskich odpowiedników „blizny” ani „odłamka”. – Grudzień ubiegłego roku, Sewastopol.

– Wypadek? – Pani Roosevelt znowu stanęła przede mną, zwijając centymetr krawiecki. – Czy może skutek walki z Niemcami?

– Rana odniesiona w bitwie.

– Biedactwo – powiedziała po prostu. – Musiała pani znieść tyle okropieństw.

Uścisnęła mnie. Uścisnęła. Nikt mnie nie ścisnął, odkąd matka objęła mnie na peronie w Moskwie. I to mną wstrząsnęło. Poczułam, jak drżą mi ramiona, poczułam, jak ręce pierwszej damy ciaśniej oplatają moje plecy i wtuliłam twarz w jej kościste ramię. Tak wiele połamanych części kłuło

mnie od środka, że nie wiedziałam, co innego miałabym zrobić, niż tylko rozpląnąć się w tym uścisku i próbować się nie rozplakać.

– Straciłam... tak wielu – zdołałam wykrztusić między głębokimi, gwałtownymi oddechami. Lonię, Wartanową, Lenę, swój pluton... a teraz, gdy wyruszę z powrotem na front, stracę Kostię. Nie jutro, nie pojutrze, ale wkrótce. Nigdy więcej nie będziemy razem walczyli.

Pierwsza dama nic nie powiedziała. Po prostu trzymała mnie w objęciach, dopóki nie przestałam się trząść, a potem podała mi chusteczkę, tak jak zrobiłaby moja mama. Roześmiałam się i zadrżałam.

– Pani i moja matka... polubiłybyście się.

– Na pewno. Przecież wychowała wspaniałą córkę. – Pani Roosevelt odsunęła się, odchodząc w stronę przybornika do szycia, by dać mi chwilę na otarcie łez. – Czy pani dokonania wojenne cieszą pani matkę, Ludmiło?

– Jest dumna – powiedziałam, przysiadając na krawędzi łóżka, podczas gdy pierwsza dama usiadła po drugiej stronie, by nawlec igłę. – Ale rozpacza z powodu utraty studentki historii, którą posłała na uniwersytet – zaważałam się, nie mając pewności, czy to, co chcę powiedzieć, nie jest defetystyczną kontrpropagandą. – Ja też rozpaczam – przyznałam w końcu.

– Naprawdę? – Pani Roosevelt sięgnęła po nożyczki, by przyciąć za długie rękawy.

– Ludzie myślą, że nienawidzę hitlerowców – powiedziałam ze zmęczeniem. – Owszem. Muszę ich nienawidzić. Ale wcale o to nie prosiłam. Dorastając, marzyłam, że zostanę historyczką, a nie że zabiję trzystu dziewięciu faszystów.

– Wiem, że jest pani przykro, gdy czyta pani artykuły, w których nazywają panią zabójczynią. Niech pani nie robi takiej zaskoczonej miny. Widziałam, jak zmieniła się pani twarz, kiedy czytała pani relację ze swojej pierwszej konferencji prasowej. – Ciach, zrobiły nożyczki. Końcówki mankietów odpadły. – Radzę pani, żeby trzymała się pani z dala od polityki, bo w tym świecie człowiek musi przywyknąć do czytania takich rzeczy na swój temat.

– Pani przywykła? – spytałam, nie mogąc się powstrzymać.

– Gdybym się przejmowała tym, że obrzucają mnie błotem, już dawno bym nie żyła. – Pierwsza dama podwinęła przycięte brzegi atlasu, by zrobić nowy rąbek. – Ale byłam nieśmiałą dziewczyną, droga Ludmiło, i dawniej widok mojego nazwiska w gazetach sprawiał, że się wzdrygałam. W końcu dorosłam do swojej roli, ale początkowo jako żona polityka... Cóż, publiczna krytyka potrafi zaboлеć. Potrzeba czasu, by wyhodować sobie grubą skórę chroniącą przed obelgami.

– Ale cieszy się pani większym poparciem niż prezydent. – Przypomniało mi się, że usłyszałam o tym na odprawie w Moskwie. Sześćdziesiąt siedem procent Amerykanów biorących udział w sondażu oceniało ją dobrze, jej męża zaś tylko pięćdziesiąt osiem procent.

– Mimo to nazywają mnie bezczelną, zarozumiałą, wścibską. Mówią, że zdradziłam swoją klasę społeczną, że jestem koszmarem o końskich zębach, miłośniczką czarnych, miłośniczką Żydów. – Wzruszyła ramionami. – Czego to ja o sobie nie słyszałam.

– Nazywali panią zimnokrwistą morderczynią? – Nie mogłam jej powtórzyć gorszych wyzwisk: komunistyczna suka, ruska szmata...

– „Zimnokrwistą morderczynią, która nie ma litości dla nieszczęsnych żołnierzy wroga, wypełniających jedynie rozkazy dowództwa?” – zacytowała Eleanor. – Przypuszczałam, że właśnie tym najbardziej się pani przejęła.

– Co według tych dziennikarzy powinnam robić? Grzecznie prosić tych wszystkich nazistów, żeby sobie poszli? Myślą, że to by podziałało?

– Sądzę, że widząc panią pierwszy raz, nie wiedzieli, co myśleć. Powoli jednak zmieniają melodię dzięki pani niedawnym wystąpieniom publicznym.

– Dlatego, że zaczynają mnie poznawać? Lubić? – Moje słowa zabrzmiały drwiąco, lecz ona przytaknęła.

– To takie nieprawdopodobne? Początkowo sama wcale nie byłam pewna, czy panią polubię, ale poznałam panią bliżej... i teraz panią lubię. Amerykanie zaczynają zmieniać zdanie w taki sam sposób. I dlatego jeśli chce pani pomóc przekonać opinię publiczną do wysłania amerykańskich żołnierzy do Europy, żeby pomogli Związkowi Radzieckiemu, powinna pani jeszcze bardziej przedłużyć swoją trasę po moim kraju.

– Wykonuję polecenia delegacji i partii – powiedziałam zrezygnowana. Nie tylko Jurij musiał działać zgodnie z wytycznymi.

– Wiem, że pani tego nie chce. Wiem, że nie lubi pani być w świetle reflektorów. – Pierwsza dama przegryzła nić. – Też tego nie lubiłam. Pamiętam, jak trzęsły mi się kolana, gdy pierwszy raz wygłaszałam przemówienie.

Nie mogłam sobie tego wyobrazić, ani trochę.

– Jak pani to zrobiła? Jak stała się pani w tym dobra?

– Powtarzałam sobie, że trzeba robić to, co wydaje się niemożliwe – powiedziała po prostu. – Zawsze. I najczęściej odkrywa się wtedy, że jednak się to potrafi.

– A jeśli nie? – wypaliłam. – A jeśli się nie uda?

– Próbuje się jeszcze raz...

– Nie. – Odruchowo pokręciłam głową. – To tak nie działa. Nie można liczyć na to, że kiedy się nie uda, świat da nam drugą szansę.

Zamyśliła się.

– Żyje pani według takiej zasady?

– To najważniejsza zasada, jaka istnieje. – Zacytowałam słowa odcisnięte w moich kościach. „Nie spudłować”.

– Och, moja droga. Nie da się żyć według takiej zasady.

– To zasada dla snajpera!

– Myśli pani, że dotyczy wyłącznie snajperów? Większość kobiet dopada lęk przed porażką. Przed tym, że zawiodą.

Zamrugałam, zaskoczona.

– Mnie ta zasada trzymała przy życiu.

– I najwyraźniej zrobiła z pani odważnego żołnierza, ale i wystraszoną kobietę. – Pierwsza dama odłożyła igłę i spojrzała na mnie tym swoim przenikliwym wzrokiem. – Wszyscy ponoszą porażki, droga Ludmiło. Ja je ponoszę. Mój mąż je ponosi... Myśli pani, że wszystkie reformy w ramach jego Nowego Ładu osiągnęły oszałamiający sukces? Niektóre jego inicjatywy okazały się niewypałami. Podejmował decyzje, za które go

słusznie potępiano. Ma mnóstwo wrogów, którzy życzą mu śmierci. – Po tych słowach przez jej twarz przemknął cień. – Poniósł więcej klęsk, niż większość mężczyzn podejmuje prób... ale lepsze to, niż w ogóle nie próbować.

– Jest mężczyzną – powiedziałam szorstko – a do tego Amerykaninem. Popełnia błędy, a świat robi z niego jedyne go prezydenta w waszej historii wybranego na trzy kadencje. Błędów popełnianych przez kobiety nie traktuje się z taką życzliwością.

– Zgadza się – powiedziała, znowu mnie zaskakując. – Właśnie dlatego my, kobiety, jesteśmy szczególnie skłonne wierzyć, że nigdy nie wolno nam się potknąć. Ale nieustanna perfekcja to coś, w czym zawsze poniesiemy porażkę, każda z nas. I wbrew temu, co się pani wydaje, świat pani nie odrzuci, jeśli czasami coś się nie uda. Śmiem przypuszczać, że nie zastrzeliła pani każdego wroga, jakiego kiedykolwiek miała pani na celowniku, walcząc na froncie. A mimo to wciąż tu pani jest, żyje pani, nosi moją piżamę. Straciła pani ukochanego mężczyznę, a mimo to przypuszczam, że nie żałuje pani tego, że go kochała, i bardzo możliwe, że pewnego dnia dostanie pani następną szansę na miłość, ponieważ jest pani przeurocza. – Sięgnęła po igłę i znowu zaczęła szyć. – Jeśli za pierwszym razem coś się nie udaje... No cóż, oszczędzę pani nieco odpychającego wierszyka, którego nauczyłam się w dzieciństwie, ale próbowanie jeszcze raz to coś, w co my, jankesi, bardzo mocno wierzymy.

– W Rosji wierzymy, że jeśli zawiedziemy, zginiemy – oświadczyłam. – I nie widziałam na tej wojnie niczego, co skłoniłoby mnie do zwątpienia w te słowa.

– Ale życie nie zawsze będzie wojną, droga Ludmiło – odrzekła łagodnie. – I wyrządzi pani sobie ogromną krzywdę, jeśli każdą chwilę, nie tylko w czasie wojny, lecz także w spokojniejszych momentach, będzie pani chciała przeżyć w myśl maksymy: „Nigdy nie spudłować”.

Wpatrywałam się w nią, ściskając ręcznik, którym wciąż byłam owinięta. Wstrząsnęła mną do głębi.

– No to weźmy się do mankietów. – Widząc mój smutek, pierwsza dama wyraźnie przybrała weselszy ton i przyłożyła górę piżamy do mojej twarzy. – Uroczo pani w tym różu...

Godzinę, dzbanek herbaty i talerz herbatników później rozległo się pukanie do drzwi. Nie słyszałyśmy go jednak, ponieważ byłyśmy pochłonięte ożywioną rozmową.

– Ale z tego, co rozumiem, kobiety zazwyczaj nie służą w radzieckim wojsku – mówiła Eleanor. – Nawet w pani kraju nie jest to takie powszechne. Jak to się zatem stało, że z taką łatwością podjęła pani decyzję, żeby się zaciągnąć?

– Ponieważ w moim domu szanuje się kobiety nie tylko jako kobiety, lecz także jako jednostki. – Ku mojej uldze przeszliśmy do mniej delikatnych tematów: najpierw do kolorów odzieży i różnic w modzie, potem do różnic między amerykańskim i radzieckim kinem, a teraz do zawiłości związanych z wojskową służbą kobiet. – Nie czujemy ograniczeń z powodu swojej płci. To dlatego takie kobiety jak ja w naturalny sposób zajmują miejsca obok mężczyzn w armii.

– Musi pani to wpleść w następne przemówienie. Położyłabym nacisk na słowo jednostka. My, Amerykanie, jesteśmy zakochani w idei indywidualizmu i zakładamy, że wam, Rosjanom, zależy wyłącznie na kolektywizmie...

Drzwi się otworzyły i słysząc skrzypnięcie zawiasów, spojrzałam w ich stronę.

– Co tu się dzieje? – spytał prezydent Roosevelt. Wydawał się rozbawiony.

Zerwałam się z miejsca, rozsypując okruszki herbatników. Teraz byłam owinięta ręcznikiem w talii, a górną część ciała miałam zasłoniętą frywolną różową piżamą z haftowanymi kwiatkami, Eleanor zaś kończyła podkładać nogawki. Patrzyłam, jak prezydent Stanów Zjednoczonych rozgląda się po pokoju żony – na łóżku leżały porzrzucone skrawki różowego atłasu, wszędzie walały się szpulki nici, w filiżankach zostały tylko resztki herbaty, a pośród tego wszystkiego stała półnaga radziecka snajperka.

– Witaj, kochanie – powiedziała spokojnie Eleanor, jakby codziennie przed śniadaniem podszywała piżamy dla urodzonych za granicą zabójczyń.

– To jedna z tych scen – powiedział zadumany prezydent, pocierając brodę zylastą dłonią – które wymykają się wszelkim próbom opisu.

Zacząłam przeproszać, wplatając w to rosyjskie słowa, lecz on wybuchnął śmiechem. Podobnie jak Eleanor. I po chwili ja.

Gdy w splendorze różowego atlasu wróciłam do swojego pokoju, znalazłam filcowy kapelusz, który Kostia wyłowił z wody i włożył do kanoe, starannie wysuszony i położony na krześle obok drzwi. Ścisnęłam go mocno, słysząc, jak wali mi serce – czułam jednak na sobie ramiona pierwszej damy oraz jej zaskakująco silny uścisk i moje poturbowane serce ostrożnie badało słowa, które wciąż odbijały się echem od moich kości, rozbrzmiewając jej szczerym głosem: „Świat pani nie odrzuci, jeśli czasami coś się pani nie uda”.

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Coś, co powiedziała dziś droga Ludmiła, głęboko mnie zaniepokoiło. Właśnie miała pójść do swojego pokoju. W różowej piżamie i z wilgotnymi włosami wyglądała na najwyżej szesnaście lat, a Franklin spytał, jak jej się podoba w Hyde Parku. „Dobrze tu sypiam – odpowiedziała, równie bezpośrednia jak jedna z wystrzelonych przez nią kul. – Nikt nie może mnie tu skrzywdzić”.

Nie zna Franklina, więc nie zauważyła cienia, który przemknął po jego twarzy, gdy odpowiedział jowialnie: „Ani mnie”.

Po jej wyjściu spoglądam na męża i pytam:

– Kto według ciebie miałby spróbować cię skrzywdzić?

Wzrusza ramionami i zbywa to pytanie krzywym uśmiechem.

– Spóźnimy się na lancz.

– Kolejny Zangara? – pytam, zmuszając się do tego. – Kolejny MacGuire?

Zangara był zamachowcem, który w 1933 roku oddał w Miami pięć strzałów do Franklina, siedemnaście dni przed jego zaprzysiężeniem. MacGuire był jednym z dowódców Legionu Amerykańskiego stojącym na czele spisku, który miał usunąć mojego męża w 1934 roku i zastąpić go wojskowym dyktatorem. Zangara zamiast mojego męża zabił burmistrza Chicago; przygotowywany przez MacGuire’a plan zamachu stanu wziął

w łeb i przepadł w gąszczu przesłuchań w komisji Kongresu. Tym dwóm się nie udało.

Zawsze jednak krążyły pogłoski, że za obiema tymi historiami stali ważniejsi ludzie – nazwiska ze świata wielkiego przemysłu, nazwiska z Wall Street, nazwiska, które z pewnością znał każdy Amerykanin.

– Franklin... – zaczynam, czując, jak mój puls przyspiesza, lecz on już w milczeniu wychodzi.

28

Nagłówek: RADZIECKA DELEGACJA WZNAWIA TRASĘ PO STANACH ZJEDNOCZONYCH. PAN KRASAWCZENKO I PORUCZNIK PCZELINCEW POPRZESTANĄ NA ODWIEDZENIU WSCHODNIEGO WYBRZEŻA, LECZ SŁYNNNA SNAJPERKA LUDMIŁA PAWLICZENKO ZMIERZA DO DETROIT, CHICAGO, MINNEAPOLIS, SAN FRANCISCO, FRESNO I LOS ANGELES. W PIERWSZYM ETAPIE PODRÓŻY BĘDZIE JEJ TOWARZYSZYŁA SAMA PIERWSZA DAMA...

Prawda: Całe szczęście, że prezydencką limuzynę prowadził szofer, bo gdyby Eleanor Roosevelt zaproponowała, że siądzie za kółkiem, poszłabym na Środkowy Zachód piechotą.

– Nie rozumiem – narzekałam, gdy limuzyna sunęła autostradą. – Po co mam odwiedzać centralę Forda, skoro robotnicy nie będą chcieli ze mną rozmawiać?

– Oczywiście, że nie będą chcieli z panią rozmawiać – roześmiała się pierwsza dama. – Ford dobrze im płaci, więc mają wiele do stracenia. Martwię się, że zbyt wielkie zainteresowanie okazane gościowi z komunistycznej Rosji mogłoby wyglądać podejrzanie, a tym bardziej ciekawość w kwestii jego poglądów na temat praw robotników! – Pani Roosevelt robiła już pospiesznie notatki po naszej wizycie w fabryce samolotów i po spotkaniu z panem Fordem. Wybierając się do Stanów Zjednoczonych, zakładałam, że żona prezydenta jest próżniaczą milionerką z towarzystwa, lecz z tego, co zauważyłam, ta kobieta nieustannie pracowała. – Myślę, że pani przemówienie wypadło dobrze.

Nie byłam tego taka pewna, lecz początek tej trasy i tak był dla mnie nieprzyjemny: kolejny złowrogi liścik z pogrózkami odnalazł dziś rano drogę do drzwi mojego pokoju hotelowego. NIE WYSTARCZY WYJECHAĆ Z WASZYNGTONU, TY JEBANA MORDERCZYNI. WRACAJ DO DOMU ALBO WRÓCISZ TAM W TRUMNIE.

Czy mój wróg ruszył w ślad za mną po kraju? A może to był ktoś z delegacji? Pomyślałam ponuro o Aleksieju. Byłby zdolny do próby nastraszenia własnej żony, by zapragnęła schronić się w jego ramionach. Jeśli myślał, że to mu się uda...!

– Pięć godzin do Chicago – powiedziała Eleanor, wrywając mnie z zamyślenia. Spojrzałam przez kuloodporną szybę na ogniste jesienne drzewa przy drodze. Pięć godzin... Żałowałam, że nie wzięłam jakiejś książki, tak jak Kostia. Miał przy sobie oprawny w skórę egzemplarz wierszy niejakiego Walta Whitmana, pożyczony z biblioteki pierwszej damy.

– Dobrze? – spytałam, przechodząc z powrotem na rosyjski.

– Zawile. – Na drugim kolanie trzymał mój słownik angielskiego i ciągle przeskakiwał między tymi dwiema książkami. Rozmyte jesienne słońce wpadało ukośnie przez kuloodporne okno i padało na jego czarne włosy. – Co to jest szkarłatka?

– Nie wiem. Ale chyba powinnam wziąć próbkę dla Sławki. – Westchnęłam głęboko. Nikt w samochodzie nie mógł zrozumieć, co mówimy: ani pierwsza dama, ani jej sekretarz nie znali rosyjskiego na tyle dobrze, szofer i ochroniarz byli oddzieleni przegrodą, zaś wiecznie obecny Jurij jechał za nami w samochodzie ochrony razem z Aleksiejem (który jakimś cudem zdołał się wprosić na moją połowę trasy), lecz mimo to wahałam się, czy zadać to pytanie. – Jak było w Nowym Jorku? – Mój partner był w radzieckiej ambasadzie w Waszyngtonie, gdy wróciliśmy z wiejskiej posiadłości Rooseveltów, lecz w tamtych murach nie odważyłam się go spytać o rodzinę. – Udało ci się...

Przewracając stronę, ledwie dostrzegalnie się uśmiechnął.

– Tak.

– Ludmiło, niech pani spojrzy przez szybę! – zawołała pierwsza dama. – Czy te płaskie tereny Michigan nie przypominają pani ojczystych stepów? –

Limuzyna pokonywała kilometr za kilometrem, a Eleanor pokazywała nam miasta, które znała ze swoich podróży od wybrzeża do wybrzeża. Była dumna ze swojego kraju, słyszałam to w jej głosie – na pewno uważała, że jest lepszy niż wszystko, co można znaleźć w Rosji, na co w duchu się uśmiechnęłam. Miasta i miasteczka przemykały za szybą – Ann Arbor, Albion, Kalamazoo – potem rozległe brzegi jeziora Michigan przypominającego morze... Zakręciła mi się łza w oku na wspomnienie Morza Czarnego graniczącego z Odessą.

– Tęskni pani za domem – powiedziała pani Roosevelt, odczytując to w mojej twarzy po jednym spojrzeniu. – Wkrótce pani tam wróci, moja droga. A jeśli dopisze nam szczęście i niebawem zobaczymy koniec tej wojny, będzie pani mogła wrócić na studia, zamiast na front.

– Mogłabym dokończyć rozprawę. – Westchnęłam. – Chciałaby pani ją zobaczyć? Jest poświęcona Bohdanowi Chmielnickiemu, przyłączeniu Ukrainy do Rosji w tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym roku...

Mogłabym przysiąc, że po mojej drugiej stronie Kostia zakasłał ostrzegawczo, lecz pierwsza dama słuchała, przejawiając wszelkie oznaki zafascynowania, i przerwała mi tylko, by pokazać wysokie piaszczyste wydmy, które ukazywały się coraz częściej, gdy zapuszczaliśmy się dalej na południe.

– To piękny kraj – przyznałam, przechylając się w jej stronę, by spojrzeć przez szybę. – Życie tu w tak pokojowych warunkach. Ciągłe się rozglądam i zastanawiam, co się stało ze zniszczeniami po bombach... Tyle tutaj luksusu.

– Ale? – powiedziała, usłyszawszy inną nutę w moim głosie.

– To także kraj nędzy. – Spojrzałam jej w oczy. – Widziałam wystarczająco wiele uboższych zakątków waszych miast, by zauważyć, że amerykańscy czarni żyją w bardzo złych warunkach.

– To prawda, mamy jeszcze dużo do zrobienia – przyznała ze spokojem. – Stany Zjednoczone walczą z uprzedzeniami za granicą, lecz tolerują je u siebie. Segregacja wypacza i skrzywia życie naszej czarnoskórej populacji, nie ma co do tego wątpliwości. To się musi zmienić.

– Jak?

– Przez pracę – powiedziała, machnąwszy piórem. – Nie wystarczy wierzyć w równość, pokój i prawa człowieka, trzeba nad tym pracować.

Uśmiechnęłam się.

– Jak na amerykańską milionerkę wyznaje pani etykę pracy, którą pochwaliliby Rosjanie.

– A pani ma zdolność do śmiechu, którą pochwaliliby Amerykanie – odpowiedziała pierwsza dama. – Historyjki obrazkowe w tygodniku „Punch” i Hollywood wyrobiły w nas przekonanie, że Rosjanom brakuje poczucia humoru.

– Życie potrafi dać nam w kość. Musimy się z tego śmiać. – Przypomniał mi się dowcip, który usłyszałam od swojej drogiej Leny. – Co powiedział jeden niemiecki żołnierz do drugiego, gdy dotarli na front wschodni?

– Co?

– „Spójrz na tę ładną Rosjankę, która mi się przygląda”. Jego kolega pyta: „Dlaczego nie pójdziesz się przywitać?”. A ten odpowiada: „Bo przygląda mi się przez celownik”.

Eleanor się roześmiała. Mijały kolejne kilometry. Rozmowa ustąpiła miejsca milczeniu, a potem ospałości. W pewnym momencie przysnęłam i obudziłam się gwałtownie, gdy limuzyna się zatrzymała. Miałam ciężkie powieki i czułam jakiś ciężar na ramieniu – ciemnowłosą głowę Kostii.

– Zasnęliście w tym samym momencie – powiedziała pani Roosevelt, mrużąc oczy, żeby na mnie spojrzeć, a wtedy uświadomiłam sobie, że zasnęłam z głową na jej ramieniu. – Niech się pani obudzi, moja droga – ciągnęła, gdy się wyprostowałam, rumieniąc się z zakłopotania i myśląc: „Proszę, niech się tylko nie okaże, że zaśliniłam pierwszą damę!”. – Jesteśmy w Chicago. Wie pani, że słynny amerykański poeta nazwał je kiedyś „barczystym miastem”?

– W Związku Radzieckim też mamy kiepską poezję – pocieszyłam ją, a ona wybuchnęła śmiechem.



Jakież one świeże i wypoczęte, pomyślał cierpko strzelec wyborowy, patrząc, jak Ludmiła Pawliczenko i pierwsza dama wchodzą na obwieszoną chorągiewkami scenę i machają do wiwatujących na dole tłumów. Przez pięć godzin jechał za prezydencką świtą packardem wielkości pudełka na buty, w ścisku i złości – on nie dotarł do Chicago tak wypoczęty i pełen energii jak ta snajperka.

Błysnęły oślepiające flesze i strzelec wyborowy zauważył, że Ludmiła Pawliczenko już się nie wzdryga, jakby przed jej twarzą eksplodowały granaty. Myślał, że będzie bardziej zdenerwowana, zwłaszcza po tym, jak przekupił pokojówkę w hotelu, by wsunęła pod jej drzwi kolejny anonimowy liścik z pogrózkami. W Waszyngtonie chyba to działało. W operze była wyraźnie podenerwowana, a na przyjęciu inauguracyjnym konferencję oglądała się co rusz przez ramię, jakby wypatrywała swojego prześladowcy. Wydawała się wytrącona z równowagi, a jemu właśnie o to chodziło. Teraz jednak wyglądała spokojnie i profesjonalnie, gdy wygłaszała krótkie przemówienie za pośrednictwem swojego tłumacza – i niech to diabli, ludzie żywo na nie reagowali. Wcześniej strzelec wyborowy był przekonany, że ta jej trasa nigdy nie odniesie takiego sukcesu, na jaki liczyli Rosjanie – oczekiwanie, że amerykańska publika przekona się do kobiety, która rzekomo zabiła trzystu dziewięciu mężczyzn było niedorzeczne. Publiczność w Chicago reagowała jednak żywiołowo.

– No dobra – zastanawiał się głośno w gwarnym tłumie, podzwaniając małymi diamentami w kieszeni. – Więc odniosła sukces. – To dowodziło jedynie, że jest wprawna propagandzistką, a nie snajperką. Tylko zawodowiec zdołałby tego dokonać... A na dodatek oczarowała pierwszą damę. Co rusz przysuwały się do siebie głowami w chwilach ciszy na scenie, wymieniając się jakimiś dowcipnymi uwagami. Zobaczymy, jak będziesz się uśmiechała, kiedy dotrzemy do Los Angeles, pomyślał strzelec wyborowy. Był to jego nowy plan: wślizgnąć się do orszaku pochlebców podążających za prezydencką świtą, gdy ta będzie zmierzała na północ i wtopić się w krajobraz, stając się elementem niewartym zauważenia i niezauważonym. Już się skontaktował z Poszetką, zadbał o to, by jego nazwisko przeszło gładko przez ochronę pierwszej damy. Wiedział, że nikt go nie zaszczyci ponownym spojrzeniem i będzie miał mnóstwo czasu, by pozostawać w tle, dopóki nie dotrą do Miasta Aniołów... gdzie prezydent Roosevelt, odbywający prywatną trasę po krajowych zakładach przemysłu

obronnego, miał przybyć na wspólne wystąpienie ze swoją żoną i Ludmiłą Pawliczenko.

I właśnie wtedy padnie strzał.

Czy pierwsza dama nie będzie zaskoczona, widząc, jak jej nowa przyjaciółka spada z piedestału, nie będąc już bohaterką narodową, lecz radzieckim Johnem Wilkesem Boothem. PANI ROOSEVELT ZAPRZYJAŻNIA SIĘ Z ZABÓJCZYNIĄ JEJ MĘŻA – taki nagłówek warto będzie przeczytać.

Patrząc, jak dwie kobiety schodzą ze sceny, strzelec wyborowy uświadomił sobie, że wyczekuje tego z instynktownym, złośliwym zadowoleniem. Ludmiła Pawliczenko nie wywoływała w nim żadnych emocji, gdy przed kilkoma tygodniami pierwszy raz widział ją wchodzącą do Białego Domu. Czuł jedynie umiarkowaną ciekawość, gdy zaczął ją wrabiać w zamach stulecia.

Teraz, gdy ta komunistyczna suka ciągała go po całym kraju i gdy już planował kolejne anonimowe groźby nabazgrane cyrylicą, pragnął zobaczyć jej upadek.



– Pani Pawliczenko, tak się cieszę, że mogę znowu ujrzeć pani twarz!

Początkowo go nie poznałam – lniany garnitur, lekko wyłupiaste oczy – lecz po chwili poczułam wilgotne, gorączkowe palce ściskające mi dłoń i przypomniałam sobie milionera poznanego w Baltimore.

– Pan Jonson... Przyjechał pan aż z Marylandu.

– Przywitałbym się z panią także w Detroit – powiedział rozanielony. – Ale w centrali pana Forda obowiązują bardzo surowe zasady bezpieczeństwa.

– A tutaj nie? – spytałam, nie zdoławszy się powstrzymać. Pierwsza dama i ja zostałyśmy zaproszone do Chicagowskiego Związku Strzelców Wyborowych. Myślałam, że klub strzelecki będzie miał więcej uzbrojonych strażników przy wejściu. – Jak się panu udało...

– Och, kupiłem bilet. I kupiłbym ich z tuzin za ponowną szansę spotkania się z panią. Chciałaby pani chusteczkę, bardzo tu gorąco...

– Niet, panie Jonson...

– Williamie!

– Williamie, właśnie idę na spotkanie z przewodniczącym związku. – Wyjęłam dłonie z jego lepkich palców i ruszyłam w stronę stojaków z bronią, omijając dziennikarzy, którzy szczebiotali: „Pani Pawliczenko... Pani Pawliczenko”, niczym chór ptasząt. Ilu ich tam było! Cały czas próbowałam kojarzyć twarze z nazwiskami, ale było ich po prostu zbyt wiele.

– Uśmiechaj się do obiektywów, kroszka – mruknął Aleksiej, któremu udało się objąć mnie ramieniem i sprawnie odwrócić w kierunku najbliższej lampy błyskowej, głaszcząc jednocześnie kciukiem mój kark. Wyswobodziłam się, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie i wreszcie ujrzałam prezesa klubu strzeleckiego, który niezbyt cierpliwie czekał, by zapozować ze mną do zdjęć.

– Co pani sądzi o naszej amerykańskiej broni? – spytał, głośno chrząkając, i wcale się nie zdziwiłam, zauważywszy sceptyczne spojrzenia, jakie wymienili jego koledzy ze związku. Myśleli, że nie słyszę ich szeptania? Ta ich rzekoma snajperka nie potrafiłaby odróżnić jednego końca karabinu od drugiego...

– To M1 Garand? – spytałam przewodniczącego za pośrednictwem Kostii, idąc wzdłuż stojaków z klubową bronią. – Bardzo podobny do swiety, której używamy na froncie. Gazy prochowe trafiają do specjalnej komory, żeby otworzyć zamek. – Zdjęłam karabin samopowtarzalny ze stojaka, obejrzałam go szybko, uniosłam do ramienia, by się do niego przymierzyć. – Celownik optyczny Weaver, bardzo ładnie.

Udałam, że nie widzę ich zaskoczonych min.

– A co pani sądzi o tym, pani Pawliczenko? To nasz springfield M1903.

– Tak, bardzo przypomina trioelinijkę, z której strzelałam. W warunkach polowych wolę zamek ślizgowo-obrotowy. Ten nieautomatyczny bezpiecznik uderzająco przypomina mausera Kar98k niemieckiej armii...

Gawędziłam o radzieckich karabinach i o tym, jak wypadają w porównaniu z różnymi modelami aliantów, namawiając przewodniczącego, żeby rozłożył ze mną M1903, bym mogła się przyjrzeć

mechanizmom spustowym i pozachwycać się głośno ciężkością ich elementów, ich zgrabnością, solidnością. Pod koniec starsi mężczyźni już się uśmiechali. Nawet przyglądający się temu dziennikarze byli chyba chcąc nie chcąc pod wrażeniem, a William Jonson wciąż patrzył na mnie rozanielony.

– Och, pani Pawliczenko, tak bym chciał, żeby zechciała nas pani zaszczyścić pokazem swoich umiejętności.

Zawahałam się. Dotąd zawsze odrzucałam takie prośby. Nie byłam kukiełką popisującą się na żądanie, byłam żołnierzem. Jakiś dziennikarz w Detroit porównał mnie do amerykańskiej artystki cyrkowej, którą nazwał Annie Oakley, pytając, czy umiałabym strzelić przez ramię, patrząc w lustro, a ja mu odpowiedziałam, że takie umiejętności jak moje nie są przeznaczone do namiotów cyrkowych ani do zabaw towarzyskich. Panowie z klubu strzeleckiego wydawali się jednak tak entuzjastycznie nastawieni – ci starsi wyglądali na weteranów pamiętających zapach krwi zmieszanej z błotem, a młodszy byli tacy rumiani i niewinni... niemniej to właśnie ich wysłano by do walki, gdyby powiódł się plan pierwszej damy, by z moją pomocą promować pomysł utworzenia drugiego frontu. Pani Roosevelt rozmawiała z jakimś pułkownikiem na drugim końcu sali, lecz mogłabym przysiąc, że patrząc na mnie kątem oka, leciuteńko kiwnęła głową.

– Nu ładno – powiedziałam z uśmiechem, a mężczyźni wzniesli radosny okrzyk.

Gdy ustalaliśmy szczegóły pokazu, trzęsły mi się lekko ręce: odległość stu metrów, postawa leżąca bez podparcia, dziesięć strzałów, dziesięć minut na ich oddanie, celownik mechaniczny. Nie strzelałaś z karabinu od półtora miesiąca, zbeształ mnie głos w mojej głowie. Zawodowiec powinien strzelać przynajmniej dwa razy w tygodniu, żeby nie wyjść z wprawy! Miałam bronić swojej reputacji i honoru Armii Czerwonej przykurzonymi umiejętnościami i na nieznanym sprzęcie?

– Ktoś będzie musiał z nią rywalizować – oznajmił nieoczekiwanie Kostia po angielsku, gdy weszliśmy na strzelnicę. Zamrugałam zaskoczona, ponieważ zgłosił się tłum chętnych Amerykanów. – Nie, potrzebujemy kogoś, z kim będzie jej trudniej wygrać. Innego Rosjanina. – Uśmiechnął się, wywołując pożądany chór wesołych okrzyków i gwizdów. – Jeśli

pożyczycie mi państwo M1903, dołączę do porucznik Pawliczenki. Towarzyszu Juripow, mielibyście ochotę nam towarzyszyć?

– Moje wytyczne tego nie obejmują – oznajmił stojący pod ścianą Jurij.

– Zatem lekarz naszej delegacji – uśmiechnął się Kostia beznamietnie. – Uważa się za świetnego strzelca.

Gwałtownie odwróciłam głowę, gdy z grupy osób kręcących się przy delegacji wyszedł Aleksiej w zachodnim garniturze w prążki i wziął karabin z pierwszej ręki, która mu go podała.

– Z przyjemnością – powiedział w języku angielskim, który usilnie starał się podłapać podczas tej trasy.

– Ja też dołączę – oznajmił żarliwie William Jonson, podchodząc tak szybko, że omal się nie potknął o własne sznurówki. – Śmiem twierdzić, że dorównam każdemu lekarzowi z ambasady, ha, ha! W młodości strzelałem trochę do gołębi, jeszcze jak...

– Co ty wyrabiasz? – syknęłam do Kostii po rosyjsku, lecz on tylko dalej ładował karabin, sprawnie poruszając rękami.

Zajęliśmy pozycje, położyliśmy się na brzuchu i oddaliśmy pięć albo sześć strzałów próbnych, by zapoznać się z nową bronią, a potem zczekaliśmy na świeże papierowe tarcze: ja leżałam między mężem a partnerem; dalej pan Jonson, który ciągle przesuwiał lufę karabinu z niedbałością, na której widok aż się wzdrygałam; oraz garstka starszych Amerykanów, którzy twierdzili, że walczyli na Wielkiej Wojnie. Zabrzmiał sygnał do rozpoczęcia zawodów, Północnica zaczęła odliczanie i świat odpłynął.

Dziesięć strzałów. Pierwszy minął środek tarczy o kilka centymetrów. Sądząc po tym, gdzie wylądowała kula, poznałam, że raczej szarpnęłam za spust, niż go nacisnęłam. Uspokoiliam się, nie pozwalając, by chybiony strzał wytrącił mnie z równowagi. Nie byłam na polu walki, śmierć nie mogła mnie dosięgnąć tylko dlatego, że zabrakło mi kilku centymetrów do doskonałości. Przy drugim strzale nieznajomy karabin szepnął: Trzy. Widząc, że tym razem trafiłam, uśmiechnęłam się. Obok Kostia szykował się już do trzeciego strzału, tuż za nami był jakiś siwy Amerykanin obcięty na jeża. M1903 Kostii i mój karabin zagrzmiały jednocześnie i od razu wiedziałam, że obydwójce trafiliśmy w środek tarczy. Nasze dłonie

poruszały się w tandemie, nasze karabiny czekały w tandemie, i było całkiem jak za dawnych czasów. Nie, lepiej – czyściej, zapachu prochu nie mącił zapach krwi.

Nie potrzebowałam dziesięciu minut, by oddać dziesięć swoich strzałów. Nie potrzebowałam nawet pięciu.

Gdy maruderzy skończyli strzelać, wszyscy wstali i zebrali się przy tarczach. Rozległy się okrzyki radości, gdy liczone trafienia.

– Wygrywa Pani Śmierć!

Uśmiechnęłam się, otrzepując sukienkę i zastanawiając się, co by powiedział mój poblížniony instruktor strzelectwa, gdyby mógł teraz zobaczyć swoją uczennicę. Zastanawiałam się, czy wciąż szkoli snajperów w Kijowie, czy wciąż żyje...

– A niech to, nie przegrałem tak sromotnie od tysiąc dziewięćset dziewiętego. – Siwy Amerykanin obcięty na jeża podał mi rękę potężną jak dąb. Zajął trzecie miejsce, zaraz za Kostią, i mówił z tak dziwnym akcentem, że trudno mi go było zrozumieć. – Domyślam się, pani Pawliczenko, że przy dobrym wietrze ten pani Sybirak potrafiłby trafić w oko piżmaka z odległości trzech mil, a pani zapewne z pięciu. Poprosiłbym panią o rękę, ale moja żona nie byłaby zadowolona, gdyby do pokoju gościnnego wprowadziła się ruska snajperka. Zechciałaby pani wznieść ze mną toast?

– I ze mną – wtrącił zachwycony William Jonson, któremu nie udało się umieścić większości kul w obrębie tarczy. Zapalił lucky strike'a i wymachiwał nim z entuzjazmem. – Fantastyczny pokaz, pani Pawliczenko!

Zaczęły się pojawiać butelki brandy i whisky. Pierwsza dama, rozmawiająca na galerii z pułkownikiem Douglasem, chyba tego nie pochwałała. Pomachałam do niej, nie okazując skruchy. To było spotkanie żołnierzy, spotkanie strzelców, i pierwszy raz od przybycia do Ameryki naprawdę poczułam się jak w domu. Jeden z sługusów delegacji biadolił, że powinnam pozwolić Kostii tłumaczyć, zamiast sama mówić po angielsku, lecz go zignorowałam. Nie chciałam żadnego filtra między sobą a tymi ludźmi. Miałam dość filtrów. Zobaczyłam kątem oka, jak Aleksiej szorstkim gestem odrzuca na bok swój M1903, i uśmiechnęłam się. Na dziesięciu zawodników zajął piąte miejsce.

– Niezły wynik – zawołałam do niego po rosyjsku. Spojrzał na mnie z wściekłością, a ja pomachałam do niego palcami, mamrocząc do Kostii: – A właściwie dlaczego go zaprosiłeś?

– Dlatego, że się denerwowałaś – odpowiedział mój partner. – Gdy tylko stanął w szeregu, nie było najmniejszej szansy na to, że pozwolisz mu wygrać.

Roześmiałam się i wychyliłam porcję amerykańskiej whisky, która smakowała jak płonące drewno. – Zmiażdżyłam go, prawda?

– Jak robaka.

– Będzie pani w stanie wygłosić dziś przemówienie, Ludmiło? – spytała pierwsza dama, gdy wsiedliśmy z powrotem do limuzyny. Z dezaprobatą pokręciła głową.

– Tej whisky nie było aż tak dużo. Amerykanie nie potrafią pić. Czterdzieści mililitrów to za mało na porządny toast. – Wystarczyło jednak, by rozgrzać moje policzki, które wciąż się śmiały po półgodzinie w towarzystwie amerykańskich strzelców. Wszystkie rozmowy przy kieliszkach dotyczyły historii wojennych – oni chcieli usłyszeć moje z ostatniego roku; ja pytałam o ich wspomnienia z Wielkiej Wojny – a potem podarowali mi mahoniowe pudełko, które spoczywało teraz na moich kolanach. – Widziała pani kiedyś coś równie pięknego? – wypaliłam, jeszcze raz podnosząc wieko: była to para pistoletów Colt M1911A1, nowiutkich i błyszczących, oraz dwa magazynki z nabojami.

– W Nowym Jorku dostała pani długie futro z rysia. – Pierwsza dama wydawała się rozbawiona, gdy z radością wyjęłam jeden z coltów i zaczęłam go oglądać. – W Detroit wręczono pani sześć tuzinów róż. A mimo to zachwyca się pani parą pistoletów?

– Są o wiele lepsze niż ten, który dostałam ostatnim razem. – To było w Sewastopolu, gdy generał Pietrow poradził, bym ostatnią kulę zachowała dla siebie, zamiast dać się wziąć żywcem i doświadczyć tego, co Niemcy robią snajperkom. Zamrugalam, by odpędzić od siebie to wspomnienie, i skupiłam się na poszczególnych elementach mechanizmu swojego nowego colta. – Ach, kaliber czterdzieści pięć! Dzieło Browninga, wiedziała pani o tym? Wasza armia zaadoptowała go w tysiąc dziewięćset jedenastym, a nasza w ostatniej wojnie...

Pani Roosevelt się roześmiała.

– Pobawi się nim pani później, moja droga. Już prawie jesteśmy w Grant Parku.

Może tak podziałała na mnie whisky, może uspokajająca piosenka karabinu, którą znów słyszałam w uszach, a może to, że nareszcie, nareszcie zdołałam zetrzeć zadowoloną minę z twarzy Aleksieja – w każdym razie gdy znalazłam się w parku na obwieszanej flagami scenie, patrząc na tłum mężczyzn w średnim wieku, coś we mnie wstąpiło.

– Oddajmy pani głos, pani Pawliczenko...

– Porucznik Pawliczenko, spasibo. – Stałam na środku i zaczęłam przemawiać, odmalowując wojnę, która szalała w mojej dalekiej ojczyźnie, a Kostia tłumaczył moje słowa. Jeden z mężczyzn w pierwszym rzędzie stał i podzwaniał czymś w kieszeniach, mierząc mnie chłodnym spojrzeniem, jakiś dziennikarz gmerał przy swoim aparacie i wydawał się znudzony, grupka urzędników miejskich patrzyła na mój mundur, jakby to był kostium. Żaden z was nie wierzy, że naprawdę walczyłam na wojnie, pomyślałam. Mężczyźni, których spotkałam dziś na strzelnicy, uwierzyli. Wielu z nich było weteranami, umieli poznać prawdziwego żołnierza, gdy zobaczyli, jak pociąga za spust. Jednak publiczność, przed którą stawałam w kolejnych miastach, ludzie, przed którymi stawałam uzbrojona wyłącznie w swój głos, co oni mogli wiedzieć?

Niech się zatem dowiedzą, pomyślałam. Tym razem ta myśl nie była zaprawiona goryczą ani złością. Przepeliła mnie wściekłą dumą.

– Panowie! – zawołałam głośno i wyraźnie, porzucając przygotowane przemówienie. Zaczekałam, aż skupią się na mnie wszystkie rozkojarzone spojrzenia, a potem stanęłam w rozkroku na podium, założyłam dłonie za plecy i zastygłam w pozycji „spocznij”. – Panowie, mam dwadzieścia sześć lat. Na froncie wyeliminowałam już trzystu dziewięciu faszystowskich żołnierzy i oficerów. Nie wydaje wam się, że za długo chowacie się za moimi plecami?

Pozwoliłam, by to wyzwanie zawisło w powietrzu.

Przez chwilę tłum milczał. Potem nad Grant Parkiem wzniósł się huk braw, mężczyźni wstawali z miejsc, kobiety machały kapeluszami,

dziennikarze podnosili aparaty. Spojrzałam na Kostię i mogłabym przysiąc, że patrząc mu w oczy pośród błysków fleszy, ujrzałam obok niego Lonię.

Uśmiechał się.



Ta suka umie strzelać.

Strzelec wyborowy nie był w stanie myśleć o niczym innym, odkąd zobaczył, jak Ludmiła Pawliczenko ze stu metrów oddaje w ciągę trzech minut dziesięć kapitalnych strzałów z obcej broni. Zachwycił się machinalnie razem z resztą tłumu w strzelnicy, lecz w głowie w kółko tłukły mu się te słowa: Ta suka umie strzelać.

Nie mógł się nawet łudzić, że ma do czynienia jedynie ze specjalistką w strzelaniu do celu, z zawodniczką z klubu strzeleckiego. Istniało coś takiego jak doświadczenie zdobyte na strzelnicy i coś takiego jak prawdziwe doświadczenie, to chłodne, zdobywane dotąd, aż zaczynało krążyć we krwi. Ujrzał jego przebłysk, gdy pierwszy raz sięgnęła po karabin – a potem zajęła pozycję w szeregu i zobaczył, jak Pani Śmierć odsłania swoje oblicze. Błyskotliwa brunetka o życzliwym spojrzeniu zniknęła, ustępując miejsca snajperce z trzystoma dziewięcioma zabitymi wrogami na koncie. Nim wpakowała ostatnią kulę w środek tarczy, uwierzył, że naprawdę zabiła ich wszystkich na froncie.

Niech to szlag, pomyślał tępo, patrząc, jak snajperka stoi na scenie w Grand Parku, a połowa Chicago wykrzykuje jej imię, to wszystko prawda. Setka drobnych wrażeń układała się teraz w spójną całość: sposób, w jaki trzymała papierosa, osłaniając go dłonią, by nie było widać rozżarzonego koniuszka; to, jak szybko się rozglądała, wchodząc do nowych pomieszczeń, wypatrując wyjść i dróg ewakuacyjnych. Dlaczego tego nie skojarzył?

Bo nie chciałeś, padła odpowiedź. Nie przypuszczałeś, że to możliwe.

A jednak było możliwe. Pani Śmierć we własnej osobie. Filigranowa Rosjanka, która właśnie odchyliła głowę, stojąc na amerykańskiej scenie, i powiedziała wszystkim dziarskim mężczyznom wśród publiczności, by przestali się chować za jej plecami.

Z radością zmierzyłbym się z tobą twarzą w twarz, pomyślał strzelec wyborowy, patrząc, jak ta kobieta niczym drapieżny ryś wściekle wodzi wzrokiem po oklaskującym ją, zachwyconym tłumie. Ale jutro muszę się zająć zabiciem prezydenta w Los Angeles i przypisać to pewnej Rosjance.

29

Nagłówek: RZUCIWSZY OBYWATELOM STANÓW ZJEDNOCZONYCH SŁYNNNE JUŻ WYZWANIE, LUDMIŁA PAWLICZENKO JEDZIE DO MIASTA ANIOŁÓW. HOLLYWOODZKA ARYSTOKRACJA, MIĘDZY INNYMI DOUGLAS FAIRBANKS JUNIOR, MARY PICKFORD I CHARLIE CHAPLIN, USTAWIA SIĘ W KOLEJCE, BY UGOŚCIĆ SNAJPERKĘ...

Prawda: Słowa „Był pan wspaniały w «Znaku Zorro», panie Fairbanks” okazały się nie najlepszym sposobem na zagajenie rozmowy, jeśli wziąć pod uwagę, że odpowiedź pijanego aktora brzmiała: „Do był mój ojsiec, Douglas Faibanksz zenior”.

– Pani Pawliczenko, jak zwykle była pani wspaniała! Szampana?

– Nu ładno, panie Jonson. – Westchnęłam. Ubrał się oczywiście w wyjściową marynarkę, lecz miałam wrażenie, że ma jeszcze bardziej wyłupiaste oczy i jest jeszcze bardziej denerwujący niż poprzednim razem. Szybko wzięłam kieliszek z szampanem, zanim pan Jonson zdążył dosięgnąć mojej ręki. – Nie przypuszczałam, że przyjedzie pan do Los Angeles.

– Osobiście poprosiłem o pozwolenie samą pierwszą damę! Chciałem panią spytać o coś bardzo szczególnego i jej ludzie umieścili mnie na dzisiejszej liście gości...

Zamrugałam, dochodząc do siebie po znajomym już uczuciu, które następowało, gdy uściśnęłam dwieście rąk, pozowałam do dwustu zdjęć i odpowiedziałam na dwieście nedorzecznych pytań.

– O co chce pan mnie spytać, panie Jonson?

– Ależ Ludmiło, prosiłem, żebyś mówiła mi po imieniu – odparł karcąco.

– Williamie, czy zamierzasz wysłuchać każdego mojego przemówienia od Waszyngtonu aż do Fresno? Masz tyle wolnego czasu?

Najwyraźniej miał go za dużo. Wychyliłam połowę szampana, mając nadzieję, że uśmierzy ból głowy, który męczył mnie od Chicago. Po występie w Grant Parku nie spałam dobrze – pierwsza dama zapewniła mnie, że był to oszałamiający sukces („Moje droga, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby Reuters donosił o tym przemówieniu na całym świecie”), lecz ja czułam od tej pory, jakby po plecach biegały mi pająki. Nawet nie z powodu pojawienia się w moim pokoju hotelowym kolejnego paskudnego liściku (WYRWEŃ CI KRĘGOSŁUP I WEPCHNĘ CI GO DO GARDŁA, TY STALINOWSKA SUKO) – uświadomiłam sobie, że stałam się prawie odporna na przejawy nienawiści. Jeśli wziąć pod uwagę, że ten, kto wysyłał mi te liściki, wyruszył za mną w trasę, wydawało się dosyć oczywiste, że to ktoś z delegacji, a jeszcze bardziej oczywiste było to, że ta osoba to Aleksiej, i choć w niedwuznacznych słowach podzieliłam się tym podejrzeniem z ochroną, nie chciałam, by te liściki dalej budziły we mnie strach, oraz nie zamierzałam dawać mężowi satysfakcji, konfrontując się z nim w tej sprawie. Nie, nie chodziło o anonimowe liściki. Niepokoiło mnie coś innego, coś ukrytego tak głęboko, że prawie tego nie zauważałam.

Coś, co widziałam, coś, co słyszałam? Na froncie mogłam prowadzić obserwacje w takim skupieniu, że w nocnym krajobrazie przede mną żaden liść nie miał szansy opaść niezauważony, lecz ta trasa była taką lawiną widoków i dźwięków, że w tym harmidrze coś z łatwością mogło mi umknąć. I czułam, że coś umknęło, lecz nie potrafiłam sprecyzować co.

– Oczywiście wiesz, że jestem wdowcem, Ludmiło – paplał nadal pan Jonson.

– Wiem? To znaczy tak, da...

– Czytałem w gazecie, że byłaś mężatką. Straciłaś męża w Sewastopolu...

Drugiego, niestety. Nie pierwszego.

– Tak – potwierdziłam, myśląc o tym, jak Lonia ryknęłaby śmiechem, słysząc tę rozmowę.

– Zatem moja droga Ludmiło, dlaczego nie mielibyśmy ukoić razem swojej samotności? Gdybyś tylko zechciała uczynić mnie

najszczęśliwszym...

– Szto? – Natychmiast znowu skupiłam uwagę na mężczyźnie, który ścisnął mnie za rękę, nie zważając na to, że trzymam w niej pusty kieliszek po szampanie. – Panie Jonson...

– Williamie!

– Panie Jonson, postradał pan zmysły.

– Od chwili, w której zobaczyłem, jak przemawiasz w Nowym Jorku, serce mi mówi, że jesteś dla mnie jedyną możliwą żoną. Wyjdiesz za mnie?



– Wiesz, droga Ludmiło, mogłabyś przyjąć te oświadczyzny.

Zastygłam, trzymając posmarowaną masłem bułkę w połowie drogi do ust.

– Mówisz poważnie, Eleanor? – Pierwsza dama poprosiła, żebym mówiła jej po imieniu, lecz dopiero teraz udało mi się to zrobić pierwszy raz.

– Czemu nie. – Siedząca naprzeciw mnie przy małym stoliku Eleanor rozłożyła serwetkę. Po tych wszystkich przyjęciach delegacja postanowiła jadać posiłki w prywatnym zaciszu, ponieważ ilekroć pojawialiśmy się z pierwszą damą w jakiejś restauracji, żeby coś zjeść, posiłek przemieniał się w wielogodzinne rozdawanie autografów. Kostia, Jurij i reszta właśnie siadali przy stoliku na drugim końcu prywatnej sali. – Być może pan Jonson jest odrobinę ekscentryczny, ale jednak całkiem przyjemny, a do tego dobrze wychowany – ciągnęła Eleanor. – Nie kłamał w sprawie swojej przeszłości i perspektyw: jest wdowcem, faktycznie prowadzi przedsiębiorstwo metalurgiczne, jego finanse i reputacja są bez zarzutu. Takie osoby się sprawdza, gdy zaczynają jeździć za mną i moimi ludźmi od stanu do stanu – wyjaśniła, widząc moje zaskoczone spojrzenie. – Oświadczyzny pana Jonsona mogą się wydawać niespodziewane, ale chyba są szczerze.

Prychnęłam.

– Widziałam go raptem kilka razy!

– Ale poślubienie zamożnego dżentelmena, który jest szaleńczo zakochany.. to najlepsza gwarancja dobrobytu i bezpieczeństwa, jaką może dostać kobieta od kapryśnego losu. – Uśmiechnęła się, sięgając po widelec do sałaty. – Zostałabyś w naszym kraju, a ja cieszyłabym się z kontynuacji naszej przyjaźni.

– Ja też, ale... – Odłożyłam bułkę i wstałam, żeby sięgnąć po numer „Chicago Tribune”, który zabrałam z samolotu. – Spójrz na to: „Pani Pawliczenko jest zachwycona amerykańskim jedzeniem, codziennie rano bierze przy śniadaniu pięć dokładek”. Jawne kłamstwa. Skąd oni w ogóle biorą takie rzeczy i dlaczego mają obsesję na punkcie takich bzdur? – Odłożyłam gazetę i czując, jak płoną mi policzki, usiłowałam znaleźć odpowiednie słowa po angielsku. – Jestem tu traktowana jak jakaś artystka cyrkowa, kobieta z brodą. W swojej ojczyźnie wywołuję umiarkowane zainteresowanie. U nas jestem oficerem Armii Czerwonej. Walczyłam i nie jestem z tego powodu dziwadłem. Są inne kobiety takie jak ja. – Pomyślałam o tym, co jej powiedziałam o Rosjankach korzystających z pełnej niezależności nie tylko jako kobiety, lecz także jako istoty ludzkie. – Ta trasa... to jest teraz moja walka. Ale niedługo wrócę do domu i będę dalej walczyła o wolność i niezależność swojego kraju. Nie przeprowadzę się do twojego, choć z czasem zaczęłam go bardzo doceniać.

Uświadomiłam sobie, że osoby przy drugim stoliku usłyszały moje emocjonalne słowa. Twarz Kostii była nieruchoma, obserwował mnie. Zarumieniłam się jeszcze bardziej i usiadłam z powrotem, rwąc na kawałki odłożoną wcześniej bułkę. Gdy podniosłam głowę i spojrzałam na panią Roosevelt, zauważyłam na jej twarzy dziwny, tęskny uśmiech. Powiedziałabym, że w Ameryce nie było takich kobiet jak ja – cóż, nie było tam też takich kobiet jak ona. Czy to dlatego się ze mną zaprzyjaźniła, dlatego tak jej się spodobał pomysł, że mogłabym zostać w tym kraju? Ponieważ czasami też czuła się jak artystka cyrkowa?

– Zapomnijmy o panu Jonsonie – powiedziała zwyczajnie, przesuwając koszyk z pieczywem w moją stronę. – Przed powrotem do Waszyngtonu każe wykreślić jego nazwisko z listy uczestników wszystkich zaplanowanych tu imprez.

– Dziękuję – powiedziałam, teraz już trochę zakłopotana z powodu swoich emocjonalnych słów. – Nie zostaniesz tu do końca wizyty prezydenta?

– Właśnie, jeśli chodzi o jego wizytę...



Niech szlag trafi tę ruską sukę, pomyślał strzelec wyborowy. Właśnie dotarła do niego wiadomość: prezydent Roosevelt odwołał po cichu swoje wystąpienia w południowej Kalifornii. Jego trasa po krajowych zakładach przemysłu obronnego odbywała się bez udziału mediów, lecz czujni ludzie w Waszyngtonie już wiedzieli, że specjalny pociąg prezydencki skierował się z powrotem do stolicy, i Poszetka natychmiast zadzwonił, by przekazać najnowsze informacje. Może to nie była wina Ludmiły Pawliczenko, że prezydent kaleka nie czuł się na siłach, by stawić czoła mediom na zakończenie swojej prywatnej podróży, lecz strzelec wyborowy i tak postanowił ją za to obwinić. Pani Śmierć zabijała niebywałe szczęście, jakie zazwyczaj dopisywało mu w pracy.

Leniuchując w hotelowym holu, unikając goryli z NKWD i ich kamiennych twarzy, przejrzał pozostałe plany delegacji. Jakaś impreza w Hollywood, znowu przemówienia, potem wyjazd do Fresno... Do Fresno, na litość boską. Strzelec wyborowy przypomniał sobie robotę z kategorii dwa w jednym, którą wykonał tam przed kilkanaście laty, odstrzelując dwóch kierowników, którzy podprowadzali firmowe fundusze. Parszywe miasto pełne parszywych kmiotków, a teraz znowu musiał do niego jechać, po tym jak ciągnął się za tą kobietą od Detroit przez Chicago aż do Los Angeles? Cholernie dużo podróżowania, jeśli wziąć pod uwagę, jak niewiele mu z tego przyszło: mnóstwo nocy w anonimowych hotelach, ból pleców po niezliczonych godzinach za kółkiem packarda o wymiarach puszek i ani jednego przekłętego strzału oddanego w stronę Roosevelta. Równie dobrze mógł zostać w Waszyngtonie i poczekać na jej powrót, zamiast biegać po całym kraju i szukać okazji, by odstrzelić cel, który w ogóle się nie pojawił. A teraz jeszcze pieprzone Fresno...

To wyłącznie twoja wina, pomyślał, wciąż czując wściekłość. W innych okolicznościach rzeczywiście zostałaby w Waszyngtonie, zamiast jeździć za delegacją: trzymałby się z boku, gromadził potrzebne informacje od osób trzecich. Mniej kontaktu, mniej kłopotu, mniejsze niebezpieczeństwo. Ale nie, przy okazji tej roboty zdecydował się na bardziej osobiste podejście.

Czy naprawdę pozwolił, by po tylu latach zdystansowanego profesjonalizmu górę wzięła w nim ciekawość?

Radziecka delegacja zaczęła się wlewać przez drzwi, wracając z wieczornego przyjęcia. Gdy Ludmiła Pawliczenko przystanęła obok recepcji, strzelec wyborowy obserwował ją znad krawędzi gazety. Nocny recepcjonista podał jej zaklejoną kopertę. Snajperka uniosła brwi i sięgnęła po nożyk do papieru. Strzelec wyborowy pochylił się lekko, wiedząc doskonale, jakie słowa jej się ukazą: UWAŻAJ NA SIEBIE, RUSKA KURWO. Nigdy dotąd nie widział, jak otwierała któryś z jego liścików. Miał nadzieję, że zblednie, zadrży, obejrzy się za siebie...

Przewróciła oczami. To nie pozostawiało żadnych wątpliwości: przewróciła oczami.

– Znowu to samo – powiedziała po rosyjsku do zwalistego goryla stojącego obok niej, po czym zmięła liścik, rzuciła nim w tego mężczyznę i lekkim krokiem ruszyła w kierunku hotelowej windy. Bez wątpienia do luksusowego kurewskiego łóżka, w którym zamierzała się dobrze wyspać. I dobrze się przy tym uśmieać.

Gdy zniknęła mu z oczu, strzelec wyborowy podjął nagłą decyzję. Odrzucając gazetę, ruszył w stronę wyjścia z hotelu i ciepłej nocy.

– Taksówka – rzucił oschle do boya hotelowego.

Dosyć sadów pomarańczowych, dosyć pogawędek w Beverly Hills i żadnego przekłętego Fresno: porzucił packarda razem ze swoją obecną przykrywką i wracał samolotem do Waszyngtonu. Pani Śmierć musiała w końcu zjawić się z powrotem w stolicy – i wtedy zamierzał ją dopaść. Ją i prezydenta.

Gdy wsiadał do taksówki, uświadomił sobie, że dopadnięcie Ludmiły Pawliczenko wydaje mu się teraz równie ważne jak dopadnięcie FDR. Wcześniej jego plany pozostawały otwarte: zrobić ją albo zabić, cokolwiek okaże się łatwiejsze.

Chyba właśnie się zdecydował.



– Zmęczyło już panią rozdawanie autografów? – Laurence Olivier zmierzył mnie swoim firmowym świdrującym spojrzeniem: na żywo był w każdym calu równie przystojny jak na ekranie. Lena natychmiast przyparłaby go do ściany i zdjęła mu spodnie. Jego dłoń przesunęła się niżej po moich plecach, gdy dodał: – Zawsze uważałem, że polowanie na autografy to najbardziej nieatrakcyjny przejaw wyposzczonej seksualnie ciekawości.

Przesuń tę rękę jeszcze niżej, a zostanie ci po niej kikut, pomyślałam. Jakiś huk sprawił, że lekko podskoczyłam, lecz był to tylko korek od szampana. Obok szerokich drzwi tarasowych otwartych na oścież, by ukazać balsamiczny kalifornijski wieczór, zobaczyłam aktorkę Mary Pickford, która odchyliła głowę i śmiała się z czegoś, co szeptała jej do ucha Myrna Loy w srebrnych cekinach: ten urokliwy dom w stylu włoskim był wypakowany gwiazdami filmowymi aż po dach. Oczywiście połowy z nich nie kojarzyłam, ponieważ nie widziałam wielu zachodnich filmów. Moja nieszczęsna przyjaciółka Sofia z Odessy na pewno rozpoznałaby każdą z tych twarzy dzięki potajemnemu ślęczeniu nad zachodnimi czasopismami filmowymi – byłaby przeszcześliwa, mogąc poznać Mary Pickford na przyjęciu w Hollywood. Ja byłam jedynie oszołomiona. I tęskniłam za Sofią...

– Charlie Chaplin wydaje imprezę dla delegacji w Breakaway House. To jego dom w Beverly Hills – oznajmił mi z przejęciem ktoś z radzieckiego konsulatu po oficjalnym lanczu, spotkaniu w ambasadzie i przemówieniu w hotelu z widokiem na długie, błękitne fale Pacyfiku. – Teraz, gdy nie ma już pierwszej damy – Eleanor musiała wyruszyć rano do Waszyngtonu, żegnając mnie serdecznym uściskiem – będziemy mogli się trochę zabawić!

Jak dotąd zostałam pocałowana w rękę przez Charliego Chaplina, Tyrone Power nalał mi szampana, a moje plecy spotkały się z uznaniem Laurence'a Oliviera.

Trzepnęłam go po dłoni, gdy zaczęła się zsuwać jeszcze niżej, lecz Anglik nie wydawał się tym urażony. Roześmiał się tylko, zakładając mi pasemko włosów za ucho.

– Nie ma potrzeby tak się spinać i pilnować, skarbie. Na przyjęciu w Hollywood można zarobić nóż w plecy, ale nikt cię tu nie zastrzeli.

– Bardzo pan dowcipny, panie Olivier.

– Proszę, mów mi Larry.

– Niet – odparłam. Gwiazdor filmowy za bardzo przypominał mi Aleksieja: ten sam błysk w oku, ten sam czar, ta sama zupełna niezdolność do zrozumienia słowa „nie”.

– U stóp tego wzniesienia Charlie ma basen – mruzczał niczego nieświadomy Mów Mi Larry. – Może tak wymknęlibyśmy się na małą prywatną imprezkę, gdy twoi koledzy będą tu miło spędzali czas?

Ludzie z radzieckiego konsulatu bez wątpienia miło spędzali czas, przejmując kontrolę na tą okazałą przestrzeń z drzwiami tarasowymi, czarnym jak smoła fortepianem, srebrnymi talerzami pełnymi przekąsek oraz wszechobecnymi kubelkami z lodem i szampanem. Nawet Jurij chichotał, patrząc, jak Charlie Chaplin bierze w zęby butelkę z szampanem i chodzi na rękach po marmurowej podłodze.

Ludzie z Hollywood, pomyślałam. Jeśli Amerykanie wydawali mi się niekiedy dziwni, to te gwiazdy filmowe wydawały się jeszcze dziwniejsze. Śmiałe, swobodne, zdecydowanie mniej skłonne do jeżenia się w obliczu socjalistycznych idei niż goście na przyjęciu w Waszyngtonie... Odnosiło się jednak wrażenie, że raczej występują, niż istnieją, i nie byłam pewna, czy widzą w moim mundurze coś więcej niż tylko jeden z dziwacznych kostiumów, jakie sami wkładali.

Nagle zapragnęłam odetchnąć świeżym powietrzem.

– Pan wybaczy, panie Olivier. – Znowu odkleiałam jego rękę od swojego biodra. – Potrzebuję więcej szampana.

– Wypij mnie, moja słodka mała zabójczyni. Jestem jak wino z dobrego rocznika... trzeba mnie żłopać, zanim skwaśnieję!

Zdołałam się od niego uwolnić, precyzyjnie się przez tłum na tarasie i ruszyć ku podłużnemu, pochyłemu trawnikowi oddalającemu się od Breakaway House.

– Widzę, że obydwójce szukamy odrobiny spokoju – powiedział Kostia, wynurzając się z ciemności w typowy dla siebie cichy sposób.

– Przynajmniej tym razem nie czuję na plecach oddechu Jurija. – Mój partner i ja szliśmy powoli po trawniku, który faktycznie prowadził do

basenu daleko w dole. – Kto by przypuszczał, że tak go fascynują sławni ludzie?

– Ponoć śledził kiedyś jakąś moskiewską szychę mającą słabość do prywatnych projekcji zakazanych zachodnich filmów – powiedział Kostia.

Tego wieczoru my też byliśmy na prywatnej projekcji: obejrzelśmy Dyktatora, najśłynniejszy film Charliego Chaplina, w małym kinie gwiazdora. Widziałam w życiu wiele dziwnych rzeczy, lecz nic nie zdziwiło mnie równie mocno jak patrzenie na mężczyznę drepczącego i łapiącego dziwne pozy na migotliwym ekranie, a potem odwrócenie się i ujrzenie tego samego mężczyzny siedzącego po mojej prawej stronie, uśmiechającego się przyjaźnie i obserwującego moją reakcję. Nigdy wcześniej nie widziałam filmu z Chaplinem. Wydawał mi się małym dziwakiem z wyłupiastymi oczami, zupełnie nie przypominał gwiazdy filmowej.

– Jak ci się podobał Dyktator? – spytał Kostia, czytając w moich myślach.

– Nie wiem, czy potrafię się śmiać z Hitlera. – Zwolniłam, by zrównać krok z lekko utykającym Kostią, ponieważ wyszedł na zewnątrz bez swojej laski. – A może właśnie powinniśmy. Śmiech pomniejsza ludzi. Ale widziałam zbyt wielu hitlerowców nacierających na mnie z karabinami i czołgami, żeby teraz mogli mi się wydawać zabawni.

– Jesteś w filozoficznym nastroju – zauważył mój partner.

– Tylko na gwarnych przyjęciach. – Nie czułam się samotna w snajperskim gnieździe o północy, ale często czułam się samotna w tłumie i dlatego znalazłam się tu, na tym trawniku, podobnie jak Kostia. Właśnie w takim miejscu można znaleźć dwoje snajperów na przyjęciu: z dala od tłumu, w ciemności, samych. I zadowolonych z tego, że są sami.

– Zazwyczaj nie znoszę takich imprez – wyznał Kostia. Wciąż miałam na sobie mundur, lecz on wrócił do smokingu. Marynarkę zostawił gdzieś w środku, miał podwinięte rękawy i włożył ręce do kieszeni.

– Na tej chyba aż tak nie cierpiałeś, kiedy wdzięczyły się do ciebie dwie gwiazdy filmowe – powiedziałam, nie mogąc się powstrzymać. Myrna Loy i Mary Pickford, dowiedziawszy się, że mój tłumacz też jest snajperem, poprosiły, by pokazał im ręce strzelca wyborowego, i piałły z zachwytu nad jego odciskami, gruchając niczym gołębice, gdy twardymi jak żelazo

palcami rozłupywał bez wysiłku orzechy włoskie. – Myrna Loy prawie usiadła ci na kolanach.

– Charlie Chaplin pocałował cię w rękę – zauważył Kostia. – I ukląkł przed tobą na kolano.

– To było krępujące. – Aktor oświadczył, że jest gotów ucałować każdy palec mojej dłoni za tych trzystu dziewięciu szkopów, których posłałam do piachu. A potem to zrobił: powoli, wilgotno, gdy błyskały flesze, a ja walczyłam z pokusą, by wytrzeć palce w mundur.

W oddali znów huknął korek od szampana. Ja i mój partner na chwilę zeszywnieliśmy. Potem wymieniliśmy uśmiechy i Kostia pomógł mi przejść przez niewysoki mur nad basenem na końcu długiego trawnika. Dom na szczycie wzniesienia był stąd ledwie widoczny. Widziałam podskakujące cienie podpitych aktorów – mogłabym przysiąc, że na fortepianie widzę tańczącą kwadratową sylwetkę Jurija – i usłyszałam dobiegające z oddali dźwięki Ej, uchniom, bez wątpienia zagrane na cześć radzieckiej delegacji. Noc była ciepła, na Środkowy Zachód dotarła już jesień, lecz nie rozgościła się jeszcze w Mieście Aniołów. Basen połyskiwał leciutko w ciemności. Księżyc był w nowiu, prawie wszystko spowijał mrok. Nie miało to znaczenia. Ja i Kostia widzieliśmy w ciemności, jakby to było południe.

Usiedliśmy na krawędzi basenu. Zsunęłam buty, by zanurzyć stopy w chłodnej wodzie, a Kostia podwinął nogawki, by zrobić to samo.

– Twoja wizyta w Nowym Jorku – zaczęłam, myśląc, że chyba mógłby mi teraz opowiedzieć o swojej rodzinie (nie było nikogo w zasięgu głosu, a tym bardziej nikogo znającego rosyjski), on jednak pokręcił głową.

– Później.

Przytaknęłam, patrząc na ciemnoniebieską i połyskliwą wodę. Nigdy dotąd nie widziałam tak okazałego, wyłożonego marmurem prywatnego basenu, z którego można było korzystać w pojedynkę – albo i we dwoje. Serce podeszło mi do gardła i przełknęłam ślinę.

– Popływajmy.

Zdjęłam mundur, rozbierając się do swojej nowej amerykańskiej jedwabnej bielizny, po czym gładko zanurkowałam. Kostia zrzucił z siebie wieczorową elegancję niczym ryba zostawiająca w nieładzie srebrne łuski

i wślizgnął się do wody, prawie nie wzruszając powierzchni. Po chwili poczułam, jak silne niczym stal ręce oplatają mnie w talii i ciągną ku głębszemu końcowi. Obróciłam się pod wodą i wcisnęłam pięty w jego żebra, wyswobodzając się z tego uścisku, a podwodny śmiech zaskoczył mnie strumieniem bąbelków. Rzucaliśmy się i siłowaliśmy, aż w końcu wynurzyliśmy się gwałtownie na drugim końcu basenu, łapczywie chwytając powietrze, z rękami rozciągniętymi wzdłuż krawędzi basenu i ciałami zawieszonymi lekko w wodzie. Serce wciąż waliło mi w piersi.

– Twoja noga – zdołałam wykrztusić, kiwając głową w stronę zmarszczonej powierzchni wody nad czerwoną blizną, którą zauważyłam na jego nodze, gdy wskakiwał do wody. Rana sięgała od kolana prawie do kostki. – Od Sewastopola... Znam wszystkie twoje blizny oprócz tej.

Kropla wody ześlizgnęła się po jego kanciastej zuchwie. Oparłam się pokusie, by ją zetrzeć.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że tak. Zawsze, kiedy odnosiłeś rany, byłam najwyżej kilka metrów od ciebie. – Nie do końca wiedziałam, co mówię, czułam tylko, że muszę dalej wysyłać słowa w tę ciemną, bezdenną ciszę. – Zazwyczaj nie obrywałeś aż tak mocno, żeby wylądować w batalionie szpitalnym, zawsze miałeś więcej szczęścia niż ja. Ale na początku oblężenia Sewastopola paskudnie zraniłeś się w prawą rękę... – mówiłam za szybko. Zmuszając się do spowolnienia, kiwnęłam głową w stronę poszarpanej linii biegnącej wzdłuż jego kciuka, widocznego na wyłożonej płytkami krawędzi basenu. – To rana od niemieckiego noża szturmowego. Oczyszczaliśmy wtedy gniazdo snajperów na Wzgórzu Bez Nazwy. – Wyciągnęłam rękę, by dotknąć wypukłego szwu na jego ciemieniu pod krótko ostrzyżonymi włosami. – I rana od odłamka na karku. Ta, którą ci zszyłam w Sewastopolu. – Przesunęłam palcami po nieregularnym śladzie na jego skórze. Nie cofnęłam ręki i dalej czułam jego puls. – Upiekło ci się cztery razy – powiedziałam cicho.

Nie wymienił moich blizn, lecz jego dłoń znalazła je pod wodą – przesuwał się po biodrze, które zwichnęłam pod Gildendorffem, następnie wzdłuż kręgosłupa po rozwidlonej bliźnie od szrapnela, potem przez moje mokre włosy, by odnaleźć ranę po odłamku w Odessie, aż

w końcu zatrzymała się z boku mojej twarzy i jego palce musnęły ucho, które trzeba było kiedyś przyszyć z powrotem do mojej głowy.

– To tylko te blizny, które widać.

Lonia. Wiedziałam, że obydwójce o nim pomyśleliśmy.

A potem Kostia patrzył na wskroś mnie w ciemności, myśląc: Kocham cię. Nie musiał mówić tego na głos i tak usłyszałam. Wzięłam głęboki, drżący oddech, patrząc na wyłożoną płytkami krawędź, gdzie moja ręka odnalazła jego rękę i splotły się nasze palce.

– Jesteś moim partnerem – powiedziałam niepewnie. – Jesteś moim cieniem. Moją drugą połową. Ufam ci jak nikomu innemu na tym świecie. Nikt nie potrafiłby zrobić tego co my i nie zbliżyć się do siebie bardziej, niż mogą się zbliżyć dwie istoty ludzkie, ani w tym życiu, ani w następnym. – Moi rodzice, moje dziecko, moi przyjaciele, żaden z dwóch mężczyzn, których nazywałam mężem – nikt nie znał mnie tak jak Kostia. Nikt nigdy nie mógł poznać Kostii tak, jak ja go znałam.

Jego stwardniały od spustu palec pogłaskał mnie po knykciach.

– Mogłaś po prostu powiedzieć „kocham cię”, Ludmiło Michajłowna.

– Kocham – szepnęłam. Kochałam też Lonię. Może od początku kochałam ich obu, męża i partnera. Może wcale nie było za wcześnie. Może zawsze tak było.

Drugi pocałunek był powolniejszy i gwałtowniejszy niż tamten przy kanoe.

– Dlaczego zawsze jesteśmy w wodzie, kiedy to robimy? – mruknęłam, gdy przyciągnął mnie do siebie przez jedwabiste fałdy na powierzchni basenu. Nadal smakował żelazem i deszczem. Przyłgnęliśmy do siebie, spleliśmy się, zwarliśmy ustami, milczący jak podczas odliczania. Z Lonią wszystko było żartem i śmiechem, nawet gdy leżeliśmy w łóżku. W ramionach Kostii czułam się, jakbym wpadała do studni sięgającej samego środka świata. Moje palce ślizgały się po jego skórze, atlas na granicie. Wcześniej wydawał się zwodniczo drobny w porównaniu z wysokim wzrostem i szerokimi barkami Loni, lecz nagi w moich ramionach wyglądał, jakby raczej go wykuto, niż urodzono, jakby zmontowano go z drutu fortepianowego i żelaznych nitów, a nie ze ścięgien i mięśni. Moja głowa odchyliła się na krawędź basenu, gdy usta

Kostii odnalazły moją pierś, i właśnie wtedy usłyszeliśmy pijackie okrzyki dobiegające od strony domu na wzniesieniu. Wołał mnie Jurij – podchmielona i szczęśliwa delegacja wracała do hotelu.

Kostia wydał z siebie bezgłośnie wilcze warknięcie, nie odsuwając ust od mojego gardła, a potem natychmiast się od siebie odsunęliśmy, wyszliśmy z basenu najciszej, jak się dało, i zaczęliśmy prędko wkładać na siebie suche ubrania. Jeszcze raz pocałowałam go w ciemności, mamrocząc do jego ust: „Pokój sto czternaście” i nie przestając wpychać mokrych nóg i rąk z powrotem do munduru – byłam wdzięczna losowi za mocną gabardynę zdolną przetrwać rosyjską zimę, a tym bardziej trochę chloru Beverly Hills. Kostia zgarnął szybko swoje ubranie i pokuśtykał w stronę rezydencji okrężną drogą, ja zaś odsunęłam mokre włosy z twarzy i zawołałam na widok wściekłego Jurija wynurzającego się ociężale z ciemności:

– Miałam ochotę popływać!

– Wasze wytyczne nie obejmują pływania.

Zaprawiona alkoholem kręta podróż powrotna z Beverly Hills. Każdy centymetr mojej skóry śpiewał, jakbym znowu czołgała się przez ziemię niczyją, gdy czułam swojego siedzącego z przodu partnera, jakby był moją utraconą kończyną, a wszyscy wokół nas, pijani i niczego nieświadomi, jechali ściśnięci w samochodzie... Potem byłam już w swoim pokoju hotelowym i czekałam w ciemności, żywa. Wiedziałam, kiedy się zjawił, nie musiał pukać. Wsunął się do środka niczym strzała, zanim jeszcze zdążyłam do końca otworzyć drzwi, i runął ze mną na podłogę w mroku północy, który wydawał się jasny jak dzień. Chwytałyśmy się siebie i przyciągaliśmy się nawzajem, nasze snajperskie oczy płonęły, stwardniałe od karabinów palce wydobywały okrzyki tak samo, jak dawniej wytyczały kulom tor lotu pośród lodowatych wiatrów. Razem zwijaliśmy swoje ciała w gnieździe, w okopie, jak wiele razy wcześniej – tylko że teraz okop był wypełniony świeżą pościelą, namiętymi ciepłymi ramionami i ciszą tak głęboką, że zmiotła cały świat.

Żadne z nas się nie odezwało, dopóki prawie nie zaczęło świtać, a wtedy odezwałam się ja, obejmując Kostię w pasie i czując jego usta w swoich włosach.

– Kiedy powiedziałam, że wciąż oplakuję swoich zmarłych, tak naprawdę zastanawiałam się, co by powiedział Lonia, gdyby nas zobaczył.

Głos mojego partnera w ciemności zabrzmiał cicho.

– Też o tym myślałem.

Wiedziałam, że tak. Nasze myśli w tych kilku prywatnych chwilach, które zdołaliśmy znaleźć na obrzeżach tej hałaśliwej, wyczerpującej, niezmiernie publicznej trasy prawdopodobnie były do siebie bardzo podobne. Ponure refleksje, gorzki smutek, przedłużające się milczenie, wyobrażanie sobie uśmiechniętej twarzy Loni, prowadzenie całych niewypowiedzianych rozmów z mężczyzną, którego obydwójce kochaliśmy.

– Myślę – powiedział powoli Kostia – że by się ucieszył. Powiedziałby, że nikt nie powinien marnować czasu, skoro jest szansa, żeby być szczęśliwym.

– Pomyślałam to samo – szepnęłam, gdy usta Kostii dotknęły mojej skroni, mojego poblżnionego ucha. – Słyszę, jak to mówi.

30

Nagłówek: KTO BY POMYŚLAŁ, ŻE KOLEJNĄ ULUBIENICĄ AMERYKI STANIE SIĘ RADZIECKA SNAJPERKA, KTÓREJ DŁOŃ (UCAŁOWANA JUŻ PRZEZ PÓŁ KRAJU!) POZBAWIŁA ŻYCIA TRZYSTU DZIEWIĘCIU NAZISTÓW? LUDMIŁA PAWLICZENKO WRACA DO WASZYNGTONU, ZAKOŃCZYWSZY SWOJĄ TRASĘ PO ZACHODZIE KRAJU WYSTĄPIENIAMI W SAN FRANCISCO I FRESNIE, GDZIE PRZYCIĄGNEŁA TŁUMY...

Prawda: Zdaje się, że w San Francisco był most. Fresna w ogóle nie pamiętam, ale prawdopodobnie nawet ludzie mieszkający we Fresnie nie zadają sobie trudu, by je zapamiętać. Jedyne, co wynurzało się z mgły mojego cichego szczęścia wywołanego byciem z Kostią, to pytanie, które zadawała sobie cała delegacja, odkąd znów przyjechaliśmy do Waszyngtonu: kiedy będziemy mogli wrócić do domu?

– Trasę przedłużono! – Rozpromieniony radziecki ambasador spojrział na troje delegatów studenckich, którzy znów byli razem. Wymieniliśmy się

już wrażeniami z trasy i w gruncie rzeczy były bardzo podobne... jeśli pominąć to, że moja była znacznie obszerniej opisywana w prasie. Tylko Krasawczenko wydawał się ucieszony perspektywą dłuższego pozostawania w centrum zainteresowania opinii publicznej. Pczelincew nie krył niezadowolenia, a mnie nie udało się powstrzymać grymasu rozpaczny. – Przyjaciele, to dobra wiadomość – zaprotestował ambasador. – Osiągnęliście coś, co było prawie niemożliwe: sprawiliście, że amerykańska opinia publiczna stała się przychylna Związkowi Radzieckiemu. Opozycja wobec drugiego frontu słabnie. Postąpilibyśmy niemądrze, nie wykorzystując...

– Wyślijcie w trasę Ludmiłę – wszedł mu w słowo Pczelincew. – Tylko ją chcę tu oglądać. Niech paraduje w blasku jupiterów, a mnie odeślijcie do Stalingradu.

Spojrzałam na niego.

– Jeśli ktoś ma jechać do Stalingradu, to powinien to być lepszy snajper, czyli ja.

Ambasador zbył nasze obiekcje machnięciem ręki.

– Na razie nikt nie pojedzie do Stalingradu. Polecenie przyszło z samego Kremla. W następnej kolejności pojedziemy do Kanady, a potem do Wielkiej Brytanii...

Coraz bardziej markotniałam, słysząc szczegóły: mieliśmy polecieć do Montrealu, potem do Halifaksu, potem do Glasgow, potem do Londynu... Widziałam rozciągającą się przede mną długą kolejkę przyjęć, uroczystych kolacji i przemówień. Czy Sławka pomyśli, że nie chcę do niego wracać? Jeśli tak dalej pójdzie, to będzie już dorosłym mężczyzną, zanim wrócę.

– Służę Związkowi Radzieckiemu – odrzekłam z westchnieniem, gdy ambasador zamilkł, czekając na odpowiedź.

– Udało ci się to powiedzieć bez przeklinania? – spytał później Kostia. Zjawił się w moim pokoju dyskretnie jak zawsze, pukając do drzwi dopiero po tym, jak Jurij skończył służbę. (Co właściwie robią po służbie radzieckie bloki z betonu? Być może oddają się przyjemnej lekturze: Wygrać wojnę z kapitalizmem, I.K. Wołkow, wydanie dziewiąte).

– Z trudem. – Wtuliłam się w jego ramię. Leżeliśmy w skotłowanej pościeli, zimne waszyngtońskie światło wpadało ukośnie przez żaluzje,

a my wciąż jeszcze byliśmy wilgotni od potu po niedawnym wysiłku. – Potem dostałam reprimendę, ponieważ ambasador jakimś cudem dowiedział się o oświadczeniach tego dupka Jonsona. Obawiał się, że zamierzam się zgodzić i uciec! – Plisowałam palcami prześcieradło, kręcąc głową. – Jak mógł pomyśleć, że skwapliwie skorzystam z możliwości pozostania w tym kraju?

– Tu nie jest tak źle.

Uśmiechnęłam się.

– Jeśli będę musiała zjeść jeszcze jednego hot doga, ucieknę z wrzaskiem i schowam się za pomnikiem Waszyngtona. Kostia, marzę o białych nocach. Marzę o oprószonych cukrem ponczikach w papierowym rożku. Marzę o ludziach, którzy słyszeli o Bohdanie Chmielnickim i ugodzie perejasławskiej...

– Milu, nawet w Rosji nikt nie słyszał o ugodzie perejasławskiej.

– Usłyszą, kiedy już skończę pisać rozprawę. O ile będzie ją jeszcze można przeczytać mimo plam krwi i nadpalonych śladów prochu strzelniczego. – Pokręciłam głową. – Cała moja edukacja pójdzie na marne, jeśli tu zostanę. Nie mogłabym być historyczką, a przecież nigdy nie chciałam być nikiem innym. Ale chyba nawet tacy ludzie jak pani Roosevelt myślą, że byłabym wdzięczna, mogąc tu zamieszkać.

– Niektórzy by się ucieszyli. – Głos Kostii zabrzmiał dziwnie.

– Nie tacy ludzie jak my. – Chciałam przyciągnąć jego głowę, żeby go pocałować, lecz Kostia całkiem znieruchomiał. – Kostia...

Nagle wyciągnął rękę i włączył radio. Dźwięki Kaya Kysera świergoczącego Jingle, Jangle, Jingle wypełniły pokój hotelowy, a Kostia podkreślił je jeszcze, po czym przewrócił się na łóżku i wsunął mnie pod siebie. Przyłożywszy policzek do mojego policzka i usta do moich uszu, przemówił głosem niewiele mocniejszym niż nic.

– Chcę ci powiedzieć o Nowym Jorku.

Nie wiedziałam, czy mój pokój jest podsłuchiwany przez naszych goryli, lecz Kostia nie chciał ryzykować. Mówił do mnie w najbardziej ogólnikowy z możliwych sposobów, niemal bezgłośnie szepcąc prosto do

ucha, by nawet najczulszy mikrofon nie mógł przechwycić jego słów... ale obraz był zupełnie jasny.

Zebrał się na odwagę i zapukał do drzwi siostry swojej babci w Ridgewood. Pokazał jej zdjęcia: babci, matki. Został serdecznie przyjęty, uściskany, przedstawiony pozostałym.

Nie powiedziano tego wprost... ale gdyby chciał zostać, z chęcią by go przyjęli.

Wtedy zamilkł z napiętą, kamienną twarzą, a ja nie miałam pojęcia, co mogłabym powiedzieć. Było za dużo do powiedzenia i każdy wariant wydawał się niemożliwy. Jak możesz myśleć o opuszczeniu ojczyzny? Rozumiałam jednak, dlaczego tak go to kusi. Nasza ojczyzna potrafiła być wspaniała, wierzyłam w to całym sercem, lecz w takiej chwili nie miałam zamiaru udawać, że nie jest to trudne, bezlitosne miejsce do życia. Jesteś w niebezpieczeństwie. Ale o tym już wiedział. Wiedział, że ryzykuje kulkę nawet za wyjawienie, że ma w Ameryce rodzinę, a tym bardziej za to, że ją odwiedził. I moje ostatnie rozpaczliwe pytanie: Jak możesz ze mną być, a potem grozić, że mnie opuścisz? To jednak było nieistotne. Musiał podjąć życiową decyzję – mnie łączyły z Rosją więzy krwi, ciągnęły mnie z powrotem niewidzialną stalową nicią, ale jego nie. Jedynych krewnych miał tutaj. Jego więź z Rosją... to byłam ja.

Na pewno zauważył, jak to mną wstrząsnęło. Nie byłam w stanie wykrztusić z siebie słowa – nie w tym pokoju, w którym mogły być kable i podsłuchujące uszy – dlatego tylko milcząco pokręciłam głową. Wyłączył radio, potem się odchylił, by ująć moją twarz w dłonie. Nie wiem jednak, co zamierzał powiedzieć, bo nagle w zamku zazgrzytał klucz i drzwi otworzyły się na oścież.

Na progu stanął Aleksiej Pawliczenko z bukietem różowych róż.

Mógłby to być obrazek w romantycznej powieści. Wielbiciel w eleganckim garniturze, z kwiatami w ręku i z czarującym lekkim uśmiechem na przystojnej twarzy. Ten uśmiech zniknął jednak jak zduszony płomień i po jego twarzy przetoczyła się fala wściekłości.

Byłam już bliska łez, ponieważ wezbrały we mnie gwałtowne emocje. Aleksiej naprawdę, naprawdę nie był mi potrzebny w tym momencie.

– Nie – warknęłam, zanim zdołał powiedzieć choćby słowo. – Nie teraz. Nie dzisiaj. Nigdy. Nie obchodzi mnie, czego chcesz, po prostu się wynoś.

Stał i patrzył na Kostię jak na robaka.

– Od dawna pieprzysz za moimi plecami swojego wilczka, Milu?

Kostia powoli usiadł, kołdra zsunęła mu się do pasa, gdy oparł łokcie na ugiętych kolanach, i być może mój mąż nie zauważył, jak ten ruch zbliżył mojego partnera do jego leżącej na stoliku nocnym finki, ale ja owszem.

Odrzuciłam kołdrę i wstałam z łóżka. Po mojej nagiej skórze przebiegły ciarki, ale nie zamierzałam kulić się w łóżku jak winna żona przyłapana na potajemnym baraszkowaniu.

– Jak tu wszedłeś? – Wiedziałam, że zamknęłam drzwi na klucz.

– Oczarowałam pokojówkę i wycygańłem od niej klucz. Żebym mógł je tu zostawić i zrobić ci niespodziankę. – Rzucił bukiet róż na podłogę, gdzie utworzyły bezładną stertę kolców i płatków na dywanie. – Zastanawiam się, przed iloma jeszcze facetami paradowałaś nago w tym pokoju.

Kostia za mną spał się, pytając mnie bezgłośnie, czego chcę. Dwa razy dotknęłam palcami nogi, jakbyśmy znowu byli w snajperskim okopie i komunikowali się bez słów: czekaj. Przemaszerowałam naga przez pokój, z wysoko uniesioną głową, i zdjęłam szlafrok z haczyka na ścianie.

– Nie udawaj, że jesteś zazdrosny, Aleksiej. Moje dojrzałe kobiece ciało jest o jakieś dziesięć albo i dwanaście lat za stare, żeby cię podniecić. – Gwałtownym ruchem przewiązałam się w pasie. – A teraz wynocha.

– Nie. – Zrobił krok w moją stronę, odwracając się od Kostii. Kostia nie poruszył się na łóżku, zastygł jak kamień i wszystko obserwował... lecz jego finka zniknęła ze stolika.

– To ja mówię nie, Aleksiej. – Burza kłębiących się emocji, która się we mnie rozpętała, mknęła szybko w stronę wściekłości. Od upartych nalegań pana Jonsona o wilgotnych rękach przez nachalność zadowolonego z siebie Aleksieja po dłoń Laurence'a Oliviera wciąż powracającą na moje biodro – dlaczego z jakiegoś powodu moja odmowa do nikogo nie docierała?

– Wciąż jesteś moją żoną.

Roześmiałam mu się w twarz.

– Za kogo ty się uważasz? Jestem sławną snajperką, bohaterką wojenną, „ulubienicą Ameryki”. To mnie podejmuje się z pompą na całym świecie, gdy pomagam towarzyszowi Stalinowi stworzyć drugi front. Ty jesteś tylko pigularzem delegacji. Psem prowadzonym na smyczy.

– Zamknij się. Zachowujesz się jak rozpieszczona gówniara, która wpadła w histerię.

– Rozpieszczona gówniara. Tylko na to cię stać? A co z tymi wszystkimi uroczymi rzeczami, które pisałeś w anonimowych liścikach? „Komunistyczna suka”, „pieprzona morderczyni”...

– Skoro zachowujesz się jak szmata, nie dziw się, że tak cię nazywają. – Zmrużył oczy. – Ale to nie ja pisałem te cholerne liściki. Wystarczająco długo musiałem się z ich powodu tłumaczyć przed ochroną delegacji. Nie będę tu stał i słuchał, jak...

– Lepiej słuchaj, Aleksiej. – Teraz to ja weszłam mu w słowo. Dawniej wznosił się w moim życiu niczym góra, największa przeszkoda na drodze do nowego życia. Teraz, po wszystkim, z czym musiałam się zmierzyć w ciągu ostatniego półtora roku, był zaledwie kamyczkiem. A mimo to ten kamyczek wciąż tkwił w moim bucie i robił wszystko, co w jego mocy, by uniemożliwić mi pójście o krok dalej. Miałam tego dość. – Nie jesteś już moim mężem i zaraz po powrocie do Moskwy ogłosimy to oficjalnie. Ponieważ teraz to ja mam wysoko postawionych przyjaciół i dopilnuję, żebyś się dłużej nie ociągał.

Zrobił jeden duży krok w moją stronę... i nagle się zatrzymał, bo Kostia był już za nim. Mój partner, który po cichu wyslizgnął się z łóżka, gdy mówiłam, przesunął się w bok i zaczął działać, gdy tylko Aleksiej ruszył w moją stronę. Mój mąż zastygł. Kostia nigdy bardziej nie przypominał starego mitu o Morozce, zimy milczącej jak lód, która stoi mroźnie i nago z nożem wyrastającym z pięści niczym soplel i ostrzem przystawionym delikatnie do żyły szyjnej Aleksieja.

Mój mąż chciał iść dalej. Kostia wsunął nóż o milimetr głębiej i strużka krwi ześlizgnęła się z gardła Aleksieja w stronę kołnierzyka jego śnieżnobiałej koszuli. Aleksiej zatrzymał się i przeniósł spojrzenie ze mnie na Kostię.

– Wiesz co? – powiedział. – Weź ją sobie. Weź ją i udław się nią.

Może teraz wreszcie zostawi mnie w spokoju. Teraz, gdy sam uznał, że ma mnie dość. Bo oczywiście wszystkie moje decyzje do tej chwili się nie liczyły. Słyszając, jak dudni mi w uszach, wyciągnęłam nogę w stronę najbliższej leżącego kwiatu na dywanie i kopnęłam go w jego stronę.

– Wynoś się i zabieraj tę swoją tanią, nędzną łapówkę.

Drzwi zamknęły się za nim z trzaskiem, zostawiając mnie i Kostię samych, wpatrujących się w siebie, aż moja wściekłość powoli ustąpiła, zrobiło mi się zimno i zaczęłam się trząść. Chciałam, żeby Aleksiej sobie poszedł, i w końcu to zrobił. Chciałam, żeby Kostia został... i patrząc na jego nieodgadnioną twarz, nie miałam pojęcia, czy zostanie.



Strzelec wyborowy poczuł, jak jego fart powraca, gdy zobaczył Aleksieja Pawliczenkę, który zjawił się z hukiem w hotelowym barze i zanim jeszcze opadł na stół, zażądał podwójnej wódki tonem niewiele lepszym od warknięcia. Strzelec wyborowy podszedł do niego spokojnym krokiem, przesiewając przez palce diamenty, które pobrzękiwały w jego kieszeniach.

– Kiepski dzień? – spytał swoim okropnym rosyjskim.

Aleksiej spojrzał na niego.

– A, dziennikarz – powiedział, najwyraźniej przypominając sobie ich poprzednią rozmowę w tym miejscu. Minęły prawie dwa miesiące od międzynarodowej konferencji studenckiej, która to wszystko zapoczątkowała. – Przypomnij mi, jak się nazywasz.

Strzelec wyborowy pokazał sfałszowaną legitymację prasową. Wrócił do dziennikarskiej tożsamości, którą zbudował na szeroko zakrojonych badaniach i dzięki osłonie z góry.

– Ostatecznie nie zrobiłem ci tych zdjęć z żoną w ogrodzie różanym Białego Domu – powiedział, żeby jakoś zacząć. – Chcesz spróbować jeszcze raz? Przed wyjazdem delegacji będzie jeszcze jedna kolacja w Białym Domu, prawda? Ładne zdjęcie twoje i twojej żony do niedzielnego numeru...

– Jeśli ci się wydaje, że ta suka potrzebuje jeszcze większego wsparcia ze strony prasy... – Lekarz zamilkł i nagle zmrużył oczy. – Już cię gdzieś widziałem.

– Pewnie – potwierdził uprzejmie strzelec wyborowy. – Właśnie w tym barze, dwa miesiące temu.

– Nie. Później. W Chicago, w klubie strzeleckim. To ty jeździłeś za Milą jak jakiś kretyn. – Milczał przez dłuższą chwilę. – Nazywasz się Jonson. – zamrugął ze zdziwieniem.

– Nie – odrzekł szczerze zdumiony strzelec wyborowy. Wszystkie te zmiany w ubiorze, postawie ciała, fryzurze, głosie... Przecież tak bardzo uważał. Niech to szlag, umiał się świetnie przebierać! W każdą nową przykrywkę wsiąkał jak w szyty na miarę garnitur. – Kto to jest Jonson? – spytał, kołyszając lód w niskiej szklaneczce.

– To ty. – Oczy rosyjskiego lekarza przemykały szybko po twarzy strzelca wyborowego. – Chirurg widzi kości i mięśnie, a nie kolor włosów i postawę ciała. To ty.

Dobry jesteś, pomyślał strzelec wyborowy z pewnym niepokojem. Pani Śmierć z pewnością nie przejrzała ciemnej peruki łysiejącego Williama Jonsona, jego gęgającego głosu z wyższych sfer, gorliwego tuptania, które sprawiało, że jej absztyfikant stawał się o pięć centymetrów niższy niż wysoki, rudowłosy, wąsaty dziennikarz obecny podczas tak wielu jej wystąpień publicznych. Zadbał jednak, by Ludmiła Pawliczenko nigdy nie widziała w dziennikarzu nikogo innego niż tylko kolejną niewyraźną postać pochyloną nad aparatem fotograficznym w głębi sali.

Za to lekarz dodał dwa do dwóch. Strzelec wyborowy znowu zagrzechotał lodem w szklaneczce. Zabić go, przekupić czy znaleźć sposób, żeby go wykorzystać?

– No więc kim jesteś? – spytał ostro Aleksiej Pawliczenko. – Williamem Jonsonem czy...

– William Jonson naprawdę istnieje. – Strzelec wyborowy postanowił to przyznać. Biznesmen z branży metalurgicznej mieszkał w prawie zupełnym odosobnieniu w stanie Nowy Jork. Facet nigdzie nie bywał, z nikim się nie spotykał, więc jego tożsamość okazywała się przydatna, ilekroć strzelec wyborowy potrzebował takiej, która wypadłaby

autentycznie i jednocześnie bez zarzutu, w razie gdyby ktoś chciał ją przeświecić. Peruka, gładko ogolona twarz i parę drogich garniturów to wszystko, czego potrzebował, by upodobnić się do człowieka z nieaktualnego zdjęcia.

– Chodzą plotki, że się jej oświadczyłeś. Mojej żonie. – Aleksiej wciąż mu się przyglądał, jakby czekał na puentę dowcipu. – To miał być żart czy...

– Potrzebowałem jakiegoś pretekstu, żeby uczestniczyć w tej trasie. Zazwyczaj dziennikarze nie jeżdżą za prezydencką ekipą po całym kraju, a zwykli obywatele narażają się na trudne pytania, jeśli regularnie pojawiają się na takich imprezach. – Nawet mimo wszystkich zakulisowych działań pracodawców Poszetki dbających o to, by ochrona pierwszej damy bez zbędnych pytań wpisywała strzelca wyborowego na stosowne listy gości, chciał mieć dodatkową przykrywkę... a nikt nie wydawał się równie nieszkodliwy jak zakochany kretyń, który częściej niż powinien płaci rachunki w restauracji. Zwłaszcza zakochany kretyń postanawiający się oświadczyć. – Poza tym – powiedział strzelec wyborowy z całkowitą szczerością – chciałem się przyjrzeć Pani Śmierć. – Ucisnąć tę małą dłoń z odciskami od spustu, zobaczyć maskowane poirytowanie w tych dużych brązowych oczach. Wyobrazić sobie, jak te oczy wypełniłyby się nagłym strachem, gdyby kobieta zdała sobie sprawę, co się kryje za gorliwym spojrzeniem wyłupiastych oczu Williama Jonsona. Mówić do niej w myślach: Nie masz pojęcia, ty komunistyczna suko.

Tak, doszedł do wniosku strzelec wyborowy – z całą pewnością pozwolił, by ciekawość wzięła górę nad ściśle profesjonalnym podejściem do tej pracy. Kiepska sprawa, jeśli wziąć pod uwagę, że było to najważniejsze zlecenie w jego karierze... A jednak z jakiegoś powodu nie czuł niepokoju. Czuł, że ten rozwój wydarzeń dokądś zmierza. Wszystkie bezowocne tygodnie i nieudane plany do czegoś prowadziły.

Aleksiej Pawliczenko rozparł się na stołku barowym, unosząc kieliszek z wódką. W jego jasnowłosej głowie bez wątpienia odbywały się właśnie jakieś pospieszne kalkulacje.

– A dlaczego musiałeś jeździć za tą moją skurwioną żoną?

– Po prostu chcę narobić trochę kłopotów radzieckiej ulubienicy Stanów Zjednoczonych. – Strzelec wyborowy przysunął się do niego, wciąż mówiąc

swoim kiepskim rosyjskim, i poczuł, jak jego puls przyspiesza. – Wiesz, nie każdy tutaj chce, żeby wróciła do ojczyzny jako bohaterka.

Lekarz zmrużył oczy.

– Doprawdy?

I o to chodziło, pomyślał strzelec wyborowy. Przysunął się jeszcze bliżej.

31

Nagłówek: SNAJPERKA I JEJ RODACY WRÓCILI DO BIAŁEGO DOMU NA POŻEGNALNĄ KOLACJĘ I KONFERENCJĘ PRASOWĄ Z UDZIAŁEM PREZYDENTA ROOSEVELTA, NIM JUTRO RANO OPUSZCZĄ NASZ PIĘKNY KRAJ...

Prawda: Moja ostatnia wizyta w Białym Domu nie obyła się bez przygód.

Wiatr wył na zewnątrz, gdy odświętnie ubrana delegacja zebrała się w hotelowym holu: to miał być nasz ostatni wieczór w Ameryce.

– Całkiem stosowna pogoda na Halloween, prawda? – zagadnął konsjerż.

– Co to jest Halloween? – spytałam. Moją uwagę rozproszył bagaż delegacji piętrzący się za kontuarem. Większość naszych rzeczy była już spakowana, gotowa do wylotu do Halifaxu nazajutrz rano. W tym kraju nie pozostawało nam już nic innego, jak tylko pożegnać się z prezydentem i pierwszą damą podczas kolacji w Białym Domu. Krasawczenko i inni już żartowali, że potem zamówię w hotelu jeszcze parę butelek wódki, skoro podczas długiego lotu do Kanady będzie można odespać kaca. Przesunęłam po nich wzrokiem – Jurij, Pczelincew, naburmuszony Aleksiej – nigdzie nie widziałam Kostii.

– Milu.

Odwróciłam się. Mój partner wyglądał fatalnie, podwinął rękawy, a jego zuchwę porastała szczecina zarostu.

– Nie jesteś ubrany jak na kolację – zauważyłam bez sensu.

– Wymówiłem się – powiedział. – Mają mnóstwo tłumaczy... Idę na spacer.

Ale wrócisz?, pomyślałam, podchodząc bliżej. Nie umiałam odczytać jego wyrazu twarzy. Tak dobrze go znałam, a mimo to nie umiałam odczytać jego wyrazu twarzy. – Weź płaszcz – powiedziałam. – Jest zimno.

– Nie dla Sybiraka. – Jego spojrzenie przesunęło się po mnie jak pocałunek. Znow miałam na sobie żółtą atlasową suknię, lecz nawet nie mrugnęłam okiem, gdy windziarz wydał zduszony okrzyk na widok moich blizn.

– Zobaczymy się później? – Miałam na myśli swój pokój. Zastanawiałam się, czy do mnie przyjdzie, gdy wrócę z kolacji w Białym Domu. Może gdybyśmy byli przytuleni skóra przy skórze, mogłabym powiedzieć za pośrednictwem naszego związanego krwią milczenia to wszystko, czego nie potrafiłam ubrać w słowa... Jednak gdy tylko wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie, że zabrzmiały jak: „Czy zobaczymy się jutro rano?”. Czy będzie tu czekał, gdy samochód z ambasady przyjedzie nas zawieźć na lotnisko, czy może... zniknie? Mieliśmy wyjechać już nazajutrz, lecz ja wciąż nie wiedziałam. Wiedziałam, że mnie unika. Wiedziałam, że mogę błagać. Ale poza tym...

– Nie wiem – powiedział. Podeszłam do niego i długo, rozpaczliwie pocałowałam go na samym środku tłoczego holu hotelowego, a jego ręka oplotła mnie w talii i dotknęła blizny wzdłuż mojego kręgosłupa.

Potem się odsunęłam, ignorując spojrzenia ludzi wokół nas, i dołączyłam do delegacji, by po raz ostatni złożyć wizytę w Białym Domu.



Prezydent Roosevelt uniósł kieliszek.

– Za nowych przyjaciół.

Delegacja mruknęła coś w odpowiedzi, wznosząc toast. Siedzieliśmy w tej samej Małej Jadalni, gdzie powitano nas na naszym pierwszym amerykańskim śniadaniu. Czy od tego czasu naprawdę minęły tylko dwa miesiące? Gdy pierwszy raz siedziałam przy tym stole, byłam zrozpaczona, zła, pełna żalu i przekonana, że Ameryka i Amerykanie w ogóle mi się nie spodobają. Cóż, wygłosiłam więcej przemówień, niż mogłabym zliczyć, przed większą liczbą dziennikarzy, niż było gwiazd na niebie, widziałam

piękno falujących amerykańskich wzgórz, strzelistych amerykańskich wieżowców i przyjaznych amerykańskich twarzy. Już się nie wzdrygałam na widok swojego nazwiska w druku, na widok mikrofonu stojącego w kręgu jupiterów i czekającego na mój głos ani na widok tłumu wyczekujących twarzy zwróconych ku mojej, by mnie słuchać. Jak daleko zaszła Mila Pawliczenko.

Niemniej wciąż byłam zrozpaczona po śmierci Loni i wciąż czułam złość, choć już z innych powodów.

– Dobrze się czujesz, Ludmiło? – spytała pierwsza dama ściszym głosem. Posadziła mnie po swojej prawej stronie, na honorowym miejscu.
– Wydajesz się zdenerwowana.

– Wszystko w porządku, Eleanor. – Zobaczyłam, jak Aleksiej przygląda mi się ze swojego miejsca na końcu stołu. Wydawał się raczej zamyślony niż posępny. Nie rozmawiałam z nim, odkąd zebrał odrzucone przeze mnie róże z dywanu i wściekły wyszedł z pokoju hotelowego. Prawdopodobnie uznał, że ostatecznie to on wyszedł z tego zwycięsko... nikt przecież nie mógł pokonać Aleksieja, gdy chodziło o takie przekręcenie faktów, by wyszło na to, że to on wygrał spór.

Trzy dania, kolejne toasty, a potem prezydent przeprosił wszystkich i wycofał się do owalnej sali do przyjmowania gości, gdzie prasa miała zrobić jeszcze trochę zdjęć. Już wiedziałam – choć Eleanor bynajmniej nigdy niczego takiego nie powiedziała – że jej mąż usadowi się w fotelu, zanim zjawią się dziennikarze, by zastali go odprężonego i z jego firmową fifką w zębach, a nie szamoczącego się z szynami i laską. Odczekawszy stosowną chwilę, radziecka delegacja poszła za nim do dużego gabinetu owalnego ze sklepieniem sufitem i eleganckim kominkiem, obok którego prezydent prowadził swoje słynne pogawędki przy ogniu. Ostatnia grupa fotoreporterów i dziennikarzy wlała się do środka, pstrykając zdjęcia – nie tylko nam, lecz także prezentom, które zgromadziliśmy w czasie swojej trasy po Stanach Zjednoczonych. Na długim stole piętrzyły się tabliczki, pieczęcie i klucze do miast, albumy pamiątkowe ze wszystkich miejsc, które odwiedziliśmy. Uśmiechnęłam się na widok mahoniowego pudełka z bliźniaczymi coltami M1911A1, które dostałam od Chicagowskiego Związku Snajperskiego, oraz miękkiego srebrnego futra z rysia podarowanego mi w Nowym Jorku.

– Mamy dla ciebie jeszcze dwa prezenty, Ludmiło. – Pierwsza dama odciągnęła mnie na bok i ściszyła głos, podczas gdy Krasawczenko podszedł do prezydenta Roosevelta, by pożegnać się z nim uściskiem dłoni. – Mam już wiele twoich zdjęć, ale pomyślałam, że może chciałabyś mieć moje, by pamiętać o naszej przyjaźni.

Zamrugałam, patrząc na oprawione w ramkę zdjęcie, które wsunęła w moje ręce: przedstawiało Eleanor w czarnej sukni, którą miała na sobie tego wieczoru, siedzącą przy biurku jak ciężko pracująca kobieta, którą w istocie była, własnoręcznie przez nią podpisane. „Starszej porucznik Ludmile Pawliczenko z serdecznymi pozdrowieniami od Eleanor Roosevelt”.

Zaszczypały mnie oczy, gdy oderwałam wzrok od zdjęcia i spojrzałam na jej uśmiechniętą twarz. Na chwilę moje zmartwienia odpłynęły.

– Będzie mi ciebie brakowało – powiedziałam po prostu. – Nie będzie mi brakowało hot dogów ani waszych dziennikarzy... – Rzuciłam spojrzenie w stronę tłumu reporterów i błyskających wszędzie fleszy. – Ale za tobą będę tęskniła, Eleanor. Tyle się od ciebie nauczyłam.

– A ja od ciebie – odrzekła z uśmiechem. – Będę tęskniła za wami wszystkimi, nawet za panem Krasawczenką i jego niekończącymi się anegdotami z czasów, które spędził w Komsomole... ale najbardziej ze wszystkich, droga Ludmiło, chciałabym móc tu zatrzymać ciebie.

Być może zatrzymasz mojego partnera. Żałowałam, że nie mogę tego powiedzieć. Jeśli tu zostanie, zaopiekuj się nim. Tego też nie mogłam powiedzieć. Gdyby Kostia poprosił o azyl, nasza delegacja byłaby wielce oburzona. Musiałoby to wyglądać tak, jakby nikomu nie wspomniał o swoich planach. Poza tym wiedziałam, że nie muszę prosić pierwszej damy o podanie mu pomocnej dłoni, gdyby jej potrzebował. Jeśli było coś, co Eleanor Roosevelt umiała robić – z wdziękiem, taktem i bezgranicznym współczuciem – to na pewno było to pomaganie innym.

– Dostarczono jeszcze jeden prezent dla ciebie – powiedziała z szelmowskim uśmiechem, który rozjaśnił chwilę pożegnania, i podała mi płaskie jedwabne pudełeczko. Pczelincew właśnie pozował do zdjęcia z Rooseveltem. Ja miałam być następna. – Od pewnego amerykańskiego wielbiciela, któremu pękło serce, gdy się okazało, że nie zamierzasz przyjąć jego oświadczyn!

Zmierzyłam pudełeczko wzrokiem, jakby w środku był wąż. Jakież to nowe niespodzianki miał dla mnie jeszcze pan Jonson o wilgotnych dłoniach? Gdy podniosłam wieczko, wydałam z siebie zduszony okrzyk, który sprawił, że radziecki ambasador podszedł bliżej.

Był to naszyjnik z maleńkich brylantów. Bliźniacze bransoletki przypominające wstążki z diamentowej koronki. Broszka z ruchomymi brylantami chwytającymi światło. Pierścionek z brylantem przywodzącym na myśl kroplę zimnego ognia.

„Ludmile z wielką miłością od W.P. Jonsona – napisał mój wielbiciel biznesmen na dołączonym bileciku. – Jeszcze się spotkamy”.

– Nie mogę tego przyjąć... – zaczęłam, lecz Eleanor pokręciła głową.

– Ten człowiek zaznaczył, że odmawia przyjęcia prezentu z powrotem.

– Stosowny hołd dla bohaterki Związku Radzieckiego – powiedział zazdrośnie radziecki ambasador. Zanotowałam w myślach, by zaproponować mu tę broszkę dla żony albo kochanki. Tak to się odbywało w Związku Radzieckim i byłam całkiem pewna, że w Waszyngtonie też się to tak odbywa.

– Przymierz je, Milu – zabrzmiał ostry i drwiący głos Aleksieja, który stanął po drugiej stronie ambasadora.

– Tak, przymierz – zapaliła się do tego pomysłu Eleanor. – Do ostatniego zdjęcia. – Wydawała się niewinnie zadowolona i tylko dla niej zapięłam naszyjnik, wsunęłam bransoletki na ręce, przypięłam broszkę do gorsetu żółtej atlasowej sukni i przymierzyłam pierścionek. Okazało się, że doskonale pasuje na mój palec wskazujący.

Spojrzałam na odręcznie napisany bilecik. „Jeszcze się spotkamy...”

– Twój amerykański wielbiciel dobrze wybrał, Milu – powiedział Aleksiej, wciąż drwiącym tonem. – Brylanty dla dziewczyny o sercu twardym jak diament.

– Nie zgodziłabym się – powiedziała Eleanor, gdy jej to przetłumaczyłam. – Chyba już się czegoś nauczyłam o snajperach. Owszem, oko jak diament. Ale serce... – poprowadziła mnie ku swojemu mężowi do ostatniego zdjęcia – ...stworzone do przyjaźni.

– Zgadzam się – zagrzemiał prezydent Roosevelt, uśmiechając się z firką w zębach, i ostatni raz poczułam uścisk jego silnej, żylastej dłoni. Odwróciliśmy się w stronę grupy dziennikarzy, uśmiechając się w błyskach fleszy, i nim wypuścił moją rękę, ścisnął ją jeszcze raz, obiecując ściszoną głosem: – Wracaj do domu, walcz dalej i przekaz swoim przyjaciołom, że Ameryka nadchodzi.



Strzelec wyborowy, metodycznie lokując się za gęstymi zaroślami na skraju południowego trawnika, zastanawiał się, dlaczego podarował jej brylanty.

Oczywiście zamierzał je odzyskać, ale dlaczego w ogóle to zrobił? Skończył już przecież z tożsamością Williama Jonsona, przynajmniej o tyle, o ile chodziło o to zlecenie. Nie było potrzeby rozbudowywać fasady głupkowatego wielbiciela. A jednak gdy szykował się do tego wieczoru, pakując swój rozłożony karabin do walizki specjalnie przerobionej, by wyglądała, jakby mieścił się w niej sprzęt fotograficzny, poszedł pod wpływem chwili do swojego prywatnego sejfów, odsunął na bok nieoszlifowane klejnoty, które zawsze kupował za płatności realizowane gotówką, i sięgnął po leżące w głębi pudełko z biżuterią. Była to zapłata za zlecenie wykonane w 1927 roku. Chodziło o niewygodną żonę jakiegoś brokera giełdowego. Strzelec wyborowy zorganizował to tak, by wyglądało na zbrodnię popełnioną przez zaskoczony rabusia, a wdzięczny mąż zapłacił mu brylantami zmarłej już żony, po czym zainkasował pieniądze z ubezpieczenia i młodziutką narzeczoną. Wszyscy byli zadowoleni. No, może z wyjątkiem żony. Strzelec wyborowy pamiętał, jak wytrzeszczyła oczy, gdy sobie uświadomiła, że zamierza ją zabić... Czy oczy Pani Śmierć rozszerzą się tak samo na widok wylotu lufy jego karabinu? Pod wpływem impulsu wyjął pudełko z biżuterią, nabazgrał słowa na bileciku i wysłał to wszystko w imieniu tego cymbała Williama Jonsona. Taki kaprys.

Może nie zdołał oprzeć się pokusie, by powiedzieć jej: „Jeszcze się spotkamy”.

A może był staromodny. Bo przecież dawało się kobiecie prezent, zapraszając ją na randkę. A czy to, co planował, nie było w pewnym sensie randką?

Jego dłonie wciąż się poruszały, składając karabin z poszczególnych części. Odłączył się od pozostałych dziennikarzy, gdy tylko wpuścili ich na teren Białego Domu. To nie powinno być aż takie proste, ale było. Tak drobne imprezy nie wymagały od Secret Service stanu najwyższej gotowości, a jego tajemniczy zleceniodawcy utorowali mu drogę, dopilnowując, by jego nazwisko znalazło się na liście wieczornych gości, i zawniczasu poinformowali go, w których miejscach będzie musiał się wystrzegać punktów kontrolnych, zaszywając się w ogrodzie.

Spojrzał na zegarek nastawiony co do sekundy. Radziecka delegacja kończyła już pewnie pozowanie do ostatnich zdjęć w owalnej sali do przyjmowania gości w południowym portyku. Potem wszyscy mieli się pojawić na trawniku na ostatnią nieformalną imprezę z halloweenowym ponczem, zanim goście wyjadą... a prezydent z żoną mieli im machać na pożegnanie, stojąc tuż nad schodami portyku.

Południowy trawnik był rozległy, lecz strzelec wyborowy strzelał z większych odległości. Najpierw jednak Mila Pawliczenko musiała zniknąć... a jeśli jej mąż zamierzał dobrze odegrać swoją rolę, powinno to być nastąpić za jakieś dziesięć minut.



Znowu miałam wrażenie, że po plecach łążą mi pająki. Teraz byliśmy już wszyscy na południowym trawniku, sączyliśmy z kubków mocny poncz w ramach ostatniego nieformalnego aperitif, a górę prezentów delegacji pakowano do czekających od frontu samochodów ambasady. Eleanor opowiadała jedną ze swoich zabawnych, pouczających anegdot o obchodach 31 października w Stanach Zjednoczonych: o przebraniach, paradach dożynkowych, świeczkach umieszczanych w wydrążonych rzepach albo dyniach... ja jednak nie mogłam się skupić. To niepokojące uczucie wróciło, silniejsze niż kiedykolwiek, i nie potrafiłam się go pozbyć. Zapaliłam papierosa i spojrzałam na księżyc wznoszący się nad podchmielonym, zwycięskim tłumem świętujących Rosjan i gorliwych dziennikarzy. Tarcza Księżyca była niepełna – minęły miesiące, odkąd moje conocne przetrwanie zależało od fazy Księżyca, lecz wciąż nie umiałam się powstrzymać i śledziłam jego zwiększanie się i zmniejszanie. Wiatr ustał. Jak na rosyjskie standardy nie było zimno, ale cienka żółta

suknia skłoniła mnie do tego, by przed wyjściem na trawnik obok Białego Domu włożyć futro z rysia. Jeszcze raz zaciągnęłam się papierosem, patrząc, jak brylanty od pana Jonsona połyskują na moim nadgarstku w świetle księżyca.

Jeszcze się spotkamy...

Gdzie właściwie mieliśmy się według niego spotkać, skoro spędzałam ostatni wieczór w jego kraju? Pokręciłam głową na myśl o swoim wylupiastookim wielbicielu, któremu prawdopodobnie się wydawało, że jest bardzo romantyczny. Każdy mógłby mu powiedzieć, że lepiej nie wylądować po niewłaściwej stronie granicy między „bardzo romantyczny” a „nieco upiorny”, gdy zalecasz się do snajperki. Kostia padłby ze śmiechu.

Kostia. To na pewno z jego powodu czułam ten niepokój. Minęłam jakiegoś dziennikarza namawiającego: „Może jeszcze jeden uśmiech do obiektywu, Pani Śmierć?”, i skierowałam się z powrotem w stronę portyku z kolumnami po południowej stronie Białego Domu. Prezydent Roosevelt oczywiście nie zszedł razem z nami po schodach. Siedział pod markizą między kolumnami, gawędząc z różnymi osobami. Gdyby był ze mną Kostia, odruchowo ocenilibyśmy możliwości oddania strzału.

– Tam – powiedziałam na głos, skinąwszy głową w stronę żywopłotów po wschodniej stronie trawnika. – A jeszcze lepiej tam. – Popatrzyłam na zarośla złożone z drzew i krzewów po przeciwległej stronie, niedaleko zachodniego skrzydła. Uniosłam papierosa, by jeszcze raz się zaciągnąć, i zastygłam. Nawet tu, nawet teraz odwróciłam zapalonego papierosa do wnętrza dłoni, zasłaniając żar...

I nagle coś w mojej pamięci zaskoczyło: William Jonson w klubie strzeleckim w Chicago śmiejący się z samego siebie, że tak kiepsko mu poszło podczas pokazu umiejętności i palący lucky strike’a, którego skierował do wnętrza dłoni, jak snajper.

Nie tylko snajperzy palą w ten sposób, pomyślałam. Robił tak każdy weteran wojenny, który kiedykolwiek pełnił nocną wartę. Czy pan Jonson służył w wojsku? Był za młody, by walczyć w Wielkiej Wojnie. Poza tym w klubie strzelał kiepsko, połowa jego kul w ogóle nie trafiła w tarczę...

Dokładnie tak, jak zrobiłby wyszkolony snajper, gdyby chciał uchodzić za kogoś innego.

Jeszcze się spotkamy.

– Milu! – Aleksiej na drugim końcu trawnika próbował zwrócić moją uwagę, lecz zagadnął go Krasawczenko. Mój mąż skinął, żebym do niego podeszła, ale odwróciłam się w drugą stronę, gasząc niedopałek na trawie i spoglądając na prezydenta Roosevelta na portyku. Nie wiedziałam, co robię, wiedziałam jedynie, że silniej niż kiedykolwiek dotąd czuję, że coś jest nie tak, i szybko wodziłam wzrokiem między potencjalnymi liniami strzału analizowanymi automatycznie przez moje snajperskie oko (Oko jak diament, szepnął głos Eleanor).

Żywopłoty na wschodzie, zarośla na zachodzie. Zawahałam się.

– Ludmiło! – podeszła do mnie Eleanor z policzkami zarumienionymi od wieczornego chłodu. – Napij się jeszcze ponczu czy może...

Weszłam jej w słowo, choć nigdy dotąd tego nie robiłam.

– Wprowadź go z powrotem do środka – powiedziałam, wskazując jej męża siedzącego na portyku. – Natychmiast... – I nie czekając na reakcję, ruszyłam w zachodnią stronę trawnika obok Białego Domu. Na jego skraju stała służąca w białym fartuszk. Trzymała tacę i wśród kieliszków zauważyłam mały nóż do obierania warzyw i owoców, którym odkrawało się skórki cytryny albo zdejmowało folię z butelek wina. Wzięłam ten nożyk z tacy i mijając zaskoczoną służącą, poszłam dalej, prosto w stronę kępy drzew. Nie myślałam, w każdym razie nie słowami. Podążałam za czymś tkwiącym tak głęboko, że nie potrafiłam tego nazwać – a może i potrafiłam. Może już to nazwałam, gdy kapitan Siergijenko spytał, czy takie umiejętności jak moje wypływają z instynktu, a ja prychnęłam, odpowiadając, że to wyłącznie zasługa wyszkolenia.

No cóż. Kilkanaście miesięcy praktyki, setki godzin szkolenia, tysiące strzałów oddanych pod krwawym księżycem na drugim końcu świata połączyły głosy, śpiewając piosenkę głęboko w moich żyłach.

A moje stopy poszły za nią.

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Wydała rozkaz. Ja go wykonałam. Dlatego, że absolutnie władczy ton podczas wydawania rozkazów wprawia nogi w ruch bez względu na to,

czy mają taki zamiar, czy nie.

Być może dzieje się tak po prostu dlatego, że gdy kobieta nazywana Panią Śmiercią nagle staje się przerażająco czujna, śmiertelnicy stworzeni jedynie z ciała i krwi wiedzą, że pora uciekać.

Szybko wchodzę po schodach południowego portyku, czując, jak wali mi serce, i chcąc nie chcąc, myślę o tamtym rześkim wieczorze w Miami, gdy oddano strzał wymierzony w serce mojego męża przemawiającego na stojąco w samochodzie z opuszczonym dachem. Tamten wieczór. Ten wieczór. Niewypowiedziane obawy Franklina w ostatnich kilku miesiącach – tak, bał się. Czego? Tego?

Docieram na szczyt schodów i mąż patrzy na mnie. Jego znękana twarz naznaczona bólem i poczuciem humoru jest taka żywa. Wołam do niego cicho, lecz nagląco: „Kochanie, jesteś potrzebny w środku...”, a potem odwracam się do stojącego najbliżej funkcjonariusza Secret Service.

Nie wiem, co zauważyło twoje oko jak diament, Ludmiło, ale nie spudłuj.

32

Los znowu mu sprzyjał, strzelec wyborowy wyraźnie to czuł. Jego packard czekał, gotowy do szybkiej, dyskretnej ucieczki. Sprawdzono go już, gdy wjeżdżał na teren Białego Domu, i strzelec wyborowy myślał, że w chaosie, jaki nastąpi po strzale, uda mu się wyjechać. Jeśli nie, ludzie w środku mieli już gotowe bajeczki mające ułatwić mu zadanie. Czuł, jak tyka w nim zegar, odliczając do chwili pociągnięcia za spust.

Jeszcze może z dziesięć minut. Zjawi się zdziwiona snajperka przyprawiona przez męża. „Powie jej, że jej najdroższy partner przyszedł z nią porozmawiać. Gdy ją woła, biegnie do niego jak suka w rui”. Szybki, cichy chwyt od tyłu, żeby pozbawić ją przytomności, nie powodując zasinienia, a potem strzał z dużej odległości w stronę południowego portyku, gdzie stali właśnie prezydent z pierwszą damą, pochylając głowy i o czymś dyskutując. Strzelec wyborowy przygotował już swoją broń: mosina-naganta z celownikiem PE, podobnego do karabinu,

z jakiego Pani Śmierć strzelała na froncie. Oddał z niego tysiące strzałów próbnych – była to dobra broń, rzetelnie wykonana, prosta. W chwili gdy prezydent padnie, strzelec wyborowy zamierzał oddać drugi strzał, tym razem w usta nieprzytomnej Ludmiły Pawliczenko, a następnie zostawić karabin w jej dłoni: zamach połączony z samobójstwem. Gazety to łykną. Sięgając w rękawiczkach po karabin w rękawiczkach, uśmiechnął się i załadował pięć nabojów. Powinien potrzebować tylko dwóch.

Nie wiedział, dlaczego podniósł głowę i spojrział. Było jeszcze za wcześnie, żeby się zjawiała, a do jego uszu nie dotarł nawet szelest liści ani szept gałązek. Jakiś nieznaną drut rozciągnięty nisko nad ziemią brzdąknął jednak w jego milczących głębinach, daleko pod poziomem zegarów, planów czy nawet myśli, i jego głowa wykonała gwałtowny ruch.

Zobaczył ją: Pani Śmierć sunęła w falującym lekko futrze z rysia przez zacieniony trawnik, a migotanie jego brylantów pod jej szyją przypominało gwiazdny pył. Była rozjaśnionym skrawkiem srebra w słabym świetle księżyca, lecz oczy miała czarne jak węgiel. Nie wytrzeszczyły się pod wpływem szoku ani nie zareagowały na jego widok osłupieniem połączonym z niedowierzaniem. Ona wiedziała. Już wiedziała.

Jak jej się udało...

Jego ręka na karabinie drgnęła – nie mógł jej zastrzelić, dźwięk wszystko by popsuł – a ona w tej chwili jego wahania przemknęła szybko jak cień. Nie, nie uciekała, żeby się ratować. Szła do niego. Ruszył na jej spotkanie i dwoje snajperów zderzyło się pod niepełną tarczą księżyca.



W tym ułamku sekundy ujrzałam czaszkę pod twarzą: William Jonson bez przyciemnionych włosów, żarliwego spojrzenia i błagalnie przygarbionych pleców. Mężczyzna o posturze wieszaka na płaszcz, znacznie wyższy od Jonsona, z kościstymi barkami, pociągłą twarzą, oczami jak błoto. A obok niego podłużny, połyskliwy, charakterystyczny kształt lufy karabinu z celownikiem optycznym, wymierzonej w zaroślach w stronę Białego Domu niczym nie do końca schowany wąż szykujący się do ataku. Mosin-nagant.

Jedno spojrzenie, a potem zaczęliśmy się szamotać.

Wydobyłam z siebie przenikliwy, pozbawiony słów krzyk, zanim jego palce zacisnęły się na moich ustach. Ugryzłam je najmocniej, jak umiałam, i usłyszałam stłumione przekleństwo. Omal nie wypuściłam nożyka, który trzymałam w ręce. Zanim zdążyłam dźgnąć go szybko między żebra albo w gardło, rzucił się w bok, żeby mi się wyrwać. Nie udało mu się, lecz straciłam równowagę i upadłam na kolana. Kopnął raz, drugi, a ja poczułam, jak coś w moim boku rozgrzewa się do białości. Spróbowałam zaczerpnąć powietrza i po chwili wewnątrz mojej głowy wypełniło się iskrami, gdy walnął mnie w uszkodzone ucho.

Czułam jak przez mgłę, że podnosi mnie za rękę. Pogmerałam w płaszczu, szukając instynktownie ośmiostrzałowego TT, który wisiał przy moim pasku, w razie gdybym kiedykolwiek wpadła w ręce wroga, i który przystawiłabym do swojej skroni, zanim wzięliby mnie żywcem. Nie miałam go jednak przy sobie. Byłam w aksamitnej sukni i brylantach, a od pola bitwy dzieliło mnie pół świata. Nie powinnam znajdować się wśród nieprzyjaciół, a jednak się znajdowałam. Tu, w aksamitnym sercu stolicy Stanów Zjednoczonych, Pani Śmierć w końcu wpadła w ręce wroga.

A prezydent Roosevelt siedział w odległości zaledwie jednego strzału. Mąż Eleanor, który uścisnął mi rękę i powiedział: „Walcz dalej i przekaz swoim przyjaciołom, że Ameryka nadchodzi”.

Zabierz go z balkonu, Eleanor. Zabierz go z balkonu...

Poczułam, że ten mężczyzna łapie mnie od tyłu za gardło i jego chwyt zacieśnia się jak stalowa obręcz. Pociemniało mi w oczach. Moje usta się rozchyliły, lecz nie miałam wystarczająco dużo powietrza, żeby krzyknąć.

Ścisnęłam nożyk w słabnącej dłoni i wbiłam go mocno prosto w jego łydkę.

Krzyknął, poluzowując uścisk na moim gardle, i jego okrzyk zniknął wśród chóralnych pohukiwań: Krasawczenko, Pczelincew i reszta delegacji wyśpiewywali na całe gardło patriotyczne piosenki, bez których nie mógł się zakończyć żaden wieczór z udziałem Rosjan. Zdołałam się wyswobodzić z coraz słabszego dławiącego uścisku, krztusząc się i chwytając powietrze, po czym wyrwałam nożyk z jego nogi, obracając przy tym brutalnie ostrze. Mój wróg popełził do tyłu, sycząc z bólu, a jego

głowa zwróciła się gwałtownie w stronę rosyjskich głosów – były donośne, bliskie, coraz bliższe – a potem zawahał się przez kolejny ułamek sekundy i spojrzął z powrotem na mnie, gdy usiłowałam klęknąć, wciąż ściskając w dłoni zakrwawiony nożyk.

Moje spojrzenie pomknęło w stronę portyku Białego Domu. Spojrzenie snajpera też. W tej samej chwili zobaczyliśmy, że nikogo tam nie ma. Albo raczej że roi się tam od poruszających się zwinnie mężczyzn w ciemnych garniturach, lecz nie widać siedzącej postaci z firką. Dziękuję, Eleanor, pomyślałam bezwiednie, ściskając nóż, gdy ku niebu szybowała kolejna strofa piosenki wyrykiwanej przez podpita delegację.

– Milu? – Jeszcze bliżej niż śpiew Krasawczenki i pozostałych zabrzmiał głos poirytowanego Aleksieja. Zaszleściły zarośla i w błotnistych oczach mojego wroga zobaczyłam, jak zapada decyzja. Jednym zwinnym ruchem sięgnął po karabin i futerał, a pół sekundy później już biegł w przeciwną stronę, kulejąc i potykając się.

Spróbowałam wstać i omal nie upadłam. Mój bok płonął żywym ogniem – pęknięte żebro, usłyszałam diagnozę Leny, może dwa, a moje gardło płonęło bólem wywołanym niedawnym uściskiem. Najgorsze były zawroty głowy, będące skutkiem ciosu – świat wirował i nie chciał się zatrzymać. Dźwignęłam się jednak na nogi i chwiejnym krokiem ruszyłam za człowiekiem, który mnie zaatakował: za moim wielbicielem Williamem Jonsonem, który podarował mi brylanty, za mężczyzną, który mierzył z karabinu uderzając przypominającego mój w prezydenta Stanów Zjednoczonych na terenie Białego Domu. To wszystko było bez sensu.

Wszystko oprócz tego, co napisał na bileciku – tym samym charakterem pisma, który, jak właśnie mgliście sobie uświadomiłam, bazgrał wcześniej tak wiele epitetów cyrylicą. Ostatnie słowa na bileciku brzmiały: „Jeszcze się spotkamy”.

– Milu, szukam cię... – Aleksiej złapał mnie za ramię, gdy wynurzyłam się z zarośli na jedną ze zwirowych ścieżek. – Chciałem ci powiedzieć, że Kostia... – Mój mąż zamilkł, wpatrując się w ślady na mojej szyi, w nożyk w mojej dłoni.

– Człowiek, którego nazywaliśmy Williamem Jonsonem, próbował zabić prezydenta Roosevelta – zdołałam wykrztusić, a potem, zobaczywszy

bezbrzeżne przerażenie na twarzy Aleksieja, pobiegłam, potykając się, za mężczyzną o oczach koloru błota.



Powinnam była rozegrać to inaczej. Powinnam była się zatrzymać i krzyczeć, dopóki nie przybiegłby personel Białego Domu. Ostrzegłam już jednak Eleanor. Teraz chronienie prezydenta należało do niej i do Secret Service. Człowiek, który próbował go zabić, właśnie uciekał, i to szybko, a ja nie chciałam marnować tych cennych chwil, które musiałabym poświęcić na wyjaśnienie i ochronę Białego Domu, co się wydarzyło. Poza tym zatrzymywanie się, żeby krzyczeć, gdy tuż obok mnie śmierć podnosiła łeb i kule groziły, że zaczną śpiewać, nie było w moim stylu. Wszystko, czego nauczyłam się w ciągu roku na froncie, mówiło mi, żeby się nie zatrzymywać i nie krzyczeć, lecz biec i milczeć.

Dlatego za nim pobiegłam.

Aleksiej pędził obok mnie, gdy mknęłam jak strzała przez ciemny ogród w stronę frontu Białego Domu. Z ust mojego męża wylewał się strumień bezładnych słów:

– Powiedział, że cię ogłuszy, zrobi trochę kompromitujących zdjęć, na których będziesz wyglądała jak pijana. Chciałem tylko dać ci nauczkę. Nie wiedziałem, Milu, nie wiedziałem, że on jest...

I choć moja uwaga była mocno rozproszona, od razu domyśliłam się prawdy. Jeśli zamachowiec szukał kogoś, na kogo można zepchnąć winę za atak na prezydenta, snajperka ze Związku Radzieckiego nadawała się doskonale. A jeśli trzeba było znaleźć jakieś dojsście do tej snajperki, jej niezadowolony mąż także się świetnie nadawał.

– Milu, musisz mi uwierzyć, nigdy nie wziąłbym w coś takim udziału, nie życzę nikomu śmierci, nie wchrzaniałbym się w spiski amerykańskich zamachowców...

Cały czas myślałam, że natkniemy się na ochroniarzy prezydenta, na kogoś z personelu Białego Domu, kto odpowiadał za ochronę tego terenu. NKWD zdążyłoby już postawić zamachowca pod ścianą i wyrwać mu połowę paznokci. Nie zauważyłam jednak żadnej grupy wartowników z postaciami zakutą w kajdanki, choć bardzo ich wypatrywałam.

Zastanawiałam się, czy przypadkiem ktoś o to nie zadbał. Zmiana grafiku, by ułatwić zamachowcowi sprawę...

Tak czy inaczej, nie mógł uciec daleko. Teren był otoczony ogrodzeniem.

I zdałam sobie sprawę, że tym także ktoś się zajął, bo gdy wyszłam z ciemnego ogrodu przed Biały Dom, gdzie czekały samochody ambasady radzieckiej gotowe, by nas zabrać, zobaczyłam za nimi niebieskiego packarda, który jechał szybko, lecz nie podejrzanie szybko, w stronę bramy.

Zatrzymaj się i krzycz – wtedy też mogłam to zrobić. Ale wówczas samochód wyjechałby przez bramę i zniknął, zanim ktokolwiek by mnie wysłuchał, a ja wciąż byłam w uścisku tego naglącego imperatywu, by walczyć, nie zatrzymywać się. Od tygodni miałam tego faceta tuż przed nosem, a mimo to go przeoczyłam. Przeoczyłam zagrożenie dla męża Eleanor, dla całego kruchego sojuszu, będącego jedynym ratunkiem dla mojej ojczyzny, a teraz ten gość uciekał. Nie mogłabym się powstrzymać od biegnięcia za nim, nawet gdyby wychylił się przez szybę po stronie kierowcy i chciał mi strzelić w głowę. Nawet zakrwawiona, oślepiąca i umierająca czołgałabym się dalej za tym packardem.

Dlatego odwróciłam się gwałtownie i chwyciłam Aleksieja za klapy, mając ochotę zawyć z rozpacz, że akurat w takiej chwili nie ma przy mnie Kostii.

– Aleksiej – wydyszałam, ciągnąc go w stronę najbliższego samochodu ambasady, do którego lokaje Białego Domu pakowali ostatnie prezenty delegacji. – Ten człowiek o mało nie wrobił cię w zamach. Pomóż mi, a zostaniesz bohaterem.

Przysięgam, że zobaczyłam w jego oczach, jak przeprowadza kalkulacje. Nawet teraz szukał największych korzyści.

– Co...

W otwartym bagażniku samochodu ambasady zauważyłam znajome mahoniowe pudełko: bliźniacze pistolety z Chicago razem z magazynkami z amunicją kaliber czterdzieści pięć. Wyszarpnęłam je stamtąd i wcisnęłam pod pachę, po czym zamknęłam z hukiem bagażnik i chwiejnym krokiem podeszłam do drzwi po stronie pasażera. Nigdy

dotąd nie miałam powodu, by żałować, że nie nauczyłam się prowadzić, lecz teraz tego pożałowałam. Za późno.

– Dopilnuj, żeby zamknęli prezydenta w jakimś bunkrze, jeśli jeszcze w nim nie siedzi, i powiedz swoim ludziom, żeby ustalili, kto tu dziś przyjechał niebieskim packardem – powiedziałam do stojącego najbliżej lokaja z Białego Domu, a potem opadłam na siedzenie. – Aleksiej! – ryknęłam, zatrzaskując drzwi. – Wsiadaj i jedź!

33

Strzelec wyborowy zaklął, gdy skręcając w Szesnąstą Ulicę, uświadomił sobie, że dogonił go samochód ambasady.

– Co ona wyrabia, do diabła? – pytał. Powinna była zostać na terenie Białego Domu, podnieść alarm. Nie miała przy sobie żadnej broni oprócz noża do warzyw, a mimo to rzuciła się za nim w pogoń?

No cóż, przyglądał się tej kobiecie przez ostatnich kilka miesięcy i już pierwszego ranka widział, jak zaskoczona, traci panowanie nad sobą i wypada z roli.

Palce jego prawej dłoni krwawiły z ran zostawionych przez jej zęby i potwornie bolała go noga. Obwiązał ją mocno krawatem, tamując na razie krew, ale dźgnęła go głęboko: gdyby utykanie nie uniemożliwiałoby mu biegu, z łatwością dotarłby do swojego packarda i zniknął w ciemności, nim zdążyłaby ruszyć w pościg. Wściekłość pulsowała w nim nieregularnym rytmem, gdy przejeżdżał pędem na czerwonym świetle przez Dupont Circle. Zobaczył, że samochód ambasady zrobił to samo.

Spartaczyłeś sprawę, powiedział do siebie brutalnie. Zignorował własne zasady dotyczące zachowania dystansu. Od początku jej nie doceniał i dlatego pozwolił sobie na niedbalstwo. Teraz szansa na usunięcie Roosevelta przepadła, a on nie znosił pudłować. Odruchowo zaczął się zastanawiać, czy z nią jest tak samo. Nie sądził, by poza tym mieli ze sobą cokolwiek wspólnego – on strzelał do ludzi na zlecenie, ona strzelała do ludzi, ponieważ napadli na jej kraj. Był doskonale świadomy różnicy między jednym a drugim, ale postawiłby wszystkie diamenty w swojej

kieszeni i brylanty na jej szyi, że równie mocno jak on nienawidziła przegrywać.

Tego wieczoru to on przegrał. Nie został człowiekiem, który zabił prezydenta. Zamiast tego był człowiekiem uciekającym przed kobietą uzbrojoną w nóż do warzyw.

Prawie żałował, że nie wzięła jakiejś broni palnej. Nigdy dotąd nie mierzył się z kimś, kto dorównywał mu umiejętnościami.

– Już nie przewracasz oczami, prawda? – powiedział na głos.

Jadący z tyłu samochód sunął za nim cicho. Kierowca nie wciskał klaksonu, nie próbował go zepchnąć z drogi. Po prostu jechał za strzelcem wyborowym pędzącym Szesnąstą Ulicą. O tak późnej porze ulice Waszyngtonu były wystarczająco puste, by można było jechać szybko i bez zakłóceń. Strzelec wyborowy spojrzał na wskaźnik poziomu paliwa. Miał pełny zbiornik. Mógł dotrzeć do granic miasta i zgubić ją na autostradach.

Ale czy miałyby z tego frajdę?

Pragnąc zemsty, gwałtownie skręcił w Decatur Street. Doskonale wiedział, dokąd jechać.



– Zatrzymaj się tu – powiedziałam do Aleksieja, ściskając na kolanach jeden z naładowanych już coltów. Drugi właśnie ładowałam, lecz gdy Aleksiej zbyt gwałtownie wcisnął pedał hamulca, pistolet ześlizgnął się i wpadł pod siedzenie razem z kaskadą naboji. Mój mąż zobaczył to samo, co ja: packarda z otwartymi drzwiami porzuconego na poboczu Colorado Avenue.

– Dokąd on uciekł? – Poblady Aleksiej ścisnął kierownicę. Przy wciąż otwartych drzwiach wyobrażał sobie, co go czeka, jeśli się wyda, że pomógł – choćby nieświadomie – niedoszłemu zabójcy prezydenta. Nie wiem, czy myślał o amerykańskim krześle elektrycznym, czy o radzieckiej kuli, ale wątpiłam, by któraś z tych perspektyw przypadła mu do gustu. – Po co miałyby...

– Chce mnie zgubić w lesie. – Po drugiej stronie ulicy rozciągał się park Rock Creek, ciemna ściana drzew. Już tu kiedyś spacerowałam:

z Aleksiejem w dniu zakupu żółtej atlasowej sukni, którą właśnie miałam na sobie. Zastanawiałam się, czy obserwował nas wtedy człowiek, którego teraz ścigaliśmy. Czy nie wybrał tego miejsca z konkretnego powodu: ponieważ obydwójce je znaleźliśmy. Zakląłam, gmerając pod siedzeniem w poszukiwaniu upuszczonego pistoletu.

– Może po prostu porzucił samochód i wrócił między budynkami do centrum – mamrotał Aleksiej, wpatrując się w packarda.

– Jest wśród drzew. – Dlatego że sama też bym tak zrobiła. I miałam nadzieję, że za nim pójdę. „Jeszcze się spotkamy”.

Przestałam szukać drugiego pistoletu, zgarnęłam tyle leżących luzem nabojów, ile zdołałam, po czym wysiadłam z samochodu.

– Milu... – Zaczął Aleksiej.

– Wracaj do Białego Domu i powiedz o wszystkim ambasadorowi – poleciłam mu. – Podnieś alarm. Jeśli wyjdę spośród tych drzew, to znaczy, że ten facet nie żyje. Jeśli nie wyjdę, to znaczy, że jestem martwa i będą mogli ruszyć za nim w pościg. Tak czy inaczej, prezydent jest bezpieczny, a ty zostaniesz bohaterem, który wszystkich ostrzegł. – Zatrzasnęłam drzwi i ruszyłam w stronę drzew.

Na Lenina, zapytałam siebie w myślach, co ty wyrabiasz? Już mogłam skupić wzrok, ale wciąż czułam w głowie pulsujący ból. Przy każdym kroku łupało mnie w żebrach. Byłam bez butów, ponieważ już wcześniej zrzuciłam liche szpilki. Nie miałam na sobie snajperskiego kamuflażu, lecz żółtą suknię widoczną jak światła na skrzyżowaniu, a do tego trzymałam broń, z której nigdy dotąd nie strzelałam... niemniej szłam dalej w stronę drzew, bez pośpiechu, obserwując każdy cień, ponieważ jeśli ten facet miał głowę na karku, mógł na mnie czekać zaraz za linią drzew, licząc na to, że nadbiegnę od strony ulicy i skieruję się ku ścianie lasu, nie rozglądając się wokół. Tego jednak nie zamierzałam robić. Mimo bardzo niekorzystnego położenia wciąż znałam się na swoim fachu i już coś wiedziałam o swoim wrogu. Polował na mnie, odkąd zjawiłam się w tym mieście, oraz polował na Franklina Roosevelta, który wprawdzie nie był moim prezydentem, lecz mimo to – dopóki łączyła mnie przyjaźń z jego żoną i dopóki jego łączyła przyjaźń z moim krajem – był pod moją ochroną. A człowiek, który razem z brylantami i przepełnionymi nienawiścią liścikami rzucił mi wyzwanie, nie był takim snajperem jak ja.

Nie był nawet zamachowcem, ponieważ nikogo jeszcze nie zabił, w każdym razie nie tego wieczoru. Był po prostu kolejnym strzelcem wyborowym, a ja byłam Ludmiłą Pawliczenko.

Z każdym krokiem w stronę drzew czułam na nowo swoją snajperską tożsamość. Może nie byłam w najlepszej formie, skoro miałam uszkodzone żebra i dzwoniło mi w uszach, i może wyglądałam jak jeszcze jedna przedstawicielka waszyngtońskiej elity wracająca z wieczornego przyjęcia, rozpieszczona żona jakiegoś polityka owinięta cętkowanym futrem, z brylantami połyskującymi na szyi w świetle latarni. Był jednak Halloween, tej nocy krążyły po mieście niebezpieczne stwory... a najbardziej niebezpieczna z nich wszystkich byłam ja. Kobieta nosząca skórę rysia niczym drapieżnik, którym w istocie się stała, krocząca pod niepełnym księżycem nie jak bywalczyni salonów, która zmierza na przyjęcie, ani nie jak spiesząca się do domu gospodyni, lecz sunąca niczym rewolwerowiec – ramiona luźno, biodra lekko rozkołysane – z naładowanym pistoletem u boku. Zdjęłam brylanty z szyi oraz nadgarstków i włożyłam je do kieszeni futra, by nie zdradził mnie ich blask, a wślizgując się z utwardzonej nawierzchni Colorado Avenue w ciemność drzew, wymuskana kobieta z plakatu propagandowego, tak swobodnie czująca się w blasku jupiterów w całym kraju, nagle zniknęła. W jej skórze oddychała teraz Północnica, Pani Śmierć, kobieta siejąca przerażenie wśród nazistowskich najeźdźców od Odessy po Sewastopol.

Choć od dwóch miesięcy żyłam wygodnie w trasie, mięśnie moich nóg pamiętały, co to znaczy wspinać się w Dolinie Kamyszłowskiej i na Wzgórzu Bez Nazwy, niosąc piętnaście kilogramów snajperskiego sprzętu. Moje stopy pokrywały się zadrapaniami i sińcami, lecz odsunęłam od siebie ten ból tak samo jak ból pękniętych żeber. Odnajdywałam prawie niewidoczny szlak i podążałam nim bezgłośnie. Szłam powoli, trzymając się blisko ziemi i chowając za każdym pniem drzewa i każdym gładem, nasłuchując każdego najdrobniejszego szelestu albo skrzypnięcia, które nie pasowałyby do reszty.

Gdzie jesteś?

Nawet w nocnej ciemności doskonale pamiętałam drogę do kamiennego mostu. Właśnie mijałam wystającą skałę, na której zatrzymałam się poprzednim razem, by spojrzeć w dół, i precyzyjnie się przemieszczałam przez splątaną gęstwinę kalmii ku zakrętowi mającemu mnie doprowadzić nad strumień,

gdy instynkt przeorał mój kark ciemnymi pazurami. Najdrobniejszy szelest liści, leciutkie szurnięcie kamieni, najcichszy szcęk metalu – w miejscu, gdzie żaden metal nie należał do zestawu nocnych dźwięków – bez chwili wahania rzuciłam się na ziemię. Ułamek sekundy później trzask wystrzału odbił się echem w ciemności i usłyszałam, jak kula zagłębia się w pniu drzewa tuż za mną.

Przetoczyłam się szybko w lewo. Następna kula śmignęła, gdy dotarłam do gęstwiny kalmii, i nie zważając na gałązki drapiące mnie po twarzy, wczłogałam się w nią, by w końcu zwinąć się w kłębek za głazem szorstkiego granitu.

Jest na tej wychodni skalnej, pomyślałam, kreśląc w myślach trajektorię lotu kuli. Tam, gdzie przystanąłam, żeby podziwiać widok. Tam, gdzie pomyślałam: „Doskonałe miejsce do obserwacji”.



To było doskonałe miejsce do obserwacji. Strzelec wyborowy leżał na brzuchu z przygotowanym do strzału mosinem-nagantem, a rozpostarta w dole ziemia tworzyła idealny łuk. Gdyby snajperka wychyliła się zza tego głazu, rozłupałby jej głowę strzałem w oczy. Z tej odległości nie mógłby spudłować nawet w ciemności.

Teraz zaczynała się gra w czekanie. Prawie coś do niej krzyknął, z czystej ciekawości. Ale co miałby jej powiedzieć? Pytanie zostało zadane bez słów: Które z nas jest lepsze? Odpowiedź miała przyjść na czubku kuli.

Znowu pożałował, że nie jest uzbrojona. Wtedy zrobiliby się o wiele ciekawiej.

On miał rosyjski karabin, ja miałam amerykański pistolet. Ironia tej sytuacji nie uszła mojej uwagi. Mój colt byłby nieskuteczny z odległości większej niż pięćdziesiąt metrów, ale lepsze było to, niż nie mieć żadnej broni. Leżąc za głazem, przeszukałam kieszenie futra z rysia, by sprawdzić, co jeszcze mam: nóż do warzyw, garść nabojów luzem, biżuterię, którą zdjęłam, wchodząc między drzewa... a wśród grzechoczących brylantów – pudełko zapalek.

Usłyszałam szelest liści, gdy poruszył się w swoim gnieździe, i zastanawiałam się, czy nie spróbować strzelić – jednak w ciemności,

mierząc w górę z nieznanym broni, musiałabym się odsłonić, by zapewnić sobie czysty strzał, a to oznaczało, że kula strzelca wyborowego miała o wiele większe szanse dosięgnąć celu niż moja. To on wybrał ten teren, nie ja; park sprzyjał jemu, nie mnie, i nie chciałam zdradzić swoich zamierzeń, dopóki nie zyskam przewagi. Na razie myślał, że kulę się ze strachu – nieuzbrojona, trzęsąca się idiotka, która na oślep, pochopnie rzuciła się w nocny pościg za wrogiem.

Powietrze między nami drżało od niewypowiedzianych słów. Prawie krzyknęłam – Kim jesteś? Dlaczego to zrobiłeś? Jesteś fanatykiem czy tylko płatnym zabójcą? – ale nie było sensu tego robić. To, kim on jest ani dlaczego wykonuje tę brudną robotę, nie miało znaczenia. Mnie do odnalezienia północnej strony mojego księżycy zmusiła wojna, on zaś podążał za swoją z własnej woli. Niczego więcej nie musiałam wiedzieć.

Wciąż jednak czułam pulsujący rytm jego ciekawości, która niemal dosięgała mnie w mroku. Obserwował, był podniecony i... przyszła pora, by zacząć działać.

Mocno zamknęłam oczy i po omacku obudziłam do życia całą paczkę zapalek. Czując, jak rozbłyskują w mojej pięści, machnęłam ręką nad głazem i wyrzuciłam tę płonąca garść niczym rozpierschające się świetliki. Gdy rozbłysk światła pozbawił go na chwilę wzroku, natychmiast ruszyłam: nie otwierając oczu, wyskoczyłam zza głazu i trasę, którą wyznaczyłam wcześniej dla swoich stóp, rzuciłam się w dół pochyłości ku strumieniowi. Jego strzał zabrzmiał gdzieś za mną, ale niezbyt blisko. Usłyszałam jego burknięcie. Usłyszałam nierówny tupot jego butów kierujących się w niewłaściwą stronę. Usłyszałam coś, co zabrzmiało jak zduszony okrzyk bólu, i uśmiechnęłam się na myśl o ranie, która przecinała mu łydkę. Potem otworzyłam oczy i zastygłam obok najbliższego drzewa, wsłuchując się wszystkimi zmysłami w żywą ciemność. Szelest rozdeptywanych liści w oddali. Strzelec wyborowy wciąż szedł w niewłaściwym kierunku, ale już wkrótce miał odzyskać orientację w terenie.

Przypomniały mi się słowa Wartanowa: „Las jest jak świątynia: przestrzegaj starych zwyczajów, okazuj szacunek, nie zabijaj dla rozrywki, a on cię za to wynagrodzi”. Wykorzystałam wszystko, czego stary leśniczy nauczył mnie o poruszaniu się wśród drzew. Przesuwałam się po cichu

w stronę strumienia, a potem przeszłam ukradkiem po kamienistym brzegu. Doskonale wiedziałam, gdzie powinnam się znaleźć.

Zamarznięty księżyc wyślizgnął się zza chmury i zobaczyłam ciemny łuk mostu. Gramoliłam się między głazami i skałami na brzegu, lodowata woda pozbawiała czucia moje posiniaczone stopy w porwanych pończochach, opadnięte liście przyklejały się do przemoczonego brzegu mojego futra, a potem znalazłam się na moście i biegłam po nim sprintem. Jeśli strzelec wyborowy był już za mną, miał okazję przewiercić mnie kulą między łopatkami – gdy jednak dotarłam do końca mostu i skoczyłam pod kamienne przesło na drugim brzegu, słyszałam tylko bulgotanie i szum strumienia w dole.

Zbliżała się północ i było bardzo zimno, ziemia nad wodą zamarzła i połyskiwała od mrozu, lecz zdjęłam futro z rysia, przerzucając kule do gorsetu sukni. Zebrałam naręcze mokrych liści i drewna przyniesionego przez wodę, rzuciłam to wszystko na skałę obok mostu, tuż nad strumieniem. Działalam w gorączkowym pośpiechu, nieruchomiejąc za każdym razem, ilekroć usłyszałam jakiś nowy dźwięk. Raz czy dwa do moich uszu dotarł z oddali czyjś pijacki krzyk; raz myślałam, że widzę zarys jakiegoś przechodnia daleko wśród drzew – nawet w środku nocy park nie był zupełnie opuszczony – było jednak za ciemno i za zimno, by zjawiał się tam ktoś inny niż przypadkowy włóczęga albo awanturnik. Bez względu na to, jak miał się skończyć mój pojedynek ze strzelcem wyborowym, nie było tam żadnych niewinnych ludzi, którzy mogliby między nami stanąć. Byłam mu niemal wdzięczna, że przeniósł tę grę na arenę, gdzie mogliśmy rozstrzygnąć to sam na sam.

Dokończyłam usypywanie sterty z liści i drewna pod mostem, po czym opatulłam ją futrem, by przypominała kobietę skuloną pod kamiennym przesłem. Wyjęłam broszkę z połyskliwymi brylantami (czy naprawdę przymierzałam ją zaledwie kilka godzin temu w Białym Domu, a Eleanor zachwycała się stołem usłanym prezentami?) i przypięłam ją do kołnierza futra, gdzie mogła pochwycić światło księżyca. Dodałam naszyjnik i bransoletki, naciągając je na rękawy futra, a potem odsunęłam się trochę, by ocenić efekt. Iwanem to ty nie jesteś, pomyślałam, przypominając sobie kukłę żołnierza, którą zrobiliśmy z Kostią przed pojedynkiem z niemieckim snajperem obserwującym zupełnie inny most, pod Sewastopolem. Ale musisz mi wystarczyć. Przy odrobinie szczęścia

mój patrzący z daleka wróg uzna, że przeszłam przez most, zsunęłam się wyczerpana, by schować się po drugiej stronie, i czekam tam, trzęsąc się i modląc o to, by on też przeszedł... oczywiście nie mając pojęcia, że moje brylanty połyskują w świetle księżyca i zdradzają moje położenie, bo przecież jestem tylko głupią komunistyczną suką.

To on był głupi, skoro tak o mnie myślał. Skoro zakładał, że prawdziwa snajperka kiedykolwiek ruszyłaby do pojedynku nieuzbrojona.

Znalazłam na brzegu duży, rozłupany przez piorun buk – mnóstwo liści, doskonały punkt obserwacyjny. Nigdy dotąd nie prowadziłam obserwacji w atłasowej sukni wieczorowej, ale przynajmniej jaskrawa żółć zmieniła się w tej ciemności w szarość. Wcisnęłam się w to drzewo, wpychając boleśnie stopy w korę, a potem usadowiłam się w rozwidleniu gałęzi i zmieniłam się w głaz.



Przeklinający, utykający i coraz bardziej zmarznięty strzelec wyborowy przypominał sobie, że jedyne, co ta kobieta może zrobić, to się schować. Numer z zapalkami był sprytny – stracił przez niego orientację, przez jakiś czas niewiele widział w ciemności i zboczył dobre pół kilometra w niewłaściwą stronę, zanim spostrzegł, gdzie jest – znów jednak był na jej tropie i kierował się w stronę kamiennego mostu. Przed dwoma miesiącami stał na brzegu strumienia, obserwując ukradkiem, jak Rosjanka kłóci się tam z mężem... Idąc za nią wtedy, zauważył, że nie używa perfum, które mogłyby pozostać w powietrzu i ułatwić podążanie jej śladem. Tym razem też ich nie użyła i zaklął niezadowolony.

Już się tak dobrze nie bawił. Miał ochotę wypić piwo i łyknąć coś, co uśmierzy ból w nodze. Chciał zadzwonić do Poszetki i poinformować go, że z roboty nici. Chciał tylko zakończyć ten pojedynek.



Patrzyłam, jak księżyc wślizguje się za chmurę, zanurzając świat w północy. Most był ciemnym łukiem na tle czarnego, jedwabistego nurtu wody, a zimno wyśpiewywało wysoką, mroźną nutę, wnিকając w moje

ciało jak lodowe liście pełznące po powierzchni jeziora. Październikowa noc w Waszyngtonie nie była tak zimna jak styczeń na Krymie, lecz bez futra z rysia moje nagie ciało pokrywało się marmurkowym wzorem. Musiałam raz po raz potrząsać rękami i zacierać dłonie, by nie zaczęły się trząść. Czułam palący ból w boku. Moje gardło też nim płonęło. Ścierpły mi nogi. Skóra zamarzała. Żałowałam, że nie mam przy sobie swojej triochliniejki zamiast obcego pistoletu unieruchomionego w rozwidleniu gałęzi. Gdy ostatni raz toczyłam pojedynek, byłam w kamuflażu i wełnie, a do tego miałam przy sobie Kostię, z którym w chwilach przestoju prowadziliśmy leniwe rozmowy o tym, czy starcie dwóch snajperów to uczciwa walka. Marzyłam o szczypcie suchej herbaty i grudce cukru do ssania, o przylepce czarnego chleba z plastrami słoniny i solą. Marzyłam o Kostii.

Trzymałam pozycję. W razie potrzeby byłam gotowa ją trzymać całą noc.

Dudnienie grzmotu zabrzmiało w górze wśród rozpędzonych czarnych chmur. Modląc się, by nie zaczęło padać, poprawiłam colta na gałęzi i wymierzyłam w kamień na środku mostu. Oddałam trzy strzały, stłumione następnym trzaśnięciem pioruna – wiedziałam, że trzy strzały nie powiedzą mi zbyt wiele o tej broni, o jej wyjątkowych wariacjach na temat piosenki, którą każda broń śpiewała w moich rękach, lecz musiało mi to wystarczyć. Kule poszybowały za wysoko. Uniosłam nadgarstek. Mogłam skorygować tor lotu, ale jak bardzo? W porównaniu z karabinem pistolet wybaczwał bardzo niewiele. Najmniejszy ruch mógł się skończyć spudłowaniem. By oddać pewny strzał, musiałabym pozwolić, by mój wróg podszedł bliżej. O wiele bliżej. Obliczenia mnożyły się i przemykały przez mój umysł, gdy drżałam w nasilających się podmuchach wiatru i uderzeniach piorunów.

Po chwili ujrzałam kulejący cień, który poruszał się wzdłuż przeciwległego brzegu, i znieruchomiałam, zaczynając odliczanie. Odliczanie Północnicy, które śpiewałam sobie cicho, odkąd strzelałam do drewnianych celów aż do dnia, w którym zabiłam pierwszych wrogów pod Odessą, a potem podczas wszystkich trzystu dziewięciu oficjalnie odnotowanych i kto wie ilu nieodnotowanych trafień aż po tu i teraz, aż do tej czarnej, wypełnionej duchami nocy na drugim końcu świata.

Jeden... pierwsze chłodne, oceniające spojrzenie na cel; chwila, w której dusza milknie i kontrolę przejmują oczy.

Dwa... ustawienie poziomej belki celownika. Tym razem nie miałam celownika optycznego, ale wyobraziłam sobie linie otaczające ramiona strzelca wyborowego, gdy wyszedł spomiędzy drzew.

Trzy... wykorzystanie tego punktu odniesienia do obliczenia odległości. Dystans był prawie żaden, lecz wciąż niewystarczająco krótki. Moja ciężka kula kaliber czterdzieści pięć pomknęłaby szybko, gdy tylko opuściłaby lufę, lecz nie oddałam tysięcy próbnych strzałów z tej broni, by wiedzieć, jak szybko.

Cztery... sprawdzenie kuli w komorze.

Pięć... przesunięcie lufy wśród liści o włos do przodu, gdy mój wróg wszedł na most, trzymając uniesiony karabin.

Sześć... obserwowanie, jak się zatrzymuje, jak zauważa błysk brylantów ledwie widocznych pod drugim końcem mostu.

Siedem... zmienienie się w kamień, w lód, znieruchomienie tak bardzo, by mógł osadzić się na mnie szron, a przy tym patrzenie, jak niedoszły zabójca prezydenta unosi broń i z całego jego ciała bije zadowolenie, ponieważ wydaje mu się, że już mnie namierzył.

Osiem... zwykle w tym momencie nastąpiłaby ostatnia korekta uwzględniająca siłę i kierunek wiatru. Tutaj nie była potrzebna.

Dziewięć... wymierzenie.

Dziesięć... wdech.

Jedenaście... wydech.



Strzelec wyborowy uśmiechał się, oddając strzał w sam środek skulonego futra z rysia. Snajperka osunęła się na bok do ospale płynącego strumienia, a on poczuł powolne, ekstatyczne bicie serca, gdy odskoczyła jej ręka. Mam cię, ty komunistyczna suko.

Potem zauważył, jak bransoletka z brylantami zsuwa się z rękawa futra, nie zahaczając o bezwładną dłoń. Zobaczył, jak z kołnierza zije masa sosnowych igieł. Zobaczył naszyjnik, który jej podarował, owinięty wokół

przemoczonej wiązki sosnowych gałęzi i mrugający do niego zimnym, wesołym światłem.

Gwałtownie oderwał wzrok od kukły i zobaczył lśnienie. Nie brylantów, lecz światła księżyca odbijającego się w lufie pistoletu. O kur...



Dwanaście.

Moja kula trafiła prosto w jego prawe oko.

34

Chcę do domu.

Gdy ruszyłam do wyjścia z parku Rock Creek, opuściła mnie cała energia. Każdy poprzedni ból zaczęłam odczuwać na nowo już w chwili, gdy na wpół zamarznęta i drżąca po oddaniu strzału wyslizgnęłam się z rozłupanego przez piorun buku. Mimo to zmusiłam się, by wejść do strumienia, gdzie osunęło się ciało martwego mężczyzny, odwrócić go na plecy i przeszukać jego kieszenie. Nie miał żadnych dokumentów, żadnych kluczy ani nawet chusteczki czy barowych zapalek – niczego, co mogłoby mi powiedzieć, kim jest albo skąd pochodzi. Miał tylko karabin, trochę naboju i jakieś dziwne nierówne kamienie w kieszeni, które przełożyłam do swojej, by mieć coś, co będę mogła pokazać radzieckiemu ambasadorowi. Wsuwając z wdzięcznością zmarznęte ręce z powrotem w przemoczone rękawy futra z rysia, stałam przez chwilę i patrzyłam na człowieka, którego zabiłam. Numer trzysta dziesięć patrzył na niebo pustą, niczym niewyróżniającą się twarzą, a księżyc odbijał się lśniaco w jego otwartym oku. Wyglądał na zaskoczonego. Bardzo często tak wyglądali. Nawet jeśli przywykłeś do obcowania ze śmiercią, wciąż byłeś zaskoczony, gdy przychodziła po ciebie.

Jak się nazywasz, zastanawiałam się, patrząc na niego. A potem nagły przypływ wyczerpania i odrazy sprawił, że przestało mnie to obchodzić. Nie obchodziło mnie, kim był ani dla kogo pracował. Nie obchodziło mnie

nic poza powrotem do domu i przytuleniem syna, poza trzymaniem w dłoniach jego pięknej głowy i przyrzeczeniu mu na swoje życie, że nigdy więcej go nie opuszczę.

Dlatego zostawiłam strzelca wyborowego, wpychając pistolet, który go zabił, do kieszeni futra, i na poranionych stopach pokuśtykałam z powrotem w stronę ulicy oraz porzuconego packarda. Wiedziałam, że stamtąd będę miała jakieś sześć albo siedem kilometrów do hotelu... Już raz pokonałam ten dystans, kołysząc torbą ze sklepu z żółtą atlasową suknią w środku, ale wtedy było ciepło i miałam na nogach wygodne płócienne pantofle, a nie podarte amerykańskie pończochy w środku wietrznej nocy. Musiałam jednak jakoś tam wrócić. Nie umiałam prowadzić i nie miałam ani grosza na taksówkę. Czy delegacja wróciła już do hotelu, czy wplątała się w zgiełk, jaki zapanował w Białym Domu? Czy w Białym Domu w ogóle zdawano sobie sprawę, że mieli na swoim terenie zamachowca, czy...

– Milu! – głos Aleksieja zabrzmiał ostro i alarmująco wśród drzew. – To ty?

– Aleksiej? – Zatrzymałam się, chwając się ze zmęczenia. Stał tuż za pierwszymi drzewami na skraju parku, sylwetka na tle spowitych ciemnością siewek, a niedaleko za nim paliły się latarnie. – Dlaczego nie pojechałeś kogoś zaalarmować? – Mimo że przeszył mnie spazm złości, poczułam także ulgę. Teraz mogłam opaść na siedzenie samochodu ambasady, a Aleksiej mógł nas zawieźć tam, gdzie trzeba było pojechać, żeby złożyć raport. Już za to byłam gotowa zrobić z niego bohatera – przypisać mu wszelkie zasługi, jakie tylko chciał, byleby móc już usiąść.

– Nie żyje? – spytał Aleksiej, podchodząc o krok bliżej.

– Leży martwy pod mostem – odrzekłam zmęczona i właśnie wtedy mój mąż do mnie strzelił.

Kula śmignęła przez moje włosy. Powinna była przeszyć lewy oczodół, lecz zauważyłam, jak Aleksiej podnosi rękę, zobaczyłam błysk metalu tam, gdzie nie powinno być metalu, i mroczny pazur instynktu odrzucił mnie na bok, zanim dotarło do mnie, co się dzieje. Dzięki temu kula drasnęła koniuszek mojego ucha, zamiast zatopić się w moim mózgu. Tym razem zupełnie nie kontrolowałam swojej ucieczki: na wpół gramoląc się, na

wpół biegnąc, ruszyłam na czworakach w gąszcz zarośli, miotając się jak sarna ogarnięta paniką.

– Pewnie się zastanawiasz, skąd wziąłem broń. – Szokujący był ton pogawędki w głosie Aleksieja. – To ten colt, który wpadł pod siedzenie... razem z kilkoma nabojami.

Znalazłam się za jakimś dużym, częściowo zbutwiałym pniem drzewa, gdzie przyciskałam obie dłonie do ust, by nie wydostało się z nich gwałtowne sapanie wywołane ucieczką. Gorąca krew z koniuszka mojego ucha kapłała mi na ramię. Mój mąż do mnie strzelił. Aleksiej do mnie strzelił. I wcale nie byłam zaskoczona. Wiedział, że nigdy nie zdoła mnie odzyskać, a nawet gdyby zdołał, nie zaznałby zadowolenia, spędzając resztę życia w cieniu sławniejszej żony. Może nie przysłoby mu do głowy, by zabić mnie z własnej inicjatywy, lecz strzelec wyborowy podsunął mu taką możliwość jak na tacy: albo zginęłabym w pojedynku z niedoszłym zamachowcem prezydenta i Aleksiej musiałby jedynie podnieść alarm, występując w roli zrozpaczonego wdowca i bohaterskiego posłańca, albo zabiłabym strzelca wyborowego, a Aleksiej zabiłby mnie, gdy byłabym już wyczerpana, wytracona z równowagi, i potem reszta przebiegałaby zgodnie ze scenariuszem. Tak czy inaczej, nie musiałby dzielić się ze mną chwałą i uwolniłby się od swojej przeklętej żony.

Może nawet wcale się nad tym aż tyle nie zastanawiał. Może po prostu chciał mojej śmierci i myślał, że ujdzie mu to płazem.

– Nie uciekaj, Milu. – Usłyszałam, jak przeładowuje colta, i zaczęłam gmerać w mokrej kieszeni w poszukiwaniu swojego. – Widziałem, jakie mokre jest twoje futro. Jeśli zaczniesz uciekać, zamarzniesz na śmierć, a to nie będzie ładny widok. Ja załatwię to szybko.

Ścisnęłam pistolet w zdrętwiałej z zimna dłoni, gorączkowo go przeładowując, i wciąż walcząc o oddech. Zaryzykowałam i wyrzłam znad pnia, lecz nigdzie nie było widać Aleksieja. Nie był głupi. Wiedział, że nie powinien mi się pokazywać. Byłabym niemądra, nie doceniając go tylko dlatego, że nie był strzelcem wyborowym, którego właśnie uśmierciłam. Mój mąż nie był snajperem, ale już zdołał mnie zaskoczyć w prawie zupełnej ciemności, z trzydziestu kroków i dysponując obcą bronią. Poza tym było mu ciepło, był wypoczęty, czujny i zdeterminowany; był człowiekiem w suchym ubraniu, porządnych butach i z szansą na

zdobyć największej w życiu nagrody – wolności, sławy – która nagle znalazła się w jego zasięgu. A nie był wyczerpaną, na wpół zamarznąłą kobietą z dwoma pękniętymi żebrami i pokiereszowanymi stopami, która zostawiała za sobą krwawy ślad ciągnący się aż znad strumienia i właśnie dochodziła do granicy wytrzymałości, próbując się rozprawić z następnym mężczyzną, który postanowił ją dzisiaj zabić.

Przez chwilę czułam, jak całe moje drżące ciało kurczy się w sobie i rozumiałam, dlaczego zwierzęta czasami zastygają na ścieżce drapieżnika i z tępych spojrzeń czekają na śmierć. Byłam zmęczona. Zastrzeliłam tak wielu wrogów w Odessie, w Sewastopolu – teraz przemierzyłam pół świata i wciąż strzelałam do wrogów. Kiedy to się skończy? Kiedy będę mogła się rozejrzeć i zobaczyć, że nie zbliża się nikt, kto chce mnie zabić? Czy mogłabym po prostu zamknąć oczy i pozwolić, żeby to wszystko ustało?

Tylko że Aleksiej nie był zwyczajnym wrogiem. On był pierwszym wrogiem. Tym, którego przerosłam, którego dawno temu przestałam się bać, ponieważ na moim celowniku znalazły się większe potwory... lecz wciąż był pierwszy. Był wrogiem, którego spojrzenie przyprawiało mnie o ciarki, gdy odciągałam od niego pięcioletniego Sławkę na strzelnicę; wrogiem, przez którego pomyślałam, że w zasadzie to sama mogę nauczyć się strzelać. Nie tylko po to, by zdobyć ojcowskie umiejętności, które kiedyś przekażę synowi, lecz na wypadek, gdybym musiała nas bronić.

No cóż. Właśnie. Gdybym tu zginęła, Aleksiej zrobiłby, co w jego mocy, by wrócić do domu jako bohater i zabrać mojego syna.

– Milu? – Znów zabrzmiał jego głos, niecierpliwy, pełen napięcia. – Nie udawaj martwej. Wiem, że nie trafiłem. Gdybym trafił, na pewno byś krzyczała.

Wzięłam głęboki, powolny oddech.

– Nie masz pojęcia, co sprawia, że krzyczę. Ani na polu bitwy, ani w łóżku, ty żalosna karykaturo mężczyzny.

Poczułam jego zaskoczenie w ciemności. Był za skalistym wzniesieniem gdzieś na południowy zachód ode mnie; ja siedziałam za pnem drzewa. Znowu grałam w czekanie, tak jak niespełna godzinę wcześniej, gdy strzelec wyborowy ukrył się w gnieździe, a ja zastygłam za głazem. Tylko że strzelec wyborowy mógł czekać wiecznie. Nie wiedziałam, jak się

nazywa, ale wiedziałam, że ma snajperską cierpliwość. Musiałam się uciec do sztuczki z zapalnikami, by odmienić losy tej gry, zmienić grunt, zmienić rytm.

Nie miałam już w zanadru żadnych sztuczek, jedynie pistolet i kilka ostatnich strzałów. Jednak tego wroga znałam na wylot.

– Jeśli mnie zabijesz, nie ujdzie ci to na sucho – zawołałam w ciemność. – Cała delegacja wie, że tobą gardzę. Nikt nie uwierzy, że nie miałeś nic wspólnego z moją śmiercią.

– Zamierzam zostać bohaterem wieczoru – zawołał w odpowiedzi. – Kiedy im powiem, gdzie znaleźć człowieka, który próbował zabić prezydenta...

– Wciąż będziesz tylko posłańcem. Będą wiedzieli, że to ja się nim zajęłam. Będą mnie oklaskiwali na placu Czerwonym podczas wielkiej parady i zrobią mnie pośmiertnie Bohaterem Związku Radzieckiego. Ty będziesz grał drugie skrzypce nawet na moim pogrzebie.

– Jesteś moją żoną. – Mimowolnie podniósł głos. Zbliżałam się do niego. – Sławne nazwisko, którym tak się szcycisz, należy do mnie.

– Już nie. – Rozprostowałam dłoń i strzepnęłam ją, by uspokoić drżenie. – Marzyłeś, że kiedyś twoje nazwisko będzie sławne? Marzyłeś, że będzie znane od Moskwy po Władywostok? Marzyłeś o poruczniku Pawliczence, Bohaterze Związku Radzieckiego? Te marzenia właśnie się spełniają. Tyle że dla mnie, nie dla ciebie. – Jak żmija wysyczałam te słowa w dzielącą nas ciemność, starając się, by każde z nich dotarło głęboko. Nigdy nie słuchał, gdy mówiłam „nie”, nigdy nie słuchał, gdy mówiłam „proszę”, ale wiedziałam, że to usłyszy. Może tylko to był zdolny usłyszeć: że jego wielkie marzenia ziściły się komuś innemu. – Wcale nie chciałam sławy. Chciałam tylko bronić swojego domu. Nie chciałam sławy, a mimo to ją zdobyłam. A ty nie. Wciąż jesteś tylko tym, kim zawsze byłeś: psem jedzącym resztki z czyjegoś stołu. Nie ma w tobie ani krztyny prawdziwego bohatera. Zawsze byłeś najwyżej zbieraniną ochłapów wydartych komuś innemu... przeważnie mnie.

Usłyszałam, że oddycha coraz szybciej, poczułam, jak puls jego złości się rozpędza. Gdybyś był sprytny, Aleksieju, porzuciłbyś to szaleństwo i wrócił do hotelu, pomyślałam. Zostawiłbyś mnie tutaj, wymyślił jakąś bajeczkę dla delegacji i uprzedził wszystko, co mogłabym potem powiedzieć. On

jednak nie zamierzał tego zrobić. Cokolwiek skłoniło go do przekroczenia tej granicy i sprawiło, że zapragnął mojej śmierci – być może ujrzenie mnie w ramionach Kostii albo kolejny nagłówek z moim nazwiskiem – nie zamierzał pozwolić, bym wyjechała z Waszyngtonu żywa. Dokonał wyboru i zamierzał to doprowadzić do końca.

– Jakie to uczucie? – zadrwiłam, podnosząc głos. – Wiedzieć, że to nie ty będziesz Pawliczenką w podręcznikach historii. To będzie twoja mała żonka. To będę ja.

Strzelec wyborowy nie dałby się podpuścić za pomocą szkolnego szyderstwa. Mój mąż owszem. Usłyszałam, jak Aleksiej wychodzi zza skalistego wzniesienia, by podejść bliżej, zobaczyłam, jak unosi rękę, jak odsłania zęby, wykrzywiając usta z bezbrzeżną nienawiścią – i już zrywałam się na nogi, napinając każdy wyczerpany mięsień w swoim ciele, by oddać jeden, dwa, trzy strzały.

Wszystko rozegrało się między dwoma uderzeniami serca, w mgnieniu snajperskiego oka, w czasie potrzebnym, by diament odbił światło. Zakołysał się – mój mąż, mój pierwszy strach, ostatni odłamek życia, które przerosłam – a potem upadł.

Aleksiej był martwy.



Wchodząc do hotelowego holu tuż przed drugą w nocy, przywołałam niewidzialną stal, siłę i ducha Eleanor Roosevelt: moje stopy krwawiły, twarz była posiniaczona i brudna, przemoczone futro z rysia spoczywało na zniszczonej atłasowej sukni. Gdy mój wściekły ochroniarz i połowa delegacji powitali mnie burzą moskiewskich garniturów i pytań, wyprostowałam się, jakbym miała metr osiemdziesiąt wzrostu, owinęłam się kołnierzem futra jak Eleanor swoją słynną etolą z lisa i podniosłam rękę z absolutną władczością pierwszej damy Stanów Zjednoczonych.

– Miałam drobną sprawę do załatwienia z moim mężem – oznajmiłam bezceremonialnie, ubiegając „gdzie byłaś?” Jurija, „jak śmiesz?” Krasawczenki i „pierwsza dama powiedziała...” Pczelincewa. – W Białym Domu zrobiło mi się słabo, on jako lekarz delegacji zaproponował, że mnie odwiezie, a w końcu wszczął kłótnię i wypchnął mnie z samochodu gdzieś

w pobliżu parku Rock Creek. Samochód dalej stoi przy alei Colorado, pełno w nim prezentów delegacji, więc radzę kogoś po niego wysłać. Za czterdzieści pięć minut wszyscy zbierzemy się w pokoju towarzysza Krasawczenki, żeby zdać pełniejszy raport, ale teraz zamierzam się umyć.

Mężczyźni rozstąpili się przede mną, gdy ruszyłam w stronę windy. Wciąż zasypywali mnie pytaniami, ale je ignorowałam. Nikt nic nie mówił o prezydencie ani o zamieszkaniu w Białym Domu i dzięki temu wiedziałam, że Roosevelt jest bezpieczny. Mąż Eleanor spał teraz w czystej pościeli cały i zdrowy... albo może ciężko pracował przy swoim biurku mimo późnej pory, a Eleanor mu towarzyszyła. Być może snuli plany dotyczące poruszenia sprawy drugiego frontu, by pomóc moim rodakom.

Mój wściekły ochroniarz chciał wejść do windy razem ze mną, lecz znowu podniosłam rękę.

– Jurij – powiedziałam łagodnie. – Nie.

Cofnął się i pozwolił, by drzwi między nami się zamknęły.

Tego wieczoru przetrwałam dwa pojedynki, niezliczone pomniejsze obrażenia i siedmiokilometrowy nocny spacer na poranionych nogach – tym, co prawie mnie pokonało, było jednak zatrzymanie się przed drzwiami mojego pokoju hotelowego na drugim piętrze i uświadomienie sobie, że nie mam pojęcia, gdzie się podział klucz. Oparłam się ciężko o drzwi, trzęsąc się z wyczerpania i zastanawiając się, czy mogłabym zwinąć się tam w kłębek i zasnąć w progu – a wtedy omal nie upadłam, gdyż drzwi się otworzyły i wylądowałam prosto w ramionach Kostii.

– Milu... – Złapał mnie, wciągnął do pokoju i przytulił do piersi. Za bardzo szczękałam zębami, by cokolwiek powiedzieć, więc tylko kurczowo się go uchwyciłam. Był ciepły, twardy jak granit i cichy jak noc w ciemnej koszuli z podwiniętymi rękawami. Najwidoczniej wszedł, używając klucza, który dałam mu jakiś czas temu. Czekał na mnie w fotelu przy biurku – zostawił tam otwarty i zwrócony tekstem do dołu tomik wierszy Walta Whitmana pożyczony od pierwszej damy.

– Jesteś – powiedziałam, wciąż trzęsąc się z zimna, i znaczenie tego słowa uderzyło mnie niczym cios. Był tutaj, nie w drodze do Nowego Jorku czy do rodziny. Był tutaj. Ze mną, stał z twarzą zwróconą do mnie, a nie wypatrującą jakiejś nowej przyszłości z dala od naszej ojczyzny.

– Jestem – potwierdził cicho i nic więcej nie dodał.

Gdy wróciłam po pojedynku z niemieckim snajperem pod Sewastopolem, to Lonia zdjął ze mnie sztywne od mrozu ubranie, owinął mnie kocem, po czym zaczął wcierać życie z powrotem w moje zimne stopy i napięte ramiona. Tym razem Kostia ściągnął z moich pleców przemoczone futro z rysia i zdjął zniszczoną żółtą suknię, po czym bez słowa odłożył na bok mój pistolet i mały stosik diamentów wymieszanych z leżącymi luzem nabojami kaliber czterdzieści pięć, portfelem Aleksieja i jego dowodem tożsamości. Nie zasypał mnie pytaniami jak mężczyźni na dole. Rozebrał mnie tylko i przykrył kocem, a potem wpełzł pod niego i przyciągnął mnie do siebie, żeby mnie ogrzać.

– Powiedzieli, że nie wróciłaś z Białego Domu. Pierwsza dama poinformowała ambasadora, że gdzieś pobiegłaś. – Mówił zwyczajnym, neutralnym tonem, lecz czułam napięcie szmerzące w nim jak stalowe cumy. Ponieważ w przeciwieństwie do mężczyzn na dole umiał rozpoznać skutki snajperskiego pojedynku.

Powiedziałam mu, co się stało. Miałam to powtórzyć za pół godziny, przed całą delegacją, teraz jednak była okazja, by uporządkować fakty... zdecydować, co powiem, a co pominię. Gdy skończyłam, Kostia się odsunął i spojrzał na mnie. Też na niego spojrzałam, wciąż szcękając zębami, i gdy wreszcie dopuściłam do siebie emocje, na chwilę przestałam się pilnować.

– Zabiłam Aleksieja – powtórzyłam głośno i wyraźnie, nie musząc przejmować się tym, czy w pokoju jest podsłuch. Nie mogłam przestać się trząść. Wciąż widziałam jego twarz. Nie miałam jednak najmniejszych wyrzutów sumienia. Nie ma go. W końcu go nie ma. Chciał mnie, a skoro nie mógł mnie mieć, zapragnął mojej śmierci i teraz to on był martwy.

– Zostawiłaś ich tam? – spytał Kostia.

– Tam, gdzie upadli. – Zamierzałam powiedzieć Krasawczence i radzieckiemu ambasadorowi gdzie dokładnie, a oni mogli zrobić, co zechcą, w kwestii odzyskania ciał lub pozostawienia ich tam, by zginęły niezidentyfikowane; w kwestii angażowania w to Białego Domu lub nie. Bez względu na to, jak postanowiliby to załatwić, wiedziałam, że zrobią to z największą dyskrecją. O tej jednej eskapadzie radzieckiej snajperki nie miały napisać żadne amerykańskie gazety.

Jedyne, na co należałam, zdając później raport, to wyraźne i poparte szczegółami ostrzeżenie Eleanor: pani mąż ma wrogów, którzy pragną jego śmierci. Tym jednym się zajęłam, ale właśnie opuszczałam amerykańską ziemię. Teraz to ona musiała przejąć wartę.

Wierzyłam, że sobie poradzi.

Uświadomiłam sobie, że gdy tej nocy pociągałam za spust – najpierw by zabić strzelca wyborowego, potem by zabić Aleksieja – ani razu nie zaintonowałam swojej rozpaczliwej modlitwy Nie spudłować. Być może lekcja, którą dostałam od Eleanor, wreszcie do mnie dotarła: poczucie, że nawet jeśli spudłuję, będę musiała wstać, strzelić jeszcze raz i nie poddawać się, dopóki mi się nie uda. Dopóki nie uratuję amerykańskiego prezydenta, dopóki nie uratuję siebie.

Kostia wciąż mi się przyglądał, jego spojrzenie było tak świdrujące, że mogłoby wykrzesać ogień. Czego potrzebujesz?, pytał mnie. W czym mogę pomóc? Tylko wtuliłam się w jego klatkę piersiową, dryfując gdzieś między ciepłem a zimnem, między resztkami dawnej wściekłości a niepokojem, jaki nadchodzi po polowaniu, zakopując się w tej oazie ciepła i bezpieczeństwa, nim trzeba będzie wstać i złożyć raport. Zobaczyłam strzelca wyborowego leżącego w strumieniu, do końca pozostającego dla mnie tajemnicą. Zobaczyłam oczy Aleksieja wpatrzone w niepełny księżyc, puste jak szkło. Zastanawiałam się, jak będzie brzmiało oficjalne wyjaśnienie, gdy nie zjawi się z powrotem w Związku Radzieckim. Powiedzą, że uciekł czy może...

Choć byłam na wpół otumaniona ciepłem pełznącym przez moje kończyny i wyciekającą z nich adrenaliną, moje oczy otworzyły się gwałtownie na myśl o ucieczce.

– Kostia, a gdzie ty byłeś dziś w nocy?

Nie zjawił się na pożegnalnej kolacji i w tym czasie najwyraźniej podjął jakąś decyzję, ale jaką?

– W radzieckiej ambasadzie – powiedział do mojej łopatki. – Chodziłem tam, ilekroć znalazłem parę wolnych godzin. Potrzebowałem maszyny do pisania cyrylicą.

Zamrugalam.

– Maszyny do pisania cyrylicą?

– Nie mogę ci dać diamentów. – Kostia skinął głową w stronę połyskującego stosiku na moim biurku, po czym oparł się na łokciu, by sięgnąć po plik kartek leżący na stoliku nocnym. – Jedyne, co zdołałem wymyślić, to to. Dziś wieczorem skończyłem.

Wysunęłam rękę spod narzuty, by wziąć od niego te kartki, i przeczytałam tytuł napisany u góry starannie bukwami.

– Bohdan Chmielnicki, przyłączenie Ukrainy do Rosji w tysiąc sześćset pięćdziesiątym czwartym roku i ugoda perejasławska: praca magisterska Ludmiły Michajłownej Pawliczenko. – Osłupiałam. – Przepisałeś... moją rozprawę?

– Wystukałem ją dwoma palcami. – Kostia pocałował mnie w kark. – Poprzednia była cała zakrwawiona.

Zastanawiałam się, czy to miał być prezent pożegnalny. Może wystukując tego wieczoru moje ostatnie przypisy, zmienił zdanie w kwestii wyjazdu. Albo może kończenie pisania było sposobem na powstrzymanie się od tego, by ruszyć ku życiu, które go tu zapraszało.

Pomyślałam, że później będzie wystarczająco dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Gdy już będziemy mogli korzystać z prawdziwej prywatności.

– Dziękuję – szepnęłam, gładząc kartki dłonią. Strzelec wyborowy dał mi brylanty. Mojego męża w ogóle nie obchodziło, czego chcę, ponieważ wszystko zawsze wiedział lepiej.

Mój snajperski partner przepisał moją rozprawę dwoma palcami na pożyczonej maszynie do pisania.

Kostia powoli zapadał w sen, tak jak zapadają snajperzy: wciąż był napięty i miał mnóstwo pytań, lecz jego ciało korzystało z każdej nadarzającej się okazji do odpoczynku. Ostrożnie, żeby go nie obudzić, wyslizgnęłam się z łóżka i włożyłam czyste ubranie, zastanawiając się, czy jutro wszyscy wyruszymy zgodnie z planem do Kanady.

Gdy stałam, wydając naboje z biżuterii z brylantami i z tych dziwnych, twardych kamyczków, które zabrałam z kieszeni strzelca wyborowego, znalazłam wśród nich nieznamy obiekt. W parku Rock Creek machinalnie pozbierałam łuski po strzałach, którymi zabiłam Aleksieja

i strzelca wyborowego – najwidoczniej moja dłoń zgarnęła z opadłych liści dodatkowy kawałek metalu. Zamrugałam zdezorientowana na widok skromnego złotego sygnetu z przybrudzonymi brylancikami, pasującego na męski palec. Metal zmatowiał, jakby od dziesięcioleci nie miał kontaktu ze słońcem. Wewnątrz zobaczyłam przytarte angielskie litery – pierwszej nie mogłam odczytać, ale druga to na pewno było R.

Uniosłam sygnet pod światło. Przez chwilę dręczyło mnie jakieś wspomnienie, aż wreszcie skojarzyłam: asystent na trawniku obok Białego Domu opowiadający mi o pieszej wędrówce przed czterdziestu laty, podczas której prezydent Teddy Roosevelt zgubił sygnet gdzieś w pobliżu kamiennego mostu w parku Rock Creek. Czy to mógł być on? Obróciłam go w palcach. Był uroczy, pamiątka z miejsca, w którym stoczyłam swój ostatni pojedynek. Być może był znakiem. Miałam dwóch mężów, jednego w obliczu prawa, a drugiego w sercu; jednego, który poległ w waszyngtońskim lesie, gdzie moja noga nigdy więcej nie postanie, a drugiego, który zginął w Sewastopolu, gdzie także mogłam się już nigdy nie zjawić, jeśli nie uda się wyrwać tego miasta z rąk nazistów. Nigdy nie powinnam była wychodzić za pierwszego męża, a czas ukradł mi szansę, by poślubić drugiego.

Nie zamierzałam więcej popełniać żadnego z tych błędów. Nie zamierzałam przegapić trzeciej cennej szansy.

Pochyliłam się nad Kostią, który lekko drzemał, i wsunęłam sygnet na jego półprzymkniętą dłoń.

– Po powrocie do Moskwy – szepnęłam cicho, szykując się na spotkanie z resztą delegacji i zdanie jej pełnego raportu – ożeń się ze mną.

ZAPISKI PIERWSZEJ DAMY

Patrzę, jak klatka piersiowa mojego śpiącego męża unosi się i opada. Dziś w nocy wycocznie o wiele krócej niż zwykle – po zniknięciu Ludmiły rozpętało się spore zamieszanie za zamkniętymi drzwiami, a potem zaczęli wydzwaniać zdezorientowani przedstawiciele radzieckiej ambasady. Prywatna linia Franklina też ciągle była zajęta. Obraz sytuacji trudno byłoby uznać za pełny, ale jedno jest jasne: bezpośrednio

niebezpieczeństwo zostało zażegnane dzięki młodej kobiecie, która jutro opuszcza nasz kraj.

Witając ją w swoim domu, nie miałam pojęcia, jak bardzo przysłuży się mnie i mojej ojczyźnie. Myślałam jedynie, że może się okazać interesująca, że będzie kolejną przydatną osobą w gronie kobiet, które Franklin tak lubi kolekcjonować, udoskonalać i wykorzystywać – niekiedy do cna – realizując swoje wielkie dzieło.

Kobiety Franklina. Jestem pewna, że kiedyś powstanie o nim wiele książek, ale mam nadzieję, że będą książki także o nas. O kobiecie, która była jego żoną, jego oczami i uszami... o kobietach, które służyły w jego gabinecie i u jego boku w Białym Domu... oraz o kobiecie z kraju leżącego na drugim końcu świata, zupełnie nam obcego i czasami przerażającego, która wprawdzie nie przysięgała Franklinowi wierności, lecz mimo to rzuciła na szalę własne życie, aby go obronić.

Jeszcze przez dłuższą chwilę patrzę, jak jego klatka piersiowa unosi się i opada w ciemności. Uśmiecham się. Potem zamykam drzwi.

Wciąż mam dużo pracy, zanim też się położę... ale dzięki rosyjskiej kuli mogę pracować spokojnie i bezpiecznie.

35

Minęły jeszcze dwa długie miesiące, zanim wróciłam na radziecką ziemię i wyszłam z czterosilnikowego bombowca B-24 Liberator po niekończącym się nocnym locie z Glasgow na lotnisko Wnukowo. Dwanaście godzin w trzewiach bombowca, którego wewnątrz połykiwało od mrozu niczym sypialnia Królowej Śniegu. Cała delegacja siedziała opatulona futrami po czubki uszu, rozmawiając o trasie, która nareszcie, nareszcie się skończyła. Ja jednak nie myślałam o wystawnych przyjęciach, na których podejmowano nas w Montrealu i Londynie, w Cambridge i Birmingham, w Newcastle i Liverpoolu – aż w końcu wylądowaliśmy na olbrzymim zamarznętym lotnisku otoczonym niebieskawym pasem zaśnieżonych lasów. Dom, pomyślałam. Miało mnie nie być tylko miesiąc – nie było mnie cztery.

Całe życie.

Wychodząc z samolotu i trzymając Kostię za rękę w rękawiczce, czułam twarde okrag złoto sygnetu na jego palcu. Moje serce zabiło mocniej na widok niewyraźnych postaci, które odłączyły się od oczekującego nas tłumy i pobiegły w stronę bombowca. Pczelincew już obejmował żonę, Krasawczenko całował ojca w oba policzki, ale ja w ogóle nie zwracałam na nich uwagi. Widziałam tylko matkę z długim warkoczem, opatuloną jak mała okrągła sowa... i odłączającą się od niej, pędzącą w moim kierunku mniejszą postać.

Moja dłoń wyrwała się z dłoni Kostii i pobiegłam. Porzuciłam Panią Śmierć, porzuciłam sławną snajperkę znaną z tysięcy zdjęć, porzuciłam swoje dumne nadzieje na to, że niebawem ujrzę w Europie alianckich żołnierzy wspierających nasz front – porzuciłam wszystko oprócz widoku biegnącego do mnie dziecka, dziesięciolatka, już nieco wyrosniętego i tyczkowatego, z rozpromienioną twarzą. Złapałam go w ramiona, a potem nogi się pode mną ugięły i padłam na kolana na śnieg, trzymając syna w objęciach mocnych jak stal i płacząc bez zażenowania w jego włosy.

Mila Pawliczenko w końcu wróciła do domu.

EPILOG

Eleanor Roosevelt przyjeżdża do Moskwy 10 października 1957

– Pani Roosevelt, chciałabym przedstawić Ludmiłę Pawliczenko, Bohatera Związku Radzieckiego.

Patrzyłyśmy na siebie przez dłuższą chwilę – wystarczająco długo, by wśród zebranych w dusznej sali członkiń Komitetu Radzieckich Kobiet dały się słyszeć niespokojne szepty. Minęło piętnaście lat, odkąd ja i była pierwsza dama ujrzałyśmy się pierwszy raz. Przyglądałam się jej prostemu kostiumowi i czarnemu kapeluszowi, zmarszczkom wyrytym na jej twarzy przez smutek po stracie niezwykłego męża, i czułam, że ona także chłonie zmiany, jakie we mnie zaszły. Miałam czterdzieści jeden lat, nie byłam już młodą gniewną panią porucznik, która patrzyła na nią tak nieufnie podczas śniadania w Białym Domu złożonego z jajek i bekonu. Moje ciemne włosy posiwiały trochę na skroniach, a medale były przypięte nie do oliwkowego munduru, lecz do praktycznej garsonki.

Czułam jednak, jak moje usta rozciągają się w szerokim uśmiechu – w uśmiechu odzwierciedlającym ten, który pojawił się na jej twarzy.

– Kochana Ludmiło – powiedziała, podchodząc do mnie.

– Eleanor – szepnęłam, przechylając się, żeby ją uścisnąć, a gdy obie patrzyłyśmy na siebie rozpromienione, rozległy się oklaski. Może jednak piętnaście lat to nie aż tak dużo. Po moim wyjeździe ze Stanów Zjednoczonych spotkałyśmy się jeszcze tylko raz, podczas mojej trasy po Wielkiej Brytanii, gdy Eleanor przyjechała odwiedzić Churchillów, a po moim powrocie do Związku Radzieckiego prowadziłyśmy korespondencję. Wysłałam do niej list z kondolencjami po śmierci prezydenta Roosevelta („Eleanor, pamiętam uścisk jego dłoni, jakby to było wczoraj”); ona po wojnie przesłała mi gratulacje, gdy jako studentka piątego roku historii na Kijowskim Uniwersytecie Narodowym obroniłam pracę magisterską, uzyskując najwyższą ocenę („Ludmiło, wyznaję, że nie pamiętam, kim był Bohdan Chmielnicki, i modłę się, żebyś mi o nim nie pisała!”).

I oto była w Moskwie – już nie pierwsza dama, lecz wciąż dyplomatyczna siła, z którą należało się liczyć – i nasze role się odwróciły: teraz to ona odbywała trasę po moim kraju.

Były przemówienia, których należało wysłuchać (zawsze są przemówienia), były dłonie, które należało uścisnąć (zawsze są uściski dłoni), były tabliczki pamiątkowe, które należało wręczyć (na Lenina, dość już tych tabliczek – gdzie Bohater Związku Radzieckiego ma je wszystkie pomieścić?). W końcu jednak pozwolono, by była pierwsza dama pojechała ze mną do mojego moskiewskiego mieszkania, gdzie rozprostowałyśmy nogi, napiłyśmy się herbaty ze stojącego w kącie samowara, a zasady bezpieczeństwa i goryle z NKWD zostali na zewnątrz.

– Masz piękny dom, Ludmiło. – Rozejrzała się po mieszkaniu, które mi przydzielono: czterech dużych pokojach niedaleko centrum Moskwy, nieopodal oddziału radzieckiej marynarki wojennej, w którym pracowałam. Całą ścianę zasłaniały należące do mnie książki. – Mieszkasz z synem?

– Ma już własne mieszkanie. Skończył z wyróżnieniem prawo na moskiewskim uniwersytecie. – Mój Sławka, teraz już młody mężczyzna, taki spokojny i dobry, z kręłą sylwetką i ciemnymi włosami, które czyniły z niego młodszą wersję mojego ojca. Na szczęście nie miał w sobie nic z własnego ojca.

– Na pewno jesteś z niego dumna. – Eleanor przyglądała mi się, mieszając herbatę. – Wydajesz się szczęśliwa, Ludmiło. Wyznaję, obawiałam się, że to wszystko mogło wywołać w tobie gorycz: to, że po trasie za granicą nigdy nie wróciłaś na front.

– Uznano, że bardziej się przydam jako instruktorka. – Owszem, wtedy byłam gorzko rozczarowana... ale jak zauważył Kostia, gdybym wróciła na front, prawdopodobnie zginęłabym w Stalingradzie razem z wieloma innymi snajperami, a to byłoby dla Niemców wielkie zwycięstwo propagandowe. Zamiast tego skierowano mnie do szkolenia nowych snajperów, i to nie tylko chłopaków. Przez moje ręce przechodziły dziewczyny, rumiane tak jak kiedyś ja, gorliwe i pełne entuzjazmu. Dzieliłam się z nimi wszystkim, co umiałam, uczyłam je, jak sobie radzić z drżeniem rąk po zabiciu pierwszych celów, i mówiłam, że te trzęsące się ręce nie oznaczają braku odwagi. Uczyłam je, jak się kamuflować i jak

dbać o broń; jak przeszukiwać pola walki, by zdobyć kawałki materiału, ponieważ kobiety w Armii Czerwonej same muszą o siebie zadbać w czasie miesiączki; jak unikać kochliwych oficerów i jak przemierzać na rysich łapach ziemię niczyją tak cicho, że od dawna nieżyjący Wartanow musiałyby zamrużyć, by powstrzymać łzy dumy.

Uczyłam je, by bez wstydu próbowały ponownie, gdy spudłują. Że porażka nie zawsze oznacza wyrok śmierci.

Uczyłam je wszystkiego, co sama umiałam, salutowałam, gdy mnie opuszczały, i rozpaczałam, gdy ginęły... a te, które przeżyły, zapraszałam tu, do Moskwy, by pić z nimi wódkę i wymieniać się opowieściami o koszmarach przeszłości i dawno nieżyjących towarzyszach broni. Potem żegnałyśmy się ze łzami na policzkach i uśmiechem na ustach: my, snajperki, które przetrwały.

Pewnie mogłabym dopisać do swojego konta więcej nazistów, lecz pod koniec wojny za moją ojczyznę walczyło ponad dwa tysiące snajperek i spora ich część została wyszkolona przeze mnie. Konto każdej z nich widnieje obok mojego i jako czterdziestojednoletnia kobieta nie potrafię spojrzeć wstecz i uznać, że zmiana ze snajperki w instruktorkę snajperów była marnotrawstwem.

– Poza tym – mówię do Eleanor, uśmiechając się – chciałam być historyczką, a nie snajperką. I nią zostałam.

– Oczywiście... Ludmiło, dodajesz dzemu do herbaty?

– Tak się robi w Rosji. – Włożyłam do jej filiżanki kopiastrą łyżeczkę dzemu wiśniowego. – Mam nadzieję, że znajdziesz czas, żeby spotkać się z Radzieckim Komitetem Weteranów Wojennych.

– Oczywiście. Pracujesz tam, odkąd odeszłaś z... Przypomnij mi, jak się nazywało twoje poprzednie stanowisko.

– Pracownik naukowy w sekcji historii radzieckiej marynarki wojennej. – Kilka lat temu przeszłam na emeryturę, ponieważ dały o sobie znać stare obrażenia wojenne. Wszystkie te wstrząśnienia mózgu, cała ta nerwica frontowa, rozliczne blizny... Im jestem starsza, tym głębiej to we mnie wnika, zamiast się ode mnie oddalać. – Ale emerytura to nie powód, żeby siedzieć z założonymi rękami.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – powiedziała była pierwsza dama.

Wtedy do pokoju wślizgnął się Kostia, wciąż chudy jak patyk, lecz teraz już z żelaziste siwymi włosami. Przed nim podskakiwał nasz pies. Kostia dotrwał do końca wojny, będąc cały czas przy mnie – zawsze mój cień – i pomagał mi szkolić młodych snajperów... a potem trafił do schroniska dla psów Czerwona Gwiazda, gdzie tresował psy wojskowe, które, jak twierdził, były o wiele bystrzejsze niż większość rekrutów. Teraz mieliśmy dużego szczeniaka czarnego teriera rosyjskiego. Kostia codziennie biegał z tą suczką po całym parku Gorkiego, nie zważając na chore kolano.

– Mój mąż – przedstawiłam go, gdy podszedł, by pocałować mnie w głowę i uścisnąć rękę Eleanor, poprzestając jednak na tym geście. Z wielu powodów wołał się nie wychylać.

– Wygląda znajomo – powiedziała zamyślona Eleanor, gdy Kostia skinął nam na pożegnanie i zabrał psa do sąsiedniego pokoju na czesanie. – Był w radzieckiej delegacji?

– Mhm – mruknęłam.

– Być może mam na myśli twojego pierwszego męża... Dopiero później sobie uświadomiłam, że też był z wami w Waszyngtonie.

– Mhm – uśmiechnęłam się.

– Rzadko mi o nim wspominałaś, ale miałaś o nim niezbyt pochlebne zdanie. – Oczy Eleanor przyglądały mi się spokojnie znad okularów. – Może nie stała się wielka tragedia, że ostatecznie nie wyjechał razem z wami.

– Mhm. – Oficjalnie Aleksiej Pawliczenko zmarł w czasie delegacji z powodu pęknięcia wyrostka robaczkowego. Był to element gorączkowych zakulisowych starań, by żadne zdarzenie z parku Rock Creek nie wypłynęło na powierzchnię, stawiając w trudnej sytuacji radziecką delegację albo Biały Dom. O strzelcu wyborowym, rzecz jasna, w ogóle nie wspomiano.

Wciąż zdarzało mi się obudzić w nocy, myśląc o jego oczach koloru błota i zastanawiając się, jak się nazywał. Kto go wynajął. Nigdy nie miałyśmy z Eleanor okazji porozmawiać o takich sprawach, nawet gdy później spotkałyśmy się w Anglii.

A teraz...

– Pamiętasz tego ekscentrycznego amerykańskiego biznesmena, który zaproponował mi małżeństwo? – spytałam, mieszając herbatę. – Zawsze się zastanawiałam, co się z nim stało. Kim byli jego przyjaciele, z kim współpracował...

(Byłabym niemądra, zakładając, że niczyje uszy nie przysłuchują się naszej rozmowie. Może i my byliśmy przyjaciółkami, ale przyjaźń między naszymi narodami już się skończyła, co zresztą bardzo mnie zasmucało).

– Mój mąż dobrze znał przyjaciół twojego adoratora – odrzekła Eleanor. – Po twoim wyjeździe rozmawiał z kilkorgiem z nich. Należało wyrównać pewne rachunki... Zdaje się, że później nikt nie sprawiał już problemów.

Najwyraźniej nie. Jeśli były kolejne zamachy na życie prezydenta Roosevelta, to wyłącznie nieudane: ostatecznie pożegłował bez uszczerbku ku czwartej kadencji.

– Żałuję, że prezydent Roosevelt nie dożył końca wojny. – Ocaliłam go przed śmiercią w halloweenową noc w 1942 roku i żył jeszcze wystarczająco długo, by dotrzymać obietnicy i wysłać amerykańskich żołnierzy na pomoc moim rodakom... ale umarł przed upadkiem Hitlera.

– Może i nie dożył zwycięstwa, ale żył wystarczająco długo, by je zapewnić. – Eleanor spojrzała na mnie i uniosła filiżankę, dziękując mi bez słów.

Ja także uniosłam swoją. Długo patrzyłyśmy sobie w oczy, a potem obie brzęknęłyśmy spodeczkami jak panie w średnim wieku, którymi w istocie byłyśmy.

– Pogoda sprzyja twojej wizycie, Eleanor...

– Tak. Mam nadzieję, że zanim wyjadę, będę mogła zobaczyć więcej tego kraju w twoim towarzystwie, Ludmiło!

– Tym razem to ja będę twoją przewodniczką. Chciałabym ci tyle pokazać. Leningrad, Carskie Sioło, Ermitaż i Państwowe Muzeum Rosyjskie... ale dziś wieczorem – powiedziałam – opera. Mam bilety na Eugeniusza Oniegina, ponieważ moja przyjaciółka Wika tańczy w scenie w sali balowej. Wiesz, w czasie wojny była czołgistką. Trzykrotnie odznaczono ją za odwagę, a teraz jest baleriną w teatrze Bolszoi.

– Twój kraj rodzi niezwykle kobiety – zauważyła Eleanor.

– Przedstawię ci ich więcej. – Znałam ich teraz mnóstwo dzięki swojej pracy z weterankami: Wikę, kąśliwą i nieuleczalnie elegancką, mimo że podczas marszu na Berlin straciła oko; ciemnowłosą Jelenę Wetsinę, Bohatera Związku Radzieckiego, która odbyła dziewięćset lotów bombowych z Nocnymi Wiedźmami... a co najlepsze, moją drogą przyjaciółkę Lenę Palij. Okazało się, że nie zginęła podczas upadku Sewastopola. Zjawiła się wychudzona, lecz żywa, po tym jak zaszyła się na wzgórzach przed niemiecką inwazją, a teraz co miesiąc spacerowałyśmy po parku Gorkiego, wspominając stare czasy. Zazwyczaj się spóźniałam, a wtedy waliła do drzwi mojego mieszkania, krzycząc: „Obudź się, śpiochu!”.

– Wódka o tak wczesnej porze? – Eleanor z dezaprobatą pokręciła głową, gdy zaproponowałam toast przed wyjściem. – To bardzo zły nawyk, droga Ludmiło.

– Nie możesz nazywać siebie weteranem, jeśli nie masz przynajmniej jednego złego nawyku, którego nie potrafisz przezwyciężyć – uśmiechnęłam się.

Prawdę mówiąc, mam więcej takich nawyków. Za dużo piję, wiem o tym. Budzę się w nocy, wyrwana ze snu przez stare wspomnienia z bitwy albo przez sny, w których siedzę zastygła w tamtym rozłupanym przez piorun buku w parku Rock Creek, czekając, aż to strzelec wyborowy wpakuje mi kulę w oko, a nie odwrotnie. W takie noce Kostia musi mnie tulić, dopóki dreszcze nie ustaną, a w inne odwdzięczam mu się tym samym, gdy do jego krainy snu przybywają warczące demony wojny z czerwonymi pazurami, by na niego polować. Wciąż się spinam, ilekroć słyszę coś przypominającego wystrzał, i nie mogę wejść do pomieszczenia, budynku ani na otwartą przestrzeń, nie wypatrując potencjalnych zagrożeń i linii strzału. Taka jest jednak cena, podobnie jak stare rany na ciele, które wciąż sprawiają mi czasem ból. Niewidzialne rany potrafią boleć równie mocno – jeśli nie bardziej.

Partia mnie namawia, żebym spisała wspomnienia. Prostą relację z waszych bohaterskich czynów na froncie, towarzyszeko Pawliczenko, ze stosownie stoickimi przemyśleniami na temat odwagi, służby i wspaniałej przyszłości naszej ojczyzny. Jak jednak często dochodziłam do wniosku w latach powojennych, byłaby ogromna różnica między wszelkimi oficjalnymi relacjami z czasu, który spędziłam w Armii Czerwonej,

a wersją, która żyje w mojej pamięci. Mogę pisać szczerze o przyjaciółach, których straciłam, o swojej snajperskiej pracy i o wymaganiach, jakie stawia ona duszy. Mogę pisać o niezwykłych ludziach, których poznałam podczas trasy od Stanów Zjednoczonych przez Kanadę do Wielkiej Brytanii, poczynając od Charliego Chaplina, a kończąc na Franklinie Rooseveltcie, poczynając od Paula Robesona, a kończąc na Winstonie Churchillu. W swoim pamiętniku nie będę kłamała... ale wiele spraw pomnę.

Aleksiej Pawliczenko nie pojawi się na tych stronach, chyba że w paru zdaniach na temat zauroczenia niemądrej dziewczyny, która była jeszcze niemal dzieckiem, i o ojcu mojego syna. Niech zniknie z pamięci, z kart historii, i zmieni się w kompost w waszyngtońskim parku.

Kostia też nie pojawi się na tych stronach, lecz z zupełnie innych powodów. Niedługo po naszym powrocie z zagranicznej trasy doniesiono mu dyskretnie, że jego nieoficjalny ojciec, ten bajkalski myśliwy, który przekazał spłodzonemu w Irkucku synowi oko jak diament i diabelski spryt, został zadenuncjowany za wypowiedzi przeciwko towarzyszewi Stalinowi. Potrzeba było połowy moich diamentów – tych, które zabrałam z kieszeni strzelca wyborowego i obu bransoletek z zestawu biżuterii, który podarował mi przed pojedynkiem – by usunąć nazwisko Kostii z nakazów aresztowania, które dosięgły resztę rodziny jego ojca, synów i córki noszących nazwisko Markow, a nie Szewieliow. Resztę klejnotów trzymam w rezerwie, a Kostia wiezie spokojne życie, ale nie może korzystać ze sławy, która powinna być udziałem odznaczonego snajpera i męża Pani Śmierć. Czasami patrzę na niego i zastanawiam się, czy żałuje: dzieci, których nie mogliśmy mieć, rodziny zostawionej w Stanach Zjednoczonych... Nawet jeśli tak, nigdy o tym nie wspomina. Mam nadzieję, że mu wystarczam, a skoro postanowił związać swoje życie z moim, przysięgam, że zadbam o jego bezpieczeństwo. Materiały Armii Czerwonej mogą mówić, że łączyły mnie intymne relacje z moim snajperskim partnerem, lecz partner w moim pamiętniku nie będzie się nazywał Konstantin Szewieliow. Przekażę to nazwisko jednemu z innych członków swojego plutonu – komuś, kto poległ zbyt dawno temu, by mógł zakwestionować moje słowa – i zadbam, by mój mąż pozostał anonimowy.

Nie będzie też w moim pamiętniku ani słowa o człowieku z oczami koloru błota, który się do mnie zalecał, śledził mnie i walczył ze mną

w parku Rock Creek.

Ponieważ ludzie uwielbiają bohaterów wojennych... ale nawet w mojej ukochanej ojczyźnie bohaterowie wojenni muszą być czyści i nieskomplikowani. Ludzie namawiający mnie, bym spisała wspomnienia, będą oczekiwali opowieści młodej patriotki walczącej w obronie kraju, bohaterki, której można kibicować, oraz historii czystej i prostej jak księżyc w pełni. Owszem, byłam taką młodą kobietą, ale byłam też kimś więcej. Mój księżyc miał północną stronę.

Oficjalnie Ludmiła Pawliczenko ma na koncie trzysta dziewięć trafień. Ta lista nie powstała z krwiożerczości, każdy strzał oddałam w obronie domu i ojczyzny. Tylko nieliczni wiedzą, że pod kurczącym się księżycem na drugim końcu świata rozegrał się kolejny pojedynek, stoczony z wściekłością, rozpaczą i w okrutnej samoobronie przeciwko dwóm bardzo różnym mężczyznom... oraz że tak naprawdę moja lista liczy trzysta jednaście ofiar.

To jest jednak mój sekret, sekret snajperki, i zabiorę go do grobu. Eleanor wie, ale ocaliłam życie jej mężowi, a razem z nim być może nasze narody, więc ona także zabierze moje tajemnice do grobu. Dlatego odstawiam filiżankę z herbatą i podchodzę z uśmiechem do szafy.

– Nie mam już tamtej żółtej atlasowej sukni, ale zobaczymy, co uda mi się znaleźć na dzisiejszy wieczór w operze...

– W razie potrzeby mogę podłożyć jakiś rąbek albo przedłużyć rękaw – mówi pierwsza dama.

POSŁOWIE

Najprawdopodobniej nigdy wcześniej nie słyszeliście o Ludmile Pawliczenko. Jeszcze kilka lat temu sama nie wiedziałam o jej istnieniu – dopóki nie zaczęłam szukać materiałów o opisanych w Łowczynie pilotkach zwanych Nocnymi Wiedźmami i nie natrafiłam na fascynującą historię innej radzieckiej bohaterki wojennej: ta sławna bibliotekarka, która została snajperką, odpowiedzialna za zastrzelenie trzystu dziewięciu żołnierzy wroga w czasie drugiej wojny światowej, podbiła szturmem Stany Zjednoczone podczas trasy w 1942 roku, obracała się wśród hollywoodzkich gwiazd i zaprzyjaźniła z Eleanor Roosevelt. Od razu poczułam, że muszę opisać jej niezwykłą historię.

Związek Radziecki nie cieszył się dobrą sławą przed wojną, w jej trakcie ani po niej, więc łatwo zapomnieć, że na początku drugiej wojny światowej nikt nie wróżył mu zwycięstwa. Trzecia Rzesza uważała Rosjan za podludzi nadających się jedynie do eksterminacji. Radzieckich żołnierzy, których wzięto do niewoli, rutynowo mordowano albo głodzono na śmierć, podczas gdy francuskich i angielskich jeńców wojennych traktowano zazwyczaj zgodnie z zasadami. Rosjanie odpowiedzieli równie okrutnie, gdy sytuacja odwróciła się na ich korzyść, lecz na początku przeraźliwej i przytłaczającej niemieckiej inwazji słabo wyposażona Armia Czerwona mogła się jedynie wycofywać, pozwalając, by trudny teren i rosyjska zima zrobiły z Hitlerem i jego armią to, co wcześniej stało się z Napoleonem. Strategia ta miała wstrząsającą cenę: miliony radzieckich żołnierzy zginęły, próbując spowolnić niemiecki marsz.

A wśród tych, którzy ryzykowali życiem na froncie, było wiele kobiet.

Związek Radziecki jako jedyne państwo alianckie wykorzystywał kobiety na linii frontu w oddziałach prowadzących czynną walkę. W czasie wojny w szeregach radzieckich sił zbrojnych służyło około ośmiuset tysięcy kobiet stanowiących mniej więcej pięć procent całego personelu wojskowego. Najczęściej kierowano je do łączności i batalionów medycznych, lecz wielu udało się odegrać aktywniejszą rolę: takim

pilotkom bombowców jak Nocne Wiedźmy, takim czołgistkom jak zaprzyjaźniona z Miłą Wika oraz snajperkom.

Hollywood ubarwił nasze postrzeganie strzelców wyborowych. Wyobrażamy ich sobie jako zmilitaryzowanych seryjnych zabójców, w najlepszym razie snajper to dla nas jakiś dziwak w jednostce złożonej ze zwykłych facetów, o którym się mówi, że w jego żyłach płynie woda z lodem – spójrzcie chociażby na cytującego Biblię snajpera, w którego wcielił się Barry Pepper w Szeregowcu Ryanie Stevena Spielberga. Poza tym utrzymuje się przekonanie, że zabijanie z daleka, z ukrycia, jest w jakimś sensie niehonorowe albo nieuczciwe... Wykwalifikowani strzelcy wyborowi służyli jednak we wszystkich armiach, odkąd wynaleziono broń palną (a przedtem strzelali z łuku: pomyślcie o angielskich łucznicach kładących trupem francuskich rycerzy w bitwie pod Azincourt albo o ukrytej w lesie drużynie Robin Hooda unieszkodliwiającej żołnierzy króla!). Używanie snajperów nie jest pogwałceniem konwencji genewskiej, lecz ten stereotyp wciąż jest silny: snajperzy są bezwzględni, wycofani, bezlitośni. Jak powiedziała Eleanor Roosevelt podczas spotkania z Ludmiłą Pawliczenko: „Jeśli wyraźnie widzi pani przez celownik twarze wrogów, lecz mimo to strzela, by ich zabić... Cóż, Amerykankom trudno byłoby panią zaakceptować, droga Ludmiło”.

Kobieta znana jako Pani Śmierć przeczy jednak takim stereotypom. Z jej pamiętnika i z opowieści współczesnych jej osób wyłania się życzliwy, zabawny, czarujący mól książkowy, kochająca matka, introwertyczka, która ceniła sobie czas spędzany w samotności, lecz mimo to umiała być duszą towarzystwa. Nie miała nawet obowiązkowych chłodnych jasnyniebieskich albo szarych oczu, które przypisuje się większości snajperów!

Nie była nowicjuską, która nauczyła się strzelać na froncie. Przybyła tam w mundurze, już jako utytułowana strzelczyni wyborowa. Nie pochodziła też z wiejskiej rodziny, w której od córki można było wymagać umiejętności posługiwania się strzelbą już od kołyski. Była Ukrainką (choć gdy ją pytano, przedstawiała się jako obywatelka ZSSR), dziewczyną z miasta i mołem książkowym, miała ambicje zostać historyczką, lecz chętnie chodziła postrzelać z przyjaciółmi na strzelnicy – podobało jej się tam tak bardzo, że postanowiła się zapisać na zaawansowany kurs dla strzelców wyborowych. Choć traktowała strzelanie jako hobby,

bezwłocznie zgłosiła się na ochotnika, by bronić swojego kraju: rano poszła z przyjaciółmi na plażę, w południe podczas obiadu w pobliskiej kawiarni usłyszała o wypowiedzeniu wojny, a już o zmroku wyszła z opery w połowie Traviaty, by się zaciągnąć. Minęło niewiele czasu, nim dziewczyna z Odessy – studentka kończąca właśnie najwnikliwszą na świecie rozprawę o Bohdanie Chmielnickim, przyłączeniu Ukrainy do Rosji w 1654 roku i o ugodzie perejasławskiej – zaczęła gromadzić imponujące osiągnięcia.

Oficjalne konto snajpera obejmowało wyłącznie potwierdzone trafienia, więc prawdziwa lista wrogów zabitych przez Ludmiłę prawdopodobnie wykracza poza trzysta dziewięć ofiar: walcząc w dwóch rozpaczliwych oblężeniach, na pewno nie miała czasu ani sposobności, by zweryfikować wszystkie swoje trafienia, a wrogów, których położyła trupem jako żołnierz, a nie jako snajperka, najpewniej w ogóle nie uwzględniono. Możliwe, że naprawdę uśmierciła mniej niż trzysta dziewięć celów, które jej oficjalnie przypisywano; mogło ich być także znacznie więcej. Pewne wydaje się to, że w niespełna półtora roku walki Ludmiła Pawliczenko uśmierciła setki wrogów, co najmniej czterokrotnie została ranna i dorobiła się przydomka Pani Śmierć. Wiele wyczynów opisanych w tej powieści – to, że szkoliła pluton, ataki na Gildendorf i Wzgórze Bez Nazwy, rekrutowanie przez nią leśniczego Wartanowa, którego rodzinę zamordowano, dom Kabaczenków i więź, jaka połączyła ją z młodą dziewczyną zgwałconą przez niemieckich żołnierzy („Zabij ich wszystkich”) – zaczerpnęłam prosto z pamiętnika, który Ludmiła napisała w późniejszych latach.

Radzieckie pamiętniki obfitują w fakty, lecz są ubogie w emocje. Rozwodzenie się nad uczuciami nie było w radzieckim stylu. Mimo to reakcja Ludmiły, która tak skutecznie odbierała ludziom życie, wydaje się daleka od delectowania się zabijaniem. Strzelając pod okiem kapitana Siergijenki do dwóch pierwszych ofiar, nie zawahała się zabić dwóch oficerów, lecz przyznała, że strzelanie do tarczy i do istoty ludzkiej to dwie bardzo różne sprawy. Nie lubiła swojej rosnącej sławy, postrzegając siebie jako zwykłego żołnierza mającego zadanie do wykonania. Wróg był najeźdźcą, któremu rozkazano atakować, a ona obrończynią, której rozkazano go odeprzeć, nic poza tym. Jej złość na Niemców przedzierzgnęła się w nienawiść, gdy Ludmiła zobaczyła spustoszenie, jakie hitlerowcy siali w jej ojczyźnie, lecz mimo to szczyciła się czystymi

trafieniami i pełnym profesjonalizmem. Tylko raz rozkazała strzelać, by ranić, a nie po to, by zabić: pod koniec obrony Sewastopola, gdy był to jedyny sposób, by spowolnić przytłaczające siły wroga.

Front wschodni to było istne piekło: liczba zabitych była tam przerażająca, pogoda brutalna, a niewyszkoleni i słabo uzbrojeni żołnierze mogli zginąć zarówno z rąk Niemców, jak i własnych oficerów (gdyby przejawili choćby najmniejsze wahanie). Kobietom było szczególnie trudno. Takie dziewczyny jak Nocne Wiedźmy z radzieckich sił lotniczych służyły razem w żeńskich pułkach albo przynajmniej były zgrupowane z innymi pilotkami w pułkach mieszanych, lecz kobiety w Armii Czerwonej musiały sobie radzić z olbrzymią przewagą liczebną żołnierzy płci męskiej i powszechnie uważano je za seksualny dodatek do żołądki oficerów. Odrzucenie zalotów przełożonego mogło skutkować wszystkim: od fizycznej napaści po pomijanie na listach żołnierzy zgłaszanych do odznaczeń i awansów. Ludmiła była niezwykle podziwiana przez mężczyzn w swojej kompanii, których najwyraźniej traktowała przyjacielsko, lecz pozostawała dla nich żelaznym autorytetem. Przynajmniej jedno źródło wspomina, że naraziła się na gniew, odrzucając mężczyzn wyższych stopniem. Może to wyjaśniać jej brak odznaczeń wojskowych na początku walki... przed trzydniowym pojedynkiem z niemieckim snajperem, po którym natychmiast zdobyła sławę.

Krytycy kwestionowali zarówno tę sławę, jak i jej osiągnięcia. Nawet dziś niektórzy uparcie twierdzą, że Ludmiła Pawliczenko była oszustką, ładną brunetką z wydziału propagandy, która nauczyła się na pamięć bajeczki mającej inspirować masy. Tego typu twierdzenia odwołują się do pewnych nieścisłości w chronologii zdarzeń opisanych w jej pamiętniku, podkreśla się przy tym, że pluton, który rzekomo szkoliła, nigdy nie został utworzony, i wspomina o tym, że odmawiała demonstrowania swoich umiejętności w Stanach Zjednoczonych, co rzekomo dowodzi, że nigdy ich nie posiadała.

Mnie Ludmiła Pawliczenko wydaje się autentyczna. Jej pamiętnik nosi ślady radzieckiej propagandy, lecz największą precyzję i barwny indywidualizm jej wypowiedzi najlepiej czuje się w bogatych w szczegóły techniczne opisach umiejętności snajperskich, broni i rutynowych czynności. W chronologii zdarzeń są pewne nieścisłości, ale kobiecie układającej swoje wspomnienia spowite wojenną mgłą i naznaczone

zespołem stresu pourazowego wywołanym wielokrotnymi wstrząśnieniami mózgu na polu walki, trudno byłoby nie pomylić kilku szczegółów. Opisywany przez nią pluton snajperów nie istniał w Armii Czerwonej, lecz Ludmiła walczyła na początku wojny, gdy nic nie było dobrze zorganizowane, i procedury prawdopodobnie powstawały na bieżąco. Jeśli zaś chodzi o niet, którym odpowiadała podczas trasy po Stanach Zjednoczonych osobom oczekującym, że będzie strzelała na zawołanie (pomijając jeden pokaz w klubie strzeleckim w Chicago), powody takiej decyzji wybrzmiewają głośno i wyraźnie w jej pamiętniku. Pani Śmierć gardziła paradowaniem jak gwiazda cyrkowa i kategorycznie odmawiała sprowadzania jej śmiertelnych umiejętności do rodzaju sztuczki służącej zabawianiu ludzi.

Jej wojna to nie były jedynie błoto, krew i ból. Ludmiła miała poczucie humoru, które przebija się w relacjach o tym, jak spierała się z twardogłowymi przełożonymi albo relaksowała w towarzystwie swojego plutonu podczas wieczoru wypełnionego śpiewem, wódką i rarytasami zdobytymi po udanym nalocie. I mimo wydanego sobie rozkazu, by nie bratać się z żołnierzami płci przeciwnej, złamała własne zasady dla oszałamiająco romantycznego frontowego romansu.

W wieku dwudziestu czterech lat Ludmiła miała już za sobą całe pole minowe życia uczuciowego. Píše niezwykle mało (i nic dobrego) o swoim pierwszym mężu Aleksieju Pawliczence, starszym mężczyźnie, który ją uwiódł i zapłodnił po potańcówce, gdy miała zaledwie piętnaście lat. Gdy porzucił ją i ich syna Rostisława, stwierdziła jedynie: „Na szczęście mój syn w niczym nie przypomina swojego ojca”. Jako samotna matka skupiała się na pracy, nauce i dziecku – dlatego romans uderzył w nią jak grom, gdy w Sewastopolu poznała wysokiego, zabawnego i przystojnego porucznika Armii Czerwonej. Do jej życia wkroczył Lonia Kicenko, mężczyzna, który zabiegał o względy najbardziej niebezpiecznej kobiety na froncie wschodnim i zdobył jej serce.

Często opisuje się Kicenkę jako młodszego sierżanta i jej kolegę snajpera, partnera, z którym polowała noc w noc, tworząc zabójczą, nierozłączną drużynę – sama Ludmiła opisała go jednak jako porucznika, który dowodził jej kompanią. Przypuszczam, że mogło dojść do pomylenia dwóch mężczyzn i że Ludmiła w różnych okresach była zaangażowana w relacje uczuciowe zarówno z dowódcą swojej kompanii, jak i ze swoim

partnerem. Rozdzieliłam zatem te dwie osoby i opisałam Kicenkę tak, jak zrobiła to sama Ludmiła: porucznik Aleksiej Arkadiewicz Kicenka, nazywany Lonią, był jej przełożonym i w końcu został drugim mężem. Bez względu na to, czy byli małżeństwem w świetle prawa (na jej nagrobku nie został wymieniony jako jej mąż), Ludmiła uważała Lonię za swojego męża pod każdym liczącym się względem: ich romans potoczył się błyskawicznie, osiągając punkt kulminacyjny w ataku, w którym Lonia wyniósł ranną Ludmiłę z linii frontu, oddał krew przed jej operacją, odwiedzał ją przez cały okres, który spędziła w szpitalu, a gdy ją wypisano, zaprosił ją na kolację do swojej ziemianki (z kwiatami w wazonie zrobionym z łuski pocisku artyleryjskiego!). Tego wieczoru się jej oświadczył i odtąd Lonia i Pani Śmierć byli nierozłączni.

Był to najlepszy okres w wojennym życiu Ludmiły. Napisała, że miłość służyła jej umiejętnościom strzeleckim. Wiedząc, że czeka na nią Lonia, trafiała w każdy cel, do którego mierzyła, także podczas pełnego napięcia trzydniowego pojedynku, w którym razem ze swoim partnerem (nazwałam go Konstantin Szewieliov, ponieważ to nazwisko odegrało później ważną rolę w jej życiu) przechytryła niemieckiego strzelca wyborowego. Jednak po niespełna trzech wspólnych miesiącach Lonia został ranny w ostrzale mózdzierzowym, i to na oczach Ludmiły. Umarł później w jej ramionach, a ona omal nie oszalała z rozpacz. Nie była w stanie wrócić do strzelania, dopóki razem ze swoim partnerem nie oddała się rozpacz na grobie Loni. Potem wróciła na front przepełniona nową furią: jak powiedziała później w rozmowie z Eleanor Roosevelt, odtąd każdy Niemiec na jej celowniku mógł równie dobrze być człowiekiem, który zabił Lonię.

Kilka miesięcy później Sewastopol upadł i Ludmiła prawdopodobnie tam by zginęła (było siedemdziesięciopięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że snajperki w Armii Czerwonej polegą w walce), gdyby nie to, że kilka tygodni wcześniej została ranna i ją ewakuowano. Pragnęła wrócić na front, lecz wydział propagandy wiązał z nią inne plany. Niedawno na biurku Stalina wylądowało pismo z Waszyngtonu, w którym zapraszano delegację radzieckich studentów na organizowaną przez Eleanor Roosevelt międzynarodową konferencję studencką, i przywódca dostrzegł w tym szansę: wysłano Panią Śmierć do Ameryki.

Na pewno czuła się tam jak ryba wyjęta z wody i powitalne śniadanie w Białym Domu nie przebiegło dobrze: cierpka odpowiedź Ludmiły na uwagę pierwszej damy o tym, że snajperka nie mogłaby być bliska sercom Amerykanek, pochodzi prosto z jej pamiętnika, podobnie jak jej odpowiedzi na zdumiewająco idiotyczne pytania, które zadano jej na pierwszej konferencji prasowej. Pewna kobieta sprawiła jednak, że sytuacja Ludmiły uległa diametralnej zmianie: pierwsza dama zaproponowała, że zawiezie ją swoim kabrioletem na wieczorne przyjęcie. Choć jej styl jazdy najwyraźniej przeraził Panią Śmierć bardziej niż cała dywizja pancerna, wydarzenie to sygnalizowało także początek nieprawdopodobnej przyjaźni.

To Eleanor przedstawiła Ludmiłę i resztę delegatów Franklinowi Delano Rooseveltowi na prywatnym spotkaniu, na którym mogli porozmawiać o upragnionym drugim froncie w Europie, i to ona towarzyszyła jej w części późniejszej trasy po Stanach Zjednoczonych. Pomysł, że pierwsza dama i radziecka snajperka mogłyby się zaprzyjaźnić, wydaje się zupełnie nieprawdopodobny, lecz wiele scen z ich udziałem w Oku snajperki zaczerpnęłam wprost z pamiętnika Ludmiły: ich dyskusje o segregacji w Stanach Zjednoczonych (która napawała Ludmiłę przerażeniem, podobnie jak brytyjski kolonializm w Indiach); zaśnięcie Ludmiły z głową na ramieniu Eleanor w prezydenckiej limuzynie; wypadnięcie Ludmiły z kanoe oraz jej późniejsza wizyta w sypialni pierwszej damy, gdzie Eleanor podszyła jej różową piżamę i gawędziły tak długo, że FDR musiał przypomnieć tym nieprawdopodobnym przyjaciółkom o śniadaniu!

Pod skrzydłem Eleanor Ludmiła nabrała pewności w świetle jupiterów. Przedstawiano jej wszystkich, od Charliego Chaplina po Woody'ego Guthriego (który napisał dla niej piosenkę Miss Pavlichenko – poszukajcie jej na YouTube!), i zaczęła wygłaszać płomienne przemówienia, nigdy nie zapominając o swojej misji polegającej na proszeniu Amerykanów o pomoc w imieniu swoich kolegów żołnierzy. W Chicago porwała publiczność przemówieniem, które ugruntowało jej sławę: „Panowie, mam dwadzieścia sześć lat. Na froncie wyeliminowałam już trzystu dziewięciu faszystowskich żołnierzy i oficerów. Nie wydaje wam się, że za długo chowacie się za moimi plecami?”.

Eleanor i Ludmiła pożegnały się podczas kolacji w Białym Domu w październiku 1942 roku. Później korespondowały ze sobą przez

piętnaście lat. W tym czasie FDR dotrzymał obietnicy i wysłał amerykańskich żołnierzy do Europy, a Mila zakończyła wojnę jako instruktorka snajperów. Gdy w 1957 roku owdowiała Eleanor przyjechała do Związku Radzieckiego, by odbyć trasę po tym kraju, była pierwsza dama i była snajperka przywitały się serdecznym uściskiem.

Zazwyczaj poświęcam w posłowie sporo miejsca, by wyjaśnić, jak moje postaci fikcyjne wplatają się w losy postaci historycznych. W przypadku Oka snajperki jest inaczej, ponieważ prawie każda wymieniona tu osoba pochodzi prosto ze źródeł historycznych. Pczelincew i Krasawczenko, dwaj pozostali delegaci Związku Radzieckiego; generał Pietrow, porucznik Dromin i kapitan Siergijenko; Fiodor Siedych i stary Wartanow z plutonu Ludmiły; jej odeska przyjaciółka Sofia i zaprzyjaźniona z nią sanitariuszka Lena Palij... oni wszyscy naprawdę istnieli. Moje jedyne ważne dodatki fikcyjne to Wika, czyli balerina, która została czołgistką (bohaterka, którą zapisuję w pamięci z myślą o przyszłej powieści!), i Kostia Szewieliov, będący zbeletryzowanym amalgamatem dwóch prawdziwych mężczyzn.

Pozwoliłam sobie wprowadzić pewne zmiany w zapisie historycznym, by współgrał z fabułą. Kilka frontowych przygód Ludmiły skondensowałam i przesunęłam: przyspieszyłam nieco rumuński atak z kapłanem, a późniejszą rekonwalescencję Ludmiły umieściłam w batalionie szpitalnym, a nie w Odessie. Pierwszy wypad, podczas którego w powieści towarzyszy jej Kostia, odbył się z udziałem innego rekruta, a Lonia pojawia się w Oku snajperki wcześniej, niż pojawił się w prawdziwym życiu – spędził z Ludmiłą tak mało czasu, że nie zdołałam oprzeć się pokusie i prędzej wprowadziłam go na scenę! Pewne wydarzenia z trasy po Stanach Zjednoczonych także przytoczyłam w zmienionej kolejności: spotkanie Ludmiły z Laurence'em Olivierem nastąpiło prawdopodobnie dopiero w Anglii, a prywatny objazd FDR po amerykańskich zakładach przemysłu obronnego zakończył się nieco wcześniej i nie zbiegał się w czasie z wystąpieniami prasowymi Ludmiły w Kalifornii.

Ilekczo docierałam do sprzecznych informacji, na przykład dotyczących dokładnej nazwy pułku Ludmiły albo daty wieczornego przyjęcia pożegnalnego dla radzieckiej delegacji w Białym Domu, korzystałam z wersji Ludmiły – zazwyczaj używam też jej zapisu nazw miejscowości oraz rosyjskich imion i nazwisk, które mogą wyglądać inaczej na współczesnych mapach i w transliteracjach. Część przytaczanych przez nią

faktów i liczb może być nieprecyzyjna, lecz właśnie takie fakty i liczby uważała za prawdziwe w tamtym czasie, a zatem ja także ich użyłam. Poza tym w pamiętniku Ludmiły są incydenty, które postanowiłam pominąć, takie jak spotkanie ze Stalinem, do którego prawdopodobnie nie doszło. Traktowanie pamiętnika Ludmiły Pawliczenko jako konkretnego, pierwotnego źródła wspomnień jego bohaterki i jednocześnie jako dokumentu, w którym biuro propagandy pozwoiliło sobie pozmieniać to i owo, to dosyć karkołomny taniec.

Jej pamiętnik zawiera denerwujące luki i przemilczenia, które wypełniałam, korzystając z licencji poetyckiej. Ludmiła oświadcza, że po raz ostatni widziała swojego męża Aleksieja Pawliczenkę trzy lata przed wybuchem wojny i więcej o nim nie wspomina. Prawdopodobnie był jednym z milionów Rosjan, którzy zniknęli w Armii Czerwonej i polegli na froncie – pewne dowody sugerują, że był lekarzem, więc wprowadziłam go do fabuły jako chirurga wojskowego. Ostatecznie jego los pozostaje nieznany, więc postarałam się wymyślić stosownie zadowalający koniec historii mężczyzny, który uwiódł piętnastolatkę i porzucił ją z dzieckiem.

Wypełniłam też inną lukę historyczną, tę obejmującą snajperskiego partnera Ludmiły oraz jej ostatniego męża Kostię Szewieliowa. Ludmiła pisze w pamiętniku, że jej partner nazywał się Fiodor Siedych: trudno o bardziej intymną relację w miejscu pracy, lecz po Sewastopolu Ludmiła w ogóle już o nim nie wspomina. Mężczyzna, który po wojnie został jej mężem, także jest zagadką: jedyne, co wiemy o Konstantinie Szewielowie, to kiedy się urodził i kiedy umarł. Dlaczego jej pamiętnik zawiera tak mało informacji o dwóch mężczyznach, którzy na pewno byli dla niej bardzo ważni?

Zaproponowałam odpowiedź na to pytanie: Konstantin Szewielow miał dobry powód, by się nie wychylać, a jego sławna żona robiła, co w jej mocy, by trzymać go z dala od jupiterów. W czasach krwiożerczego stalinizmu mogło być mnóstwo powodów, dla których człowiek wolał pozostawać w cieniu. Zmieniłam Kostię w snajperskiego partnera Ludmiły zarówno po to, by móc włączyć ostatniego męża Pani Śmierć do tej historii i oddać cześć zapisom, które wskazują, że Ludmiłę łączyły relacje uczuciowe z jej partnerem, lecz także po to, by stworzyć tło wyjaśniające, dlaczego mogła wymienić innego mężczyznę, podając go za swojego partnera.

Na koniec strzelec wyborowy: nic nie wiadomo o spisku przeciwko prezydentowi Rooseveltowi w 1942 roku, choć faktycznie cudem uniknął śmierci z rąk zamachowca, gdy w 1933 roku Giuseppe Zangara strzelił do niego z tłumu w Miami oraz gdy rok później zdołał udaremnić plany tajemniczej klikki (zrzeszającej rzekomo część najznamienitszych amerykańskich przemysłowców), która miała nadzieję, że uda się go zastąpić dyktatorem wojskowym. W 1942 roku Roosevelt wciąż miał mnóstwo wrogów, którzy ucieszyliby się z jego śmierci: izolacjonistów, amerykańskich faszystów, rywali politycznych przekonanych, że zdradził swoją rasę i klasę społeczną, oraz antykomunistów, którzy nawet wojenny sojusz ze Związkiem Radzieckim uznawali za zdradę stanu. Stworzenie postaci strzelca wyborowego pozwoliło mi także nadać sens jednemu z najdziwaczniejszych epizodów w amerykańskiej trasie Ludmiły: William Jonson, amerykański milioner, zakochał się w niej i jeździł za nią z miasta do miasta, zaproponował jej małżeństwo i przesłał oszalamiający komplet biżuterii z brylantami, dołączając liścik ze słowami: „Jeszcze się zobaczymy”. Według pamiętnika Ludmiły nie zobaczyli się. Była to jednak zbyt dobra historia, żeby ją pominąć, więc w mojej wersji jednak się spotkali: najpierw w Białym Domu (gdzie w latach czterdziestych ochrona była znacznie mniej rygorystyczna niż obecnie), a potem w parku Rock Creek, paśmie dzikiej przestrzeni przecinającym stolicę kraju, gdzie przez lata spoczywało sporo ciał. Zamordowana waszyngtońska stażystka Chandra Levy spoczywała tam przez rok mimo nowoczesnych technik poszukiwawczych. Inną tajemnicą tego parku jest zgubiony sygnet Teddy’ego Roosevelta, który zsunął się z palca prezydenta podczas wędrowki w 1902 roku. Do dziś pozostaje zaginiony, więc z przyjemnością nakreśliłam możliwy los także dla niego!

Jestem winna serdeczne podziękowania wielu osobom, które pomogły mi podczas pisania, zbierania materiałów i wydawania tej powieści. Matce i mężowi, pierwszym kibicom tej książki. Wspaniałym konsultantkom literackim Stephanie Dray i Stephanie Thornton. Pierwszym recenzentom oraz niesamowicie obeznanym z tą tematyką ekspertom: Erin Davies and Outlaw, Charlesowi F.A. Dvorakowi, Annalori Ferrell, Elenie Gorokhovej i Shelby Miksch. Mojemu agentowi Kewanowi Lyonowi oraz redaktorce Tessie Woodward, a także wspaniałemu zespołowi William Morrow. Gdyby nie wy, przepadłabym!

Przepadłabym także, gdyby nie sama Ludmiła. Tym, którzy pragną dowiedzieć się czegoś więcej o tej fascynującej kobiecie, polecam jej wciągającą autobiografię Snajperka czyli Pani Śmierć. Angielski przekład Davida Foremana (Greenhill Books) okazał się nieoceniony podczas gromadzenia materiałów i pisania tej powieści. Ludmiła Pawliczenko była kimś znacznie więcej niż tylko zabójczynią mężczyzn i zapłaciła wysoką cenę za swoją oszałamiającą odwagę. Choć przetrwała wojnę, skończyła swoją rozprawę i spełniła marzenie o tym, by zostać historyczką, doświadczyła śmierci wielu przyjaciół, zmagала się z zespołem stresu pourazowego i żyła dłużej niż Kostia... późniejsze lata poświęciła weteranom, zapisała swoją historię dla potomności i umarła w ramionach ukochanego syna, otoczona rodziną i przeklinając śmierć aż do samego końca.

Czasami mówi się, że drugą wojnę światową wygrano dzięki brytyjskiemu wywiadowi, amerykańskiej stali i radzieckiej krwi. To olbrzymie uogólnienie zawiera ziarno prawdy. Po zakończeniu drugiej wojny światowej Związek Radziecki bardzo szybko stał się wrogiem Stanów Zjednoczonych i zaczęła się zimna wojna, więc łatwo zapomnieć, że gdyby nie Rosjanie, mogłyby zwyciężyć siły Osi. Spośród wszystkich pomyłek Hitlera jego kolosalny napoleoński błąd polegający na zaatakowaniu Związku Radzieckiego okazał się chyba najbardziej decydujący: gdyby front wschodni nie wchłonął tak wielkiej części niemieckich sił, alianci mogliby nie wygrać. Ceną tego zwycięstwa były miliony poległych żołnierzy Armii Czerwonej, ponieważ radziecka krew dała amerykańskiej stali i brytyjskiemu wywiadowi czas potrzebny, by odwrócić bieg historii. W Kodzie róży opisałam wojnę z perspektywy brytyjskiego wywiadu. Oko snajperki patrzy przez pryzmat radzieckiej krwi – walki pewnej kobiety, by tę krew zatamować: najpierw za pomocą karabinu, a potem własnego głosu, gdy wyruszyła za ocean, by sprowadzić amerykańską stal na pomoc swoim rodakom.

POLECANE LEKTURY I MATERIAŁY FILMOWE

LITERATURA FAKTU

- Aleksijewicz S., *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*, przeł. J. Czech, Wołowiec 2010.
- Fitzpatrick S., *Życie codziennie pod rządami Stalina. Rosja radziecka w latach trzydziestych XX wieku*, przeł. J. Gilewicz, Kraków 2012.
- Glantz D., House J.M., *When Titans Clashed: How the Red Army Stopped Hitler*, Lawrence 2015.
- In the Shadow of Revolution: Life Stories of Russian Women from 1917 to the Second World War*, red. S. Fitzpatrick, J. Slezhine, Princeton 2000.
- Kearns Goodwin D., *No Ordinary Time: Franklin and Eleanor Roosevelt – The Home Front in World War II*, New York 1995.
- Markwick R.D., Charon-Cardona E., *Soviet Women on the Frontline in the Second World War*, London 2012.
- Nikołajew J., *Czerwony snajper. Wspomnienia z frontu wschodniego*, przeł. M. Cybulski, Warszawa 2018.
- Obratztsov Y., Anders M., *Soviet Women Snipers of the Second World War*, Oxford 2014.
- Pawliczenko L., *Snajperka czyli Pani Śmierć*, przeł. M. Cybulski, Warszawa 2018.
- Wacker A., *Snajper na froncie wschodnim. Wspomnienia Josefa Allerbergera*, przeł. J. Falkowski, Warszawa 2016.
- Wiesen Cook B., *Eleanor Roosevelt, Volume 3: The War Years and After, 1939–1962*, New York 2016.
- Winogradowa L., *Snajperki. Dziewczyny z Armii Czerwonej*, przeł. D. Bal, Kraków 2018.

YOUTUBE

- Lyudmila Pavlichenko – The Extraordinary Sniper, Dubistic, 23 września 2016.
<https://www.youtube.com/watch?>

v=rYnnBpxsI7s&ab_channel=dubistic.

Lyudmila Pavlichenko Speech in New York City, Pietrossino, 12 lutego 2010. [https://www.youtube.com/watch?](https://www.youtube.com/watch?v=jDO6n7GuslA&ab_channel=pietrossino)

v=jDO6n7GuslA&ab_channel=pietrossino.

FILM

Bitwa o Sewastopol, biograficzny film wojenny z 2015 roku.

Wróg u bram, film wojenny z 2001 roku.

Spis rozdziałów

Prolog

27 sierpnia 1942 Waszyngton

PIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

Listopad 1937 Kijów, Związek Radziecki

Czerwiec 1941 Odessa

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

CZTERNAŚCIE MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Czerwiec 1941 FRONT ODESKI, ZSRR

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

JEDENAŚCIE MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Wrzesień 1941 Front sewastopolski, ZSRR

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Grudzień 1941 Front sewastopolski, ZSRR

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

PIĘĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Marzec 1942 Front sewastopolski, ZSRR

RADZIECKA DELEGACJA: DZIEŃ PIERWSZY

27 sierpnia 1942 Waszyngton

EPILOG

Eleanor Roosevelt przyjeżdża do Moskwy 10 października 1957

POSŁOWIE